

# peta

**Samczy happening**

Marian Czesław Sokołowski

# 4

## **peta nr 4 – „Samczy happening”**

Książka ta opisuje lata 1973 — 1981 w Polsce, rzuca czytelnika, może nie w sedno wydarzeń, lecz raczej w środek marazmu, ogłupienia, beznadziejności — a w tym przecież przyszło nam żyć i trzeba było jakoś żyć. Gdy ją pisałem, nie miałem pojęcia, że coś kiedyś się w Polsce zmieni, stąd jest ona skłębieniem odczuć, braku nadziei na pożądane zmiany, jest zapisem jak było. Mój wielki ładunek emocjonalny próbował wyładować się w zadziorności treści i formy. Happening tamtych wydarzeń miał prowokować do refleksji.

Ponadto treść potraktowałem jako wielki koncert z poszczególnymi jego muzycznymi częściami, których nazwy oddawały rodzaj wydarzeń, a muzyczne notacje na marginesie — brzmienie poszczególnych akapitów. Tego było mi mało, więc jednocześnie zrobiłem książkę sztuką teatralną, w której słycać ówczesne bełkotliwe mowy. Opisałem pustkę. Więc jest to zarazem happening, koncert i sztuka teatralna.



ISBN 978-83-946915-3-0



# Samczy happening



Marian Czesław Sokołowski

peta\*

nr 4

pod tytułem:

# **Samczy happening**

Warszawa, 2024

\* znak firmowy, znak towaru

© Copyright by Marian Czesław Sokołowski 2024

**ISBN 978-83-946915-3-0**

Wydanie trzecie poprawione i uzupełnione ilustracjami.

Marian Czesław Sokołowski

[mariansokolowski8@gmail.com](mailto:mariansokolowski8@gmail.com)

*Concerto grosso nuovo*





*da capo*

Minęło czterdzieści lat. Jest rok 2015. Tak wiele się zmieniło, tyle przebrzmiało, odeszło w niepamięć. Wszystkie wydarzenia tu opisane miały rzeczywiście miejsce, miały miejsce w podanych dniach, dialogi są autentyczne. Po latach nabierają jednak cech literackiej fikcji, a tego nie chciałbym. Książka ta niech będzie nadal rzeźbą, muzyką, sztuką teatralną — tak jak zamierzyłem pierwotnie, ale niech nie straci cech dokumentu. Poprzez takie jak ten przypisy objaśnię zawarte tu fakty, zapiszę, co żywo tkwi w mej pamięci.

Książka jest jednym wielkim gestem rozpaczy; pisanie jej pozwalało mi trwać, wytrzymywać; pisanie zawężyło moje liczne problemy — po zapisaniu stawałem jakby obok nich. A były to lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku.

## Toccata

od autora

### I

*moderato*

Jest to powieść na prawach pamiętnika — i aczkolwiek podzielona na części — stanowi jedno opowiadanie na temat ludzkich ułomności.

Proszę nie sugerować się nadmiernie (można wcale) podziałem na części, dni, czy sceny — gdyż zagadnienie to stanowi swoją własną kompozycję i mnie się osobiście wydaje, że nie najważniejszą spośród innych układów tej książki.

Całość jest sztuką teatralną, dla której pragnąłbym zachować tytuł „MOWY”.

\*

### II

*moderato*

Współczesna muzyka, nie mieszcząc się w kanonach klasycznej muzyki, sięgnęła po nowe środki wyrazu. W swym brzmieniu muzyka wyszła poza polifonię jak i nawet poza dodekafonię. Poważnie uzupełniono instrumentację, a nawet ją zmieniono. Taka muzyka, wykonywana na takich instrumentach musiała być zapisywana za pomocą nowych form zapisu, bo inaczej nie było to możliwe.

Tak więc prezentuję tu jednocześnie Państwu partyturę utworu muzycznego, w którym zamiast nut użyto opisu słownego, bowiem najbardziej potrafił on oddać styl, formę i treść.

\*

### III

*moderato*

Happening w sztuce współczesnej, w moim odczuciu, nie został dostatecznie wyeksploatowany. Zasłużył na znacznie więcej. Może przyczyniła się do tego krótkotrwałość ekspozycji happeningu. Stało się. Sztuka poszła dalej — odkrywa nowe formy, zwłaszcza tam gdzie ich się zupełnie nie spodziewamy, a przede wszystkim eksponuje je.

Opierając się na współczesnych założeniach sztuki proponuję Państwu obejrzenie TREŚCI — będącej happeningiem.

Na zakończenie pragnę złożyć moje wyrazy szacunku i wdzięczności wszystkim tym, którzy byli podmiotem mojego happeningu.

\*

Jeżeli nie chcesz zobaczyć słownego happeningu, ani usłyszeć słownego koncertu, a łakniesz nade wszystko treści — czytaj z tymi komentarzami.

\*



## **I Fuga C-dur alla uwertura**

*Da capo*

W chwili pisania tej książki, tj. w latach siedemdziesiątych PeeReLu, było w obiegu pojęciowym wiele skrótów nazw instytucji. Skróty te były tak oczywiste dla wszystkich, a zwłaszcza tak wieczne, że wydawało mi się bardzo dowcipne, jeżeli będę objaśniał mimo wszystko znaczenie skrótu podając pełne nazwy.

Wystarczyło dwadzieścia kilka lat, aby skróty te koniecznie wymagały komentarza.

Zacząłem spisywać 24 września 1975 roku.

*presto*

*accelerando*

Przedtem było wiele i może będzie o tym później. Tymczasem zostawiłem to wszystko za sobą i ... zwyczajnie uciekłem.

17 września 1975 roku.

Już w autobusie było mi lepiej. Wprawdzie moje miejsce zajęła żona pekaesowca (pekaesowiec to pracownik PKS, czyli Państwowej Komunikacji Samochodowej), ale postarałem się, aby je zwolniła. Zapłaciłem za miejscówkę przecież. Kierowca utyskiwał i pouczał ją, że trzeba było swój bezpłatny bilet zgłosić w kasie i nie byłoby teraz problemu. Wpuścił jednak jednego pasażera bez miejscówki i ruszyliśmy.

Ten jedyny pasażer bez miejscówki i miejsca, ten „singiel” był nam wszystkim bardzo potrzebny — jak głód dla docenienia dobrobytu. Zaraz na początku zaczął sadzić się na jedynej wolnej podpórce pod łokieć. Wszyscy dzielnie strześliśmy swoich; dla mnie ta podpórka była za wysoko, ale objąłem ją jak ramię żony i spałem bądź udawałem, że śpię.



Takim niebieskim autobusem Jelcz jechałem z Warszawy z ulicy Żytniej do Krynicy.

(Uwaga: Niemal wszystkie zdjęcia w książce zostały zrobione po trzydziestu latach w stosunku do treści, a tylko niektóre pochodzą sprzed drugiej lub nawet sprzed pierwszej wojny światowej – wówczas dano przypis „stara fotografia”).

### *accelerando*

Kierowca ruszył z Żytniej w Warszawie z komentarzem, że nigdy takiego tłoku nie miał w autobusie, ale co się dziwić, skoro nagle bilety podróżowały na kolei i teraz pekaesem za pół ceny można jechać. Tu przerwał i wziął się za singla:

– Panie... co pan wyrabia... Ten podłokietnik jest obliczony tylko na ciężar ręki, a pan swoją dupę na nim sadza. Urwie się i kto to będzie spawał, a potem jeszcze niklował?

Po dostatecznie długim czasie zlitował się:

– Tam na siatce są stare gazety. Weź pan jedną, rozłóż na stopniu przy drzwiach, niech i pan siedzi. Ale gdybym wiedział, że z panem będzie taki kłopot, to bym pana nie zabrał. A te półki są plastikowe, gumowe i ze sznurka — na same gazety; no, może na rękawiczki; a te ludzie pchają tam torby, teczki... — A na kolanach trzymać!

Wyczerpawszy chwilowo temat, kierowca zajął się miłą panią, którą tak sprytnie wyselekcjonował spośród wchodzących do autobusu pasażerów i z głęboką myślą w tym zawartą posadził na fotelu dla pilota, czyli obok siebie. Szczepiot tych dwojga długo napawał mnie zaciekawieniem. I między innymi partnerka — siedząca obok kierowcy na fotelu dla pilota — z jakichś względów musiała zaznaczyć o swej rodzinie:

– Dziecko całą noc płakało...

– Niemożliwe. Pani ma dzieci? Nie wygląda pani na to.

– Nie. Byłam na chrzcinach i ten mały całą noc ryczał.

– To trzeba było nie iść.

– Nie wypadało — to było u brata.

### *brillante*

Z braku lepszego zajęcia zacząłem porównywać swoje szoferskie umiejętności z umiejętnościami prowadzącego nasz autobus. Skonstatowałem, że kierowcy autobusów tym się różnią ode mnie, że bardzo wcześnie hamują, nawet gdy nie wiadomo po co i tylko później okazuje się, że tamten przed nami nagle zahamował i skręcił w lewo — bez włączenia kierunkowskazu — tak jakby nie był do tego zobowiązany. Ale kierowca autobusu — co mnie z kolei pocieszyło — też nie wytrzymuje nerwowo i przekracza ciągle linie.

I znów singiel dał znać o sobie:

– To już lepiej stać, jak tak siedzieć — powiedział.

Ale gazetę z całą ciężką poskładał i położył na półkę... — półkę czy siatkę? — To zagadnienie stało się moim kolejnym wielkim problemem, bo czyż można nazwać półką coś, co jest uplecione ze sznurka?

Kierowca tymczasem zwrócił się do jednego z dwóch młodych ludzi, których również usadził na przedzie:

– Heniusz, przejrzyj no te diagramy. Policz, ile jest po osiemdziesiąt. To będą te do Radomia. Wtedy się zwolni.

Ja w tym czasie skończyłem medytacje na temat, czy moja druga sekretarka naprawdę nie mogła kupić mi miejsca przy oknie, i zacząłem rozwiązywać problem marynarki. Jechać w niej — grzech — wygniecie się jak nieboskie stworzenie i będzie wyglądała, tak jak dotychczas, a przecież wreszcie wczoraj żona zaniósła mi ją do Alby. (Alba — spółdzielnia piorąca ubrania). Zdjąłem ją więc, położyłem na siatkę... — siatkę czy półkę? — Usiadłem. Miałem czas. Dużo czasu. Więc patrząc w górę oceniłem, że chyba się zgniecie, bo wrzuciłem ją niedbale. Wstałem, poskładałem jak wszyscy, podszewką na wierzch, ale szybko zmieniłem — złożyłem według swojego wypróbowanego sposobu, tak jak tę od ciemnego garnitur, który wiozłem na dnie walizki. Ciekawe, czy żona widziała, jak go brałem... — i te czarne lakierki... — przecież będę musiał tam w Krynicy pokazać im, że byle kto nie przyjechał. Marynarkę jednak zdjąłem z półki, na nowo poskładałem, przez wieszak marynarki przełożyłem pętelkę od lśniącego białą pokrowca fotela znajdującego się przede mną. Składanie było niepotrzebne, a marynarka sięgała ziemi. — Zgroza! Ubrudzi się! — Więc znów składanie. Kołnierz przełożyć przez uchwyt fote-

la... Też nie chce się trzymać. Poskładać dokładnie. Kołnierza wsunąć w siatkę na fotelu... Też się gniecie. Wrzucam więc ją znów na półkę — tak, półkę — bo siatka będzie ta na dole. Ta baba musiała położyć swój płaszcz nade mną i teraz moja marynara ma ciasno, a miała — ta baba — nad sobą miejsce po swojej stronie. Taki kierowca to ma dobrze. Zdjął marynarkę, też jak ja paraduje w szelkach, ale powiesił ją na drucianym wieszaku, a ten wieszak z kolei na szybie za sobą i muszę tę rozpustę na dodatek widzieć w lusterku kierowcy. Może by tak zwrócić się do niego, aby pozwolił powiesić. Dwie marynarki na wieszaku — jedna na drugiej też się nie zgniotą. Nawet ta obok wymyśliła sposób i powiesiła płaszcz na dzyndzlu okna.

Dzyndzel — tak się nazywało urządzenie przeciw włamaniom, które sam zmagistrowałem w Trabancie (Trabant — samochód osobowy produkowany w NRD), (NRD — Niemiecka Republika Demokratyczna), a dzyndzel poza tym to było takie określenie nadawane w moich stronach dla czegoś takiego, czego nie wiadomo było jak nazwać.

Znów patrzę w górę — cholera — rękaw zwisa. Zresztą nie szkodzi. Przynajmniej taki z niego pożytek, że majta się tuż przed nosem singla, który oparty ciężko na sąsiednich podłówkach foteli dogorywa. Heniusz tymczasem przestudiował bezbłędnie diagramy i orzekł:

– Nawet w Kielcach nikt nie wysiada; a ta osiemdziesiątka to była połówka.

Singiel nie zniósł tortur rękawa i przesunął się o jeden rząd do przodu. Zastawił mi teraz cały widok. Może długo nie wytrzyma. I rzeczywiście. Bo Heniusz zapomniał opuścić podłokietnik i ten dosyć wystający spod Heniusia brzeg fotela wyglądał całkiem zachęcająco. Singiel to spostrzegł, zaczyna obmacywać konsystencję brzeżka fotela. Już ma nadzieję, że się przysiadzie. Heniusiowi mowę odjęło — nie wie wcale, jak się obronić przed sublokatorom. Wreszcie będzie punkt dla singla. Zobaczył to jednak kierowca; nie stracił refleksu:

– Panie, stoisz pan za blisko szyby, a przednia szyba jest ciężka, ja przyhamuję i co? Idź pan tam do tyłu, tam jest przecież miejsc aż na pięć osób, jakieś takie szczupłe tam siedzą, to i pan się zmieści.

Teraz już mogę poprawić rękaw zwisający z półki. Kierowca jeszcze tylko pyta, czy ktoś w Radomiu wysiada. Okazuje się, że nikt. Wolno wlecemy się poprzez ulice miasta, często skręcamy, ale wszystko to opłaciło się. Równie wolno, acz skutecznie przejeżdżamy obok głupich min tych z kolejki pięknie ustawionej na chodniku przy przystanku, którzy myśleli, że się zabiorą. I znów wracamy na trasę przy kazaniu kierowcy, którego wysłuchujemy w skupieniu:

– Nawet był tam jeden mój znajomy... Ale gdybym go zabrał, to wiecie, jaka byłaby awantura... dlaczego nie jego albo tamtego?



Radom, ulica Rwańska.

*accelerando*

Potem jeszcze dodaje:

– Dawniej było dobrze. Przystanek był za miastem na trasie. Ludziska musieli wprawdzie przyjść te parę kilometrów, ale za to ja jak byłem pełny, to tylko raz i przelatywałem. Nie traciłem tyle czasu, co teraz na tych ulicach.

Singiel znów dyszy nade mną, a obok słodko chrapie moja partnerka siedząca przy oknie. I tylko gdzieś w głębi damski głos wzywa, aby zamknąć tamto okno, bo przeciąg. Ktoś inny natychmiast ucina kwestię, proponując usłudnie, że już idzie zamknąć okno nad nią.

Trochę śpię, ale słyszę. To singla obrabiają. Pani siedząca za mną rzecze:

– Niech się pan z łaski swojej teraz przesunie gdzie indziej. Czy ja całą drogę będę patrzyła na pańskie spodnie?

Na to singiel:

– Wszędzie jest jednakowo. Ja też zapłaciłem za bilet. Tak się te ludzie ze mnie otrząsają, jak bym to był jaki zapowietrzony.

– Ale ja tylko prosiłam.

Nie pomogło. Wytrzymał. Obliczyłem, że wziąłem z domu dziewięć bułek. Trzy już zjadłem na początku, więc jak będę jadł co godzinę jedną, to będzie to racjonalne odżywianie się i może schudnę. Jest jedenasta, więc można zamiar wprowadzić w czyn. A co pół godziny będę jadł jabłko. Usiłuję zdjąć siatkę z jedzeniem. Singiel wyraźnie przeszkadza. Nie ruszy się, a i ja nie poproszę go o to. Wyginam się, ciągnę jedzenie. I partnerkę zbudziłem niechcący. A tu singiel (genialny!) Do mej partnerki:

– Zamień się z tym panem, to będziemy mogli siedzieć na zmianę.

Skwapliwie godzę się. Wreszcie siedzę przy oknie. Mógł wcześniej wpaść na ten pomysł. On tymczasem już zamienił się ze swoją połowicą. Teraz ona stoi oparta oburącz na fotelach, a on do mnie:

– Jesteśmy bardzo zmęczeni. Całą noc z żoną lecieliśmy z Belgradu. Musimy równo odpoczywać.

(Wyjazd na urlop do Jugosławii był nie lada osiągnięciem, tylko tam Polacy mogli wyjeżdżać, a i tak wyjeżdżali głównie w celach handlowych, tj. aby coś z zagranicy przywieźć na sprzedaż. Wypadało pochwalić się takim wyjazdem).

Ona tylko zwraca uwagę, aby pilnował torby podróżnej, aby była zamknięta. Reszta jest w porządku. Ja teraz wieszam swą marynarkę na dzyndzlu, na którym już wisi jej płaszcz. Siatkę z jedzeniem misternie wiążę do pokrowca przedniego fotela. Wykorzystuję podglówek, który jest po to biały, aby pasażer wiedział, że każdorazowo jest założony świeży, a świeży jest po to założony, aby się wszy nie przenosiły. Zaraz — ale ja się przesiadłem. I już byłbym oderwał głowę od oparcia, ale spostrzegam, że jej płaszcz i moja marynarka, jako że powieszono bardzo skośnie, odciągają powoli lufcik. Natura sama się zlitowała — jest świeże powietrze. Gdybym jechał własnym Fiatem, to wiedziałbym, jak się ta miejscowość nazywała, bo zawsze widzę nazwy miast na tablicach informacyjnych. Są one jednak po prawej stronie szosy, a ja siedzę po lewej i widzę tylko napisy z odległościami do najbliższych miejscowości, a tych znów nie chce mi się zapamiętywać. W każdym razie stanęliśmy. Zanim się to jednak stało, jakiś facet przyszedł z tyłu wozu do kierowcy i prosił po cichu:

– My, wie pan, z dzieckiem. I zapomniałem zabrać z walizki, którą pan schował pod spód do bagażnika — wie pan — lekarstwa, a dziecku jest niedobrze...

– Ja już mam dwadzieścia minut spóźnienia. Patrz pan. A co to za lekarstwa tam pan wiesz?

– Nie wiem. Bardzo dobre. Takie amerykańskie.

– Panie, to pewnie aviomarin, a to trzeba brać na pół godziny przed podróżą. Teraz organizm zwróci...

– Pewnie że zwróci. — Ktoś poparł.

Odchodzącemu któraś pani dała jednak aviomarin. Doprawdy dziwne.



### *rallentando*

A więc stanęliśmy. Gdzieś. Pod dworcem. Nędzne to jakieś takie. Aż się wysiadać nie chce, a tu dziesięć minut przerwy. Tylko ta z biletem dla pracowników pekaesu przyszła pytać, kto to miał tę aviomarinę. Wskazało kilka osób na raz. Właścicielka wróciła jednak już do normy:

– Proszę panią, aviomarin trzeba brać na pół godziny wcześniej. Teraz to organizm zwróci...

– Zwróci!?

– Naturalnie!

Wysiadam. Moi sąsiedzi też się muszą ruszyć, a zwłaszcza muszą ruszyć swe paczuszki ze skarbami z zakupów poukładane pod fotelami i w nogach.

Te parę godzin tak zleciało, to i dziesięć minut przerwy też miało swój koniec. Wsiadamy. Jeszcze kierowca tłumaczy babinie, jak komu dobru, że samochód dawno był w remoncie i nie może być przeciążony, a tu komplet — nie może jej zabrać — i wszyscy zamiast siedzieć w domu, to z takimi bagażami jadą.

Czyli jak w starym przysłowiu — baba z wozu, koniom lżej.

Z foteli przede mną wysiadła para. Spowodowało to przegrupowanie. Singiel usiadł tam teraz przy oknie. Obok niego nowy pasażer — bruneta — bo podobno od wczoraj czekała na autobus — tym przynajmniej przekonała kierowcę. Żona singla respektuje naszą pierwotną zamianę. Wpuszcza mnie do okna.

Nasz naprawdę bardzo sympatyczny kierowca jeszcze wstaje, jeszcze sprawdza, czy wszyscy są. Nawet pyta:

– Ta pani, co obok mnie się kręciła, jest już?

Po chwili ciszy:

– Jeśli jest, to niech się odezwie.

Cisza.

– Taka krępa, czarna. Najpierw długo stała koło wozu i rozmawiała ze mną, a gdy było blisko do odjazdu, to mi powiedziała, że musi za potrzebą i żebym na nią koniecznie poczekał.

Szereg pasażerów angażuje się i pokrzykuje:

– Niech się odezwie!

Cisza.

– Nie będę dłużej czekał. To jest regularna komunikacja. Niech teraz goni taksówką. Już mamy spóźnienie.

Wszyscy zgodnie myślimy, że: — „Słusznie”. — I chyba nawet ta poszukiwana pani myśli tak samo, gdyż jak się później okazało — nikogo nie brakowało.



Tarnów (stara fotografia).

### *accelerando*

Z bułkami co godzinę nie wydolę; będą one więc „na wszelką okazję”. Tymczasem delectuję się tym, jak siedzący przede mną singiel walczy przez sen z dmuchającym z lufcika wiatrem i nawet zasuwanie firanki niewiele mu pomaga. Tylko jego żona siedzi jakby w letargu obok mnie, a mnie słońce praży, że muszę nawet ten ładny krawat zdjąć. Chytra sztuka. Przewidziała.

Wypada przeczytać gazetę, skoro się kupiło. Więc czytam. W zasadzie czytam same tytuły. Resztę wiem już z radia. Wstałem przed piątą i już wysłuchałem dwa dzienniki. Tylko z domu wyszedłem tak jakoś nijako. Nie pożegnałem dzieci, nie pocałowałem żony, ale ona też jak rano wyjeżdżała, to nie całowała.

### *rallentando*

Już Tarnów. Przejeżdżamy znane mi ulice, po których niedawno błędziłem. Właściwie dziś trzeba było jechać Fiatem. Już odwykłem od takich podróży. Tu postój pół godziny. Na piętrze w bufecie zamawiam flaki — bom głodny, i dużą kawę, bo mnie od tego słońca łeb boli. Flaki nie dają się jeść. Idę do bufetu:

– Poproszę o jakieś przyprawy.

– Nie ma. Są na sali.

Szukam dokładnie po stolikach. Nie ma. Wracam.

– Na sali też nie ma.

– Tutaj, jak pan widzi, też nie ma.

– A powinny być. — Przygważdżam.

– Kaziu, wymyśl coś. Nie mogę stąd odejść.

Kazia z najbliższego stolika obok mojego przestawia mi pieprz, a potem jeszcze przynosi w butelce przyprawę „na winie”! — Sic!

Kończę. Wychodząc mijam dobrego znajomego, z którym jedziemy w tym samym autobusie.

– Co można zjeść?

Odpowiadam:

– Są flaki, polecam.

Wypadałoby porozmawiać z nim. Znamy się, pracujemy razem, mamy wspólne interesy, można od niego to i owo zyskać, tak dużo od niego zależy... Właściwie powinniśmy jechać razem. Może wypadało zaproponować zamianę miejsc? Akurat. Zgodziłby się kto. Ja do niego nie mogłem przejść, bo na pewno nie chciałby przesiąść się ten, co obok niego siedział. Miał przecież miejsce najlepsze, pośrodku wozu, a tu musiałby usiąść „na kole”. Temu mojemu znajomemu też nie wypadało zaproponować przesiadki, bo czemu miałby pójść na gorsze miejsce obok mnie.

Tymczasem i on już zjadł flaki. Zaproponowałem lody dla ochłody w pobliskim kiosku.

Porozmawialiśmy:

– Tak patrzę na te mijane domy i takie nędzne to wszystko...

– A wie pan, tam koło Kielc jednak dużo się buduje, chyba jednorodzinne... Bogate ludzie... Tak mnie gnębi ta myśl... bo wie pan, Komitet Warszawski (PZPR – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza) odmówił przyjęcia zaproszeń do Kongresowej na jubileuszowy bal Zjednoczenia... Powiedzieli, że nie jest to najlepsza forma wydawania państwowych pieniędzy... Dobra nasza — myślę — ja też zwróciłem zaproszenie. W razie czego powie się, że też byłem tego zdania. A głośno:

– Ziutek mi mówił — patrz, ile tracisz zwracając zaproszenie, a ja mu na to — policz, ile bym stracił, gdybym przyjął. Taka impreza niby za darmo, a bez tysiąca się nie obejdzie.

Na to mój rozmówca:

– No, ale niech pan liczy inaczej. Gdyby tak pana wezwali z tej konferencji na sobotę do Warszawy, pojechałby pan jak dziś autobusem i to w obie strony, a przy pana uprawnieniach przejazdowych... czterysta dwadzieścia pięć... czy czterysta siedemdziesiąt pięć... liczymy czterysta pięćdziesiąt... a tu dwieście osiem, czyli czterysta pięćdziesiąt razy dwa, to daje już dwieście... minus podwójne dwieście, to ma pan na rękę pięćsetkę.

Wsiadamy. Kierowca ma następne trzy miejsca wolne.

– Cholera. Nie zdjąłem tej tablicy z napisem „miejsc nie ma” i wszyscy poszli do tego spóźnionego podmiejskiego.

W tym podmiejskim, stojącym obok, tłok jak jasna cholera; tam wolno stać — jest bez miejscówek.

Nasz kierowca do kolegi kierowcy:

– Zabrałeś mi wszystkich pasażerów. Oddaj paru.

Ten tylko zwycięsko się uśmiecha, dopycha drzwiami swój stan posiadania, rygluje i majestatycznie znika za autobusem w drodze do swoich drzwi. Czy im płacą pensję od przerobu liczonego w tono-kilometrach — myślę w zadumie.

### *accelerando*

Wolno ruszamy. Manewrujemy. Z tyłu damski głosik:

– Tu jakiś płaszcz, jakby bez właściciela... i jakieś wolne miejsce...

– Tyle osób wysiadło... Skąd pani może wiedzieć, kto został. Ostrzegąłem zresztą, że będą gonić taksówką.

– I jakaś teczka leży...

Cisza, właściwie milczenie. Wolno robimy to, co każdy uczciwy samolot przed startem — też kołujemy.

– Panie! On biegnie! Zatrzymaj się pan!

On jest już jednak w autobusie. Wskoczył nie czekając, aż kierowca zechce zwolnić. Bo nie zwolnił. Dobrze, że nie liczył na to. Ale dialog musi być, choć króciutki:

– Przez głośniki zapowiadali, że pospieszny z Warszawy do Krynicy odjedzie o piętnastej dwadzieścia, a jest dopiero dziewiętnaście.

– Do naprawy daj pan zegarek, a poza tym ja mówiłem wyraźnie do wszystkich, że pół godziny przerwy, a odjechaliśmy po czterdziestu trzech minutach — nie?

Jeszcze myślę o niedawnym wysiadaniu. Kierowca kazał wszystkim wysiąść i zamknął autobus, bo nie będzie odpowiadał za rzeczy.

A propos wysiadania. Krążyły kiedyś po Warszawie takie dowcipy: — „Czy pan wysiada? — Nie, proszę pani, ja nigdy nie wysiadam. Udowodnić to pani?” I jeszcze jeden: również przy drzwiach tramwajowych — pan do Venus (tak będę je nazywał ze względu na ich swoisty szablon): — „Czy pani wychodzi?” — a na to Venus: — „A panu?”

Gdzie te czasy. Teraz już nawet opowiedzieć czegoś tak delikatnego nie wypada.

Singiel z połowicą został, a szkoda. Nic się nie dzieje. Obok znajomego wolne miejsce. Ale po co tam iść. Moją nudę zabija kierowca:

– Heniusz, źle robisz, że toto wieziesz. Wrogów sobie narobisz.

– Prosili, to wziąłem. Co mi tam.

– Patrzcie, nawet krynicka się na radar zdobyła. Gdzie oni to wytrzaśli, skąd ty go wieziesz? Teraz nawet przez Krynice nie będzie można spokojnie przelecieć. Niczym innym nie będą się zajmować, tylko z ciekawości jak toto działa, będą łapać — jak dzieci.

– Ale ten radar był tylko w Warszawie u legalizacji. Prosili, więc wziąłem.

– No tak. Niech najpierw zrobią ludzkie rozkłady jazdy, a potem będą łapać. Ja na przejazd spod Hawany do dworca mam tylko trzy minuty, a tu prawie wszyscy chcą wysiadać pod Hawaną. Wyjmuj im paczki i szukaj. I możesz człowieku całą trasę jechać punktualnie, a na ostatni przystanek pod dworzec się spóźnisz.

Przesiadam się do znajomego. Milczymy obok siebie. Nikły dialog wygasa. On:

– Gdzie pan mieszka?

– Nie wiem. Kazano mi wysiąść pod Hawaną.

– Proszę, co za nazwa. A ja będę tylko w „Robotniku”. Nawet w tym się różnimy. Był pan kiedy w Krynicy?

– Przed wielu laty i to jeden dzień. Właściwie przechodziłem do Mochnaczki, choć zaszedłem do Tylicza.

– Myślałem, że będę miał przewodnika.

### *volta*

Stajemy w jakiejś wiosce. Kierowca zwinnie wyciąga z bagażnika jakieś kartony, czekający przejmują je bez słowa; tylko na jezdni, niby w ukryciu za autobusem, słowa zmienia właściciela, — kto wie czy nie sprawniej niż kartony. Tylko że my na to patrzymy z okien i nie wiem, ze zrozumieniem to, czy znanstwem, czy też zgorszeniem i odrazą na to patrzymy.

### *accelerando*

Mój znajomy pyta, co będę robił, bo on na wczasy. Dopiero teraz dostał i to po znajomości. Ja opowiadam:

– Ministerstwo zorganizowało siedemnastą konferencję. Na nią jadę. Program mi przysłali. Część referatów mnie interesuje, część nie (w myśli dodaję, że ta przeważająca część). Przy okazji wypoczynek. Najpierw przysłali zaproszenie. Zgłosiłem siebie i takiego jednego. Przekazaliśmy pieniądze na konto, jak trzeba. Przyszła odpowiedź odmowna, że za późno zgłoszone. Nie, to nie. On jednak przyszedł i powiedział, że wprowadzie sam nie pojedzie, ale załatwi. Jeszcze przedwczoraj dzwonił do Krakowa, tam obiecali, że będzie dobrze. Mam tylko zgłosić się do pana... o tu mam na kartce nazwisko i nazwisko tego, do którego dzwonił, też.

Uczę się ich na pamięć. Domy coraz gęściej, wracam na swoje miejsce. Jakaś pani z tyłu przesiada się obok mnie, z walizkami, aby być bliżej. Wynika z tego, że dojeżdżamy. Jakiś znów pan usiłuje ją przechytrzyć i próbuje ustawić się przed nią. Nawet mu się to, w chwili jej nieuwagi, udało. Ale jak Jagiełło pod Grunwaldem, nie wyciąga korzyści z odniesionego zwycięstwa. Zostaje w pół drogi do sukcesu. Na tyle wysuwa się do przodu, aby w każdej chwili zademonstrować, że on jest pierwszy; ale i na tyle tylko, aby paniusia nadal miała złudzenia, aby jeszcze próbowała. I próbuje.

– Bo te parasolki takie dziś niewygodne. Mam nadzieję, że nie rozerwałam panu kieszeni. Wreszcie „Hawana”. Każdy głupi zauważy. Króluje. A to wokół to Krynica.



Krynica, restauracja HAWANA – nadal króluje.

### *rallentando*

Już jesteśmy przed autobusem. I to powietrze... ach! Komu się śpieszy, to się śpieszy, a komu nie, to nie. Ładne dwie cizie (obecnie laski, w 2015 roku nie wiem). Dobry początek. Trochę się wzdragam, czy pisać dalej, bo może żona uwierzy i będzie źle, a jak nie uwierzy, to może jeszcze gorzej. Ale już obmyśliłem zakończenie, które wszystko ureguluje. Tymczasem jeszcze sprawy łagodne — jak to piszą w gazetach przy programach filmowych — b/o — bez ograniczeń. Później będą części od czternastu, szesnastu i te naprawdę od osiemnastu lat. Nie te

z tego dowcipu, gdy dwie Venus stojące przed kinem rozważają: — „Nie wpuszczą cię do kina, bo od osiemnastu. — I tak bym nie poszła, bo nie mam z kim dziecka zostawić”.

Pcham więc torbę z resztką jedzenia do walizki, poprawiam krawat, lustruję ubranie. Tymczasem jeszcze kierowca pokrzykuje na babę zabraną pod Krynica, że nie zapłaciła. Reguluje z rączki do rączki. Tak to rozumiem. Ja nie zawiodłem się, kierowca też nie, a baba okazała się uczciwą i zapłaciła. Jeszcze góral oferuje podwiezienie bryczką. Ludzie umykają mu. Ja nie muszę. Mój argument jest oczywisty — ja tu obok do Liliany. Jeszcze kierowca pół żartem pół serio komuś tłumaczy, że nie wie, gdzie jest taka ulica, niech ten ktoś wsiada, bo już trzeba jechać dalej, a pod stacją są taksówki, które też chcą zarobić.

### *intrada*

Sprawdzam według rysunku na mojej karteczce, gdzie ta Liliana. Podchodzę. Wszystko jest tak jak trzeba — lecz recepcja jest nie w Lilianie, lecz w Stefance. Tam karteczka, że od osiemnastej. Zostawiam walizkę w korytarzu — kto by to kradł w sławnej Krynicy. I na te dwadzieścia minut na deptak — niczego nie można stracić. Na razie osiągnąć żadnych, ale za którymś przejściem okazuje się, że recepcja wcześniej otwarta, więc stoję za jakimś innym uczestnikiem konferencji. Ten podaje kartę uczestnictwa. Odfajkowuje się go. Dostaje bony na jedzenie, miejsce zakwaterowania i nieodłączny atrybut wszelkich konferencji — wykonaną ze skaju teczkę z materiałami na konferencję. Tym razem nie wysilili się — marna teczka. Teraz ja. Do miłej pani:

– Nie mam wprowadzić karty uczestnictwa, ale mnie polecono zgłosić się do pana... o tu na kartce mam jego nazwisko.

– Dyrektora nie ma, gdzieś wyjechał. Jak pana nazwisko?

Podaję, sprawdzamy. W jednej teczce, w drugiej i w trzeciej też nie ma. Więc tłumaczę zawile, że zgłaszaliśmy, potem wysłaliśmy pieniądze, potem przyszło pismo, że za późno, potem nawet pieniądze zwrócili, potem przyszło pismo, że na nasz udział szczególnie liczą, zwłaszcza w obradach sekcji wiadomej. I docent dzwonił do docenta Hyżniaka z Krakowa, a ten załatwił wszystko i podał to nazwisko.

Czekamy na jakiegoś pana. Przyszedł. Dokładnie tłumaczę. O niczym nie wie. Coś pomoże. Na ulicy są panowie, którzy jadą zaraz do dyrektora, to może coś wyjaśnią. Więc znów tłumaczę — teraz tym panom. A na to mój obrotny rozmówca (oczywiście we właściwym momencie) do mnie:

– Ale przecież pan rozmawia właśnie z docentem Hyżniakiem. To ja jestem.

– Bardzo mi miło poznać.

– Bardzo mi miło. Tak, pamiętam, rozmawiałem, ale tamto nazwisko, co mi podano, było inne.

I odchodzi. Mój opiekun:

– Rozumiem. Niech pan idzie teraz do Jaworzyny. Takie przedsiębiorstwo turystyczne, oni panu wskażą kwaterę prywatną, ale rachunek będzie poświadczony przez Urząd Miejski, więc bez trudu panu zwrócą w pracy. Poproszę tylko delegację, bo to najważniejsze. Walizki można zostawić. Pójdzie pan jak do Patrii. Zna pan?

– Znam.

### *accelerando*

Idę. Po drodze nie rozwiązuję problemu, skąd się tych Jaworzyn tyle nabrało, i kino, i przedsiębiorstwo, a przecież to Krynica. Znajduję. Zamknięte. Napis: czynne od 8<sup>00</sup> do 15<sup>00</sup>. Wracam ubawiony. Mój opiekun rozkłada ręce — nic nie poradzi. Już nawet proszę o zwrot delegacji, aby wracać do Warszawy. Ale wstyd. I tak się nastawiłem. Już zmrok. Wypadam. Naprzeciwko pod górę neon. Wchodzę. Sanatorium. Proszę portiera o wskazanie hoteli w Krynicy. Są dwa. Belweder, ale ten jest dalej i Rzymianka tuż za Hawaną.

Tuż za Hawaną nawet znajduję wypaloną góralską deskę z napisem, że Rzymianka się poleca. Ale jej samej nie ma. Wreszcie jest maciupci napis nad drzwiami. Wchodzę. Portier:

– Panie — konferencja. — Dawno wszystkie pokoje zarezerwowane.

– Ja też z konferencji.

– A to dobrze. Niech pan idzie do Stefanki, tam jest recepcja konferencji. Od tego trzeba było zacząć.

- Byłem. Kazali do Jaworzyny, a Jaworzyna zamknięta. Więc szukam po hotelach. A w Belwederze będą mieli?
- Proszę się tam dowiedzieć, to tak jak się idzie na stację.



Krynica, Rzymianka.

*vivace*

Pędzę. Już prawie ciemno. Na skrzyżowaniu obok domu towarowego dwie Venus w długich sukniach obrzucają mię uważnym, taksującym spojrzeniem. Prawdę mówił Rysiek, który co roku jeździ do sanatorium w Krynicy. Tu Bocianówka, tu te panie, które przyjeżdżają leczyć bezpłodność. A ja tu jeszcze nic nie załatwiłem. Długo idę jakąś ulicą. Wreszcie znów krzyżówka. Gdzie ta Kraszewskiego? — pytam. Jest przede mną. Tak jak mi tłumaczono — pierwszy, drugi, trzeci dom — nie ma. Po drugiej stronie — nie ma. Jeszcze czwarty i dalsze. Po obu stronach. Na nic. Czytam każdy neon. I to nie pomaga. Dowiaduję się, że między tymi domami tą ścieżką do góry. Jest Belweder — tu też tylko dla tych z konferencji. Szukam dalej. Jednocześnie myślę — może by tak już na stację. Musi być jakiś pociąg. Ale szukam dalej. Z jakiejś ulicy wychodzi śliczna dziewczyna. Co za wspaniałe nogi. Nikogo więcej. Mijam ją. Wracam. Stoi i zagląda do zamkniętego kiosku. Koncentruję całą swoją bezczelność i zaczepiam:

– Bardzo panią przepraszam, szukam pokoju do wynajęcia. Czy nie wie pani o jakimś?

Jak ślicznie uśmiechnęła się i przybrała pozę, dzięki której od razu stała się o dziesięć centymetrów niższa; co za uprzejmość.

– A tam dalej widziałam kiedyś napisy: — pokoje do wynajęcia.

Moja Venus I zostaje, ja odchodzę „tam dalej”, ale nie za daleko. Po chwili rezygnuję, wracam. Venus I też idzie w moim kierunku — już sama pyta:

– I nie znalazł pan?

– Nie widzę żadnych kartek. Gdzie one były? W oknie? Na drzwiach?

– Nie. Taka tablica.

Już idziemy obok siebie. Dopiero kilkadziesiąt metrów, a już wszystko, co najważniejsze opowiedziałem o sobie. Poderwałem! Więc przechodzę na sprawy pogody, a ona wesoło:

– Przecież pan widzi, jaka jest pogoda. W dzień było nawet dwadzieścia osiem stopni.

Przed nami zatrzymuje się taksówka. Wsiada jakaś pani w długiej sukni. Taksówkarz czeka z otwartymi drzwiami, ona skręca w bok. Okazuje się, że i ja tam muszę wejść.

Mojej Venus I nic nie powiedziałem. Zresztą co sobie taksówkarz pomyśli. Powinno być dla niej oczywiste, tak jak dla mnie było, że powinna poczekać. Wchodzę do środka. Pytam o właściciela. Przez próg kłaniam się i pytam o pokój. Wołają mamę.

– A na ile by pan sobie życzył?

– No, może nawet cztery dni.

– Mam tylko dwuosobowy. Policzę panu sto złotych.

Mój umysł stara się, ale nie nadaża. Czy zwrócę w pracy? A jak mi da drugiego lokatora? Może wracać do domu? Czy czeka?

– No, będzie pan miał dwa tapczaniki. Przyda się.

Wreszcie chwytam. Tak, oczywiście. Należność jak przystało płacę z góry. Jeszcze pytam:

– Czy obowiązują tu jakieś przepisy, zasady?

– Żadnych. Wolno żyjemy.

– A czy z przychodzeniem późno nie będzie problemów?

– Nie. Drzwi są całą noc otwarte.

Wybiegam. Jej nie ma. Dogonię na trasie. Niestety. Przenoszę walizki. Szybko rozpakowuję i do Hawany. W kawiarni zobaczyłem tylko plecy, ale co za plecy. W wielkim dekolcie. Na pewno bez stanika. Obok wolny stolik. Kelnerka może mnie posadzić, ale obok dwóch już dobrze urzęniętych. W barku jest jeden taboret. Ale nie teraz. Teraz do restauracji. Tu już wszystko sprzedane (znaczy się — nie ma kart wstępu). Wychodzę.



Idę do krzyżówki.



Potem do Patrii.



Potem przez deptak zdrojowy.

*diminuendo*

Już pusto. Pełen wrażeń wracam do wynajętego pokoju.

Skończył się pierwszy dzień obrad. Jutro będzie już nowy przewodniczący, jego dwaj zastępcy i sekretarze. Dalszych dziesięć referatów. Dyskusja. Każdy uczestnik po trzy do pięciu minut. Światło ostrzegawcze dla referentów (zielone) będzie zapalone na dwie minuty przed upływem wyznaczonego czasu referowania. Zapalenie się czerwonego światła oznacza przekroczenie limitu i odebranie głosu referującemu.

\*



*andante**moderato*

Budzę się jak młody bóg. Bardzo dokładna toaleta. Dobór kreacji i już jestem na ulicy. Bułek nie dało się już zjeść. Wędlina zielona. Zjem coś na mieście. W kawiarni najpierw proszę o herbatę. Potem życzę sobie dwa jajka po wiedeńsku, z chlebem, bez masła. O soli zapomniałem nadmienić, że bez, ale i tak nie podano. Chleba zjem tylko jedną z przyniesionych pająd. Musi być szyk. Siedzę sam w pustej sali dla niepalących. I tylko barmanka pokrzykuje, że powariowali, znów jajka. I tylko kelnerka zwierza się drugiej, że jest przeziębiona i że musi ją ktoś dogrzać. Złotówka napiwku i dalej na trasę. Deptak, krzyżówka, Hawana, krzyżówka, Patria, krzyżówka, deptak, w kierunku gdzie onegdaj zniknęła Venus I i znów od początku.

Po drugiej rundzie spostrzegam plakat. Grają „Dzień Szakala”! Niestety. Wczoraj ostatni raz. Jeszcze biegnę pod kino JAWORZYNA. Tam to samo. Dziś tylko „Mściciel”. Tymczasem w sali kinowej obrady XVII konferencji. Jeszcze sprawdzam w otrzymanym programie — akurat jest tam w środku koreferat do referatu P-7.



Krynica, kino JAWORZYNA,

Po piątej rundzie muszę się poddać. Wracam. Z żalem zdejmuję szarą marynarę, papuzi krawat, odpinam nawet szelki. Zawijam rękawy na pół obrotu — tak jak teraz trzeba. I znów na trasę. Jest księgarnia. Ale nie zajrzę. Niech raz będzie odpoczynek i od książek.

Po kilku następnych rundach coraz bardziej oczywistym się staję, że będę musiał przewartościować moje kryteria. Jakoś tych z Bocianówki nie widać. Jest tylko masę starych bab i takie siksy (małolaty). Mojego numeru ani na lekarstwo.

A przecież ktoś mądrze powiedział, że na jedną kobietę najlepszym lekarstwem jest druga kobieta. A na dwie — co jest?

### *crescendo*

Wreszcie przed Domem Zdrojowym idzie młodziutka czarna. Nawet mnie zauważyła. Trochę pulchna, ale bardzo kształtna — Venus II. W granatowych spodniach jak trzeba, w bordowej bluzeczce i obowiązkowy szeroki pas. Idzie trochę z przodu, ogląda pamiątki, ja za nią. Wraca. Ja też. Spotyka koleżanki. Siedzą. I ja opodal muszę siedzieć. Rozstają się. Idzie przez mostek, znika w barze mlecznym. Tokuję w koło.

– O, pan profesor też na spacerze — słyszę.

Tych z konferencji wcale na deptaku nie brakuje. Łatwo ich poznać. Są umundurowani tymi teczkami. Wielu już poderwało. To ci rutyniarze, już wiedzą, że trzeba rwać, co popadnie.



Krynica, na deptaku, tak samo od dziesięcioleci (stara fotografia).

Moja Venus II już zjadła. Ruszamy. Znów w kierunku Domu Zdrojowego. Coraz szybciej. Nawet biegnie. Ja też zaczynam biec, aby nie stracić jej z oczu. W krytycznym momencie staje, całuje się z jakąś dziewczyną i jeszcze z jedną parą wolno podążają na Kraszewskiego. Tam kupują skrzynkę papryki i wracają. Ja pół kilo śliwek bośniackich i też za nimi. Ale teraz już z dala. Znikają w Domu Zdrojowym. Która godzina? Akurat dwie piękne długonogie młodziutkie dziewczyny mijając mię:

*forte* – Tak, trzecia... trzecia... W piździe se palcem pogrzeb, to nie będziesz musiała się mnie pytać, która godzina.

Swym monologiem sprawiła, że już nie muszę spoglądać na zegarek. Znużony przysiadam na ławce. W pewnym momencie idzie drugi znajomy. Czmycham. Jednak na trasie do Hawany włączę na pierwszego. Rozmawiamy obowiązkowo o Hawanie. On wczoraj był tam na kolacji, bo dopiero od dzisiaj ma wyżywienie. Ja też się afiszuję. I gdy żegnamy się, mija mnie Venus II. Me przeznaczenie. Staje jednak z babami oczekującymi na otwarcie sklepu i w pewnej chwili wpada do sklepu obok. To kwaciarnia. Patrzcie! Jest ekspedientką. Wejść by tak. Wybrać najpiękniejszy kwiat, albo jak Harry Dick, całe naręcze, i po zapłaceniu, ofiarować jej. Ale pewnie wstawiłaby znów je do konwi z wodą, a pieniądze by wycofała z kasy.

### *decrescendo*

Już jestem na deptaku. Wstępuję do restauracji. Pustawo. Szukam w karcie czegoś specjalnego. Bitki z polędwicy. To coś dla mnie. Obowiązkowo bez zupy. Krynica będzie w dobrym tonie. Jak nasza suka Flossi wylizuję talerz. Dwa złote napiwku. Teraz do domu. Śpię. Wstaję. Zjadam śliwki, robię drugie golenie, nowa koszula, ten sam garnitur i przed piątą jestem znów na trasie. Rezultaty coraz gorsze. Już wielu rozpoznaję. Zapewne i mnie rozpoznają. Ale ani możliwości, ani szans. Do kina nie pójdę. Wstępuję jednak do księgarni. Ale nie mam przy sobie spisu książek wydawanych w oprawie z żółtego lub bordowego polkorfamu (zamiennik skóry naturalnej używany do wyrobu wierzchów obuwia), które wyłącznie ostatnio kupuję. Więc wychodzę z niczym. Żona mi nawet kiedyś radziła, abym przeczytał po prostu te książki, to będę wiedział, które już mam. A tak to muszę chodzić z kartką. I znów Hawana. Miejsc już nie ma. Na trasę. Księgarnia już zamknięta. Ćwierć kilo kiełbasy i te śliwki to kolacja. Przed ósmą już śpię. Bo co tu robić. Za to w nocy o drugiej z minutami budzę się i rozmyślam o życiu. Staram się być pedantyczny i dokładnie porządkuję rozdrapywanie zadanych mi — przez wsze czasy i przez wszystkich ludzi — ran. Takie pieskie życie. Usypiam nad ranem. Budzę się. Nawet natrysk nic nie pomaga. Nóg nie czuję. Niepostrzeżenie skończył się drugi dzień konferencji.

\*



Krynica.

*kadencja**con affettuoso*

Dziś będzie znów nowy przewodniczący i jego nowi dwaj zastępcy i nawet sekretarze też. Tym razem panie. Jednak nie pójdę. Dziś spędzę czas pożytecznie. Idę w dół. Stara chałupa drewniana, bez okien, bez poszycia ścian. Taką by kupić, a wyremontować.

Z bocznej ulicy wychodzą dwie dziewczyny. Ta z prawej, co za śliczności. Jaka opalona. Pryskają plany. Wlokę się za nimi. Na szczęście znikają w domu wycieczkowym.

Reperuję swe zbożne postanowienia. Idę, skręcam, ulica Źródlana 1. Pod blachą i dechami czuje się jeszcze śliczną chatę góralską. Obok prostopadle stodoła. Mam blok przy sobie, ale nie rysuję. Obchodzę w koło dworzec kolejowy. Ulica Słoneczna, Waryńskiego. Jak w Szopienicach. Czarno, pył, jakby przy kopalni. Pełno chwastów. Troszeczkę wygląd poprawiają dwa sanatoria kolejowe. Jak trzeba — tuż przy kolei. To nowe skromne. To stare z pięknie zachowanymi tynkami szlachtetnymi i dobrą przedwojenną stolarką. Tylko te styki. Gdyby tak u nas wszystkich sąsiadów opodatkować i za to, koniecznie z dobrym gustem, uporządkować te styki — jakże byłoby pięknie. A tak to ta mozaika urbanistyczna czeka na te czasy, gdy może staną się modne chwasty i artystyczna przypadkowość zaniedbania. Wszystko być może. Za to nad dworcem piętrzy się i pnie cała góra betonowych bloków mieszkalnych. Zniszczyły piękne zbocze góry. Identyczne, według tego samego projektu typowego, jak w każdym naszym mieście. Cholera! — Gdyby tak ta XVII konferencja odbywała się tutaj w tych blokach — ciekawe czy by zauważyli cokolwiek.

*decrecendo*

Przy krzyżówce od strony kolei, na deptaku (Aleja inżyniera Nowotarskiego) najpierw zadbane domek — klasycyzm dwudziestego wieku. Można by tu coś takiego wsadzić, aby ludziska wchodzili i wychodzili, żeby ich było widać w każdym oknie. Tymczasem głucho zamknięte. Szukam na planie miasta, co by to być mogło — łazienki borowinowe.



Krynica, łazienki borowinowe (foto I. Dańko).

Jeszcze smutniejszy sąsiad — w stylu może Lanciego, z pięknymi wieżyczkami, na które jeszcze dziś bez trudu mogłyby wrócić zegary. Jakaż by tu była wspaniała pijalnia wód. Trochę farby, trochę dobrej woli i wyobraźni. A co plan miasta na to? Łazienki Mineralne Stare.



Stare Łazienki Mineralne z 1866 roku. A w 2000 roku jednak zegar wrócił.

Stary dom zdrojowy — Pijalnia Mieczysława — już nią nie jest, ale jeszcze może być.



Krynica, stary dom zdrojowy – Pijalnia Mieczysława.

*vivace*

Nowy — nawet nie nosi tej nazwy — to hala dworca — Warszawa Wschodnia — nic nie pomoże pięknie rekonstruowane w niej przez znakomitego zieleniarza zbocze góry. Ludzie! — Gdzie my jesteśmy!?



Krynica, muszla koncertowa i pijalnia główna.

... I tylko plakaty — AUTORODEO po cztery dychy od ryła... Szybko zapominam jednak o ohydzie piętrzącej się nade mną i oglądam niemal każdy listek wspaniale dobranych roślin, które tak godnie spełniają swe posłannictwo, aby rosnąć na północnym stromym zboczu i pod tym przytłaczającym dachem.



Pod przytłaczającym dachem.

*dolce*

Dalej muszla koncertowa. Nie grają już jak przed osiemnastu laty — „Na perskim rynku”. Moja ukochana była wówczas w Mochnacze na koloniach i przyszedłszy do Krynicy, okrężną drogą jak kazała mama, żeby nie przez las, i słuchaliśmy, a ja zyskałem uznanie, a potem żonę, bo wiedziałem, że grają „Na perskim rynku”. Teraz ławki odwrócone od muszli koncertowej, ku słońcu. Bardziej funkcjonalnie. I już jest dobrze, znów... I nie razi następny dostojny gmach swą zamkniętością i ekskluzywnością.



Krynica, nowy dom zdrojowy, choć przedwojenny.

*staccato*

Przecież jest tam na parterze i sklep „Domu Książki” i sklep „d.E.Wedel” (cukierniczy), i Cepelia (Centrala Przemysłu Ludowego), i Orbis (monopolista turystyki i wypoczynku), i nawet clou programu ostatnich polskich lat — sklep Pevex’u — only dollars (monopolistyczne Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego, gdzie za dolary lub bony dolarowe można kupić szczyptę Zachodu). I ten sympatyczny dryblas z dużej grupy studentów tylko jeszcze zaznacza:

– Zakręcawujeta? To my jeszcze do Peweksa i potem was nandziem.

Tak. Wymyśliłem kiedyś przed laty taki sposób — nazwałem go — rzeźbienie w wyobraźni. Teraz się przyda.

Gdy w zeszłym roku malowałem swój pierwszy obraz, stale miałem trudności z zakupem odpowiednich farb. Tylko na legitymacje ZPAP (Związek Polskich Artystów Plastyków). Szczególnie biel cynkowa. Kupiłem więc kilo białej podkładówki olejnej, postawiłem odkrytą na szafie, codziennie przemieszałem i już po dwóch miesiącach jej gęstość była znośna. Nie trzeba przecież, aby było za dużo pacykarzy. Teraz, gdy będę malował obraz, to zatytułuję go — „z farb, jakie może kupić zwykły śmiertelnik”. Będzie wprawdzie protestem, ale posłuży tylko może za ściankę klatki dla królików.

I tu również wróciłem do dawnego sposobu rzeźbienia w wyobraźni. Całkiem rzeczywisty obraz, bądź nawet rzeźbę opisuje się długo, namiętnie, aż już czytający widzi, czuje ją w wyobraźni. Jeszcze tylko trzeba, aby temat był taki, którego nie dałoby się w rzeczywistości wykonać. Więc tylko opis jest ideałem.

Opus pierwsze:

Wyobraźmy sobie linię falistą. Grubość tej linii wypełnia następna krzywa falista, a tej znów grubość linii wypełnia następna krzywa falista — i tak dalej — dokąd tylko wyobraźnia sięgnie. Koniecznie trzeba ten proces i w drugą stronę rozważyć — główne wielkie fale nie leżą

na prostej. Nie. One też w położeniu swych wierzchołków mają zarodek fali, a w tym zarodku musi być następny zarodek, a i ten nie jest czysty, gdyż sumuje wszystkie następne w górę.

Opus drugie:

Weźmy zwykły wachlarz rowerowy, już stary, ale jeszcze z czarnym lakierem i z niegdyś złotymi paseczkami. Pożądana byłaby ponadto naklejka firmowa. I ten stalowy niewątpliwie wachlarz winien kończyć się okazałych rozmiarów główką lwia z brązu. Musi to być wykonane z jednego kawałka (to nic, że główka z brązu a wachlarz ze stali) — musi być tak jak z tym szczupakiem z jednej strony marynowanym a z drugiej strony gotowanym. Musi być zachowane absolutne przejście z jednej formy do drugiej. Problem więc, czy najpierw wyrzeźbić główkę lwa, a potem walcować wachlarz, czy też najpierw zrobić zbyt długi wachlarz, a potem tę za długą część przekuć na główkę lwa.

Opus trzecie (najdawniej wymyślone):

Jest obraz — nie? Ale ten obraz ożywa jednorazowo na swym wernisażu. Wysoko postawionej osobie — zaszczycającej wernisaż, gdy się zatrzyma przed tym obrazem, wyłamuję część środkową obrazu, która się tam ledwo trzymała. Teraz obraz ma głębię, a ja tę część po prostu wręczam wysoko postawionej osobie i jest happening. Osoba, w ciszy absolutnej, która to cisza zapewne zapadnie, musi się jakoś zachować. Żadne przykładanie odłączonej części nic tu nie pomoże. Już się nie przyczepi do obrazu. Wyszła stamtąd, a zupełnie tam teraz nie pasuje i niczym jej nie zahaczysz. Gdyby choć był łańcuch między obrazem a wyjętą częścią, to mogłaby sobie teraz zacząć zwisać. A tak, co zrobisz? Na podłodze nie położysz, bo głupio, do domu nie zabierzesz, bo jesteś na tyle ukulturalniony, że czujesz, że jest to nieodłączna część tamtego dzieła. One oddzielnie nie mają sensu. Zresztą po co ci takie coś w domu? Ubaw — nie?

Opus czwarte:

Jest taka rzeźba. Cud techniki na obwodach scalonych i półprzewodnikach. Wykorzystano do jej skonstruowania niezbadane tajniki wiedzy ludzkiej. Teraz stoi. Przez duży płaski blok metalu ustawiony pionowo przenikają gęsto, regularnie, ułożone w szachownicę obok siebie pręty o przekroju gdzieś 4 x 4cm, najlepiej z barwionego aluminium, najlepiej o bokach zaokrąglonych. Te pręty nie dotykają się wzajemnie; nie dotykają też niczego przechodząc przez blok. Magnetyzm! — powiedzmy. Tworzą regularny sześcian jako całość kompozycji. Gdy który pręt naciśniesz z góry jak klawisz — ani drgnie, ale gdy naciśniesz w kierunku poziomym, to łatwo się przesuwają, płynię... puszczamy, wraca jak amortyzator samochodu do pierwotnego położenia. Tylko dwa takie pręty swe optymalne położenie mają o kilka centymetrów głębiej niż pozostałe. Psują cały układ. Możesz je wciskać, ile dusza zapagnie, a one wracają na swe tak nieidealne położenie. I tylko czasami, całkiem nie wiadomo kiedy, to jeden, to drugi zostanie tak jak trzeba, ale natychmiast drugi wysuwa się dwukrotnie dalej (bądź chowa — jak jego wola).

Opus piąte z dwoma happening'ami w happening'u:

Za strumykiem, w Krynicy, naprzeciwko Peweksu stoją staruszki. Prześliczne. — Tylko fotografować, a malować. W każdym uzdrowisku czy miejscowości wypoczynkowej byłby to najbardziej zadbane, najbardziej uroczy zakątek. Oświetlony. Gwarny. Każdy tam wchodzi, nawet gdy nie ma po co. Jest tłem do przyjemnych snów. Staruszki te, to Witoldówka, druga chyba „Pod Białą Różą” i jeszcze trzy bez widocznych nazw. (Tatrzańska, Ułan, trzeciej nie zidentyfikowałem).

Wszystkie majstersztyk cieśli i stolarzy. Mimo że dziś nadają się tylko do spalenia zapewne, to nadal buńczucznie demonstrują swe niepowtarzalne piękno.

A może by tak ci, co wyrąbali swe wspaniałe pałace jak na szklanej górze, na dwóch najpiękniejszych wzniesieniach po obu stronach Krynicy — może by tak zeszli na dół, zamieszkali by w tych staruszkach, uprzednio je wyremontowali... Zapewniam — och, jakże by im tam było dobrze. Nawet autorytet ważnych niewątpliwie instytucji by nie ucierpiał na tym. A te w górze — pałace o kształcie gmachów ministerstw — mogłyby sobie zostać. Może po latach — gdy porósłby na nich mech i świerki — to może znów byłyby góry w Krynicy.





Krynica, Witoldówka hotel – a jednak przetrwała!



Krynica – Willa Białej Róży (stara fotografia).

Teraz ten pierwszy happening w happening'u:

*affettuoso*

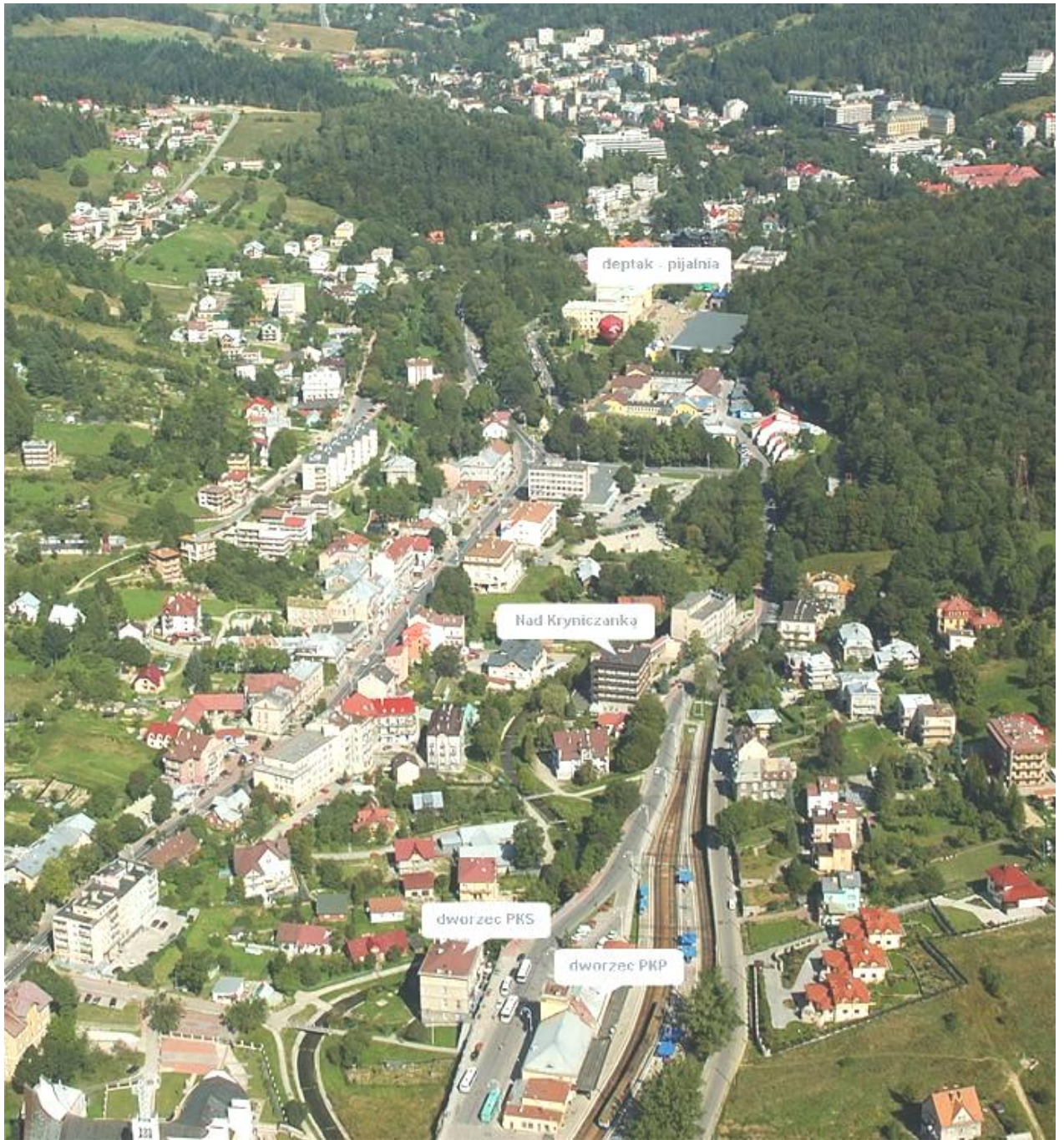
Dawna krynicka wieś wiała się wzdłuż strumienia. Szereg domów położonych było stosunkowo blisko strumienia. Również wzdłuż strumienia, a właściwie po strumieniu, choć pod jego prąd, jeździło się kiedyś furkami z innej wsi — Muszyny do Krynicy. Innej drogi nie było. Mijał czas. Krynica stawała się znana. Toteż stosunkowo wcześniej dawny trakt biegnący między chałupami musiał przenieść się na teren bardziej równy, pozwalający na wybudowanie szerszej drogi. Przypuszczam, że tak powstała ulica Kraszewskiego na odcinku od Źródlanej do obecnie noszącej nazwę Waryńskiego (po 2000 roku znów Ebersa). Później dotarła do Krynicy kolej. Przyszła ona z tego samego kierunku, tylko potoczyła się po drugiej stronie strumienia. Stacja spowodowała wybudowanie drugiej ulicy (Ebersa) dziś Waryńskiego.



Krynica, dworzec kolejowy (dawna fotografia).

I przez wiele dziesiątków lat życie tego fragmentu Krynicy tętniło wzdłuż tych ulic — Kraszewskiego i Waryńskiego (Ebersa). A w ich wrzecionowatym obrysie płynął nadal strumyk i nadal żyły stare zagrody góralskie.

Zalew nowego w Krynicy ominął je i poszedł dalej, a one zostały... jakby zabalsamowane otoczką ukształtowanego nowego. Przykurzone niesamowicie zapomnieniem i inwencją remontową kolejnych pokoleń gazdów — są nadal! Jeszcze mogą ożyć. Tak ciekawie wyglądają z góry spod dworca kolejowego, czy zza zabudowań ulicy Kraszewskiego, a tak wspaniale z odległości kilku metrów, gdy zejdziesz na dół do nich. Zadbajmy o tę pierwotną Krynice.



Krynica – po lewej ulica Kraszewskiego, po prawej ulica Ebersa – jednak znikła góralska dawna wieś, a szkoda.

Jeszcze ten drugi happening:

*crescendo*

Przez Krynice płynie potok, ocembrowany, wiele mostków. Przy każdym moście stawia się zwykle tablicę z nazwą rzeki płynącej dołem. Tu nic takiego — tylko czerwone litery głoszą, że zaśmiecanie surowo wzbronione. I tylko co paręnaście minut woda staje się mleczno-mętna, a potem znów kryształowo przezroczysta. To atrakcja dla bardziej wyrafinowanych obserwatorów. Może ta cała sławna Krynica kiedyś jego odarła z nazwy a potem z sensu? Nie wiem; w każdym razie dla mnie on jest Krynica i tylko on. Powinien kiedyś znów być Krynica.



Krynica i Kryniczanka



Nikifor

### *tremolando*

A gdy idę w kierunku Patrii — mijam murek, na którym osiemnaście lat temu siedział jeszcze Nikifor i malował. A ja dyrdymałki miałem w głowie, choć z Przekroju już wiedziałem, kto to jest. Gdybym to ja wówczas wiedział, czym to wiatr szasta po murku. Wystarczyło parę zet i wszystkie malunki byłyby moje, a teraz nie miałbym problemów ze splatą Fiata.

Z pozytywów Krynicy to jeszcze Góra Parkowa.

Tyle, że znów wyważyłem otwarte drzwi. Wymyśliłem rzeźbienie w wyobraźni. Nihil novi sub sole. Proces ten już od dawna ma swą nazwę i to bardziej prawidłową — marzenie. Czasem tylko pogrążone przymiotnikiem — senne.

Dobre to pisanie. Nie tak jak w rzeźbie — raz odejmiesz i nie wróci. Nie tak jak w malarstwie, gdzie trzeba w ramach się zmieścić. A tu — można dodawać i dodawać — snuć opowieści jak moja Matka.

### *accelerando*

Na przystanku kolejki kupuję bilet. Już wiem, że gdybym kupował w sezonie, to zapłaciłbym tyle, a teraz o tyle mniej. Najważniejsze, że do góry kosztuje cztery złote, a w obie strony pięć. Ludzie do góry wjadą, a z góry lecą. Tymczasem dwa wagoniki zaczeplone na wspólnej linii są nierówno obciążone. Ten do góry pełny, a ten na dół pusty. Więc trzeba zwiększonej energii, więc warto zachęcać do zjeżdżania i w dół.



Krynica – kolejka na Górę Parkową.

Przedemną kupuje bilet dziewczę młode, niewysokie a zgrabne. Czarne kręcone obfite włosy. Pierś jak trzeba, czerwony sweterek, niebieskie dzinsy, szeroki pas. Przez plecy chlebak z widocznymi dwoma kapslami Pepsi. Venus III. Turystka. W wagoniku staję oczywiście obok.

Potem nawet musimy stać przodem do siebie, acz z należnym dystansem — między nami musi siedzieć dziewczynka (siedzieć na stołku motorniczego). Zaglądam swej Venus III głęboko w oczy. Wodzę wyobraźnią palców po jędrnych wargach i po reszcie. Jej wzrok też jakby trochę zmętniał. A może tylko wydaje mi się?

Na górze ona idzie do kawiarni, ja ze znuwaniem kręcę się wokół stacyjki. A przede wszystkim to powietrze, i drzewa, i słońce; a gdy pójść dalej troszeczkę, to ukazuje się wielka polana. Tu są te poszukiwane wczoraj na trasie — wszystkie. Jak to ktoś mówił kiedyś — hektary dup leżące odłogiem.

*presto*

Moja Venus III wreszcie wychodzi. Kieruje się tam, gdzie żółto-niebieski szlak. Ja oczywiście za nią. Po chwili zostawiamy innych w tyle i tylko my dwoje. Ona już wie, że za nią idę, ale może niezupełnie, bo kluczy z lekka po różnych wariantach ścieżek. Mnie się wydaje, że nic mi więcej nie trzeba. Ona te dwadzieścia parę metrów przede mną, a wokół drzewa i ta świadomość.



Na Górze Parkowej.

*prestissimo*

Ona coraz przyśpiesza. Szlaki się rozdzielają. Idziemy żółtym. Wertepy coraz lepsze i błoto, i korzenie a wykroty, i powalone drzewa — wszystko jak w najlepszych Tatrach. I tylko ona śmiga coraz szybciej, a ja coraz donośniej stąпам. Oboje mamy godną siebie krzepę. Wreszcie pozwalam jej zwiększyć dystans, bo może się boi. Wypadamy, najpierw ona potem ja, na szosę. Gdy dochodzę, Venus III znika bez śladu. Wracam ścieżką po brukowcu. Obok po wertepach wspinają się, tak jak ja przed chwilą, prawdziwi turyści z wielkimi plecakami. I obok po asfalcie mkną w samochodach również prawdziwi turyści.

### *rallentando*

Ledwo żywy wracam na polanę. Nie było mnie wszystkiego pół godziny, a tyle przeżyć. Inni mają koce, leżanki, ja zwalam się na ławkę. Ściągam, to co mogę i zaczynam regularne opalanie, jak na rożnie, kolejny obrót co piętnaście minut. Tylko ktoś utyskuje, że sam zajął całą ławkę. A ja nic, wolno wracam do siebie. W południe już mi nikt nie zazdrości. Ludzi coraz mniej. Najpierw odeszli ci najbardziej głodni. W domach wczasowych obiad. A w dali jakaś piękność na leżaku. Szczegółów nie rozróżniam, tylko kilku samców w koło. Ona przebiera uniesionymi do góry nogami, ślicznie to robi — Venus IV.

Trzeba się przybliżyć. Idę szukać, skąd ludzie pożyczają leżaki. Zostawiam prawo jazdy, trzy złote i już z leżakiem przypadkowo znalazłem się koło niej. Asystowałem niestety tylko przy odwrocie. Wstała, uśmiechnęła się do panów w koło. Temu najbliższemu pozwoliła nieść swój leżak; temu najbezcenzuralniejszemu a urodziwemu posłała promienny uśmiech i już jej nie było. A dwaj wybrańcy przedstawili się sobie i poszli razem za nią uczenie gestykułując.

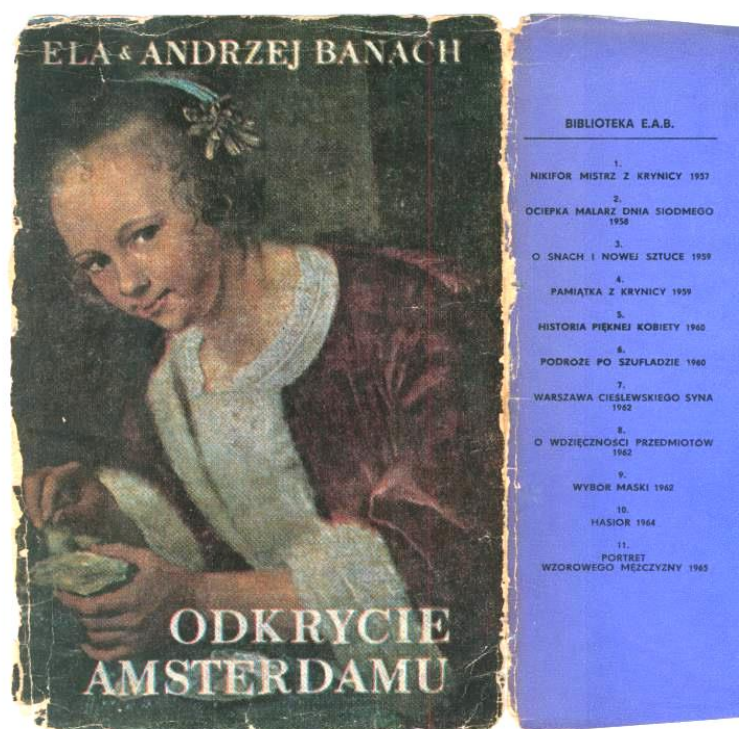
Obok siedzieli ci umundurowani teczkami z konferencji:

- A ten stary aż pozieleniał, a ja dokładałem — a masz profesorku.
- Aż miło było patrzeć, jak pękał ten autorytet.
- Przyznasz, że moje obliczenia były uczciwe.

Zwracam leżak. Idę na piętro stacji do restauracji. Nie obejrzałem kelnerki wpieryw i siadłem tyłem. A ta ci śliczności ty moje. Wstyd się przesiąść, więc dla tej Venus V demonstruję swój szyk. Pilnie studiuję kartę potraw. Wybieram szaszłyk i kryniczankę. Potem studiuję z namaszczeniem program konferencji i podkreślam flamastrem jakieś zdanie, gdy podsuwa mi się pod nos szaszłyk — marzenie. Sam jeden na talerzu, nie licząc łyżki ryżu w papryce, a jeszcze wystaje po bokach. Po mnie też widać, że nie pierwszy to szaszłyk w moim życiu. Czterdzieści pięć zet i pięć napiwku. Zjeżdżam w dół, ale jutro to tu przyjdę.

### *moderato*

Kursuję znów po trasie. Może trochę bardziej kulturalnie. Szukam jakichś imprez artystycznych. Niestety. Tylko autorodeo. Kupuję na jutro majtki kąpielowe. Jakoś żonie wytłumaczę, a nogi też opalę. Potem w księgarni długo wybieram i wybieram. Nie mogę zdecydować się między „Podróżami zagranicznymi do szkół” a „Odkryciem Amsterdamu” Eli i Andrzeja Banachów. Jedno w nakładzie tylko 5000 egzemplarzy, czyli godne uwagi; ale drugie droższe — musi co lepsze. Tak zaprzyjaźniam się z Banachami. Ale to w nocy. Teraz dalej na trasę.



Mijam jakąś na deptaku — jakby Venus I. Analizuję dokładnie. Tamta jakby miała nogi lepsze. Dalej na trasie w pomarańczowej sukni, z lodem — nie śpiesząc się snuje się po mieście — moja Venus VI. Idziemy, tym razem długo pod górę ulicą Kościelną, tym razem z nową techniką — to ja idę pierwszy, a ona jakby za mną. Tylko na rozstajach zatrzymuję się, aby nie zrobiła mię w konia. Wspaniała pogoda. Tak dochodzimy do przedszkola przy ulicy Świdzińskiego. Ona zabiera synka i równie wolno schodzimy na skrzyżowanie. Zostaje przy przystanku w oczekiwaniu na autobus, a mnie cóż zostaje? Dalej na trasę.

Dopiero po przejściu na drugą stronę ulicy zdaję sobie sprawę z tego, że za mną szło чудо. Ta ławica blond włosów. Venus VII — blond. Podążam za nią, wyprzedzam — przód jeszcze lepszy. I cera, i oczy, i wyraz twarzy, a najpiękniejsze piersi pod gustowną bluzeczką. Dopada ją jednak jakaś druga:

– Wreszcie cię odszukałam. Nawet do twoich rodziców dzwoniłam, jak się dowiedziałam, że tu jesteś.



Krynica – Patria na starej fotografii.

### *appassionato*

Teraz razem wchodzą do Patrii, a ja zostaję z nadzieją, że wrócą. Stoję, a panie z leżaków z pobliskiego sanatorium jakby o mnie mówią. Moja Venus VII wychodzi z koleżanką z Patrii — rzeczy zostawiły. Idziemy. Skręcają w lewo. Sanatorium Wojskowe. Zakaz wjazdu. Może i wejść mi nie wolno? Ale inni wchodzą. Podążam, doganiam. To tylko skrót do deptaku. Spotykam drugiego znajomego. Ją całuję w rękę. Półgębkiem przedstawia mi więc: — Znajoma.

I znów na trasie. Przy moich już jakiś dryblas, ale tak jakby do tej drugiej. Razem zmiierzają do restauracji, gdzie wczoraj jadłem bitki z polędwicy. Zamknięte chyba, bo kierują się do sąsiedniego baru mlecznego. Venus VII wbija pomidorową i leniwe pierogi, a ja rozpamiętuję na ławce:

Takie włosy jedne tylko w życiu widziałem. Nie może być drugich. Podobno poszła na aktorkę do Krakowa. A jeśli to ona? Tyle lat. Pamiętam, że nawet biskup miał mówić — „nasz polski lenek” — patrząc na jej włosy. I Patria by się u aktorki tłumaczyła. Zapytałbym tylko o imię, a oznaką poznania byłby niechybny powrót na jej twarz wyrazu graniczącego z furią oburzenia. Nawet po tylu latach nie mogła zapomnieć. I nawet teraz przeprosiny byłyby nietaktem, a wybaczenie przedwczesne. Rozstajemy się pod Peweksem, gdy ona wchodzi do środka.



Ale na deptaku jest Venus I. Szelmowsko uśmiecha się do mnie. Poznaję wreszcie. Prowadzi równie ładną dziewczynkę. Zapewne też z tego przedszkola.

Ze sklepu spożywczego wychodzi Venus VIII. Podążam za nią na przystanek autobusowy mieszczący się za Spółdzielczym Domem Handlowym „Perła” przy ulicy Generała Świerczewskiego (dziś Piłsudskiego).



Krynica, Dom Handlowy PERŁA – nadal istnieje!

### *rubato*

Autobus nie przyjeżdża, jedni odchodzą, inni wsiadają do zajeżdżających Nysek (oczywiście państwowych — fucha). Ona i ja zostajemy. Wreszcie decydujemy się iść. Idziemy przepiślowo szybko, ja po jednej stronie ulicy, ona po drugiej. Dopadamy drugiego przystanku autobusowego położonego przy ulicy Kraszewskiego. Tam jej znajomy. Finito.

Wracam do domu. Natrysk. Wskakuję w czarny strój. Nie golę się po południu — i na trasę. I tylko późno w nocy, gdy wracam, spotykam obdartego włóczęgę krynickiego — całkiem jak z obrazu Gersona. Już się sobie przypatrzyliśmy wiele razy. Można powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy. Mamy coś wspólnego w sobie. Teraz smętnie uśmiechamy się do siebie i tylko on zaznacza sentencjonalnie:

– Trzeba było sobie chuja drzwiami przytrząść, to by cię tak nie nosiło.

Co racja, to racja. Tak więc żono będziesz miała najwierniejszego męża. Ma zbyt wygórowane oczekiwania.

I obrączkę z portfela wyjmuję i zakładam na palec. Długo w noc Banachy. Da się to czytać. Tylko brak mapy, żeby wiedzieć, gdzie ten Amsterdam. Piszą o Krynicy z utęsknieniem — patrzcie! Robili wiele wystaw Nikifora na świecie. Mówią o naszych Nikiforach, to znaczy ich. Nawet podobno dwa najokazalsze podarowali Sandbergowi. A Sandberg powiedział, że z muzeum trzeba wyrzucić wszystko, co robi z niego muzeum.



#### NIKIFOR

A może by tak przykuć te pozostałe Nikifory po całej Krynicy, żeby to moje i innych łażenie miało sens? Żeby się chodziło jak po Kalwarii Zebrzydowskiej i składało hołd temu absurdalnemu przypadkowi; a nawet tej niewybaczalnej pomyłce bez legitymacji ZPAP (Związek Polskich Artystów Plastyków).

Tak skończył się mój trzeci dzień obrad.

\*

*scherzo**brillante*

W sobotę od rana kombinuję, że należałoby wracać do domu, do żony, do dzieci. Kombinuję też, że nie warto tracić opłaconego noclegu z soboty na niedzielę. Więc wyjazd w niedzielę rano. Kto by to wyjeżdżał w niedzielę rano z Krynicy. Biletów na autobus już jednak nie ma. Na pociągi — mogą być, ale na ekspres. Mogę je tylko kupić na stacji i to tylko do dziesiątej. Brakuje piętnaście minut. Pani z Orbisu, która mi radzi, twierdzi, że ona tę trasę robi w siedem minut. Samolot też by można. Musi jednak dzwonić do Krakowa, a odpowiedź będzie w południe, a ja miałem na Górę Parkową, już nawet jestem w kupionych majtkach pod spodem. A czy autobus będzie wolny i czy dojedzie tak, by zdążyć na samolot w Krakowie, to wie tylko ta druga pani obok, a tam wielka kolejka. Kombinuję, że zamiast przepłacać samolot, to pojedę któregoś dnia autobusem po prostu, a zaoszczędzone pieniądze wpłacę za pokój na dalsze dni.

Głównie kupują panowie z konferencji. W różnych wariantach. Ten i ów urywa się na sobotę i niedzielę. Tamten znów jedzie do Krakowa, lecz wróci na zamknięcie obrad. Pan przede mną (jasne, że z konferencji) streszcza: — Krynica słynie z dobrego powietrza i z wielkiego bałaganu. Organizacja konferencji tylko to potwierdza (według niego). Wychodzi na chwilę przed Orbis. Z gracją wróbelka podbiega doń pani, rozmawiają. Po chwili okazuje się, że to jadąca po deptaku wielka ciężarówka dostawcza tak ją przepędziła i spowodowała ten ptasi trucht. Wracają do kolejki. Jeszcze coś ona mówi, że może jutro mąż przyjedzie, a on że nie lubi się narzucać, a ona też się nie lubi narzucać — okazuje się. Zgodnie kupują i wychodzą. Ja też mam, ale na poniedziałek.

Jakby tak o ósmej rano w poniedziałek pójść do recepcji, to zgodnie z regulaminem obrad — „Delegacje będą do odebrania w recepcji nie wcześniej niż w dniu poprzedzającym wyjazd, co będzie podstawą do stwierdzenia odpowiedniego okresu pobytu na konferencji” — koniec cytatu. Czyli musieliby wpisać wtorek, a ja mógłbym w pracy mówić, że wyjechałem wprawdzie we wtorek, ale na noc, więc w pracy stawiałbym się dopiero w czwartek. We wtorek i środę naprawiałbym Fiata.

W recepcji stwierdzam jednak, że wyjeżdżam w poniedziałek i gdyby tak dziś zechciała pani wydać delegację, a z datą choć poniedziałkową.

– A pan to jest tak zupełnie prywatnie?

– No, nie tak zupełnie prywatnie, jestem na konferencji.

– Więc pana mam w teczce z czerwoną pięcioramienną gwiazdką. O, proszę.

Po drodze na Górę Parkową spotykam trzeciego znajomego. Jakoś schodzimy na samochody. On mówi:

– Nie przejmuj się, stary. Żebyś ty wiedział, jak moja rozbiła samochód. Skutek taki jak u ciebie. Jechaliśmy przez wieś, a tam, jak to w niedzielę, grupki facetów łypią okiem na nas po byczemu, ale nie mają zamiaru zejść z drogi. Ja mówię — hamuj, a moja zamiast na hamulec, to na gaz i po tych facetach, facety plackiem w błoto, a moja po tym błocie za nimi. Od góry też ich upaprała. Więc mówię — teraz głupia nie stawaj przypadkiem, bo jak nas dopadną... a ona w drzewo. Jakoś się wyklepało, a ona się zarzekła, że nie wsiądzie więcej. Twoja też nie. Będziesz miał spokój.



Krynica – na Górze Parkowej.

*brillante*

Rozstajemy się. Wjeżdżam na Górę Parkową. Szybko po leżaczek. Przede mną trzy sztuki. Jedna z nich to będzie Venus IX. Eloquentnie zaznaczam do pana:

– Poproszę leżaczek bez kocyka, za to z prawem jazdy.

Już sunę za tymi, gdzie jest Venus IX. Rozkładają się na polanie, ja nieco dalej i nieco wyżej. W konsekwencji mam je na widoku po lewej stronie, a po prawej jakieś dwie. Chyba to te, za którymi szedłem wieczorem. Teraz wyglądają bardziej ponętnie.

Demonstracyjnie czytam Banachów. Bardzo ciekawe. Nawet nie muszę udawać zainteresowania. Koło mnie jednak wiele się dzieje. I te piersi coraz bardziej wystawione na słońce. A obok grupy z Venus IX akcja panów z konferencji. Przychodzi jeden. Nawet się certuje, ale leżak stawia dostatecznie blisko. Za chwilę drugi stawia swój leżak obok pierwszego pana, ale od strony pani. Po czym przychodzi trzeci i już może leżeć leżak w leżak z tą panią. Nawijają z rutyną:

– Wiesz, profesor wczoraj pytał: — Czy ja panów widziałem na obradach? — Oczywiście. — A czy Andrzejek też był? — Nie, mnie nie było. — A właśnie! — zatryumfował mój pryncypał.

Tymczasem zjawia się Venus IV. Że też nie pomyślałem o tym, a ona sunie prosto w to samiotkie miejsce co wczoraj.

Gdybym... Teraz już nic nie poradzę. Panowie z konferencji też nastavili barometry i patrzalki. Ten wczorajszy beczelny acz urodziwy już jest przy niej. Dwóch stoi z przodu i patrzą. Oni tam byli wcześniej. Ten z konferencji już całuje w rączkę i snuje. A tu drugi już wciąga spodnie — nie żeby kulturalniej, ale bez tych szalowych spodni w grube kolorowe pasy wiele zapewne traci w swej wyobraźni o sobie. I już jest przy Venus IV. Jeszcze ten pierwszy:

– Ja wcale nie znam tego pana. Nie. Skądże.

On już się sam przedstawił, już całuje w rączkę. Pani się uśmiecha, żywo reaguje, jest gościnna. Panowie przykucnęli jak to w tym góralskim dowcipie: „Oświadczając się, po to chłopak kłęka przed wybranką, żeby był na poziomie i żeby wiedział, czym to pachnie”.

Ale tu moi dwaj panowie nagle, obaj, jak na komendę, wstali i pokornie wracają zjednoczeni tajemnicą tego, co zapewne usłyszeli. Królestwo za te magiczne słowa Venus IV, a może tylko opowiedziała im bajkę o nosie? (Odpierdol no się). I to ma być słaba płeć, a dwóch takich dorodnych samców zjeżdża jak zmyci.

Nieopodał swawolą staruszkowie. Stamtąd słyhać:

– Gdybyście tak mieli żonki przy sobie, to leżelibyście teraz spokojnie jak ten mój.

Mają oni swoje sposoby. Z euforycznym śmiechem słuchają dowcipu — co to jest, co jednej poradzi, a dwóm nie poradzi? Musi dowcip z początku dwudziestego wieku. Starcy po prostu zamiast leżeć, to chodzą po polanie napawając się po kolei każdą. Inny peroruje do swej partnerki:

– Niechże pani kupi jakikolwiek kostium, byle co, aby mi tylko więcej pokazać. Jest pani taka apetyczna. A może pójdziemy zobaczyć tę tam chatę w lesie?

Idą.

A jakaś starszeczka za mną konkluduje:

– Starcy — jak dzieci... A dzieci... jak starcy...

### *con fuoco*

Tymczasem moje z Venus IX parskałą z radości, a panowie z konferencji rżą ze szczęścia. Sypią dowcipami dla całej polany:

– Złowił raz gość wielkiego szczupaka. Zaczął go mierzyć i okazało się, że od głowy do ogona miał dwa metry, a od ogona do głowy tylko metr siedemdziesiąt. Z żoną nie wymyślili, jak to może być. Milicja odesłała ich do Polskiej Akademii Nauk, a tam po długich medytacjach powiedzieli, że wprawdzie nie wiedzą, o co tu chodzi, ale nauka zna już takie przypadki, bo od wtorku do czwartku są tylko dwa dni, a od czwartku do wtorku aż pięć.

Ja bym wam opowiedział dowcip o żabie, to byście pospadali, choć nie macie z czego. Pojeść do nich jednak nie wypada. Krzyczeć nie będę, więc powtarzam sobie w myślach:

– Przychodzi gość do lekarza i ma na głowie żabę. Lekarz wielce zdziwiony pyta: — O, co się to stało? — Na to ta żaba: — A nic, tylko coś mi się do dupy przykleiło.

### *forte*

I zaczynam się śmiać, a panowie z konferencji obserwują z zaciekawieniem tego, który ma tak spóźniony refleks, że dopiero teraz pojął ich dowcip, ale że śmieję się sążnście, więc mi puszczają w niepamięć to niedociągnięcie i nawijają:

– Kupiłbym ten domek, ale nie mogę, bo dzieci punkty tracą na studia.

– Punkty też można kupić.

– Najlepiej zatrudnij się jako operator żurawia na budowie. Swoje dwanaście i tak załapiesz, a dzieci dostaną się na studia.

– Nie mogę, bo wyobraźcie sobie, że biegnie majster i woła: — panie kierowniku, chodź pan, co się dzieje, jak pragnę Boga, dyrektor zjednoczenia do nas dziś na żurawiu przyjechał.

– Nie musisz przecież na swoich budowach się zatrudnić.

—

### *meno forte*

Ja dzięki Banachom odkrywam prawdziwą Goudę i prawdziwy Haarlem.



Haarlem

Moja Venus IX już odchodzi z koleżankami. Panowie z konferencji orzekają, że po rozebraniu się wiele straciły. Czytam coraz bardziej pochłonięty i nie spostrzegam, jak znikają moje z prawej, a nawet panowie z konferencji. A tak niedawno opowiadali z radością o Grzegorzku, który wczoraj sam poszedł na Jaworzynę. — Zwariował. — Trzeba go ratować. — Orzekli.

*pianissimo*

Jest coraz puściej na polanie i puściej, i zostajemy tylko my z Venus IV. Jest tak przyjemnie we wrześniu w górach. Wreszcie i ona odchodzi. I tylko dostojny bernardyn — pies fotografa — Cezar — z pełnią życia poszczekuje po swoich górach. On ożywa.



Ja wracam. Jest zupełnie pusto na Górze Parkowej. Kupuję po drodze pół kilo kielbasy, sześć dużych bułek góralskich i dwa kilo węgierki bośniackich. Uczta.

\*

## *nokturn quasi scherzo*

### *poco a poco rallentando*

Wprawdzie już na górze bolało mię gardło, ale biorę natrysk, wskakuję w wieczorowy strój i na trasę. Hawanę już znam. Zaglądam tam jednak. Nie ma szans. Koło kina Jaworzyna tablica: „Kawiarnia Cichy Kącik — zaprasza” i tylko tyle. Z drugiej strony tablicy też to samo. Ani chybi — miasto dla jasnowidzów. Piekiełko pod Patrią czynne. Konsumpcja 25 złotych, ale już pełno. W domu zdrojowym w Klubie TPPR bal. (TPPR — Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej). Wchodzę, konsumpcja 31 złotych. W kościach już mnie zaczyna łamać, mówię do kelnerki, że przydałoby się dobre wino, a ona wydymając wargi, ...że tu bezalkoholowy. Oferuje galaretkę, napój firmowy — wychodzę.



Krynica, Pijalnia Mieczysława – tu był Klub TPPR.

W jednej ze starszek ukryty pensjonat Orbisu, o którym przed stacją głosi wielka tablica, że pokoje do wynajęcia — ale też bez adresu. Widocznie adres był niepotrzebny, bo i tak sam znalazłem, a że dopiero po trzech dniach...

### *con amoroso*

Pod pensjonatem kawiarnia. Miłe wnętrza. Siadam przy wolnym stoliku. Mam dużo czasu. Z głośników płynie nastrojowa muzyka. Wiele ładnych dziewcząt i wiele piwa. Przy sąsiednim stoliku siedzi dwoje. Wcale nie można rzec, że para. Zupełnie nie pasują do siebie. Ona piękna, dojrzała kobieta, blondynka, szalenie ujmująca. Venus X. On krępy, nawet otyły, bez żadnej powierzchowności, twarz okrągła i czerwona, mało włosów, przystrzyżony wąsik. Myślę, kim taki ktoś może być — kierowca taksówki, rzeźnik — nic więcej mi nie pasuje. On zachowuje się swobodnie, widzę, że zna swoją wartość. Siedzi w nim coś takiego solidnego i w miarę obserwowania staje się to coraz bardziej sympatyczne.

Miałem iść na pocztę i zadzwonić do domu, ale ugrzęzłem w tej kawiarni. Zamawiam dużą kawę.

Ona w niekłamany sposób szczęśliwa. Żadne oszukaństwo mi do tej sytuacji nie pasuje. Było prawdziwą satysfakcją obserwować to, jak mu bez przerwy w oczy patrzyła. Jak jej oczy ściagały jego myśli, ile w tych oczach było szczęścia, ufności. A Irena Santor śpiewa: — „Zatrzymajcie samochody, zatrzymajcie tramwaje, to idzie miłość...” Warto wybrać się na głuszca, jeśli jeszcze jest on gdzieś w Polsce — warto choć otrzeć się o takie szczęście, o takie miłowanie w oczach.

Naprzeciwko siedzą dwie — blondynka jest śliczna. Długo ją obserwuję. Venus XI.

Wchodzi Venus IX z córeczką, siadają przy stoliku w gronie młodych. W rogu konferencja przelewa wiele butelek piwa.

Spostrzegam, że facet siedzący przy stoliku po drugiej stronie wgapia się w Venus XI. Przenoszę więc zainteresowanie na jego partnerkę. Ją to satysfakcjonuje najwyraźniej, bo facet spostrzega, że coś tu nie jest tak i już dalej całą swą uwagę jej poświęca. Ja jednak myślę, gdy wychodzą, że ona jeszcze wróci, sama. Przysiadają się do mnie jacyś państwo. Troje. Młodzi. Ona i ich dwóch. Mówią o Polnej, o Mokotowskiej, więc też z Warszawy. Raz po raz wracają do zupy grzybowej, która na nich czeka. Zamawiają trzy piwa i herbatę. Ja podwójny Budafok (węgierska brandy).



Kieliszek brandy

On coś opowiada o wypukłych paznokciach, które u niego lekarz wypatrył i stwierdził, że są objawem jakiejś choroby. Zamawiają jeszcze dwa piwa. Przy zwolnionym obok stoliku siada dwoje młodych — na pierwszy rzut oka widać, że górale. Przy nich siada dwoje starszych wczasowiczów. Nawiązuje się rozmowa. Starsi starają się im nie matkować, ale nie wychodzi im to.

Wchodzi Venus XII. Obrzuca powłóczystym spojrzeniem mojego sąsiada. Odtąd przez trzy godziny będę w nią patrzył.

Obok pani podkręca ucho swawolnej córeczce. Potem czule głaszcze kędziorki płaczącej główki wtulonej w jej kolana.

Z lubością podgrzewam w dłoniach swoją brandy, a moi sąsiedzi zamawiają jeszcze trzy piwa. We dwóch wypijają osiem butelek. Wreszcie płacą. Kelnerka liczy za sześć butelek, oni nie protestują i tylko ich pani jeszcze niżej spuszcza głowę.

Słyszałem kiedyś przez radio taką historię. Pewien profesor na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego zadał studentom do rozwiązania następujący problem. Gość w kawiarni zostawia pod serwetką napiwek dla kelnera. Kelner tego nie zauważa, a następny gość siadający przy stoliku, bez żadnych skrupułów zgarnia te pieniądze do kieszeni.



Studenci długo biedzili się. Opisanego faktu nie dało się podciągnąć pod żaden paragraf. Szukano więc wśród tradycyjnych norm etycznych. Też nic konkretnego. Profesor powiedział wreszcie: — Nie, proszę państwa, to jest zwyczajne chamstwo.

Odchodzącym Niemcom kelnerka już liczy butelkę piwa po 25 złotych, a moim poprzednim liczyła po 18.

Przysiadają się teraz do mnie nowi państwo. Wszyscy zamawiamy po herbacie. On niewiele opowiada. Ona całkowicie milczy.

– Wiesz, wszędzie taki tłok, bo to ci z konferencji królują.

Po chwili:

– Radzą teraz, co zrobić, aby się te domy nie waliły.

Cisza. Po długiej przerwie:

– Zawsze jeździsz windą do siebie?

Przerwa.

– To może nie jedź windą dzisiaj...

Dawno wypiliśmy. Kelnerka znikła od godziny. Rządzimy się sami. Coś jak w tym dowcipie sprzed lat:

Przychodzi gość do restauracji. Zamawia tylko piwo, ale otrzymuje wspaniały koniak. Protestuje, że nie ma pieniędzy. Kelner mówi, żeby się nie przejmował i za chwilę stawia jeszcze dobry obiad. Przychodzi wreszcie do płacenia:

– Ile płacę?

– Trzy złote.

– Więc tylko za piwo? Dlaczego?

– Widzisz pan tych dwoje gruchających od godziny przy stoliku pod ścianą?

– Widzę.

– Jak on pierdoli moją żonę, to ja pierdolę jego interes.

### *impromptu*

Moi współbiedniacy nie wytrzymują. Zostawiają dwanaście złotych na stoliku i zbierają się do wyjścia. Zjawia się jednak w tym momencie kelnerka. Wprawdzie nas nadal nie dostrzeżę, ale innym oświadcza, że już niczego nie będzie podawać — brakło. Przyrzekam moim, że zapłacę za ich herbatę. Wychodzą. Mój koniak tak jakby przestawał działać, bo pojawia się praktycyzm. Obserwuję kręcące się kelnerki. Konstatuję, że drzwi jest dwoje. Zapłacić trzeba około siedemdziesięciu złotych według mego skromnego rachunku. Jeśli pójdę w kierunku tamtych drzwi, to będzie wyglądało, iż nie doczekawszy się, poszedłem szukać kelnerki. Przy sąsiednich stolikach wyraźne poruszenie, część odeszła nawet. Za takie pieniądze to będą buciki dla córeczki.

I... wychodzę.

### *prestissimo*

Za drzwiami w lewo, potem w prawo. Tak zwany długi krok wojskowy, do krzyżówki, tu na deptak, trochę wolniej, nieopodal widzę znów moje miejsce biesiadowania. Może to bezczelność, podniecenie wzrasta, a co będzie, jeśli kelnerka wybrała ten kierunek pogoni, nie będę już wkładał tego garnituru, wreszcie mogę przecież bronić się, że też zostawiłem pieniądze na stoliku, a że ktoś zabrał...

Idę już normalnie, pustymi, cichymi ulicami. Kilkanaście metrów przed moją kwaterą w jednym szeregu stoi trójka: ona, chłopczyk, on. Milczą. Ładna, wiotka, młoda. Może jedna z tych dotychczasowych Venus. Dajmy jej jednak dla naukowej pedanterii swoją odrębność — Venus XIII.

### *con fuoco*

Gdy tylko zbliżam się do węgła ogrodzenia, ona zaczyna na cały głos, tak aby żaden mieszkaniec sąsiednich domów nie musiał nadstawiać ucha. Szybko czmycham za węgiel i gdy dola tuje mi jej tyrada, przystaję:

### *fortissimo*

– Ty chuju pierdolony! Ja cię kurwa mać nauczę żyć! Bierz dziecko, bo je uśmiercę! Ty chuju barani!

Bardzo szybko wchodzę do swojego pokoju, nie zapalam światła, wychodzę ostrożnie na balkon. Idą już poniżej. On trzyma dziecko za rękę, ona chyba też i przekonuje:

– Ja cię kurwa nauczę moresu. Tak cię pizdami poobstawiam, że rzygał będziesz ze szczęścia. Ciebie uszczęśliwiła szczeniakiem, to sobie go pilnuj! Ty chuju — dla takich zasrańców nie będę życia traciła!

–

### *piano*

Doskonale rozumiem sytuację. Znam ten język. Przed laty w domu akademickim tylko tak się rozmawiało.

Jestem wstrząśnięty. Myśli me szybko biegną, stoją na wysokości zadania. Zaraz podejść, wezmę chłopczyka za rękę, po przyprowadzeniu położę na sąsiednim tapczanie, niech ten dodatkowy tapczan przynajmniej tak wykorzystam, zawiozę do Warszawy, tylko trzeba będzie gdzieś na milicji zgłosić, bo nie zameldują, żonie jakoś wytłumaczę, jak ją znam — uwierzy, gorzej będzie z córkami, są już w tym wieku, że zaczną się tego i owego domyślać, ale perspektywa braciszka szybko je przekona, suka wyliże i na tym się dla niej ten problem skończy, jedynie znajomi nie uwierzą, ale niech tam, szkoda dziecka.

I patrzę rozmarzonym wzrokiem na to oddalające się dziecko tak szczelnie otoczone życiem dookoła i zastanawiam się — niemal myślę głośno:

– Tylko czemu ten mały skurwiel nie płacze? Psuje mi cały obraz.

Zaczynam rozumieć, że obaj jesteśmy pilnymi obserwatorami, on też ma już jakiś swój balkon, z którego może spokojnie patrzeć na wydarzenia. Mogę mu zazdrościć. W wiedzy o życiu jest ode mnie bogatszy o czterdzieści lat. Wracam do pokoju, zapalam światło i wolno zjadam kilo tych węgierek bośniackich. Rozrywam każdą, choć dotychczas żadnego robaka nie znalazłem. Taki już mój ceremoniał. Potem rozbieram się do naga i zanim wyjmę piżamę z szafy, rozglądam się za moją książką. W pościeli jej nie ma. Pod ubraniem też nie. Do szafy nie mam zwyczaju jej chować. Musiała wpaść za łóżko. Odsuwam więc troszeczkę łóżko. Wkładam rękę. Macam. Nie ma. Coś jednak wyciągam. Damskie majtki. Żółta koronkowa czwórka. Wącham. Nieużywane. A więc nie mężczyzna tu przede mną mieszkał. Mój praktycyzm długo działa, więc zbezczeszczone wkładam do torebki po śliwkach. Jutro wyrzucę do kosza gdzieś na mieście.

### *pianissimo*

Ela i Andrzej Banachowie napisali bardzo dobrą książkę. Myślę o „Odkryciu Amsterdamu”.

Dobiega końca mój czwarty dzień obrad. Jutro dzień przerwy w obradach. Lecz nim to nastąpi, jeszcze będzie cała noc, o której sam jeszcze nie wiem, jak będzie bardzo owocną dla mnie, a potem jeszcze dzień i noc pracy — pisanie powyższego.

\*

4 listopada 1975 roku

### *coda*

### *bel canto*

Lekarka ostatnio stwierdziła, że widzi poprawę w ciśnieniu, a i elektrokardiogram tak jakby lepszy. Widzę, — pochwaliła — że pilnie stosował się pan do moich wskazań. Tak. Przestać się tym wszystkim przejmować. Jak się nie da inaczej, to na siłę wbić sobie w głowę jakąś, najlepiej przyjemną, obsesję. Byleby tylko nie obracać się wokół tych nierozwiązywalnych, a tym samym stresowych problemów naszego państwa. I dużo, bardzo dużo spacerować — dodała.

\*

### *Da capo*

Piszę to do Państwa Eli i Andrzeja Banachów — autorów książki „Odkrycie Amsterdamu”, która tak mnie zachwycała. Jest to refleksja na tę książkę.

5 listopada 1975 roku

### *Nokturn appassionato*



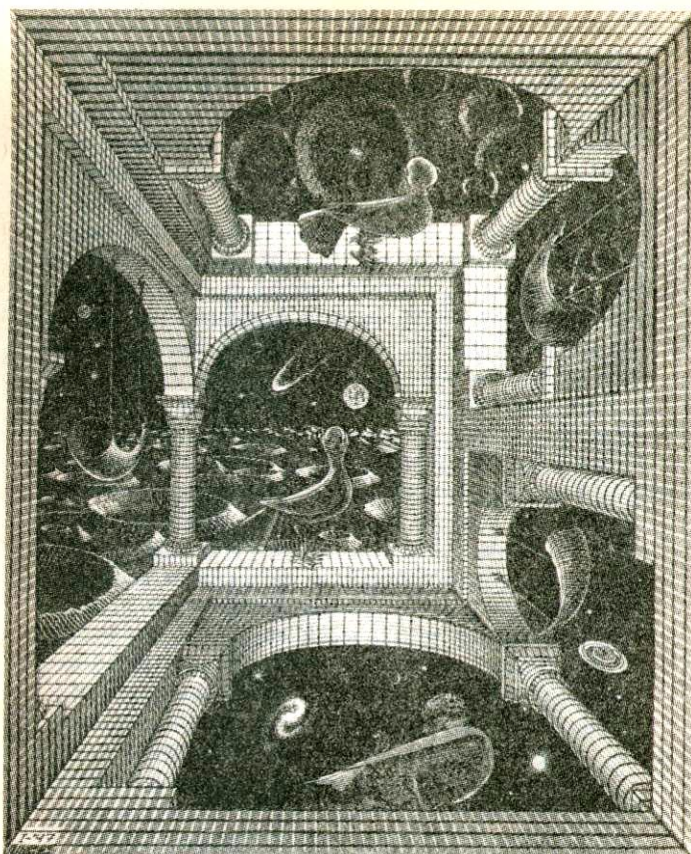
Amsterdam – potem odkryty również przeze mnie.

### *piano*

U mnie, Pani Elu i Panie Andrzeju, trochę podobnie, lecz jednak inaczej. Też z okna widzę napis na domu, ale niegodny przytaczania. Nawet swego tymczasowego miejsca zamieszkania nie wypada opisywać, gdyż skutek, jaki bym tym osiągnął, nie jest moim celem. O tym znów, na czym została zbudowana Krynica — więcej wiecie Państwo niż ja — przyjmujemy to jako pewnik. Jeżeli czuję się tu szczęśliwy, to tylko dzięki Państwa Książce. Już dla tych dwóch ilustracji, tej barwnej między stronami osiemdziesiątą i osiemdziesiątą pierwszą, i tej na sto pięćdziesiątej ósmej stronie, stanowi ona dla mnie cenny nabytek. Natomiast poprzez resztę jej zawartości — stanowi dla mnie coś w rodzaju Pańskich — Panie Andrzeju — kamieni półszlachetnych w Pańskiej kieszeni.



Reklama wnętrza mieszkania de Ploeg.  
Ilustracja między stronami 80-81.



Obraz M. C. Eschera. (str. 158).  
56

Pod moimi oknami z rzadka ktoś przechodzi, za to nazbyt często coś przejeżdża. Nasz współczesny dom polski, w tym i te w Krynicy, jest bardzo podobny do nas. To nie on winien temu, jaki jest. To my winniśmy się poważnie zafrasować, dlaczego tylko tacy jesteśmy? Nie czujemy większej potrzeby podjęcia takiego wysiłku, aż do zatracenia się. Przyjęliśmy konsystencję brojlerów.

Marynarz Paul i przystojna dziewczyna z baru w domu Waszych gospodarzy, a i Wy przecież... Umknęło to z naszej współczesności. Obowiązuje zasada muszli ślimaka, która, nawet największa, może pomieścić tylko jednego ślimaka. Tu od razu (myślę nadal o muszli) wiadomo, że może tylko chodzić intruzowi o samą muszlę, a tylko z rzadka o ślimaka i wtedy zawsze o samego ślimaka bez muszli.

Znacznie dalej o Ani pisząc, piszecie Państwo o tej szczególnej roli drzwi. U nas w Sosnowcu w czasie okupacji też były takie zastawione dyktą. Nawet zabite gwoździami.

Dalej o drzwiach za chwilę. Bo przecież ten dom — zwany przez nas „Betlejemką” ze względu na swą kruchość — miał coś w sobie z Krynicy. W tym domu w piwnicach miał piekarnię ojciec Jana Kieपुरy, a Kieपुरa — to część Krynicy.

Więc drzwi naszego rodzinnego mieszkania były stale otwarte. Przychodziła z łyżką zupy do spróbowania ta warszawianka, która podobno mówiła: — „kamada na abcasach”. Tu skojarzyły się co najmniej dwie pary małżeńskie. O jedną nawet rodzice i jednej, i drugiej strony mieli do moich rodziców pretensję. Pan Józef — rzeźnik, gdy był w humorze, mieszkał u nas, a gdy ogarniała go chandra, zwłaszcza z powodu swej kochanki, to przenosił się do siebie na poddasze. Bywało wieczorami, że znajomi przychodzili dużo wcześniej do naszego mieszkania niż nasi rodzice i wtedy ci znajomi palili w piecu, szukali w kredensie czegoś dla nas do zjedzenia. W mieszkaniu naszym było wszystko z klubu, prócz nazwy i tego, co w klubie klubem nie jest.

Tu w Krynicy stałem się czymś o cechach metalu szlachetnego — wśród takich samych tworów. Nic i pod żadnym pozorem nie może nas złączyć. Tylko niekumanie się z nikim może zapewnić nieskalanie naszej wielkiej wyobraźni o sobie. I nie pomogą żadne konwenanse, zawsze w krytycznym momencie potrafimy o wszystkich zasadach zapomnieć, wszystko poświęcić dla nienaruszenia własnego sobiepaństwa. Gdyby chociaż było co tak straszliwie chronić... — A może właśnie najstaranniej trzeba chronić własne złudzenia oraz to aby inni, nawet ci najbliżsi nie wiedzieli, jacy też naprawdę mali i małostkowi jesteśmy. Jeżeli wszyscy tak postąpimy, to jakież wypaczony obraz będziemy mieli wzajemnie o sobie? Co na tym można zbudować? Nawet nie wypada budować, bo tylko narażamy się na śmieszność.

### *con appassionato*

Drodzy Państwo Banachowie — powiecie, że swoista psychika i sposób patrzenia na rzeczywistość, że bardzo jednostronny i na pewno niepełny pogląd, ale nie zapominajcie, że jest właśnie noc i ma miejsce misterium jedyne go snu bez zaśnięcia. Boć przecież Wasza wystawa, acz niewidziana, „poszła za mną” z Waszej książki. Jest to mimo wszystko „sen o udanej miłości”, którą ogarniamy wokół, (jeśli to w ogóle można tak określić, jeśli to w ogóle można określić), nie wymieniając jej imienia, nawet nie śmiejąc na nią spojrzeć. Znajdziemy ją jedynie — i tylko — w tej luce, jaka się wytwarza między poruszonymi w mojej książce sprawami, między punktami widzenia. A jak się dobrze przyjrzeć, to luka ta jest tak wielka. Będzie ona — ta miłość — tam istnieć wbrew wszystkiemu; czy tego chcemy, czy nie; czy nam się to podoba, czy nie; bo taka jest jej — tej miłości — natura — nadana jej przez Naturę, a w tym pojęciu i przez nas samych. A pojawiać się będzie nie na zaproszenie, pojawiać się będzie bez określonych powodów, aby stale udowodniać, że jest jedyną panią życia. Nie nazwiesz jej nigdy w porę, nie wskażesz nawet najukochańszemu dziecku recepty na nią. Oszczerstwem dla niej i bluźnierstwem nawet byłoby to robić, bo ona bądź była, bądź jest, bądź będzie; bo ona była, jest i będzie w każdym dziecku. Niczym jej samej, prawdziwej, nie zaszkodziś. Niczym jej nie urealnisz, nawet niczym jej nie udoskonalisz. Jest ona najbardziej upragnionym przekleństwem. Powstaje z wszystkiego, wszystko przeżera i staje się wszystkim. Jest ona najbardziej niekonsekwentną logicznością ciągłości faktów życia, niewystępującą w postaci czystej, gdyż nie jest jej to potrzebne, właściwe, ani dane. Jest najbardziej człowiecza, humanitarna i fizjologiczna. Sami znajdziecie wiele własnych uzasadnień takiego twierdzenia. Przyjmijcie, proszę, i jedno moje.

Jest najbardziej człowiecza, aczkolwiek podlega jej każda postać życia. Jest najbardziej fizjologiczna, bo jej cel — to aż przedłużenie trwania gatunku. Jest najbardziej humanitarna, gdyż jest jedynym nieodzownym atrybutem prawdziwego człowieczeństwa i w niej się mieści — „nic, co ludzkie, nie jest mi obce”.

Wreszcie i fizjologiczna mądrość ludu jest w opowieści, gdzie pasza zażywał coraz to któregoś ze swych wielu żon, które musiał mu donosić z haremu usłużny eunuch, tak usłużny dalece, że aż nieborak padł trupem. Z czego wynikał morał: „Lepiej jest p....., niż donosić”.

Cóż, trzeba samemu być ułomnym, aby móc innym wybaczać ich wady i aby ci inni mogli przyjąć takie wybaczenie bez naruszenia ich godności.

\*

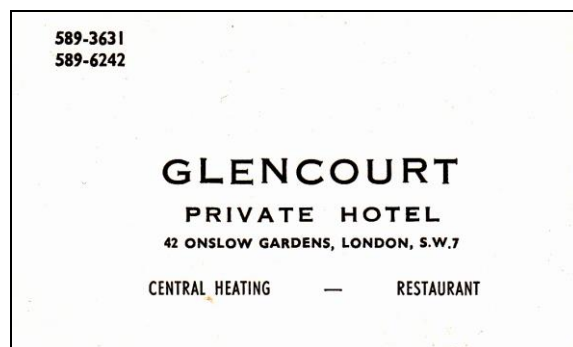


Krynica, widok z Góry Parkowej

## **Antrakt – Londyn 14-24.11.1973**



Londyn, Onslow Gardens – Tu w hotelu gdzieś mieszkałem  
13 listopada 1973



Znalazłem! Tu mieszkałem.



Londyn, Onslow Gardens – Widok z okna hotelu – 13 listopada 1973





Londyn, Victoria Street, Westminster Abbey – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, Horse Guards Parade – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, Gwardia Królewska – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, Królowa Elżbieta II – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, Królowa Elżbieta II – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, gwardia królewska – 14 listopada 1973  
Ślub księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Whitehall, Horse Guards Avenue – 14 listopada 1973  
Księżniczka Anna i kapitan Philips w drodze do ślubu.



Londyn, Whitehall, Princess Anne – 14 listopada 1973  
Księżniczka Anna (Princess Anne) i kapitan Philips udają się do ślubu.



Londyn, Parlament – 14 listopada 1973  
Spacer podczas ślubu księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, Parlament – 14 listopada 1973  
Spacer podczas ślubu księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.



Londyn, The carriage of Princess Anne and captain Philips – 14 listopada 1973  
Powrót księżniczki Anny i kapitana Philipsa ze ślubu.



Londyn, The carriage of Princess Anne and captain Philips – 14 listopada 1973

Powrót księżniczki Anny i kapitana Philipsa ze ślubu.



Londyn, Buckingham Palace – 14 listopada 1973  
Przed powrotem księżniczki Anny i kapitana Philipsa ze ślubu.



Londyn, Queen Victoria memorial – 14 listopada 1973  
Trybuna kamer oczekujących na powrót księżniczki Anny i kapitana Philipsa ze ślubu.



Londyn, Buckingham Palace – 14 listopada 1973  
Oczekiwanie na pojawienie się na balkonie Królowej Elżbiety II  
i małżeństwa księżniczki Anny z kapitanem Philipsem.





Londyn, King Charles Street – 17 listopada 1973



Londyn, Waterloo Place – 17 listopada 1973



Londyn, Travalgar Square – 17 listopada 1973



Londyn, Picadilly Circus – 17 listopada 1973



Londyn, Soho – 17 listopada 1973



Londyn, Soho – 17 listopada 1973



Londyn, Oxford Street – 17 listopada 1973



Londyn, Old Oxford Street – 17 listopada 1973



Londyn, Park Crescent – 17 listopada 1973



Londyn, Dewonshire Street 15 – Polska Ambasada i Biuro Radcy Handlowego PRL  
oraz polski Fiat 125p – 17 listopada 1973

Warszawa, dnia 24.11.1973 r.  
L.dz. N/1257/73  
PHZ „Polservice”  
Warszawa, ul. Szpitalna 5

Sprawozdanie z Międzynarodowej Wystawy Budownictwa w Londynie w dniach 14-24.11.1973r.

Wystawa w mniejszym stopniu miała charakter zaprezentowania najnowszych osiągnięć budowlanych w skali państw, niż to ma miejsce zwykle na znanych nam wystawach w Krajach Demokracji Ludowych. Nawet Międzynarodowe Targi Poznańskie, mające z założenia charakter wybitnie handlowy, prezentują więcej najnowszego dorobku, zwłaszcza w zakresie maszyn budowlanych, instalacji, aparatury i wyposażenia technicznego.

Londyńska Wystawa skupiła wielu małych wytwórców detalistów, którzy narzucili jednoznacznie handlowy wyraz całej Wystawie, a ekspozycje swe skierowali w zasadzie na wyposażenie budownictwa jednorodzinne. Stąd szereg stoisk prezentowało meble kuchenne, urządzenia łazienek, wszelkiego typu ozdobne okucia do drzwi i okien, dywanowe i plastikowe wykładziny podłogowe, terrakoty i glazurę, wreszcie tradycyjne okna, drzwi, dachówkę, cegłę, sztuczne kominki pokojowe, małe sauny itp.

Tym samym wyraźnie wyróżniało się na tle innych stoisko Polservice’u oferujące projektowanie wielkich założeń urbanistycznych i kompleksów budowlanych. Miało to jednak również niekorzystny skutek, gdyż nie byliśmy w żadnym stopniu partnerami do rozmów z innymi wystawcami, ani też nie mogliśmy wzbudzić nadmiernego zainteresowania u zwiedzających Wystawę, którzy w zasadzie przyszli oglądać bądź kupić te właśnie detale wykończenia mieszkania,

Dobrze się stało, że Polservice zaprosił wcześniej do stoiska szereg firm londyńskich, z których kilka zgłosiło się, a przeprowadzone rozmowy niewątpliwie zareklamowały Polservice i jego zakres działania. Również zgłaszający się dziennikarze i publicyści bardzo wnikliwie interesowali się zakresem oferowanych usług i osiągnięć Polski w zakresie architektury i urbanistyki. Ich artykuły nt. Polservice’u w wydawnictwach powystawowych i w komercyjnych czasopismach przyniosą korzystną reklamę dla strony polskiej.

Do osiągnięć wynikających z uczestniczenia w londyńskiej wystawie zaliczę ponadto zaproszenie Polservice’u do udziału w następnej Międzynarodowej Wystawie Budowlanej, która będzie zorganizowana w Grecji w 1975 r.

Reasumując oceniam udział w londyńskiej wystawie pozytywnie, gdyż spełnił podstawowe założenia dając stronie polskiej wiele obserwacji i doświadczeń możliwych do zdobycia tylko w bezpośrednim kontakcie, a ponadto w stopniu maksymalnie możliwym zareklamował Polservice. Udział w tego typu wystawach potwierdza zasadę, że każda forma i każda droga zdobycia zleceń musi być na równi respektowana.

\*

Tyle oficjalnego tekstu. Należałoby jednak zapisać i inne refleksje.

W czasach PRL wyjazd za granicę na Zachód był wielkim wydarzeniem i osiągnięciem, a ponadto był realizowany w kuriozalny sposób. Zwykły obywatel w zasadzie nie mógł otrzymać paszportu. Na stałe opuścić Polskę mogli jedynie Niemcy i Żydzi. Zdarzały się wprawdzie wyjazdy na zaproszenie do rodziny (gdzie się miało rodzinę na Zachodzie), ale wyjazdy na Zachód mogły być jedynie wyjazdami służbowymi i to w przeważającej części całkowicie na koszt zapraszającej instytucji. Nigdy nie mógł to być wyjazd z całą rodziną, zawsze ktoś musiał zostać w kraju, a i tak wielu „wybierało wolność” i nie wracało. Paszporty były wydawane jedynie jako jednorazowe i trzeba było je zwrócić w ciągu tygodnia po powrocie do kraju.

Polservice chciał zabrać na tę wystawę Bogusia Chylińskiego, polskiego wielkiego urbanistę. Nie wiem dlaczego, ale Boguś zasugerował, że to ja powinienem pojechać. Byłem zachwycony tym pierwszym wyjazdem w świat. Dyrektor naszego Zjednoczenia, Stanisław Kluszewski był zaskoczony, a najbardziej jego zastępca Antoś Wróblewski, moim wyjazdem. Zadbali i odtąd to oni wyjeżdżali z Polservice’em.

Pierwsze zaskoczenie było, gdy na lotnisku w Londynie skrupulatnie badano cel przybycia. Okazałem otrzymane angielskie zaproszenie na Wystawę i to wystarczyło. Zaraz potem kubek zimnej wody, bo w autobusie wiozącym nas do centrum musiałem zapłacić aż pięć funtów. Był to ostatni mój przejazd, odtąd wszystkie trasy pokonywałem pieszo. Do metra nawet nie zszedłem.

Mieszkaliśmy w hoteliku, gdzie obsługa mówiła po polsku. Zaraz pierwszego wieczoru jedna z pań z Polservice'u, niejaka Augustyńska, zaprosiła mnie do siebie, abyśmy wspólnie zjedli kolację, którą sugestywnie rozmieściła na łóżku. Półożąc na tym łóżku konsumowaliśmy, a ja nieobyty nażarłem się, nie wykonałem zasadniczej konsumpcji i poszedłem do siebie. Po latach w Algerze znajomy z Polservice'u uświadomił mi, że taki był zwyczaj na wyjazdach, że miałem obsłużyć panie po kolei.

Wystawa miała miejsce w sławnej Carnegie Hall. Polservice wraz ze mną chciał zaoferować Wielkiej Brytanii możliwości projektowania przez Polaków biurów, dróg, urbanistyki miast, czyli pełnego asortymentu projektowania w dużej skali, projektowania dużych przestrzeni. Panie z Polservice'u były nad wyraz oszczędne, toteż zamiast kupić potrzebną w stoisku kawę i ciastka, zażądały, aby żona przedstawiciela Polservice'u na Anglię dostarczyła te artykuły i ta przyniosła i to nawet więcej. Zdarzyło się, że właśnie prowadziłem niemal jedyną rozmowę z Anglikami, którzy zainteresowali się naszym stoiskiem i wypytywali, nie kryjąc wielkiego zdziwienia, o nasze możliwości projektowe. Ja buńczucznie odpowiedziałem, że reprezentuję ponad siedmiotysięczną rzeszę projektantów warszawskich mogących podjąć się zaprojektowania wszystkiego.

I po zakończonej rozmowie nagle żona tego przedstawiciela na Anglię wykrzyknęła:

– Maryś, skąd ty się tutaj wzięłaś?

Spojrzałem na piękną blondynkę i nic nie rozumiałem. Ona przypomniała mi, że kiedyś miała zupełnie czarne włosy. Wówczas odnalazłem w pamięci koleżankę z naszej grupy na Architekturze, Teresę Urbańską. Takie spotkanie stanowiło niesamowite przeżycie dla nas obojga. Odtąd Teresa się mną zaopekowała, w ciągu różnych dni zawiozła mnie do domu, gdzie poznałem jej męża; raz weszliśmy do pubu na drinka whisky, co było dla mnie interesującą obserwacją; to znów wozila mnie po Londynie i pokazywała co ciekawsze obiekty; nawet zainteresowała się, co chciałbym obejrzeć w Londynie. Bez wahania wymieniłem British Muzeum. Zaznaczyła, że tyle lat jest w Anglii, a jeszcze nie była w British Muzeum. Podwiozła mnie tam. Wstęp akurat był wolny. Z zachwytem obejrzałem zgromadzone zabytki starożytności – na więcej sił nie starczyło.

Sam też bardzo dużo łądziłem po Londynie, pilnując się, abym zapamiętał drogę powrotną do hotelu. Nie przejmowałem się obecnością na Wystawie, lecz zachłannie poznawałem ten pierwszy w życiu odwiedzony Zachód. Jednego dnia okazało się, że właśnie odbywa się ślub Księżniczki Anny z kapitanem Philipsem, było to dla mnie wielkie przeżycie.

Stoisko nasze ziało pustkami i brakiem wszelkiego zainteresowania zwiedzających. Pozwoliło mi to na zwiedzanie Londynu. Wędrowałem przez kilka dni i zrobiłem wiele zdjęć; patrzyłem z zachłannością na ten jakże inny świat. Niespodziewany wyjazd do Londynu był wspaniałym przerywnikiem w moim ponurym życiu w Polsce.

Panie z Polservice'u przedłuży sobie pobyt, lecz mnie to już nie obejmowało, musiałem wracać. Teresa znów poświęciła się i odwiozła mnie na lotnisko Heathrow. Młodzieńcza przyjaźń miała zawsze wartość.





## **II Largo**

20 listopada 1975 roku

## *Moment musical 1*

*piano*

Miłość lub miłowanie  
na pewno Ostoja  
dobrze, że chociaż Nadzieja, acz żadna  
jedyny sens Istnienia  
Kochać – nie znaczy być kochanym  
Amo, amavi, Amatum

\*

2 grudnia 1975 roku

## *Vox humana*

*intrada*

Już od dłuższego czasu noszę się z zamiarem usprawiedliwienia nadanego temu opowiadaniu tytułu.

Wydawało się, że przymiotnik jako taki w tytule dobrze brzmi. Więc i ja sięgnąłem po takowy. Bowiem jestem nienasycony, łaknę przymiotników. Jeszcze do niedawna... albo inaczej.

Są profesje, (jak dyktat polityki), gdzie używanie przymiotników jest dalece niewskazane. Użycie przymiotnika zawsze dało się sprowadzić do próby samodzielnego wartościowania, a od tego byli inni. Było ono również formą „niebezpiecznego” angażowania się, gdyż zaraz potem zgrzyt, bo akurat należało opowiedzieć się za czymś innym, a właściwie za kimś innym. Teraz inaczej. Jak najwięcej przymiotników.

Samczy. No cóż — niezbyt wyświechtane słowo. A przy tym jakież współczesne. Ile obiecujące. Forma jedynego usprawiedliwienia tego, co robię, jak robię i dlaczego robię. Czyli jak ktoś kiedyś zaznaczył: cały świat się wokół tego kręci. Zaznaczył bardziej dosadnie i bardziej jednoznacznie. Nie chce mi się teraz być wulgarnym — stąd zaimek.

Rzeczownik tytułu. Cytuję z książki Urszuli Czartoryskiej pod tytułem „Od pop-artu do sztuki konceptualnej”. Tamże na str. 169:

„...happening stał się, ...tym rodzajem sztuki, który najbardziej drażnił publiczność. Należąc do sztuk plastycznych happening rozgrywał się w czasie i przemijał, nie pozostawiając śladu. Paradoksem happeningu było, że jego autorzy czerpali inspiracje z codziennego życia, a tworzone przez nich ‘wydarzenia’ — pomawiano o konturowość, spazmatyczność gestów i retoryczność symboliki”.

Na tejże stronie:

„Happening nie jest ‘kierunkiem’ artystycznym, lecz rodzajem otwartej postawy twórczej wobec świata, ...”

Na stronie następnej z niewielkimi opuszczeniami:

„Happening, dzięki cechującej go zaczepności lub nudzie, w ambicji stania się psychodramą lub też kiedy indziej w jednoznaczności cytowanych czynności życiowych, jest sam dokumentem skłębienia, skłócenia i rozpaczliwego niepokoju, a nade wszystko — terenem żarliwych prób ocalenia wolności, które ponawiały środowiska artystyczne i intelektualne...”

Kilka wierszy niżej:

„Happening był jednak nie tylko bardziej lub mniej trafnym ‘obrazowaniem’ uprzedmiotowienia stosunków międzyludzkich, zagrożenia płynącego ze strony systemów totalitarnych i alienacji osobowości w chaosie mas ludzkich, pozostających w nieustannym ruchu”.

A znów dalej:

„Happening był przede wszystkim podjęciem przez artystów ryzyka osobistego, które zmieniło ich pozycje wobec widzów. Ryzyko to... narażało twórcę między innymi na ośmieszenie,

dotyczyło faktu, że autor przekraczał swoje dotychczasowe uprawnienie: wyzbywając się wstydlivości i nie chcąc posłużyć się aktorską maską umowności, oczekiwał w pewnych okolicznościach podobnej dyspozycji ze strony uczestników czy widzów”.

Na str. 172:

„Dzieło to było niemuzealne ze względu na cechującą je efemeryczność, lecz także dlatego, że ostateczną dla autora instancją, probierzem, było, mówiąc ogólnie, życie”.

Dalej:

„Happening rozprawiał się z wieloma konwencjami”.

lub:

„Polegał raczej wprost na wykonywaniu określonych czynności, czy zwróceniu uwagi na toczące się np. na ulicy zdarzenia — bez cudzysłowu, na zasadzie collage’u”.

Właśnie.

Gorąco proszę — przyjmijcie Szanowni Państwo tę książkę jako happening. Czyż ani jedna książka nie może być happening’iem?

\*

14 stycznia 1976 roku

### *Nokturn con grave*

*piano*

Co jest z tym czasem?

Dlaczego tak bezpowrotnie potrafił przeminąć?

Zawsze miałem świadomość tego procesu – przemijania. Obserwowałem go bardzo uważnie. Panowałem nad nim. Rozliczałem każdy dzień i wiedziałem, co zrobię jutro. I choć codzienna analiza dokonań była pomyślna, a perspektywy możliwości zachęcające – jednak przeminął.

Więc to jest ten czas – miejsce każdego końca, każdego początku i każdego trwania.

Przecież że jego kres jest niewymownie przykry, ale jednocześnie jest z jakimś cieniem wyrozumiałości dla nas; zawsze nas samych wyprzedza o krok i decyduje za nas. Jest szalenie konsekwentny i w tej największej ostateczności – przyznajemy mu rację – najlepszym rozwiązaniem jest przyznanie mu sensu.

Cokolwiek złego (a można by bardzo wiele) o nim powiemy – to nie jest tak złym, jakby mógł być. Zawsze zostawia nam nikły ślad nadziei, że to jeszcze nie to... że to jeszcze nie teraz. Pozwala nam czuć, że jest nieco dalej, niż jest w rzeczywistości. Dzięki temu jego dobrodziejstwu zawsze jest po nas. To jednak w swej istocie powoduje, że wyprzedza nas; czasem o jeden jedyny ruch tylko, ale i to wystarczy, aby był znośny.

Sprawia, że godzimy się z tym najdotkliwszym, a jednocześnie nie możemy pogodzić się z czymś właściwie nieistotnym. Nie możemy pogodzić się z tym, co było, nawet jeśli to „niepogodzenie się” przybiera kształt rezygnacji. I choć śmierć ideałów lub choćby tylko zasad ma prawo nastąpić wcześniej, to już to jest zbrodnią. Od jej momentu pozornie nic się nie zmienia, gdyby nie fakt, że to „dalej” nie ma już sensu po prostu.

Nie wiem, czym jest – wobec tych dwóch kryteriów – ta trzecia, upragniona... – Nie wiem...

Więc praca.

\*

Na poważnie zacząłem pisać w Krynicy i opisałem swój wyjazd, ale po napisaniu nie wiedziałem, jak i o czym dalej pisać w swej pierwszej książce. Snułem różne pomysły, które jednak zostały pomysłami. Oto one poniżej:

29 stycznia 1976 roku

### ***Moment musical 2***

*piano*

Można by o uczniu, który słyszy, że gdzieś są idealni, dobrzy ludzie, ale nie potrafi przebić się do nich przez przeraźliwe otoczenie. Musi tam dotrzeć, bo tak został ukształtowany; raz po raz już to ma, ale zawsze okazuje się pomyłką lub tylko skazą...

... i można by o nauczycielu, który ma wiele ułomności, nawet zbyt wiele, musi się borykać ze zbyt dużymi trudnościami, które go przerastają, którym częściej, niż można zrozumieć, ulega, które pozostawiają na nim swe piętno... – Ale zawsze na tę jedną chwilę – lekcję w szkole – staje się ideałem, wzorem, ostoją i przyjacielem – staje się nauczycielem...

Jeden chce dojść i nie dochodzi, drugi znów dochodzi na chwilę jakies...

Obaj są Ludźmi, choć tak straszliwie bezbronnymi.

A może dlatego?

\*

3 lutego 1976 roku

### ***Moment musical 3***

*eroico*

Jakiż może być jej walor i sama barwa szczęścia starego człowieka w zetknięciu się z autentyczną młodością?

\*

20 lutego 1976 roku

### ***Moment musical 4***

*piano*

O złamanych ludziach.

Każdy kiedyś czymś był złamany, stąd szczególnie koloryt ich obecnego działania – brak rozmachu, niepewność, zaskakujące decyzje itd. Wykazać wielorakość ich skaz... Może nie sięgać po kliniczne omówienie samego aktu złamania, który miał kiedyś tam miejsce.

\*

6 marca 1976 roku

### ***Moment musical 5***

*piano*

Może o człowieku, o którym po latach udało się ustalić jedynie, za to niezbiecie, że był wielki... Ale i nic ponadto nie dało się ustalić, ani też na czym ta wielkość polegała, gdyż zaginęło to co najważniejsze – przedmiot jego wielkości.

\*

Może się kiedyś przyda:

- Wiesz, jak już będę stara i pochowam wszystkich swoich mężów, to napiszę pamiętnik – który stanie się sensacją.

\*

5 kwietnia 1976 roku

## **Walc**

Wczoraj rano przyszedłem do pracy, ale zginął klucz od pokoju, więc poszedłem załatwiać sprawy.

Sprawa pierwsza:

### *kuplet*

- Panie Stasińku – przyjąłby pan oponę do naprawy? Jest przebita z boku.  
- Naturalnie, szanowny panie.  
- A mógłby pan wyjść przed warsztat, bo tam stoi mój samochód...  
- To pan nie zdjął?  
- nie zdjąłem, bo myślałem, że fachowiec musi obejrzeć i stwierdzić, czy do wyrzucenia ta opona, czy też można naprawiać.  
...po chwili przed warszatem...  
- Panie kochany, to wada fabryczna, nakładka pękła na złączeniu i teraz się odwarstwia. Sądzę, że i po drugiej stronie opony jest to samo. Ile pan przejechał?  
- Niecałe pięć tysięcy. Dwa miesiące temu kupiłem. (Nie wyjaśniam, że na tych oponach dojechałem do Odessy i z powrotem – wszystko po takich dziurach, że strach).  
- Trzeba reklamować. Niech płacą. Zresztą niech pan spojrzy na tę drugą – też ma takie pęknięcia. Tak – trzecia dobra. Ale tamta też już zaczyna pękać. Natychmiast trzeba reklamować w sklepie.

Sprawa druga:

### *kuplet*

- Proszę panią – czy u pani można kupić w przedsprzedaży bilety do cyrku?  
- Na kiedy pan chciał?  
- No widzi pani, dzień jest obojętny, bo mnie chodzi o pierwsze rzędy.  
- Nie ma.  
- Ale może być na dowolny dzień. Przecież jeszcze cyrk nie wyjeżdża?  
- Dam w siódmym rzędzie.  
- Chciałbym bliżej.  
- Ja panu mówię, że to są bardzo dobre miejsca.  
- A może na któryś dalszy dzień?  
- Sprzedajemy tylko na tydzień wcześniej.  
- Dziś poniedziałek, to może w piątek, sobotę lub niedzielę...  
- Nie ma.  
- Czy codziennie sprzedajecie państwo na jeden dzień dalej?  
- Nie. Sprzedajemy od poniedziałku na cały tydzień.  
- Przecież dziś poniedziałek i nic już nie ma bliżej.  
- Musimy rezerwować dla zakładów pracy.  
- O! – Tego pani nie mówiła. Czyli mogę przyjść z zamówieniem z zakładu pracy i dostać dla większej grupy w pierwszych rzędach?  
- Dla zakładów od czwartego rzędu tylko.

- Szkoda, czyli też się nie da bliżej. To poproszę cztery dobre miejsca na dowolny dzień, jeśli pani byłaby taka uprzejma.
- Ale nie mam wydać. Niech pan idzie po drobne.

Sprawa trzecia:

*kuplet*

W sklepie, gdzie kupiłem opony, wisi na ścianie instrukcja dla klienta w sprawie reklamacji jakościowej zakupionego towaru. Obok zarządzenie w tejże kwestii. Czekając aż ekspedient (sprzedawca) wyjdzie z zaplecza, czytam dokładnie, co tam stoi.

Tak. Muszę ustawić samochód na kołkach (jakie szczęście, że mam garaż). Zdjąć koła. Poprosić kogoś, aby mi zawiózł do Stasinka. Ten zdejmie opony. Opony zawiozę do sklepu. Po dwóch tygodniach sklep mi odpowie, czy uwzględnił reklamację. Dostanę zamienny towar lub pieniądze. Ale te opony bywają tak rzadko, więc wezmę pieniądze i codziennie będę podjeżdżał tramwajem, aż trafię na dostawę. Potem opony w taksówkę i do garażu. Stamtąd następnego dnia przed południem znów taksówką opony, dętki i obręcze zawiozę do Stasinka, aby zmontował koła i wyważył. Obiór następnego dnia. Sam założę koła na stojący w garażu samochód. I już można jeździć.

Sprzedawca nie jest zaskoczony chęcią reklamacji – dostarczyć towar koniecznie wraz z paragonem sprzedaży. O rany! Czy on się gdzieś uchował w domu przez te dwa miesiące? Ale do cholery, ile mnie to będzie kosztowało dodatkowo pieniędzy i czasu? A jeżeli te nowe też będą miały wady fabryczne?

Sprawa czwarta:

*kuplet*

- Płaszczka i swetra nie ma jeszcze. Napiszę panu na kwicie, że pan był i proszę zgłosić się za trzy dni.

Na szczęście ociepliło się. Zresztą zarobię, bo jak głosi wywieszona w widocznym miejscu instrukcja dla klientów – jeśli usługa spóźni się do trzech dni, to obniża się koszt usługi o 10%, a jeżeli powyżej trzech dni, to o 20%. Szkoda, że ja tego wcześniej nie przeczytałem. Przecież tyle razy nosiłem do pralni...

Sprawa piąta:

*rubato*

W sklepie papierniczym nie ma bristolu, ale trudno – wezmę z pracy. Gorzej z ilustracjami. W kiosku żadnych czasopism, a tu córka na ten tydzień ma zrobić do klasy gazetkę pt. „Preorientacja zawodowa”.

\*

10 kwietnia 1976 roku

## ***Moment musical 6***

*piano*

O tym, jak przez następne dwadzieścia lat będę starał się polubić to, z czym nie mogłem pogodzić się przez czterdzieści pierwszych lat.

\*

10 kwietnia 1976 roku

### ***Moment musical 7***

*piano*

Może o tym, jak wszystko na siebie zachodzi, jak pochylone książki na półce.  
Lub o obecnych symptomach jednej wspólnej cywilizacji dla całego świata – i o tym, jak ona już teraz dociera się i jak bardzo drastycznie.

\*

11 kwietnia 1976 roku

### ***Moment musical 8***

*piano*

Może już zacznę pisać tych wiele listów i odwołań, może zacznę przygotowywać wystąpienia i krótkie uliczne komunikaty na okoliczność – „co słyhać?” – Z których będzie niezbitnie wynikało, że Ja nie byłem winien, że mi nie dali...

\*

13 kwietnia 1976 roku

### ***Vox humana***

*diminuendo*

Maria Kornacka w swoim bardzo ciekawym wstępie do książki Michelangelo Antonioni'ego pt. „*Scenariusze*” – Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1976, na stronie piątej jako motto umieściła oryginalną i niebanalną wypowiedź – myśl Witolda Gombrowicza. Cytuję:

„Sztuka jest zaprzeczeniem równości i uwielbieniem wyższości. Jest sprawą nadrzędności, wybitności, jedyności [...] pielęgnowaniem osobowości, oryginalności, indywidualności”.

Natomiast na stronie 12:

„W wielu partiach „*Przygody*”, „*Nocy*”, „*Czerwonej pustyni*” intencje autora są nazbyt oczywiste i dopowiedziane do końca. Najciekawsze i najżywsze są natomiast te fragmenty, w których z czasem, wbrew swym „oficjalnym” poglądom, dochodzi do głosu nostalgiczny esteta, opisywacz nieuchwytnych klimatów i stanów psychicznych, piewca kobiet i miłości niemożliwej”.

\*

14 kwietnia 1976 roku

### ***Vox humana***

*piano*

Barbara Ubysz w 1474 numerze „*Stolicy*” pisze:

„Według mitu platońskiego każdy człowiek miał początkowo dwie twarze, cztery ręce i dwa zrośnięte ze sobą tułowia. Pewnego dnia rozdzielono obie połowy i odtąd każda część stara się odnaleźć swoją „drugą połowę”, ponieważ bogowie postanowili, że nowe życie powstanie przez zespolenie obu części”.

\*

15 kwietnia 1976 roku

## *Glissando grosso*

### *piccicato*

Tyle tu nawypisywałem, a wyważyłem otwarte drzwi.  
Od dawna znane jest: „cherchez la femme”.

\*

16 kwietnia 1976 roku

Dziwna jest pamięć człowieka. Lat temu niemal czterdzieści zbyt często słyszałem może:  
„Maniek – peta zjadł kotleta”.

\*

17 kwietnia 1976 roku

Jak zapewnić miejsce na miejsce dla wszystkich?

\*

23 kwietnia 1976 roku

## *Glissando*

### *poco a poco agitato*

A propos:

Myślę, że sztuką prymitywną można nazwać tylko to, co wprawdzie może wnieść coś do przyszłości kultury, ale raczej niczego nie czerpie z przeszłości kultury.

Znów mówiąc podobnie o kiczu – myślę, że tym mianem można nazwać tylko to, co wprawdzie zasysa wszystko to, co rzekomo najbardziej wartościowe w przeszłości kultury, ale jest tak dalece tą misją zaabsorbowane, że już nie starcza miejsca dla cegokolwiek, co byłoby wkładem do przyszłości kultury.

Wydaje się, że dopiero reszta jest sztuką, ale też tylko pod warunkiem, że zawiera w sobie coś z kiczu i coś z sztuki prymitywnej – i jest sztuką ponadto.

\*



## **Antrakt – Paryż – 19-23 maj 1975**

Nasze biuro projektów od długiego czasu projektowało budynki Central Handlu Zagranicznego i LOT'u, a pod budynkiem LOT'u projektanci umieścili Terminal LOT'u. Terminal ten miał być wielką nowoczesnością na skalę światową, bo przewidywał, że cała odprawa lotniskowa będzie się odbywała w nim, czyli w centrum Warszawy, po czym podróżni mieli wsiadać do podstawionych autokarów, kursujących co kilka minut, i jechać na Okęcie prosto do samolotów. Prawda, że wspomniały pomysł?

Projektanci projektowali, ale nie mieli pojęcia o technologii lotniska i chcieli uzupełnić tę lukę w swym wykształceniu, a jeszcze bardziej widzieli w tym możliwość wyjazdów za granicę pod pretekstem poznania innych lotnisk na świecie. LOT wyjednał w Air France zaproszenie do Paryża i pojechała wielką rangą delegacja, mianowicie: jeden z dyrektorów LOT, którego nazwiska nie pamiętam; potem był dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta „Warszawa — Północ” – Zbigniew Pakalski, bo w Polsce musiał być inwestor powierniczy, LOT nie potrafił rzekomo sam prowadzić inwestycji; był oczywiście generalny projektant Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy – architekt Jerzy Skrzypczak; do tego zestawu wielkich ludzi dodano na przyczepkę mnie, czyli dyrektora Biura Projektowania Budownictwa „War-Cent” (aby mi zrobić przyjemność).

W Paryżu umieszczono nas w Hotelu „Pecheur Brau” na rue Daunou. Już w recepcji było wielkie zaskoczenie, bo Francuzi uznali mnie za najważniejszą osobę delegacji i dali mi śliczny pokój na pierwszym piętrze; dwóch dyrektorów jako mniej ważnych umieszczono razem w pokoju na trzecim piętrze, a generalnego projektanta (w końcu tylko projektanta) umieszczono w klitce z oknem wychodzącym na ciemną studnię. Potem przez cały czas pobytu mnie witano najpierw, mnie oprowadzano, do mnie się zwracano.

Rozmowy były prowadzone w jednej z dyrekcji „Air France” i my tłumaczyliśmy Francuzom, jak to będzie wspaniale w Warszawie z terminalem w centrum miasta i że szereg autobusów będzie czekać w podziemiu terminala na podróżnych. Francuzi wypytali nas dokładnie, jakie perspektywy ma lotnictwo pasażerskie w Polsce, ile linii lotniczych mamy zakontraktowanych na loty do Polski i o inne szczegóły.

Następnego dnia na spotkaniu oświadczyli, że wprowadzili nasze dane do komputera i komputer stwierdził, że dla naszego obciążenia lotniczego nie potrzebna jest tak droga inwestycja, czyli terminal w centrum stolicy, a wystarczy odpowiednia wiata i autobusy odjeżdżające co pięć minut. Pomysł z takim terminalem uznali za chybiony ze względów technologicznych, gdyż pasażer, który przejdzie odprawę, musi być niezwłocznie wsadzony do samolotu, a nie wędrować autobusem jeszcze przez wiele kilometrów. Nie daliśmy wiary Francuzom i w Warszawie obok Mariotta powstał ten terminal i nawet przez kilka miesięcy próbował coś robić, a co najmniej sprzedawać bilety lotnicze. Dziś mieszczą się tam ekskluzywne sklepy, a w podziemiu zwyczajny parking.



Paryż – rue Daunou – Hotel Pecheur Brau – na pierwszym piętrze mieszkałem (vide X)  
19 maja 1975 roku.



Paryż – rue Daunou – widok z mojego okna w hotelu – 19 maja 1975 roku.



Paryż – rue Daunou – widok z mojego okna w Hotelu PecheurBrau – 19 maja 1975 roku.



Paryż – Avenue de l’Opera – 19 maja 1975 roku.



Paryż – Opera – 19 maja 1975 roku.



Paryż – Avenue de la Grande Armees – 19 maja 1975 roku.



Paryż – Champs Elysees – 19 maja 1975 roku.



Paryż – Les Tuileries – 20 maja 1975 roku.



Paryż – Place Vendome – 20 maja 1975 roku.



Paryż – Place de la Concorde – 20 maja 1975 roku.



Paryż – Jardin de Tuileries – 20 maja 1975 roku.



Paryż – Sekwana – 20 maja 1975 roku



Paryż – Tour Eiffel – 20 maja 1975 roku





Paryż – Tour Montparnasse – 20 maja 1975 roku



Paryż, La Défence, (od lewej: Zbigniew Pakalski – dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta Warszawa-Północ, Jerzy Skrzypczak – generalny projektant Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy i ktoś z LOT), 21 maja 1975 roku.



Paryż – La Defence – 21 maja 1975 roku.

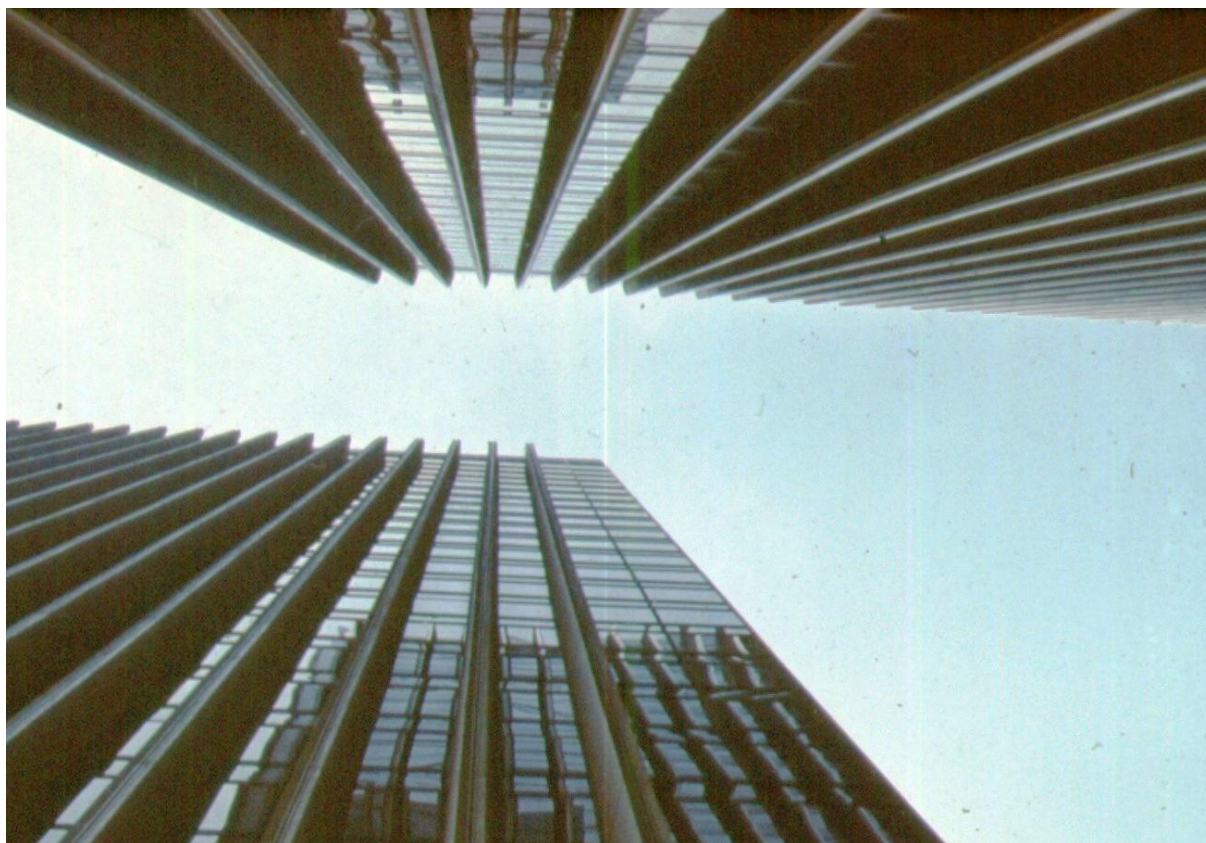


Paryż - La Defence - 1975.05

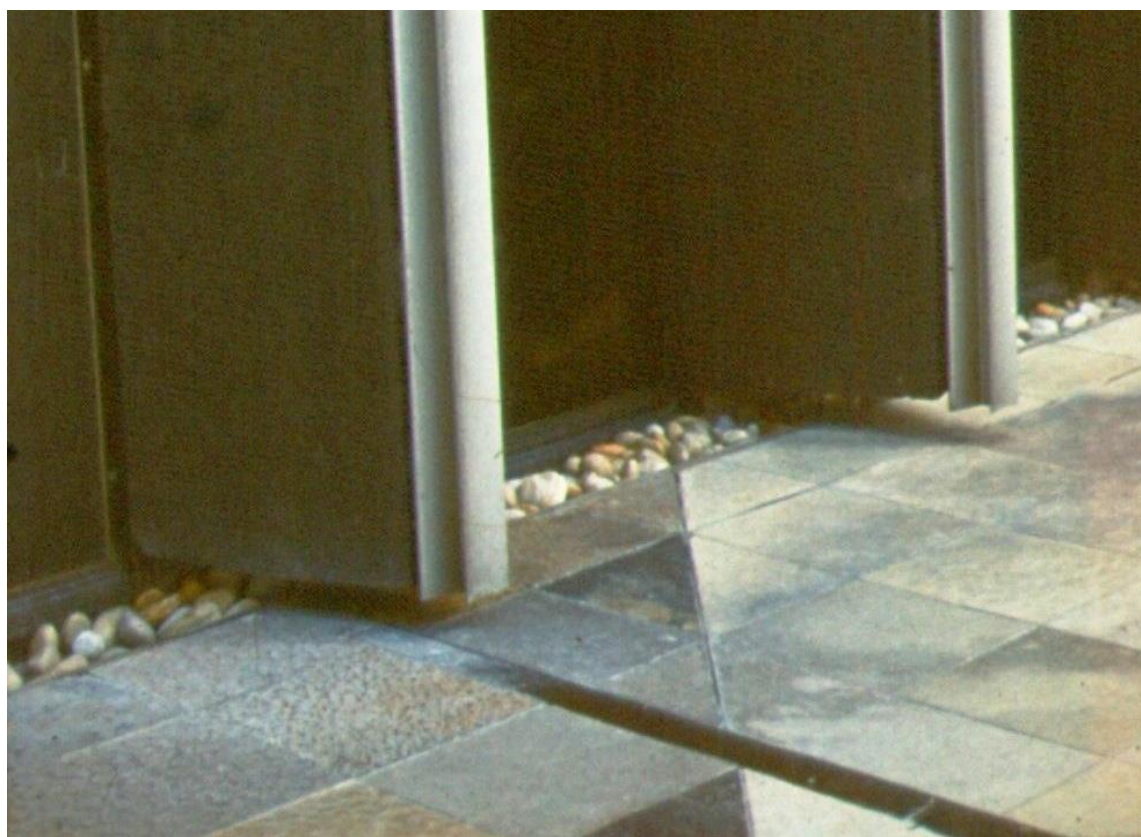
Paryż – La Defence – 21 maja 1975 roku.



Paryż – La Defence – 21 maja 1975 roku.



Paryż – La Defence – 21 maja 1975 roku.



Paryż – La Defence – 21 maja 1975 roku – Byłem bardzo zaskoczony, że te elementy nie stanowią konstrukcji.



Paryż – Sacre Coeur – 22 maja 1975 roku.



Paryż – Montmartre – 22 maja 1975 roku.



Paryż- Notre Dame – witraż północny – 22 maja 1975 roku.



Paryż – Notre Dame – detal witraża północnego – 22 maja 1975 roku.



Paryż – widok z biura Air France – 22 maja 1975 roku.



Paryż – Cimetiere Pere Lachaise – 22 maja 1975 roku.



Paryż – lotnisko Le Bourget – 23 maja 1975 roku.



Paryż – lotnisko Le Bourget – 23 maja 1975 roku.

Ale Francuzi też popełniali błędy. Pokazali nam swoje najnowsze lotnisko „Charles de Gaulle”, gdzie w kilkupiętrowym budynku pośrodku było wielkie patio, a w nim w przezroczystych krzyżujących się rurach ruchome schody wiozły pasażerów w różnych kierunkach do samolotów. Bagaże też nowoczesnie były wożone w podziemnych drogach, a wagoniki były bezzałogowe i magnetyczne taśmy w podłodze miały prowadzić wagoniki z bagażami do odpowiednich samolotów. Piszę „miały”, bo ten system najwcześniej padł na lotnisku.

Po latach widziałem projekt lotniska „Charles de Gaulle bis” – tu już był tylko długi parterowy pawilon, taksówki miały podjeżdżać pod odpowiednie wejścia, za nimi była odprawa, a pasażerowie udawali się pieszo do swoich samolotów stojących w odległości kilkunastu metrów od odprawy.



### **III Allegro sostenuto**

## *kadencja*

### *da capo*

Po roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, to jest po dojściu Gierka do władzy, stworzono w Polsce szereg nadziei. Tak na przykład przeprowadzono konkursy architektoniczno-urbanistyczne na przebudowę centrum Warszawy lewobrzeżnej i prawobrzeżnej. Oba te konkursy wygrał ten sam zespół ludzi, którzy dali bardzo odważne wizje. Wizje te w postaci wspaniałych makiet wędrowały po świecie i głosiły nadejście w Polsce nowego; a w kraju obiecano wynieść na piedestał autorów projektów, którzy święcie w to uwierzyli.

Dla autorów projektów, dla zrealizowania ich wizji powołano specjalne biuro projektów.

Autorom obiecano wszelkie poparcie i priorytety. Autorzy chcieli i mieli zająć się samą twórczością; chcieli być obsłużeni i mieli być obsłużeni przez innych. Tak też zostałem dyrektorem Biura Projektów Budownictwa „War-Cent”.

Przy czym generalni projektanci tych zadań byli mianowani przez naczelnego architekta Warszawy, czyli nie podlegali dyrektorowi biura, choć biuro im płaciło, a naczelnny architekt Warszawy przekazywał do biura pieniądze na opłacenie generalnych projektantów.

### *legato*

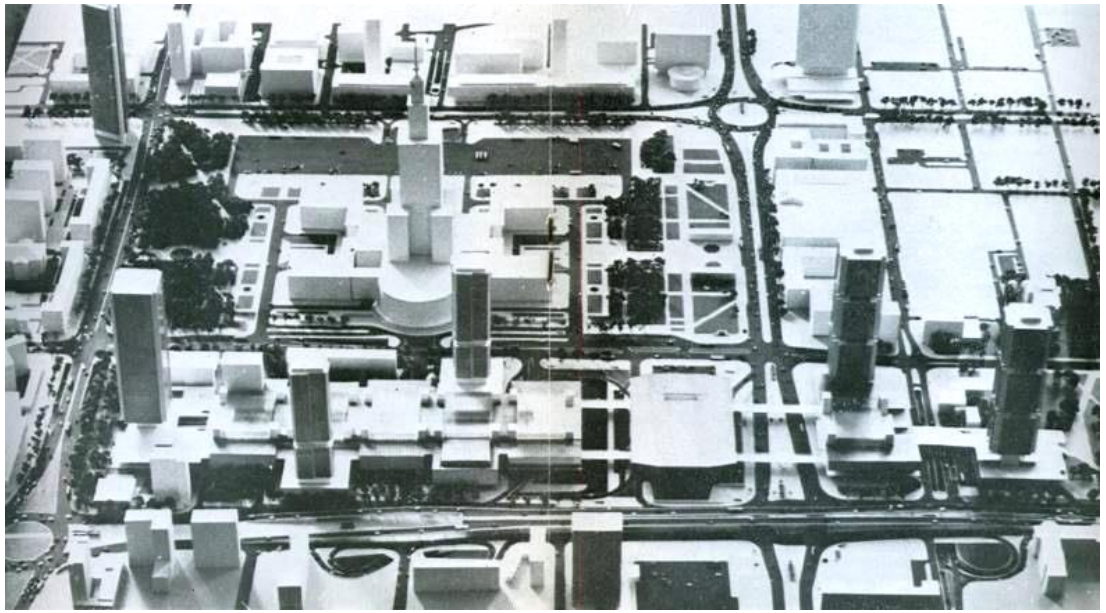
*Wypowiedź ówczesnego prezesa Oddziału Warszawskiego SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej), architekta Ryszarda Trzaski::*

Kiedyś spotkałem Mariana na ulicy. Był zafrasowany, zresztą jak zawsze. Opowiadał, że władze stolicy żądają od niego, aby „War-Cent” wykorzystał swój potencjał do wykonywania innych dokumentacji bardziej potrzebnych miastu, niż przyszłościowe wizje centrum. Uważał on, że jego obecny zespół nie zechce i nie może, a właściwie nie potrafi podjąć się opracowań realizacyjnych. Podzielałem ten pogląd. W tym czasie „War-Cent” dostał od miasta dodatkowy lokal biurowy w starym budynku na Bema 70. Dostanie od miasta lokalu biurowego było wówczas wielkim osiągnięciem, ale nie odpowiadał on oczekiwaniom generalnych projektantów i nie chcieli go zająć. Marian prosił mnie, aby SARP wskazał człowieka z autorytetem, który ma duże doświadczenie w realizacji znaczących budynków, który to człowiek potrafiłby stworzyć dostateczną przeciwwagę do obecnego stanu biura. Odparłem: — Co tu dużo szukać, ja się piszę na to. — I tak wszedłem w skład tego dziwnego biura projektów.

Teraz, po wielu latach bardzo jednoznacznie widzę ówczesne problemy naszego biura.

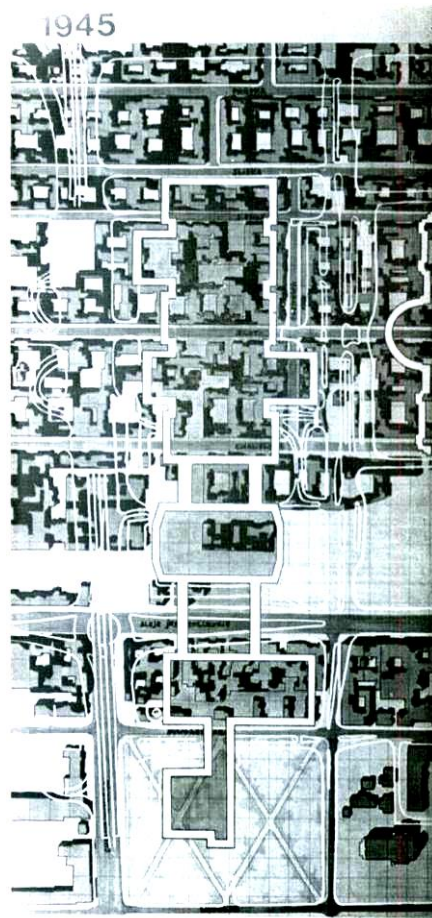
Przecież Marian dostał obłądne zadanie. Podporządkowano mu grupę ludzi bardzo ustosunkowanych, dla władzy autorytetów w dziedzinie urbanistyki, ludzi, którzy zapewnili władzę, że socjalizm, że działalność władzy może zakwitnąć wspaniałymi obiektami w centrum stolicy. Obficie ilustrowane opracowanie na temat ich wizji centrum Warszawy było głównym dokumentem na konferencji sprawozdawczo-wyborczej śródmiejskiej organizacji PZPR (Polska Zjednoczona Partia Robotnicza). Wykonana wspaniała makiet centrum Warszawy stała się jeżdżącą po świecie wizytówką Gierka świadczącą o przemianach w Polsce, jakie zapowiadał.

Generalni projektanci centrum Warszawy chcieli zajmować się tylko projektowaniem, nie chcieli być obciążeni jakimkolwiek administrowaniem, nie chcieli być dyrektorami biura. Ale od dyrektora biura brutalnie wymagali spełnienia obietnic władzy, żądali, aby dyrektor biura bez przerwy monitował władze o spełnienie tych obietnic. Władze państwa miały makietę centrum i wspaniałe plansze i to im wystarczało; władze nie miały pieniędzy na tak dużą inwestycję, wykonywały więc pozorne ruchy, do niczego nie prowadzące. Z kolei władze Warszawy usiłowały wykorzystać War-Cent do rozwiązywania ich przyziemnych potrzeb komunalnych.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Na makiecie królował Pałac Kultury — dar Związku Radzieckiego — wybudowany na wyburzonym dla niego kiedyś fragmencie przedwojennej Warszawy, a po jego zachodniej stronie miał być wyburzony, z zachowaniem jedynie Dworca Centralnego, dalszy kwartał zabudowy między ulicami Noakowskiego, dawną Juliana Marchlewskiego, a obecną Jana Pawła II, Świętokrzyską, Emilii Plater i Wspólną pod tak zwany Zachodni Rejon Centrum Warszawy.



Wymagane wyburzenia istniejących dobrych budynków

dla realizacji Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Część kredytów zaciągniętych przez Gierka na Zachodzie miało pójść na tę realizację. Stąd wokół autorów kręciło się szereg ekspertów z Zachodu, którzy szukali łatwego zarobku. Autorzy byli kolegami polskich dygnitarzy, a Marianowi zostawiono ukręcenie bicia z piasku, czyli stworzenie z niczego biura projektów i warunków pracy dla tak ambitnego zadania. Nie miał Marian szans na sprostanie temu zadaniu, toteż prowadzali go jego „podwładni” po Komitetach partii, po Sekretarzach, żądając przywołania Mariana do porządku, do spełniania wymagań projektantów.

Na dodatek zespół autorski tak był duży jak drużyna piłkarska, a tylko dwaj silniejsi zdobyli te wspaniałe pozycje w stolicy. Pozostali autorzy dręczyli więc Mariana, aby i im przydzielono choć część takich apanaży. Tworzyli oni całe segregatory dokumentów przeciwko Marianowi. Pisali przez kalkę „notatki służbowe” ze swymi żądaniami, które to notatki Marian musiał im kwitować. To znów chowali się za Marianem, gdy trzeba było podpisywać umowy z firmami zagranicznymi, parafować dokumenty w sprawie umów międzynarodowych (tak było z budową przez Szwedów biurowca central handlu zagranicznego, obecnie zwanego „Elektrim” – zwanego tak z uwagi na wielki napis na nim zawieszony) — wszak Marian był dyrektorem, więc nie projektanci a Marian musiał parafować te międzynarodowe rządowe kontrakty.

Przynajmy wprost, byli to przecież urbaniści, ludzie którzy nie zrealizowali w życiu żadnego budynku, zawsze działali w wielkich zespołach z wieloma fachowcami, a tu napinali piersi, że potrafią wybudować wysokościowce w centrum Warszawy. Dreptali więc w miejscu tworząc kolejne przedwstępne warianty koncepcji urbanistycznych i brali za to olbrzymie pieniądze. ...dostawali za darmo wspaniałe działki budowlane w Warszawie, tytuły profesorów w niedalekiej przyszłości...

Władze stolicy naciskały Mariana, aby biuro przystąpiło do opracowywania projektów realizacyjnych, a urbaniści Mariana malowali kolejne ulepszone wizje urbanistyczne, rysowali wspaniałe perspektywy. Potem w gospodarce było coraz nie ciekawiej, realizacja Centrum stała się dla zwiększających się grup działaczy problematyczna, a urbaniści Mariana tym bardziej żądali od niego skutecznych zabiegów wokół swych interesów.

\*

## ***Kadencja (pierwotna)***

### *da capo*

Ostatecznie na kontynuowanie książki przyjąłem pomysł z roku 1966, choć był on skomplikowany. Pomysł polegał na szczególnej sztuce teatralnej, w której pierwszy akt składa się co prawda z autentycznych dialogów, ale stanowiących taki bełkot, że jedyne, co można było odnotować z nich, to ilość liter w nich zawartych. Drugi akt unaocznia niemiłosierne skomplikowanie systemu władzy w socjalistycznej Polsce, a mimo to nadal komplikowanej aż do całkowitego zablokowania życia narodu. Trzeci akt obrazuje prawo i przepisy postawione na głowie i niesięgające ziemskich problemów, z których jedynie powstaje coraz większy szum, stale narastający, aż staje się niemożliwy do wytrzymania. Czwarty akt mówi o tragedii naszej rodziny. Sztuka nie kończy się na czwartym akcie, bo piąty akt stanowi to wszystko, co dzieje się w naszym życiu po zapadnięciu kurtyny. Piszę to w 2015 roku, ale pamiętajmy, że lata siedemdziesiąte Peerelu nadal były niebezpieczne dla ludzi i mogłem jedynie przez sugestywność scenografii wyrażać swoje krytyczne spojrzenie. Dziś przywiązuję istotne znaczenie do zbioru zamieszczonych tu autentycznych rozmów, bowiem są unikalnym dokumentem tamtych lat, przedstawiającym rzeczywistość życia w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, jakże innych od lat obecnych. Oto pomysł z roku 1966:

architektoniczna sztuka teatralna w pięciu aktach bez antraktów, z tekstem na prawach odpisu, bez autora – gdyż wszystkie teksty są autentyczne i nie należy odbierać ich autorstwa osobom, które rzeczywiście je wypowiedziały, a reszta przecież i tak należy do reżysera.

Do wystawienia sztuki najlepiej będzie się nadawał teatr tradycyjny, acz pozujący na awangardowy; z aktorami, których kompleksy prowincjonalizmu są na najlepszej drodze do wyleczenia; koniecznie ze sceną tradycyjną, aby można było uzyskać efekty zerwania z tradycją, takie jak cały czas podniesiona kurtyna, czy brak przerw między aktami; z foyer oddzielonym ścianą i drzwiami od widowni, aby tylko najbardziej awangardowa publiczność odważyła się wyjść na papierosa (czy do domu) w czasie spektaklu wcale nie mającego zamiaru się skończyć.

Tradycyjność budynku teatru jest niezbędna ze względu na pozory awangardowości tej sztuki. Sztuka ta, w sensie plastycznym jest płaską, więc wymaga otworu scenicznego do jednokierunkowego jej oglądania, a ponadto wymaga sceny z określonym poziomem urządzeń technicznych, takim aby było możliwe wykonanie pewnych sztuczek technicznych niezbędnych dla urozmaicenia, podkreślenia i wzbogacenia samego tekstu.

Wystawienie sztuki zaleca się wykorzystywać jako argument np. braku korelacji między techniką a sztuką.

Zaleca się wreszcie nie oczekiwanie, iż kulminacja artystyczna nastąpi dopiero w trakcie samego spektaklu, gdyż zdaniem piszącego te słowa, może się okazać, iż kulminacją artystyczną jest sam ten tekst, a nie jego wystawienie na scenie. Równie dobrze może stać się dopiero sztuką to, co nastąpi po przedstawieniu, jak i tylko i jedynie specyficzny klimat (w szerokim tego słowa znaczeniu), który stał się przyczynkiem do powstania niniejszej sztuki.

Ad rem:

Jak podano uprzednio, kurtyna jest podniesiona, a w górnej części otworu scenicznego znajduje się tablica świetlna do prezentacji zmieniających się napisów. Tablica świetlna o poziomie technicznym minimum jak na Domach Towarowych Centrum w Warszawie w czasie dowolnych świąt państwowych, to jest zbite deski w kształt liter, na nich przymocowane oprawki, a w nich żarówki.

Już w chwili przychodzenia pierwszych widzów na tablicy pali się napis – „AKT V”.

Dekorację pierwszego aktu tworzy ściana aparatury komputerowej, przy czym w dobrze widocznym miejscu tej aparatury znajdują się ekrany świetlne, jest ich dwadzieścia – każdy z jedną literą alfabetu. Obok każdego ekranu znajduje się licznik cyfrowy takiego typu, jak licznik kilometrów w samochodzie. Zarówno litery na ekranach, jak i cyfry liczników muszą być doskonale czytelne dla wszystkich widzów. Zadaniem tego urządzenia będzie dokładne liczenie (przynajmniej takie wrażenie musi odnosić widz) ilości poszczególnych liter w mowach wypowiedzianych w czasie całego pierwszego aktu. Istotnym jest sam fakt liczenia, toteż dobór dwudziestu liter spośród całego alfabetu pozostawia się reżyserowi – z jednym zastrzeżeniem: nie można opuścić litery „A”, jako że jest to sztuka architektoniczna. Przy czym z pewnych powodów, sobie tylko wiadomych, piszący te słowa upatruje głęboki sens w tym, że licznik przy literze „A” nie odnotuje żadnej ilości, za wyjątkiem jednego przypadku, który zostanie omówiony za chwilę. Sama aparatura, aczkolwiek sprawiająca wrażenie solidnej, winna być bardzo prymitywna. Można na przykład wykorzystać fakt, iż znamy statystyczną częstotliwość występowania poszczególnych liter w polskim języku i wystarczy wykonać system przekładni mechanicznych, niewidocznych dla widza, a powodujących takie zmiany ilości wskazywanych przez poszczególne liczniki, aby odczyt zawsze by statystycznie prawdopodobny. Jako dodatkową asekurację dla zatarcia fałszu proponuje się wykonanie aparatury korelującej szybkość obrotów silnika napędzającego wszystkie liczniki, z ilością decybeli notowaną na scenie przez inne urządzenie. Jeżeli technikom teatru uda się w dodatku uzyskać efekt zapalania się ekranu z daną literą, przy której akurat uległ zmianie zapis na liczniku (lub jeżeli uda się uzyskać co najmniej ich stałe mruganie) to piszący te słowa będzie w pełni usatysfakcjonowany.

Ad rem:

O godzinie dziewiętnastej, gdy widzowie zgromadzą się już w komplecie, na scenę wchodzi dwóch niepozornych mężczyzn, sprawdzają stan dekoracji, a szczególnie interesują się tym, co

jest napisane na tablicy świetlnej. I gdy pierwszy z nich zaczyna sprawiać wrażenie, że podjął jakąś decyzję, postanowił coś zrobić i udaje się w lewą część sceny, drugi z nich w sposób sugestywny i odradzający mówi do tego pierwszego słowo: – nie.

Natychmiast przy licznikach przy „N”, przy „I” oraz przy „E” pojawiają się cyfry „000001”.

Ten pierwszy odwraca się i zdecydowanie choć z powagą oświadcza: – tak.

I znów przy „T”, przy „A” oraz przy „K” ukazują się wyniki „000001”.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, odczyt na liczniku przy „A” wynoszący już „000001” pozostaje od tej chwili niezmienny do końca aktu i to jest tą jedyną alegorią, aluzją i zarazem przenośnią w całym tym tekście.

Ad rem:

Pierwszy udaje się do widocznego acz nierzucającego się w oczy przełącznika energetycznego i przełącza go – może to robić nawet demonstracyjnie. W tym momencie kończy się prolog i zaczyna pierwszy akt, gdyż na świetlnej tablicy pojawia się napis – „AKT I”.

Akt I mógłby trwać dokładnie jedną godzinę. Aktorzy wychodzą na scenę w kolejności dowolnej, lecz zawsze jest ich tam co najmniej kilku. Ważnym jest natomiast, by wygłaszali dokładnie tekst, który zostanie podany za chwilę.

Poszczególne stwierdzenia zaczyna się w tekście po myślniku w akapicie. Dobór tego, którą frazę który aktor wygłosi, pozostawia się psychice samych aktorów. Od reżysera natomiast oczekuje się wydobycia, poprzez inną konwencję, tego wszystkiego w tekście co jest tragiczne, w odróżnieniu od tego co jest komiczne. Przestrzega się przed doбором przez poszczególnych aktorów tych fraz, których treść, poziom intelektualny oraz prezentowany punkt widzenia sugerowałyby jedno źródło ich powstania, to jest jedną i tę samą osobę. Nic bardziej złudnego. Autorzy tych tekstów w rzeczywistości nie wyróżniają się aż tak jednoznaczną charakterystyką osobowości i postaw.

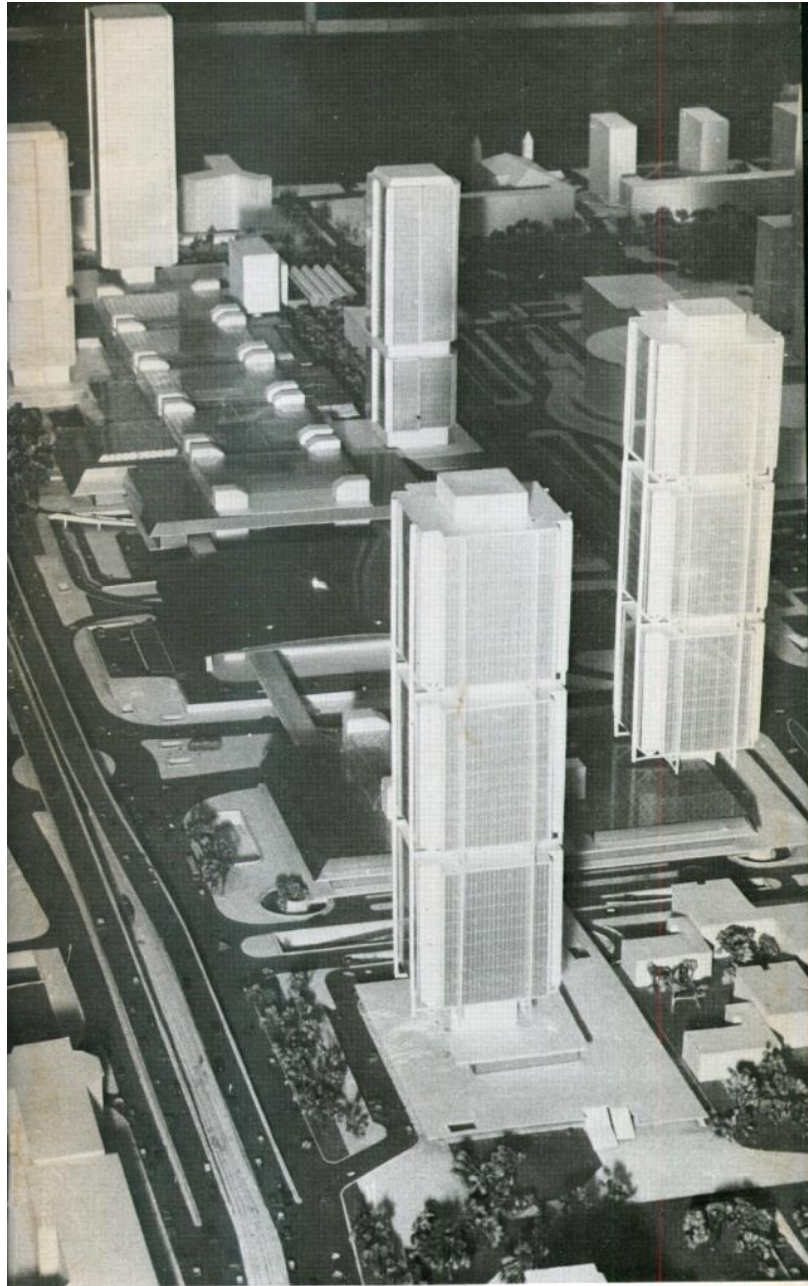
I jeszcze jedno – dla wprowadzenia pewnej dozy autentyzmu – aktorzy w czasie dyskusji, bądź rozmowy, winni siedzieć na zwykłych, choć koniecznie biurowych – krzesłach. Dopuszcza się, poprzez typ krzesła, podkreślenie hierarchii mówiącego. Tak na przykład referent powinien siedzieć na półfoteliku twardym, a starszy referent już na foteliku półtwardym (te dziwaczne nazwy krzeseł są autentyczne i pochodzą z wykonywanego co roku spisu inwentarza w całej gospodarce PRL).

\*

*Da capo*

Scena 1 to jedno z cotygodniowych posiedzeń kolegium biura. Kolegium to podejmowało zasadnicze decyzje w biurze.

Akt I. Scena 1. ALT. I.  
1 kwietnia 1974 roku



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.  
Na pierwszym planie tzw. Część południowa.

*ekspozycja koncertowa I*

*con fuoco*

BOGUŚ — ... wasza sprawa, jak się zastrzegłem w pierwszych słowach mego listu...

JUREK — Stary, że ty będziesz robił to — proszę ciebie — wiesz — jeszcze przez pięć lat, to jest twoja sprawa i dlatego — proszę ciebie — wiesz...

TOMEK — Nie masz się co denerwować. Potrzebujesz technika, to daj na ryżego ogłoszenie, no... Natomiast nie stwarzajmy w ogóle tego problemu...

JUREK — ... bo jest to problem podstawowy dla pracowni...

MARIAN — Dlaczego nie stwarzajmy? Jeśli stwarzamy problem...

BOGUŚ — Ja nie dostałem odpowiedzi na moje trzy pytania. Czy dostanę odpowiedź?

JUREK — To jest to twoja prywatna sprawa wobec tego.

BOGUŚ — Nie, to nie jest moja prywatna sprawa. Ja zadałem pytania. Ja bardzo proszę...

TOMEK — Sza, pax, pax, spokojnie. — Jeszcze ja nie zabrałem głosu. Ja nie wiem, co to jest. Dlaczego od razu na mnie krzyczycie? Dyrektor był przy głosie — odebrali mu go. Ja nie wiem, no...

JUREK — Ja uważam, że nasz pan dyrektor generalny ma absolutnie rację.

TOMEK — A mój dyrektor naczelny to nie...

JUREK — Biuro musi osiągnąć jak najszybciej pełną organizację do podjęcia się wykonania zadań od a do zet, do momentu kiedy musimy rozpocząć realizację. I żebyśmy mogli to osiągnąć, musimy mieć pełną organizację biura i dopiero wtedy sami będziemy robić dokumentację.

TOMEK — Bardzo ładnie. Ja bym tylko jeszcze dodał, że nie od a do zet, a od a do zet.

JUREK — Tak jest.

TOMEK — Rzeczywiście trzeba ułożyć ten plan stopniowy i rozumiem — między wami nastąpiło tylko zderzenie, że jeden ten gryplan będzie wcześniej robił, a drugi później.

BOGUŚ — Nie. On widzi na ekonomistkach gryplan.

TOMEK — Po kolei. Trzeba mu odpowiedzieć na pytanie, prawda?

BOGUŚ — No oczywiście.

MARIAN — Sprawę ekonomistek rzeczywiście myśmy zgłosili, tym niemniej będziemy dalej szukać i jeszcze ponownie zgłosimy do Urzędu Zatrudnienia Stołecznej Rady Narodowej.

BOGUŚ — Muszą spełniać pewne warunki.

TOMEK — Więc przyjdą delikwentki, przebadamy, zobaczymy, co to jest. Jak będą odpowiednie, będziemy przyjmować. Sprawę ekonomistek oczywiście zabezpieczyć trzeba i dla ciebie i dla innych. Tak samo potrzebujemy jeszcze jedną osobę do nas. Cztery ekonomistki powinny być.

JUREK — Trzy. Dla mnie dwie. Dla ciebie jedna.

BOGUŚ — Nie. A dlaczego dla mnie jedna?

TOMEK — Jak chce dwie, to trzeba mu dwie.

BOGUŚ — No zaraz. — Ale ekonomistka wchodzi do pracowni.

JUREK — Ale jest u mnie czterdzieści dwie osoby.

TOMEK — To znaczy dwie pracownice musisz mieć.

JUREK — No to będę miał dwie — co z tego? W tej chwili jak nie mam nic, to co będę z tobą mówił. Daj pierw ekonomistki.

MARIAN — Dobrze. Więc sprawę ekonomistek ruszamy. Odpowiedź jest taka. Prawda? Bo wiesz, na temat powierzchni biurowej chy... — No, nie wierzę dyrektorowi, który nam obiecał powierzchnię dodatkową.

TOMEK — Czyli rozumiem, że opieramy się na „wieżowej wypowiedzi”. Tak?

JUREK — No, mnie się wydaje.

MARIAN — A w przyszłym roku mamy powierzchnię.

JUREK — Nie kwestionuję sprawy wypowiedzi dyrektora, który tak poważnie potraktował nas wtedy na spotkaniu. I powierzchnię powinniśmy nabyć.

BOGUŚ — W przyszłym roku.

JUREK — W tym roku.

TOMEK — No co on ci w przyszłym...

JUREK — W tym roku.

TOMEK — Tak się umawiał, no. Mnie się wydaje, że chyba niepotrzebnie mówimy w ogóle o jakichś tam różnych wypowiedziach postronnych ludzi...

JUREK — Tak jest.

TOMEK — ... kwestionujących wypowiedź dyrektora zjednoczenia...

MARIAN — ... no bo przecież to jego własne słowa: — jak mówię, że dam, to znaczy, że mówię.



TOMEK — Jest dyrektora zjednoczenia wypowiedź? — Powierzchnię biurową mamy. Na ten temat nie powinniśmy mówić.

*poco a poco rallentando*

BOGUŚ — Moje pytanie było nie po to, żeby zadrażnić. Moje pytanie — że jeżeli ja mam takie plany do wykonania, jakie mam, to albo go zrobię, albo go nie zrobię. I po to, żeby powiedzieć, czy go zrobię, to ja muszę odpowiedzieć jutro, pojutrze, w ciągu tygodnia, a nie w ciągu ostatniego dnia kwartału. I dlatego proszę, żeby powiedzieć nam...

TOMEK — Nie. On ma rację. — Żeby się mniej więcej dowiedzieć... to absolutnie trzeba wiedzieć, no...

MARIAN — Mnie się wydaje, że oni powinni się włączyć i przedstawić nam na piśmie, że na przykład powierzchnię tę otrzymujemy w takim terminie, tę w takim terminie — teraz do tego będziemy mogli skorygować plany, prawda? — Możemy napisać my sami, że w nawiązaniu do ustaleń u pana dyrektora, chciałbym serdecznie podziękować za wykazaną nad nami opiekę. Dalej, że rozumiemy, że w takich to a takich terminach byłoby najlepiej, gdybyśmy otrzymali środki do tworzenia naszej jednostki... — i tak dalej. — Na to muszą nam odpisać, a tym samym zobowiązać się jednoznacznie.

TOMEK — Tak szefie. Teraz narzędzia pracy.

MARIAN — Wystąpiliśmy. Dyrektor zjednoczenia wyraził zgodę na taką treść tego pisma. — W związku z naszą rozmową uprzejmie proszę... — Nawiązuję do tej rozmowy, o której wiecie. — ... więc uprzejmie proszę o zabezpieczenie... — bo odpis idzie do Urzędu Miasta Stołecznego — ... nam przyjęcia specjalistów, którzy będą stanowili trzon naszego biura. — I podajemy, że obecnie mamy takich, a potrzebujemy takich... — Pismo wyszło dziesięć dni temu i jeszcze nie mamy odpowiedzi. Ale sądzę, że w ciągu najbliższych dni — może trzech — taką odpowiedź dostaniemy — pozytywną... — A jeżeli nie, to rozumiem, że nie ma o czym mówić, o naszym planie, bo nie mamy kim robić naszej roboty. Zgoda?

TOMEK — Jeszcze narzędzia pracy.

BOGUŚ — To ja prosiłbym, żeby zapisać, że jeżeli w ciągu tego miesiąca nie będziemy wyposażeni w narzędzia, to nie wykonamy planu.

JUREK — Ja rozumiem, że jemu brakuje tylko narzędzi...

BOGUŚ — Ja rozumiem... — Trzy pytania... — ... to warunkuje wykonanie planu. — Jeżeli na pierwsze przyjdzie odpowiedź za tydzień, to my wrócimy do sprawy.

MARIAN — Faktem jest, że nasze rozmowy były tylko rozmowami i skutków tych rozmów nie ma. Abstrahując od sprawy tego jednego lokalu — tamten znów był nagrany dobrych kilka miesięcy temu, niemal rok... — stąd traktujemy to jako działanie, ale nie wiążemy z tym... — nie jest to działanie adekwatne do naszych potrzeb. — Tak się umówiliśmy i tak nawet zapisaliśmy. — Nie ma konkretnych efektów, ale są przyrzeczenia i trzeba te przyrzeczenia uznać. — Również sprawa wyposażenia naszego biura. — Trzeba się spróbować zastanowić, czy te pięć i pół lub pięć tysięcy trzysta dolarów, które podobno dostaliśmy na ten wspianały komputer, można zamienić na sprzęt podstawowy tak bardzo nam potrzebny, czy nie. Komputer by nas bardzo cieszył, ale tak na dobrą sprawę bez kserografów, czy rapidomatów (rodzaj piórek do kreślenia) nadal nie będziemy mogli działać. — Wreszcie te nieszczęsne rapidomaty. Przecież każdy kreślarz powinien mieć swój komplet piórek. W grudniu mieliśmy ich dostać sto trzydzieści. W grudniu — a nadal ich nie ma. Trzeba więc podjąć niezbędne kroki, pojechać do wszystkich, kto tylko maczał w sprawie palce i zażądać odpowiedzi w sprawie.

Byliśmy w Ministerstwie Budownictwa, które rozdziela rapidomaty dla biur projektów wszystkich resortów w całym kraju, na ten temat była prowadzona rozmowa, napisaliśmy pona-glenie, potem pismo wyjaśniające... Niewykluczone, że te rapidomaty poszły już do innych jednostek — przecież bliższa koszula ciału. Są więc pewne kwestie, za którymi trzeba po prostu deptać, aż się wydepta. Sprawa ludzi jest sprawą rzeczywiście bardzo trudną i złożoną. Tymczasem będzie się działało tradycyjnie. Jest tych parę podań... Coś się tam załatwia, coś się przyjmuje. To naturalnie nie rozwiązuje problemu, Prawda? — Trzeba będzie te wnioski, te tematy, których nie potrafimy sami załatwić — to znaczy, że ktoś nie może do nas przyjść do pracy, bo nie chcą go puścić — z tymi pójdziemy do dyrektora zjednoczenia, który tak solennie obiecał nam, że to załatwi — i on nam to załatwi. Tym niemniej jeszcze raz podkreślam, że były już

oficjalne deklaracje, były stwierdzenia, no ale skutków tego na razie nie widać. Tak jak przewidywała wczorajsza konferencja, jest protokół, że dyrektor zaproponował powołanie szeregu zespołów, które przygotowują program realizacji postanowień partii w sprawie rozwoju Warszawy, to wszystkie kwestie tam będą ujęte, podjęte i naturalnie — rozwiązane. Co można w tej chwili jeszcze więcej powiedzieć?

BOGUS — Podkreślam jeszcze raz, że stosunek do tematu jest niewłaściwy. W związku z tym nie mogę inaczej się zachowywać, niż się zachowuję, dlatego że musi być honor, że albo będzie zrobiony ten temat, albo nie będzie zrobiony.

JUREK — Słuchajcie. — No siedzi poważne grono, poważnych ludzi, prowadzących poważne tematy — i o czym my rozmawiamy? — Ja już oszaleję — słuchajcie! Przecież te tematy nie mają żadnego znaczenia, bo nawet jeżeli będziemy mieli gdzie siedzieć, a nie będziemy mieli kadry, to my nic nie zrobimy. Oświadczam po raz drugi, że ten temat, który jest do zrobienia w najbliższym kwartale, jest trzy razy większy.

MARIAN — Ja się nie dziwię wypowiedziom, które tu padają, bo w pewnych kwestiach trudno trzymać język za zębami. Przecież rzeczywistość jest taka, że prawie półtora roku temu powołał Prezydent nasze biuro i zostawił samemu sobie. Ja zamówiłem pieczętę biura, zgłosiłem do rejestru przedsiębiorstw i na tym wyczerpały się moje możliwości. Powierzchnię biurową miało dać miasto, ale nie dało. W międzyczasie nastąpiły poważne restrykcje zatrudnieniowe, o każdym człowieku decyduje Wydział Zatrudnienia. Podstawowe narzędzia do kreślenia rozdzielają inne ministerstwo i przyznają, że nie wiedzą, jak te kilkaset pisaków rozdzielić na cały kraj. Mam nadzieję, że wszyscy państwo rozumują w ten sposób, że w tym zakresie nikogo z tu obecnych nie trzeba przekonywać. Więc kończmy na dziś.

\*

Wszystko było państwowe i o wszystkim decydowało państwo, czyli urzędy. Lokale biurowe dawało miasto. Nie budowało się nowych biur, było nieprawdopodobne, aby w stolicy zwolnił się jakiś większy lokal biurowy. Utworzone biuro War-Cent dostało część piętrowa na Szwoleżerów, potem niewielki lokal na Bema 70 w odległości kilkunastu kilometrów od pierwszego i nie było widoków na coś jeszcze.

W każdej pracowni projektowej musiała być tak zwana ekonomistka, była to pani, która zajmowała się dokumentami finansowymi pracowni. Tymczasem w stolicy panowała deglomeracja, czyli miasto było zamknięte, nie można było zwiększać zatrudnienia, a zwłaszcza administracji. Wydział Zatrudnienia miasta stołecznego Warszawy był potężną władzą. Dawał zgodę, a najczęściej z zasady nie dawał zgody na zatrudnienie każdego nowego pracownika. Powołane do życia nowe biuro projektów miało wielkie problemy z zatrudnieniem kogokolwiek.

Rysunki niemal od stuleci kreśliło się tak zwanymi grafionami, do których co chwilę, do każdej nowej kreski trzeba było wprowadzić kropelkę tuszu. Na Zachodzie wymyślono tak zwane rapidomaty, było to coś w rodzaju wiecznego pióra i które miało wewnątrz pojemniczek z tuszem, ale do każdej grubości kreski było oddzielne pióro. Takie rapidomaty pojawiły się i w PRL. Ale trzeba było je sprowadzać za dewizy. Państwo miało znacznie większe potrzeby importowania dla innych dziedzin gospodarki i nie chciało wydawać dolarów na jakieś biura projektowe. Jak napisałem, Ministerstwo Budownictwa sprowadzało i rozdzielało te rapidomaty dla wszystkich biur projektów w kraju.

## *Da capo*

Generalnych projektantów powoływał naczelny architekt Warszawy. On im ustalał pensje, premie, nagrody, dawał zlecenia na opracowania urbanistyczne dla Warszawy. Nie byli zależni od dyrektora biura, choć formalnie mu podlegali. Jeden był nadmiernie przebiegły, drugi nie miał żadnych zdolności organizacyjnych, a musieli kierować pracownikami i zapewnić im robotę. Dyrektor musiał ich rozsądzać, a zwłaszcza godzić.

Akt I. Scena 2. ALT. I.  
1 kwietnia 1975 roku

## *ekspozycja koncertowa II*

### *con fuoco*

JUREK — ... za umowę odpowiada zespół, który umowę przygotowuje. Ja umowę podpisałem. Podpisałem kartę programową. Nie miałem zastrzeżeń do umowy.

BOGUŚ — Stary, nie opowiadaj tu takich historii. Zachowuj się jak człowiek, bo od dłuższej chwili zachowujesz się bardzo nieładnie.

JUREK — Ja się zachowuję nieładnie? To ty zachowujesz się nienormalnie. Nie zauważyłem normalnego zachowania u ciebie. Jesteś zdenerwowany i mówisz, że cię nic nie interesuje.

BOGUŚ — Jestem zdenerwowany. Dlatego, że ciągle powstaje jakaś dziwna sytuacja, że się komuś pycha garb na plecy.

JUREK — Ile tam leży umowa u niego?

BOGUŚ — Nie wiem ile. W każdym razie jest niepodpisana. I powiedzieli, że nie podpiszą tej umowy.

JUREK — Stary, ja nie mogę dbać o umowy twoich zespołów, bracie, bo gdybym ja wiedział dwa tygodnie temu, to bym pojechał dwa tygodnie temu do niego i by mi podpisał umowę.

BOGUŚ — Nie, ale widzisz, dowcip polega na tym, że ta umowa może być podpisana tylko z tobą, gdyż dotyczy merytorycznie twoich spraw. W tej sytuacji to się kończą nasze argumenty merytoryczne. Sprawa jest jasna, gdyż od dawna nie tylko on, lecz i inni odgrążali się, że nie powinien on tego dalej kontynuować. W chwili gdy w tym rozgardiaszu padły stwierdzenia, że tamten z kolei jest najbardziej gotów wszystko finansować, to wtedy on stwierdził, że wobec tego już może nie finansować. Stary, ja rozumiem w każdym razie, że dzisiaj sprawdzisz, jakie umowy ja mam podpisane dla nich i od dnia dzisiejszego ma on siedzieć u nas. Dobrze? I sprawdzisz wszystkie umowy, jakie ma podpisane. Bo do tej pory przez półtora roku to on mi przyniósł dwadzieścia tysięcy złotych do planu. Teraz wreszcie widzisz, na czym to polega.

JUREK — Ale bardzo cię przepraszam. Stary, czego ty się po pierwsze denerwujesz?

BOGUŚ — Denerwuję się, dlatego że ja ciągle zachowuję się jak kretyński harcerz wśród was. W momencie kiedy jest przykrość, to wszyscy mnie kopią w dupę i jeszcze mówią, że ja się źle zachowuję. A ja uważam, że to jest normalna...

JUREK — Stary, ty mnie zaczynasz denerwować. Przepraszam cię bardzo, ale ja nie jestem dzisiaj nastrojony do denerwowania. Zaczynasz mnie denerwować swoją pretensją do wszystkich. Ty masz teraz pretensję do wszystkich, w ogóle że żyjesz, bracie. Musisz naprawdę kupić sobie elenium, bracie i zacząć brać elenium i zachowywać się normalnie. Przecież zaczęliśmy dzisiejszą rozmowę od tego, że powiedziałem ci, żebyś się przestał denerwować. Powiedziałem ci? A ty bez przerwy, bracie, denerwujesz się. Co ci to da? Przecież powiedziałem ci przed tym, że pojedę z tobą do niego i postaram się sprawę załatwić. Jeżeli on nam odmówi finansowania, to zwrócę się do tego drugiego, żeby nam tę sprawę załatwił. Jest to sprawa do zapłacenia. Tym bardziej żeśmy jeszcze jemu wytłumaczyli, nie dawniej jak wczoraj, czy przedwczoraj, że sprawa dotyczy obu tematów, czyli z powodzeniem może on tę sprawę finansować.

BOGUŚ — Ja to wszystko wiem. On jest niby naszym sprzymierzeńcem...

JUREK — No jasne. No naprawdę nie widzę tu problemów. Ale dlaczego robi się z tego taką aferę, dlaczego ty mnie nazywasz świnią, że ja cię chcę, bracie... — Bo ty mnie doprowadzasz w pewnym momencie do tego... — Żebyś ty sobie zdawał sprawę z tego, co to jest...

BOGUŚ — Ja zdaję sobie sprawę...

JUREK — To jeżeli ty zdajesz sobie sprawę...

BOGUŚ — ... dlatego powiedziałem jemu, że ma wyprostować wszystkie te rzeczy. I koniec. I od dnia dzisiejszego będę sobie w stu procentach zdawał z tego sprawę. Od dnia dzisiejszego. Do dzisiaj działałem na zasadzie, na jakiej żeśmy stworzyli ten cały burdel.

JUREK — Jaki burdel? U mnie nie ma burdelu.

BOGUŚ — U mnie jest burdel i dlatego ja ci...

JUREK — Ale słuchaj, ja jestem ostatnim człowiekiem, bracie, w twoim układzie przyjaciół, jestem ostatnim człowiekiem, który chciałby ci zaszkodzić.

BOGUŚ — ... stary...

JUREK — Jeżeli ty nie przyjmiesz tego do wiadomości, to będziemy bez przerwy tak rozmawiali, jak dzisiaj. Do czego doprowadziłem... — zrozum — na chwilę ty bracie zastanów się — ... że on zaczął przygotowywać wszystkie umowy w sposób planowy. Zrobił karty programowe. Opracował sobie cały plan działania. Proszę ciebie — opracował karty programowe na wszystkie twoje zagadnienia. Przygotował ci pracę na następne dwa lata.

BOGUŚ — Bardzo mnie to cieszy.

JUREK — I przygotował ci umowy.

BOGUŚ — Jestem ci serdecznie wdzięczny. Tylko przez ubiegłe dwa lata ja jego finansuję i dostałem dwadzieścia pięć tysięcy złotych produkcji. Rozumiesz? I ja chcę w jakiś sposób, nie za następne dwa lata, tylko za ubiegłe dwa lata przynajmniej odzyskać tyle ile on...

JUREK — Masz zapewnione sześćset osiemdziesiąt tysięcy przez niego i musimy te pieniądze uzyskać.

BOGUŚ — Dlatego mówiłem ci, że wobec tego trzeba, żebyś to załatwił... — To ty mówisz — co mnie to obchodzi; to jest sprawa twoja. — Jasne? — Ja się denerwuję. Dla mnie to jest istotne.

JUREK — Ja z tobą zaczynam... — ... zaczynam... — Nie mam już... — Ty mnie ściągasz na spotkanie z dyrektorem naczelnym, bracie, wymyślasz mi przy tym dyrektora, bracie; mówisz, że ja ci nie załatwiłem umowy, że ja ci powinienem te umowy załatwić, stary...

BOGUŚ — Uważam... — zupełnie harcnerskie słowo — uważam, żeś ty powinien te umowy załatwić.

JUREK — Dobrze. Czy ja nie pojechałem w tej sprawie? Nikt się do mnie przedtem w tej sprawie nie zwracał.

BOGUŚ — W tej chwili, jaka jest, tyś te umowy winien załatwić. Tak ja uważam. Jestem przekonany, że uważam słusznie, no.

JUREK — Kto wystąpił z propozycją, proszę ciebie, żeby ci zrobić pracownię?

BOGUŚ — Stary...

JUREK — Ja wystąpiłem, bracie. Widziałem, co się dzieje.

BOGUŚ — Ciągłe jest pełno jakichś niedomówień i ja muszę je ciągle prostować.

JUREK — Ty je nie prostujesz, a gmatwasz. Bo proszę ciebie, robi się w ten sposób, że jeżeli facet prowadzi zagadnienie, proszę ciebie, to stwarza mu się możliwości do prowadzenia takich zagadnień. Jeżeli ty w ciągu jednego kwartału go rozliczysz na zero, to jest, bracie, otrzeźwienie absolutne dla faceta.

BOGUŚ — Nie mówmy o przyszłości. O przyszłości myśmy się dogadali. Wiemy, że musi to być samodzielny zespół, który umie się rozliczyć, który umie zarobić. To jest sprawa przyszłości.

JUREK — Ja nie mam, bracie, pretensji żadnych do niego w zakresie układu merytorycznego. Zrobił tę robotę, którą powinien był zrobić.

MARIAN — Ja rozumiem, żeśmy się dogadali.

JUREK — Nie bardzo się dogadali, bo ja nie rozumiem wypowiedzi kolegi. Czy mam rozumieć, że zespół odmawia dalszej współpracy?

BOGUŚ — Nie odmawia.

JUREK — Tak zrozumiałem twoją wypowiedź.

BOGUŚ — Absolutnie nieprawda — nie odmawia. Wręcz przeciwnie. Jest w pełnej gotowości. Tylko żeby on zaczął mieć umowy... — Będzie musiał wszystkie te sprawy mieć wyznaczone, skonkretyzowane, dopiero będzie mógł zacząć...

MARIAN — W tej chwili jest sprawa doraźnego problemu, który rozumiem, że tak jak zadeklarowałeś, będziesz musiał z nim załatwić. Faktem jest, że on ma naciski na to, żeby nie finansował dalej nas, bo on ma pieniądze na inne prace. Jeśli tak się stanie, to trzeba go w tym

zakresie też zrozumieć. Jeżeli rzeczywiście w międzyczasie tamten, w myśl swoich deklaracji, nie weźmie udziału w dalszym finansowaniu, to będziemy do tematu wracać. Ale na razie trzeba docenić jego deklarację, że on chce płacić. Oficjalnych, poza tymi deklaracjami wygłoszonymi na tamtej konferencji, żadnych stanowisk nie było. Być może, że przyjdzie coś zaraz na piśmie i wtedy będziemy inaczej działać. Tymczasem...

JUREK — Mnie on oświadczył, że mają bardzo poważne tematy, na które nie mają pieniędzy. I to faktem jest. I że w związku z tym powinienem się liczyć, że może nastąpić moment, w którym niestety nie będzie się mógł zająć tą sprawą. Wiesz, że to nawet trochę śmieszne jest, żeby on płacił za – proszę cię – za windektrowane instalacje. Prawda? Ten moment musiał być prędzej czy później wyjaśniony. I ja uważałem, że sprawa powinna być taka, że pieniądze, które... – proszę cię – ... są w jego gestii, powinny być w gestii generalnego koordynatora.

MARIAN — Nie. Ja bym to inaczej powiedział. Nie te pieniądze, które są w jego gestii... – Po prostu tamten powinien mieć swoje pieniądze na ten cel. Skoro stwierdził, że może finansować, to teraz będziemy szukali tych pieniędzy. Ale jest sprawa dalsza. Bo istotnie raz po raz potrącamy różne tematy ogólne tej pracowni. Ja wstępnie sugerowałem tobie, żebyśmy zrobili ogólną ocenę na temat generalnych problemów. Zeszlibyśmy się z wami w tyle osób, jak tu jesteśmy teraz i byśmy sobie generalnie jakoś sprawy omówili — przecięli. Dlatego że tu bałbym się to rozpamiętywać. Po prostu trzeba pomyśleć nad tematem, przygotować się do dyskusji. Dobrze?

BOGUŚ — Nie bardzo rozumiem tematu tego spotkania. — Jeżeli miałbym się przygotowywać.

MARIAN — Zabezpieczenie wykonania zadań w zakresie projektowania. Możemy się tak umówić?

BOGUŚ — Ja nie bardzo wiem, czy możemy się tak umówić w ten sposób, bo to nie ma najmniejszego sensu.

MARIAN — No właśnie ten burdel chciałbym zobaczyć. Chciałbym pochodzić po budynku wraz z wami i zobaczyć, co kto robi.

BOGUŚ — W tej chwili jest takie rozprężenie i taki burdel, że to nie jest moment, żebym ja ci mógł akurat pokazywać, co kto robi.

MARIAN — Hm... — Moment to powinien być dwa razy dziennie każdego dnia...

BOGUŚ — Jeśli o to chodzi, to kiedy tylko masz ochotę, w każdej chwili. — ... Jeśli o to chodzi.

MARIAN — Więc spotykamy się w ustalonym terminie i musimy rozstrzygnąć definitywnie wszystkie te problemy.

BOGUŚ — Jeżeli ty masz jakieś problemy...

MARIAN — No mam. Bo jeżeli w tym pokoju tego typu stwierdzenia padają, to ja po prostu po to jestem dyrektorem, żeby się do nich jakoś ustosunkować.

BOGUŚ — Te problemy w ogóle tutaj nie powinny mieć miejsca. Ja przyszedłem tutaj, żeby porozmawiać o kłopotach, a nie wysłuchiwać pretensji, że ja coś źle zrobiłem.

MARIAN — No toteż właśnie chciałem, żebyśmy spokojnie pomyśleli wszyscy nad tym i spotkamy się. Rozstrzygniemy wszystko w sposób zdecydowany, pryncypialny i ostateczny. Dobrze?

BOGUŚ — Ale komentarz na ten temat też wygłosiliśmy. Ja miałem być o wpół do dwunastej u...

JUREK — A w jakim kierunku jedziesz? Czy mógłbyś pojechać przez Krakowskie?

BOGUŚ — Dobrze.

\*

Ten sam zespół architektów wygrał konkursy na Zachodni Rejon Centrum Warszawy i na centrum Pragi. Szybko okazało się, że ZRCW będzie miał jakieś szanse kontynuacji, a centrum Pragi będzie spowalniane. Jurek wyczuł w tym problem i osiągnął rozdzielanie tematów poprzez powołanie oddzielnej pracowni dla Bogusia, który miał zająć się opracowaniami dla centrum Pragi. Szybko okazało się, że Praga, czyli Boguś nie ma zleceń, tym bardziej że akurat zamierzał przeprowadzić niezbędne, ale duże

studia nad kanalizacją, wodociągami itp. na Pradze. Logiczne dla miasta stało się, że nie może tego finansować naczelny architekt Warszawy.

**Kanon***intrada*

Koniec pierwszego aktu jest zaznaczony tym, że maszyny liczące przestają działać, wszyscy ze sceny, a może i z widowni wychodzą i na scenie pozostaje tylko jeden siedzący na krześle i wyraźnie spisuje uzyskane wyniki na licznikach przy poszczególnych literach. Na tablicy świetlnej pokazuje się napis „AKT II”, który mógłby trwać dokładnie pół godziny. Bezszelestnie znikają maszyny liczące, tło jest czarne, nieprzeniknione. Znikają wszystkie krzesła. Zostaje jedno krzesło, a na nim ten notujący. W czasie notowania często zakłada on nogę na nogę, po czym je zmienia. Bywają przerwy, w których nie robi tego. Notuje jednak nieustannie. Nad nim, pionowo, nieco skośnie, wypełniając niemal całą scenę pojawia się konstrukcja. Konstrukcja wykonana z rur, z przymocowanymi, regularnie rozmieszczonymi siodełkami rowerowymi; winna być bardzo ażurowa i jak najmniej widoczna. Siodełka są tak rozmieszczone, że gdy na najbliższych, powyżej „piszącego” usiądą „cienie”, to mogą oprzeć stopy na jego udach. Kompozycja polega na tym, że zawsze siedzący jeden rząd wyżej opiera swą prawą stopę na lewym udzie siedzącego poniżej po prawej stronie, a lewą stopę opiera na prawym udzie siedzącego poniżej po lewej stronie.

W czasie gdy „piszący” notuje w zamyśleniu, „cienie” obsiadają dokładnie i regularnie całą konstrukcję. Następuje to powoli, stopniowo, niepostrzeżenie, aż wszyscy opierają swe stopy na udach osób siedzących niżej i w rozkroczu (między udami) mają głowy siedzących dwa rzędy niżej. Zwartość kompozycji w tym zakresie byłaby istotna, a autentyczne zbliżenie głowy jednego do krocza (genitaliów) drugiego – cenne.

„Piszący” wyraźnie usiłuje założyć znów nogę na nogę, ale mu się to już nie udaje. Nie pozwalają na to oparte na jego udach stopy siedzących powyżej. Cała kompozycja cieni wraz z „piszącym” jest unieruchomiona.

W tym czasie, na drugim planie, przy wzmagającym się punktowym oświetleniu pojawia się naga, piękna dziewczyna. Może nawet wstać ze stojącego obok łóżka. Zaczyna ona swój bardzo naturalny ceremoniał starannego ubierania się. Szkoda, że zanim przez te wiele lat zdecydowałem się (w 1976 roku) na zapisanie tego, warszawski Teatr Syrena na to wpadł i podobno pokazuje tak zwany antystryptis.

Ta moja może mieć ładną toaletkę z wielkim lustrem, w którym również możemy ją podziwiać. To – jak się ubiera – nieraz w życiu bywa piękne. Tu musi być tak wyreżyserowane, aby było piękne.

W tym końcowym stadium ubierania się jeden z „cieni”, najlepiej siedzący najwyżej, najwyraźniej z nudów zdjął nogi z ud siedzących poniżej i zaczyna pedałowac, w powietrzu.

Po chwili udziela się to i innym. Wszyscy już pedałowują, może i „piszący”. Wszystko jednak stoi. Nic się nie zmienia. Najwyraźniej to spostrzegają, bo tracą zainteresowanie pedałowaniem – powoli nieruchomieją zdezorientowani brakiem skutku.

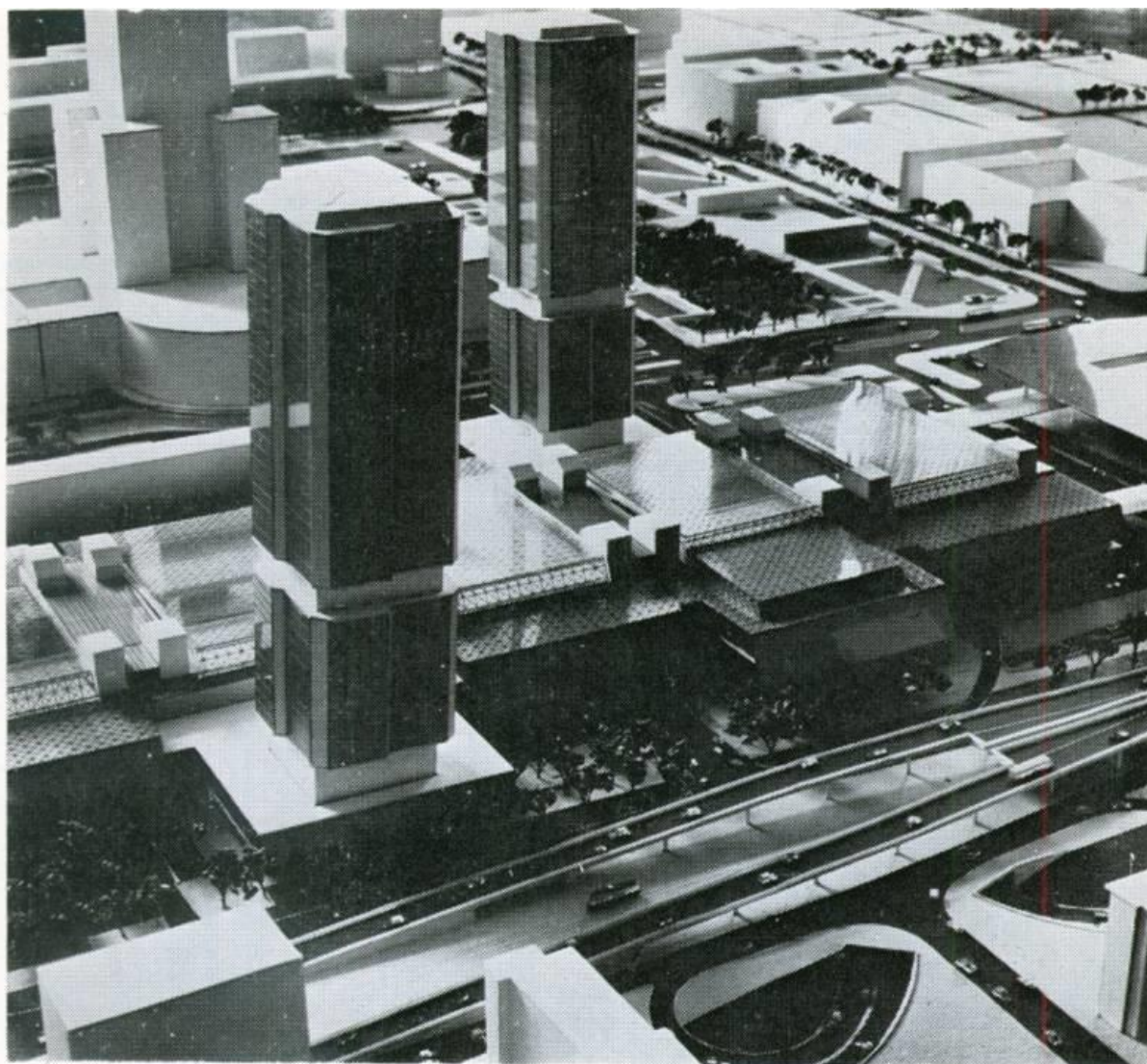
Jednak któryś z nich zaczyna kierować, jakby kierownicą, w powietrzu. Robi to z przejęciem. Udziela się to wszystkim i wszyscy z całą pasją kierują. I tym razem nadal wszystko stoi, nic się nie zmienia, nic nie osiągnęli. Jedynym skutkiem całego procesu było, że w czasie „zasiadania cieni” ich głowy znajdowały się w dwuznacznym położeniu, a potem przy „pedałowaniu” i „kierowaniu” w największych opałach znów były li tylko ich głowy, popychane, szturchane i nacierane przez uda i ręce innych. Wszystko to, tak jak niepozornie pojawiło się, tak niepozornie znika. Nie wiadomo nawet kiedy, już ubrana, wyszła piękna dziewczyna. Na scenie znów zostaje sam „piszący”. Tak zaakcentowany jest koniec aktu drugiego; poza oczywiście zmianą na tablicy świetlnej, gdzie pojawia się napis „AKT III”. Akt ten trwa piętnaście minut.

Jest przeraźliwie widno – maksymalna ilość Luxów - minimalna ilość decybeli. Poczynając od najdalszego końca sceny zaczynają bezszelestnie, kolejno opuszczać się białe, płaskie ekrany. Mogą to być np. odwrócone do góry nogami powiększone kopie różnych aktów prawnych z czytelnymi nagłówkami, które tu znajdują się najniżej – nad samą ziemią. Ekrany zwisają nad ziemią, ale jej nie sięgają. Ten najdalszy od widzów zwisa najniżej, na kilkanaście centymetrów nad ziemią. Ten najbliższy zwisa na jakieś półtora metra nad ziemią. Różnica odległości kolejnych

ekranów od ziemi ma charakterystykę paraboliczną. Również podłogę sceny, dla uzyskania pożądanego efektu, należy tak ukierunkować, by dla wszystkich widzów była doskonale widoczna ta szczelina między przepisami a ziemią. To statyczna dekoracja. Silnie oświetlona, jak powiedziałem. Między taką dekoracją spokojnie przechodzi dziewczyna. Gdy przechodzi między przednimi ekranami, widać ją niemal całą poza głową. Gdy przechodzi między tylnymi ekranami, widać zaledwie stopy do kostek. Piękne buty i kreacje obowiązują. Przechodzących pań pojawia się coraz więcej, coraz więcej. Wreszcie jest ich tak dużo, że trudno ocenić, czy nadal przybywają. Jednym słowem feeria pięknych nóg. Temu przybywaniu nóg towarzyszy, najpierw szept pierwszej przechodzącej, potem szepty rozmowy dwóch, potem szum kilku rozmów, w końcu, gwar, bardzo głośny, lecz zanim osiągnie poziom uciążliwości, zanika. Tak kończy się akt trzeci.

Na tablicy świetlnej pojawia się napis „AKT IV”. Trwa on przez pięć minut tylko. W czasie tego aktu systematycznie, po kolei co może, to znika; co nie może zniknąć, to jest wynoszone; a co trzeba, to demontowane. Wykonywane jest to aż do stadium, gdy pozostaną gołe mury sceny, z po raz pierwszy pokazanym takim obrazem sceny, który nawet najbardziej awangardowe teatry czymś przysłaniają, a gdy decydują się nawet nie przysłonić, to robią z tego kokieterijną dekorację. Tu musi być osiągnięty stan absolutnego wyprucia. Scena jak przygotowana do remontu. Zwykły stół, cztery krzesła, jedno z nich jest tym, na którym siedział od początku „piszący”. Nad nimi zwisa żarówka i świeci się.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.



## *Rapsod*

### *eroico*

Siedzi czterech mężczyzn, wyraźnie różnych wiekiem, mówią według starszeństwa:

- Roboty, wicie, mam coraz mniej. Nawet dali jakieś zlecenie do Czechosłowacji, ale z czego to zrobić. Już nie te siły co dawniej. Odnieście jutro te świeczniki do zakrystii.

- ...gdy mi brali szpik kostny do analizy, to leżałem na boku, a oni wbijali w miednicę taką grubą igłę. Bez znieczulenia, a nic nie czułem. Może nie bolało. Najważniejsze, że nie potwierdzili białaczki.

- Ja w tej nowej pracy jestem już bardzo blisko projektowania. Chodzę do biur projektów, piszę notatki i informacje o projektowaniu, nawet analizuję strukturę kadrową, czystość profili działania i stopień utypowienia...

- Zobaczcie – ten guz – o tu, pod pachą – tak jakby się trochę pomniejszył, od wczoraj...

Zapala się na tablicy świetlnej napis „AKT V”. Nic się już więcej nie dzieje. Czyżby?

Tego dnia odbył się pogrzeb naszej Matki, miała zaledwie 55 lat, ale nie chciała przeżyć nieuchronnej śmierci najmłodszego dziecka. Mój młodszy brat miał stwardnienie rozsiane. Starszy brat był bliski białaczki. Ojciec, zawzięty rzemieślnik, prywatna inicjatywa, totalnie niszczonego przez ustrój – dogorywał. Paradoxs chciał, że ja pracowałem w aparacie partyjnym. Dramat rodzinny.

\*



## *Da capo*

Brak obiecanych środków działania biura (tj. lokali, narzędzi, sprzętów, etatów, a zwłaszcza fachowców) i skłócenie wewnętrzne projektantów zostało uzupełnione brakiem zdecydowania władz miasta. Demonstrowany niedawno entuzjazm decydentów gdzieś się ulotnił. Autorzy doprowadzili więc do konfrontacji sił – na konferencji pojawiły się władze: prezydent Warszawy (Jerzy Majewski), sekretarz Komitetu Warszawskiego – Adam Kowalik, byli obecni dyrektorzy decydujących stołecznych instytucji: Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta – Jerzy Kubiszewski; Naczelny Architekt Warszawy – Tadeusz Szumielewicz; Stołeczne Zjednoczenie Projektowania Budownictwa Komunalnego – Stanisław Kluszewski i wielu innych.

Akt I. Scena 3. ALT. I  
25 kwietnia 1975 roku

## *Mazur – (ekspozycja koncertowa III)*

### *adagio*

PREZYDENT — Więc, towarzyszu, powiedzcie, o co wam chodzi.

JUREK — Od strony formalnej, Towarzyszu Prezydencie, trzeba ostatecznie przesądzić zaawertowanie koncepcji zachodniego centrum Warszawy. Na niektórych oficjalnych spotkaniach padają stwierdzenia, iż koncepcja właściwie nie została prawnie przyjęta. I ten akt właściwie powinien mieć miejsce w mieście. Druga sprawa to podjęcie uchwały na temat przygotowania do jej realizacji. Prace w tym zakresie były prowadzone. Wreszcie trzeci temat dotyczyłby decyzji na temat terminu realizacji miejskiego dworca lotniczego i pierwszego obiektu, który przewiduje się do realizacji na tym terenie. To są te podstawowe kwestie, które pragnęlibyśmy zgłosić.

PREZYDENT — I teraz bym proponował rozpatrzyć ten temat w następujący sposób. Przyznam się, że dla mnie najważniejsza sprawa jest taka, żeby realnie spojrzeć na kwestie możliwości realizacyjnych od strony wykonawcy i od strony także naszych możliwości. Musimy sobie zdawać sprawę z tego, w jakim my stanie mamy dokumentację. Kończymy fazy studialne i przechodzimy do fazy realizacyjnej. Musimy więc mieć w tym momencie poważnego partnera do uzgodnień, bo inaczej to będzie to wszystko zawracaniem głowy. I my musimy też być partnerem do budowy. Nie wiem, czy zespół tego dworca lotniczego może być realizowany niezależnie od reszty, ale ta pozostała część, to jest jedna rzecz, która musi być kompleksowo robiona. A więc ważne są możliwości etapowania. Musi być wyraźnie powiedziane, że zależnie od tego jakie będziemy mieli możliwości, tak ustawimy realizację. Nie można robić na skład dokumentacji za setki milionów złotych, angażować biuro, dla którego znajdą się inne zadania, bardziej pożyteczne. I zależnie od tego, od tych ustaleń ustawić program biura. Musimy sobie te sprawy powyjaśniać do końca. Przystąpiliśmy z Towarzyszem Sekretarzem do rozmów w Komisji Planowania. Przedstawiliśmy Komisji Planowania koncepcję. Zespół ludzi odpowiedzialnych za dobór inwestycji z Komisji Planowania zapoznał się z koncepcją. Koledzy z Komisji Planowania przygotowują dla nas uwagi jeszcze merytoryczne do tego projektu...

JERZY — ... plan metodologii pracy w zakresie planowania inwestycyjnego w zrzeczeniu, ale to są wszystko przedbiegi. Problem podstawowy polega naszym zdaniem na tym, że dzisiaj należałoby doprowadzić do przedstawienia koncepcji programowo-przestrzennej Towarzyszowi Przewodniczącemu Komisji Planowania, bo on smaży swą wypowiedź bez nas, a tego się boję. Wstrzymałem w tej chwili wydawanie jakichkolwiek szczegółowych materiałów, dlatego że jak oni zaczną tę sprawę referować, to możemy się znaleźć w sytuacji, która będzie wymagała odwracania. I dlatego my musimy otrzymać opinię od Komisji Planowania, jak widziałaby możliwość zabezpieczenia środków na realizację — po pierwsze — dworca lotniczego oraz tego pierwszego — że tak powiem — obiektu wysokiego, na który robimy założenia...

TADEUSZ — ... umowa jest już podpisana, inwestor zastępczy wyznaczony — dlatego trzeba by ustalić, jak Komisja Planowania ocenia możliwości realizacji.

JERZY — Komisja Planowania jest skłonna udzielić tych informacji w rozmowach na szczeblu dyrektorów zespołów i szacunkowo to mi wygląda na to, że to by kosztowało około

czterech i pół miliarda. Natomiast północna część w takim założeniu byłaby realizowana w latach osiemdziesiąt jeden — dziewięćdziesiąt. Myśmy przedstawili ten pogląd, że...

TADEUSZ — ... to znaczy, żeby na przyszłą pięcioletkę serwować część południową...

JERZY — ... i tym budynkiem z kolei bardzo interesuje się Ministerstwo Handlu Zagranicznego...

PREZYDENT — Prawidłowo. Jest to bowiem sprawa na najbliższy plan, natomiast resztę przygotowywać na następną pięcioletkę.

JERZY — I trzeci partner, który się zjawia, to jest Ministerstwo Finansów, bardzo nacierające na tę budowę. Znaczący my przedstawimy taką koncepcję etapowania, oficjalne dokumenty będą złożone i czekamy na stanowisko Komisji Planowania.

TADEUSZ — Ale zapowiada się lekki impas w dokumentacji, dlatego że mamy jednego pewnego klienta, dla którego robimy założenia, Dykcja Rozbudowy Miasta właściwie nie ma zgłoszeń następnych, natomiast całą resztę studiów i koncepcji technicznych, które my usiłujemy finansować... — Ale i my mamy ważne tematy, których nie możemy kosztem tego ograniczać.

PREZYDENT — Towarzysze, jeżeli ogólna koncepcja jest, to już w granicach tych ustaleń...

TADEUSZ — No dobrze towarzyszu, jest cały zespół, który nie może w tym czasie siedzieć. Tutaj towarzysz mówił, że nie ma zatwierdzonej koncepcji. Jest zatwierdzona koncepcja, prezentowana wtedy na kierownictwie z udziałem Towarzysza Gierka — i uznane to zostało za przyjęcie całej. Potem myśmy zaakceptowali pod względem przestrzennym i na tym — uważamy, że działalność nasza w sensie zleceniodawcy — została zakończona. Dalej to są już założenia techniczno — ekonomiczne na poszczególne fazy i tu jest teraz kwestia, co robić. Jest inwestor LOT i angażuje się w sprawę, ale teraz trzeba szukać dalszych inwestorów. Myśmy czekali na konsorcjum, które zleci...

JERZY — Tu wyjaśnijmy punkt widzenia...

TADEUSZ — ...tak — i teraz trzeba ustalić punkt widzenia — co robić dalej...

JERZY — Ja powiem, jaki punkt widzenia my prezentowaliśmy, budując te propozycje. Otóż nigdy nie było założenia, że po powołaniu konsorcjum będziemy w dalszym ciągu opracowywali w nieskończoność dalsze koncepcje. Koncepcja jako taka jest i o co chodzi? Chodzi o to, że teraz możemy robić tylko założenia techniczno-ekonomiczne na kolejne obiekty.

PREZYDENT — Tak jest. O to chodzi.

JERZY — Chciałbym wyjaśnić, że zostały zleczone założenia techniczno — ekonomiczne na terminal i wysoki budynek Lotu. Jest to — żeby to dobrze zrobić — jest to robota na dwa lata. — Ogromna, ciężka robota — żeby to zrobić.

PREZYDENT — Terminal w tym jest?

JERZY — Też. Skomplikowany dworzec obsługi lotniczej. Teraz trzeba będzie szybko szukać zleceniodawcy na ten budynek. A cały rejon południowy równolegle projektować. To jest potężny kawałek roboty do wykonania.

PREZYDENT — Towarzysze. — Nie będziemy zlecać dalszych opracowań projektowych — finansowanych przez miasto... — ... grubych milionów... — nie wiedząc, czy to w ogóle — w tym układzie — w ogóle będzie potrzebne. Takiego partnera — który wybuduje obiekt — gdy znajdziemy... — proszę bardzo — niech on to robi. Biuro niech robi... — na co ma zlecenia. A jeżeli ma wolne moce — to niech robi coś pilniejszego.

STANISŁAW — To co zostało dotychczas zrobione, to jest jedna faza koncepcyjna. Ta druga faza koncepcyjna... — jest jeszcze koncepcja... — ogólna... — to znaczy branżowa koncepcja — z uwagi na to, że to jest skomplikowany dosyć zespół obiektów, który obejmuje szereg gospodarek wspólnych. Na tą wspólną gospodarkę jest niezbędna obecnie koncepcja wielobranżowa... — I właściwie w momencie kiedy będą pojedynczy inwestorzy, to nie będzie komu tej wielobranżowej dokumentacji — obejmującej całość — finansować. — Tak, że tutaj właściwie trzeba byłoby jednak...

JUREK — Tak, ale zespół nie może działać, mając jednego tylko inwestora w tej chwili.

ANDRZEJ — Ale myśmy sobie wyjaśnili zasady projektowania, uchwały mamy z dyrektorem omówione, schemat etapów jest przyjęty i ja nie widzę powodu, żeby wracać dzisiaj do dyskusji, w sposób tak nieprzygotowany. No bo jeżeli towarzysze uważają, że tamten schemat jest

nieaktualny i czegoś nie załatwia – no to proszę bardzo – to jesteśmy gotowi podjąć dyskusję, co w tym schemacie jeszcze uzupełnić.

STANISŁAW — Dajcie propozycje – kto ma być inwestorem tej części handlowej, jaki jest koszt – to będziemy rozmawiać.

JERZY — My nie mamy już żadnych... – najmniejszego problemu... – na przykład żeby zlecić, to co się nazywa problemem uzbrojenia, infrastruktury technicznej dla rejonu południowego w ramach tych założeń – i pierwszy budynek można robić. Tylko trzeba – i jeżeli biuro jest gotowe – przyjąć wykonanie tej koncepcji uzbrojenia, tego terenu, infrastruktury dla rejonu południowego... – Ale myśmy przecież ustalili inny schemat. – Że prace te będą wykonywane na podzlecenie biura przez specjalizowane organizacje.

ANDRZEJ — My tu nastawiamy trzy organizacje projektowe.

JERZY — Uwzględniając tą dyskusję – trzeba wziąć pod uwagę takie zasady. Żeby się przymierzać do południowej części, mając jednego inwestora dla tego wysokiego budynku – i wstępny, że tak powiem podział na następne etapy, z podaniem mniej więcej, no, kubatur, obiektów i tam w ogólnym zarysie – kosztów, z propozycjami co do trybu przygotowania dalszych faz dokumentacji dla tych zamierzeń i jakieś sugestie, komu byśmy tutaj serwowali tę sprawę. A podejmiemy decyzje realizacyjne – co do dokumentacji – wtedy jak będziemy mieli inwestora.

ANDRZEJ — Dobrze. Więc stanowisko zostało ustalone i jeżeli biuro nie jest w stanie zrobić tej infrastruktury, to powinno natychmiast podzlecić.

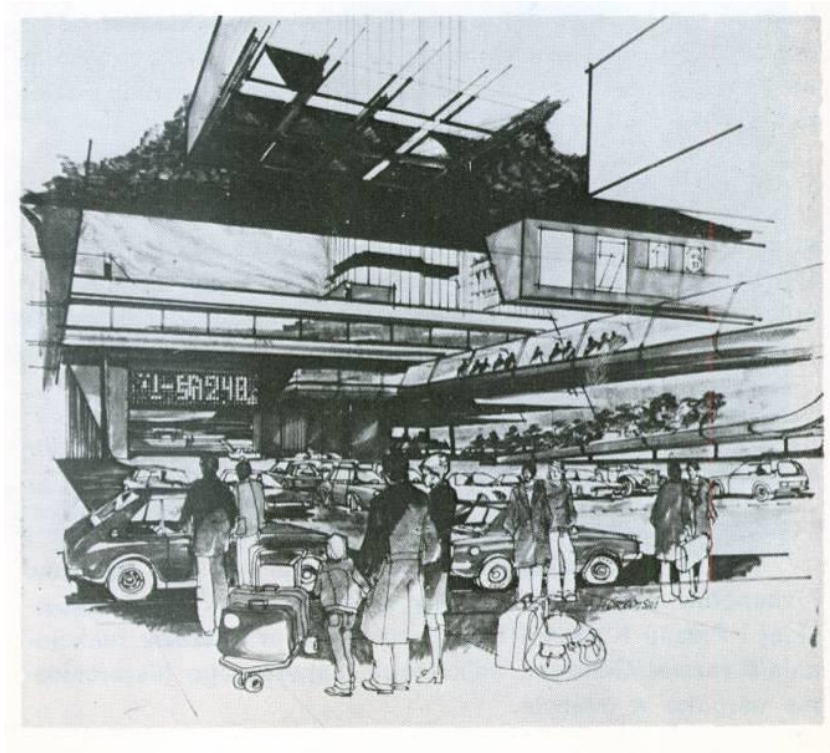
JUREK — Tu nie chodzi tylko o infrastrukturę. Mnie się wydaje, że chodzi tu również o dalszą część architektury.

JERZY — Ja w każdym razie wyjaśniam – żeby była jasność – że ze środków inwestorów nie możemy bezustannie finansować koncepcji. Inwestorzy oczekują od nas założeń techniczno-ekonomicznych.

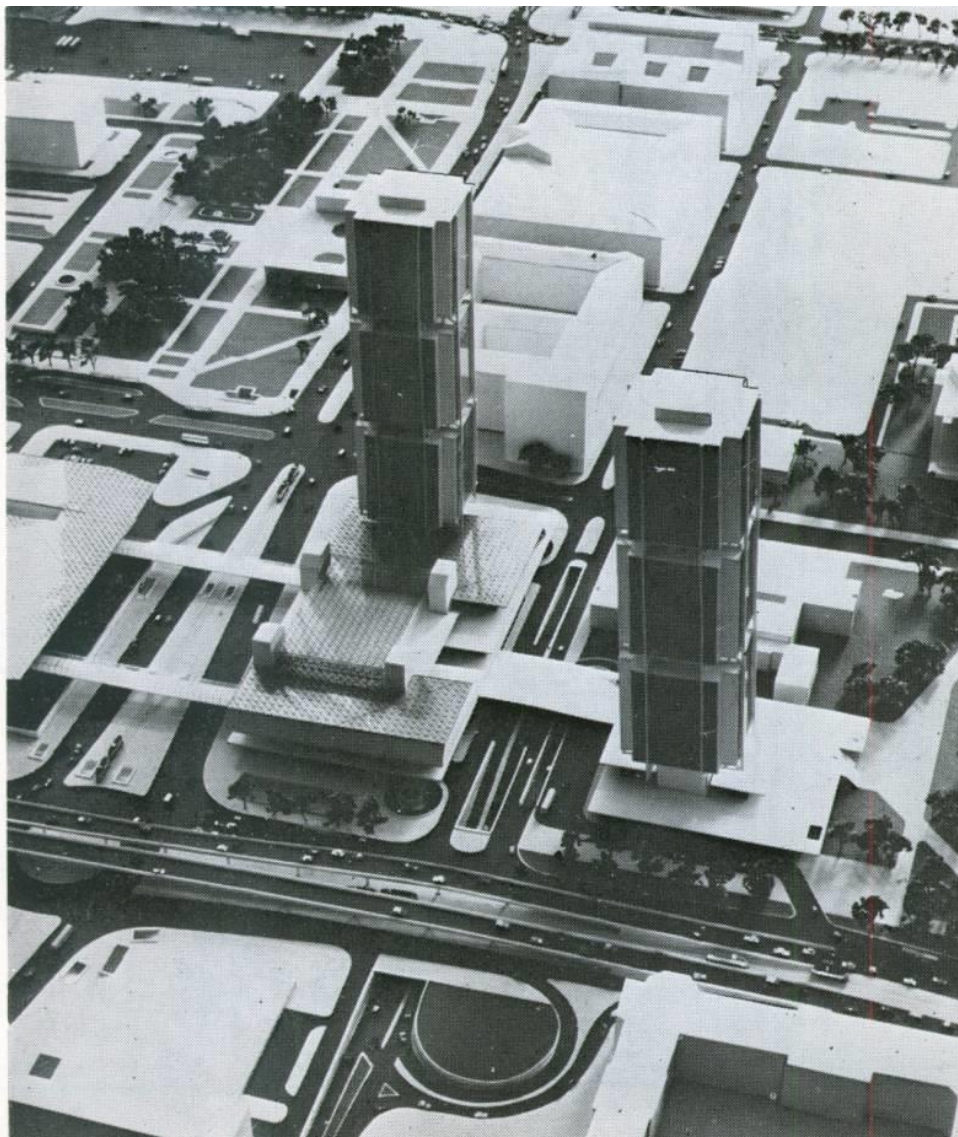
TADEUSZ — Towarzyszu. – Ja bym chciał tutaj wyjaśnić tę sprawę. Powstał jakiś mit, że nic koledzy w biurze nie robią, tylko same koncepcje w te i we w te. Oświadczam, że nie robią samych koncepcji, że to jest tak duże założenie, że to, cośmy płacili, cośmy zlecali, było rzeczą niezbędną. I w tej chwili już się nie robi koncepcji. Chodzi o to, żeby robić w tej chwili konkretną robotę. A zleceń nie ma, bo ja nie chcę zlecać faz techniczno- ekonomicznych.

PREZYDENT — Teraz tak. — Co do terminów, to później ustalimy.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy – tzw. część południowa.  
Po prawej biurowiec Central Handlu Zagranicznego,  
po lewej biurowiec LOTu i hotel. Pod nim dworzec lotniczy.

*da capo*

Prezydent Warszawy polecił podległym sobie służbom przygotowanie wniosków przyspieszających przebudowę centrum Warszawy. Miało dojść do spotkania w tej sprawie odpowiedzialnego za projektowanie w mieście z odpowiedzialnym za inwestowanie. Dyrektor Stołecznego Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego wezwał nas do siebie, aby przygotować się do spotkania z dyrektorem Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta.

*sonatina — część I ekspozycja*

*moderato*

JUREK — Więc my mamy taką sprawę... — którą... — ... jaką mamy dziś na bieżąco sprawę. Więc mamy sprawę...

STANISŁAW — Tak.

JUREK — Jesteśmy w ścisłym kontakcie z naszym inwestorem, z którym są ustalone zakresy dokumentacyjne...

STANISŁAW — Oni. Tak?

JUREK — Oni. I tam jest ustalony zakres dokumentacyjny taki. Projekt koncepcyjny. Założenia techniczno-ekonomiczne i sprawa opracowań technicznych.

STANISŁAW — Kiedy się rozpoczyna?

JUREK — Przełom siedemdziesiąt sześć — siedemdziesiąt siedem.

STANISŁAW — Siedemdziesiąt sześć i siedemdziesiąt siedem? Czyli wy się mieścicie i z koncepcją, i z projektem technicznym?

JUREK — Tak jest. Z tym że oczywiście nie mamy zapiętej dokumentacji technicznej w pełni — znaczy kompleksowo — ale ją po prostu dostaniemy... — tutaj dostaniemy zgodę na odejście od kompleksowości...

STANISŁAW — ... tak. Tak.

JUREK — Inwestycje już można będzie zaczynać.

STANISŁAW — Słuchaj — a gdy ja bym zaproponował taką taktykę — rozumisz. — Tutej jeszcze sprzymierzeńca w tym wszystkim nie mamy. — Przynajmniej — nie wiem, czy się orientujesz, czy nie — ale facet nie robi nam tutaj dobrej krwi przy tym wszystkim. Ja go zahaczyłem — czy finansowałeś cokolwiek w tym temacie? — No to on tak, tego... nie! — No to co się mądrzysz? Będziesz płacił, będziesz miał prawo się mądrzyć, bracie. Doszło jak widzicie do takiego spięcia — ale w każdym razie facet pluje i... — tam — no — ... szkodzi, no. I w tej sytuacji ja bym chciał — widzisz — przeprowadzić rozmowy na poziomie jego inwestycji. Znaczący — nie dyskutować — rozumisz — planu — co wy w ogóle będziecie robili, bo to jego nie obchodzi — rozumisz. — Natomiast... — a wiesz — a nie dawać facetowi argumentów do ręki — prawda. — Wiesz, chodzi o to, że tamten będzie... — ale jak z nim skończymy, to z tamtym zostaniemy i wtedy określimy, to co on może płacić — prawda?

JUREK — Tak.

STANISŁAW — Natomiast nie chciałbym przy nim, bo nie ma sensu — rozumisz — no bo po co? — Co on może — proszę bardzo. Chce realizować, to tutaj może być poziom dyskusji — prawda. — Czy się robi projekt koncepcyjny, czy się robi od razu zettee (założenia techniczno-ekonomiczne). — Na przykład. — Prawda. — I ty musisz zdobyć argumenty na to, żeby obronić... — Dziękuję bardzo. — ... żeby obronić konieczność... — ... konieczność... — proszę ciebie — ... konieczność realizowania projektu koncepcyjnego - prawda? — I to bądź na to przygotowany, że taki atak może być — prawda? — Bo facet może powiedzieć — dobrze, ale tylko od razu — prawda — róbcie projekty realizacyjne...

JUREK — Mam takie pytanie jedno. — A powiedz mi, skąd się bierze takie jego nastawienie? Bo dlatego że my mamy bardzo dobre stosunki z nimi. Muszę powiedzieć, że...

STANISŁAW — Myśmy się mu podłożyli...

JUREK — Nie. Myśmy się mu nie podłożyli, bo my mamy idealne stosunki z nimi wszystkimi i dlatego skąd się bierze taka atmosfera, że oni nas tam ciągle gdzieś obrabiają?

STANISŁAW — No widzisz. — Facet jest wredny po prostu. — I to jest pewne. — No, bo jak będzie z tobą rozmawiał, to będzie — cacy, cacy... — no a jak się później odwróci, to co innego — prawda. — Jako że plucie na was jest dobrze widziane. — Widzisz.

MARIAN — Hm... modne!

STANISŁAW — ...

MARIAN — Jeśli byś pozwolił, to u nas w tej chwili sytuacja jest mniej więcej taka — przy tych stu osiemdziesięciu...

JUREK — Chciałbym tutaj jedną rzecz podkreślić — wiesz? Faktem było, że w ciągu tego naszego półtorarocznego organizowania, zajmowaliśmy się koncepcjami, bo po prostu od tego żeśmy rozpoczęli naszą działalność w tym układzie. Mówię to specjalnie dla tego — że wiesz — dochodzą nas różne... - tam, tego, czy innego... - proszę ciebie — wiesz... - Natomiast trzeba powiedzieć, że rok siedemdziesiąty piąty to jest przewaga założeń techniczno-ekonomicznych i opracowań technicznych. To są pierwsze, już konkretne rozpoczęcia realizacji — prawda. — W przyszłym roku i w następnym — rozpoczęcie realizacji. — I teraz pomyśl — jak tutaj była nasza polityka w tym układzie. — Żeby robić założenia techniczno-ekonomiczne i opracowania techniczne — myśmy musieli skompletować układ branż. Żeby ruszyć samodzielnym zespołem, w dziewięćdziesięciu procentach odpowiedzialnym za to co robi. Dlatego że myśmy nie byli w stanie podejmować decyzji — ani terminowych, ani opracowań — kiedy mieliśmy trzy czwarte tematu podzlecać na zewnątrz. I być uzależnieni po pierwsze od tych ludzi, którzy na zewnątrz nam dyktowali...

STANISŁAW — No, ja rozumiem...

JUREK — No znasz te sprawy doskonale zresztą. - Dyktowali nam i termin, dyktowali nam i wycenę — proszę ciebie. — No praktycznie byliśmy absolutnie uzależnieni od tego, co ktoś nam — proszę ciebie — powiedział, czy może w tym terminie robić, czy nie może w tym terminie robić. Poza tym nawet mówiąc — co to była za firma, która mogła robić tylko koncepcje — prawda? — Natomiast myśmy doprowadzili do układu, w którym biuro zostało skonsolidowane... - Mamy swoje problemy. Prawda. Jak się orientujesz — mamy problemy z zapleczem technicznym, z maszynami, z tym wszystkim — bo do tego nie byliśmy w stanie jeszcze doprowadzić po prostu tak, żeby to było wszystko samodzielnie robione. Natomiast podstawowe opracowania jesteśmy w stanie robić sami.

STANISŁAW — Ja to wszystko rozumiem — słuchaj.

\*

*da capo*

Wreszcie doszło do spotkania przygotowującego stanowisko Prezydenta Warszawy w sprawie przebudowy centrum. Zebrali się: dyrektor Stołecznego Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego — Stanisław Kluszewski, generalny projektant Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy — Jerzy Skrzypczak, dyrektor Biura Projektów Budownictwa „War-Cent” czyli ja. A po drugiej stronie dyrektor Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta — Jerzy Kubiszewski., dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta „Warszawa — Północ” — Zbigniew Pakalski. Ten ostatni i jego dyrekcja zostali wyznaczeni jako Generalny Realizator Inwestycji ZRCW — była to funkcja tak zwanego inwestora powierniczego.

Okazało się, że zebrani mogą sobie palcem w bucie jedynie pomachać, bo wszystko leży w rękach centralnych instytucji rządowych.

Trzeba tu dodać, że walka toczyła się już o drugi wysoki budynek po stronie południowej Dworca Centralnego — tzw. budynek LOT.

Realizacja pierwszego wysokiego budynku była przesądzona. Miały go zająć liczne centrale handlu zagranicznego, a na dole Bank Handlowy. Generalnym Realizatorem Inwestycji pierwszego budynku została wyznaczona Centrala Handlu Zagranicznego „Intraco”. Centrala ta miała właśnie swój wielki sukces, bo szybko wybudowała wraz ze Szwedami wieżowiec na Stawkach. Tak się złożyło, że w tym czasie do władzy w Szwecji doszli socjaliści i Polska została wyznaczona do podparcia tego rządu. Pojechał do Szwecji nasz premier Jaroszewicz i szybko zawarł rządową umowę na budowę przez Szwedów budynku Central Handlu Zagranicznego. Jedynym konkretem w tej umowie było, że Polska zapłaci Szwecji pięćdziesiąt milionów dolarów.

Tak więc książka ta traktuje o budowie drugiego wysokiego budynku, w którym miały być biura LOT i jakiś hotel.

Zebrali się w Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa Komunalnego: dyrektor Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta — Jerzy Kubiszewski, dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta War-



*sonatina — część II — przetworzenie tematyczne*

*forte*

JERZY — Nasza opinia w tej sprawie jest jednoznaczna. Najważniejsze są założenia techniczno-ekonomiczne. Nie ma innej ważniejszej sprawy. Wszystko inne jest mniej ważne, bo co nie wejdzie do planu, to nie ma co się specjalnie napalać na to.

STANISŁAW — Jeżeli można byłoby zaproponować taką formę spotkania. Mamy dwóch zawodników, niech ci panowie zreferują nam...

JERZY — Tak jest. Proszę bardzo.

STANISŁAW — To który z panów zacznie?

ZBYSZEK — No cóż – to ja mógłbym najwyżej jeszcze troszkę rozszerzyć pierwsze zdanie szefa.

STANISŁAW — No nie. Tu muszą być konkretne sprawy.

JERZY — No konkretne sprawy – mamy konkretne umowy i zlecenia i trzeba to przygotować tak, żeby w siedemdziesiątym szóstym rozpocząć robotę. Czyli do siedemdziesiątego piątego, do lipca powinniśmy mieć zatwierdzone założenia. I to jest bardzo konkretna robota, którą powinniście wykonać. Próbujemy skanalizować dyskusje między zainteresowanymi, aby przestało to być marzeniami, lecz aby zaczęło być konkretne. To jest właśnie ta konkretna robota.

ZBYSZEK — Należy oczekiwać jednej decyzji. — Z całą pewnością. — Że po zbudowaniu Dworca Centralnego i po zbudowaniu tego wspaniałego przejścia podziemnego i po otwarciu, wszystkim oczy na to, jak to zaczyna wyglądać — będzie cholerny nacisk, żeby budować pierwszy fragment — i cudów nie ma. — Będzie taki nacisk gigantyczny na to, że jak nie będziemy mieli założeń techniczno — ekonomicznych, to zapytają nas, co wyście...

STANISŁAW — ... co wyście przez tyle lat robili?

ZBYSZEK — No o to chodzi. A wykonawstwo będzie organizowane na takich zasadach — proszę ciebie — jakie będą możliwe. Są pewne rzeczy studiowane, których nie powinno się przerywać. I są rozmowy z naczelnym, który zobowiązał się płacić za te studia. Za co trzeba, to myśmy zapłacili... — to znaczy będziemy ewentualnie zwracać, jak się ktoś upomni o pieniądzu...

STANISŁAW — No, ładnie rozegrane. Teraz druga strona ma głos.

JUREK — No cóż — odpowiadać nie ma na co. — Wystarczy dodać, że tak — zlecenia mamy od panów na siedem milionów złotych, przy czym połowa jest na co innego.

ZBYSZEK — Ale my w każdej chwili możemy wymienić te zlecenia na inne — jeśli tylko o to chodzi.

JUREK — Mnie interesuje sprawa podstawowych dokumentów do projektowania założeń techniczno-ekonomicznych. Bo my mamy tu jeden punkt sporny. Jest sprawa fazy dokumentacyjnej. Moim zdaniem nie jesteśmy w stanie zrobić do połowy przyszłego roku założeń techniczno-ekonomicznych, bo powinniśmy mieć do tego czasu absolutnie zamknięty projekt koncepcyjny tego całego zespołu z dopiętym programem użytkowym. A programu użytkowego — jako podstawy do projektowania nawet projektu koncepcyjnego — nie ma, bo został zmieniony. Poza tym nie został w pełni skonstruowany. — I teraz panowie weźcie pod uwagę...

ZBYSZEK — To co wobec tego oni wam zlecili?

JUREK — Oni są w fazie konstruowania programu na ten temat.

ZBYSZEK — I kiedy będą mieli ten program?

JUREK — Jak go przyjmą i zatwierdzą. Musimy sobie szczerze porozmawiać na ten temat. Nikt nie podejmie się robienia założeń techniczno-ekonomicznych bez zatwierdzonego programu użytkowego. Nikt nie będzie prowokował wydania kilkunastu milionów złotych za założenia techniczno-ekonomiczne, po to by w połowie przerwać robotę, zmienić ją, wyrzucić do kosza i powiedzieć, żeśmy zmarnowali trzy czy cztery miliony złotych.

ZBYSZEK — Nie. Nie! — Nikt tego nie chce. — To coś ty powiedział, jest dla mnie na tyle niepokojące, że ja zaczynam uruchamiać natychmiast wszystkie sprężyny, żeby skończyć tańcowanie wokół programu. Jak ciągle przewracają, to niech powiedzą, czego chcą.

JUREK — I teraz sprawa jest taka. Brak jest konkretnego programu dla całego zespołu, mimo wielokrotnych naszych wystąpień. Ale w myśl naszych poprzednich ustaleń myśmy sobie przyjęli, że każde elementy programowe my możemy skonstruować sami.

ZBYSZEK — Sami!

JUREK — Prawda?

ZBYSZEK — Oczywiście!

JUREK — Jeżeli podadzą nam pewne parametry wielkościowe, to my sobie...

ZBYSZEK — Właśnie! To jest elastyczna zasada projektowania.

JUREK — Natomiast my nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ruszyć z założeniami techniczno-ekonomicznymi bez rozwiązania podstawowych problemów i konstrukcji programu dla całości... - I to nas nie urządza tylko program — że oni nam dadzą — tego, czy innego konkretnego zespołu, bo teraz my na tej podstawie konstruujemy program zbiorczy dla całości. Robimy wspólne urządzenia sanitarne, wspólne stołówki, wspólne magazyny, wspólne urządzenia techniczne... - Czyli na podstawie ich konkretnych programów zbieramy to do kupy, wyprowadzamy wspólne pomieszczenia, dajemy im do akceptacji równoległe z prowadzeniem projektu koncepcyjnego.

*fortissimo*

ZBYSZEK — Zgoda! Ale do cholery — kiedy to się urodzi? Jak długo oni będą jeszcze siedzieć nad tym? Przecież my nie mamy czasu, przecież my wyjdziemy tutaj na ciężkich frajerów! Bo Prezydent powołał War-Cent — prawda? — Angażuje się miasto tutaj w prezentowanie tej koncepcji Pierwszemu Sekretarzowi KC, członkom Biura Politycznego, Premierowi — panie, a okazuje się, że my nie jesteśmy w stanie w ogóle przystąpić do prac projektowych!

*forte*

JUREK — Teraz panowie — trzeba sobie powiedzieć tak. Jest sprawa taka... — nawet jeżeli przesuwamy ją dalej. Nie ruszyliśmy jeszcze palcem nigdzie. Mimo naszych wielokrotnych wystąpień — nigdzie nie ruszyliśmy nigdzie konstrukcji jakiegokolwiek programu dla tego obiektu. Wszystko jest zawieszona. Czyli po prostu jesteśmy w sytuacji, gdzie staramy się przebijając głową mur i praktycznie biorąc nie jesteśmy w stanie tej sprawy przebić. Dlatego my dochodzimy do wniosku, że trzeba ograniczyć te pole manewru, żeby przynajmniej dla tego fragmentu zebrać choć tezy programowe do kupy i ruszyć tą całą sprawę. Przecież jesteś stary fachman od tych spraw i wiesz, że oni nie skonstruują programu, bez prowadzenia przez nas równoległe projektu koncepcyjnego. Dlatego że oni pewne sprawy sprawdzają na koncepcji — dyskutują pewne wielkości. Przecież jak myśmy im pokazali tamten projekt, przecież był u nas spęd olbrzymi — to im się dopiero otworzyły oczy — jak to — to ten drugstor jest nad nami, tutaj przechodzimy, tu jest... — Kurcze blade — zaczęli kombinować...

ZBYSZEK — ... jak się z wami gada...

JERZY — O!

JUREK — Przecież ta zmieniona koncepcja wynika tylko z tego, że się przerazili tej wspólnoty z drugstorem — szukają wypełnienia swoimi służbami całej kubatury.

STANISŁAW — To jest przecież najtrudniejszy problem do decyzji.

*meno forte*

JERZY — Widzę sprawę tak. Błyskawiczne załatwienie i przyjęcie przez zastępczego inwestora ich programu — oficjalne przyjęcie — przekazane nam w sposób oficjalny. — Na podstawie tego programu robimy projekt koncepcyjny — przyspieszony w jakimś trybie — i założenia techniczno-ekonomiczne my wcześniej nie zamkniemy, jak w pierwszym kwartale siedemdziesiątego szóstego roku i sukcesywnie do końca roku — opracowania techniczne. Tak że możemy rozpocząć realizację — koniec siedemdziesiąt sześć — początek siedemdziesiąt siedem. — Do roku osiemdziesiątego zamknąć ogródek.

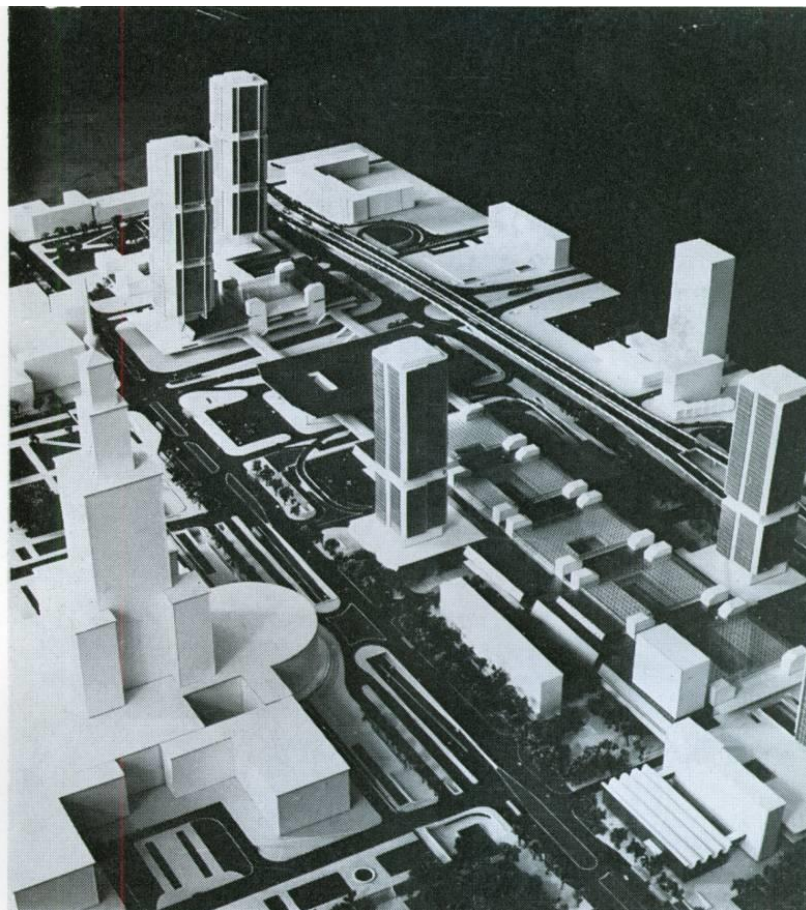
JUREK — Więc ja tu patrzę bardziej optymistycznie. Ten nowy program obiecywali na piątego. Piątego nie dał, ale zakładam, że to lada moment będzie. Rozmawiałem jeszcze trzy dni temu i dopniemy se sprawę programu tak, żeby już nam to się nie mieszało. I wydaje mi się, że

trzeba jednak mówić o założeniach wcześniej, niż tego... - Bo koncepcja, którą wy zaczniecie robić, to już jest część założeń...

\*

*da capo*

Wielkie dyrekcje stołeczne nie rozwiązały problemu, lecz zleciły szczegółowe rozpracowanie problemu przez dyrekcje jeszcze szczebel niżej. Zeszło się więc kilku ludzi u mnie, czyli generalny projektant i generalny realizator inwestycji. Debatowaliśmy, jak ugryźć realizację drugiego budynku, w którym miał być LOT i hotel. Generalny realizator inwestycji miał na dodatek już znaleźć tych, którzy zapłacą za realizację dalszych wysokich budynków po stronie północnej Dworca Centralnego.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Akt I. Scena 6. ALT. I  
26 maja 1975 roku

*sonatina — część III — reprzyza*

*piano*

ZBYSZEK — W ten sposób sprawa tych usług ogólnomiejskich, handlowych, które tam się znajdują — będzie finansowana. Natomiast na pozostałe części nie mam dotychczas żadnych formalnych użytkowników. I sprawa wisi na razie na... — No i pertraktujemy tam. Nawet chcę pójść na to, żeby fikcyjnie złapać... — Tutaj rozmawialiśmy z przedstawicielem PKO. — Chyba jesteśmy zgodni, że jeżeli nawet by był, to może być tam niewielki jakiś... — ekspozytura tego banku, ale nie aż cztery tysiące metrów biur. Ale chcę z nimi też zawrzeć umowę i na razie złapać troszkę pieniędzy na kontynuowanie tej pracy. Jest szansa zawarcia umowy z zarządem kin, ale tego na razie umyślnie nie chciałem wykorzystywać, mając tylko jeden ten zarząd kin. Jak połączę się z kimś następnym, to już będę miał możliwość finansowania.

MARIAN — Dla nas dwie sprawy by ruszyły z miejsca.

JUREK — Nie. Nie masz jeszcze tego. Ja usiłuję od trzech dni złapać któregoś z tych dwóch, ale też jeszcze nie złapałem.

MARIAN — Dobrze. To już tu mamy pogład, a teraz jeszcze taki szczegół. My zaczynamy robić projekt uporządkowania tego terenu. Ale teraz trzeba by jeszcze porozmawiać o tym następnym budynku.

ZBYSZEK — Ja przypomnę panom pewne ustalenia proponowane przez biuro w karcie programowej. Karta ta była opracowana w czerwcu tego roku i ona stała się faktycznie podstawą do ustalenia dalszej pracy. I my żeśmy zakładali, że kompleksowa koncepcja zespołu — ona musi być zrobiona, ponieważ jest to olbrzymia kubatura. I ona miała być rozpoczęta w sierpniu. A dalej miały pójść założenia techniczno-ekonomiczne, które miały być zrobione do czerwca siedemdziesiątego szóstego roku. Projekt techniczny już mógłby iść z wyprzedzeniem pewnym, tak żeby rozpoczęcie realizacji mogło się zacząć w czwartym kwartale siedemdziesiątego siódmego roku. Tak były rozpisane nasze propozycje — żeby zakończyć obiekt po prostu w osiemdziesiątym roku. Został przygotowany bardzo szczegółowy harmonogram na koncepcję. I tutaj żeśmy opracowali zarówno to studium chłonności, które było materiałem wyjściowym; jak i analizy pomocnicze... Sprawa nam utknęła w tej chwili na braku programu.

JUREK — Tutaj trzeba wyjaśnić panu dyrektorowi, że naszym zadaniem jest — po otrzymaniu programów użytkowych — wykonanie uszczegółowienia programu. I tutaj rozwijając myśl przedmówcy — trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Panowie nie czują problemu, bo dopiero niedawno przejęli temat. Nasze rozmowy, które rozpoczęliśmy, potwierdziły nasze obawy. Oni nie mają chęci zatrudnić u siebie specjalisty w zakresie programu. Wydaje im się, że mogą to zrobić w formie konsultacji, to znaczy zlecić program za półtora tysiąca, a dać nam konsultacje. Jednak ktoś musi u nich te programy wziąć i robić. Jest tutaj sprawa taka. Myśmy rozmawiali z dyrektorem, naszym bliskim przyjacielem — i bądźmy szczerzy — myśmy chcieli wykazać taką inicjatywę, ale doszliśmy do wniosku, że jest to niemożliwe. Chociażby z punktu widzenia formalnego. Ze względu na brak ostatecznych skonkretyzowanych poglądów w tym zakresie, obawiamy się, że te poglądy będą się po prostu wewnątrz samego resortu ścierały. W związku z tym one się muszą zetrzeć przed tym, nim ten materiał do nas dotrze. Dlatego że w tym układzie my nigdy nie skończymy tego opracowania, a całe odium za przeciąganie całego układu projektowania spadnie na nas jako biuro. Dosłownie musimy wymusić od użytkowników jakieś stanowisko. Dlatego chcemy, żeby użytkownik zdecydował się co do wielkości tego obiektu, co do jego generalnych założeń programowych, jak również i specyfiki, na którą oni dotychczas absolutnie nie zwracali uwagi. Po prostu przyjęli program, który był przewidziany na zupełnie inny układ i ten program w dalszym ciągu nam serwują. Natomiast wydaje mi się, że z tego co się dzieje na świecie, wszystkie firmy, wielkie przewozowe firmy lotnicze idą właśnie w kierunku przejmowania i budowy właśnie takich hoteli. Ale te hotele mają swoją specyfikę lotniczą. Są do tego przygotowane programowo. Tu dochodzi jeszcze jeden moment. Mianowicie moment lokalizacji zjednoczenia przemysłu okrętowego. Są to ludzie, którzy decydują o milionach dolarów — i oni mają około trzech i pół tysiąca rocznie takich właśnie fachowców... — nie fachowców a właścicieli — praktycznie mówiąc — takich koncernów okrętowych. Biorąc pod uwagę te trzy tysiące rocznie, to takich jest około dziesięciu, dwudziestu dziennie. I to musi być prowadzone w specjalnych pomieszczeniach, w specjalnych salach konferencyjnych, potrzebują do tego specjalne sale bankietowe, gdzie się robi... Oni absolutnie mają problem... — nie mówiąc o wysokim standardzie pomieszczeń na terenie Warszawy — żeby móc zaaranżować takie przyjęcie. I spodziewają się, że u nas to otrzymają. Byłoby nonsensem, gdybyśmy w ich pomieszczeniach na terenie wystaw organizowali takie sale bankietowe, bo po prostu jesteśmy w stanie niemożliwości zabezpieczenia standardu ich zaplecza. To się wszystko powinno znaleźć w części hotelowej. I tutaj są tego typu problemy. Tymczasem oni mówią — panowie — przyjazd — autobus — wyjazd — autobus. Na tym się cały czas... Na tym cały czas następuje dyskusja i wałkowanie problemu. Czy przyjedzie i przodem stanie, czy on tyłem stanie. I czy wyjedzie, i jak będzie wyjeżdżał? Prawda? Natomiast wydaje mi się, że wszystkie te problemy są jednako ważne.

MARIAN — Więc proszę panów — sytuacja... - obserwujemy taką specyfikę — że właściwie nie biuro projektów a użytkownik winien nam to wszystko dostarczyć. Biuro projektów oczekuje programu i z góry wiemy, że jak ten program przyjdzie, to my znajdziemy tam tyle mankamentów, że trzeba będzie powtórnie...

JUREK — Ale to już jest prawidłowość.

MARIAN — Również użytkownik chętnie by wytrzymał nerwowo i otrzymał coś od biura projektów — w sensie jakby bardziej szczegółowego rozrysowania bryły budynku — o której by powiedział, że tu jest źle, tam jest źle, to trzeba zmienić... Wszystko to wskazuje na to, że trochę racji w tych obu tendencjach jest. Jeżeli tak, to trzeba z góry wiedzieć, że ta runda dyskusji formalnej oficjalnej między przyszłym użytkownikiem a biurem projektów na temat programu wcale nie pozwoli na określenie terminu zakończenia takich rozważań. Prawda? Bo ta faza jeszcze powtórnych dyskusji i uzgodnień... Zresztą nawet i rewizja programu po rozpracowaniach koncepcyjnych — a w końcu i rewizja programu na tle ogólnej koncepcji...

ZBYSZEK — Więc my nie przewidujemy jakichkolwiek rewizji programu opracowanej koncepcji — z tego względu, że traktujemy koncepcję jako część założeń techniczno-ekonomicznych. I wyobrażamy sobie, że przyjęcie koncepcji tak układu funkcjonalnego jak i rozwiązań branżowych — nie może podlegać absolutnie żadnym jakimkolwiek zmianom programowym. Dlatego teraz kładziemy olbrzymi nacisk na jak gdyby wstępne opracowanie przestrzenne i programowe — właśnie tutaj jest czas na dyskusje, a potem już nie ma czasu na dyskusje, dlatego że to jest wtedy absolutnie załamanie harmonogramu realizacji. Bo po olbrzymim opracowaniu koncepcyjnym, które będzie kosztowało masę pieniędzy — wprowadzenie zmian programowych... - no, załamanie założeń, załamanie dalszych faz realizacyjnych — bo my biorąc na siebie ryzyko prowadzenia równoległego projektowania założeń techniczno-ekonomicznych my nie możemy sobie pozwolić na to, że nam przewrócą program i zaczniemy od początku — to wyrzucamy wtedy ciężkie pieniądze do kosza.

JUREK — Jeżeli można do tego swój punkt widzenia... - Bardzo ważnym jest to, co powiedziałeś — żeby doprowadzić do wysmażenia się tych wszystkich poglądów użytkownika — teraz. Bo to rzeczywiście potem już nie będzie czasu na przewracanie sprawy. Ja natomiast prezentuję taki pogląd — gdybyśmy się domówili co do zgodności myślenia...

MARIAN — Słusznie. Słusznie.

ZBYSZEK — I dlatego uważam, że te półtorej rundy, o której pan powiedział — musi się odbyć — chociażby dlatego, żeby się dotarła sprawa — cudów nie ma. — Ja rozumiem, że nawet taki mały margines — powiedzmy ten... no... - formalny i finansowy, że... - Nawet uważam, że musimy za ich pieniądze to dotarcie zrobić, sfinansować panom wersje różne tych koncepcji. Bo to będzie więcej pracy, niż nad jedną koncepcją. Prawda? Może półtora, może dwa i pół — prawda? — I to trzeba od razu przewidzieć i wam płacić, bo przecież nie będziecie robili za darmo... - Natomiast jak to praktycznie wygląda? — On nie wie i nie będzie wiedział, czego będzie chciał w tym programie. Przecież program w ogóle dali, tylko sami są świadomi, że ten program jest niedoskonały, że go chcą zmieniać. Nie bardzo wiedzą, w jakim chcą kierunku; - te kontrowersje między nimi a resortem są tego typu, że on ma chociaż pojęcie, czym się powinien zajmować, a ministerstwo nie bardzo chce tej świadomości dopuścić do głowy. — I ten problem trzeba będzie z naszej strony narzucić, wcisnąć. — Bo wiadomo, że tak powinno być. — Czyli pomóc właściwie im przeprowadzić to przez resort. Dlatego ja tak postawiłem sprawę ostatnio, że — prawda — resort chce jak gdyby odsunąć ich... - tylko jako doradcę, który tylko może wyrażać swój pogląd, ale wcale nie musi tego uznać. I w tej sytuacji mnie się osobiście wydaje, że ten program, który my posiadamy, nie czekając na jego zmiany — moglibyśmy spróbować narysować. — W postaci koncepcji. — I na niej zaczynać tę drugą część rundy. — Nie wiem, czy panowie się z tym zgadzają? — Tym bardziej, że jak powiadam — oni się nie bardzo orientują w tych programach, a wy będziecie robili następne takie obiekty — i nie wiem, czy macie jako autorzy — powiedzmy — jako biuro — ambicje, żeby wiedzieć lepiej od tego użytkownika. — Jak powinien wyglądać dobry taki obiekt. — Powiedzmy. — I prawie załatwić w tej formie, że program... — to jest — że ja potrzebuję budynek na czterysta miejsc. — A resztę to już biuro wie.

JUREK — Więc proszę panów — ja też... — zresztą wszyscy zmierzamy w tym samym kierunku. Po to w ten sposób zacząłem swe myśli formułować, żeby wykazać, że właściwie bardzo łatwo moglibyśmy w dwóch zdaniach zapisać, że ponieważ biuro ma zrobić coś tam w terminie — powiedzmy — końca drugiego kwartału — to coś, co się skonkretyzowało jako programy — generalny realizator inwestycji dostarczy w dniu takim a takim. — I pozornie byśmy załatwili sprawę. — Tylko wcale nie w tym rzecz leży. Prawda? — Co innego, że od takiego ustalenia nie możemy abstrahować, no bo w końcu jesteśmy stronami umawiającymi się na zasadzie umowy — gdzie pewne rzeczy biuro obowiązują — ale zleceniodawcę też obowiązują

ją... — No ale w końcu jesteśmy odpowiedzialni za doprowadzenie tematu do szczęśliwego końca i musimy wiedzieć, co chcemy przez poszczególne działania osiągnąć i co osiągamy. — Jeżeli tak — to jest jakaś taka ciepła dla nas, miła teza, że biuro będzie probierzem, że to ten program powinien być formułowany w myśl naszej ogólnej koncepcji, że właściwie to należy, żeby przyszłemu użytkownikowi dać program — on się tam najwyżej podpisze... — Być może, że tak. — Tylko nie możemy zapominać o randze przyszłych użytkowników. — I jeżeli jest dylemat aż tego rzędu — czy LOT powinien się zajmować hotelami, czy nie — i to jest... — w resorcie jest nawet tego typu wątpliwość — no to nie chcielibyśmy jako biuro podkładać się pod tego typu potem dyskusje na szczycie, że się nam potem udowodnia... — że walczy się za pomocą nas w zupełnie innych sprawach. — I dlatego jeżeli nawet by się miało w ten sposób stać, że osią tworzenia programu jest jakaś komórka u nas — która bardzo silnie się koncentruje i jakoś autorytatywnie wypowiadają się panowie jako inwestor zastępczy, a będący aż w randze generalnego realizatora inwestycji — to jednak ci przyszli użytkownicy — co tu dużo mówić — muszą po prostu przedtem spasować. — I powiedzieć — panowie — my się na tym nie znamy — poddajemy się — dostosowujemy się do tego, co nam zaserwowaliście. — A to się chyba nie stanie.

ZBYSZEK — ...

JUREK — Jeżeli wolno — to chciałbym dać przykład inny jeszcze. Myśmy prowadzili rozmowy z Giekkafitem (Główny Komitet Kultury Fizycznej) na temat projektowania centrum rozrywki i hotelu turystycznego. I na żądanie nasze wielokrotne, na piśmie — przygotowanie programu przez nich — on od tego zaczął, żebyśmy im zrobili program. Ja odmówiłem zrobienia im programu i zapytałem się: — A kto wam dotychczas robił programy? — No to oni odpowiedzieli, że dotychczas to nam robili za granicą — Szwedzi — jako najlepsi specjaliści na świecie od tych spraw. — Ja wtedy zapytałem — czy uważacie, że jesteśmy lepszymi specjalistami od Szwedów? — No, nie uważamy tak. — No to w takim razie mnie się wydaje, że dyskusja jest zamknięta i proszę nam przygotować program. — Trzeba brać pod uwagę i takie sytuacje. — Natomiast chciałbym podkreślić jedną rzecz, że myśmy przygotowali propozycję programu dla całości. Ta propozycja jest obecnie dyskutowana i opiniowana. Są różne kontrowersje na ten temat, bo jest to bardzo skomplikowana i trudna sprawa. Ta dyskusja będzie trwała dalej. I w związku z tym myśmy doszli do wniosku, że niezależnie od rozwijania się dyskusji i poglądów merytorycznych na całość programu, musimy przesądzać to, co zaczyna być realizowane najwcześniej, bez względu na to jak się ta dyskusja rozwinie. Myślimy, że ewentualne zmiany programowe będą występowały w następnym etapie poprzez zmianę propozycji. — Prawda? — Czyli jak gdyby podporządkowanie potem następnym etapów części już przesądzonej. Ja od początku twierdziłem, że wszyscy ludzie, którzy się wzięli za centrum zachodnie, są w pewnym względzie kamikadze. Ale kamikadze też mieli jakiś cel do... — a nie rzucali się tylko tak... — Dlatego ja uważam, że musi być sprawa absolutnie forsowana do przodu, natomiast pewne sprawy musimy wymuszać. I moim zdaniem te podstawowe jak gdyby założenia programowe musimy od użytkowników wymusić. — A przekonała mnie jeszcze sprawa właśnie programu. Nawet doprowadziliśmy do takiego momentu, żeśmy przeproszali i wychodzili z konferencji, bo zaczynała się dintojra. — Prawda? — Wymachiwanie i krzyki. — Prawda? — Bo tak były prowadzone dyskusje. — Więc inwestor do momentu gdy myśmy byli, to byli wszyscy uśmiechnięci, potem nam dziękowali, a jak myśmy wyszli za drzwi, to zaczynały się tam krzyki. — Prawda? — Te krzyki byłyby na nas — gdybyśmy my to robili. — A tak, to oni krzyczą na siebie.

ZBYSZEK — Jeszcze jest jeden element. Przecież w tej chwili ten program, któryśmy przywieźli — panowie go już mają też — zakładam, że go nawet znacie dobrze — ja natomiast niezbyt dobrze, bo ja go dopiero wczoraj dostałem — zdążyłem tylko przejrzeć zupełnie powierzchownie — ale wydaje mi się, że to jest program wynikiły — tak zwany ciechociński — że należy zająć cały obiekt — to jest jedyne dążenie. — I wobec tego rozdmuchać program tak, ażeby program uzasadnił przejście całej powierzchni. — I wobec tego — wydaje mi się, że ten program będzie z naszej strony ciągle punktem obstrzału.

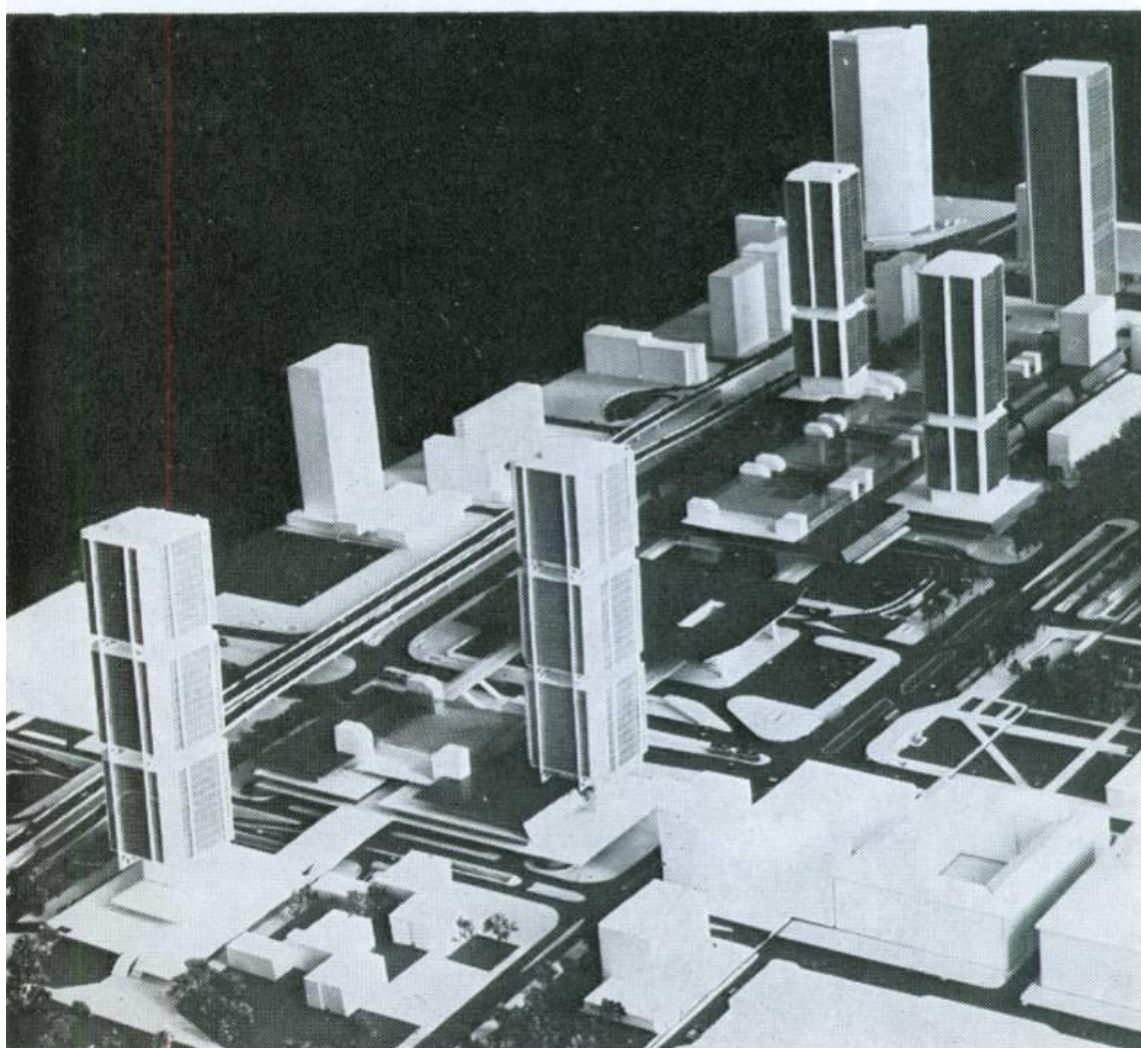
MARIAN — W każdym razie to, co się dzieje, winno być dowodem wykazującym konieczność znacznie innych zasad działania.

\*



*da capo*

W tym czasie biuro nasze już miało trzech generalnych projektantów: jeden odpowiedzialny za Zachodni Rejon Centrum Warszawy, drugi odpowiedzialny za Wschodni Rejon Centrum Warszawy — Pragi, a trzeci prowadzący inne tematy wyznaczone przez Naczelnego Architekta Warszawy.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Akt I. Scena 7. ALT. I  
2 września 1975 roku

*suita alla polacca — menuet*

*presto*  
*forte*

JUREK — Ty sobie wyobrażasz — proszę cię — że ja będę — zajmując się tymi sprawami — będę się...

TOMEK — ... w ogóle się...

JUREK — ... będę się interesował zleceniami...

TOMEK — ... porozmawiałeś, to wystarczy, żebyś powiedział jej, żeby dopilnowała...

JUREK — Przecież to się już ciągnie — proszę cię — tygodnie. Wydaje mi się, że ona jest jedna i nie daje rady — to trzeba jej stworzyć zespół, którym ona będzie tyrać — rozumiesz. — Bo jak ona będzie się zastanawiała nad tym, w jaki sposób odbić — rozumiesz — sprawę... — organizacyjnie trzeba tę sprawę... — To w takim razie ten...

TOMEK — To będzie tak: — Rany Julek, ja nic nie wiem — jak byłem tam w tym swoim planowaniu to... — Bo tak rzeczywiście w takich układach bywa, że jeżeli on ma zlecenia, to

przecież nie chodzi o napisanie świstka papieru, lecz jest to poważna sprawa i w związku z tym...

JUREK — Nie — bracie — to nie poważna...

TOMEK — Jeżeli dwaj poważni ludzie na jakiś temat rozmawiają, to mają poważną sprawę. — To przecież co ci tam planowanie będzie załatwiało? — Ja to się raczej obawiam spraw, że my tutaj nie omawiamy spraw ważniejszych — że ta rola kierownika pracowni jest jakaś niesprecyzowana. — Nie wiadomo, czy on ma generalnego projektanta, czy generalny projektant ma jego?

JUREK — Zależy, jak u ciebie jest. U mnie — proszę ciebie — jest kierownik pracowni głównym projektantem. Czyli nie ma — bracie — żadnej roli kierownika pracowni. — Pełni dwie funkcje. — A ty żeś wprowadził nową funkcję kierownika pracowni. — U mnie nie ma takiej funkcji. — Jest główny projektant, który pełni funkcję kierownika pracowni. Im będzie wyższa rola tego człowieka — to tym lepiej. Natomiast on zawsze jest głównym projektantem. Tu jest cały minus, że się wprowadza kierowników pracowni — bracie...

TOMEK — Stary — ale główni projektanci nie są płatni przez dyrekcję.

JUREK — Wszystko jedno z czego oni są płatni. Tylko że jeżeli facet ma obydwie gestie w rękę — no to bracie — jest absolutnie prawidłowa sprawa.

TOMEK — Mnie chodzi o inny układ między generalnym projektantem a kierownikiem pracowni.

— ...

MONIKA — Nie.

JUREK — Ma pani rację — wie pani.

MONIKA — No, źle się pan czuje po kawie.

JUREK — Źle się czuję po kawie — to fakt. Proszę bardzo.

MONIKA — Już, już — proszę bardzo cukier.

— ...

TOMEK — To są trudne sprawy.

JUREK — Ja ci coś powiem. — Jest sytuacja taka. — Wiesz? — Jaka jest sytuacja? — Ja muszę w pewnym momencie — bracie — zacząć naciskać na właściwą organizację biura. Dlatego że w momencie gdy ja miałem dwadzieścia czy trzydzieści osób, to ja mogłem traktować tą sprawę jak swój własny folwark. — Mimo to, że to nie było słuszne. — Ale jak prywatny folwark — dlatego że wszystkie prace, które — proszę ciebie — się — w tym gronie ludzi były wykonywane — one były praktycznie — one były do opanowania i do zrobienia bez angażowania dodatkowego — proszę ciebie — jeszcze... — czy jednostek — czy — proszę ciebie — tych... — Natomiast w momencie — proszę ciebie — kiedy to zaczyna dochodzić już, gdy jest powyżej pięćdziesiąt — sześćdziesiąt — siedemdziesiąt — osiemdziesiąt osób w najbliższym czasie — a w najbliższym czasie, no, w ciągu najbliższych dwóch kwartałów to już będzie setka... — I przerób tej setki ludzi — to jest pięćdziesiąt procent przerobu i sprzedaży całego biura... — Czyli spadają na to grono ludzi, za które ja odpowiadam — gros odpowiedzialności z tytułu wykonywania terminowych opracowań — merytorycznych, prawidłowo, w terminie. — I w związku z tym ja najwięcej zaczynam odczuwać braki organizacyjne. — I w związku z tym ja muszę się skupić na sprawach merytorycznych — bo mi się to bracie wymykać z rąk... — Natomiast muszę doprowadzić do prawidłowej obsługi organizacyjnej tej grupy ludzi.

MARIAN — Tylko czy już zdążyłeś zapomnieć, jak z tą samą swadą głosiłeś, że błędem jest planowanie centralne — bo tylko pracownia wie, co komu i jak... — czy dać już umowę, czy jeszcze poczekać — czy zlecenie takie, czy inne. — Powiedzieliśmy sobie wówczas ponadto, że ogólnym nieporozumieniem jest, że biura mają rzeczoznawców, sprawdzających — bo to są ci, którzy tylko forszę biorą i nic nie robią. — Że możemy we własnym zakresie nazwać rzeczoznawcami takich czy innych projektantów, którzy będą nam doskonale te funkcje spełniać. — No i tego typu stwierdzenie — u podłoża naszej organizacji — legło zdecydowanie. I my teraz zaczynamy zmieniać front — bo tamto okazuje się mrzonką. Tylko nie chcemy się przyznać, że trzęsiemy tym biurem, jak dziad torbę. — Nie, bo — widzisz — ta organizacja może być tak — ale może być i tak. — Jedno jest pewne, że organizacja musi być stabilna, a nie wymagać, aby zmieniała się w zależności od humoru...

JUREK — Panowie — bądźmy realistami. Ja zawsze uważałem, że jestem realista.

MARIAN — To samo dotyczyło kierowników pracowni. — Przecież powiedzieliśmy sobie — po cholere kierownik pracowni, kiedy projektant i tak to wszystko organizuje, a reszta to jest pozorowaniem pracy. — Tak jak już mówimy o organizacji pracy, tak niedługo będziemy rozważać, czy kierownik pracowni jest powyżej generalnego projektanta, czy nie.

JUREK — Panowie. — Celem jest zrobienie opracowania... — zrobienie potem w związku z tym... — i to może być jedynym celem organizacji. Nie uważam stanowiska generalnego projektanta za jakiś fetysz, który ma całą sprawę prowadzić — proszę ciebie — ma prowadzić to — czy jesteśmy w stanie zrealizować, czy nie. — Organizacja do tego powinna być podporządkowana.

MARIAN — Nie. Przecież umówiliśmy się, że dopasujemy strukturę do zadań, jakie przed nami stoją. Tamte pracownie już są takie.

JUREK — Dobrze. To on sobie może mieć. Ale ja mam teraz inną strukturę i do tego będą wymagane odpowiednie pociągnięcia.

MARIAN — Jeżeli teraz dochodzimy do wniosku, że przydałoby się żeby byli odpowiedni rzeczoznawcy...

JUREK — ... nie przydałoby się, ale muszą być...

MARIAN — ... więc muszą być rzeczoznawcy i sprawdzający jak gdzie indziej — to nie nazywajmy tego niewłaściwościami — tylko po prostu doszliśmy do tego momentu, kiedy musi być inaczej, niż to zostało wypracowane w modelu organizacyjnym biura. — Kiedy, panowie — ja na przykład nadal nie jestem przekonany, że są nam potrzebni rzeczoznawcy, czy sprawdzający. Bo jak są odpowiednie przepisy, to trzeba je stosować, a nie zasłaniać się sprawdzającymi. Sprawdzanie jest wewnętrzną sprawą projektowania. Przepisy tak mówią. — Ty natomiast zmierzasz do tego, byle ktokolwiek napisał pod spodem, że... — sprawdzone... — ... i ty już jesteś dobry. — Za nic nie odpowiadasz.

JUREK — A kto twoim zdaniem, ma się podpisać pod rysunkiem? Przecież nie ja.

TOMEK — Podpisać może każdy, kto wie, że to zostało dobrze zaprojektowane. — Nawet sam ten, który projektował. — To znaczy, że jeżeli sam zaprojektowałeś i uważasz, że nie potrzeba, żeby ktokolwiek cię osłaniał — to pod spodem piszesz: — sprawdziłem. — Też to jest możliwe. Oczywiście nie zalecam takiego stylu działania, tylko mówię, że w układach autorskich nadal można sobie wzajemnie sprawdzać — a szanowny kolega sprawdzający jest psu na budę... — Ale między nami mówiąc — wiesz — jakiś tam facet, który dotychczas robił guziki, a teraz do nas przyjdzie jako sprawdzający... — to ja czniam. — A jeśli idzie o mojego kierownika, to myśmy się umówili, że on żadnych warunków nie stawia i idzie sprawa na pełnym zaufaniu. — Jeżeli ja mu w pewnym momencie powiem — stary — a teraz za te same pieniądze trzeba pozamiatać, to on też musi posprzątać. — Na tej zasadzie u mnie każdy pracownik wie, że to nie jest to, że on jest specjalistą od stawiania kresek, tylko mamy jedno zadanie wspólne — ktoś jest tutaj szefem tego ansztaltu i ma rozdzielić zadania. — Nawet gdyby były one pozornie sprzeczne z odpowiedzialnością. Ja dlatego mam spokój, że mam odpowiedniego człowieka. Nie widzę potrzeby centralizowania tych funkcji. Kierownik pracowni może prowadzić jakiś temat, ale nie za bardzo obciążony. Bo przecież działanie administracyjne to nie jest zabawa. To jest też kupa roboty. Nie można powiedzieć, że facet będzie głównym projektantem olbrzymiego poważnego tematu i jednocześnie będzie kierownikiem pracowni. Jeszcze żeśmy do tego ideału nie doszli. Niestety jest tak dużo pracy administracyjno-formalnej, szczególnie w początkach, że oni nie mogą się całkowicie oddać tylko problemom merytorycznym. Dlatego ja uważam, że moi kierownicy też nie będą się zajmowali zagadnieniami wiodąco projektowymi. Wiodąco mają mnie zastępować w zagadnieniach administracyjnych. I tu trzeba sprawdzić, czy wszystko gra. Nie na zasadzie antagonizmów w stosunku do pozostałych pracowników — nic bardziej sprzecznego — bo to mają być przyjaciele. Mają nawet często występować jako spółka. Do tego ich naginam, przyciągam, żeby nie byli czasami dla siebie stronami. I tak to rozumiem. Z tym że nigdy nie dopuszczę do układu, że ni stąd ni zowąd kierownicy mają mnie przerosnąć. Chyba że ja jestem głupi.

JUREK — Ja tam się nie boję, żeby mnie ktoś przerosł.

TOMEK — ... chyba że ja jestem głupol.

JUREK — Ja tam się tego nie boję. Jeżeli okażą się lepsi ode mnie — to tylko się będę cieszył.

TOMEK — Chyba że jestem głupol. Proszę bardzo. Oni wtedy przejmują rolę wiodącą, a ze mnie spada wszelka odpowiedzialność. Natomiast jeśli zobaczą, że to szkodzi zagadnieniom, które ja prowadzę, to ja natychmiast likwiduję bezpardonowo wszelkich kierowników. I zrobię to bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie.

JUREK — Tylko że ja uważam, że pod koniec roku dokonamy pewnych rozliczeń i ustalimy partycypacje w zyskach. Bo ja chciałbym powiedzieć, że jeżeli będziemy mieli sytuację taką, w której ja będę wyrabiał pięćdziesiąt procent planu, jaki jest nałożony na nas wszystkich, to my z tych pięćdziesięciu procent będziemy chcieli się rozliczać. Tak że tutaj będą pewne konsekwentne — moim zdaniem — profity. Ja chcę doprowadzić do takiego układu, że jest kontrolowana każda wychodząca robota, bez względu na to, co jest robione i przez kogo. — Ma być porządek.

TOMEK — Jak u ciebie jest nieporządek, to go zrób. U mnie jest porządek — stary.

MARIAN — Panowie — faktem jest, że do końca października mieliśmy rzeczoznawców. Nikt z nich nie korzystał, bo typ prac, jakie nadal robimy, nie wymagał tego. Teraz doszliśmy do wniosku, że powołujemy rzeczoznawców i już przeprowadzam rozmowy z kandydatami. Niezależnie od tego — uważam — że nic się nie stanie, jeżeli będzie się odbywała kontrola wewnętrzna. To zawsze będzie korzystne. Niemniej uważam, że nawet jeżeli będziemy mieli rzeczoznawców, to pewne typy prac nie wystarczy dać rzeczoznawcom. Pewne typy prac będziemy musieli w sposób bardzo poważny przeprowadzić przez radę techniczną, z koreferatami wybitnych specjalistów w przedmiocie. Tak że to sprawdzanie będzie nadal bardzo różne w biurze.

JUREK — Do mnie to mówisz?

MARIAN — Do wszystkich przecież obecnych w tym pokoju.

JUREK — Stary — ja dwadzieścia lat siedzę nad tym i jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym miał jakikolwiek problem. Ja wiem, jak co trzeba prowadzić. Ja już tyle w życiu podpisałem. Żebyś ty wiedział, jakie ja opracowania sprawdzałem.

TOMEK — Czyli u ciebie był bałagan do tej pory. — Stary — ty się podciągnij. Ty musisz wszystko wyrównać, bo inaczej to my się weźmiemy za ciebie.

MARIAN — Ja mam takie podstawowe pytanie. — Czy u nas są trzy...

TOMEK — Zaperzyłeś się. Ale odpowiedz nam jak przyjaciel, jak kolega... — Ja ci teraz zadam pytanie inne...

JUREK — Zadaj mi jak przyjaciel i ja ci odpowiem jak przyjaciel.

### *poco a poco rallentando*

TOMEK — No stary — niezależnie od organizacji — to czy jest jeden temat projektowy u nas, czy więcej?

JUREK — Więcej. Ale muszę ci powiedzieć... — muszę wam powiedzieć, że jestem zmęczony. Jestem po prostu zmęczony.

TOMEK — Bo gdyby był jeden temat, to ja bym rozumiał takie stanowisko.

JUREK — Bo widzisz, mam po prostu taki temat, który nie wytrzymuje sytuacji, w której wszystko jest od nowa. Kapujesz? To nie jest temat, który można bracie... — który można w pełni rozwinąć i kontynuować, gdy wszystko jest od nowa.

TOMEK — Złe odczucie. Moje odczucie jest troszkę inne. Wiesz, gdyby to było stare biuro, to byś się zesrał i nic byś nie zrobił.

JUREK — Ja nie mówię — stare czy nie stare... — Stary — to nie można tak, żebyśmy wszystko od początku musieli — bracie — wiesz...

TOMEK — To jest fajne, że się organizuje, że jest wiele problemów...

JUREK — Już jeden oddał zdrowie za wszystko od początku. Muszę powiedzieć, że mnie to męczy wszystko — bracie.

TOMEK — Wydaje się, że te zmartwienia są nam wszystkim jakoś potrzebne.

JUREK — Jasne. Tylko że te zmartwienia powinny być u mnie w innej sytuacji.

TOMEK — Rozejrzyj się, bracie, po tamtych biurach — taki marazm. — Porozmawiaj, jak oni na to patrzą. — Do czego to w ogóle zmierza. — Tam się nikomu nie chce robić. — No. — Natomiast stworzono tu warunki — nie gadaj — w których ludziom się chce robić. — Tym samym, którym się nie chciało robić gdzie indziej.

JUREK — Właśnie chciałem ci powiedzieć — zaczyna mi się nie chceć robić. — Widzisz — o — to mnie — bracie — martwi.

TOMEK — Stary. Nie warunki lokalowe, czy organizacyjne wpływają na wyniki. W znacznie gorszych warunkach powstawały dzieła wybitne. Ważna jest atmosfera działania, wzajemność działania, pewność siebie, że w ogóle w dobrym kierunku idę — nadaje temu właściwą rangę.

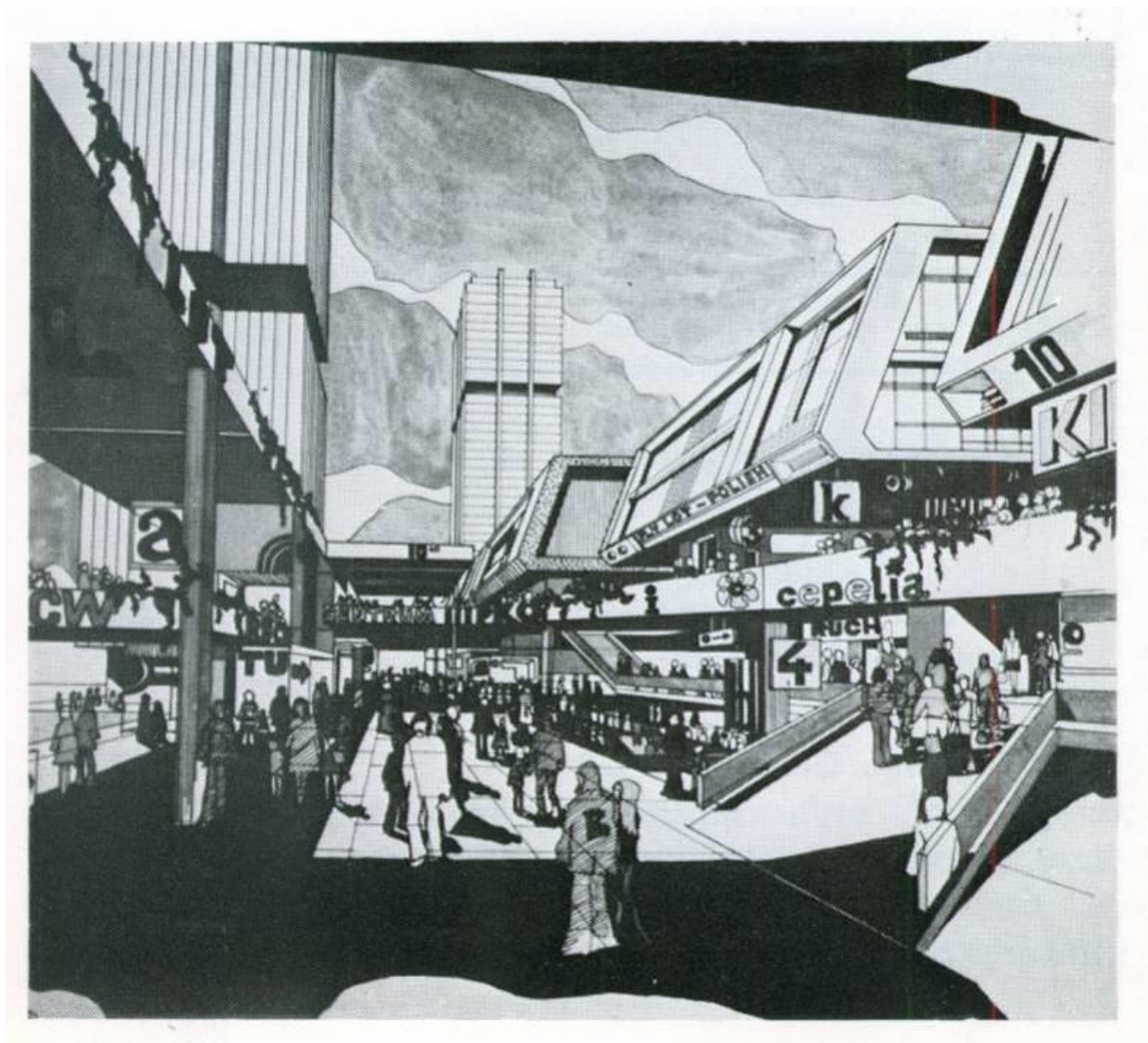
JUREK — On mnie takim atłasem przeciera — bracie.

MARIAN — No i ma rację — no.

JUREK — To mówisz, żeby się nie przejmować?

TOMEK — Chodzi o to, żebyś nie sądził, że tu się ktoś zasadza na ciebie, bądź przygotuj coś na przekór.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*da capo*

Generalny projektant Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy — Pragi uruchomił swe koneksje we władzach i doprowadził do spotkania na szczycie. Przyszedł Prezydent Warszawy — Jerzy Majewski, Naczelnik Dzielnicy Praga Północ — Jerzy Kowalski, Sekretarz Komitetu Dzielnicowego Praga Północ — Stanisław Galecki, dyrektorzy dyrekcji stołecznych. Ci ostatni byli oburzeni, że ktoś próbuje wkraczać na ich teren, nie respektuje monopolu tych dyrekcji na ich decyzje. Tymczasem Komitet Dzielnicowy popierał w całej rozciągłości generalnego projektanta urzeczony jego wizjami i zapowiadał, że potrząśnie opieszalymi biurokratami stołecznymi. Problem był trudny, gdyż generalny projektant przewidywał duże wyburzenia, zamknięcie ruchu pojazdów i tramwajów na ulicy Targowej — tworząc z niej wielki plac dla pieszych; przewidywał lokalizację wielkich stołecznych obiektów na Pradze.

Akt I. Scena 8. ALT. I  
1 marca 1976 roku

*suita alla polacca — mazur*

*piu forte*

BOGUŚ — ... było przedmiotem Komisji, która uznała to za prawidłowe i doprowadziliśmy do opracowań kilku fragmentów podstawowych, o których myślimy, że może nie wszystkie, ale kilka miałyby szansę wejść do realizacji, nie z miejsca, ale w następnej pięciolatce, ale to znaczy, że w tej pięciolatce trzeba by prowadzić całe ich przygotowanie. W tej chwili doprowadziliśmy do takich decyzji, które gdyby były pozytywne, to moglibyśmy uruchomić dalsze prace... To znaczy, jeśli uznalibyśmy, że w ciągu dalszych dwudziestu pięciu lat trzeba by przebudować cały ten obszar... Ćwierćwiecze, to jest taki okres czasu, o jakim mamy prawo mówić, że z tego ćwierćwiecza piętnaście lat jest, że tak powiem, w zasięgu naszego działania. To znaczy nasze decyzje będą przesądzały przynajmniej te piętnaście lat. To znaczy, że taki jest stan, że my w tej chwili powinniśmy dniami i nocami pracować, żeby te następne pięciolatki przygotować. Myśmy w założeniach przewidywali rozliczenie programowe, to w pierwszej pięciolatce gdybyśmy optycznie liczyli, to byłoby trzysta tysięcy metrów kwadratowych do zrealizowania. My liczymy...

PREZYDENT — ... bo tak: my, ja, wy, ten... — bo dlaczego to podnoszę, bo między pięciu a piętnaście lat, to...

GAŁECKI — Mnie się wydaje, że sprawa jest taka, żeby spróbować określić perspektywy całościowe, potem sobie powiedzieć, co z tych perspektyw całościowych można by było i w jakim czasie zrealizować. Dyskusję trzeba po prostu konkretyzować...

TOWARZYSZ 1 — Nie. Ja uważam, że koncepcja całościowa musi być. Bo żeby potem fragmenty robić, to trzeba wiedzieć, do czego się ostatecznie zmierza — prawda.

TOW. 2 — Ja jako reprezentant władz dzielnicy mogę tylko w swoich planach wyetapować, co będzie wyburzone i zagospodarowane w sensie zielonym, to znaczy ja mam na myśli tylko uporządkowanie tego terenu — to jest sprawa na dwa, trzy lata...

PREZYDENT — Wyburzać się będzie, jak będzie realizacja wchodziła. Ale trzeba, proszę was, zanim się przyjdzie do zatwierdzania koncepcji urbanistycznej, to trzeba najpierw — że tak powiem — mieć program ten kulturalny sprecyzowany i wyjaśniony. Jak to siedzi — że tak powiem — w realiach. Bo jak dom kultury na Targówku się buduje, to wiadomo, że to nie jest większy problem. Bo tam zawsze się treść dla niego znajdzie — prawda. Natomiast jeżeli się taką kubaturę wystawi, to to trzeba przejrzeć, co tam ma być. Prawda.

BOGUŚ — Nasz człowiek to bardzo precyzyjnie badał.

TOW. 3 — Musimy się także do tego ustosunkować, by wiedzieć, o co chodzi.

BOGUŚ — Wydział Kultury w sposób jednoznaczny... — mało tego — uważał, że ten program, co jest podany taki nawet mini... — i oni go teraz... — znaczy zapomniałem, żeby przynieść... — Uznali jako postulowaną przemianę, za prawidłowy program tego typu zespołu nad Wisłą...

PREZYDENT — A jaki tam jest program konkretnie?

BOGUŚ — Tam miało być — zespół trzech teatrów, z tym że jeden był klasyczną wielofunkcyjną salą widowiskową, taką o zmiennych funkcjach — jeden z tych trzech byłby teatrem

folklorystycznym, takim w którym udałoby się zachować takie pewne te... — a jeden byłby normalnym teatrem dramatycznym. Myśmy uważali, że to byłoby akurat idealne miejsce dla tego teatru narodów, które są teraz na całym świecie teraz bardzo popularne. To jest w tym trzonie najbardziej bliskim Wisły. W tym trzonie środkowym byłby zespół kin, dyskoteka i rozrywki i na obrzeżu tak jak to pasmo idzie — byłby handel, ten drugstor, który... — no, butiki, sklepy, po to żeby było współinwestowanie. Żeby to nie obciążało wcale miasta. Winno obciążać tych tam... — Natomiast w tym pozostałym to byłoby takie zwykłe centrum kultury, w którym można by łączyć, i sport, i sale sportowe, basen, hobbystyczne różne te historie, na przykład kółka fotograficzne, przyrodnicze i tak dalej i tak dalej. — I lodowisko kryte — po prostu żeby oni mogli mieć sposobność przez dwadzieścia cztery godziny rozrywki. Program ten był wielokrotnie wentylowany i wielokrotnie sprawdzany z postulatami dzielnicy, które trwają od dziesięciu co najmniej lat — jak my to znamy. To jest wielka szansa dla dzielnicy. Ja zdaję sobie sprawę, że to jest jeszcze nieprzygotowana dokumentacja. Na dzisiaj ta sytuacja dopiero upoważniałaby nas do podjęcia przedwstępnych analiz prac przygotowawczych. — Natomiast wojsko, jeśli by weszło z tym programem tego Pomnika Kościuszkowca, to... Wydział Polityczny Wojska uważa, że to jest pomnik najważniejszy właściwie poza pomnikiem Nieznanego Żołnierza dla armii polskiej w tej chwili; on akurat tak się zbiega, że to jest akurat w tym miejscu, gdzie był ten pierwszy most pontonowy — on jest historycznie już z tym miejscem związany i tak dalej, i tak dalej. I oni mają zamierzenie, według tego ich programu, który robili, to oni mają ogromne założenie. Jest szansa, że oni by nam zrobili po prostu kawał olbrzymiego bulwaru — no. — Własnymi siłami inżynierskimi. Oni by po prostu byli w stanie wyłożyć furę siły roboczej i furę pieniędzy — to jest taka propozycja dla nich. To by powstało dosłownie w ciągu dziesięciu lat — zaczynając od osiemdziesiątego, czy siedemdziesiątego dziewiątego...

SEKRETARZ — Niestety. Ja bym tak proponował, towarzysze...

TOW. 4 — Jeśli by towarzysz sekretarz pozwolił, to ja miałbym jeszcze dwa pytania. Kiedy od strony biura, czy zespołu byłaby przedłożona koncepcja ogólna centrum — już zatwierdzona przez Naczelnego Architekta Warszawy — czy jest możliwe, żeby przedstawiając taką ogólną koncepcję także zespół mógł przedstawić propozycje etapowania poszczególnych prac, które będą podejmowane... I żeby można było sobie postawić jakiś termin zaawansowania prac w biurze, to wtedy moglibyśmy ponowić tę dyskusję, która jest dzisiaj. Bo dochodzi do pewnych przeciwieństw. — Czy ze strony biura projektów można by taki termin usłyszeć?

BOGUŚ — To jest bardzo złożona odpowiedź. Generalnie biorąc pod uwagę skalę założenia i ilość problemów wynikających z tego, że ktoś się tam będzie z czegoś tłumaczył — to jest praca na wiele lat i ogromna. W związku z tym myśmy uznali za celowe i prawidłowe przedstawienie podstawowej koncepcji dyspozycji terenu, która mówi o układzie programowym i podstawowej dyspozycji rozwiązań ruchu, komunikacji i rozłożenia programu, nie mówiąc o rozwiązaniach przestrzenno-architektonicznych, bo w końcu jak mamy w perspektywie te dwadzieścia lat, to przecież nie jest w tej chwili aż tak ważne, aby już określać, jak my to sobie dziś wyobrażamy. Myśmy to uzupełniali rysunkami, które już muszą być w tej chwili sprecyzowane w sposób dostateczny, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję. Jeślibyśmy uznali, że ten program działań jest do decyzji miasta, który by nadał temu charakter trwały — ciągłego działania projektowego, to uważam, że należałoby po prostu tak jakby pogłębić rozważania na temat jedynie etapowania i prowadzić na razie dalsze złożone studia przedmiotu. To byłaby nasza propozycja — można by jeszcze to zbilansować z wyburzeniami.

TOW. 5 — Czy ja mógłbym na moment? To nie jest tak, jak tu kolega nam mówi. Podstawowa koncepcja będzie uzależniona od rozwiązań komunikacyjnych. Gdyż to, co tu widzimy, wprowadziłoby bardzo dużo zamieszania do planu ogólnego. Nasze stanowisko komunikacyjne jest do dziś przeciwne temu rozwiązaniu. Natomiast do dalszych prac — wydaje mi się — myśmy formułowali nawet na piśmie następujące sprawy. Potrzebne są inne sprawy tutaj, żeby to można w ogóle zatwierdzić. Potrzebne jest zrobienie tego zgodnie z obecnymi wymaganiami w mieście. Potrzebne jest rozwiązanie problemów komunikacyjnych i inżynierskich...

BOGUŚ — Trzeba określić, dla jakich terenów...

TOW. 5 — Zaraz do tego dojdę. Potrzebny jest plan operacyjny, który pokaże inwestycyjną działalność na tym terenie. Czyli etapowanie, użytkowników, skąd środki wziąć i tak dalej. Z tego planu operacyjnego wyjdzie przesądzenie etapowania. I wtedy mając określone fragmen-

ty — i widzimy, że są środki, są użytkownicy, jest potrzeba w tej chwili programowa — robić koncepcje dla poszczególnych fragmentów.

TOW. 6 — Dlatego ja bym proponował, ażeby do tych spraw włączyć także Komisję Planowania...

TOW. 7 — Chciałbym mieć propozycje etapowania przynajmniej na najbliższą pięciolatkę. — Słuchajcie — no bo jeżeli cokolwiek jest bezsporne, to my zaklepmy to... Ustalamy, co powinno iść do opracowania dla następnej pięciolatki. Chodzi mi o to, żeby nie robić dla wszystkiego tych szczegółowych opracowań, które się jeszcze dwadzieścia razy zmieniają, zanim się dojdzie do realizacji.

TOW. 8 — Ja bym jeszcze wrócił do tych zagadnień programowych. Bo to — co pytaliśmy o program centrum kultury — mnie też zainteresowało, jak jest ten program sformułowany. — Ale koledzy, uważam, nie powinni uściślać programu w obiektach, które jak wyniknie z dalszych prac, będą realizowane w latach bliżej roku dziewięćdziesiątego. To się mija w ogóle z celem, ponieważ potrzeby kulturalne za lat piętnaście powinny być tylko jak gdyby anonimowymi kubaturami — rezerwa w terenie.

BOGUŚ — Towarzysze. Ja odczuwam na co dzień powiedzenia: nie wiadomo, nie ma. — Nie jest nieprawdą, że jest. Jest sytuacja, że jedna rzecz musi być prawidłowa. Operat działania — to jest operat wchodzenia w teren.

TOW. 9 — ... bo to nie jest istotne, co w tej chwili robicie.

BOGUŚ — Ja mam opracowań, które mogą stanowić podstawę do załatwienia czy decyzji — jest tyle, że mnie by wystarczyło na dwie pięciolatki.

TOW. 9 — Ja bym chciał zwrócić uwagę na jedno. Zapewne jest rzeczą niezbędną, ażeby nie czekając na dalszy rozwój koncepcji — jeśli chodzi o programy i nawet bym powiedział — rozwiązanie przestrzenne poszczególnych obszarów, bo tak to ten materiał musi być przebadany, przestudiowany, przetrawiony — podjąć podstawowe decyzje, przede wszystkim dotyczące przekształceń infrastruktury technicznej w tym rejonie. Ja chciałem zwrócić na to uwagę, że bez tego to my w ogóle nie będziemy się mogli poruszać. — I pierwsze decyzje, jakie musimy podjąć po pozytywnym zaopiniowaniu koncepcji przekształceń tego rejonu, jest ustalenie, w jakim kierunku idziemy w zakresie rozwiązań technicznych, zarówno podziemnych, jak i nadziemnych. Mamy do rozwiązania cały szereg robót związanych z przekształceniem sieci dróg — i tak dalej i tak dalej — to w ogóle warunkuje możliwość wydania lokalizacji nawet. Jest to brutalna prawda. Bez tego my się w ogóle nie będziemy w stanie poruszać. W związku z tym mnie się wydaje, że my musimy robić w ten sposób, że po tych decyzjach przystąpimy do opracowania założeń techniczno-ekonomicznych na przekształcenie poszczególnych fragmentów infrastruktury technicznej. I odpowiednio w czasie będziemy sobie to etapować, bo też wszystkiego od razu nie zrobimy. Równolegle budowa obiektów — połączymy to z tym planem przekształceń kubatury, po to żeby realizowana kubatura była od razu prawidłowo wyposażona. Bo dla nas wejście w teren w chwili obecnej jest niemożliwe bez dokonania właściwych rozwiązań w tym zakresie.

TOW. 10 — Ja dlatego proponuję, żeby także w tym miejscu włączyła się Komisja Planowania i Stołeczny Zarząd — bo my przecież już pracujemy nad pięciolatką w tej chwili. I rozpoczęcie nowych terenów myślenia inwestycyjnego będzie bardzo trudne.

BOGUŚ — Myśmy cały program działania projektowego — w ogóle ułożyli taką syntezę wstępnych założeń, w której jest nawet diagram, jak te prace powinny przebiegać. My nigdy nie dojdziemy do efektu, jeżeli nie będzie jakiegoś punktu wymuszającego działania inwestycyjne. Okazało się, że brak pieniędzy na opracowania infrastruktury. Tak, że nie wymuszajmy tego typu dyskusji, bo zaczną się... bo w tej chwili...

TOW. 10 — ... nie wymuszajmy, nie wymuszajmy. My musimy robić tak, aby wszystko było prawidłowo zrobione.

BOGUŚ — Dobrze. — Ja muszę być brutalny. — Taka decyzja, która mówi, że do piętnastego października ktoś będzie ustalał dla mnie wytyczne, to ja jestem do tego czasu bezrobotny w pracowni. I w związku z tym ja muszę natychmiast tu mieć decyzje.

TOW. 10 — To zróbcie w tym okresie inne projekty.

BOGUŚ — Ja jestem tylko do tego jednego tematu przecież.

PREZYDENT — Ile to by trzeba było dofinansować te sprawy?



BOGUŚ — Kilka milionów złotych. Tylko dotychczas za wszystko płacił naczelny i teraz bardzo niezręcznie, aby on płacił za infrastrukturę. Jesteśmy już w tej fazie, kiedy przydałoby się nam — nawet jeżeli miejskich — to kilku zleceniodawców.

TOW. 4 — Nie chodzi o to, żeby wam płacić za infrastrukturę. Chodzi o to, żeby wam płacić za inteligentną koncepcję. A że wy nie macie branży infrastruktury i zlecacie do...

BOGUŚ — Nie. — No naturalnie.

TOW. 5 — Za koncepcję płaci jeden, a za realizację płaci drugi.

BOGUŚ — Ja uważam, że minimum środków — jakie pozwolą na opracowanie koncepcji infrastruktury w terminie do piętnastego października — to jest konieczne.

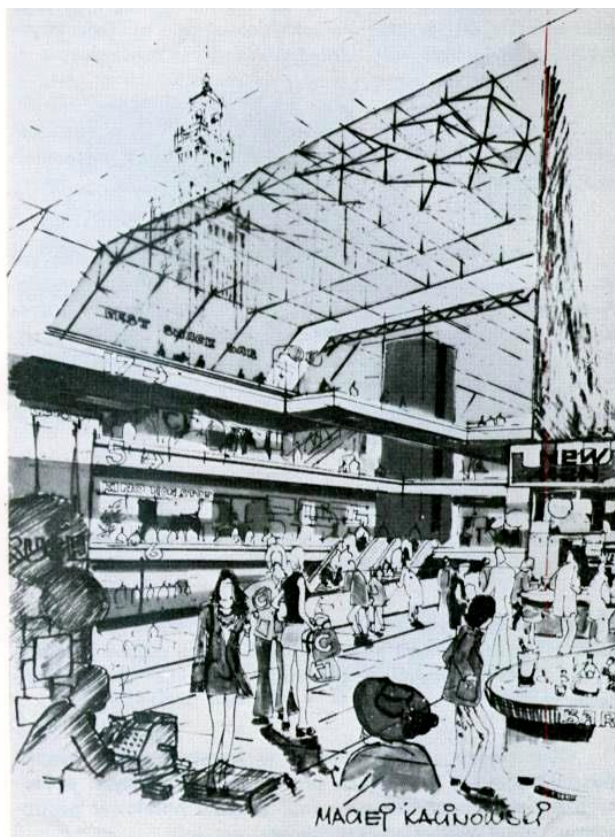
TOW. 6 — Mamy w tej chwili umowy dla kolegów na dwa miliony osiemset tysięcy złotych. Jest impas taki, który gdzieś tam wisi. Jest cały szereg naszych opracowań, które wymagają decyzji — też nic.

PREZYDENT — Jeżeli wykorzystaliście te duże sumy, to wtedy jest problem dofinansowania i ja muszę być w to włączony. Tak że towarzyszu — myślę, że dofinansujemy. Tylko jest też, dlaczego bym prosił jednak, żeby no — selekcji jakiejś tych prac dokonywać i robić to, co naprawdę ma szansę wejścia do realizacji. Żeby nie łądować się w duże wydatki, które będą jeszcze... — co do których to poglądy będą się jeszcze wiele razy zmieniać, żeby nie angażować niepotrzebnie pieniędzy.

TOW. 7 — W wyniku takiego stanowiska powstał ten impas. Bo tam powstała obawa, że pójść duże środki na studia, które wprowadzicie są cenne i na niezwykle dobrym poziomie zrobione — lecz w sytuacji trudnej on poszukiwał konkretnych efektów w tych studiach, bo czuł się odpowiedzialny za to. W tym momencie nastąpiła ta podzielność poglądów.

PREZYDENT — Co tu dużo mówić. Prace kolegów powinny dać materiał do podejmowania operatywnych decyzji inwestycyjnych. I dopóty tego etapu prac — ich zaawansowanie — się nie osiągnie, to nikt decyzji o dalszym finansowaniu prac nie będzie w stanie podjąć.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*da capo*

Naczelny Architekt Warszawy wymyślił system generalnych projektantów. Byli to najlepsi fachowcy od urbanistyki i architektury, których osobiście mianował i jemu oni bezpośrednio podlegali, a sownie byli opłacani przez biura projektów, w których nadal pracowali. Znaczną część tych wynagrodzeń przekazywał naczelny architekt Warszawy. Władzę mieli dużą, a zwłaszcza dojście do Sekretarza Komitetu Warszawskiego i Dzielnicy PZPR.

Problem był jednak w tym, że zderzyli się ci ludzie z wcześniejszymi strukturami wymyślonymi przez kolejnych Wiceprezydentów. Olbrzymią władzę mieli dyrektorzy: Biura Planowania Rozwoju Warszawy – Adam Kowalewski, Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta – Jerzy Kubiszewski, Zjednoczenia Miejskich Przedsiębiorstw Inżynieryjnych – Andrzej Markowski itp.

W scenie tej generalni projektanci ZRCW i WRCW liżą rany u mnie po zderzeniu się ze służbami stołecznymi, a zwłaszcza wykazują sobie wzajemnie swą wyższość.

A ja tym wszystkim miałem rzekomo kierować — wszak byłem dyrektorem biura projektów.

Akt I. Scena 9. ALT. I

23 lipca 1976 roku

*suita alla polacca — polka*

*fortissimo*

BOGUŚ — ... ale czy ja mam rozumieć, że nie robimy? — Nie robimy, bo mnie ten plan szczegółowy jest niepotrzebny! — Taka jest rzeczywistość! — Ja wiem, że wy mnie wszyscy bardzo lubicie, tylko co zrobić, żeby on mi dał...

JUREK — Nie. Czekaj. — Nie jest źle. — Przynajmniej ja bardzo uważnie słuchałem. — Był bardzo rygorystyczny, bardzo dociekliwy, ale słowa krytyki nie powiedział. — Prawda?

BOGUŚ — Bo on jest sympatyczny pan.

JUREK — Nie. To nie tylko z sympatii wynikało. Po prostu zawsze otrzymywał odpowiedź, która w stopniu dostatecznym satysfakcjonowała...

BOGUŚ — ...

JUREK — To, że zaproponował, żeby to pokazać Przewodniczącemu Rady Narodowej — też ma swój aspekt — bracie. To znaczy, że jest co pokazać — bracie. Bo możesz być przekonany, że gdyby nie było co pokazać, to by tego nie zaproponował. — I gdyby miał takie zdanie, że to wszystko jest do niczego.

BOGUŚ — Pewno że są...

JUREK — Stary. Mnie się wydaje, że sprawa jest taka. — Nie można — proszę ciebie — mówić ciągle, że jest to wielka robota, że jest to potężny temat, że jest to bardzo trudny temat — i nie doprowadzić do pewnego zakończenia sprawy. — Nawet na takim etapie, na jakim — proszę ciebie — jest to możliwe.

BOGUŚ — Ty mi mówisz tak, jak ja bym nie chciał tego zrobić.

JUREK — Nie. Nie o to chodzi. — Dlatego — proszę ciebie — nie dwójka. — Tysiącza, bo to jest dla tych...

BOGUŚ — A ty wiesz, co to jest za tysiącza? Co się za nią kryje w zakresie rodzaju pracy?

JUREK — Stary. — Może trzeba zrobić taką tysiączkę [plan urbanistyczny w skali 1:1000], na jaką pozwalają wszystkie zakresy. — W takim zakresie ta tysiącza mogłaby być zrobiona.

BOGUŚ — Ale ona nie będzie skończona — tak samo jak nie jest skończona ta dwójka [plan urbanistyczny w skali 1:2000]. Nic nowego żeś nie powiedział. — Dlaczego oni mówią, że to jest niepotrzebne? — Dwójka jest narysowana. — To oni mi mówią — wykonaj jeszcze jakieś architektoniczne historie, żeby rysunki stanowiły całość. — To ty chcesz teraz, żebym ja tę tysiączkę zrobił? — Ty nie mnie przekonaj. — Przekonaj ich. — Że w ten sposób powinno to być robione. — Bo na te fragmenty podstawowe — to masz — wybieraj to czy to... — proszę bardzo.

JUREK — Nie fragmenty. To w całości musi być narysowane.

BOGUŚ — No to przecież w całości...

JUREK — Mnie chodzi o tysiączkę.

BOGUŚ — ... jest narysowana. — W problematyce takiej — jak mówi Dziennik Budownictwa o urbanistyce — to jest to wszystko narysowane. — Jest bardziej szczegółowo wykonane.

JUREK — Stary. Wiesz, co to jest tysiączka? — Dlaczego oni chcą tysiączki? — Dlatego że jest to sprecyzowanie linii rozgraniczających układów komunikacji, zabudowy, pewien obowiązujący plan, według którego — proszę ciebie — prowadzi się sprawę...

BOGUŚ — I koniec!

JUREK — No stary. — No do tego trzeba doprowadzić. — No. Oni mają rację — no! Już na te sprawy nie musimy...

BOGUŚ — Kwestia potwierdzenia decyzji programowej, kwestia potwierdzenia podstawowych decyzji planu. — Bez niczego... — Chce, żebym ja zaangażował pół Warszawy w robienie...

JUREK — Mylisz się. Stary, robisz podstawowy błąd. Gdybym tak rozumował, jak ty teraz — to mój temat powinien spaść dwa lata temu. W momencie kiedyśmy oddali koncepcję programowo-przestrzenną, która nie zyskała — proszę ciebie — zatwierdzenia. — Nie ma zatwierdzenia! — A budowa się zaczyna jutro.

BOGUŚ — Masz opinie...

JUREK — Jakie opinie?

BOGUŚ — Stary, mnie nic innego nie potrzeba, tylko takiego nie zatwierdzenia, jak ty masz.

JUREK — A gdzie ja mam te opinie?

BOGUŚ — Stary — takiego nie zatwierdzenia — jak masz ty — mi potrzeba. — No już. — O co chodzi. — Z niższego szczebla instancji nawet.

JUREK — No stary, ale to tak samo prowadź swój temat — no. Nie ma decyzji — rysuje się tysiączkę — bracie — i daje się, przedstawia się.

BOGUŚ — Nic nie możesz rysować, bo ci wszystko dawno rozpieprzają — no. — Stary. — Stoisz z boku. Dochodzisz raz na jakiś czas. Ja ci jeszcze raz udowodnię, weź dokumenty, weź te papiery, weź te wszystkie historie, że nic nie jesteś w stanie zrobić. Bo ten ci weksluje na...

JUREK — Korespondencji na ten temat nie musisz mi pokazywać. Rozmawialiśmy na ten temat na ostatniej radzie. — Gdzie żeśmy określili, na czym się znajdujemy i że nic praktycznie nie jest zatwierdzone. — I druga sprawa — wtedy wysunąłem propozycję — w dwa miesiące narysować plan szczegółowy i przedstawić im cały ten majdan — bracie. — I czekać, co się z tym dalej dzieje.

BOGUŚ — Czekać?

JUREK — Będziesz miał takie rozmowy — bracie — jak dzisiaj — parę razy jeszcze — jak nie wyciągniesz z tego właściwych wniosków. Jeżeli się nie doprowadzi do tego.

BOGUŚ — Ja to zrobię w najbliższym czasie. Jak będę mógł sam pracować. Wszyscy mieli dobre intencje. Zapewniali mnie, że są przyjaźni i popierają — i jednocześnie będą wysuwać wnioski, które ci staną w poprzek pracy. Oni mają dużo do podpisywania, tylko wcale nie chcą podpisać.

JUREK — Czyś ty zrozumiał, co on przez to chciał powiedzieć? — No i jasna sprawa. — No i po cholere ci to?

BOGUŚ — No po co mi to?

JUREK — Proponuję narysować — bracie — w trzy miesiące i dać im to do — proszę ciebie — do opiniowania i do decyzji. I przestać — bracie — dalej brać pieniądze. — Po prostu.

BOGUŚ — A ile tych pieniędzy wziąłem — bracie? — No? — Połowę — coś ty wziął u siebie. — Połowę tego wziąłem — no. — Do tej pory.

JUREK — A ile wziąłeś?

BOGUŚ — Cztery i pół miliona.

JUREK — To nie połowę.

BOGUŚ — Połowę. — No. — Połowę za to wszystko, co zrobiłem do tej pory. To jakie to pieniądze wziąłem? Ja dopiero wezmę pieniądze. Za taki temat. Jeszcze z tego były podzlecenia. — Jakie pieniądze? — Bracie? — I za uganianie się za każdą bzdurą, która tam jest? — Za te wszystkie użerania się, które kosztują — że tak powiem — setki godzin. — Sprawdzenie nawet

w tych kretyńskich zarządach to jest jakaś chała, bo sam musisz posprawdzać. To on ci wylicza, że duże pieniądze?

JUREK — Jest naprawdę... — Zobacz, jaka się sytuacja wytworzyła. — Bracie. — No. — Miły nasz — proszę ciebie — przyjaciel — trzeba powiedzieć — występuje w roli mediatora. — I to między kim i kim? — Między nami i naczelnym. — To stary — nieprawdopodobna sytuacja.

BOGUŚ — Nieprawdopodobna — no. Ale czyja to wina?

JUREK — Kiedy wiadomo... — kiedy wiadomo przecież, jaki jest układ.

BOGUŚ — Faceci tamci chcą, żeby robota szła — no. Po prostu dlatego on chce wystąpić w roli mediatora. — Dlatego że siedział ci on — i do niego nie dochodzi, że robota idzie. — Przeciwnie. — Ci powiedział, że trzeba zabezpieczyć pieniądze, żeby następną pięciolatkę... — prawda?

JUREK — Facet wyszedł stąd — proszę ciebie — w przekonaniu, że jedynym celem tego spotkania, to było — proszę ciebie — uruchomienie pieniędzy.

BOGUŚ — Być może, że taki był cel. Bo ja tego dnia byłem za uprzejmy. Bo powinienem powiedzieć wszystkie sprawy. Powiedzieć, jak cała sprawa stoi, na czym stoimy i na czym... — Jest robota. Są przedstawione do zaopiniowania sprawy. Powiedzieć, o tym — że tak powiem — nie można się dostać. Do tej pory — że tak powiem — nie chcą go zaopiniować. To może powinienem był to wszystko powiedzieć — no.

MARIAN — Ale on ma rację.

JUREK — Powiedziałem ci przed tym spotkaniem, jaki będzie jeden jedyny zarzut — tylko do tej pory — bo innego nie może być. — Innego zarzutu nie może być, bo robota jest bardzo dobra. — Robota jest piękna. — Będzie jeden zarzut: — Gdzie jest plan szczegółowy i kiedy będzie. — Proszę bardzo — co wyniknęło?

BOGUŚ — To przecież mogę jeszcze raz przeczytać ci zatwierdzenie, które mówi o tym, że nie... że mo... szed plan? — No przecież jeszcze raz ci...! — Przeczytaj! — Szkoda gadać. — Ciągłe wracać do tego. — Nie chcą planu! — Nigdy nie będzie skończone! — No. — Może właśnie dlatego, że plan wywołuje pewne formy zobowiązań.

JUREK — Teraz ci mówią, że nie wolno dalej robić, bo jak to będzie dwadzieścia lat trwało?

BOGUŚ — Po cholere ty robisz cały swój projekt?

JUREK — Robię tylko na przyszłą pięciolatkę. I dalej go nie robię.

BOGUŚ — Nie. — Stary. — Na przyszłą... — To tak samo to można zrobić na przyszłą pięciolatkę, bo to jeszcze do doprowadzenia tego do jakiego takiego ładu, składu — to jest jeszcze wiele lat roboty. — A jeżeli się w ogóle nic nie będzie robiło — to nic nie będzie. — Jak przykład kapitalistyczny — jak Anglicy mieli zamiar robić uniwersytet w Liverpool, to pięć lat przed pomysłem zorganizowali konkurs. — Pięć lat. — Ogłosili przetarg.

JUREK — No ja wiem. — No stary — no masz rację. — Ale żyjemy w określonych układach, które musimy...

BOGUŚ — Wobec tego jak... — stary — o co mi chodzi. — Ja przecież wcale nie muszę tego robić. No. — Niech powiedzą — nie rób tego i koniec — bracie. — I niech wypieprzają!

\*

W latach 1974-1976 podjąłem kolejną próbę nauki języka angielskiego. Przez dwa lata uczęszczałem na kurs zorganizowany przez „LINGWISTE” Ośrodek Nauczania Języków Obcych. Jestem bardzo toporny w przyswajaniu sobie obcego języka, nawet myślę, że są to uwarunkowania genetyczne. Jednak i metoda nauczania nie sprzyjała mi. Było nas na kursie około dwudziestu. Nasz wykładowca, Lew Rywin (późniejszy polski milioner), dużo wykladał o strukturze gramatyki języka amerykańskiego, ale przez dwa lata nie zadał nikomu żadnego pytania po angielsku. Nauka była tak zwana laboratoryjna, to znaczy połowę czasu spędzaliśmy w laboratorium, a były to oddzielone ekranikami stanowiska, gdzie były słuchawki i mikrofon. Prowadzący zajęcia puszczał z adapteru taśmę z tekstem kolejnej czytanki i z ćwiczeniami, a my natychmiast powtarzaliśmy zasłyszany tekst. Po kilku powtórzeniach nawet potrafiłem poprawnie z pamięci

powiedzieć niektóre zdania. Po dwóch latach „Lingwista” już nie przewidywał trzeciego kursu. Myślę, że w ten sposób „Lingwista” zrobił wszystko, abym się niczego nie nauczył.

**Antrakt – Praga – 6-10.10.1975 roku**

Nasze Zjednoczenie Biur Projektowych Budownictwa Komunalnego nawiązało kontakt z podobną organizacją czechosłowacką w Pradze. Wyjechałem w kilkuosobowej delegacji na zaproszenie praskich biur projektów.

Gdy przybyliśmy, było ponuro i chłodno, a nawet się zaczęła deszcz. Umieścili nas w hotelu na barce zakotwiczonej na brzegu Wełtawy. Po niedługim czasie przybyli prascy inżynierowie, aby nas zabrać na powitalne przyjęcie. A że było chłodno, wyjąłem przywiezione pół litra Żubrówki i strzeliliśmy po kieliszku. Jeden z Prażan był zachwycony tą wódką i opowiadał, że właśnie czyta amerykańską powieść, w której bohaterka po wpadnięciu w skrajny alkoholizm i po długotrwałym leczeniu odwykowym unika teraz alkoholu jak ognia. Ale zdarzyło się, że u kogoś ujrzała właśnie żubrówkę i widok tej wódki załamał ją tak bardzo, że niepomyślnie na swe kategoryczne postanowienia napiła się tej wódki. Musiała, żubrówka była od niej silniejsza. Nasz opowiadający z radością stwierdził, że teraz rozumie, dlaczego żubrówka była od tej pani silniejsza.

Praga bardzo mi się podobała, ale zaszokowała nadbudowa gmachu partii, gdzie nad starym budynkiem na kilku potężnych pylonach umieszczono nowoczesne kondygnacje. Jeszcze dziwniejsze było, że pozwolono nam zwiedzić wnętrze. Równie ciekawe było praskie metro, które nad dolinami przebiega po moście dwupoziomowym.

Nasi gospodarze bardzo sumiennie się nami opiekowali. Dali nawet profesora praskiej uczelni, który nieźle mówił po polsku, aby nas oprowadzał i szczegółowo informował o zwiedzanych obiektach. Pan ten zaskoczył mnie opowiadaniem, a nawet przyniósł odpowiednią mapę, mianowicie że około dziewiątego wieku Praga zlokalizowana na wysokiej skarpie nad Wełtawą była tak dumna, że wyśmiewała się z wioski położonej na niskim przeciwległym brzegu, a wioska ta zwała się Warszowice. Zgnębieni jej mieszkańcy wywędrowali na północ i osiedli na wysokim brzegu innej rzeki, a była to Wisła. Założoną swoją nową siedzibę nazwali Warszowicami, a to zadupie na niskim przeciwległym brzegu nazywali odtąd Pragą. Tak powstała Warszawa, ale kto w Polsce dopuści taką interpretację, choć ta warszawska Praga o czymś świadczy.



Praga, Vysehrad – grób Antonina Dworzaka – 07.10.1975 roku.



Praga, Vysehrad – grób Bedřicha Smetany – 07.10.1975 roku.



Praga, Namesti Pod Emauzy – widok z hotelowej barki na drugi brzeg – 07.10.1975 roku.





Praga, Most Nuselski (w 1975 roku Klementa Gotvalda) w którym na dolnym poziomie jest tunel metra, a wyżej trasa samochodowa – 08.10.1975 roku.



Praga, Most Nuselski (w 1975 roku Klementa Gotvalda) w którym na dolnym poziomie jest tunel metra, a wyżej trasa samochodowa – 08.10.1975 roku.



Marian Sokołowski w Pradze Czeskiej - 1975.10.09  
Staromestke Namesti

Praga, Staromestke Namesti – 09.10.1975 roku.



Marian Sokołowski w Pradze Czeskiej - 1975.10.09  
Staromestke Namesti

Praga, Staromestke Namesti – 09.10.1975 roku.



Praga, Staromestke Namesti – Pomnik Jana Husa – 09.10.1975 roku.



Praga, Federalni Shromazdeni – opisana nadbudowa domu partii – 09.10.1975 roku.



Praga, Federalni Shromazdeni – opisana nadbudowa domu partii – 09.10.1975 roku.



Praga, Federalni Shromazdeni – opisana nadbudowa domu partii – 09.10.1975 roku.



Praga, Karmelitska – 10.10.1975 roku.



Praga, Staromestke Namesti – 10.10.1975 roku.



Praga, Vaclawske Namesti – 10.10.1975 roku.



Praga, Vaclawske Namesti – 10.10.1975 roku.



Praga, Karluv Most – 10.10.1975 roku.



Lot powrotny nad Czechosłowacją – 10.10.1975 roku.

## **IV Adagio pastorale**



### *da capo*

Działacze polityczni Warszawy, gdy dokonali czegoś, musieli koniecznie pochwalić się, zareklamować swym najwyższym zwierzchnikom. Gdy wybudowano Trasę Łazienkowską, to wszyscy działacze przejechali przez nią, a potem na gorąco jedni działacze pragnęli wygłosić pochwały, a drudzy pragnęli je odebrać. Gdzieś. Po to jedynie powstała naprędce kawiarnia przy Agrykoli na Placu na Rozdrożu.

Teraz budowano Wisłostradę. Potrzebna więc była niezwłocznie na jej końcu, czyli w Lasku Bielańskim, kawiarnia, a jeszcze lepiej restauracja. Cała stołeczna struktura, a zwłaszcza powolność działania i opieszałość stołecznych instytucji gwarantowały, że nic z tego nie wyjdzie. Byli jednak ludzie, którzy potrafili realizować polecenia partii wbrew sobiepaństwu miejskich służb. Kierownik Wydziału Budownictwa KW PZPR wskazał na swego (pożał się Boże) przyjaciela — dyrektora Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta — Jerzego Kubiszewskiego. Ten wyłuskał w moim biurze projektów młodego, bardzo ambitnego architekta — Witolda Katnera. Tu odbywa się spęd wszystkich dyrektorów, od których cokolwiek zależało przy takiej realizacji.

Akt I. Scena 1. ALT. II  
4 sierpnia 1975 roku

### *madrygał*

#### *con agitato*

JERZY — Proszę bardzo, dyrektor będzie...

DYREKTOR 1 — Może w takim razie pozycjami harmonogramu. Punkt pierwszy — Wydział Handlu poinformował nas, że jeszcze rozważa, kto będzie użytkownikiem...

JERZY — Wydział Handlu jest do niczego nieupoważniony. Od tego się zaczyna. Inwestorem bezpośrednim — oświadczam po raz ostatni — zgodnie z decyzją Prezydenta — jest Oddział Kawiarni WZG [Warszawskich Zakładów Gastronomicznych]. Jeśli pan dyrektor ma inne zdanie, to bardzo proszę. Oświadczam, że dostaniecie na to pieniądze z planu terenowego.

DYR. 2 — Panie dyrektorze, jeżeli dostanę pieniądze na rękę i będę miał na koncie, to będę rozmawiał. Już mam ćwierć miliona straty.

JERZY — Dobrze; odnotujemy w ten sposób, że jeszcze w tym tygodniu wychodzi mój wniosek do Prezydenta, żeby Miejska Komisja przekazała z planu dyspozycję do waszego zjednoczenia o nakładach na sfinansowanie budowy kawiarni.

DYR. 2 — Proszę bardzo.

JERZY — Dobra. Sprawa wyjaśniona. Jeżeli nie nastąpiło dogadanie na szczeblu Zjednoczenie — Miejska Komisja, to załatwimy to operatywnie w inny sposób. Proszę bardzo następny temat.

DYR. 1 — Decyzja o lokalizacji. Koło się zamknęło. Urząd wskazuje Biuro Planowania, Biuro wskazuje Inne Biuro — i odwrotnie.

JERZY — Tak, ja tu miałem listę obecności, ale tak z twarzy nie widzę, czy są Przedstawiciele Urzędu i Biura...

DYR. 1 — Nie ma Biura, jest tylko...

JERZY — Dyrektor Marian Sokołowski — to nie Biuro Planowania. No więc poczekamy, bo to jest instytucja, która lubi się spóźniać. To odłożymy ten punkt. Proszę bardzo dalej.

DYR. 1 — Wskazanie generalnego wykonawcy zostało załatwione.

JERZY — Dziękujemy panie dyrektorze. Za operatywne dalsze działanie.

DYR. 1 — Trasy ulic. Wszystkie materiały zostały w terminie przekazane.

JERZY — No to ja rozumiem, że odnotowujemy w protokóle, że Przedsiębiorstwo wywiązało się z ustalonego zadania i dyrektorowi podziękujemy za wykonanie przed terminem. Bardzo prosimy o przekazanie gorącego podziękowania.

DYR. 1 — Badania geologiczne zostały wykonane.

JERZY — Serdecznie dziękujemy panie inżynierze. Bardzo duży sukces i bardzo jestem panu za to zobowiązany. Dziękuję bardzo.

DYR. 3 — To my też już pójdziemy.

JERZY — Dziękuję bardzo. Tak jest. Chociaż nie. Zostańcie panowie, bo mogą być kwestie programu. Zostańcie. Zostańcie. Zostańcie.

DYR. 1 — Warunki techniczne zasilenia. Gaz — otrzymaliśmy informację. Brak jest telefonicznych i odpowiedzi inspektoratu paliwowego.

JERZY — Dziękuję bardzo.

DYR. 1 — Zakład Energetyczny również...

JERZY — Dziękujemy.

DYR. 1 — ... Zakłady Gazownicze, przepraszam bardzo... — ... też przekazali, tak jest.

JERZY — Natomiast Inspektorat...

DYR. 1 — Tu jest sytuacja bardzo niewesoła, bo z uwagi na to, że...

JERZY — My rozumiemy, że opinia jest negatywna...

DYR. 5 — ... nie, nie chcielibyśmy tak mówić, że opinia jest negatywna, tylko wskazujemy, że miejsce poboru jest oddalone o ponad dwa kilometry...

DYR. 1 — ... dwa i pół kilometra i konieczność budowy...

JERZY — Czyli opinia, jak byśmy nie potraktowali, jest negatywna.

DYR. 5 — Jest pozytywna, tylko że niewykonalna...

JERZY — Zrozumiałe.

DYR. 1 — W związku z tym nasz wniosek do inspektoratu jest tym bardziej aktualny. Tak jak żeśmy to powiedzieli, wniosek do ministra poszedł.

DYR. 5 — Oczywiście.

JERZY — Czy koledzy z Zakładu Energetycznego są zaproszeni?

DYR. 6 — Tak.

JERZY — Czy może ma pan jakieś informacje na ten temat... — A nie. To pan nie w imieniu gospodarki. Inspektorat jest oczywiście związany z tym, tylko na innym szczeblu. Dobra. Zanotujmy do protokołu, że musimy zrobić specjalne spotkanie z inspektoratem. To wobec tego idziemy dalej.

DYR. 1 — Więc, tego... wczoraj żeśmy wysłali.

JERZY — Tak, przedwczoraj, czyli podstawy do rozmów z inspektoratem od tej strony są. Dobra.

DYR. 1 — Teraz jest następny temat. Umowa. Brak umowy...

DYR. 6 — ... czyli my rozumiemy, że Zakład...

JERZY — Tak jest. Dziękujemy Zakładowi. — Proszę bardzo. Ja myślę, że w kwestii dotyczącej prac projektowych oddalibyśmy głos panu dyrektorowi z uprzejmą prośbą o przedstawienie nam tego.

MARIAN — Więc my byśmy po prostu tak postępowali, jak to zostało postanowione poprzednio. Bowiem nasze prace, jak wiemy, zależą od szeregu oficjalnych dokumentów. I od tego właściwie uzależniamy zarówno termin umowy, jak i termin wykonania prac.

DYR. 5 — ... czy ja mógłbym już iść?

JERZY — Tak jest. Wyjaśniona sprawa. Dziękujemy kolegom za operatywne działanie. Panie inżynierze, może tutaj pan pozwoli tą strukturę... Położymy ją na tym... Nie będzie nikomu przeszkadzać. Niech pan siada. Panie inżynierze — bo pan jest najbardziej kompetentny — co jest z lokalizacją?

ARCHITEKT — Nie otrzymaliśmy.

JERZY — No dobrze, ale czy przesłanki do tego, by On mógł wydać wytyczne, są już spełnione? Poza tym sytuacja jest na tyle wpisana, żeby można było się zdecydować...

ARCHITEKT — Oczywiście.

JERZY — Jak od dawna jest to gotowe?

ARCHITEKT — Zaniósłem do Nich, ale nic nie słyhać od kilku dni.

JERZY — Czy pan mógłby ten egzemplarz tego, co pan przygotował... — Ja rozumiem, że wy jesteście zdecydowani... — ... pokazać nam?

ARCHITEKT — Tak.

JERZY — On nic nie działa, więc my będziemy decydować za Niego.

ARCHITEKT — To znaczy my mieliśmy do... — rozszerzony program o restaurację — i my oficjalnie otrzymaliśmy program kawiarni, który nic się nie zmienił. Wobec tego na gorąco z programistkami ustaliliśmy program rozszerzony na kawiarnię i restaurację i do soboty w ze-

szłym tygodniu ludzie nocami pracowali i mamy już to przygotowane na restaurację. Natomiast nie mamy żadnej wiadomości — powtarzam — z Mostostalu.

JERZY — Do Mostostalu za chwilę dojdziemy.

ARCHITEKT — Ale to nam blokuje wszystko.

JERZY — Ale niech pan pokaże, co pan ma w chwili obecnej. Bo my mamy po drodze jeszcze kilka innych tematów do załatwienia. — To są te zatoki parkingowe — tak?

ARCHITEKT — Zatoki parkingowe będą pod skarpią. Będą na chyba sześćset, sześćset pięćdziesiąt samochodów. Tu jest takie wejście do kawiarni. To zostało ustalone z Wydziałem Komunikacji, ale również odpowiedzi nie ma.

JERZY — Ale ja jestem ciekaw, co z tego jest uzgodnione. Co możemy potraktować fix? — Sytuację?

ARCHITEKT — Sytuację. Tylko po prostu ja nie mogę powiedzieć, czy ja mam dziesięć hektarów, czy pół hektara, czy zero trzy hektara.

JERZY — No brawo. Ale my musimy przyprowadzić na przykład wykonawcę w teren, przygotować zagospodarowanie terenu i po to były te dni, żebyście nam to umożliwili.

ARCHITEKT — Kto? My?

JERZY — No, nie, nie wy. Ja mówię zespół z Nim. Akurat mamy do czynienia z wyjątkową sytuacją. Ja rozumiem, że wy w detalach, w szczegółach możecie jeszcze nie wiedzieć, ale podstawowe rzeczy powinny być już załatwione. Na przykład lokalizacja obiektu.

ARCHITEKT — Ale przecież ja z lokalizacją nic nie mam do czynienia.

JERZY — No dobrze. Wie pan, my się jeszcze zorientujemy.

DYR. 6 — Przepraszam, jest jeszcze jedno pytanie. Czy to nie zablokuje zwierzętom przejścia do wodopoju?

JERZY — Och, zostaje jeszcze jedna czwarta skarpy.

DYR. 6 — Proszę to uzgodnić z takim inwestorem, jakim jest Huta Warszawa.

JERZY — No dobrze. Fajno jest. Rozumiemy, że sprawa jest niezłatwiona...

ARCHITEKT — Rozumiem, że nie zespół projektowy...

JERZY — Nie, nie. Do zespołu projektowego nic nie mamy. Do zespołu to możemy tylko mieć pytanie, jaki teren potrzebuje, jaki teren chce dostać. Gdyby pan był uprzejmy nam powiedzieć, co pan chce mieć, to ja bym dzisiaj za Biuro Planowania zdecydował. Gdyby pan mógł to dzisiaj powiedzieć. I wcale nie krępował się tym, że Biuro Planowania nie chciało podjąć decyzji. Proszę nam to powiedzieć.

ARCHITEKT — Sądzę, że pod koniec konferencji będzie już można to ustalić.

JERZY — Dobra. Fajno.

DYR. 1 — My właściwie zbliżamy się do końca, dlatego że pozostałe terminy są późniejsze. Jeszcze program. Przyjmuję, że jest on oficjalnie i ostatecznie przyjęty.

JERZY — Naczelnym był obecny przy ustalaniu tego programu i zna bardzo dokładnie wytyczne Władz. Jest ustalenie takie, że propozycja programu w tym obiekcie jest w gruncie rzeczy do szczegółowych uzgodnień. Ja rozumiem, że w chwili obecnej istnieje jedna tylko potrzeba, ażeby ten program uzyskał oficjalną akceptację Prezydenta Miasta. Dlatego bardzo bym prosił kolegów, żeby zechciał ten program, który jest po wstępnej fazie dyskusji z zainteresowanymi — prawda — sformułować nam i przekazać do mnie, a ja poproszę Go o akceptację. Żebyśmy do spraw programu już więcej nie wracali. Bo nie może być tutaj rzeczy ruchomych. Tą metodą zawsze stosujemy w naszej pracy, że w pewnym momencie kończymy dyskusję na temat programu i robimy już wtedy konkretną robotę.

MARIAN — Więc może byśmy zapisali, że w piątek prześlemy propozycje programowe.

JERZY — Dziękujemy bardzo.

MARIAN — Teraz temat umowy.

JERZY — Ja proponuję, panie dyrektorze, żeby się pan z tym nie spieszył i jeżeli pan da mi to w poniedziałek rano, będzie bardzo dobrze. Ale żeby to już było uzgodnione z właściwymi instytucjami gastronomii, że tak powiem, rozpoznane w sensie wartości merytorycznej, bo decyzje, jak wiemy, należą do Władz. Żeby to było we właściwych proporcjach. Dobra. To tak się umawiamy.

ARCHITEKT — Sprawa konstrukcji.

JERZY — Proszę bardzo, pan inżynier w sprawie konstrukcji.

ARCHITEKT — Więc ja już nawiązałem kontakt z Mostostalem, bo wiedziałem, że konstrukcją zajmie się Mostostal.

JERZY — Tak jest.

ARCHITEKT — My jako zespół projektowy wykonaliśmy olbrzymią pracę, bo wykonaliśmy również modele. Ten model przez trzy dni w Mostostalu wisiał na ścianie i do tej pory nie dogadaliśmy się. Oczywiście trzeba by się zastanowić... — ale to jest ideał konstrukcyjny. Oczywiście staraliśmy się — zresztą to było omówione — że nie będziemy brać typowego projektu — gotowego — natomiast będziemy nawiązywać do pracy Mostostalu — i tam była taka dysputa między dyrekcją a zespołem projektowym. Jak rozmawiałem z dyrektorem, to mówił, że wszystko załatwione. Jak rozmawiałem z ich zespołem, to oni mówili, że nic nie wiedzą. I tak do tej pory. Wczoraj podobno był telefon do dyrekcji naszej...

MARIAN — Tak, ja rozmawiałem. Podzleciliśmy — oni mają ją zrobić do końca roku.

MOSTOSTAL — Ja może wyjaśnię. Bo myśmy się zobowiązali do zrealizowania konstrukcji opartej o powtarzalne segmenty typowe opracowane w ramach programu wdrożeniowego problemu węzłowego i to nie znaczy, że chcemy żywcem wpakować segment hali przemysłowej — i proszę bardzo — jest już szopa. Chcemy z tych elementów, które by wymagały tam odpowiednich prac rozwojowych, obliczeń na maszynach i pewnych badań. Z tych segmentów chcemy maksymalnie zbliżyć się do wizji Kolegi. Niemniej jednak tego typu założenia w tym czasie absolutnie nie możemy zrealizować i śmiem twierdzić, że nikt w Polsce w tym czasie, jaki jest potrzebny, tego nie robi. Myśmy tutaj opracowali oprócz tych wersji, które były z panem dyskutowane wstępnie, jeszcze kilka innych propozycji, które by w jakimś stopniu zbliżały się do tych wizji. Niemniej jednak absolutnie tego nie jesteśmy w stanie zrobić. To nie odpowiada naszym rozwiązaniom. Rozwiązanie musi nam umożliwiać, jeżeli mamy dotrzymać terminu, zastosowanie elementów powtarzalnych rozwiązanych w ramach problemu węzłowego. Ale czym się różni propozycja z elementów powtarzalnych — że zamiast tego elementu, który jest sztuką dla sztuki — my opracowujemy konstrukcję bardziej właściwą. Nie przesadzajmy, że po prostu jest to tak wybitnie trudne. Bo przecież, jeżeli mówimy o trudnościach, to wystarczy wziąć katalog z biblioteki... — ale przecież nie będziemy... Nie. Absolutnie nam o to nie chodzi. Ale nie będziemy tu uprawiali dyskusji na temat, czym się różni statyczna praca takiego układu od układu, który ma tam i ówdzie element, prawda. Więc myślę, że to nie jest miejsce do tego przedyskutowania. Mamy jednak szereg kontrpropozycji, to znaczy propozycji, w jaki sposób można by zbliżoną bryłę uzyskać z elementów typowych. Z tym, że niestety tu i ówdzie zjawia się słup.

JERZY — Proszę bardzo.

MOSTOSTAL — Czytam punkt numer dziesięć — napisane jest tutaj — zgodnie z ustaleniami Prezydenta Miasta Warszawy... — A w innym punkcie jest powiedziane, że będzie to produkował Mostostal. Chciałbym tutaj wyjaśnić, że zarówno materiały jak i moc są zbilansowane. Proszę więc pana dyrektora, żeby załatwił, bo to jest pańskim obowiązkiem, przydział konstrukcji stalowej w ramach centralnego bilansu na rok siedemdziesiąty szósty. To jest podstawowa sprawa.

JERZY — To jest sprawa zasadnicza. Zapisane jest, że poza bilansem, bo dostawy miały być w bieżącym roku. A więc poza bilansem już istniejącym. Jest ustalenie, że dostaniemy ekstra przydział stali. Natomiast prace projektowe, które są prowadzone, zmierzają do tego, żeby stworzyć nam warunki do przedstawienia historii, o co nam w końcu chodzi. Prawda. Nas nie interesuje dostawa w roku siedemdziesiątym szóstym.

MOSTOSTAL — Rozumiem, ale ponieważ... — muszę uczulić pana dyrektora na tą sprawę, że jednak w siedemdziesiątym szóstym roku ta sprawa będzie musiała być załatwiona. Dopiero. — Zgoda. W porządku.

JERZY — Prosiłbym o zanotowanie tego. Towarzysz z ramienia Instancji chce to wyjaśnić.

### *agitato molto*

NOWICKI — Zawsze Mostostal współpracował z Władzami i chciałbym, aby i tym razem było podobnie. Tymczasem wytwarza się taka sytuacja, że następuje wyszukiwanie u partnerów różnych trudności. Trzeba zastanawiać się, jak to winno być zrealizowane. Nie jest to sprawa jednej organizacji, czy kawiarni, lecz jest to sprawa ambicji Warszawy, żeby tą Wisłostradę od-

powiednio zagospodarować, aby ludzie tam przebywający mieli odpowiednie warunki do wypoczynku i rekreacji. Będę rozmawiał jeszcze raz z dyrektorem Mostostalu, aby zielone światło dla tej sprawy było zapalone. Ja z przykrością muszę tutaj wysłuchiwać, że to nie zostało właściwie zrozumiane. Dziękuję.

MOSTOSTAL — Chciałbym tutaj sprostować. Pewne sprawy muszą być jednak prawidłowo załatwione. Jest centralny bilans konstrukcji stalowych i to trzeba mieć załatwione.

NOWICKI — I to musi Nam Mostostal załatwić. Mam nadzieję, że więcej nie będę miał okazji do tego wracać.

JERZY — Natomiast ja rozumiem, że my dzisiaj musimy jednoznacznie ustalić miejsce, gdzie jesteśmy, jeśli chodzi o zaproponowanie konkretnego rozwiązania konstrukcyjnego, po to żeby w świetle podjętej przed chwilą przez Towarzysza z Instancji decyzji można było sprecyzować zapotrzebowanie na stal i lokować jej wykonywanie. Kolego — jest sprawa tego typu, że my merytorycznej dyskusji tutaj w tym gronie na temat możliwości, czy niemożliwości zastosowania takich czy innych elementów, przeprowadzić nie jesteśmy w stanie. Bo nie jest to grono, które tutaj może merytoryczne decyzje podejmować. Ja mam propozycję, żeby koledzy zechcieli usiąść jeszcze raz, ale już po raz ostatni i...

ARCHITEKT — Pierwszy raz oficjalnie.

JERZY — To proszę bardzo. Pierwszy raz oficjalnie w takim razie — usiądźcie oficjalnie — ponieważ zamówienie zostało zgłoszone, w związku z tym Mostostal może już z wami rozmawiać oficjalnie, prawda, to jest konkretne zamówienie i za robotę będzie zapłacone i prosimy, żeby w ciągu tygodnia czasu zamknąć dyskusję merytoryczną na ten temat. — My zaczniemy.

ARCHITEKT — Nie. W ciągu tygodnia musimy skończyć to. Nie można...

JERZY — ... to znaczy...

ARCHITEKT — Nie można... podstawowego elementu... — Tak jest. W ciągu tygodnia tej sprawy... — Musi być sprawa za... koń... — ... bo do tej pory nie rozmawialiśmy. Bo dyrekcja nie dała żadnych wiadomości, żeby to...

MOSTOSTAL — Przepraszam bardzo. Byłem świadkiem telefonu dyrektora do któregoś z panów dyrektorów. Wiem. Dyrektor potwierdził wyraźnie, że zobowiązanie Mostostalu dotyczy konstrukcji w oparciu o segmenty opracowane w ramach problemu węzłowego i na tym stanowisku będziemy stać, będziemy się chcieli dogadać, że tak powiem, z kolegami.

JERZY — Kolego — ja proponuję, żeby pan wrócił do rozmów nieoficjalnych na płaszczyźnie oficjalnej i wszystko, co pan opowiedział nam...

ARCHITEKT — Wielokrotnie rozmawialiśmy...

JERZY — To prowadźcie rozmowy wobec tego. Zaczniście prowadzić normalną rozmowę, w uzgodnieniu z Mostostalem. Ale w ciągu tygodnia musimy wiedzieć, czy to będzie tak — czy to będzie tak.

ARCHITEKT — Na to my się nie zgadzamy.

JERZY — Jak się nie zgadzacie na to, to dajcie nam znać, że chcecie inaczej. Ja wtedy...

ARCHITEKT — Tak było powiedziane.

JERZY — ... ja wtedy w swoim sumieniu rozważę jako fachowiec, czy jest to na te terminy możliwe, czy nie — i wtedy przedstawię Prezydentowi ocenę.

ARCHITEKT — Przecież wtedy była rozmowa...

JERZY — Nie było nic mówione, dlatego że wszelkie rozmowy nieprowadzone z jednostką centralną są tylko sugestiami. A my się na sugestiach nie możemy opierać, tylko musimy się opierać na merytorycznych uzgodnieniach, bo nie chodzi oto, żeby zawiesić sprawę w sporach między dwoma jednostkami, tylko żeby doprowadzić do konstruktywnego rozwiązania. Nie może być takiej sytuacji, że obiecujemy, a kwestia podstawowa, czy to w ogóle można wykonać na termin, jest niezałatwiona. Jeżeli pan ma innego arbitra, to proszę bardzo, jak pan się nie zgodzi, to proszę bardzo, niech pan mi stawi tego arbitra, zasięgnijemy jego opinii możliwie wcześniej. — Pan dyrektor, proszę.

MOSTOSTAL — My mamy zaplanowane urlopy od pierwszego lipca. Nie wiemy, czy możemy to wykonać i jesteśmy gotowi terminy przesunąć, ale prosimy o decyzję, co należy robić i w jakim terminie. Do tej pory mamy jedno zdecydowane stanowisko. Katalog. Rzeczywiście mamy mało czasu i chcielibyśmy, jeśli trzeba to zrobić... — ... no oczywiście to co zrobić można na ten termin.

JERZY — Jasna sprawa?

MOSTOSTAL — Tu są potrzebne jednak...

JERZY — No dobrze. Dwadzieścia dni sprawa nie załatwiona, przez to że prowadzono niekompetentne rozmowy. Jest to spowodowane brakiem kompetentnych rozmów z kompetentnymi ludźmi, no.

MOSTOSTAL — Ja rozmawiałem z dyrektorem...

JERZY — Niech pan pójdzie do swojego dyrektora i wyegzekwuje od niego tą sprawę.

MOSTOSTAL — Ja jestem dyrektor. Proszę ze mną rozmawiać.

ARCHITEKT — Tak, ale ja cały czas z tamtym dyrektorem u was rozmawiałem.

MOSTOSTAL — Ja wiem, ale dyrektor mi przekazał sprawę i będę skutecznie załatwiał.

JERZY — Rozumiem.

MOSTOSTAL — Oczywiście.

JERZY — Tak jest. Tak jest. Panie dyrektorze Sokołowski — ja uprzejmie proszę, żeby pański naczelny inżynier, który jest odpowiedzialny, brał udział we wszystkich konsultacjach z Mostostalem. Nie można sprawy składać na indywidualne rozmowy. — W tej sytuacji.

MARIAN — Panie dyrektorze — tak się składa, że u nas nie ma, bo nie było potrzeba naczelnego inżyniera i u nas generalni projektanci mają odpowiednie pełnomocnictwa. — Ale nasze rozmowy przebiegają zupełnie prawidłowo. Wysłaliśmy zlecenie i mamy uzgodnienie telefoniczne — zgodnie z dzisiejszymi sugestiami — kierownictwo nasze z kierownictwem Mostostalu...

JERZY — Dobra. I tak to ustalamy. A teraz, ponieważ koledzy powiedzieli, że są w stanie określić teren, jaki jest niezbędny, to chciałbym, żeby koledzy nam to powiedzieli, bo my podejmujemy decyzję o uruchomieniu placu budowy.

MARIAN — Proponowałbym zapisać do protokołu, że w dniu dzisiejszym ustalamy, że utrzymujemy dotychczasowe ustalenia, że Stołeczny Zarząd, albo wyda sam decyzję lokalizacyjną, jak tu padło, albo spowoduje jej wydanie.

JERZY — Stołeczny Zarząd podejmie decyzję. Kiedy dostaniemy ten schemat od was?

MARIAN — Dzisiaj damy.

JERZY — Dzisiaj. Dobrze. Jak dzisiaj dostaniemy, to natychmiast podejmiemy odpowiednie działania. — No, to zapisaliśmy wszystkie sprawy. Czy koledzy mają jeszcze jakieś kwestie?

MARIAN — Ja bym prosił jeszcze. Jeśli można. Takie rzeczy podać do protokołu, że postanowiliśmy, jak postępować... — Zresztą może nie dosłownie do protokołu, tylko jakąś reasumpcję tego, co wynoszę z dzisiejszej narady. — Czyli że postanowiliśmy, że dajemy program do zatwierdzenia przyszłemu użytkownikowi i zgodnie z ustaleniami, w poniedziałek...

JERZY — Nie. Inaczej panie dyrektorze. Tego programu nie macie co dawać do zatwierdzenia. Program już jest przesądzony. Bo tu trzeba przełamać tradycyjne — że tak powiem — nawyki i nie spodziewamy się, żebyśmy mogli tą sprawę normalnie i szybko załatwić.

MARIAN — Czyli w ciągu tygodnia najpóźniej decyzja byłaby w tej sprawie. Tak należałoby to rozumieć.

JERZY — Tak jest. Z tym że upoważniam was do działania. Nie przerywacie, nie czekacie na nic. Robicie wszystko dalej.

MARIAN — Naturalnie. — Następne. — Słyszeliśmy dzisiaj, że wszystkie zaświadczenia bądź wyszły, bądź wyjdą w dniu dzisiejszym. Zakładamy również, że na dniach one do nas dotrą.

JERZY — Tak jest.

MARIAN — Dalej znów należy zakładać, że koniec miesiąca będzie terminem wydania lokalizacji — prawda?

JERZY — Tak jest.

MARIAN — Postanowiliśmy ponadto, że konstrukcję przesądzimy w tym tygodniu w bezpośrednich rozmowach z wykonawcą.

JERZY — Tak jest.

MARIAN — Wobec tego ja bym proponował tutaj zebranym, że umowę damy w pierwszych dniach lipca, po spełnieniu tych warunków, o których mówiłem.

JERZY — — Panie dyrektorze — jeśli chodzi o sprawę umowy — możemy ją traktować jako sprawę do pańskiego uznania. Kiedy pan będzie chciał, kiedy pan będzie gotów, może pan

umowę przesłać, a my ją zawsze podpiszemy. W chwili obecnej ma pan globalne zlecenie i upoważnienie do tego, żeby organizować prace. — I zawsze wszystko, co pan wykona w chwili obecnej, będzie panu zapłacone. — Dziękuję. — Proszę działać szybko i sprawnie, żeby nie tamować żadnych prac.

MARIAN — Dalej ja proponuję, żebyśmy się umówili znowu tak, że jak zaświadczenia wpłyną, jak powiedziałem, zlecenie dajemy, w czasie kiedy to będzie niezbędne, rozmawiamy z...

JERZY — Tak jest. A pan dyrektor — jak znam jego życzliwość, sympatię dla takich pilnych spraw — zorganizuje tak, żebyśmy to w sierpniu mieli.

ARCHITEKT — Jest pewna szansa, jeżeli od pierwszego lipca ruszymy.

JERZY — No właśnie. Więc bardzo proszę, żeby pan zechciał z kolegami spotkać się i porozmawiać — prawda — i ustalić sobie szybciotko warunki. Bo wszystkie warunki są spełnione.

ARCHITEKT — My jeszcze pracujemy nad tym.

JERZY — To ja rozumiem — wy pracujecie nad tym. Z godziny na godzinę te parametry będą mogły być podane i opisane. Z tym że nikt wam ich nie będzie zatwierdzał, nikt wam ich nie będzie potwierdzał, poklepywał, tylko trzeba podejmować odważne decyzje i dawać nawet z rezerwą dwudziestoprocentową. — No, taka jest prawda, panowie — bo przecież zrozumcie, jak pójdziemy inną drogą, to zginiemy w tym całym interesie, a nie zyskamy ani złotówki. — Proszę bardzo. Czy jeszcze są jakieś kwestie? — Proszę bardzo.

ARCHITEKT — Chciałbym prosić o sformułowanie terminu wykonania...

JERZY — ... tyle się przesunie, ile się przesunie. Oczywiście. Nie będziemy was dusić za gardło. Jesteśmy przyzwoici. Proszę bardzo.

DYR. 7 — Ja mam taką drobną sprawę. Niemniej bardzo ważną. Propozycja w zakresie komunikacji jest w ogóle nie do przyjęcia. Dlatego też wydaje mi się, że jest niezbędne spotkanie, natychmiast, żebyśmy popatrzyli inaczej na te sprawy. Na pewno dojdziemy do wniosku, że należy inaczej tutaj postąpić. Bo po prostu tracicie czas.

ARCHITEKT — Przepraszam. Ja już badałem te sprawy.

DYR. 7 — Absolutnie to co wyście zaproponowali, to wam nikt nie zatwierdzi. To nie przejdzie. No. Ja wam oświadczam. Trzeba te sprawy skoordynować. Ale to są szczegóły. Dlatego ja proponuję, żebyśmy...

JERZY — Zapisujemy do protokołu, że koledzy sprawę przekonsultują jeszcze raz i że ustalimy w ten sposób. Właściwym do zatwierdzenia tych spraw jest kto? Prezydent? — Z uwagi na skoordynowanie tej sprawy przez naszego szefa, po rozmowach panów proszę Prezydentowi natychmiast przedstawić do zatwierdzenia koncepcję dojazdu. Żeby nie było obciachu.

DYR. 7 — Oczywiście. Weźcie to państwo pod rozważę. Ja bym zabezpieczył autokar, może jeszcze prosiłbym jeszcze, żeby towarzysz dyrektor wziął udział w tym spotkaniu, może byśmy się u was spotkali i stąd całym gronem pojedziemy na miejsce, obejrzymy sobie...

JERZY — Towarzyszu, gdybym ja miał tylko tą sprawę, to ja bym chętnie z wami pojechał. Natomiast proszę, żebyście jak najszybciej definitywnie sprawy ustalili i przedstawili do zatwierdzenia. Sprawa nie jest bynajmniej taka prosta.

ARCHITEKT — To znaczy, rozumiem, że te sprawy komunikacji tylko z panem dyrektorem trzeba załatwiać.

JERZY — W chwili obecnej, sprawy komunikacji, kolego, pan załatwia w sposób prawidłowy. Tylko że sytuacja jest taka, że my, jak pan dobrze wie, między tym co wymyślą koledzy, a tym co się dzieje w rzeczywistości, przechodzimy jeszcze kilka etapów obróbki intelektualnej — prawda. I później jak coś dochodzi do końca, to to dopiero ma ręce i nogi. Prawda? Więc chodzi o to, żeby to doprowadzić do tego etapu. Żeby to się nadawało. Żeby nie było kierunkowo, ogólnie — prawda — i generalnie prawidłowe, tylko żeby można było z tego korzystać. I tą pracę trzeba wykonać wspólnie, no. Jeżeli to się ustawi w sposób nierealny, to po prostu tego nikt nie wykona. Kolego, ja panu powiedziałem, jak ktokolwiek śpi, to niech pan bierze za telefon i dzwoni do mnie. Będziemy wszystkich budzić. Tak. Będziemy, będziemy wszystkich budzić. To na razie wszyscy, co mieli wykonać prace wstępne, wywiązali się ze swoich zadań w sposób honorowy. Dobra. Jakies kwestie jeszcze mamy?

DYR. 8 — W zapisie tym, który dyskutowaliśmy przed chwilą, proponowałbym przyjąć pogląd, że nie będziemy tutaj ustalali szczegółów tej sprawy, wobec tego według mnie najpraw-

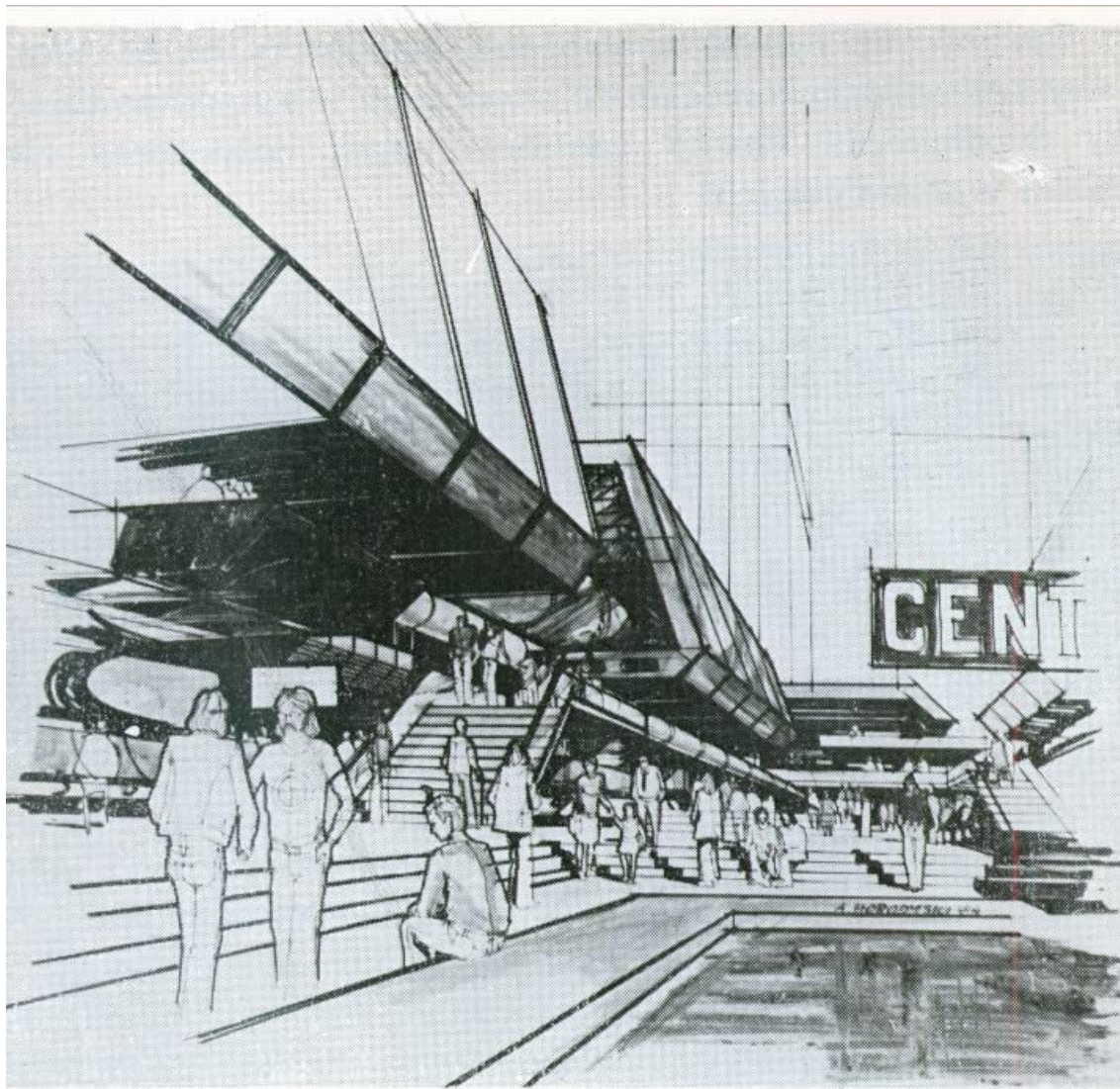
dopodobniej ustawi się wszystko, gdyby panowie zdecydowali, czego nie można — powinno to być podstawą do wydania wytycznych w tym zakresie — a my dostosujemy się do takich wytycznych. — Panie dyrektorze — ma pan rację i chyba koledzy przyjmiecie tę propozycję. Wobec tego umawiamy się, że panowie się spotkają, omówią temat, a pan podejmie całą procedurę zatwierdzenia.

JERZY — No, niezupełnie. Ja tylko podpowiem, jak te sprawy trzeba załatwić. — Czy mamy coś jeszcze? Jeżeli nie ma nic więcej, to ja rozumiem, że myśmy sobie dzisiaj zrobili kilka kroków do przodu...

KTOŚ — ... prócz jednego do tyłu, prawda?

JERZY — No ale cóż zrobić. Okazuje się, że taki chroniczny brak decyzji instytucji za to odpowiedzialnych, no trzyma nas, trzyma nas w sposób poważny. I załatwimy tą sprawę w trybie awaryjnym. Złamiemy, kogo trzeba. Dziękuję bardzo kolegom.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.



### *da capo*

Gdy trzeba było opóźnić choć o jedną pięcioletkę budowę Dworca Centralnego w Warszawie (bo nie starczało pieniędzy) niespodziewanie Jaszczuk — Sekretarz KC PZPR — dał ucho grupie młodych architektów, którzy opowiadali, gdzie tylko mogli, że centrum Warszawy należy bardziej współcześnie realizować. Rozmowa w KC, rozmowa w KW, rozmowa u Ministra Budownictwa — młodym zlecono opracowanie koncepcji przebudowy całej Polski — był jeden warunek — koniecznie budynki z wielkiej płyty. Młodzi potwierdzili, że wielka płyta to całkiem dobra technologia, a obiecali przekształcić Polskę w jedno miasto pasmowe — od Karpat do Gdańska. Wszak niedawno inny architekt zasłynął projektując rozwój Paryża jako miasto pasmowe wzdłuż Sekwany do samego wybrzeża. Budowa dworca się odwlekała, a z miasta pasmowego ostał się jedynie Ursynów zrealizowany w Warszawie. Tam twórcy ucieleśnili swe myśli: autostrada przez środek, po obu stronach izolujące autostradę pasy działalności zawodowej, następnie pasy zabudowy mieszkaniowej, pasy oświaty i rekreacji, a dalej pola, przyroda. W kolejnych dziesięcioleciach architekci ustępowali wobec potrzeb stolicy i rezerwy terenów przewidziane na Ursynowie na drobny przemysł i rzemiosło oraz na oświatę i rekreację przeznaczali na dalsze blokowiska z wielkiej płyty. (Tak więc mamy dziś awantury, jakim cudem autostrada została przewidziana tuż między budynkami mieszkalnymi).

Tym razem trzeba było wycofać się z budowy restauracji w Lasku Bielańskim nad Wisłą. Ktoś wyżej, kogo trzeba opieprzył. Sekretarz KW PZPR zlecił swej konkubinie, znanej dziennikarce storpedowanie sprawy. A ta nie mogła się nadziwić, kto też wpadł na taki pomysł restauracji w tym miejscu.

w 210 dni później  
czyli styczeń 1976 roku

### *Vox humana*

ŻYCIE WARSZAWY — Iwona Jacyna — „Beton w biurze projektów”  
cytuje:

### *a capella*

„Wybraliśmy się we trójkę na styczniową majówkę na Bielany. Udział w niej wzięła pewna pani inżynier — ogrodnik, która ma na swoim koncie średnio rocznie tysiąc albo i więcej drzew uratowanych w Warszawie, wywalczonych w ciężkich bojach z pełnymi energii i twórczej wewrwy projektantami przeróżnych inwestycji oraz pan inżynier, jeden z owych energicznych projektantów.

Spacerowaliśmy i gawędziliśmy ze dwie godziny, po czym pan inżynier natychmiast zameldował się u swego dyrektora i wypowiedział się z niedopuszczalnego, lecz zupełnie mimowolnego przewinienia, jakim był kontakt z prasą. Pan inżynier bowiem z początku nie wiedział, że jestem dziennikarką. Prywatnie pan inżynier zapowiedział, że cokolwiek napiszą — on wszystko co mówił — odwoła, wszystkiemu zaprzeczy. Biedny, po co się tak denerwuje? Dziennikarz nie powołuje się na każdego, kto podświadomie o tym marzy.

A swoją drogą — skąd tyle obaw? Czy nie stąd, że często nasi projektanci mają inny pogląd prywatny, a inny oficjalny?

Ale majówka była udana. Zlitowało się nad nami słońce i ubarwiło szary, mokry, styczniowy dzień. Jak piękny to musi być zakątek przy dobrej letniej pogodzie, skoro nawet w zimie okazał się tak malowniczy!

Teren naszego spaceru — to trójkąt między ulicami: Pułkową, Wisłostradą i granicą rezerwatu w Lesie Bielańskim. Zagajniczek brzozowy, trochę młodnika sosnowego, trochę młodych dębów, polanki, stare forteczne fosy — i wspaniałe uzupełnienie tego ładnego miejsca — rozległy widok na Wisłę i przeciwległy brzeg. Tu dopiero widać jak piękna jest ta nasza rzeka; nie doceniamy jej w mieście.

Właśnie tu, na skarpie, nad ostatnim odcinkiem Wisłostrady projektuje się zbudować dużą, elegancką kawiarnię i restaurację, w sąsiedztwie od dawna projektowanego ośrodka wypoczynkowo-sportowego. Decyzję lokalizacyjną wydał naczelny architekt Warszawy.

Ciągle narzekamy na brak kawiarni, kawiarenek, małych przytulnych restauracyjek, karczem itp., a także — na brak basenów i boisk sportowych. A jak tylko zaczyna się gdzieś coś

budować, zaraz podnosi się krzyk, że zagrożenie przyrody, że zniszczenie drzew. Czy świadczy to o narodowym malkontentwie, czy może o tym, że gdy zaczynamy budować — zaczynamy również niszczyć, że nie nauczyliśmy się jeszcze szacunku dla krajobrazu, dla przyrody?

Wszyscy kochają zieleni, kochają ją i projektanci, i inwestorzy, ale jak przystępują do roboty — zapominają o uczuciu.

„Nie mamy czasu na kochanie, tylko na pracę” — oświadczył twardo jeden z panów.

Czemu wybiera się tak pięknie ukształtowany, tarasowo opadający teren, skoro przy projektowaniu neguje się te naturalne walory, które przecież stały się przyczyną tej, a nie innej lokalizacji? Dlaczego rozliczne urządzenia służące rekreacji rysuje się na papierze — jak łatwiej czy jak popadło — nie licząc się z rosnącym tu lasem? Czy las nie służy rekreacji? To po co wybrano taki teren? Można było znaleźć byle klepisko. Nawet łatwiej byłoby budować, a po zbudowaniu obsadzić kwiatami i też byłoby ładnie”.

Koniec cytatu.

\*

### *da capo*

Była tu jeszcze jedna monstrualna sprawa. Architekt projektujący kawiarnię miał brata, bliźniaka jednojajowego. Byli tak podobni do siebie, że nawet ich żony nie potrafiły rozróżnić ich. Perfidia była w tym, że jeden z nich zdołał osiąść we Włoszech i tam pracował, a drugi projektował w naszym biurze. Tyle że ten pierwszy miał prawo przyjeżdżać do Polski, a temu drugiemu odmawiano wydawania paszportu.

Czyż można się dziwić, że w tej sytuacji do Włoch wracał raz jeden, raz drugi. Gdy aktualnie w Polsce przebywał ten bez prawa opuszczania kraju, podczas projektowania zachowywał się normalnie, jak przystało na architekta PRL, był arogancki, wielki, nieużyty — bo w architekturze reprezentował dobro Narodu, a każdy pojedynczy oponent był dla niego zwyczajnym kołtunem. Tak więc gdy wreszcie mogłem się z nim dogadać, gdy wykazywał, że dla niego rzeczywiście klient był panem — wiedziałem, że rozmawiam z tym włoskim architektem, tylko po tym ich rozróżniałem.

Właśnie ten Włoch poszedł na rozmowę z dziennikarką „Życia Warszawy” i podszedł do tematu jak przystało na włoskiego architekta, a potem przybiegł do mnie, abym zapanował nad sprawą, gdy brat po powrocie będzie co innego mówił.

\*

W roku 1976 gospodarka Polski wyraźnie trzeszczała w szwach. Nie było skąd brać dalej pieniędzy na liczne rozpoczęte inwestycje. Władze usiłowały panować nad wielkością budżetu państwa. Próbowano zwłaszcza ograniczyć wydatki na konsumpcję w Polsce. Czyniono to poprzez ściśle limitowanie zatrudnienia w całym kraju. Wydział Zatrudnienia stał się najważniejszym urzędem w Warszawie. Tu decydowano o zatrudnieniu każdej osoby w mieście. Wszystkie jednostki zatrudniające ludzi musiały ubiegać się w Wydziale Zatrudnienia o przyznawanie, a potem potwierdzanie co miesiąc ilości dozwolonych etatów. Boje toczyły się o każde stanowisko pracy.

list do pracownika  
31 maja 1976 roku

## *Opus 1*

### *a vista*

Powołanie Biura Projektów Budownictwa „War-Cent” miało na celu zorganizowanie w strukturze jednostek podległych Prezydentowi m. st. Warszawy samodzielnego biura projektów do projektowania Centrum Warszawy, w tym w pierwszej kolejności do zaprojektowania Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy i Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy - Pragi.

W związku z tym organizowanie biura musiało oprzeć się na wysoko wyspecjalizowanej kadrze projektantów. Biuro nasze nawiązało wówczas współpracę ze stowarzyszeniami naukowo-technicznymi i wyższymi uczelniami w celu wyselekcjonowania najbardziej właściwych kandydatów do pracy w naszym biurze. Między innymi konsultacje z Polskim Związkiem Inżynierów i Techników Budownictwa oraz Prorektorem Politechniki Warszawskiej, które miały miejsce w sierpniu 1973 roku, wskazały, że Obywatel winien zostać głównym projektantem konstrukcji w naszym Biurze. Biuro uzyskało wówczas zgodę Politechniki Warszawskiej i zatrudniło Obywatela na stanowisku głównego projektanta konstrukcji. Zatrudnienie to miało mieć charakter niepełnego czasu pracy, gdyż w momencie zatrudnienia jeszcze nie były spełnione wszystkie warunki niezbędne do uzyskania zgody na zatrudnienie Obywatela na cały etat. Tym niemniej dyrekcja Biura miała ustne przyrzeczenie, że sprawę zatrudnienia Obywatela na cały etat będzie można pozytywnie załatwić w najbliższym czasie.

W lipcu 1974 roku Biuro ponownie zwróciło się do Politechniki Warszawskiej z uprzejmą prośbą o wyrażenie zgody na pracę Obywatela w naszym Biurze w pełnym wymiarze czasu pracy i mimo szeregu rozmów w tej sprawie, stanowisko Politechniki Warszawskiej ograniczyło się do wyrażenia zgody na „wykonywanie dodatkowego zajęcia zarobkowego w naszej jednostce w wymiarze 1/2 etatu w okresie od 1.9.74 do 31.8.75r.” Na podstawie tak sformułowanej zgody Biuro uzyskało od Wydziału Zatrudnienia Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy zgodę na przedłużenie zatrudnienia Obywatela do 31.08.1975 roku.

Na przestrzeni tych dwóch lat pracy bardzo daleko zaawansował Obywatel wraz z zespołem konstrukcyjnym opracowania projektowe szeregu obiektów. W tym szczególnie zaangażował się Obywatel w projektowanie Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy dając koncepcję konstrukcyjną budynków wysokich, opracowując w zespole projekt ofertowy budynku wieżowego Banku Handlowego SA i Central Handlu Zagranicznego w ZRCW, na podstawie której został zawarty kontrakt międzynarodowy i podjęta realizacja tego obiektu przez szwedzką firmę BPA BYGPRODUKTION AB. Jednocześnie, w wyniku zawartych umów z Przedsiębiorstwem Handlu Zagranicznego „INTRACO” opracowuje Obywatel w polsko-szwedzkim zespole dokumentację techniczną tego najwyższego w Europie budynku wieżowego wykonywanego w konstrukcji żelbetowej.

Tak więc dorobek Obywatela przy tym temacie jest bezsprzeczny, a stopień zaangażowania się w sprawy projektowania nieodwracalny. Przy tak liczących się wynikach pojawiły się na przestrzeni ostatniego roku poważne przeszkody formalne, które mimo usilnych i wielostronnych działań do chwili obecnej nie zostały usunięte.

Biuro Projektów Budownictwa „War-Cent” ma tu na myśli następujące fakty:

Na mocy Zarządzenia nr 81 Prezesa Rady Ministrów z dnia 19.10.73r. w sprawie zatrudnienia pracowników w dodatkowych miejscach pracy, zgodnie z §2 pkt 3 zezwolenie na zatrudnienie

nie w dodatkowym miejscu pracy w niepełnym wymiarze czasu pracy mogą być wydawane na okres nie przekraczający 12 miesięcy.

W związku z powyższym, jedynie na usilną prośbę, Biuro Projektów Budownictwa „War-Cent” uzyskało w Wydziale Zatrudnienia zgodę na jeszcze jeden rok pracy Obywatela w naszej jednostce, tj. do 31.08.1975 roku.

W październiku 1974 roku ukazało się Zarządzenie nr 94 Prezesa Rady Ministrów w sprawie ograniczenia nadmiernego przyrostu zatrudnienia. Szczegółowe zasady działania wynikające z tego zarządzenia obowiązujące Wydział Zatrudnienia określiły, że w przyszłości nie będzie możliwe zatrudnianie w biurach projektów pracowników w niepełnym wymiarze czasu pracy.

W związku z tym na przestrzeni całego ubiegłego roku BPB „War-Cent” czyniło usilne starania w kierunku pozytywnego załatwienia omawianego problemu.

W czerwcu 1975 roku Biuro zwróciło się kolejnym pismem do Politechniki Warszawskiej z prośbą o zgodę na zwiększenie wymiaru godzin pracy Obywatela w naszym Biurze. Jednak ze względów formalno-prawnych Politechnika Warszawska nie mogła zająć pozytywnego stanowiska w tej sprawie, sugerując jednocześnie, że zgodę na zatrudnienie Obywatela w pełnym wymiarze czasu pracy może wydać jedynie Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

Biuro skorzystało z tej sugestii i drogą służbową poprzez Stołeczne Zjednoczenie Projektowania Budownictwa Komunalnego i poprzez Ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska w listopadzie 1975 roku zwróciło się do Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki o wyrażenie zgody na pracę w pełnym wymiarze czasu pracy. Na wystąpienie to do chwili obecnej Biuro nie otrzymało odpowiedzi.

W sierpniu 1975 roku Biuro zwróciło się do Wydziału Zatrudnienia o kolejne przedłużenie zgody na zatrudnienie Obywatela w wymiarze 1/2 etatu, na co nie uzyskaliśmy zgody.

Biuro było bardzo zainteresowane w dalszym zatrudnianiu Obywatela i w związku z tym prowadziło nieustające rozmowy i kierowało wystąpienia drogą służbową poprzez Stołeczne Zjednoczenie Projektowania Budownictwa Komunalnego do Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych:

1. Pismo z dnia 6.09.1975r. L.dz. 2714/75
2. Pismo z dnia 8.01.1976r. L.dz. 135/76
3. Pismo z dnia 25.02.1976r. L.dz. 862/76
4. Pismo z dnia 21.04.1976r. L.dz. 1691/76.

Również na powyższe wystąpienia Biuro nie otrzymało odpowiedzi. Tak więc wytworzyła się bardzo trudna sytuacja, rozwiązanie której będzie miało dla sprawy brzemienne skutki, a decyzja podjęta przez kierownictwo biura nigdy nie będzie mogła być zadowolająca; gdyż jeżeli będzie rozwiązywała jedną część zagadnienia, to jednocześnie będzie wykluczała pozytywne załatwienie innych aspektów sprawy.

Faktem jest, że Obywatel jako główny projektant konstrukcji gmachu Banku Handlowego SA i Central Handlu Zagranicznego, dla którego dokumentacja techniczna jest w trakcie opracowywania, nie może obecnie być wyłączony z procesu inwestycyjnego realizacji tego obiektu. Z drugiej strony jednak od 1.09.1975 roku Obywatel jest zatrudniony w naszym Biurze bez wymaganej przepisami zgody Wydziału Zatrudnienia i za co dyrektor biura może być pociągnięty do odpowiedzialności.

W tej sytuacji podejmuję decyzję o wypowiedzeniu Obywatelowi pracy w ustawowym okresie wypowiedzenia. Formalna decyzja o wypowiedzeniu oraz szczegółowe zasady rozwiązania umowy o pracę zostaną określone w odrębnym piśmie.

\*

### *da capo*

Każde wydarzenie polityczne, każda rocznica winny wyzwać w narodzie nowy entuzjazm do pracy, który przejawiał się obowiązkowymi czynami społecznymi.

Jesienią 1975 roku miał odbyć się kolejny Zjazd Partii. Komitet Warszawski PZPR postanowił, że w czynie społecznym załogi warszawskie wybudują kładkę dla pieszych nad ulicą Górnośląską — za Sejmem. Do wykonania projektu wyznaczono nasze biuro. Zgłosiłem, że osobiście wykonam ten projekt. Bardzo tęskniłem za samodzielnym projektowaniem, a była to pierwsza okazja. Kładkę zrealizowano w wielkim pośpiechu. Budową kierował inny działacz — dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta – Warszawa Północ, Zbigniew Pakalski. Potem trzeba było się nam dwóm rozmówić, co zrobić z licznymi wadami budowy.



Kładka dla pieszych nad ulicą Górnośląską obok Sejmu w Warszawie.

Akt I. Scena 2. ALT. II  
19 czerwca 1976 roku

### *Kuplet con grave*

#### *adagio*

MARIAN — Omówmy po kolei, jak to się realizowało. Czy jesteś przekonany, że nie powinno się obsypywać tych fundamentów?

ZBYSZEK — Nie. — Absolutnie jestem przekonany, że trzeba obsypać. Co do tego nie ma w ogóle żadnych zastrzeżeń.

MARIAN — Prawda? Bo również na tym chodniku na górze asfalt się obrywa w tym narożniku.

ZBYSZEK — Słuchaj. Wtedy żeśmy nie podsypywali z jednego właściwie względu. Już nie było czasu. Bo tam, że osiadanie, powiedzmy, że tego... — no to wiadomo było, że osiadzie, że się coś pozapada — pozapadała się ta ścieżka, bo to było na świeżym nasypie — prawda — więc co do tego nie było wątpliwości. Poprawki musiały być. A to, to już nie było kiedy. No przecież ja w ostatniej chwili na pół godziny przed uroczystością jeszcze grupą takich ludzi z tego czynu społecznego tylko obrabiłem te trochę ziemi, która była. I koniec.

MARIAN — Czyli my byśmy sobie zapisali, że to...

ZBYSZEK — ... fundamenty obsypać — absolutnie tak. Zgodnie z projektem — no. Zresztą trzeba jeszcze nad tę skarpe nadsypać, bo tam jest sytuacja taka, że ścieżka, a potem ostry spad. Tam trzeba podsypać... A tą ścieżkę, którą żeśmy też wtedy... — tylko żeby ją tak zachować... — po starych schodach położyli taki z dwóch płytek chodniczek — to też była prowizorka. Położyliśmy na razie chodniczek, a potem się podsypie — zobaczymy — może się na tym zrobi schody, a może nie, ale w każdym razie trzeba tę skarpe wyłagodzić, wyrównać, podsypać...

MARIAN — Wobec tego byłaby następna sprawa. Jeżeli my... — to znaczy tego łożyska dolnego... — Ty wówczas mówiłeś, że należy go odwodnić... — Ktoś kiedyś mówił — gdyby była okazja — o zalaniu asfaltem — wypełnieniu po prostu — ale to byłoby... — Zupełnie nie umiem tego ocenić.

ZBYSZEK — Wydaje mi się, że nie. Bo wiesz — to jednak jest jakieś usztywnienie tego łożyska jednak, a ono ma obowiązek pracować.

MARIAN — Czyli ono powinno być widoczne, bo jeżeli znajdą jakieś zmiany pod tym asfaltem...

ZBYSZEK — O to chodzi.

MARIAN — ... a tak przy okazji... — dlaczego milczeliście, gdy zrzucano na mnie winę... — To przecież ja bezskutecznie udowadniałem, że geodeci pomylili się najpierw w obliczeniach, a potem w wytyczeniu płaszczyzny tego łożyska. Sam się bronić nie mogłem, bo przestaliście mnie zapraszać, abym nie komplikował wam operatywności koordynacji...

ZBYSZEK — No wiesz — wtedy był Pierwszy Sekretarz Dzielnicy!

MARIAN — ... no trudno. Czyli raczej byśmy mówili, że łożyska tego...

ZBYSZEK — Po prostu ja bym zrobił obok tę studzienkę, wsiąknie — koniec. — Prawda? — Ale łożysko bym zostawił otwarte, żeby było widoczne i mogło swobodnie... — Przecież to pracuje cały czas — chodzi ta konstrukcja na tym łożysku — obraca się.

MARIAN — Więc i w drugiej kwestii byśmy się rozumieli. — No, trzeci... — Moim zdaniem trzecia to byłaby kwestia schodów. Ja tam oglądałem. Tam jednak struktura betonu zaczyna się kruszyć.

ZBYSZEK — W każdym razie nie wiem w którym miejscu. Ja ostatnio nie chodziłem tam — żeby się nie denerwować. — Ale może to się wykrusza w tych miejscach, gdzie stopnie były przycinane? I kątownik został wycięty. Bo przecież wiesz — tam...

MARIAN — Nie, nie.

ZBYSZEK — Wewnątrz kątownika się wykrusza?

MARIAN — Wewnątrz kątownika — dosłownie w miejscu chodzenia.

ZBYSZEK — Aha.

MARIAN — Wiesz, to jest cienkie — cztery i pół centymetra — to to może być niebezpieczne.

ZBYSZEK — To ten beton, cholera, widocznie źle był zrobiony.

MARIAN — Więc trzeba by się nad tym zastanowić. Ja w tym swoim piśmie sugerowałem pokrycie ich również asfaltem.

ZBYSZEK — Ale asfalt na stopniach przecież będzie spływał. Bo on nie będzie miał się czego trzymać.

MARIAN — Więc może tam by trzeba było dopasować jednak półeczkę...

ZBYSZEK — Słuchaj. — Ja widziałem, że... — Wczoraj mieliśmy rozmowę tą na, na... — o której ci przedtem mówiłem — na temat teatru — i tam schodki są wyłożone ciekawą rzeczą. Ale chyba to jest importowana historia. Bo to są lastrykowe płytki z łuskami z tworzywa. Dotykałem — nie wiem, czy to guma, czy co, ale jakieś pecewu. A reszta jest pięknie wyszlifowana i dlatego, że tak pięknie wyszlifowane, podejrzewam, że jest to chyba jakaś resztką gdzieś z importu — została — czy coś — ale ja się dowiem od kolegi.

MARIAN — No może dowiedz się. W każdym razie mnie się...

ZBYSZEK — Tak, problem zostaje, zostaje — granit najpewniejszy wtedy — bo go zawsze można nałożyć.

MARIAN — Granit miałby tę zaletę, że byłby bardzo trwałe...

ZBYSZEK — ... ładny...

MARIAN — ... i konstrukcyjnie by wzmocnił te wykruszenia.

ZBYSZEK — Ale co byś ty wolał, bo w tym roku jest z kamieniem łagodniej, bo w zeszłym roku to był ten gwałt z...

MARIAN — Kamień byłby bardzo solidny.

ZBYSZEK — Więc może byśmy jako zasadniczy wariant przyjęli kamień.

MARIAN — Kamień. — Tak.

ZBYSZEK — Tym bardziej, że jest to pasowanie roboty na miejscu. Wiesz, to też jest ważne. Ludzie patrzą. — A tak — proszę bardzo — to był wstęp — a teraz przyszedł kamień — położyliśmy — jest pięknie, elegancko — od razu gotowy kamień przychodzi — układa się go...

MARIAN — Może najwyżej trzeba by pomyśleć nad izolacją pod ten kamień.

ZBYSZEK — To decydujemy się na kamień. Wprawdzie jest to rzecz droga i tutaj musimy trochę pieniędzy znaleźć, ale ktoś tam będzie miał jakieś pieniądze. To już nam w czynie tego kamienia chyba nie zrobią. Spróbujemy go kupić.

MARIAN — Wiesz, jedno mnie do dzisiaj gnębi. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak stanowczo wyparłeś się wówczas, że kamień, który przewidziałem w projekcie, sam swego czasu zasugerowałeś.

ZBYSZEK — No wiesz, stary — przecież była to podbramkowa sytuacja. Jak ja mogłem obstawać przy kamieniu, skoro zostało tylko parę dni. — A tu jeszcze obecność tych naszych opiekunów. Teraz, to co innego. Spokojnie załatwimy.

MARIAN — No, co dalej by trzeba było? Omówmy w sposób nie panikarski sprawę zabezpieczenia antykorozyjnego. Nie tak na wszelki wypadek, ale wynika z dotychczasowych stwierdzeń i się mówi, że koroduje sama konstrukcja.

ZBYSZEK — Według mnie no to na korozję konstrukcji to jest jeszcze za wcześnie.

MARIAN — No właśnie. Więc gdyby tak było...

ZBYSZEK — Poza tym kto mógł stwierdzić przy konstrukcji...

MARIAN — No w protokole tym ostatnim jest napisane, że zdjęto parę blach osłonowych od spodu i stwierdzono, że koroduje konstrukcja.

ZBYSZEK — Tak jest napisane? — To ja tego nawet, wiesz, nie... zauważyłem. — Nieprawdopodobne. Kto tam zdejmował te blachy? Jeżeli tak jest napisane, to tak jak mówisz, to trzeba beznamiętnie sprawę sprawdzić.

MARIAN — Tak. Ktoś powinien sprawdzić, bo ani ty, ani ja, ani nikt inny...

ZBYSZEK — To jest taka mocna konstrukcja, że nawet jak zacznie korodować, to dwadzieścia lat przestoi. Bez żadnych problemów i bez konserwacji. I nie zawali się.

MARIAN — Więc ktoś to powinien obiektywnie ocenić.

ZBYSZEK — Pokaż mi ten protokół — kto tam był? — O! — Nikt z moich tego nie podpisał. No, wprawdzie Rysiek protokółował. Dopiero teraz czytam uważnie. Śmieszne, ale dotychczas na to nie zwróciłem uwagi. No, doczytałem do końca.

MARIAN — Skoro ktoś coś takiego stwierdził, to jest nas dwóch obowiązkiem...

ZBYSZEK — Absolutnie. Masz rację.

MARIAN — Zbadajmy sprawę.

ZBYSZEK — Tak. Przede wszystkim zacząć trzeba od zbadania uczestników, czy oni rzeczywiście zdejmowali, bo jakoś mi się w to nie chce wierzyć. — W jaki sposób? — I jeszcze żeby takie rzeczy wypisywać na dodatek.

MARIAN — No właśnie. Ale to zobowiązuje.

ZBYSZEK — Przecież to zostało na wstrzelone kołki przykręcone, przypasowane, z rusztowań... — Czy kto tam teraz rusztowania ustawiał? — I zdejmował to? — Nieprawdopodobne. — To coś mi się to nie wydaje prawdziwe. — No nic. — Ja muszę najpierw Ryśka złapać — jak to jest? — Skąd się to wzięło? — Dlaczego to tak jest? — Ale w każdym razie trzeba sprawdzić tę sprawę.

MARIAN — Jak to tu napisano? — Stopień poprawności zabezpieczenia antykorozyjnego.

ZBYSZEK — No ja ci powiem — z tą poprawnością też... — to już trzeba do końca jakoś tak nazywać oględnie. Bo przecież wykonawca wtedy zastrzegł, że to nie są warunki do wykonania zabezpieczenia antykorozyjnego. — No kochany. — I — wobec tego — wtedy tam w baraczkę, na jednej z tych odpraw — ja wyraźnie powiedziałem: — Tak jest. Przyjmujemy. — Nie jest to zabezpieczenie antykorozyjne według wszelkich prawideł technicznych — jest to pomalowanie konstrukcji. — I myśmy jeszcze wtedy mówili: — Jakimi farbami? — Proszę bar-

dzo. Nie pamiętam, jakie wtedy zostały zdecydowane — ... jest dwukrotne pomalowanie. — Czyli my możemy w tej chwili powiedzieć tak: — że my sprawdzamy stan tego pomalowania — i dalej dyskutujemy, czy jest to wystarczającym zabezpieczeniem antykorozyjnym do jakiegoś czasu — jak to uznamy.

MARIAN — I w ten sposób byśmy konstrukcję w dniu dzisiejszym omówili. Proponowałbym teraz krótką dyskusję na temat samego pomostu. Jak pamiętasz — my w projekcie dawaliśmy tam izolację. Zostało wykonane bez izolacji... — No wyraźnie stwierdziliście, że nigdzie się tak nie robi. — Tym niemniej jest to jakaś... — No ja tam zaglądałem w tę część nieobudowaną, to po bokach te płyty są zamoknięte.

ZBYSZEK — Można by tamtędy pomacać. Jak już będziemy sprawdzać korozję, to się tych kilka płyt zdejmie... — Zresztą przy okazji — ja myślę — że trzeba będzie...

MARIAN — Czyli tutaj też byśmy się dogadali. Natomiast chciałbym bronić samego systemu.

ZBYSZEK — To ja ci z kolei muszę powiedzieć tak: — że ja oceniam tę konstrukcję obudowy jako rzeczywiście — tak jak mówiłem od samego początku — bardzo skomplikowaną, która ma na pewno swoje... — swoje... — no powiedzmy sobie — forsy — i estetyczne — i może nawet te konstrukcyjne — że mimo tego skomplikowania — to jednak okazało się przy montażu, że to... — no, było łatwo... — Jak oni złapali ten sens, to to bardzo szybko szło... — że to się skręcało z... — Jest to przemyślnie zrobione — prawda? — Ale mankamenty tego były jakie? — Jaki — znaczy — jest główny mankament całej sprawy? — Że jest to zrobione — jest to pomyślane na inny materiał, niż zastosowano. — Bo gdyby to wszystko były profile aluminiowe, niekorodujące — i to jeszcze robione — powiedzmy — fabrycznie, idealnie — tak jak projekt... — A taka blacha — jak ona jest wygięta na takiej — wiesz — kantmaszynie — to tolerancje... — toś ty widział, jakie są — prawda? — I przy tych tolerancjach już cudów nie ma, żeby to wyszło z precyzją, na jaką zostało zaprojektowane. — A precyzja ta była nie do osiągnięcia przy tym materiale i przy tym systemie realizacji — rzemieślniczej...

MARIAN — ... gdyby rzemieślniczej... [vide s. 267]

\*

Jestem bardzo sentymentalnie związany z moją kładką. Uważam, że mi się udało. Jednak w roku 1975 wszystko w budownictwie sprowadzono do kompletnego prymitywu: najgorsze, bo najtańsze materiały, nieodpowiedzialne wykonawstwo, bo prowadzone poprzez robotników bez niezbędnego wykształcenia i praktyki, organizowane przez Dyрекcję Rozbudowy Miasta wyspecjalizowane w pozornym szybkim realizowaniu obiektów, łamiąc wszelkie zasady technologiczne i organizacyjne.

Mimo tego wszystkiego, udało mi się uzyskać pewną dozę wyższej jakości rozwiązań plastycznych. Był to pierwszy w Warszawie obiekt w stylu postmodernizmu. Kładka miała wysublimowany kształt, miała okładzinę z białego betonu i to kanelowanego, unikalne balustrady z dużych płyt szkła i to szkła pancernego, pochwyty balustrady były niklowane, a na narożach wprowadziłem ręcznie kute kwiatony secesyjne; od spodu kładka była wykończona blachą fałdową, której się jeszcze nie stosowało w budownictwie polskim.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku odarto moją kładkę z tego wszystkiego, od spodu zostawiono odkrytą konstrukcję, boki obłożono blachą i zlikwidowano moją balustradę, montując na jej miejsce zwykłą balustradę z płaskowników.

Byłem zrozpaczony. Gdy się o tym dowiedziałem, najpierw zamierzałem podać sprawę do sądu o naruszenie praw autorskich, potem przez lata udało mi się nie zobaczyć oszpececia mojej kładki. Było mi bardzo przykro.

Dziś, po czterdziestu latach nawet zamierzałem pisać do prezydenta stolicy o przywrócenie mojej kładce zaprojektowanego wyglądu. Dzisiejsze możliwości materiałowe mogłyby zrobić perelkę z mojej kładki. I nie chodzi o to, że to moje dzieło, ale że sąsiaduje ona z dwoma wspaniałymi ambasadami, a przede wszystkim, że jest ona obok Sejmu. Ma prawo wyglądać dostojnie. Tym bardziej, że nadal widzę znaczenie dla stolicy w zrealizowaniu ciągu spacerowego po górnym brzegu skarpy warszawskiej.

Ostatecznie 30 czerwca 2015 roku wysłałem wniosek do Prezydenta Warszawy i podałem go do wiadomości Oddziału Warszawskiego SARP oraz do Gazety Wyborczej.



\*

## *da capo*

W zaistniałej sytuacji nasze biuro było zbyt małe, nie miało szans na rozwinięcie się, trzeba było wcielić je do innego biura. Nasze biuro chciało projektować jedynie konkursowe centrum, a realizacja tej inwestycji musiała być wyhamowana. Byliśmy zbyt krnąbrni, trzeba było udzielić nam lekcji postuszeństwa wobec władz nadrzędnych. Usiłowałem kierować biurem, ale usiłował i generalny projektant dziurzyć władzę — trzeba było coś zrobić z tym lapsusem.

Rozmowa trzech dyrektorów: Miejskiego Biura Projektów „PROGRIM” — Mietek Rosochacki, Wojewódzkiego Biura Projektów — Marek Sikorski i ja — Marian — u Staszka Kluszewskiego — dyrektora naszego zjednoczenia.

Akt I. Scena 3. ALT. II  
23 sierpnia 1976 roku

## *Gavot*

### *legato*

STASZEK — No więc zagajaj.

MARIAN — No chyba tak.

STASZEK — No chyba tak.

MARIAN — Więc myśmy rozważali...

STASZEK — Tak żeśmy uzgodnili.

MARIAN — Więc ja może powiem, może kolejność jak... — Rozważaliśmy najróżniejsze sytuacje. W rezultacie takie zgodne dwa poglądy — można powiedzieć — prawie — w jakichś tam procentach — osiągnęliśmy — przez rozważenie trzech — można powiedzieć — sposobów. Bo przed tym była taka szersza dyskusja. — Jest możliwość, bo chodzi o specjalizację, chodzi o przygotowanie się do przyszłej docelowej organizacji. I myśmy tak później na końcu sobie sprecyzowali, że chodzi o specjalizację — i na tej drodze do stworzenia celu — jak działać. W sytuacji kiedy dziś są trudności ze wzrostem zatrudnienia, bo nawet jak go się uzyska, to się płaci haracz i te wszystkie konsekwencje. Więc najpierw taką prymitywniejszą formę rozważaliśmy — to znaczy w ogóle na przykład sprawy — obciążyć wszystkie jednostki tymi konsekwencjami, jeśli któraś mała musi rosnąć. Można by żonglując współczynnikami, rozłożyć te ciężary na wszystkich. W końcu chodzi o ułamki procentów.

MAREK — To jest jedna sprawa, którą rozważaliśmy. Jest to jedna możliwość, że tak powiem, dochodzenia...

STASZEK — Ale sprecyzujmy, na jakim etapie...

MARIAN — A może można generalnie, a później byśmy omówili szczegóły. — Rozważaliśmy taką sprawę — prawda — no, to byłaby jakaś możliwość. Ona ma te minusy, że jednak te ciężary ponoszone z funduszu płac, na skutek zwiększenia zatrudnienia w jednym a zmniejszenia w drugim, by się musiały odbywać. Dalej sprawa, że uzysków wielkich poza tym by nie było. Poza wzrostem zatrudnienia w tych jednostkach.

MAREK — I wtedy jest problem limitu...

MARIAN — Oczywiście. Dalej te sprawy pozostają. Następne możliwości rozważaliśmy mianowicie jakieś łączenia. Bo innych tu możliwości nie widzieliśmy. Rozważaliśmy możliwości łączenia. Więc wychodząc z założenia, żeby mniejsze jednostki zrobić większymi. No więc jest taka formalna możliwość, bo można połączyć mniejsze jednostki, ale też sprawa wzrostu, sprawa tych wszystkich elementów, pozostaje sprawą otwartą. To znaczy przy połączeniu można by uzyskać tylko to, że by się złączyło dwa organizmy, przy warunkach wzrostu gdyby się chciało dać tym połączonym organizmom, to też byłaby podobna sytuacja. Natomiast możliwości oszczędności istnieją, bo połączone dwie administracje dają możliwości oszczędności na administracji i zwiększenia limitu produkcji. Czy na drodze do celu to byłby jakiś koniec sprawy? Na pewno nie. No bo jeśli cel inaczej wygląda, to w tych połączeniach nic nie załatwimy. Więc myśmy rozważyli również trzeci wariant. I z grubsza, jak się wypowiedzieliśmy, to zdania były mniej więcej tego typu, że to jest najbardziej... — to znaczy byłaby posunięta sprawa w kierunku celu. Połączenie trzech. Wyznaczyć szefa połączonych instytucji, z tych trzech jednostek stworzyć

trzy piony wewnątrz z zastępcami dyrektora i utrzymać tradycje dotychczasowe. I utworzyć czwarty pion ekonomiczno-administracyjny, który by miał wszystkie służby funkcjonalne. Wtedy byłaby sprawa około tysiąca osób. I oczywiście przy tych łączeniach takie myśmy sobie warunki rozważali. Przy łączeniach nie należałoby robić na początku jakichś przerzutów ludzi. Ponadto byłby problem wielkiego rozproszenia i ilości miejsc pracy, których byłoby dwanaście. Przy takim rozproszeniu taki układ miałby spore trudności. Potrzebna byłaby więc koncepcja miejsc pracy.

STASZEK — Wasze osobiste poglądy zbliżone są do trzeciego wariantu?

MIETEK — Może teraz ja. — Z tym że myśmy założyli, że nie dyskutujemy o naszych osobistych interesach i stanowiskach — żeby sprawa była do końca jasna. To znaczy zaczęliśmy rozważać, ale nie doszliśmy do żadnych konkluzji, czy propozycji w tej sprawie. No, wtedy jest taka sytuacja możliwości wykorzystania kadry, jeśli chodzi o personel kierowniczy. Gdybym ja stał na czele, to tak: — Jest w tej chwili w składzie dyrekcji tych trzech jednostek sześć osób. Wtedy gdyby się proponowało trzy piony produkcyjne i jeden pion administracyjno-ekonomiczny — to cztery — plus naczelny dyrektor — to pięć, że tak powiem. Czy wtedy stanowisko zastępcy naczelnego dyrektora jako ogólnego zastępcy — no gdyby tak rozważać, no to sześć jest sześć — prawda. Czyli można by to tak poukładać. — I właściwie więcej problemów by nie było. Oczywiście uznaliśmy, to znaczy ja uważam, że sprawa jest nie nasza — prawda — w takiej sytuacji — że to sprawa dyrektora zjednoczenia, to jest jednostki nadrzędnej — i na tym zakończyliśmy dyskusję, dochodząc do wniosku, że innych możliwości nie widzimy. Pomijając pewne nie konstruktywne wypowiedzi kolegi. Rozważaliśmy jeszcze taką sprawę, czy by nie można było w tej sytuacji... — prawda — powiedzmy... — stworzyć taki... — tą instytucję tysiącosobową — może na zasadzie zastępcy dyrektora do spraw... — czyli dyrektora zjednoczenia — do spraw kubaturówki... — on byłby jednocześnie dyrektorem tego połączonego i zastępcą naczelnego dyrektora zjednoczenia — ale to są takie luźne dyskusje.

MAREK — Zachodzi pytanie — podstawowe — jeżeli rozwijamy się, to w których gałęziach — czy w zakresie kubaturówki — to znaczy czy budownictwo kubaturowe leży w zainteresowaniach wzrostu zjednoczenia, czy nie. — Jeżeli — prawda — zjednoczenie powie...

*eroico*

STASZEK — Ja odpowiem na to. Ja uważam, że my z każdej sytuacji... — z każdej sytuacji — która pozwoli na rozwój ilościowy — będziemy korzystali. Jeżeli nadarzy się jakakolwiek sytuacja, żeby skoczyć w górę, no to z tego będziemy skwapliwie korzystali.

Bo to jest jakimś... — no po prostu — pociągnięcie sytuacyjne. — Prawda? — No bo dzisiaj musimy płacić. — Ale jeżeli nadarzyła mi się taka sytuacja, że z tytułu eksportu możemy się rozwijać — to będziemy się rozwijali z tytułu eksportu — prawda. — Znaczący, jeżeli chodzi o pryncypialną odpowiedź — o rozwój. — Natomiast czy rozwijać pion kubaturowy — to tutaj mam pewne... — pewne... — pewne wątpliwości. — Znaczący rozwijać pion kubaturowy do pewnego optimum — znaczący niezbędnego dla potrzeb tutaj terenowych. Natomiast to nie jest agresywny rozwój pionu. Agresywność rozwoju ja tutaj widzę po tej drugiej stronie. Polityka rozwoju ilościowego musi zawsze zakładać, że my operujemy dwudziestu, trzydziestoprocentową rezerwą. — Rozumiesz. — I to rezerwą, która rozumiana jest bardzo różnie. Znaczący dla mnie rezerwą jest na przykład twoje biuro — to jest potencjalna rezerwa na rzecz wykorzystania miejscowego — prawda? — ... że my w tej chwili jesteśmy zainteresowani, a wtedy kiedy eksport będzie mniej mile widziany we władzach — to my mamy tą rezerwę w tych ludziach, w tym potencjale — w tej organizacji, która na rzecz eksportu pracuje. — To mogą być również i inne pojęcia rezerw.

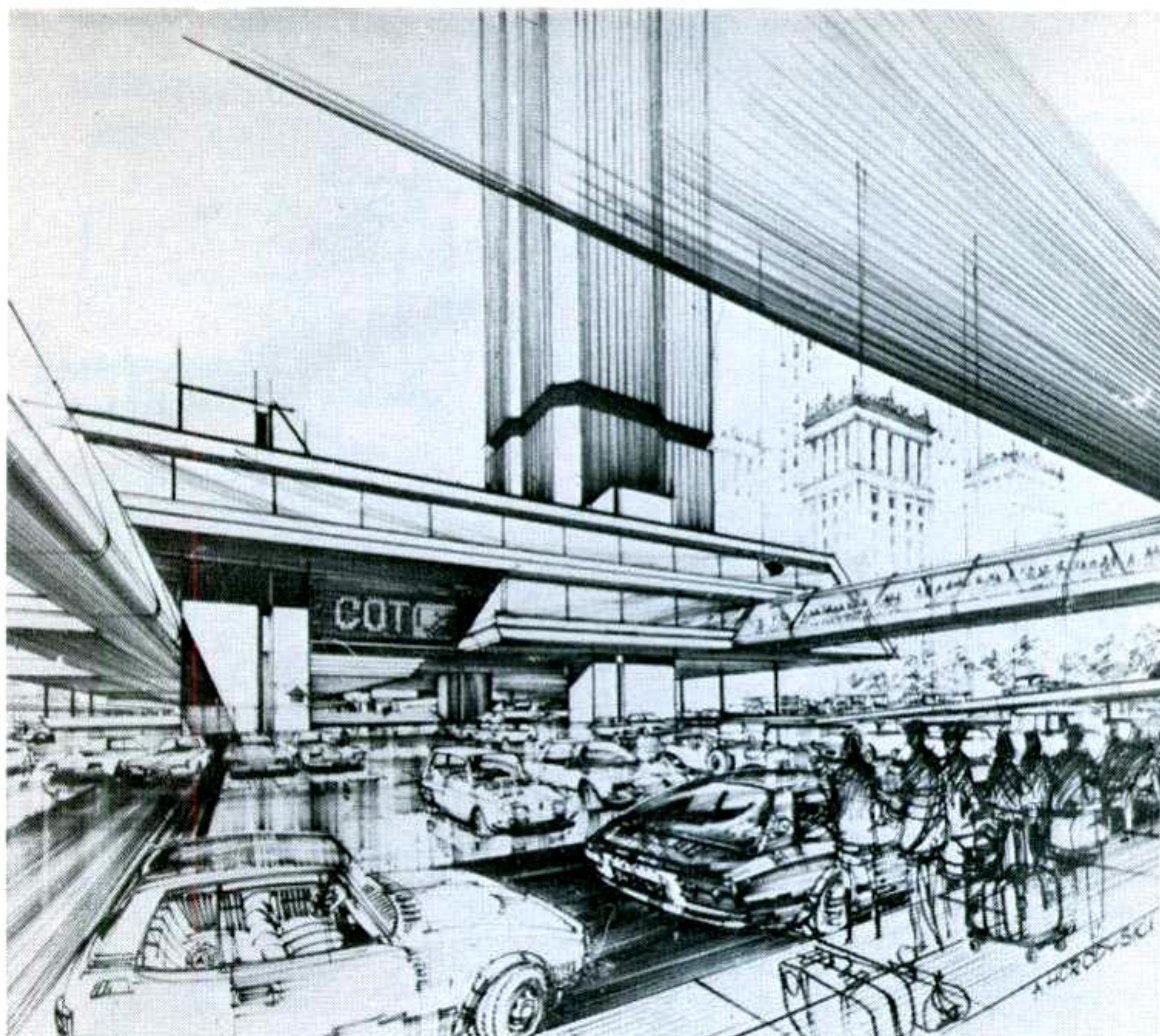
MIETEK — Ponadto w dużych organizmach nawet wyrzucić tych dziesięć procent załogi nie stanowi większego problemu.

STASZEK — Więc ja ci odpowiadam, że rozwój pionu kubaturowego musi być ograniczony — natomiast rozwój pionu naszego [pion komunalny — odpowiedzialny za drogi, za techniczne uzbrojenie terenów, planowanie przestrzenne, remonty domów mieszkalnych] musi być rozwojem bardzo intensywnym — bo za to odpowiada mój bezpośredni szef, prezydent stolicy — rozumiesz wreszcie? — To co wy wszyscy w sumie robicie, musi być ograniczone, bo — raz — to jest domena działania tamtego ministerstwa budownictwa — niejako — prawda? — I my

nie jesteśmy zainteresowani w ułatwianiu im sytuacji — pchając się na chłama w rozwiązywanie problemów nie naszych. — Druga przyczyna leży w tym, że miasto musi sobie zapewnić w unikalnych rozwiązaniach kubaturowych — po prostu — czy samą koncepcję — czy sposób podejścia — dlatego, że my nie jesteśmy w stanie sobie zagwarantować takich rozwiązań w układzie tamtego ministerstwa — nie jest w stanie! — Nigdy by nie powstało, to co ty robisz, w takim układzie, jak to powstaje u ciebie — gdyby to było w ich sferze decyzji — cudów nie ma! — W ogóle by nie powstała. Bo tam są stałe tendencje do utracania, do minimalizowania, do zrównania z możliwością technologiczną — po prostu tego by nie było. — Natomiast od momentu kiedy już wiadomo, że to tak a nie inaczej musi wyglądać, to nasza rola się kończy i musimy zrobić wszystko, aby dalej oni sami ciągnęli — nawet jeżeli w tym celu trzeba będzie niezwłocznie wykazać, że my nie mamy możliwości dalej tego ciągnąć. — Taka jest prawda — panowie. — W życiu bywa różnie. Gdyby oni realizowali te budynki — to nie jest wykluczone, że skutecznie sięgnęliby po nasz potencjał — i dlatego trzeba sprytnie tego uniknąć. — Na mojego nosa jest to możliwe.

MIETEK — My trochę odbiegamy od tematu. Mnie by bardziej ciekawiło, co sądzisz o tamtych propozycjach.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Trzeba tu dodać, że Zjednoczenie usilnie zmierzało do całkowitej centralizacji projektowania dla stolicy. Miało już teren na Stawkach i projekt wieżowca, w którym miało się pomieścić całe projektowanie, to jest wszystkie miejskie biura projektów, które byłyby przekształcone w kilka pionów projektowania.

*da capo*

Usiłuję pomóc Naczelnemu Architektowi Warszawy - Tadeuszowi Szumielewiczowi, który zobowiązał się dostarczyć projekt domku jednorodzinnego na budowę złośliwie zwanej „Czerwonej Pasieki” — osiedla przy ulicy Jana Sobieskiego na Sadybie. Projekt mieli wykonać za darmo pracownicy naszego biura, a zamieszkać mieli: sam Naczelny Architekt, Syn Premiera Jaroszewicza, Minister i Inni.

Akt I. Scena 4. ALT. II

27 sierpnia 1976 roku

*Potpourri — część I*

*crescendo*

MARIAN — Dzień dobry.

TADEUSZ — Dzień dobry. Słuchaj. Ja przepraszam, że jeszcze cię męczę sprawami swoimi. Masz czasu trochę?

MARIAN — Yyy... no mógłbym...

TADEUSZ — Słuchaj. — Nie. — Ja chciałbym przez telefon.

MARIAN — No dobrze. Tak?

TADEUSZ — Słuchaj. Taki ten projekt — pamiętasz? — Pamiętasz — taki domek jednorodzinny — między innymi dla ministra.

MARIAN — Wspominał mi Jurek, że ci obiecał dać projektanta. Tak, tak, pamiętam.

TADEUSZ — Pamiętasz? Co?

MARIAN — Tak, pamiętam dobrze.

TADEUSZ — Słuchaj. — Tam bardzo nawalono. — Twoi pracownicy spieprzyli sprawę.

MARIAN — Tak.

TADEUSZ — Ale zdarza się. Budowa została zatrzymana. — Dwa tygodnie temu.

MARIAN — Tak.

TADEUSZ — Kilka dni temu byłem na budowie, bo tam minister narozrabiał. Prosiłem, żeby tam tego przysłał. Tam nie widziałem..., jak się on nazywa...

MARIAN — Tak.

TADEUSZ — Stary — on — prawda — to okazało się, że tak duże biuro i poważne — słuchaj — kur zapiał — nie potrafi prostego projektu — rozumiesz — zrobić — ale to już mniejsza o to — bo jest przecież kierownik pracowni, który na to patrzył — ale słuchaj — on wziął przedwczoraj dokumentację, wczoraj miał dać znać — wczoraj się migał — ja go poszukuję — rozumiesz — od... — cały dzień wczoraj — ludzi umówiłem na budowie. — Słuchaj — prosiłem tamtego, żeby go znalazł — to jak dzwonię do ciebie — to jest tam — jak tam — to jest tu — i tak w kółko — rozumiesz?

MARIAN — Tak.

*fortissimo*

TADEUSZ — No słuchaj — już pomijając wszystkie sprawy, że trzeba — wiesz — taką sprawę załatwić natychmiast — no to jak ja proszę — i dzwonię — to mnie tak za chuja traktują — rozumiesz — że aż mi wstyd. — Wierz mi — muszę ci powiedzieć, że...

MARIAN — No nie musisz mówić.

TADEUSZ — Nie wiem — rozumiesz — co o tym wszystkim sądzić.

MARIAN — Rozumiem, słuchaj, ja...

TADEUSZ — Słuchaj — gówniarz taki — zamiast sprawę wiesz — w zębach załatwić — przynieść — to ja — rozumiesz — ja! — poszukuję faceta — rozumiesz — i proszę wszystkich od dwóch dni.

MARIAN — Tak. Ja zaraz złapię...

TADEUSZ — To tak — mam taką prośbę. — Weź tego kierownika pracowni — rozumiesz — z tym całym projektem — i przyślij go do mnie — to go tak opierdolę, że chyba w życiu — rozumiesz — nikt go nie opie... — Jak ja go proszę — to powinien to robić, a nie filozofować.

MARIAN — No tak.

TADEUSZ — No słuchaj. — Jak można taką sprawę — rozumiesz — tak załatwić. — Cały budynek zaplombowany. — Znacząco zatrzymana robota. — Szału tam dostaje ten człowiek — rozumiesz? — No i — proszę ciebie — oni se lekceważą. — Rozumiesz. — Ten jeszcze mówi,

że on nic nie wie — ktoś wyjechał — ktoś nie wyjechał — proszę ciebie — no słuchaj — jak Boga najszczerzej kocham — płacę ci trzydzieści milionów złotych — i głupiej sprawy nie potrafią dla mnie załatwić — no!

MARIAN — No tak. Ja zaraz wezmę kierownika i spowoduję...

TADEUSZ — Niech weźmie tego gówniarza, bo to jakiś taki smarkacz. Tam się ciskał — rozumiesz — też. — Jemu tam coś — jakiś poważny człowiek zrobił ekspertyzę — to zamiast jechać — załatwić — wpisać do... — puścić... — no podjąć jakąś decyzję — rozumiesz — no to przecież jak gówniarze się zachowują. — No jak ja mam... — rozumiesz — tacy ludzie mają centrum robić...? — No jak rany Boga — kto to jest?

MARIAN — No dobrze. Rozumiem. Będę dzwonił.

TADEUSZ — Słuchaj — bądź uprzejmy. — Tam się z ludźmi umówiłem. Dzwonimy bez przerwy. — Jak ja tu — to on tam — jak ja tam — to on tu. — No jak gówniarze się zachowują. — No mówię ci, że to jest w ogóle nie do pomyślenia.

MARIAN — Dobra. Dobra. Daj mi pół godziny czasu.

TADEUSZ — Dziękuję ci bardzo. — Proszę cię bardzo... — bo ja już przed tym ministrem na kutasa takiego wyszedłem, że szkoda mówić.

\*

### *da capo*

Trzeba dodać, że w tym czasie pensje urzędników miejskich były bardzo niskie. Tadeusz przyjął stanowisko Naczelnego Architekta Warszawy pod warunkiem, że Władze zezwolą mu na posiadanie własnej pracowni architektonicznej. Ale taka pracownia nie mogła być samodzielną prywatną jednostką, lecz musiała wchodzić w skład jakiegoś państwowego biura projektów. Nie zastanawiając się długo przyjąłem jego pracownię do składu War-Centu. Stąd Tadeusz tytułował mnie szefem. Właściwie nie wiem, dlaczego nie wykonał tego feralnego projektu w swojej pracowni. Kilka dni później:

Akt I. Scena 5. ALT. II

### *Potpourri — część II*

#### *sostenuto*

TADEUSZ — Halo.

MARIAN — Dzień dobry.

TADEUSZ — ...tam szefa zresztą.

MARIAN — Słucham?

TADEUSZ — Witam szefa.

MARIAN — A dziękuję.

TADEUSZ — Słuchaj — wiesz, że mam kłopot z nimi. — Dzwonił do mnie Prezes wczoraj zresztą, ale ja ich też nie mogłem osiągnąć...

MARIAN — ...

TADEUSZ — Wiesz — chciałem mieć ich na poniedziałek, a dzisiaj jest czwartek...

MARIAN — Zaraz będę do nich dzwonił.

TADEUSZ — Słuchaj — ty wiesz... — Minister chce mi grozić dużymi konsekwencjami — wiesz?

MARIAN — No, ja byłem wczoraj przekonany, że jesteśmy w porządku. Jeżeli oni tam coś znów zawalili, to znów ich zgarnę, tylko wiesz — on sobie wczoraj inaczej zaplanował pracę i już go nie mogłem osiągnąć po południu.

TADEUSZ — Więc co zrobimy?

MARIAN — Zaraz będę go łapał...

TADEUSZ — Możesz mi dać znać?

MARIAN — Tak. Naturalnie.

TADEUSZ — Dobrze?

MARIAN — Yhy.

TADEUSZ — Świetnie. Tylko nie wiem, co dalej. Bo gdyby tam wszystko się nawalało...

MARIAN — Nie. — Na pewno tam się nic nie zawali. — Najwyżej jakieś godzinowe przesunięcie w czasie — ale jak go znam, to jest...

TADEUSZ — Ale to mnie rzutuje na całokształt sprawy. — Dobrze?

MARIAN — No, wiem — no.

TADEUSZ — Wiesz — ja to... — Mnie to czekają duże konsekwencje za to... — Muszę ci powiedzieć. — Ale trudno. — Chciałbym dzisiaj wiedzieć, czy to jest realne, bo jak nie, to wezmę prywatnych gdzieś na mieście i zrobią mi ten projekt dla Ministra.

MARIAN — Zaraz zadzwonię do ciebie, no.

TADEUSZ — Dobra. Trzymaj się.

MARIAN — No to cześć.

\*

Akt I. Scena 6. ALT. II

### *Potpourri — część III*

*con fuoco*

TADEUSZ — ... nie wiem, jak ja wybrnę z tego. Przed chwilą mnie dopadli — bracie — i... — nie wiem, co robić. Budowa stoi. — Dwa tygodnie. — Bracie. — Takie gówno.

MARIAN — No, oni twierdzą, że tam trzeba dosłownie rozebrać...

TADEUSZ — Oni twierdzą! — Oni ciągle twierdzą, ale nie dają żadnych... — No słuchaj — twierdzeniem się nie buduje. — Tylko decyżją.

MARIAN — Mówią, że rysunki dostali we wtorek dopiero i dzisiaj na pewno oddadzą...

TADEUSZ — Ale ich w ogóle nie ma. Jego nie można złapać — rozumiesz. — Ten drugi z ministerstwa i ja goniliśmy — w końcu przyszedł — no, zabrał to we wtorek — przecież to jest — naprawdę — usiąść na dwie godziny i zrobić. — No, po prostu wczoraj ich nie było cały dzień... — A wiesz — chodzi mi o męskie sprawy: nie zrobię — nie wezmę — nie, nie, nie... — Po co jest tych tyle... — Przecież wziąłbym prywatnie — cholera — kogoś — zrobiliby mi to — tyle biur mi podlega — nie byłoby żadnego problemu. — A w tej chwili mam straszny... — No, nie wiem, jak z tego... — Budowa stoi. — Deszcz leje. — No słuchaj — makabra. — Wiesz. — W tej chwili tylko na mnie można zwalić wszystko. — Ależ mnie kutasy zrobili w konia nieprzeciętnie. — Nigdy się nie spodziewałem.

MARIAN — Przykro mi, że ci nie umiałem pomóc w takim układzie. Ale naprawdę — jeszcze szukamy go i... — a ten drugi kreśli i obiecuje, że będzie na drugą.

TADEUSZ — Słuchaj — no — taką bzdurę żeby tyle robić. — No to już jest nie do pomyślenia. — Nie do pomyślenia. — Na drugą godzinę dopiero... — To nic nie ratuje. — Znów dzień stracony. — Co ja zrobię? — A bez niego nic się nie da zrobić? — To jak on — ... pracuje u ciebie, czy nie pracuje? — Kto to jest?

MARIAN — On pracuje na część etatu.

TADEUSZ — Co?

MARIAN — On u mnie na część etatu pracuje.

TADEUSZ — Tak.

MARIAN — Ale naprawdę go dorwę i zrobimy — no. Już wolałbym sam zrobić ten projekt. Przecież nie mogę go wyrzucić z pracy za to.

TADEUSZ — No co go dorwiesz — nie wiem — dorwij go może... — Słuchaj — to może jakieś pieniądze — to zaraz wyślę przez...

MARIAN — Tu nie chodzi o pieniądze — naprawdę.

TADEUSZ — No to o co chodzi — no nie wiem.

MARIAN — Wiesz, on się za bardzo...

TADEUSZ — Przecież zważ, komu oni obiecują — na rany Boga — powiedzieliby uczciwie: nie zrobimy tego. — Ja bym wiedział, o co chodzi. — Nie wykonamy. — No przecież słuchaj — takie — takie głupstwo — rozumiesz.

MARIAN — No tak, ale zrozum, że przebicie tego otworu na nowe miejsce schodów można zrobić albo brutalnie w ten sposób, że rozebrać ścianę i część stropu, albo...



TADEUSZ — Dobrze — słuchaj — ale otwór otworem — a co jest z — na przykład — ze ścianką kolankową? — Co jest z tym dachem? — No ni cholery! — Rozumiesz. — Wszystko było złe. — Nie tak jak ustaliła ministrowa.

MARIAN — ...

TADEUSZ — Dobrze. — Ale tam wcześniej nic nie możesz znaleźć? — To jest dopiero godzina dziewiąta. — Gdzieś przynajmniej koło godziny pierwszej — żeby na tę budowę zjechać z tym wszystkim.

MARIAN — No — przyrzekam, że siądę z nimi. — Dzień dzisiejszy poświęcę.

TADEUSZ — Dziękuję ci. — Przepraszam.

MARIAN — Nie. — Wiesz, mnie jest przykro, że jestem tak bezsilny, mimo że z całym oddaniem chciałbym to zrobić.

TADEUSZ — Nie. — No po prostu ja popełniłem błąd — no. — Muszę za to ponieść konsekwencje. — Normalna rzecz. — W życiu człowiek popełnia... — Nie można się z dyletantami — rozumiesz — wiązać w sprawy.

MARIAN — No tak.

TADEUSZ — Przeraza mnie tylko — rozumiesz — co będzie z centrum?

MARIAN — A no właśnie. — Przecież sami z Jurkiem decydujecie o doborze ludzi. Mnie odsunęliście od tego.

TADEUSZ — No trzymaj się.

MARIAN — No na pewno będę usiłował coś zrobić. Będę myślał cały czas o tym. — No. — Tylko dlaczego Jurek umył ręce, przecież to jego człowiek.

TADEUSZ — No, prawda. — Dziękuję ci bardzo.

\*

Akt I. Scena 7. ALT. II

### *Potpourri — część IV*

#### *tremolando*

TADEUSZ — Halo.

MARIAN — Jestem.

TADEUSZ — Halo?

MARIAN — Tak — słucham cię.

TADEUSZ — Przepraszam cię. — No — wiesz...

MARIAN — No — no mów...

TADEUSZ — Słuchaj — ja miałem jeszcze przed chwilą rozmowę z tym ministrem. — Ona była tragiczna.

MARIAN — No wiem — z...

TADEUSZ — No, ale słuchaj. — Ja mam tam przybyć o godzinie pierwszej. — Stań na głowie. — Na budowie musi być o godzinie pierwszej. — No wiem co... — Zrób coś.

MARIAN — Dobrze. — Zaraz ściągnę do siebie innych z innego biura — i będziemy coś robić. Ściągnę również tego, który w twoim imieniu uzgadnia te wszystkie przeróbki.

TADEUSZ — Na co on wam jest potrzebny?

MARIAN — No bo on podobno w twoim imieniu uzgadnia wszystkie te przeróbki.

TADEUSZ — Przecież one są już załatwione. — Wszystko u was jest.

MARIAN — Tak — ale tutaj się ocenia, że trzeba by... — że gdyby zmienić kierunek schodów, można by — proszę ciebie — znacznie łatwiej te przeróbki zrobić. — Nie rozwalać pół budynku.

TADEUSZ — Przecież uzgodnili, że to nie pół budynku — słuchaj. — Przecież dodatkową klatkę dostali — inną — tę od syna premiera. — Przecież nie tę klatkę co była... — co jest w moim budynku. — Coś jakieś nieporozumienie — wiesz. — Ja już chyba oszaleję — kurwa go mać! — No było to przecież... — oni siedzieli tutaj... — Miało być inne... — przecież nie to... — Inny kominek, inna klatka. — Słuchaj — ja będę u ciebie o godzinie... — gdzieś koło godziny... — po wpół do jedenastej...

MARIAN — Dobrze.

TADEUSZ — ... z tymi wszystkimi z ministerstwa. — Ściągnę tam kogo potrzeba. — No przecież co oni tam wyprawiają.

MARIAN — No dobrze.

TADEUSZ — Zaraz zadzwonię i niech od razu do ciebie jadą.

MARIAN — Dobrze. Ja jego też ściągam. Dziękuję.

\*

Akt I. Scena 8. ALT. II

### *Potpourri — część V*

*piano*

MARIAN — Rozmawiałem z nim przed chwilą. On jest bardzo zgnębiony i rozdeptany... rozarty...

ARCHITEKT 2 [Leszek Sołonowicz] — Proszę pana — Przed chwilą do mnie dzwonił i kazał mi natychmiast jechać do pana.

MARIAN — O właśnie. W tej samej sprawie dzwonię.

ARCHITEKT 2 — ... i on też tam wyjeżdża. Ja już wsiadam w samochód.

MARIAN — Bardzo proszę. Trafi pan?

\*

*cantabile*

Potem był jeszcze króciutki epizod tej sprawy parę miesięcy później. Zadzwonił do mnie jeden z dyrektorów i mówi: — Panie. — Wezwali mnie wczoraj. — Tam tłum ludzi. — Ja mówię, że nie miałem nic z tym wspólnego. — Na to ten minister, że przecież musi się przed kimś poważnym wyżalić. — Bo patrz pan — dyrektorze — tak ten minister do mnie — nic nie działa. Co mnie podkuśiło, żeby się brać za tę budowę, mam takie dobre mieszkanie. — A na to wtrąca się jeden z obecnych: — O, bardzo przepraszam — za pozwoleniem — woda ciepła jest — tylko zamarzła.

\*

*da capo*

Na koniec trzeba podkreślić, że ten spęd ludzi na budowę domów dla ministra, syna premiera i innych ważnych osób wynikał z metody budowy tych domów (niestety powszechnej metody w państwie). Dyrektorzy wielkich państwowych przedsiębiorstw budowlanych mieli zobowiązania wobec swojego ministra i z tego powodu budowali te prywatne domy za darmo, budowali państwowym potencjałem za państwowe pieniądze i z państwowych materiałów, to jest ukrywali te wydatki w kosztach innych oficjalnych budów.

Podobnie minister podparty świadomością o udziale samego premiera Jaroszewicza mógł wymagać również od naczelnego architekta Warszawy wykonywania dokumentacji na te domki za darmo. Do mnie naczelnny architekt zwrócił się dopiero wtedy, gdy już od pewnego czasu pracownicy naszego biura wykonywali te projekty na polecenie generalnego projektanta, a bez mojej wiedzy. Tyle że ja nie miałem zobowiązań wobec naczelnego architekta, gdyż do tej pory nie byłem partnerem dla naczelnego architekta — on prowadził konszachty bezpośrednio z generalnymi projektantami naszego biura, którym płacił olbrzymie pieniądze za kolejne koncepcje.

Zarówno nasi projektanci jak i rzemieślnicy z tej feralnej budowy zdawali sobie sprawę z procederu, a zwłaszcza że robią to za darmo, więc robili jak za darmo.

\*

### *da capo*

Konkursowych współautorów ZRCW było kilkunastu, ale gdy przyszło do dalszych opracowań, jeden z nich samowładnie stał się generalnym autorem, a pozostałych współautorów w różnym stopniu docenił — niektórych wcale.

Właśnie taki jeden niedoceniony dochodzi u mnie swoich praw. Na podstawie zarządzeń państwowych cała gospodarka przechodzi na nowy system płac — bezpodatkowy. Jacek jako jedyny w biurze nie przyjął nowej propozycji wynagrodzenia, a nowe wynagrodzenia były po prostu mechanicznie przeliczone.

Akt I. Scena 9. ALT.II  
28 sierpnia 1976 roku

### *suita — allemande*

#### *adagio*

MARIAN — Zaczęlbym temat od tej strony, że przed chwilą przypadkowo dowiedziałem się, że...

JACEK — Ja chciałem mieć sprawy, te które zasygnalizowałem panom, to znaczy określenie statusu... — Nie chodzi mi o stronę finansową — chodzi mi o stronę... — no, statusu mojej osoby w całej strukturze. — To znaczy, zabrzmiało to właśnie w momencie tej zmiany organizacyjnej, to znaczy w momencie, kiedy ja nie mam stanowiska kierownika pracowni... — po prostu staję się jednym z licznych głównych projektantów, z dodatkiem uznaniowym do tematu. Natomiast mnie się wydaje, że po prostu zagadnienia, którymi się zajmuję i zagadnienia, które prowadzę — no, wymagają ustalenia precyzyjnie — że tak powiem — na stałe, no tutaj, mojej postaci. — Bo to właśnie zabrzmiało... — zabrzmiało w tej organizacji.

MARIAN — To pewne. Tylko że mnie się wydawało, że taka demonstracja jest cokolwiek zbędna. Zdajmy sobie sprawę z pewnej gradacji spraw. Mnie co prawda jeszcze nikt o to nie pytał... — Ale być może, że takie pytanie padnie... — czy to rada zakładowa, czy jakaś kontrola... — I zawsze będzie ten smaczek, żeś tak długo nie przyjmował. Prawda? — W tej sytuacji, kiedy się zgodziliśmy, że... — wydawało się, że się wszyscy zgodziliśmy... — że pierwsze takie pociągnięcie mechaniczne wszyscy przyjmą — i z tym przeświadczeniem wyjechałem na urlop. Wydaje mi się, że nie potrzeba takich środków do dogadania się. — Tak mi się przynajmniej wydaje. — Jest to jakimś dosłownie zgrzytem.

JACEK — Ja prosiłem... — Zagadnienie nie stanowi problemu finansowego — jak przedstawiłem — natomiast jest to sprawa, no, pełnego opisanie zagadnienia... — czyli nie tej strony — jak powiadam — finansowej, tylko strony właśnie... — powiedziałbym... — organizacyjnej. — A że z tym wiązałem? — No, wydaje mi się, że są pewne precedensy, które się w jakiś sposób łączą i stwarzają pewne sytuacje. — I to się wiąże... — i to się wiąże — jak powiadam — no, z zadaniami i problematyką, jaką się zajmuję — i ponieważ...

MARIAN — Rozumiem cię dobrze. To co powiedziałem przed chwilą, to wydawało mi się, że to ci się po prostu ze względu na ten układ należy. — I teraz zacznijmy inaczej rozmawiać. — Bo na parę gorzkich słów — daruj — ale zasłużyłeś. — A teraz inaczej. — Jak koledzy, przyjaciele, ludzie których coś łączy... — Na pewno byłem zaskoczony, jak się dowiedziałem, że nie podpisałeś ani tego pierwszego, ani tego drugiego papierka. Załatwiliśmy sprawę. Nie róbmy z tego kwestii. — Czego byś ty oczekiwał — tak dosłownie?

JACEK — To co przedstawiłem. I to co na rozmowie — o którą wy prosiliście — też przedstawię... — Chodzi mi po prostu o ustawienie tutaj sprawy mojej pozycji w układzie tematu... — Nie mówię w tej chwili o formie i zakresie, ponieważ jest to drugi aspekt w świetle naszych zależności, jak również w świetle zgłaszanych również przez innych naszych uprawnień. Co do formy się nie zastanawiałem, ponieważ innych propozycji poza tą nie ma. Jest drugi aspekt sprawy — sprawa naszego tematu, który w świetle ostatnich demarche w tym względzie — wydaje się, że jednak chcielibyśmy postawić sprawę dosyć jednoznacznie, że tę robotę chcielibyśmy ciągnąć... — Jak powiadam — zakres tego ciągnięcia jest do ustalenia — natomiast jest to temat autorski i wydaje mi się, że w gronie tutaj naszym zagadnienie to powinno — no, być

— rozumiałe. — Zagadnienie wydaje się być dosyć ważnym problemem, mającym jednak jakąś rangę w skali wręcz krajowej. — Jak powiadam — stopień włączenia się nas w te zagadnienia jest sprawą do omówienia — i — no — bardzo nam na tym zależy i chcielibyśmy tutaj tę odpowiedź mieć... — i tak, jak mnie zależy na...

MARIAN — Hm...

JACEK — Mnie interesowała... — zresztą tak jak wielokrotnie mówiliśmy — że są to... — że powinniśmy mieć funkcje właśnie nie związane z kierownictwem administracyjnym, ale głównie z tą stroną merytoryczną dla tych zagadnień. W momencie zmiany systemu ta sprawa się tutaj rozplynęła. Oczywiście aspekt finansowy tutaj zaistniał, bo w pierwszej wersji stanąłem wobec sytuacji... - mniejszego nawet uposażenia niż moi współpracownicy... — A ponieważ to nie było w jakiś sposób ze mną... — no nie było to w jakiś sposób zakomunikowane, więc ja — tak jak się tu wydaje — zabrzmiało to może dosyć drastycznie — więc muszę stwierdzić, że i ten moment sprawił mi pewne przykrości. Prosiłem właśnie o rozwiązanie tej sprawy, przy przedłożeniu mi jakichś warunków. Winno to być wydobyte z szeregu względów. — Z szeregu względów — prestiżowych — pewnej swobody działania administracyjnego... — Taką propozycję swego czasu złożyłem. Jeszcze asumpt do twojego poprzedniego pytania. Wydaje mi się, że nasza struktura wewnętrzna, dotychczasowa — ona już po tych dwóch i pół latach sprawdzania się w tej strukturze, no ma pewne wnioski, które mianowicie zgłaszamy i które — rozumiem, że będą rozwiązane, może niezwłocznie. W każdym razie moim skromnym zdaniem obecne ustalenia są rozwiązaniem bardzo złym. Jest to praktycznie prywatna akcja nas tutaj, stąd obciążenia i zaangażowanie w sprawy co najmniej dziwne, no powoduje, że jest to ogromny wysiłek w opracowaniu tych spraw. Wszystko wskazuje, że trzeba bardzo sceptycznie i ostrożnie patrzeć na rozwój sprawy. Wydaje mi się, że pewne symptomy już są, polegają one na tym, że decyzje zapadają jakoś bardzo niezdecydowanie, bardzo opieszale. — W tej chwili mamy informację — znowu właściwie prywatną — co jest też dziwną formą — że prywatnie dowiadujemy się, że jest decyzja... — Przy czym wydaje się, że ta sprawa jest ustawiona tutaj po prostu w sposób, no — no, zupełnie niepoważny. — Jest to chyba bolączka nas tu wszystkich. Bo jesteśmy w każdym momencie sprawy. Tak że tutaj — przepraszam, że za ciebie mówię — ale jakaś pomoc i ustalenie zagadnień jest jakąś koniecznością. Pilna sprawa. Protektora właściwie nie mamy. I to wydaje mi się, jest też jakiś problem, który w sferze organizacyjnej musiałby być rozwiązany bardzo szybko.

MARIAN — ...

JACEK — Tak na marginesie ostatnia jeszcze kwestia w której się wypowiadam. Ale ja wielokrotnie zapytywałem, jaka jest — w układzie obecnym — funkcja kierownika. Jest to przykład może bardzo dychawiczny — ale w gruncie znamieny. W naszej strukturze też jest gdzieś mała luka. No, po prostu gdzieś te uwagi zgłaszane — one nie docierają. — Nie docierają. — A skutki są w tej chwili widoczne i dla mnie — no — przerażające zupełnie. Przerażające.

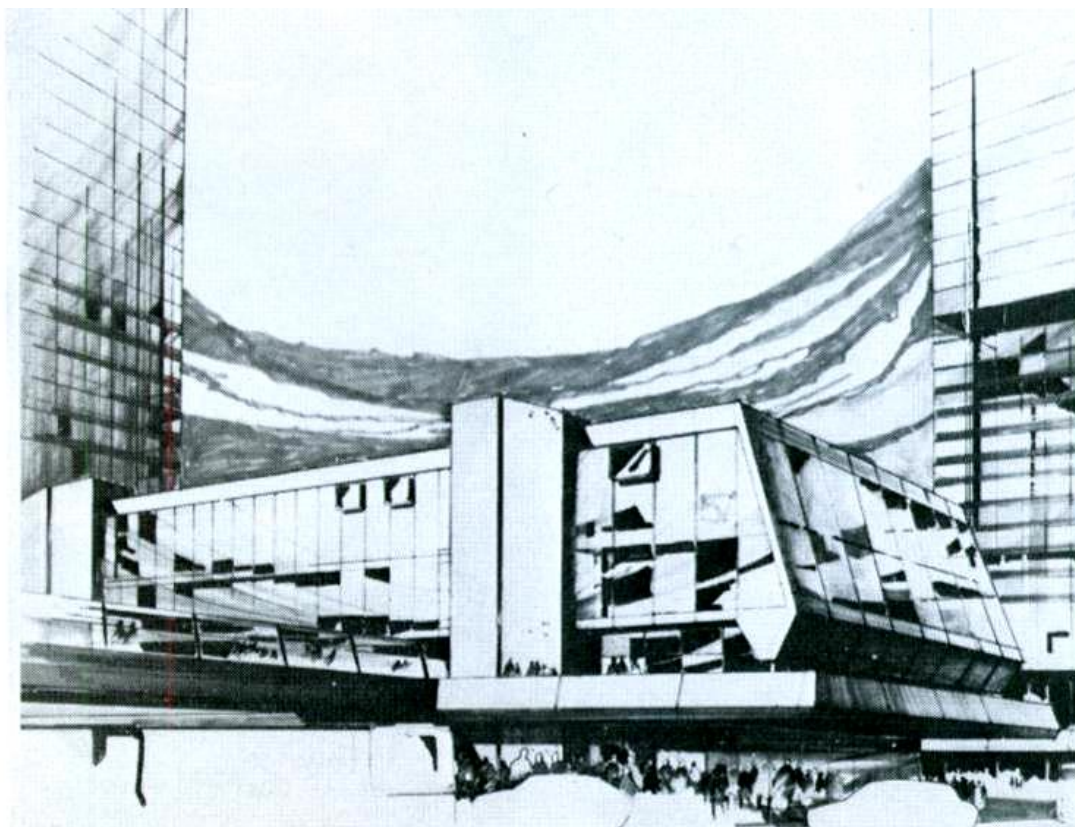
MARIAN — Żeby to jakoś uporządkować. Mnie się wydaje, że tak: — Na pewno istotna sprawa. Ale ona w sposób dosyć wyraźny — przynajmniej moglibyśmy sobie to tak przyjąć... — że wy, panowie, musicie się dogadać najpierw w układzie autorskim. — I wreszcie pogodzić. No, nie chciałbym ciebie przywoływać jakoś do tablicy, ale w tym momencie jest to nieuchronne.

JACEK — Proszę bardzo. Mnie się wydaje, że nie można także rozdzielić pewnych spraw. Moje stanowisko w tej sprawie zawsze było jednoznaczne. Mówiłem wam o tym. Zawsze byłem przeciwny rozpraszaniu się. W sytuacji — kiedy mamy nałożony limit finansowy, kiedy jesteśmy pod limitem osobowym, mamy tragiczną sytuację w wykonaniu roboty. Od trzech kwartałów nie mogę zakończyć projektu, ze względu po prostu na niedomogi i brak przygotowania w zakresie branżowym, wprowadzenie tematów nie naszych dodatkowo wiąże nam absolutnie... — krawat na szyi. Proponowałem wyjście takie, że jeżeli komukolwiek zależy na tym temacie, to trzeba sprawę rozwiązać tam na miejscu. Tymczasem oni się wcale z tym nie śpieszą, a raczej chcą, żeby to było u nas. — Prawda? — I jest to stara zasada działania tego układu. Po prostu miasto nie chce odpowiadać przed rządem za pewne ustalenia terminowe i realizacyjne, które musiałoby się jednoznacznie zobowiązać. Więc wołają mieć sprawę... — zapytać się ministra, dlaczego tak marnie idzie, niż samemu dzwonić do premiera i powiedzieć, dlaczego nie zrobiłem... — Jest to stara zasada prowadzenia i powinniśmy tę zasadę już dawno poznać. Dlatego tu

mam jednoznaczne stanowisko. Już miałem kilka rozmów kolegów, którzy żądają ode mnie określenia, w którym momencie następuje koniec z holowaniem autorskim. To znaczy, w którym momencie następuje podanie nazwisk ludzi, którzy doprowadzą do realizacji. I teraz tu jest bardzo skomplikowana sprawa. Bo albo ruszymy sprawę w ten sposób, że skłócimy wszystkich... — wszystkich. Albo odbędziemy jakieś rozmowy bardzo poważne.

MARIAN — To chyba taką rozmowę właśnie mamy. Zapoczątkowaliśmy ją. Dla mnie to jest: albo jest projektant, albo jest pomoc techniczna. Myśmy ze względów finansowych musieli powprowadzać starszych, młodszych i całą tę skomplikowaną hierarchię, żeby dla każdego następnego dwustu złotych w pensji była inna nazwa. Czy problem jest w tym? — No, spróbujmy to jakoś zlokalizować. Można pisać: główny od czegoś tam, a nie główny w ogóle. — Prawda? — Może być takie rozwiązanie. — Może być rozwiązanie takie w stosunku do tego, co mówimy, że jeden z głównych jest kierownikiem i jednoznacznie to wszędzie podkreślamy. — Czy problem jest w takich parametrach rozważań, czy też szukamy czegoś dalej. — Wreszcie może to być rozwiązanie na zasadzie spółki autorskiej. Ale wtedy układ jest zupełnie inny. Jeżeli się mówi o spółce autorskiej, to autorzy z gruntu rzeczy ją honorują, nigdy nie mają wątpliwości, kto jest ważniejszy — tylko się tym szczyją, że są wszyscy równi — i nikogo nie proszą, żeby rozsądził, kto jest z nich ważniejszy — i nigdy do tego nie dopuszczają.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*da capo*

Fachowcy naszego biura nie mieli odwagi zrobić szczegółowego programu użytkowego dla budynku LOT i hotelu, wszak nigdy w życiu nie projektowali takiego budynku. Doprowadzili więc do tego, że LOT zlecił opracowanie programu zagranicznym ekspertom. Właściwie, to eksperci zagraniczni przekonali LOT, że oni zrobią takie poprawki w naszym projekcie, żeby wszystko miało ręce i nogi.

Właśnie zaprosiliśmy dyrektorów z LOT i knujemy, polewamy i knujemy...

Akt I. Scena 1. ALT. III  
30 sierpnia 1976 roku

*suita — courante*

*dolce*

LOT — ... z tym że najłatwiejsze to jest przekazanie tych bieżących informacji... — ... ja dziękuję bardzo! Naprawdę — nie, nie, nie! Ja jestem...

ZBYSZEK — Jak to, panie dyrektorze? — Naprawdę kropelkę.

LOT — Dziękuję bardzo. Ja jadę przez całe miasto...

ZBYSZEK — Będę za panem jechał.

LOT — Ja też mam tych parę pomocy materialnych, ale... — żeby nie być tego... — ale właśnie między innymi dlatego... — o, takie urządzenie... o...

KTOŚ — Daj mi ten lizak, to on będzie jechał przed tobą...

ZBYSZEK ... będzie robił drogę!

LOT — Człowiek ma prawo do noszenia tego lizaka, ale nie chcę tego wykorzystywać, bo tam w sobotę znów się przyjaciel rozbił i teraz okazuje się, że tego... — że tam mają kłopoty... — że służba medyczna ma kłopoty ze znalezieniem resztek krwi w tym alkoholu. Na szczęście — jak się to mówi — personalnie nikomu nic się nie stało, ale kolizja była, samochód rozbity i teraz szukają krwi w tym alkoholu. — Więc dlatego lepiej się tutaj szanować.

JUREK — Więc to są te trzy zasadnicze, które uściśliliśmy, momenty. Wiemy, kiedy one są nam potrzebne. Wiemy, co one mają zawierać — i to jest dość ważny moment naszego dzisiejszego spotkania, żeśmy sobie te rzeczy tutaj jednoznacznie ustalili.

KTOŚ — To teraz dla wyjaśnienia musielibyśmy sobie ustalić dość precyzyjnie, na ile mamy kierować się poprzednimi rozwiązaniami.

LOT — Zapalimy. Ja dwa dni nie paliłem, ale...

KTOŚ — Dzisiaj byłby trzeci...

LOT — Proszę panów. Czy można udzielić odpowiedzi wymijającej?

JUREK — Nie. Nie. Musimy z nimi rozmawiać...

LOT — ... więc tak. Tego widzieliśmy wszyscy razem. Prawda? My obserwując pozostałych klientów — jeśli masz tu jakieś inne zdanie...

JUREK — Nie mam. Ja nawet wiem, co ty powiesz.

LOT — ... to okazuje się, że jeżeli rozwiązanie będzie rozwiązaniem pierwszym, to ono nie odbiega ani od drugiego, ani od trzeciego. Nie odbiega ani w złym, ani w dobrym nie odbiega. Dlatego że w tej chwili w zasadzie sytuacja światowa jest taka, że ta czołówka jedzie na tych samych standardach. Mogą być tylko jakieś takie drobne niuanse, ale zasadnicze standardy są powtarzane. Że jeżeli nasze sugestie, czy nasze wytyczne, czy wasze opracowania będą miały taką cichą bazę z pierwszym, czyli że będą z nimi zbieżne, to ich nie podważy ten drugi.

JUREK — Nikt nie podważy.

LOT — Nikt nie podważy. Dlatego że w tym finale już poziom się wyrównał. Nie ma słabych i nie ma super mocnych. Czyli tutaj można się tym kierować, bez obawy, że się wpędzimy w jakąś ślepą uliczkę. Każdy z tych partnerów nam to przyjmie. Bo myśmy konfrontowali te parametry, wielkości, standardy, moduły — i one są takie same.

JUREK — Tu możemy jeszcze dodać, że... — bo mamy taki bigos, że nasz powinien być na połowie drogi między dwoma dotychczasowymi. Wcale nie musi być gorszy, ale chodzi ra-

czej o wydatkowanie... — Wtedy byśmy osiągnęli — mnie się wydaje — dobry standard, dobry koszt i dobrą opłacalność.

LOT — Na siódmego?

JUREK — Którego oni będą? Ja rozumiem...

LOT — Ósmego.

JUREK — Czyli ósmego musi być skończone?

LOT — Tak. Winno być zamknięte. I mając komplet tych dokumentów — i to będzie dzie-  
siąty... — A jemu musimy przekazać do piętnastego przyszłego miesiąca.

KTOŚ — ... bo inaczej on nie zrobi.

JUREK — Zakończenie do końca?

LOT — Nawet dalej. Do ósmego. Dziesiątego. Podstawowe parametry... — A to dla niego,  
to do piętnastego. Bo on po prostu jeszcze tam...

JUREK — Kiedy będziemy mieli te informacje? ... dodatkowe?

KTOŚ — Więc jak ja mówiłem z nim w ten sposób...

LOT — Tak. Bo on czekał na ten... — i dziwił się, że ja nie jestem u siebie...

JUREK — To on nie pojechał?

LOT — Jutro rano. — Więc ja się z nim spotkam... — W każdym razie ja się umówiłem  
z nim w ten sposób, że ci panowie będą zaraz po pierwszym. Tak jak on ich będzie mógł szybko  
stamtąd wyrwać... — bo to jest też wyrwanie ludzi... — oni tutaj zaraz będą.

JUREK — Nie. To jednak powinniśmy sobie określić termin ten najpóźniejszy, do które-  
go...

LOT — No, tak jak chciałeś — ja tu mam zapisane...

KTOŚ — Między pierwszym a piątym.

LOT — Między pierwszym a piątym. Czyli on jutro ich tam montuje, bo on przełożył jedno  
spotkanie z nimi wszystkimi, bo tam ma być wielki spęd, więc przełożył to na pojutrze rano i oni  
zaraz będą.

JUREK — Z tym że przypomnij im jeszcze raz, żeby tak jak był taki facet jak, ten który był,  
że...

LOT — Oczywiście.

JUREK — ... tak jak był...

LOT — Oczywiście.

JUREK — ... to był facet...

LOT — Nie. To był ten. On był za duży i za mały jednocześnie. Bo to był właściwie taki  
dyrektor handlowy.

KTOŚ — On wczoraj zrobił fatalnego byka, bo nie uzgodnił ostatecznego terminu z nami,  
tylko on ich przywiózł — że tak powiem — pokazać... — Trochę zaskoczenie, bo to tak ich  
przywiózł.

JUREK — Zebrał ich tam wszystkich i przywiózł.

LOT — Czy potrzebny, czy nie potrzebny — przywiózł.

JUREK — Czy wobec tego, skoro trzydziestego... — Skoro panowie mówią, że tak — ...  
z tym że powtórzylibyśmy...

LOT — A to ja już panu powiedziałem. Ja już panom powiedziałem — że my nie limituje-  
my naszego terminu oddania rzeczywistego — z oficjalnym terminem zakończenia...

JUREK — Czyli nie musimy przekazać trzydziestego? Tak?

LOT — Tak. I my tutaj nie limitujemy spraw — że tak powiem — płatnościowych.

JUREK — No dobrze.

LOT — Jeżeli panowie nam zrobią na dziesiątego, to przyjmujemy trzydziestego.

JUREK — No to zdrowie naszych gości...

LOT — Czy on, skoro go nie ma...

KTOŚ — Oby żył wiecznie.

JUREK — Oby żył wiecznie! Ha! Ha! Ha!

LOT — Czy rzeczywiście jest jakiś zastępczy...?

JUREK — Ano nie ma! Ha! Ha! Ha! Ha!

LOT — W ogóle życie jest brutalne!

KTOŚ — Już nie róbmy z siebie większych... — niż jesteśmy!

MARIAN — Może ciasteczko?

LOT — Ciastka? — Jadłem. Oczywiście. — To co? — W takim razie tak się umawiamy?

MARIAN — Może ja bym miał jeszcze tylko jedną sprawę, bo... — Propozycje nasze będą w jakiś sposób kontynuowane...

KTOS — Ha! Ha! Ha! — Cwaniak!

MARIAN — Nie, nie!

KTOS — Nie my na ten numer...

LOT — Nie. My rewolucji — my się nie spodziewamy.

KTOS — O to chodzi. I chodzi o to, żeby u niego nie było tak radykalnych zmian...

LOT — Słuchaj. — Ale jest sprawa tego rodzaju, że wy już macie też... — ... tyle się nasłuchaliście — i od nas — i trochę własnego spojrzenia — że wy już czujecie — jesteście — jeżeli można tak powiedzieć — o jeden krok mądrzejsi dzisiaj, niż byliście wtedy, kiedy to się wszystko rodziło.

JUREK — Tak. Ale ja tutaj muszę powiedzieć ci, żeś mnie teraz zaskoczył. Bo ja nie rozumiem twego pytania — co on może od nas otrzymać?

LOT — Tak. Ja wiem, o co tobie chodzi.

JUREK — ... chodzi ci o to, że on wtedy...?

LOT — Ja też to tak rozumiem — prawda? Natomiast, no...

JUREK — Tak, tak.

LOT — Ja ci powiem taką sprawę — ale to między nami... — ... ale to między nami. — Jeżeli jemu by się udało... — by się udało! — ... jakiś wariant dobrze rozwiązać...

JUREK — ... fragmentaryczny wariant — nienaruszający całości.

LOT — Wiesz... — głupi byśmy byli, jeżeli byśmy z tego nie skorzystali.

JUREK — To jest oczywista sprawa.

LOT — To jest oczywista sprawa. A jeżeli jemu się to nie uda, to jego zadanie powtarzamy jeszcze raz.

JUREK — To jest — panowie — oczywista sprawa.

LOT — Rzecz jasna.

JUREK — On nam nie robi tego. Natomiast w tych rozwiązaniach szczegółowych — mnie się zdaje — o których ty myślałeś — mówiąc o tym, bo, bo... — bośmy przecież głośno wiele razy na ten temat rozmawiali... — sprawa rozwiązań, cały program... — to oni tutaj takie mają doświadczenie, jakiego nie ma nikt z nas.

KTOS — Nie. Tu nie chodzi o szczegóły.

LOT — Sprawa zasadnicza. — Że to co wy dajecie, to jest dla niego dość mocny szkielet. — I on dopiero tam może sobie wiercić. — On może, no! — Ja uważam, że jest jedna sprawa. Że jeżeli on... — Nie wiem, jak tam go cenicie... — czy wysoko, czy nisko, czy średnio, czy w ogóle — to jest jedna rzecz — ale jeżeli da nam wyższą wartość... — Natomiast tutaj nie ma żadnych obligatoryjnych spraw, że trzeba brać jego zdanie tutaj...

JUREK — On nam jest niezbędnie potrzebny w części ekonomiczno-finansowej. — Do opracowania. — A to już będą niezbędne materiały towarzyszące, które nam ułatwią... — ułatwią dalej prowadzenie tej sprawy.

MARIAN — Tylko widzi pan — tak jak ja obserwuję. On jest bardzo ciekawy w momencie, kiedy on twierdzi, że on to lepiej rozwiąże.

LOT — O! Właśnie!

JUREK — I to będzie dotąd ciekawe, dopóki on to będzie robił z pokryciem. Natomiast jeżeli się potem okaże, że on rozumiał dlatego mniej, bo on chciał zubożyć, czy uprościć i tak dalej...

LOT — A! Nie, nie, nie! — To mu narzucamy! — Mówimy: masz osiągnąć to — a jeżeli możesz to osiągnąć tańszym... — w sensie ilości, czy czegoś — generalnie rzecz ujmując — mniejszym kosztem — to bardzo proszę. — Właśnie.

JUREK — Tutaj też jeszcze pewną rzecz musimy brać pod uwagę, że ponieważ on w jakimś sensie współpracuje z tą firmą, to oni też sobie zachowują pewną rezerwę...

LOT — Oględnie mówiąc, to on musi to stworzyć w ten sposób, żeby nie było za wszelką cenę najtaniej, tylko żeby było dla nas tanio, a dla nich jeszcze do wzięcia.

JUREK — ... żeby on był jeszcze konkurencyjny.



LOT — ... żeby nie zgubić go, bo on dobrze współpracuje.

KTOŚ — Tym bardziej że tu możemy śmiało stwierdzić, że z tego co my przynajmniej wiemy — no może wiemy jeszcze nie wszystko — że wszyscy, którzy się tym zajmowali, właśnie takie rzeczy mieli robione przez niego.

LOT — No, słuchajcie — przecież mają największe doświadczenie. Tak że o czym tu mówić. — Ale tym niemniej na kantach to już ich przyłapałem.

JUREK — Ja wiem. Ten super?

LOT — No tak, tak. Weź, ile to jest materiału?

JUREK — Ech! Kurcze!

KTOŚ — Coś w tym jest. No nie wiem, na czym to polega?

LOT — No, po prostu mnie się wydaje, że oni umią to robić. Ale z drugiej strony wiadomo, że wszelka swołocz będzie na tym żyła.

KTOŚ — To co? — Możemy się pożegnać?

MARIAN — Ale co raczej... — Umówiliśmy się w ten sposób...

LOT — No, pan jeszcze podsumuje, a ja wykonam mały telefon — dobrze?

KTOŚ — Na czym stoimy? — Że wy dajecie do piętnastego takie materiały, żebyśmy je mogli przekazać jemu do obróbki.

MARIAN — Ja rozumiem — do pokazania...

KTOŚ — No, już lepiej byłoby mu to dać, żeby on już nie musiał nic z tym robić.

JUREK — Ha! Ha! Ha!

KTOŚ — ... bo wiesz, co on mógłby wówczas z tego zrobić.

JUREK — Ale do piętnastego? — To jest piętnasty!

MARIAN — Jesteś ambitny chłopak.

JUREK — Z tym że rozumiem, że to są mimo wszystko nie końcowe...

LOT — Materiały luzem — bym powiedział.

KTOŚ — Luzem w pewnym sensie.

JUREK — Luzem! Luzem!

MARIAN — Ale kontakt z nim jeszcze musi być.

JUREK — No nie. Ja rozumiem, że do końca miesiąca mamy jeszcze z nim kontakt.

LOT — O tak! Absolutnie! Bo on może mieć, w wyniku...

JUREK — Żeby on się nie zatkał! Żeby on się nam nie zatkał!

LOT — Tak jest.

JUREK — Tak jest.

LOT — Natomiast ja jestem przekonany, że to będzie na żywo dalej.

JUREK — A później do końca miesiąca ten materiał może być jeszcze uzupełniony. Uściślony.

LOT — ... że to będzie szło na żywo. Natomiast już na ósmego musimy mieć całość — ... tak ustalamy...

JUREK — Tak.

LOT — ... w majestacie prawa...

JUREK — Czyli że są to dla niego jak gdyby dwa terminy.

LOT — Tak jest.

JUREK — Pierwszy: piętnasty. Drugi: trzydziesty.

LOT — Trzydziesty. Tak.

MARIAN — A między piętnastym a trzydziestym bieżące jeszcze uzupełnienie.

JUREK — I trzydziestego jedziemy sprawdzić, co on zrobił.

LOT — Nie ma przeszkód.

JUREK — Nasz szef, to się teraz zrobił taktyk. Od razu nam wchodzi na ambicję i musimy zrobić.

LOT — I ma rację.

JUREK — I nie ma żadnej obrony. — I co chłopaki — Wy nie zrobicie?!

LOT — Nie stać was?

MARIAN — Widzisz, poza ambicją... — Muszę ci przerwać, bo ostatnio za dużo mówisz. — ... trzeba, żeby ludzie wiedzieli, że nie tracą na tym.

LOT — No tak. Bo jakaś taka prawidłowa świadomość ułatwi wam.

MARIAN — Przecież każdy wie, że pieniądze za to będą, takie jakie wy nam wpłaciecie...

LOT — Na nasze rachunki nie możecie narzekać?

MARIAN — Od tygodnia awantury w księgowości...

JUREK — Ha! Ha! Ha!

LOT — No, nie. Panowie. — Ale to jest ludzka sprawa. — No, zastanówcie się nad tym tylko przez jeden moment. — Ja mam pieniądze. Pan zrobił dla mnie robotę. — Władze ustanowiły pośrednika między nami — inwestora generalnego. — Ja jemu daję te swoje pieniądze. Jemu się no... — aż mu się ręce trzęsą, żeby ich nie oddać dalej — no!

JUREK — Hehehehehe!

LOT — To jest ludzka sprawa. To nie ma się co...

MARIAN — A może bez pośrednika?

LOT — No ja już właśnie mówię — no! Bo gdybym tak — pan dał robotę — ja mam pieniądze za robotę. — Jak ja daję jeszcze trzeciemu, to on rzeczywiście że nie chce tego oddać dalej.

KTOŚ — Też trochę chce potrzymać chociaż.

JUREK — Hyhyhyhyhyhyh...!

KTOŚ — To jest znana sprawa. — Może jakiś procent wykona w międzyczasie, może pożyczycy, a potem nie odda...

JUREK — Od tego są pieniądze.

LOT — Więc to się nie ma co dziwić. My jesteśmy od tego, żeby tam przeforsować te sprawy. — Tak to jest.

MARIAN — To jest dla nas sprawa bardzo ważna.

LOT — Dla nas to jest tym bardziej sprawa podstawowa. — Podstawowa — no.

MARIAN — Ile lat się już mówiło o tym...

LOT — Tak. Ale jest jeszcze tego... — Okazało się, że to już poszło — jak to się mówi — na... — w tej chwili na pełne forum, bo... — Ja przegapiłem, bo jakoś ostatnio nie korzystam ze środków masowego przekazu — ale to że nie korzystam to mało — był wywiad i padło do publicznej wiadomości to nasze dziecko wspólne.

KTOŚ — No nic. Pożyjemy, zobaczymy. Żeby nas tylko znowu coś nie zaskoczyło w kraju. Niech idzie. Niech idzie.

JUREK — Hihihihihihihihihihihih!

LOT — Oj! Bo dyskusja zaczyna być merytoryczna!

MARIAN — Ja rozumiem, że my idziemy dalej...

LOT — Dziękuję za przyjęcie...

MARIAN — ... tak jak żeśmy ustalili...

LOT — Tak. — Na razie ja o żadnych zmianach nie słyszałem.

MARIAN — Ale ja mówię o naszej robocie, nie o kraju przecież.

LOT — No ja też tylko to mam na myśli.

MARIAN — Jedziemy, tak jak ustaliliśmy...

KTOŚ — Nie trzeba się spieszyć.

LOT — Tak, bo tutaj zaczyna wam być trochę bardzo... — Dziękuję bardzo. Do widzenia.

KTOŚ — Do widzenia. Dziękujemy za świetną kawę, cudowny koniak.

MARIAN — .....

JUREK — Ej, chłopie — ile my jeszcze wypijemy, zanim to będzie tak, jak oni mówią. — Ile ci jestem winien?

MARIAN — Nic.

JUREK — Słucham?

MARIAN — Nic.

JUREK — Przecież nie można tak, żebyś sam dokładał do tej firmy.

\*

Gdy nasi goście sobie poszli i zostaliśmy sami, wzajemnie pocieszamy się z całych sił:

Akt I. Scena 2. ALT. III  
chwilę później

*suita — sarabanda*

*pianissimo*

MARIAN — Proponuję, żebyś nie rezygnował z trzydziestego.

JUREK — Dlaczego miałbym rezygnować? Ale nie. Powiedziałem ci, że sprzedajemy te gospodarcze...

MARIAN — Za ile?

JUREK — Trzysta dwadzieścia tysięcy.

MARIAN — No, nie wiem, czy sprzedajecie...

JUREK — No, wiesz. Nie ma kosztorysów, no, nie ma tego...

MARIAN — Przecież robimy dziewięćset tysięcy.

JUREK — Dziewięćset tysięcy.

MARIAN — No właśnie.

JUREK — Jest tak. Najpierw dziewięćset, potem trzysta dwadzieścia — to jest milion dwieście. Wyposażenie pięćset pięćdziesiąt — to jest milion siedemset pięćdziesiąt, milion siedemset pięćdziesiąt — teraz powinniśmy rozliczyć... — Słuchaj, ja nie wiem, co z tymi skurwysynami zrobić. Przecież od marca, no.

MARIAN — Ja z nim rozmawiałem.

JUREK — Trzysta sześć... — to jest sto osiemdziesiąt tysięcy kwartalnie... — Trzysta sześćdziesiąt tysięcy.

MARIAN — A jak ta umowa była zawarta? — Że będą kwartalnie płacić?

JUREK — Tak przystali...

MARIAN — Ale umowy nie podpisali jeszcze, no.

JUREK — Wiesz, kiedy żeśmy wysłali umowę?

MARIAN — Od maja leży umowa.

JUREK — Drugiego czerwca wysłaliśmy umowę. Trzy miesiące niepodpisana umowa... — Monit żeśmy wysłali, proszę ciebie... A tyś dzisiaj z nim rozmawiał?

MARIAN — Nie. Nie było go.

JUREK — I był ten skurczybyk... — I jak się zaklinał, że on załatwi od razu... I to żeśmy rozmawiali — wiesz — z nim trzy tygodnie temu chyba — czy nawet dawniej. — Trzy tygodnie temu, że podpisze, że w poniedziałek będzie do odbioru. Przyjdą do nas kurwa jeszcze. — Ja rozumiem, że urlopy, że wszystko...

MARIAN — .....

JUREK — Dziękuję za postawę, bo z nimi trzeba dobrze żyć i trzeba ich zrozumieć...

MARIAN — No i oczywiście. Oni musieli szybko działać. ...sytuacja w kraju...

JUREK — .....

MARIAN — Wiesz, że miasto nie spodziewa się, że to będzie realizowane.

JUREK — Jeden i drugi? — Ja wierzę, że to popchną. — Jestem o tym przekonany, że to wejdzie. Byłaby to głupota, żeby wypuścić taką okazję. Załatwia im to absolutnie dużo i oni to przepchną. Moim zdaniem jest to absolutnie pewne.

MARIAN — No, ma szanse.

JUREK — Ja już słyszałem taką plotę, że spadł z planu.

MARIAN — ... — Umówmy się na jutro na jedenastą.

JUREK — Jutro na jedenastą — tak? — Nasz przyjaciel już jest. Pokazał się. Był tu. Pełen optymizmu. Mnie obrugał, że mam smutek w oczach. Że tak nie można.

MARIAN — Musimy, panowie, bardzo dobrze pomyśleć nad tym, co z nami dalej. Jak my to pokpimy... — Generalnie biorąc, ja uważam, że właśnie dlatego, że przeszliśmy na taki system, że właśnie z tego względu muszą być konkretne umowy z konkretnymi ludźmi. — Że za określoną robotę określone pieniądze będą. Nie procent... nie jakieś takie. — Mnie się wydaje, że jedyny ratunek, że pewną bardzo ważną robotę szybko wykonamy.

JUREK — ...

MARIAN — No, co dalej. Wydaje mi się, że... — Ale o tym będziemy musieli jeszcze porozmawiać... — Że jest klimat nadal na temat łączenia kogokolwiek z kimkolwiek... — I w niedługim czasie będzie sytuacja z etatami i trzeba będzie znaleźć liczące się wyjście. — Z przerażeniem stwierdzam, że chodzą przeróżne wieści o nas.

JUREK — Nie wiem, czy ci mówił Józek...

MARIAN — Mówił mi.

JUREK — ... że jemu — proszę ciebie — na wykładzie jakiś student — bracie — mówi — panie inżynierze, przecież już są przygotowane decyzje o waszej likwidacji. — Jakiś taki starszy pan na wieczorowym. — Proszę ciebie, wiesz. — Józek mówi, że szlag go trafił.

MARIAN — Więc tutaj z kolei mylicie się. Tak jak ja znam sytuację i oceniam w tej chwili układy — może być układ taki, że nam dadzą spokój. — Ale nie na tej zasadzie, że będziemy silnie podbudowani... — tylko że po prostu autentycznie się nam da spokój. — I od nas naprawdę będzie, panowie, zależało, czy my się naprawdę będziemy potrafili zdefiniować w obecnej sytuacji, czy nie. Nie mówię, że się musimy potrafić, ale w każdym razie jest to sprawa do pokuszenia się.

JUREK — Muszę powiedzieć, że nie pomagają nam chyba w tej sytuacji takie potknięcia, jak mamy. Bo na pewno zawsze tam ktoś to wykorzystuje. — Nie wyjdziemy z planem trzeciego kwartału. Do końca roku, czyli na czwarty kwartał zostanie nam prawie czterdzieści procent.

MARIAN — Tak. — Byłby bardzo dobry pretekst do spełnienia tych plotek pod hasłem, że trzeba było coś z nami zrobić, bo nie wykonaliśmy planu. — Wyobrażam sobie, ile to by im spraw od ręki załatwiło. — Takich, na które teraz nie ma żadnej recepty, bez pobrudzenia własnych rąk.

JUREK — Teraz jest o tyle dobrze... — Tylko nie można przeholować eksploatacji tego dobrego układu...

MARIAN — Na to, to nie bardzo można liczyć. Bo natura ludzka jest ułomna.

JUREK — ... ułomna. Ale z kolei widzisz...

MARIAN — ... i nie pamięta, nie pamięta o tym, co tam było.

JUREK — Jesteśmy gronem ludzi tak niewielkim, że może przynajmniej w części pewne sprawy prawidłowe by się u nas udały.

MARIAN — ...

JUREK — No to co — druhowie? — Chodźmy.

MARIAN — Idziemy pomieszkać, prawda?

Inni wychodzą. Zostajemy we dwóch tylko. Niby mieliśmy wyjść, a jakoś zostaliśmy.

## *duet*

JUREK — A ja nie mam wyboru teraz.

MARIAN — W jakim sensie?

JUREK — Ja nie mam gdzie iść. Muszę siadać natychmiast na dupie i zapierdalać, aż mi piana na jajach wystąpi.

MARIAN — Całe życie na to czekałeś, żeby cię tak przydupiło.

JUREK — ...

MARIAN — Słuchaj. Ja przez kilkanaście lat już opowiadam, że poszedłem w Sylwestra przed południem na Wydział — i to przypadkiem. — Już miałem zaproszenie na bal w kieszeni... — i wyczytałem przypadkiem na tablicy ogłoszeń, że mam obronę dyplomu wyznaczoną na dziesiątego lutego. — I nawet nie poszedłem już na Sylwestra, tylko jak siadłem, zrobiłem z pokoju klasztor i zrobiłem projekt dyplomowy. — Taką i ty masz sytuację. — Potem też będziesz opowiadał. — No?

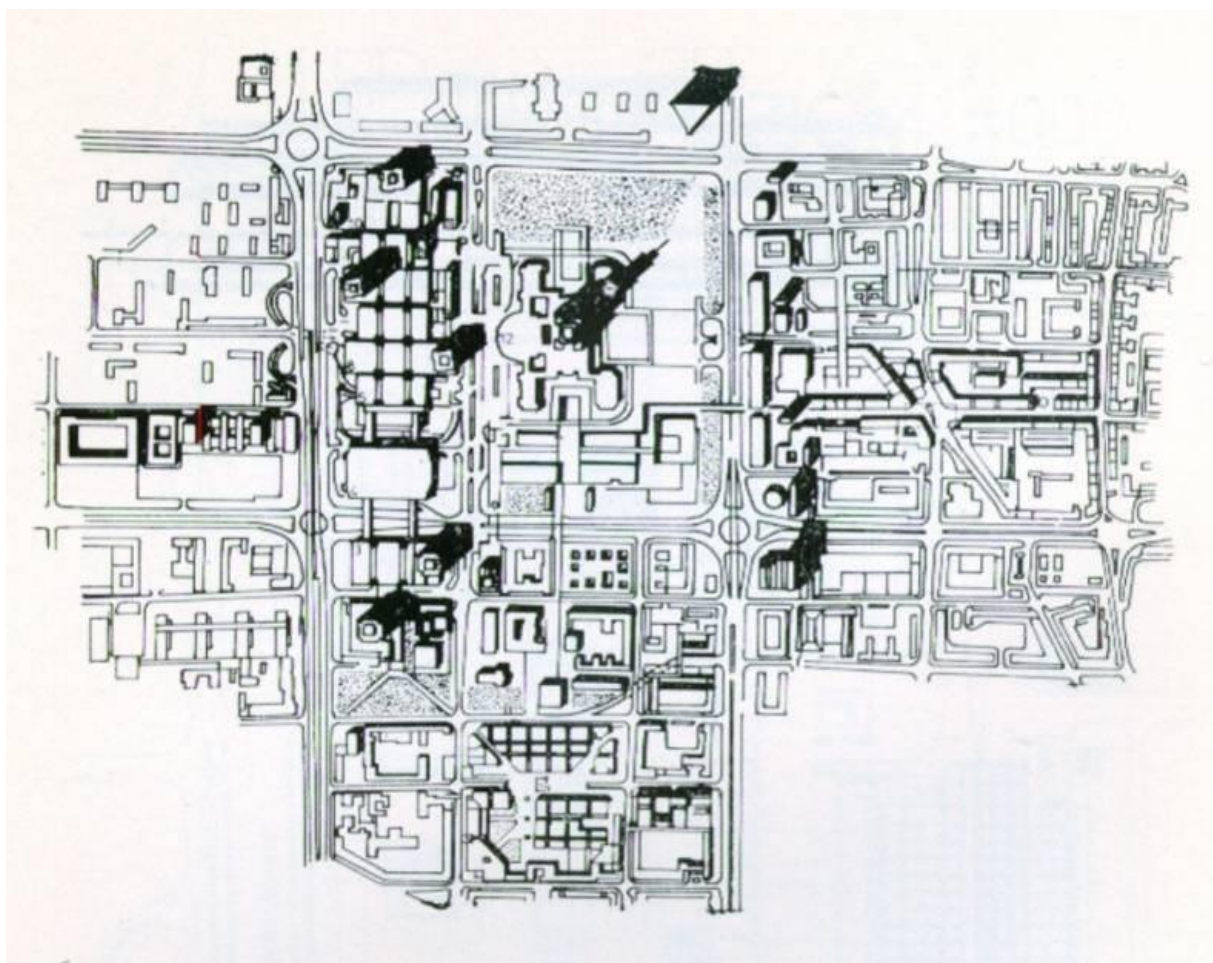
JUREK — ...

MARIAN — Wiesz Jurek, już od pewnego czasu noszę się z zamiarem porozmawiania z tobą o jednej sprawie. Zobacz, jak się życie potoczyło ciekawie dla ciebie. Dano ci szansę, jaka nielicznym dosięga w tym kraju, a i poza nim. Dostałeś do zaprojektowania kawał centrum stolicy. Abyś mógł to zrobić, specjalnie dla ciebie powołano nowe biuro projektowe. Bądźmy szczerzy, jeśli nie jesteś dyrektorem tego biura, to tylko dlatego że szkoda twojego czasu na

sprawy uboczne, ty musisz zajmować się samą pracą koncepcyjną. Mimo że ja jestem dyrektorem tego biura, to biurem de facto kierujesz ty. Przecież gdy mnie powoływano na to stanowisko, to powiedziano mi w Komitecie Warszawskim, że gdyby przyszło wybierać między mną a tobą, to zawsze wskażą na ciebie. Do pracowni ściągaliśmy stajnię młodych architektów, bardzo zdolnych ludzi, twoje koncepcje opracowali oni wspaniale. Przywódcy państwa zechcieli, abyś zaprezentował im projekt centrum — bez zastrzeżeń, czy uwag zaakceptowali go, wręcz sprawiali wrażenie, że są podbudowani twymi pracami. Czulo się, że twoje osiągnięcia, to ich osiągnięcia. Nie zaprzeczysz, że osiągnąłeś wszystko w życiu. Tak więc sobie myślę od dłuższego czasu — wstąp do partii... przecież jej to wszystko zawdzięczasz.

JUREK — Słuchaj Marian, ja też będę szczery, brutalnie, bo mnie rozbawiłeś. Ty jesteś członkiem partii od lat i co z tego masz? Ciebie obowiązuje dyscyplina partyjna i musisz wykonać wszystko, co ci polecają, nie możesz stawiać warunków. Zauważ, ty jesteś członkiem partii, a na Plenum Komitetu Centralnego ja chodzę, to mnie zapraszają. Jak myślisz, dlaczego mnie, a nie tobie dano działkę pod budowę domu, w najpiękniejszym punkcie Żoliborza. A żebyś ty widział, jakich ja mam sąsiadów, jakie znajomości. Jako bezpartyjny człowiek kultury jestem przyjmowany w domach kilku sekretarzy. Ciebie nie zaproszą, ciebie trzeba się wystrzegać, a ja jestem bezpiecznym gościem, nigdy nie zostanę sekretarzem KC, ani nawet KD. Oni nie popolitują się z podległymi sobie pracownikami aparatu. Wiesz, teść mi szeptnął, że jestem rozpatrywany na profesora... I ty, Marian, proponujesz mi, abym wstąpił do partii?

\*



Centrum Warszawy.

*da capo*

W jakiś czas później dał się zaprosić do nas Naczelny Architekt Warszawy. Znowu zakrapiamy koniakiem i urabiamy grunt. Jak to koledzy — wspominamy...

Akt I. Scena 3. ALT. III  
17 stycznia 1976 r.

*suita — gigue*

*con fuoco*

MARIAN — Ja nie wiem. Chyba że mu się to podoba.

TADEUSZ — Bo to on wie, co mu się podoba?

MARIAN — To niech zapyta sekretarkę...

JUREK — No, to — małego.

MARIAN — Och, zawile są te stosunki.

TADEUSZ — Panowie. Dzisiaj mija cztery lata, jak już na tym stanowisku jestem.

JUREK — Dzisiaj właśnie?

TADEUSZ — Dzisiaj.

JUREK — Aleśmy się wstrzelili.

TADEUSZ — W tym dniu zatwierdzono.

MARIAN — A rzeczywiście.

TADEUSZ — Pamiętasz?

MARIAN — Z wyrazami współczucia...

JUREK — Hahahaha!

MARIAN — Tyle lat męczarni, no to taka okazja... — Z gratulacjami powodzenia, dalszych...

TADEUSZ — Dziękuję.

MARIAN — Będę na tyle bezczelny, że ci przypomnę, że ja cię o tym zawiadomiłem.

TADEUSZ — Tak jest!

JUREK — Hahahahahahah!

TADEUSZ — Pamiętam. — I to wieczorem. Do domu dzwoniłeś. Za co na ciebie niektórzy koledzy są do dzisiaj obrażeni.

JUREK — Dlaczego?

TADEUSZ — Dlatego że jakieś tam plotki trochę chodziły, wiesz... Ploty zawsze chodzą... — I w tym czasie było jakieś spotkanie za miastem. Popiliśmy sobie troszeczkę... — I ktoś tam mówi — czy to jest prawda? — Ja mówię — odpieprzcie się. Nieprawda. — Słowo honoru. — Absolutnie. — Tak. — Przyjeżdżam. — Ty dzwonisz. — Już załatwione.

MARIAN — To się rozstrzygnęło bardzo szybko. Jak się to mówi, w czasie przerwy w plenum. I istotnie mogłeś tak mówić, bo do obiadu jeszcze nic nie było wiadomo.

TADEUSZ — Nie. Bo ja nic nie wiedziałem. — No, widzicie. I wszedłem — i z nóg mnie ścięła ta sprawa... — Tak się męczyłem do jesieni.

JUREK — Ale tak szczerze mówiąc — słuchaj — to w zasadzie jeżeli posiedzisz jeszcze na tym stanowisku z pięć lat — to proszę ciebie...

TADEUSZ — To możecie wtedy wziąć udział w pogrzebie.

JUREK — Słuchaj. — Prędzej czy później to nas wszystkich pogrzebią. — Ale wydaje mi się, że twoja kadencja będzie miała olbrzymie sukcesy.

TADEUSZ — E. Tam. — Słuchajcie... — ... moja... — Gównu się zrobiło. — Tylko podpisuję. — Klóczę się.

JUREK — Chcesz, żeby ci wymieniać...

TADEUSZ — My z nim to pamiętamy. Prawda?

MARIAN — A propos pogrzebu...

TADEUSZ — Ech! Ku...

MARIAN — Jest taki dzień jak dzisiaj. Paskudnie. Zimno. Dyrektor. Ani nikt nie zadzwoni. Sekretarka. Ani nikt nie przyjdzie. Stoją w tym gabinecie i za bardzo nie wiedzą po co. Sekretar-

ka podchodzi do okna. Odsuwa firankę — czy zasuwam firankę? W końcu mówi: — Pogrzeb idzie.

I pytanie jest: — jak ma na imię sekretarka?

JUREK — Hahaha! — A niech cię chuj zajebie.

TADEUSZ — No i co?

MARIAN — Jak ma na imię?

TADEUSZ — ...

MARIAN — No — Ida.

JUREK — Hyhyhy — hyhy!

TADEUSZ — O Jezus Maria! — Morderca! On ma dzisiaj wisielczy humor. Ale skojarzenia. Hahahahahaha!

JUREK — Wiecie co? Ja proponuję, żebyśmy sobie trzasnęli. I chodźmy.

TADEUSZ — Czekaj. Posiedzimy sobie.

JUREK — ...

TADEUSZ — Niech odsapnę trochę.

JUREK — ...

TADEUSZ — Tak. Niech odsapnę. Czekaj. Chcesz mnie zamęczyć?

MARIAN — Nie.

JUREK — No to ciach!

TADEUSZ — Pomału sobie to wypijemy.

JUREK — Ale co? Jakies takie uodpornienie? Po czterech latach? Po prostu jakoś tak?

TADEUSZ — Nie. Właśnie ja myślałem, że ja tak, cholera, jakoś się przyzwyczaję do tego i ... — Więc muszę wam powiedzieć, tak uczciwie, że mnie się lepiej pracowało w pierwszych latach. Absolutnie. W pierwszym roku, w drugim. — Teraz ostatnie dni, ostatnie tygodnie — może mi się lepiej pracuje. Zeszły rok był w ogóle najgorszy. — Teraz zaczynam znów... — Tak jakby się coś przewróciło, wiesz... — U nas to tak jest... — Ty najlepiej wiesz? Nie? — Najpierw się jest. Później nas nie ma, a później się znów pojawiamy.

MARIAN — Taką sinusoidą?

TADEUSZ — Tak. — I tak jakby do góry sprawa szła.

MARIAN — To jest trochę na tej zasadzie, że jak się... — czego się nie może pokonać, to się powinno polubić. Z tobą też jest taka sama historia. Były bardzo wyraźne tendencje, żeby się ciebie pozbyć... — I to przepadło... — I dlatego ci którzy... — no, może nie nagle — ... stracili rezon, ci którzy oponowali. — Tak to przynajmniej ja oceniam. Teraz sytuacja rzeczywiście się poprawia.

TADEUSZ — Prawda? Idzie znów z powrotem wszystko jakoś... — Dojdzie gdzieś i później znów jakoś przeskoczy...

MARIAN — Ale to nie myśmy wymyślili, że fortuna kołem się toczy. Raz jesteś na wozie, raz pod wozem.

TADEUSZ — Cholernie ważne jest, żeby się uodpornić nerwowo, żeby nie przeżywać...

MARIAN — Wiesz, żeby pod tym wozem nie trzymać się ciągle, żeby w górę się starać ciągnąć — no?

JUREK — Ha haha ha!

TADEUSZ — Bo pod tym wozem to by człowiek zdechł...

MARIAN — W moim odczuciu to, to się wiąże z jakimś takim stylem życia, bycia... — że gdyby każdy z nas miał to drugie życie rodzinne, domowe, przyjaciół...

TADEUSZ — O! Gdybym ja miał takie drugie życie! To byłoby dobrze.

MARIAN — ... no, to byś tak nie odczuwał tych ewentualnych zachwiań. Tymczasem właśnie my tylko tym żyjemy i tylko to mamy. Jak coś nawala, no to właściwie nie potrafimy sobie znaleźć wyjścia z sytuacji.

TADEUSZ — Inna sprawa. Inna sprawa.

JUREK — Ja ci powiem, że właśnie... — A mnie się wydaje, że to jest nawet zaleta nasza, że to jest... — że proszę ciebie — nie mamy kilku kierunków, które z jednakowym... — w które z jednakową sprawą byłbyś zaangażowany. — Jesteś zaangażowany w jedną sprawę — bracie. — Ukierunkowany jak — bracie — jak koń — i w tym jednym kierunku ciągniesz.

MARIAN — Tylko jeszcze ci młodzi nie chcą na to przystać. Przecież jemu niedawno asystentka powiedziała: — Panie inżynierze — my tak nie możemy — tylko na okrągło pracować. — To że pan żyje tylko pracą, to nie znaczy, że my nie widzimy jeszcze czegoś poza nią. — Przecież pan — jak się za mną ogląda na korytarzu — to już nawet nie wie dlaczego!

TADEUSZ — Ale cię zjadła — stary.

JUREK — Ale wiesz. — Ja mimo wszystko zawsze lubiłem mieć jakiś porządek. To znaczy jak se ustawiłem jakąś sprawę — i byłem przekonany, że to jest dobre — ciągnąłem — to chciałem zawsze mieć efekt... — znaczy chciałem widzieć koniec. — Aby doprowadzić do końca. — I sprawdzić się. — Jak było to złe, jak mi się tam... — A tutaj — rozumiesz — coś... — Ktoś kto jest nauczony — ciągniesz — i w pewnym momencie wystarczy jedno słowo gdzieś tam — rozumiesz — że to się Komuś tak podoba lub nie podoba — i wszystko jest nagle do niczego. — Mija — rozumiesz — pół roku i wraca się do sprawy — bo znów Ktoś Tam powie, że to powinno być tak. — I to jest tragiczne. — Wiesz — bo ci nie pozwalają realizować planu — tak jak sobie to wyobraziłeś. — Dysponentów masz dziesiątki — no.

MARIAN — Tak. Ale wiesz — tak. — Ale jak... — no, może to jest trochę nie tego... — Ale nam — zbyt często się wydaje, że myśmy złapali monopol na trudności — i że tylko z nami tak paskudnie się to życie obchodzi.

TADEUSZ — Nie.

MARIAN — Ja do takich refleksji doszedłem, gdy byłem w twoim teatrze...

TADEUSZ — Na Goi?

MARIAN — Na Goi.

TADEUSZ — Tak.

MARIAN — Prawda? — Popatrzeć na tego człowieka, jak ten w dupę dostawał... — W jaki obłądny sposób realizował te swoje cele. — No, to, to... — mógłby nam pozazdrościć sytuacji... — To przecież on powiedział, że gdyby od ustroju państwa zależała twórczość, to nie powstałoby żadne dzieło sztuki.

TADEUSZ — ... na pewno...

MARIAN — Jednak zawsze, zawsze to co się teraz liczy — powstawało w cholernych trudnościach — znacznie większych niż te... — I po prostu nie trzeba się litować nad sobą... — I brnąć dalej.

TADEUSZ — Nie, wiesz tam. Nad sobą się nikt nie lituje. — Zawsze jest jednak sprawą, że można by zrobić szybciej, prościej — wiesz...

MARIAN — Tak.

TADEUSZ — Szybciej byśmy do jakiegoś celu doszli... — A tu — rozumiesz — ciągle jesteś w takim kołowrocie.

JUREK — U nas jest ta sama sytuacja. Że tak jak ty mógłbyś o pięćdziesiąt procent więcej czasu poświęcić na merytoryczną działalność... — To samo my. — Przecież te dodatkowe pięćdziesiąt procent czasu moglibyśmy poświęcić robocie. — A nie kurwa tylko marnować — bracie, rozumisz...

MARIAN — ... etaty, przeroby...

JUREK — ... taką cholerną mordęgę — szarpanina, która — proszę cię — ... ta szarpanina tak odbiera — bracie — wiesz...

MARIAN — ... ta szarpanina...

JUREK — ... zdrowie — bracie.

TADEUSZ — No, panowie. Za waszą pomyślność. Dawaj.

JUREK — Jak ja sobie przypomnę czasy... — jeszcze to było dwa lata temu chyba — nie? — Dwudziestego drugiego lipca na Starym Mieście spotykam go z żoną. No i proszę cię — pożegnałem się dosyć szybko... — Chyba na drugi, czy na trzeci dzień spotykam cię — i mówię: — słuchaj, bardzo przepraszam, byłem w takiej sytuacji — wiesz... — A on mówi: — Nie. Zupełnie dobrze, bracie, się czułeś. — Zupełnie dobrze. — Oczywiście do momentu tylko dopóki się nie puściłeś ściany.

TADEUSZ — Hahahahahahaha!

MARIAN — Poważnie?

TADEUSZ — Dajcie spokój.

JUREK — Już teraz wiem, po co...



MARIAN — Teraz mi się przypomniało, jak kiedyś mi opowiadałeś, że jak kiedyś wracałeś... — na wigilię, czy kiedyś... — ostatnio przy takiej okazji — przyszedłeś następnego dnia i mówisz: — Ja nie wiem, jak ja się znalazłem na tym starym mieszkaniu.

TADEUSZ — Hahahahaha!

MARIAN — Zamiast pójść na nowe, to go poniosło na stare.

JUREK — Kwestia przyzwyczajenia.

TADEUSZ — Ten pasztet — wiesz — jest dobry.

MARIAN — Dobry. Tak. Świetny.

JUREK — Ale kto to może jeść?

MARIAN — Szczuły może jeść, a wam nie zaszkodzi.

TADEUSZ — Jemu już nie zaszkodzi.

JUREK — ...

MARIAN — Oj. To wam opowiem jeszcze jeden dowcip.

TADEUSZ — Opowiedz.

MARIAN — Opowiedział mi to... — Zresztą mniejsza z tym. — W każdym razie jeżeli on to opowiedział — to opowiadać można. Jest narada w Kace (Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) na temat rezerw w gospodarce. No i ponieważ rzeczywiście trudno cokolwiek wymyślić, to tak zachęcają: — No, zabierzcie, towarzysze, głos, zabierzcie, towarzysze, głos... — Żeby kto co. Znaczy się. — Jeden podnosi rękę. — Ja coś powiem. — To prosimy... — Nie. Ja z miejsca, bo ja...

JUREK — Hahahahaha!

MARIAN — Znasz?

TADEUSZ — Nie, nie. Mów.

MARIAN — ... ja z miejsca, bo ja mam krótko. — No to chociaż nazwisko do protokołu. — Kukuła jestem. — Co proponujecie? — Ja, proszę towarzyszy, proponuję zlikwidować wolne soboty. To tylko zawracanie dupy, a ile to będzie dodatkowej produkcji z tego?

JUREK — Hahahahaha!

MARIAN — Skulili się wszyscy, bo w końcu sami... — Ale szybko przekalkulowali, bo tak po prawdzie to i tak planu nie wykonujemy i wobec tego sami tych wolnych sobót nie mamy, a jak mamy, to i tak nie wiadomo, co robić w domu w sobotę. Szlag go trafi — niech będzie. — Dobra. — Wszyscy za. — Więc znów zachęcają: — No może by ktoś... — Więc wstaje znowu jakiś. — Ja — proszę towarzyszy. — No to do mównicy. — Wszyscy z niecierpliwością czekają, a ten: — ... bo proszę towarzyszy. Ja się zastanawiałem tak poważnie nad wnioskiem towarzysza Kukuły i ja bym to ulepszył. Należy nie tylko wolne soboty, ale zlikwidować należy wszelkie niedziele i wszelkie święta.

JUREK — Hahahahahaha!

MARIAN — Więc się wszyscy jeszcze bardziej skulili, bo już do takiego stopnia... — Ale facet mówi: — No bo pomyślcie towarzysze. Jak jest święto, czy niedziela, to ludzie nic nie robią. Żrą. Potem jak się nażrą, to im się wódki zachciewa. Chlają tę wódkę. A potem jak się spiją, to zaraz im te... stają do góry, biorą żony, ciągną je do łóżka, i potem się rodzą takie Kukuły.

JUREK — Hahahahahaha!

MARIAN — ...

TADEUSZ — Strasznie dużej ilości brzydkich słów użyłeś.

JUREK — Wykonałeś plan za cały rok, bo ja to w ciągu minuty...

TADEUSZ — Żebyś ty słyszał, jak ja czasem z Januszem [Barcz, Sekretarz KW PZPR] na jakiś temat... wymieniamy poglądy...

MARIAN — Przecież jak się mieszkało w tym domu akademickim, a mieszkałem prawie sześć lat, to właściwie w naszym słowniku było tylko tych kilkanaście słów...

TADEUSZ — Właściwie to wiesz... — Tak. W tym akademiku to były jednak dobre czasy. — Jak czasem moja żona mówi: — Co z tych naszych dzieci wyrośnie? — To mówię: — Słuchaj — jak ze mnie coś wyrosło, to...

JUREK — Tyś też mieszkał w akademiku?

TADEUSZ — Tak. Pamiętasz, jak raz chłopaki na pasach spuścili z ósmego piętra dziewczynę? — Ile pasów trzeba było zebrać? — Ile pasów trzeba było zebrać! — Żeby spuścić kurwę na pasach, pijaną?

JUREK — ...

MARIAN — To było życie.

TADEUSZ — Były takie, co i po trzy tygodnie mieszkały... — przechodząc z pokoju do pokoju — obiegowo...

JUREK — Hahahahaha!

TADEUSZ — Ja pamiętam. Kiedyś Akademia Medyczna, bracie, podjęła uchwałę — sprawdzą w akademikach męskich czystość w czynie społecznym. — Idziemy. Tam była pani dziekan. Wchodzimy. A tam w jednym pokoju, w drugim, wszyscy na golasa — jak higiena, to higiena — bracie.

JUREK — ...

MARIAN — A było tam, było.

TADEUSZ — Pamiętasz Leszka? No nigdy nie chciał myć nóg. Nie było na niego siły. Więc sprowadziliśmy na niego taką komisję sanitarną. Wytypowali jednego... — Kto ci — normalny człowiek — pójdzie do takiej komisji? — Przyszedł taki palant. — Mówi: — Proszę pokazać nogi. — Leszek wyciąga te brudne nogi spod koca. — On bierze, otwiera między palcami... — O kolego, między palcami jest brudno. — A Leszek na to: — To nie widzisz kutasie, że to jest cień rzucony? [W rysunku rozróżniamy dwa cienie: własny i rzucony. Każdy student architektury w kółko myśli o cieniach własnych i rzuconych].

JUREK — Hahahahahaha!

TADEUSZ — ...

MARIAN — Albo te zbiorowe pokrzykiwania. W dużym gmachu na Placu Narutowicza jest taka studnia straszliwa — to już wręcz zasadą było, że jeden rzucał butelkę i wszyscy wyskakują do okna — nigdy na raz, tylko w różnych tonach po kolei krzyczą: — Chuligan! — Chuligan! — Chuligan! ... — I zabawa na całego.

JUREK — Hahahahahaha!

MARIAN — Albo wyłążą ci wszyscy... — w każdym oknie jak gmach wielki. — I co się jakaś babka pokaże przed budynkiem, to chóralnie krzyczą: — Ofelio! Pokaż zęby!

JUREK — Hahahahahaha!

TADEUSZ — Żadna kobieta nie chciała przejść przez Plac...

MARIAN — Albo co wiosnę... — Zresztą jest tam wiele takich domów sprzed wojny, więc różni rozwożą ziemię do kwiatów. — I po prostu czekało się i jak już się taki pokazał, to wszyscy z radością do okien i wrzeszczą: — Ziemia! Ziemia! ... — A ten na tym wozie jedzie i woła: — Barany! Barany! — I znów zabawa.

JUREK — Wyście całe studia mieszkali w akademiku?

TADEUSZ — Tak. Ja też całe studia mieszkałem. Ale ja mieszkałem w różnych akademikach. Pierwszy rok, to mieszkałem na Polnej. Zabawa nieprzeciętna. Chyba pokój był na cztery osoby, a tych waletów chyba z dziesięciu. Jeden z drugim. Każdy brał kumpla, kumpel kumpla... — Ile draki było wtedy. — Wtedy były jeszcze kartki. Jak ktoś nie wytrzymał nerwowo i wziął na dwa tygodnie, to mu drugi wpięprzył... — Pierwszy rok był najgorszy. Jeszcze dziadek Mączyński [profesor Wydziału Architektury] wymagał — bracie — w ciemnym garniturze do egzaminu stawać... — Jeden z naszego roku od nas miał rzeczywiście chłopak czarny garnitur... — To na nagusa siedział bez przerwy... — I najgorsza sprawa, że przed egzaminem się utopił i trzeba było go pochować w tym garniturze... — No, były takie czasy... — Fajne. Później tośmy mieszkali na Karolkowej razem z dziewczynami z Akademii Medycznej — bracie. To było dobre życie. — I z Uniwersytetu jakieś tam pół wydziału. — To ksiądz tam na ambonie wykrzykiwał, że demoralizację się wprowadza. Wtedy było fajnie, bo koło nas mieszkali towarzysze radzieccy budujący Pałac Kultury — bracie. — Mieli swój kiosk i myśmy, bracie, ich zapraszali na wieczorki, a oni nas do siebie — bracie — i można było kupić za bezcen wszystko... — ... w tych kioskach. A później tam poszliśmy do tego Pekinu cholernego i do końca już...

JUREK — Do jakiego Pekinu?

TADEUSZ — A tam na Narutowicza.

MARIAN — ...

JUREK — No, druhowie — to trzeba obciągnąć.

MARIAN — ...

TADEUSZ — Ale to wszystko było dawno. Moja córka już kończy pierwszy rok. Tak samo ma swoje sympatie, swoje antypatie, ulubionych profesorów, asystentów... — Trochę, trochę. O, dziękuję.

JUREK — Proszę bardzo.

MARIAN — ...

JUREK — Dobrze. Dobrze.

MARIAN — ...

JUREK — No to co, idziemy?

TADEUSZ — Wypijcie jeszcze za pomyślność. — A ty nie dumaj.

MARIAN — Nie. Mnie zatkałeś tym...

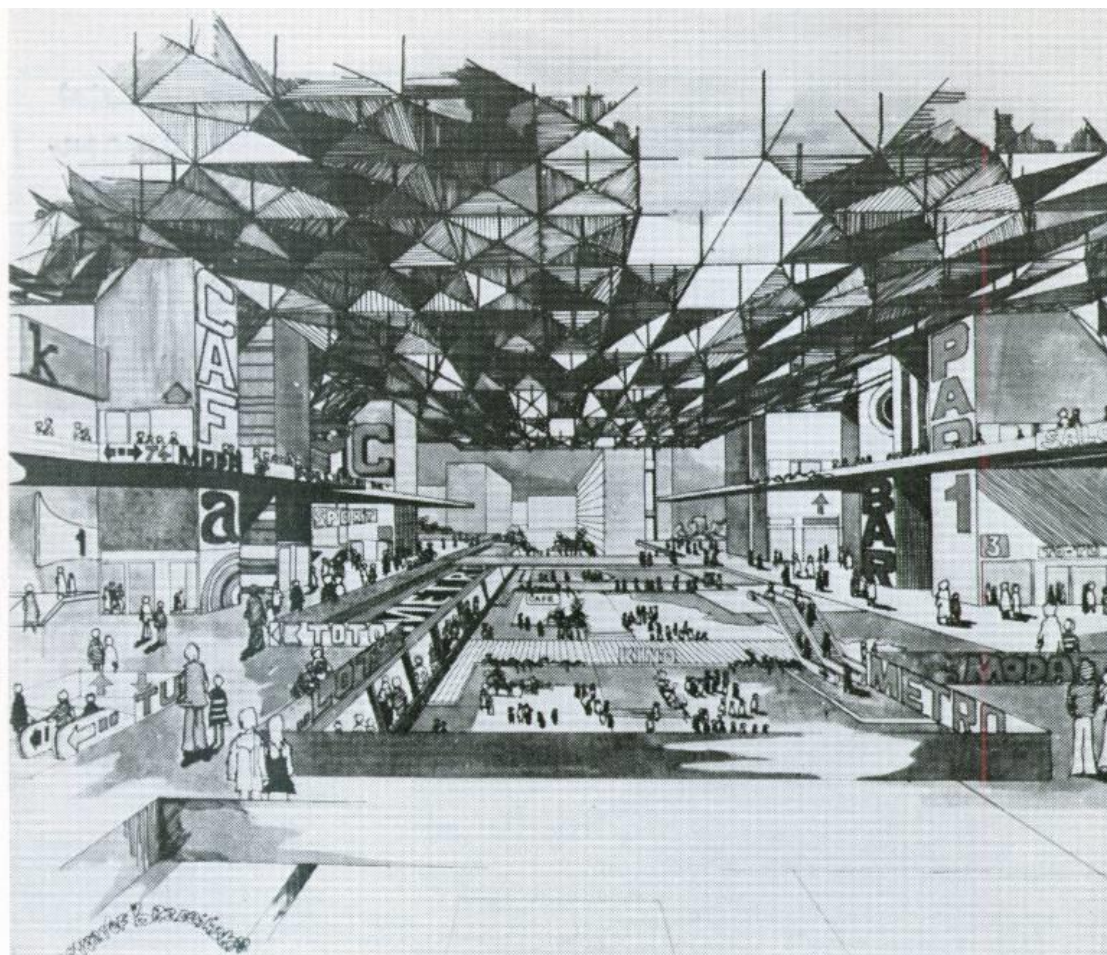
TADEUSZ — Hahahahaha!

JUREK — Szukasz szybko, gdzie jest ta pasjonująca strona...

TADEUSZ — Nie. Ja mu się tylko odgryzłem, bo on mi tam zaczął udowadniać, że trzeba z trudnościami walczyć...

JUREK — Nie. Jest niewesoło. Tak jakoś wychodzi, że co zrobimy krok, to się okazuje, że na swoją niekorzyść.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

**Antrakt – Sztokholm, 23-27.03.1976**

Projekt pierwszego wysokiego budynku w ZRCW był już zaawansowany. W tym czasie premier PRL Piotr Jaroszewicz był z wizytą w Szwecji, bo akurat lewica wygrała tam wybory i trzeba było ją wesprzeć, więc zawarł rządową umowę, że Szwedzi wybudują w Warszawie ten pierwszy budynek. W umowie rządowej jedynym konkretem było, że Polska wypłaci Szwecji pięćdziesiąt milionów dolarów.

Dla nas był to asumpt, żeby zwiedzić Sztokholm i to na koszt Szwedów, czyli na zaproszenie szwedzkiej firmy BPA BYGPRODUKTION AB, która podjęła się realizacji tego budynku. Do Sztokholmu udała się kilkusobowa delegacja, w skład której wszedł i zastępca naczelnego architekta Warszawy, i dyrektor polskiego inwestora zastępczego „Intraco”, i generalny projektant, i jeszcze ktoś, no i ja.

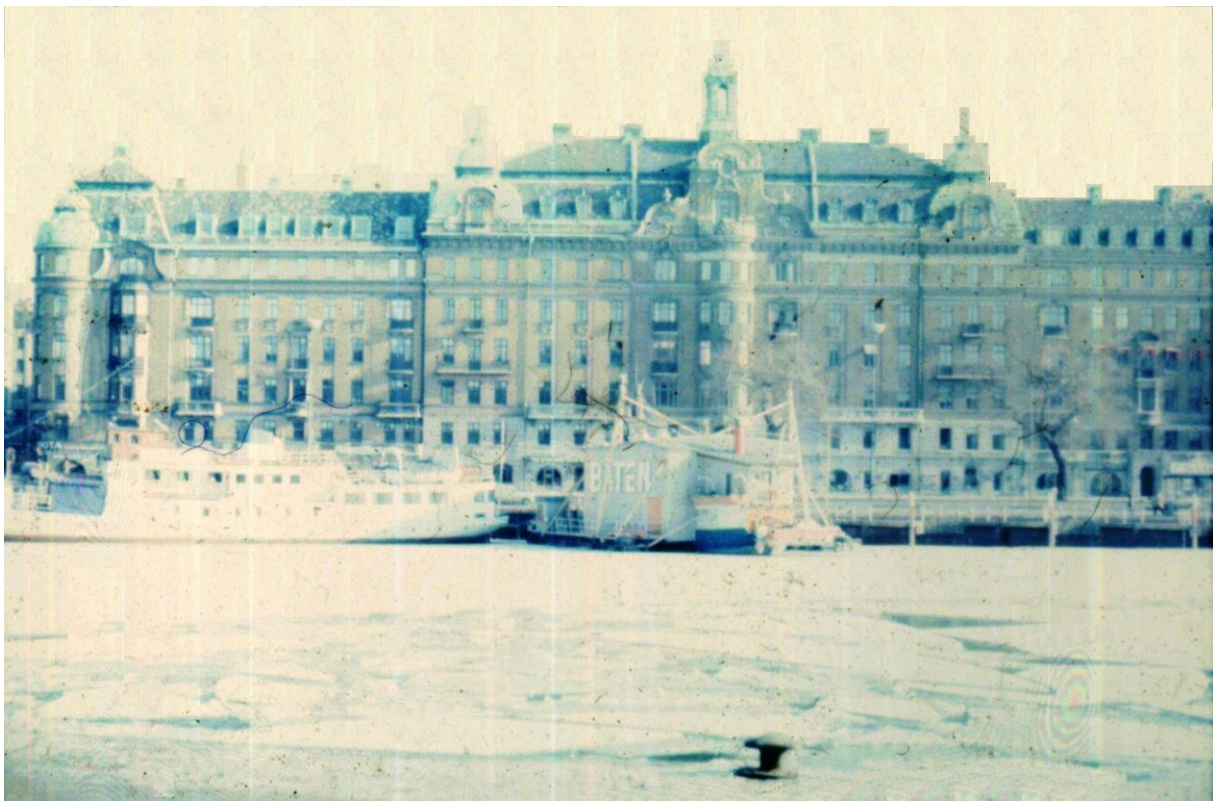
Był marzec, Sztokholm był ponury, dżdżysty, wieźli nas z lotniska samochodem po autostradzie, a ja dziwiłem się, że wszystkie samochody jadą z zapalonymi światłami, w Polsce jeszcze samochody jeździły bez zapalonych świateł; i pierwszy raz w życiu wieziono mnie z szybkością 140km/godzinę.

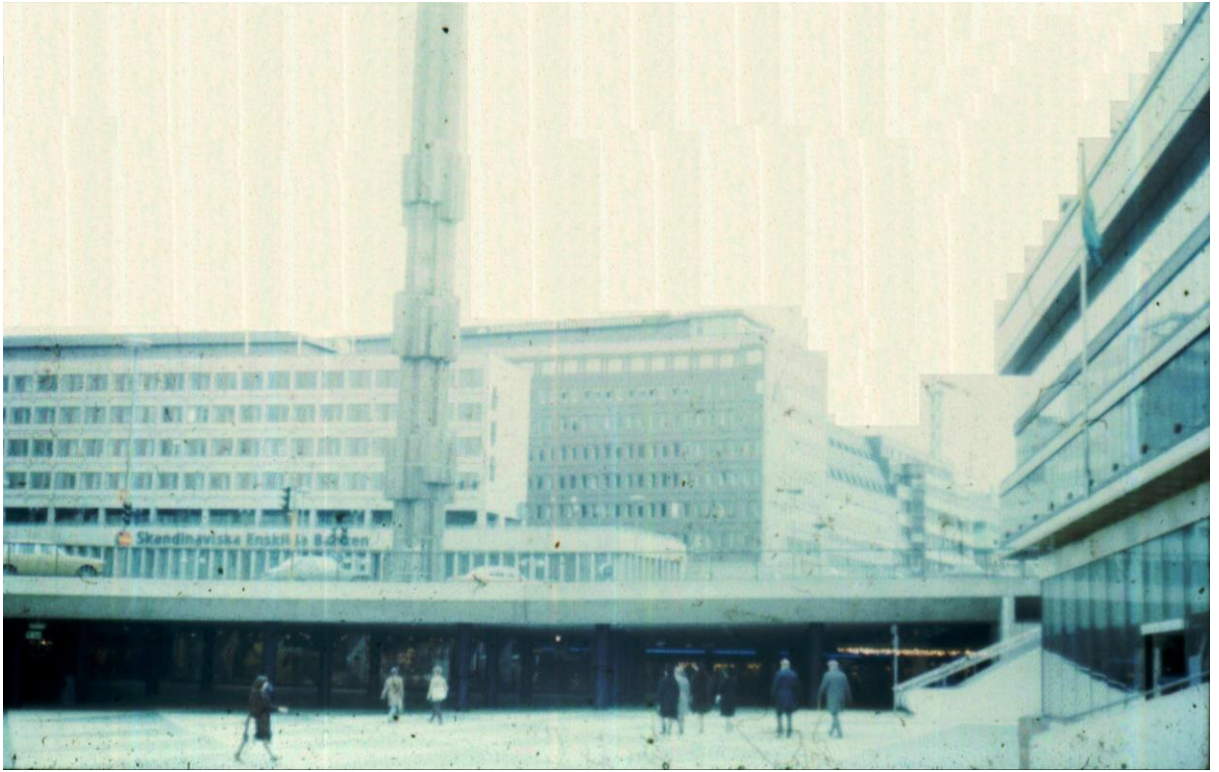
Najważniejszym na przyjęciu okazał się zastępca naczelnego architekta Warszawy, bo to on znalazł perłę w podsunętym mu ciastku. Ja usiłowałem zjeść pierwszą krewetkę w życiu. Potem próbowali wozić nas renówką, ale jak usadowił się z tyłu Jurek, to samochód osiadł, opony tarty o błotniki i musieliśmy zwiedzać na piechotę. Niewiele więcej pamiętam.

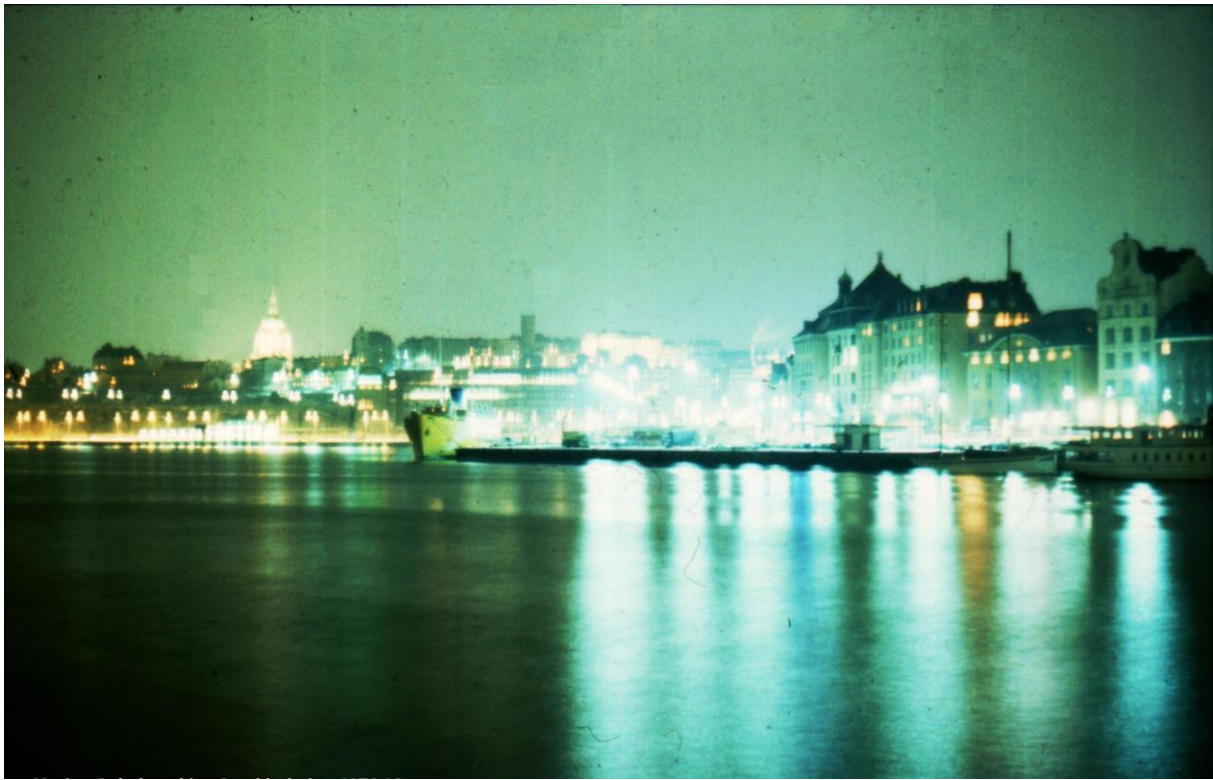
Mieszkałiśmy w HOTELL EXCELSIOR, Birger Jarlgatan 35, oczywiście w Sztokholmie. Zachowany rachunek wykazuje, że mieszkałem tam w pokoju 508 w dniach od 23 do 27 marca 1976 roku, doba hotelowa kosztowała 88 koron szwedzkich. Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „INTRACO” Warszawa, ul. Stawki 2 wypłaciło mi kieszonkowe w kwocie 154,50 szwedzkich koron.



Wszystkie zdjęcia: Sztokholm, 24-26 marzec 1976 roku.









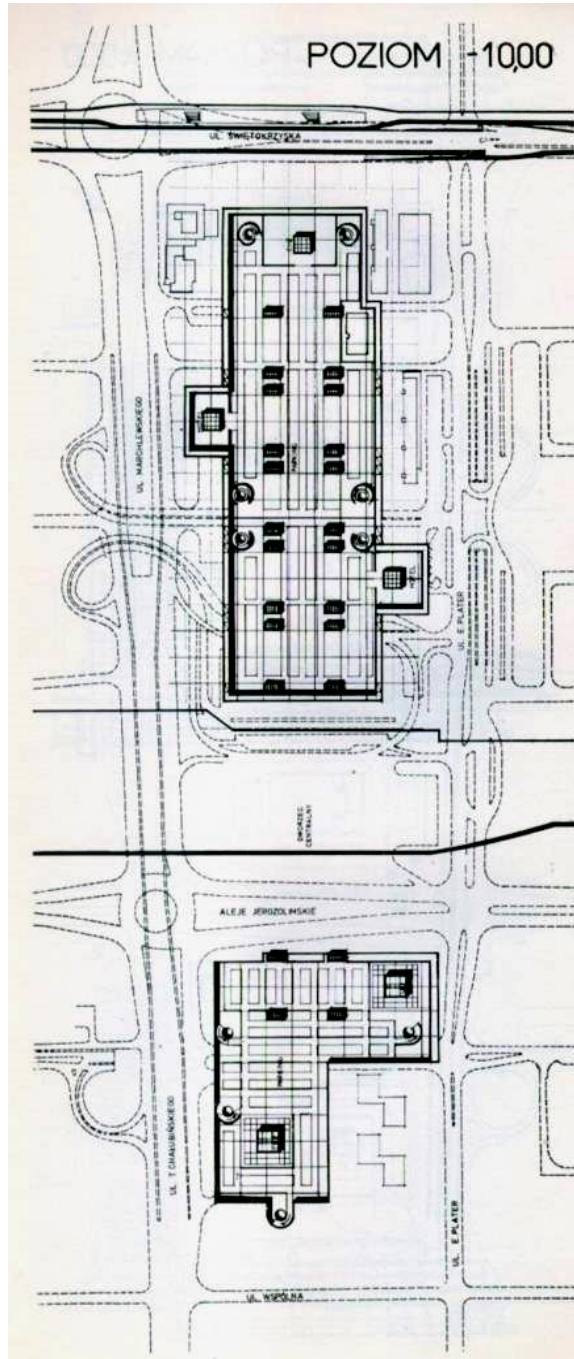


## **V Grave**

*da capo*

Władze postanowiły wprowadzić nowy system plac (bardzo skomplikowany) w biurach projektów. O systemie trzeba było przekonać załogi, ale najpierw sprawa musiała być przedstawiona podstawowej organizacji partyjnej.

A więc zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej z udziałem generalnych projektantów:



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*bolero*

*crescendo*

MARIAN — Może powiem krótko, bo lepiej żebyśmy zostawili więcej czasu na dyskusję, po której się dużo spodziewam. Więc wiadomo, że nowy system już obowiązuje, Uchwała Rządu jest. To znaczy ogłoszono, że uchwała jest, przy czym samego tekstu do tej pory nie ma. Tekst właściwy jest dopiero formułowany i tydzień temu oficjalnie nas poinformowano, że uchwała dopiero zaczyna wchodzić w ten oficjalny tok legislacji, czyli uzgodnienia między resortami. Ocenia się, że jeżeli uchwała w sprawie nowego systemu ukaże się do końca przyszłego miesiąca, to będzie bardzo dobrze. Raczej spodziewają się, że ukaże się później. Wszyscy ci, od których to zależy, tłumaczą sobie, a nawet się uspokajają, że w zasadzie to wcale nie jest takie potrzebne, żeby ta uchwała już była gotowa, ponieważ i tak rozliczamy się w układzie kwartalnym, czyli jest czas trzech miesięcy na załatwienie sprawy. No, nie wygląda to tak, jakby się wydawało, bo tymczasem kodeks pracy obowiązuje w sposób bardzo rygorystyczny i jeżeli ja wręcę w lipcu nowe propozycje warunków pracy i płacy pracownikom naszego biura, to po prostu ci ludzie — w sytuacji jeżeli nie potraktują sprawy polubownie — komuś się zechce nie przyjąć tego wypowiedzenia — to znaczy tych nowych warunków — to zgodnie z kodeksem pracy takie pismo może być traktowane, jako doręczone w dniu trzydziestego pierwszego lipca. I jeżeli tak — to wszystko wskazuje na to, że będziemy przez trzeci kwartał mieli podwójną tak zwaną buchalterię. Jednym będziemy płacić według starego systemu, z całymi podatkami, z tym skomplikowanym naliczaniem, a drugim będziemy płacić w ten nowy sposób. Spowoduje to wiele bałaganu.

Co dalej.

Debatowaliśmy nad tym przedmiotem dużo i długo — i ze względu na zaszłości — w wyniku doświadczeń eksperymentu, przyjęliśmy kilka takich kardynalnych zasad, które będą respektowane i jednakowo realizowane we wszystkich biurach naszego zjednoczenia. Mianowicie chcemy nowy system wprowadzić na zasadzie ściśle matematyczno-mechanicznego przeliczenia starych płac na nowe. Będzie to miało ułatwioną tę sprawę, że obraz nie będzie zaciemniony poprzez korekty w tym przedmiocie i będzie łatwe rozszyfrowanie wszelkich tych błędów i nieporozumień, których nie unikniemy. Czyli to byłaby ta pierwsza zasada. Oczywiście jeżeli okaże się, że system, fundusz płac, w ogóle to nowe pozwala na danie jakichś większych pieniędzy, to będziemy dawać, relatywnie biorąc — wszystkim — po równo — jak się to mówi. Procentowo, proporcjonalnie — zobaczymy, jak to będzie wynikało z tych oficjalnych dokumentów.

Druga rzecz, że umówiliśmy się, że trzeba będzie w sposób bardzo dokładny, w przeróżnych układach, nawet nie bojąc się ewentualnej przesady i nie bojąc się, że z kimś będzie trzeba po trzy razy rozmawiać — będziemy musieli wszystkich dokładnie poinformować o zasadach, szczegółach nowego systemu. Wydaje mi się, że nawet powinno to się tym przejawiać, że każdemu damy komplet dokumentów w tej sprawie. Powinny być spotkania w pracowniach, powinny być specjalne kolegia biura, posiedzenia rady zakładowej, organizacji partyjnej, następnie znów jakieś wspólne narady w pracowniach i tak dalej i tak dalej. Zebrania całej załogi nie zdołamy przeprowadzić.

Trzecia zasada, którą przyjęliśmy jako wspólną, to byłaby taka, że z góry byśmy doprowadzili do świadomości wszystkich pracowników biura, że wręczane warunki płacy mogą być błędnymi warunkami. Czyli żeby ktoś nie wpadał w panikę, że został skrzywdzony, że coś tu się źle z nim stało. Po prostu założylibyśmy okres, jakichś, no minimum dwóch tygodni na wszelkie korekty. I to byłoby niemal formalne wymienianie jednego papierka na drugi — gdyby się okazało, że bądź nastąpił najordynarniejszy błąd rachunkowy, bądź też źle oszacowaliśmy sprawę, bądź nie uwzględniliśmy wszystkich argumentów w przedmiocie. Korekty byłyby możliwe i w ten sposób dopracowalibyśmy się — stworzylibyśmy tę możliwość dogadania się z wszystkimi, co naszym zdaniem bardzo rozładuje napiętą sytuację.

No, co dalej?

Jako następną zasadę przyjęlibyśmy sobie, że niezbędne przeszerogowania, czy zwiększenia wynagrodzenia załatwilibyśmy jako oddzielną imprezę — bardzo chciałbym, żeby to było zgodnie z zasadami, czyli z okazji 22 Lipca — i wtedy mielibyśmy znów sterylną sytuację, bo by się wiedziało, że określonej grupie ludzi z określonych powodów daje się wyższe wynagrodzenie — i byłaby możliwość konsultacji z radą zakładową i z kim trzeba. To tyle o tej stronie organizacyjnej, poza jeszcze jedną, której będziemy musieli dać jednoznaczny wyraz, mianowicie nowe zasady zakładają... — dopuszczają możliwość dwóch... — wyboru między dwoma systemami organizacji biura. — Jeden z tych systemów to jest tak zwany system zadaniowo-premiowy, drugi tak zwany zadaniowy. Pierwszy generalnie biorąc jest podobny do obecnego układu, natomiast system zadaniowy ma coś w sobie z takiego... — no, trudno to dokładnie zdefiniować, bo tam były różne zmiękczenia, różne tendencje — w każdym razie w momencie kiedy wchodziło to na zasady eksperymentu, to zakładało się jakiś taki schemat — przy czym ja się zastrzegam — podobno przy formułowaniu tej uchwały nastąpiło szereg zmiękczeń i zaciemniających obraz uzupełnień — że w zasadzie opieramy się niemal na tym, że ja jako dyrektor otrzymuję zlecenie od określonego inwestora, rozglądam się mniej więcej po biurze, znajduję sympatyczną twarz i z nim zawieram umowę na wykonanie tego dzieła. I jego sprawą jest reszta. Dobiera sobie ludzi — jak chce. Organizuje robotę — jak chce. My mu dajemy miejsce pracy, dajemy mu materiał, no i tam jakieś zaliczkowe wynagrodzenie. Więcej o tym — czym to powinno się różnić — nie chciałbym mówić, bo byśmy się tu wplątali w niepotrzebną dyskusję wszyscy razem. Zwłaszcza, że tak jak znam tych ludzi w naszych ministerstwach, to w takich sytuacjach tylko kombinują, jak zrobić inaczej, żeby było tak samo. Tak było od lat i jeszcze przez wiele lat będą nas tak obracać.

W chwili kiedy te zarządzenia dotrą do biura, to będziemy poważnie nad tym myśleć. Tym niemniej władze oczekują, aby w najbliższych dniach dyrektorzy przedłożyli propozycję, w jakim systemie chcą sobie pracować. My w naszym biurze musimy się liczyć z poważną tendencją zmierzającą w kierunku systemu zadaniowego. Rozumie się, że i tak właściwie cała robota zależy od projektanta, on najlepiej wie, jak ją zorganizować, jak rozłożyć w czasie i jak podzielić potem pieniądze. Stąd uważa się, że to byłby bardzo prawidłowy system zarządzania. Natomiast w tym pierwszym upatruje się bardzo wyraźną konieczność zwiększenia administracji i koordynacji administracyjnej tematu, bowiem system ten zdejmuje wiele odpowiedzialności z pracowników projektujących.

Z wielkim uproszczeniem — być może — że tak powiem — nie będzie to tak występować — tym niemniej na pewno takie cechy będzie miało — trzeba powiedzieć, że w systemie zadaniowo-premiowym bardzo zaciera się pojęcie dotychczasowego akordu. Wprawdzie wyraźnie się zwiększają zarobki zasadnicze, ale zmniejszają się premie. I właściwie zmniejszenie odpowiedzialności za daną robotę ludzi projektujących może powodować jakąś taką sytuację, jak w tym dowcipie — „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. — Mówiąc bardziej starannie — będą obecnie miały miejsce w biurach procesy, których dotychczas nie obserwowaliśmy.

TOWARZYSZ — W tym systemie zadaniowym, to zamiast przedsiębiorstwa powinno być zrzeczenie pracowników.

MARIAN — No zobaczymy. Ja sam za mało wiem o tym systemie, żebym tu snuł jakieś domysły — prawda? — I tak jak powiedziałem, bardzo łatwo możemy wkroczyć na drogi zbędnej dyskusji. No bo musimy mieć dokument przed oczami — przeczytać go — zinterpretować — i dopiero wtedy zacząć dyskutować. Być może, że ja wiem... — wiele z tego, co ja tutaj mówię, to są bzdury. No bo są to takie zasłyszane od cioci wieści.

TOWARZYSZ — Można? Zebranie to jest dialogiem między dyrektorem a organizacją partyjną. Po to tu jesteśmy. Ja chciałbym, żebyśmy się wspólnie zastanowili nad jedną kwestią. Podstawową sprawą jest sytuacja w naszym biurze. O tym, że jest sytuacja zewnętrzna biur projektowych niekorzystna, to o tym wiemy. Ale w tej niekorzystnej sytuacji jaka jest, to różne biura w różny sposób jakoś sobie dają radę — i zawsze w jakiś tam sposób tą działalność trzeba prowadzić. Sytuacja u nas jest również bardzo niekorzystna. Pracownicy w biurze odczytują to tylko... — nie, nie tylko, ale głównie na podstawie otrzymanych premii kwartalnych. Ponieważ w naszej pracowni już trzeci z kolei kwartał jest z bardzo niską premią, wobec tego tą sytuację w biurze odczytuje się bardzo źle. I chciałbym, żebyśmy się chyba głównie nad tym zastanowili. Ja rozumiem tą sytuację w ten sposób — jak ją odczytuję — że rzeczywiście istnieje duża swoboda

działalności kierowników pracowni, w którą to działalność dyrekcja niezbyt mocno interweniuje. Doprowadza się do takich sytuacji, jakie są w każdym kwartale, to znaczy, że jak tu dyrektor przed chwilą powiedział, że po dwudziestym szóstym będzie spływała dokumentacja. Odczytuję to również w ten sposób, że kierownicy pracowni prowadzą działalność zupełnie jak na folwarku. To znaczy, albo robię temat, albo nie robię tematu – jak mnie się rzewnie podoba.

Typowym dla mnie ostatnio przykładem jest Tarchomin. Absolutnie niefrasobliwość prowadzących temat doprowadza do takiej sytuacji, że ja mam dzisiaj na stole wykreślony projekt, zakończony projekt, łącznie z maszynopisem, który powinienem dać na wyświetlarnię... — Nawet powiem, że przez złośliwość chciałem dwa dni temu dać na wyświetlarnię, po to żeby go u dyrektora położyć na stole. A z drugiej strony wiem, że ten projekt trzeba wyrzucić do kosza. I wydaje mi się, że w takiej sytuacji ta niefrasobliwość i to gospodarowanie jak na własnym folwarku musi być kategorycznie przerwane. Ja odczytuję to biuro jako jednostkę państwową, instytucję państwową, instytucję, która rządzi się społecznymi pieniędzmi i w żadnym wypadku nie możemy dopuścić do marnotrawienia. Jestem gotów dzisiaj przynieść stopy rysunków z kawiarni — ja to trzymam u siebie — jako również dokument niefrasobliwości i absolutnie działalności takiej, jaka mi się rzewnie podoba, nie odpowiadając zupełnie za społeczny grosz.

Ponieważ nasza pracownia jest pracownią kończącą dokumentację, to znaczy, że otrzymujemy dane już wtedy, kiedy jest koniec dokumentacji, to my wówczas robimy...

To stan jest obecnie taki, że jeżeli w miesiącu kwietniu rzeczywiście siedzieliśmy, nie mieliśmy co robić, to w tej chwili nie wiadomo, w co najpierw ręce włożyć. Mało tego. Te dane, które nawet w tej chwili przychodzą do pracy, są niekompletne i dokumentację robi się na wariackich papierach. To znaczy, że wiadomo, że taka dokumentacja będzie zrobiona niewłaściwie, niepoprawnie, że znów trzeba będzie w następnej fazie poprawiać... - „A wiecie, to tam później się załatwi”. – Ja pracuję ileś lat, tu pracuję dwa lata i z takim stosunkiem do pracy i do marnowania publicznych pieniędzy – spotykam się po raz pierwszy. Dlatego jak najbardziej w tym wypadku popieram tutaj dyrektora o całkowitym... - może niezupełnie powiem jak dyrektor – ale o całkowitym ukróceniu niefrasobliwej działalności kierowników pracowni i spowodowanie takiej działalności, żeby ta działalność kierowników pracowni była całkowicie kontrolowana, żeby była zgodnie z planem, po prostu tak, żeby odbywała się normalna produkcja – taka jaka odbywa się we wszystkich zakładach pracy. Niech praca odbywa się zgodnie z planem, zgodnie z harmonogramem. To tyle ja chciałem powiedzieć i myślę, że na ten temat koledzy się wypowiedzą.

MARIAN — Proszę.

TOWARZYSZ — Ja myślę, że tu jest jakieś gruntowne nieporozumienie. Znaczący, jeśli chodzi o wypowiedź. Nie można obciążać odpowiedzialnością nas kierowników, dlatego że trzy czwarte tej odpowiedzialności ponosi generalny projektant. Ja może nie chcę się tutaj usprawiedliwiać, ale fakt faktem, że ja nie mam możliwości egzekwować tej odpowiedzialności. W związku z tym nie ma co tutaj ukrócać kierownika pracowni. Te przykłady, które tutaj padły, to były przykłady działalności – powiedziałbym – głównego projektanta, który jakoś tam za późno zorientował się, że jakiś projekt już wypuścił, a jeszcze musiał coś w nim dopracować. I w związku z tym kolega towarzysz musiał zmienić — w zakresie swej rzetelności — wykonać coś niepotrzebnie. Nie jest to jednak aż tak wielki problem. Obserwujemy to wiele razy. Z tym, że ja uważam, że te rzeczy występują w każdym biurze i one świadczą może o nienadzwyczajnej sytuacji w zakresie współpracy poszczególnych projektantów... — I to często byłem świadkiem takich nieprawidłowości w różnych biurach. Często to wynika ze złej struktury. Czyli tutaj błąd polega na tym, że jako kierownik mam jedną dziesiątą mniej więcej kompetencji tych, jakie miałem gdzie indziej. I w związku z tym, jeżeli się je jeszcze ukróci, to bym prosił o przeniesienie na stanowisko zwykłego projektanta i będę jeszcze bardziej wydajnie pracował. Bo w tej chwili ja już naprawdę nie mam nic do powiedzenia. Tylko zastanawiam się, co będzie, jeżeli ktoś zechce powiedzieć, że ja za to odpowiadam. – Rzeczywiście – formalnie odpowiadam, bo mój statut kierownika, w stosunku do tego, co mi mój dyrektor podsunął do podpisu za pomocą kierownika działu... - tam... - nie wiem, jak się ta komórka nazywa... - i ja to podpisałem... - czyli mam bardzo duże teoretycznie uprawnienia, a praktycznie nie mam żadnych. Nie wiem, jak to się rozkłada w innych pionach, jakie są tam układy. Dlatego sprawa jest bardzo skomplikowana i nie jestem pewien, czy można ją dyskutować tak do dna dzisiaj. Można najwyżej zasygnalizować pewne problemy, dlatego że są one tak drażliwe i tak skomplikowane i tak zasupłane, że...

TOWARZYSZ — Komu i na co była potrzebna kawiarnia, wszyscy wiemy. Podobnie Tarchomin. Najpierw miał to być remont modrzewiowego dworku — uratowanie zabytku — mówiło się. Teraz dworku już nie ma, bo był grubo za mały i projektujemy obiekt specjalnej recepcji dla Pierwszego Sekretarza Kawu, on już go trzeci raz zmienia — to co kolega towarzysz do mnie ma pretensje — przecież wydawałoby się, że sam ma bliżej do źródła. — Wróćmy jednak na ziemię. I teraz ja się zgadzam, że ja... — że istnieją pewne niedogadania, czyli brak koordynacji — w tym wypadku zdaje się — mówi się — koordynacji poziomej — prawda. — Ale ja z kolei mogę powiedzieć, że mam pewnego rodzaju obserwacje, że można by gdzieś wycisnąć większą wydajność — zwłaszcza u kolegi — to jest towarzysza. — Czyli wyzwolenia pewnych rezerw, ale też układ jaki mamy, temu nie sprzyja.

TOWARZYSZ — Ale co proponujesz?

TOWARZYSZ — Więc dam ci jakiś przykład.

TOWARZYSZ — Ale daj jakąś propozycję... — Jak byś mógł.

TOWARZYSZ — Ja nie jestem ministerstwem.

TOWARZYSZ — Nie, no ja... — poważnie.

TOWARZYSZ — Mówię poważnie, natomiast zauważyłem, że w naszej rzeczywistości moje wypowiedzi są traktowane jako niepoważne. Dlatego że jeżeli się coś powie serio, to człowiek traktowany jest — po pierwsze jako bałwan — bo mówi o tym głośno, o czym wszyscy doskonale wiedzą — więc trzeba mu zaraz dołożyć — wiesz. — To jest jedna sprawa. W związku z tym to jest szalenie trudny problem. Bo jak ci coś powiem na serio, to się obrazisz. — Dam ci przykład tylko, że kiedyś byłem rzecznikiem u siebie w pracowni — przydzielania premii — nazwijmy to — w nieco większym rozżewie nożyc. — I tak mnie przemaglowano, że ten rozżew nożyc jest teraz mniejszy — prawda. — I nic jako kierownik nie mogę na to poradzić. — Bo zostałem odpowiednio przemaglowany i skończyło się. — A jeżeli teraz zakładasz, zaczniesz wydobywać z kogoś większe zaangażowanie przy niższej premii, to musi być inna ekipa — a przecież też wiadomo, że nie można nikogo zwolnić. Jeżeli chodzi o osobistą sprawę... — ... że ja się kończę pomału... — wiesz. — I widzę, że stwarzam dla siebie sytuację bez wyjścia. — To jest smutne. — ... z mojego punktu widzenia.

TOWARZYSZ — W każdym razie nie ocenia pan stanu, jaki jest — w kategoriach pozytywnych?

TOWARZYSZ — ...

MARIAN — Daj mu spokój. Wróćmy może do tych tak zwanych zasadniczych... — Można?

TOWARZYSZ — Oczywiście. Proszę bardzo.

MARIAN — ... do tych naszych zasadniczych kwestii. — Więc ja bym chciał może powiedzieć tak. — W zasadzie nieobecnych należy bronić. — I może z tego bym wyszedł. — Przedstawiłbym taki punkt widzenia, że nie uśmiecha mi się rola spijania całej odpowiedzialności. Człowiek przecież zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko w tym biurze ode mnie zależy. I nawet jestem jedynym najniezwyklej ustawionym w mieście dyrektorem, bo nie mogę powiedzieć, że mój poprzednik cokolwiek namotał, bo nie mam poprzednika. Więc z tego sobie zdaję sprawę i ta jednoosobowa odpowiedzialność tak jest jednoznacznie zapisana, że... — Tym niemniej funkcja, rola i ranga generalnych projektantów była w sposób jednoznaczny zarysowana w dziejach miasta. I u nas jak na razie nadal obowiązuje. Mówiło się, że panuje bezwzględny marazm w wykonawstwie budowlanym, że inwestor w ogóle się na niczym nie zna i za bardzo nie interesuje inwestycją, że biura projektów są tak zurzędniczałe i tak przestarzałe, że stąd mamy taki wygląd budownictwa — jaki mamy. I w związku z tym powstała najpierw propozycja — i po szeregu dyskusjach została przyjęta — i właściwie po to nastąpiły zmiany personalne — i po to stworzono nowe instrumenty działania. — Te nowe instrumenty działania polegać miały na tym — i to wtedy bardzo przekonująco i prawidłowo brzmiało — że jedna osoba nie mogła sobie poradzić z całym miastem — i nie można było oczekiwać, aby ta jedna osoba była jedynym rzecznikiem, wyrazicielem, opiniodawcą tego, co się nazywa prawidłowością w zakresie rozwoju tego miasta i poszczególnych jego obiektów. I w związku z tym powstała bardzo słuszna wówczas teza o decentralizacji władzy w tym przedmiocie. — I powstała dalsza teza, że nie ma co szukać wielkich pomysłów administracyjnych, tylko trzeba znaleźć w tym mieście kilkunastu ludzi, sprawdzonych, pewnych politycznie, z wieloletnim doświadczeniem, którzy

mimo wszystko wykazali się określoną robotą — i tych ludzi trzeba tak ustawić, żeby ich nikt i w żadnej sytuacji nie mógł ruszyć — i niech oni określoną pozytywną robotę zrobią.

Zdajmy sobie sprawę z tego, że to była bardzo świadoma działalność, z której oczekiwano bardzo konkretnych wyników. I bądźmy przez moment obiektywnymi i przyznajmy, że taka działalność miała duże szanse — może brak było konsekwencji, czy właściwego dyrygowania tymi ludźmi, może zbyt pochopnie oceniono realia w tym przedmiocie, może zbyt duże dano uprawnienia tym ludziom — w każdym razie na pozytywne wyniki liczone. Na to liczone, że to będzie ta kość niezgody w łonie wykonawstwa, w łonie biura projektów, że to będzie ktoś, kto będzie z każdym walczył — nikt mu nic nie da rady zrobić. — I jesteśmy w takiej sytuacji. — Ja tego nie mówię jako usprawiedliwienie, bo ja sam jako dyrektor biura w sposób oczywisty — nawet zanim przyszedłem — forsowałem, że to jest bardzo prawidłowe myślenie. — I sam na tych zasadach budowałem biuro — jako nowoczesne biuro, które miało się różnić od wszystkich innych.

Co dalej.

Trzeba powiedzieć, że był moment, kiedy nastąpiły takie pierwsze spięcia, zachwiania i — no, ponieważ nie znalazłem zrozumienia na zewnątrz, to sobie pomyślałem, że jak ja tu rządzę — to zrobię wobec tego, co będę chciał. I faktem jest, że był w dziejach naszej działalności — to był drugi rok naszego istnienia — okres, kiedy w sposób wyraźny po pierwsze zlikwidowałem te pseudo kolegia biura, gdzie generalni projektanci zamiast mi pomagać, tylko mi rozwalali robotę, kłócąc się za każdym razem o ołówki, o kalkę — prawda? — ...debatując, że tamten wziął więcej, a ów mniej... — Po drugie w sposób zdecydowany zacząłem abstrahować od nich i rozmawiać z kierownikami pracowni. — I co się jednak okazało? — No, no to jest faktem, że było jeszcze gorzej. Bo jak by nie było, to organizatorem lepszym okazał się każdy generalny projektant, niż zestaw kierowników, jakimi dysponowałem. — I z bólem serca w pewnym momencie musiałem stwierdzić, że jacy oni są, to są, ale jednak robotę potrafią ciągnąć. — I mieliśmy zasadniczą rozmowę i doszliśmy do wniosku, że być może było wiele niewłaściwości w naszej działalności, no że może jakieś spięcia niesłuszne przeze mnie też spowodowane. — No, wobec tego jeszcze raz zaczynamy od początku — wygarniamy sobie, co komu należy — i zaczynamy od początku.

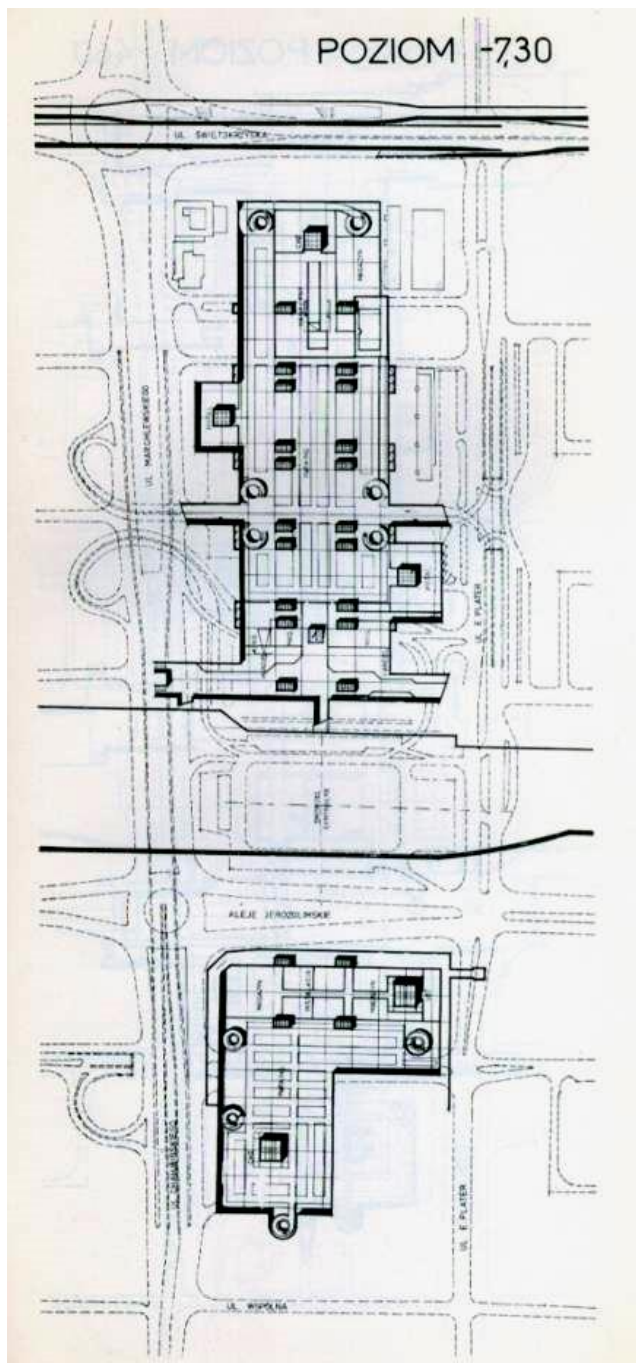
TOWARZYSZ — No, rzeczywistość jest nieco inna.

\*



*da capo*

Na płace w biurach projektów można było przeznaczyć określoną część wartości sprzedaży, ale o tym, ile to będzie procent, decydował dyrektor zjednoczenia. Jeśli dał biuru większy procent, to pracownicy lepiej zarabiali. Jeśli był niezadowolony z którejś załogi, to dawał im niższy procent funduszu płac. Podobnie dyrektor zjednoczenia wpływał na dyrektorów biur projektów dając im różne płace. Wszystko musiało publicznie być ogłoszone. Przedstawiciel właściwego Komitetu Partii musiał przy tym być i sterować.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*Staccato rubato*

*allegretto*

STASZEK — Zapiszcie sobie, panowie, wskaźniki udziału funduszu płac w produkcji sprzedanej, jakie wam dają.

U ciebie czterdzieści dwa koma trzy.

U ciebie czterdzieści trzydzieści dziewięć.

U ciebie czterdzieści dwa pięćdziesiąt osiem.

U ciebie będzie czterdzieści trzy.

U ciebie czterdzieści sześćdziesiąt osiem.

U ciebie tak samo — czterdzieści koma sześćdziesiąt osiem.

KTOŚ — Jeszcze jednego brakuje.

MARIAN — U nas to trochę inaczej.

STASZEK — Inaczej.

KTOŚ — Dlaczego?

STASZEK — No, podam. Czterdzieści dwa koma siedem. Jako fundamentalną zasadę należy przyjąć uspokojenie pracownika produkcyjnego, że mu się nie dzieje krzywda.

MARIAN — U mnie będzie bardzo trudno. Myśmy nie mieli żadnych rezerw, co przy najniższych pensjach nie pozostawia żadnego pola manewru.

KTOŚ — Ty przecież masz najniższy wskaźnik w zjednoczeniu i jeszcze chcesz go obniżyć?

MARIAN — Zastanów się, co mówisz. Co ja tu mogę chcieć. Sam słyszałeś przed chwilą, jak zostałem potraktowany. Konsekwencje są nieuchronne.

STASZEK — Taka była konsekwencja — słuchaj. Przecież nadbudowa administracji tutaj... Im mniejsze biuro, tym gorzej.

MARIAN — Ale w imię czego karać załogę za winy przez nią nie popełnione?

KTOŚ — Ale pomimo to...

STASZEK — Niekoniecznie. To nie jest jedyne.

KTOŚ — Ale skąd to wynika? U niego generalni projektanci są poza pracownikami. To są ludzie wysoko opłacani i siłą rzeczy na pracowni musi być nisko.

MARIAN — A skąd masz takie wiadomości? U nas cały problem polega na tym, że jak się weźmie kasjerkę, magazynierkę, bibliotekarkę, tego, owego — po jednym stanowisku na każdą niezbędną funkcję, jaka winna być w samodzielnym państwowym przedsiębiorstwie — plus trzy telefonistki — bo nikt nie chciał sprzedać automatycznej centrali telefonicznej — plus sześć sprzątaczek — tam gdzie wystarczyłaby jedna, gdyby można przeskoczyć ten niezrozumiały limit tysiąca dwustu złotych dla tej kategorii ludzi — i tak dalej i tak dalej — ... i już jest administracja za duża. — I jeszcze budynki biura w trzech końcach Warszawy...

KTOŚ — Ale kto u ciebie bierze te pieniądze w takim razie?

STASZEK — Niewielki biznes. Dajcie mu spokój, panowie. W każdym razie będziesz musiał pomyśleć nad zmniejszeniem administracji — niestety. Ja więcej dać ci nie mogę.

MARIAN — Ja już nie chcę najwięcej — ale przynajmniej na poziomie przeciętnym. — Ale żeby mi dać świadomie najniżej... — Przecież zdajecie sobie, panowie, sprawę z tego, jakie to wywoła problemy wewnętrzne! — Niestety, potem skwapliwie zapomnimy o tym, co legło u podstaw tego wszystkiego, co wywoła taka decyzja. Ci ludzie przyszli do pracy w dobrej wierze i nie tymi metodami winno się do nich teraz przemawiać. To nie są worki kartofli.

*arpeggio*

STASZEK — Przestań truć. Dobrze? Widzisz — wszyscy się zgadzają i tylko ty zawsze musisz z czymś wyskoczyć. Przemyśl to dobrze. Słuchajcie — umówmy się w ten sposób, że niektóre takie całościowe ustalenia, które przyjmujemy jako zasadę — one wyjdą w postaci — no, trudno mi to powiedzieć — czy w postaci zarządzenia — czy to będą ustalenia — powiedzmy sobie — no bo może zarządzenie to jest takie groźne słowo... — ... wytyczne... — O! — Wytyczne! — To najlepiej. — Forma wytycznych. Dalszą sprawę chciałbym może postawić w ten sposób. Jest taka sytuacja, która musi stworzyć i wam pole do działania na terenie przed-

siębiorstw — i wtedy jest pytanie — czy pensje maksimum — prawda. — Jeżeli mniejsze, to gdzie. Czy w pensji, czy w dodatku... — no bo nie w premii, bo to byłoby niewłaściwie odebrane. Natomiast zdajemy sobie sprawę z tego, że tych środków nie ma — nie ma ani jednej złotówki więcej na... — to nie jest awans — to jest przeszerogowanie. — Jeżeli byśmy wyszli z propozycją maksimum, no to wtedy wy stajecie wobec swoich załóg... — no, dobrze, jak dyrektor ma maksimum, to dlaczego my nie mamy? — Ja bym panom przedstawił sytuację, bo myśmy przeliczyli. I nam pozostanie teraz miarkowanie... — jakieś sensowne miarkowanie propozycji jeszcze w granicach przyzwoitości. Musimy z jednej strony uwzględnić interesy kierownictwa — ale i z drugiej strony sytuację społeczną jaka się wytworzyła tutaj. Również okres w jakim dzisiaj jesteśmy — prawda — i tą całą dyskusję krajową, która się w tym zakresie odbywa.

*agitato*

TOWARZYSZ Z KW (Wojtek Nowicki) — Bardzo przepraszam, że tak wchodzę w słowo — towarzysze pozwolą — ... zwłaszcza że ostatnio odgłosy są, że w najbliższym czasie można się spodziewać wystąpienia z tą propozycją zmiany cen. Stąd też prośba — tak — prośba, żeby możliwie szybko zastanowić się nad argumentacją dotyczącą zmiany płac w biurach projektów, żeby po prostu mieć... — nawet jeśli nie będzie ze strony jednostek nadrzędnych jakichś stanowisk — żeby mieć własne i przemyślane propozycje. Ja nie spodziewam się tutaj, żeby były jakieś kłopoty w kraju — tylko po prostu ludzie będą pytali — przy tej okazji zmiany struktury cen będą pytali o zmianę płac — tak jak to było w niektórych przedsiębiorstwach — gdzie ludzie głównie mówili o sprawach swych płac w przedsiębiorstwie, ustawienia ich w taryfikatorze — i tak dalej i tak dalej.

STASZEK — Więc ja podam propozycje. — Można zapisywać. — Ja nie mam tajemnic. — Staramy się prowadzić czystą grę przeważnie i uzasadniać, jeżeli coś proponuję — prawda.

*staccato*

Ty w tej chwili — ja zaokrąglam — dziewięć tysięcy osiemset — maks jest piętnaście. Ja podaję bez dodatków.

Ty dziewięć — maks jest trzynaście osiemset.

Pani dziesięć i pół — trzynaście osiemset.

Teraz ty trzynaście osiemset — piętnaście.

Pan — dwanaście sześćset — trzynaście osiemset.

KTOS — Oj! Zaraz, zaraz! On — ile?

STASZEK — Trzynaście osiemset — maks.

KTOS — A ma?

STASZEK — Dwanaście sześćset.

Pan — dziesięć osiemset — trzynaście osiemset.

Ty — dziewięć osiemset — piętnaście.

Pan — dziewięć — trzynaście osiemset.

Ty — dziewięć osiemset — trzynaście sto.

Pan — dziewięć — trzynaście osiemset.

Pan — dziewięć — jedenaście osiemset.

\*

Ps. Nijakuj, nijakuj.

Siedź na dupie i przytakuj.

## *da capo*

Może jest to jedyny zapis tak powszechnego wówczas zwyczaju, jakim było zebranie przedstawicieli załogi. Jeżeli, Drogi Czytelniku, chcesz się przekonać, jak ustrój państwa, w którym wszyscy rządzą, może skomplikować życie narodu, powinieś to przeczytać.

Opisane tu zebranie miało szczególne zadanie. Od pewnego czasu pojawiały się protesty niezadowolonych pracowników w różnych punktach kraju i o różnej sile brutalności. Władza postanowiła uspokoić niezwłocznie naród poprzez wyższe zarobki i jeszcze większą sprawiedliwość. Wyższe zarobki miały pochodzić z podniesienia pensji, z likwidacji podatków od płac, z wprowadzenia wielu dodatków do pensji, w tym za wysługę lat. Sprawiedliwość była realizowana poprzez sztywne skodyfikowanie dla całego kraju stanowisk pracy i przysługujących wynagrodzeń na tych stanowiskach. Czyli na przykład sprzątaczkę w całym kraju musiały dostawać taką samą ilość pieniędzy. Sprawiedliwość miała być realizowana poprzez objęcie ochroną pracowników przed samowolą dyrektorów. Teraz zwalniany z pracy pracownik mógł się odwołać do komisji utworzonej przy każdym naczelniku dzielnicy, która miała decydować, czy danego pracownika może dyrektor zwolnić z pracy.

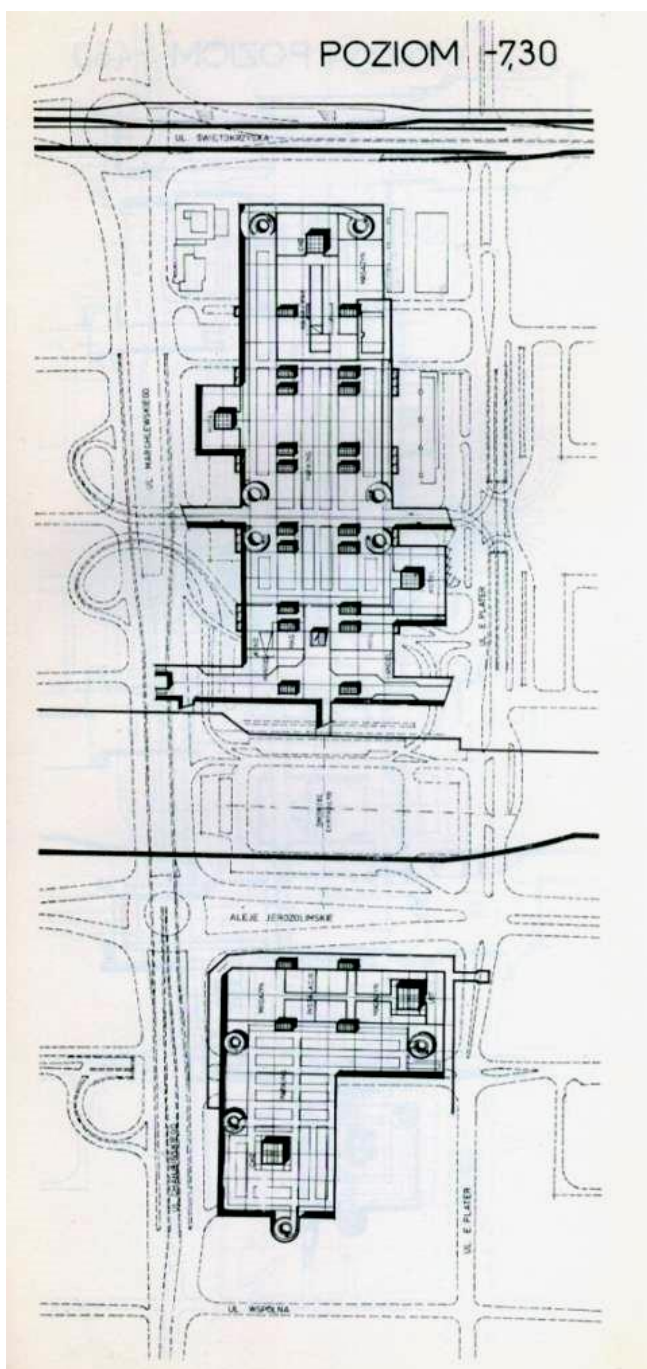
Dyrektorom z kolei dano dyrektywę, że cały obecny i w latach następnych fundusz płac nie może być większy od wypłaconego w roku 1975. Jeżeli ubyłoby pracowników w danej jednostce gospodarczej, to fundusz płac tej jednostki miał być zmniejszony relatywnie do zmniejszenia załogi.

Nie wolno było sprzedać większej produkcji w danym roku, niż ustalała to ogólna dyrektywa. Za dodatkową sprzedaż w roku jednostka gospodarcza otrzymywała wyraźnie zmniejszony (karnie) fundusz płac.

Zasady gospodarcze zostały postawione na głowie: nie wolno było więcej wyprodukować, a załoga musiała dostać ustalone wyższe pieniądze. Polityczny system gospodarki państwa centralnie ustalał w ministerstwach na każdy rok i kwartał nieprzekraczalną wielkość produkcji i sprzedaży dla każdej jednostki gospodarczej. Podobnie centralnie drobniaczkowo ustalano ilość pieniędzy na płace.

Pieniądz państwa wynikał jedynie ze statystyki i księgowania, a nie z rzeczywistego produktu krajowego. No i były jeszcze resztki kredytów udzielonych Polsce przez szereg państw po dojściu Gierka do władzy.

Paranoja totalna — centralnie planowana i realizowana.



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Akt I. Scena 6. ALT. III  
14 lipca 1976 roku

### *Tarantella crescenda*

#### *intrada*

MARIAN — Ponieważ dzisiaj mamy dosyć bogaty program, więc w związku z tym czas będzie się bardzo liczył. Na dzisiejsze spotkanie kolegium biura, tradycyjnie poszerzone o prezydium rady zakładowej, pozwoliliśmy sobie zaprosić — ze względu na szczególny charakter porządku obrad — prezesów naszych kół stowarzyszeń naukowo-technicznych istniejących w naszym biurze oraz mężów zaufania.

Dzisiejszy porządek obrad byłby następujący. Mianowicie w pierwszym punkcie omówilibyśmy sprawę systemu pracy biura w myśl nowych przepisów. W drugim punkcie omówilibyśmy działalność komisji rozpatrującej przejście pracowników na system bezpodatkowy i nową siatkę płac. W trzecim punkcie omówilibyśmy wyniki drugiego kwartału i propozycje podziału premii. W czwartym punkcie rozmawialibyśmy o zadaniach na trzeci kwartał. Jak państwo widzą, wszystko jest bardzo podatne na burzliwą dyskusję, stąd gorąco bym zachęcał w interesie nas wszystkich, aby zapał rozłożyć na wszystkie cztery punkty i abyśmy nie siedzieli do jutra rana nad sprawą. Ja będę się starał w miarę operatywnie prowadzić dzisiejsze obrady.

Pierwszy punkt naszego porządku dziennego obrad pochodzi w zasadzie stąd, że w myśl nowych przepisów działalności biur projektów, biura mają możliwość działania w dwóch systemach. — W systemie zadaniowym, bądź w systemie premiovym. Tak jak niektórzy z państwa może czytali te zarządzenia, jest zapisane, że decyzję w tym przedmiocie podejmuje dyrektor zjednoczenia, tym niemniej ponieważ nasz szef jest też człowiekiem liberalnym, więc lubi słuchać, co kto o czym sądzi i w związku z tym zwrócił się do biur, aby przedłożyły mu niezwłocznie wnioski i propozycje, w jakim systemie załoga danego biura chciałaby pracować. Stąd — abym mógł taki wniosek złożyć — chciałbym wspólnie z państwem tę pierwszą kwestię przedyskutować. Dla skonkretyzowania dyskusji przygotowaliśmy dzisiejsze posiedzenie w ten sposób, że przewodniczący rady zakładowej zreferowałby króciutko zasady obydwu systemów i potem odbylibyśmy krótką dyskusję i wyciągnęli z tego wnioski. Czyli bardzo proszę pana o wypowiedź.

ZWIĄZKOWIEC — Więc w systemie premiovym podział funduszu dyspozycyjnego odbywa się na fundusz płac zasadniczych i na fundusz premiovym, na ryzyko i na nagrody. Na fundusz zasadniczy płac składa się pensja zasadnicza, dodatki funkcyjne i specjalne. Fundusz premiovym natomiast dzieli się na A i na Be. Fundusz A stanowi siedemdziesiąt procent funduszu premiovego, a fundusz Be stanowi około trzydziestu procent tego funduszu premiovego. Z tym że fundusz Be jest podzielony na dwie części. — Jest podzielony na część za jakość i premie specjalne.

Teraz tak — fundusz A... plus premia za jakość w funduszu Be jest rozliczana kwartalnie. Z tym że nie cała — prawda — bo jak wiemy, tam jeszcze w tym funduszu Be jest ta specjalna premia, która jest rozliczana dopiero po oddaniu inwestycji do użytku. Z tym że muszą być spełnione regulaminowe...

KTOS — Raczej po przekazaniu roboty...

ZWIĄZKOWIEC — Ja tak mam tutaj w uchwale, ale dopiero w dyskusji będziemy mówić, dobrze? Gdzie ja teraz byłem? Po zrealizowaniu inwestycji — powiedziałem — prawda? Z tym że muszą być spełnione warunki, które są w regulaminie... — ustalone — przy wypłacaniu tej premii. Premia dla pracowników poza produkcyjnych w tym systemie wynosi trzydzieści procent i wypłacana jest z funduszu A. W systemie tym — czyli w systemie tym premiovym — dyrektor biura zleca opracowanie dokumentacji do pracowni i w oparciu o koszt dokumentacji i ustalony termin — po prostu jest tak jakby zawarta umowa, ale to jest taka umowa zawarta na zlecenie, tylko zlecenie jest w pracowni i pracownia dana wykonuje projekt.

W systemie zadaniowym następuje to w ten sposób, dyspozycyjny fundusz płac biura dzieli się na następujące składniki — na trzy składniki: — na fundusz płac, gdzie są pensje zasadnicze wraz z dodatkami funkcyjnymi i specjalnymi dla pracowników produkcyjnych, druga część — to jest na premie specjalne do piętnastu procent funduszu płac i trzecia część — to jest część przeznaczona na wynagrodzenia pozostałych pracowników biura oraz na fundusz nagród, fundusz bezosobowy, na fundusz... — znaczy są opłacane z tego funduszu delegacje i takie jakieś tam inne rzeczy, z tym że w tym systemie pan dyrektor rezerwuje sobie z funduszu płac... — znaczy utwarza sobie rezerwę z funduszu płac... — ... pan dyrektor... — ... później on sobie tam... — Nie wiem, co sobie dyrektor potem z tym robi. — W systemie tym dyrektor zawiera umowę z głównym projektantem lub z kierownikiem zespołu na umowny fundusz płac i termin. Skład osobowy zespołu, powołany na czas wykonywania zadania, ustala na wniosek kierownika zespołu... — znaczy pan dyrektor zatwierdza to. Pracownik może być równocześnie członkiem kilku zespołów autorskich, lecz ma prawo do otrzymania tylko jednego wynagrodzenia zasadniczego i przysługujących mu dodatków. Pensja jest wypłacana w postaci zaliczki... — ...w postaci zaliczki, z tym że kwartalnie może być wypłacana premia w wysokości trzydziestu procent funduszu... — znaczy w wysokości trzydziestu procent funduszu zasadniczej płacy danego członka

zespołu, z tym że musi być stwierdzone, że... —stwierdzone zawansowanie projektu. Różnica między kwotą wypłaconą zaliczkowo a umownym wynagrodzeniem zespołu autorskiego stanowi fundusz do podziału między członków zespołu. Fundusz ten jest wypłacany jednorazowo po wykonaniu całości zadania. Należność umowna zespołu ulega zmniejszeniu według zasad określonych w regulaminie premiowania — jeżeli zespół wykona zadanie wadliwie lub nie terminowo. Jak wiemy — decyzja zastosowania jednego z dwóch systemów wynagrodzenia należy do kierownika jednostki nadrzędnej nad biurem projektów. To tyle bym chciał powiedzieć o tych dwóch systemach.

MARIAN — Pytania wokół tych dwóch systemów są nieuchronne. Czy ktoś zechciałby odczytać z przepisów dokładnie ten ustęp, który już był na początku kwestionowany?

ZWIĄZKOWIEC — Premia specjalna — prawda? — Premie specjalne mogą być wypłacone w razie osiągnięcia planowanych lub lepszych niż planowane efekty gospodarcze w inwestycjach projektowanych lub realizowanych przy udziale biura, a w szczególności efektów w zakresie obniżania kosztów inwestycyjnych, efektu gospodarczego, to jest przyrostu zdolności produkcyjnej, usługowej lub użytkowej. Trzy. Innych podstawowych wskaźników techniczno-ekonomicznych inwestycji. Podstawą do ustalenia i oceny efektów inwestycyjnych są potwierdzone przez jednostkę nadrzędną inwestora rozliczenia zagospodarowania oddanych przez inwestora do użytku obiektów lub zadań inwestycyjnych i osiągnięcia założonych zdolności produkcyjnych. W razie stwierdzenia zaniedbań w pracy biura projektów, a w szczególności dotyczących jakości rozwiązań projektów, jednostki nadrzędne nad biurami projektów z własnej inicjatywy lub na wniosek innych jednostek kontrolujących działalność biur projektowych, mają obowiązek stosowania sankcji w formie pozbawienia biura projektów części lub całości funduszu premiowego przewidzianego do wypłaty za najbliższy kwartał lub okres dłuższy, w zależności od stopnia stwierdzonych zaniedbań.

Czyli ten czwarty punkt, to już przeczytałem nie tylko o premii specjalnej. To już jest ogólna zasada stosowania się przy rozdziale premii.

*moderato*

MARIAN — Dziękuję bardzo. Czy są pytania jeszcze jakieś? Rozumiem, że kwestia jest trudna i jeżeli państwo mieliby — a spodziewam się, że będą niejasne sprawy w tym, co zostało zreferowane...

No, skoro nie ma pytań, to może przeszlubiśmy do dyskusji. Czy ktoś z państwa zechciałby się wypowiedzieć i doradzić mi, jak ja się mam zachować i jaki wniosek złożyć do dyrektora zjednoczenia w sprawie systemu pracy biura.

Bardzo proszę — kto z państwa?

— ...

MARIAN — Rozumiem, że się pozostawia mojemu uznaniu — tak?

ZWIĄZKOWIEC — Rozpatrywaliśmy to, na jakim systemie powinniśmy... znaczy, jaki by nam system najbardziej odpowiadał...

KTOŚ — Ja mam pytanie. Jakie korzyści, bądź niepowodzenia nam oba systemy przyniosą?

MARIAN — Tak. To było pytanie. Czy wobec tego jeszcze ktoś z państwa ma jakieś pytania?

KTOŚ — Czy dyrekcja sama analizowała te dwa systemy i czy ma swój jakiś pogląd oprócz tego, który mógłby się wyłonić teraz?

MARIAN — Dziękuję. Czy jeszcze ktoś?

KTOŚ — My z tego zreferowania naprawdę nie możemy się zorientować.

TADEUSZ — Załoga posiada za mało informacji. Wynika to z tych pytań, jakie tu padają. Natomiast gdyby zechcieć przekazać ten багаż informacji i nawet nauczyć o obu systemach — na czym te zależności polegają — to mogą zaistnieć sprzeczności interesów w obu systemach w pewnych grupach, czy działach pracy, nie mających nic wspólnego z produktem. Czyli wydaje mi się, że w tym przypadku należałoby dopracować się poglądu z tworzywa, którym operujemy — czyli przede wszystkim z prac nam zleconych. — Jaki system należy dopasować do zadań, które nam powierzono. — I twierdzą... — tak mi się wydaje — że to nasze zgromadzenie nie jest zdolne na to odpowiedzieć. — Że temu zgromadzeniu powinien jakiś zespół ludzki przygotować referat na ten temat. — Jak to w ogóle ma wyglądać i jak to ma współżyć w zrozumieniu skonsumowania daru, jaki nam dało w postaci tych systemów A i Be.

MARIAN — Dziękuję bardzo. Czy jeszcze ktoś z państwa?

...

*adagio*

MARIAN — No — spróbujmy jakoś odpowiadać na te zadane kwestie.

No — może nie podzieliłbym poglądu, że taki zespół nie jest w stanie dać odpowiedzi. — Bo kto — jeżeli nie takie grono? — Być może, że nie wszyscy, jak razem tu siedzimy, możemy tę odpowiedź dać. Ale na pewno nikogo więcej nam tu nie potrzeba. — Może najwyżej znacznie mniej osób może nad tym dyskutować. — Czyli to jest jedna kwestia.

Druga — to rzeczywiście jest problemem stopień świadomości ludzi tutaj obecnych — o tym co mówimy. — Na to rzeczywiście można różnie patrzeć. Bo faktem jest, że same zarządzenia ukazały się wyjątkowo późno, tym niemniej robiliśmy wszystko, co można było zrobić w tym zakresie. Pracownicy mieli możliwość już od dziesięciu dni doskonałego studiowania systemu, bo wszystkie zarządzenia były wywieszane na korytarzu. W określonych gronach ludzi sprawy dojścia do nowego systemu od wielu miesięcy były dyskutowane. Stąd też trudno założyć, że dopiero teraz wszyscy zaczynamy poznawać zasady.

Wydawało mi się, że poprzez to wprowadzenie przewodniczącego rady zakładowej, które chcieliśmy zrobić w miarę niesugerujące niczego... — tym samym wypadło ono jakoś tak bardziej oschle — wydawało nam się, że będziemy mogli sprawę wystarczająco naświetlić tu dzisiaj. — No, być może, że nie osiągnęliśmy tego efektu... — Myślałem, że poprzez odpowiedzi na pytania ewentualne — ten efekt osiągniemy. — No, pytania też są raczej nie w tych parametrach wyjaśniających różnice. Poza jednym pytaniem, w którym proszono, aby podać ewentualne plusy i minusy jednego i drugiego systemu. — No, wreszcie ostatnia kwestia — to pytanie — czy ja mam pogląd w sprawie. — No, chciałbym mieć nadzieję, móc zaliczać się do grona ludzi, którzy wyjątkowo dużo wiedzą o sprawie i niemal rozpoznali wszystkie szczegóły. — Stąd — z tej pozycji — pogląd w sprawie mam. — Ale jako dyrektor biura chciałbym... — zawsze w tych sytuacjach, gdzie jest tylko możliwe, po prostu zastosować się do woli załogi, a nie narzucać własnego poglądu.

Tym niemniej jeżeli tak, to albo moglibyśmy przejść do bardziej szczegółowej dyskusji, poprzez udzielenie tych odpowiedzi — na temat tego, co widzę w plusach i minusach w systemie. — To by na pewno spowodowało już wzrost dyskusji i dalsze wypowiedzi, bądź też w myśl niedokończonych — a tak przynajmniej odebrałem sugestię inżyniera — wyłonić grupę ludzi z naszego dzisiejszego grona, która by w odrębnym trybie w najbliższych dniach, w imieniu tego grona przygotowała wniosek. Więc w zasadzie to, co powiedziałem, można by rozważyć — czy państwo byliby skłonni przyjąć taką propozycję, żebyśmy tutaj dzisiaj nie dyskutowali, natomiast wyłonić z tego grona kilka osób, które przygotowują w imieniu biura taki wniosek do dyrektora zjednoczenia. — Co państwo o tym sądzą?

*moderato*

KTOŚ — Czy można by jeszcze?

MARIAN — Tak. Bardzo proszę.

KTOŚ — Czy nie można by jednak jeszcze coś usłyszeć w tej sprawie?

MARIAN — No, jeżeli wniosek ten, który wymieniłem na końcu, przeszedłby, to szkoda naszego czasu, żeby tutaj rozdyktować sprawę, po czym powtórnie dyskutować w mniejszym gronie. Więc albo dyskutujemy wszyscy, tak jak miałem zamiar, wnosząc to jako pierwszy punkt naszych obrad... — przy czym wolałbym, i widziałem w tym duży sens, żeby to właśnie w tym trybie i tutaj załatwić ze względu na charakter następnych punktów porządku naszych obrad. Decyzji w tym przedmiocie będzie nam bardzo brakowało przy rozpatrywaniu... — przy przejściu do drugiego punktu.

Jak państwo sądzą?

KTOŚ — Ja mam uwagę do tego. — Że nie należałoby zamykać dyskusji. Może ktoś jest w stanie tu zreferować. Natomiast to nie ujmuje sprawie, że ci — którzy ewentualnie z tej sali zostaną wybrani do grupy, która by miała postawić konkretny wniosek koledze dyrektorowi, a następnie dyrektorowi zjednoczenia — wysłuchaliby dyskusji na ten temat. Może nieuczesaonej, może nieudolnej — tym niemniej może ona zawierać szereg bardzo interesujących poglądów.



MARIAN — Tak. No, mnie się właśnie tak wydawało, i dlatego ta... — ... z takim przekonaniem zacząłem ten pierwszy punkt — zachęcając, prosząc o pytania. — Nikt się nie zgłaszał. — Była jedyna propozycja, żeby przenieść dyskusję w inne grono i dlatego rozwinąłem ten fragment propozycji. — Istotnie — wolałbym dyskusję w tym gronie i omówienie sprawy w miarę wyczerpująco.

Proszę bardzo.

KTOŚ — Ja bym miał taką uwagę. Ponieważ sprawa ta jest dyskutowana w wielu biurach — stowarzyszenie nasze od dłuższego czasu prowadziło na jakichś takich posiedzeniach dla prezesów kół największych biur, no, szczegółowe informacje na ten temat. I sprawy tych informacji prowadził obecny tu nasz kolega, który jest jednym ze współautorów tego zarządzenia. Ja proponuję, żeby może on, jako chyba najlepiej w tej materii zorientowany, w sposób jakiś bardziej żywy jeszcze raz te sprawy przedstawił — tych dwóch systemów. Żeby to wniosło, no, jakieś może ożywienie całej dyskusji. Z tym że ja proponuję nie kończyć — nie podejmować jakiejś ostatecznej decyzji dzisiaj i przez tą jakąś grupę wybraną, czy wyłonioną — sprawę dokończyć, przedstawić wniosek do dyrektora. Natomiast dyskusji oczywiście nie zamykać.

MARIAN — Obracamy się w tym samym dosyć zakresie propozycji. Proszę bardzo.

KTOŚ — Więc ja bym się wypowiadał nie co do systemu, tylko jeśli są pytania, na które nie dostaliśmy odpowiedzi — ja rozumiem, że są dwa systemy. Jeden jest tak zwany jakiś premiowy, a drugi zadaniowy, z którego wynika, że jest on w pewnym sensie ukrytym akordem... — Nie? — No, to nic z tego nie rozumiem w takim razie.

KTOŚ — No, może jednak kolega...

KTOŚ — Kilka słów trzeba powiedzieć...

KTOŚ — Właśnie. Może ktoś zreferuje.

KTOŚ — Pan mówi akord — nie akord. — Akord to w ogóle znaczy... — ... to jest hasło tylko.

KTOŚ — Z drugiej strony w tych wszystkich systemach gdzieś jest powiedziane, że... — To czy można swoje pytanie skonkretyzować? — Ja rozumiem, że zawsze fundusz biura jest stały. W aspekcie tej różnicy — jeżeli ja domyślam się, że system zadaniowy jest jakimś ukrytym akordem... — nie, nawet jest zadanie, za które podejmuje umowę z dyrektorem... — wobec tego jeżeli ma być szybko wykonana któraś część zadania w pierwszym półroczu, to co robi w drugim? — Mnie chodzi o to — czy to wtedy się zwalnia załogę, czy idzie się na półroczny urlop? — Mnie się wydaje, że to jest istotne — prawda? — Bo ja rozumiem — na czym polega polityka tak zwana — że taki stworzyć ustrój, który wyzwoli rezerwy. Ponieważ jest zalimitowany przerób, to szukanie rezerw jest... — no, mamy roboty dla dziesięciu, to po co nam tych stu? Zwolnimy dziewięćdziesięciu i sami zarobimy na dwieście procent premii. Więc tak bym rozumiał, że trochę tym pachnie system zadaniowy. I chciałbym po prostu zapytać, czy... — Znaczy ja zgłosiłem swoje wątpliwości i proszę o odpowiedź. Dziękuję.

*adagio*

MARIAN — Więc mnie się wydaje, proszę państwa, że we wstępnym referowaniu było dużo informacji prawidłowych, dobrze podanych, tylko trzeba by je może parę razy powtórzyć. Ale zwykle ta litera prawa jest tak trudna do bezpośredniego odbioru — a ta wypowiedź wstępna była oparta bezpośrednio na przepisach — że rzeczywiście ta informacja mogła nie być dostatecznie przemawiająca. Jeżeli tak, to zgodnie z sugestią... — a i nasz ekspert już się tu zgłasza do przedłożenia własnego poglądu w sprawie — to byśmy go poprosili.

*agitato*

EKSPERT — Jak wiadomo, ta uchwała i zarządzenia to są ramowe wytyczne do stosowania — prawda. Wraz z całym szeregiem załączników będą one stanowiły podstawę do decyzji wykonawczych, do sporządzania regulaminów wewnętrznych i tak dalej, i tak dalej. Jest więc to problem w tej chwili ramowy. — I tak go trzeba traktować, a nie inaczej. W związku z tym, że jest to problem ramowy — z tego przeczytać rzeczywiście niewiele można i najbardziej nawet zorientowany w sprawach — powiedzmy — tego typu odbiorca, bez bardzo dobrego przygotowania, nie połąpie się w tym. To jest pierwsza rzecz.

W związku z tym zupełnie dobrze rozumiem kolegów, że niewiele mogą zrozumieć z przeczytanych zarządzeń i uchwał. Natomiast gdyby bardzo precyzyjnie je przeczytali, to by doszli do końca, a tam znaleźliby zarządzenie o tworzeniu funduszu płac w biurach projektowych, wróci-

liby z powrotem i doszliby do tego, czym zainteresował się instynktownie kolega — prawda. — Jak wiadomo — tworzenie funduszu płac jest zalimitowane na bazowym roku siedemdziesiąt pięć — zalimitowane w sposób zupełnie precyzyjny — prawda. — Dokładny. — I zalimitowane w dwóch punktach, a nie w jednym. To znaczy w punkcie funduszu płac i w punkcie ilości etatów. Czyli tak zalimitowany, jak nigdy jeszcze nie było zalimitowane. Żadne ruchy tego typu, o których na końcu wspomniałeś, nie wchodzi w grę. Dlatego że zwolnienie — powiedzmy — części ludzi z pracy zabiera ten fundusz na nich przeznaczony. To jest bezwzględny biznes. To nie o to chodzi, że tam jest niewielki biznes — na przykład w dziesięć osób wykonać to, co mogło robić dwadzieścia. — To nie jest prawda. Zarządzenie jest wyraźnie napisane, że — powiedzmy — uzyski wynikające tak — powiedzmy — z przekroczenia planu jak i ze zmniejszenia zatrudnienia — mają być korygowane wskaźnikiem. Są to wskaźniki nierealne i absolutnie niemożliwe do wykonania. Bo nikt nie będzie mógł przy stałym cenniku projektowym wykonywać te same zadania i te same projekty za dwadzieścia pięć procent wynagrodzenia. I to jest problem numer jeden. — Który, no, może budzić dość podstawowe wątpliwości, dlatego że jest to problem, z którego można sobie domniemywać, czy wyrozumiewać — prawda — że należy utrzymywać bardzo niewielką, określoną wydajność w biurach projektowych i wcale nikomu nie zależy, żeby była ona przekroczone. Rzecz jest zupełnie oczywista. Jeżeli bodźce są zaniżone, to nikomu nie zależy, żeby była przekraczana. Jest to zupełnie jasne, że sposób ustawienia bodźców ogranicza możliwości rozwojowe.

Oczywiście wskaźnik powiększający fundusz płac jest dosyć jeszcze nie określony — to jest kwestia zarządzenia ministra — wyraźnego — jaki będzie — czterdzieści będzie, trzydzieści będzie procent? — No, nie wiadomo. To trudno powiedzieć. W biurach, które mają już obecnie bardzo ustabilizowany — powiedzmy — swój profil, biura które mają bardzo ustabilizowaną średnią — powiedzmy — zarobkową — tą średnią na jednego pracownika — tam sześć, siedem, osiem tysięcy złotych — w tych biurach nie ma problemu, bo będą miały w przyszłym roku to samo. W biurach organizowanych, w biurach o niewielkiej — powiedzmy — średniej, no, tutaj średnia zostanie na tym samym poziomie i nikt jej nie doda — prawda? I w związku z tym od razu z natury rzeczy na samym początku powstaje klasowość biur projektów. Powstają biura projektowe o bardzo przyzwoitych zarobkach, bardzo przyzwoitych zaszeregowaniach, biura projektów o średnich i biura projektowe o bardzo niskich zarobkach. To będzie zalimitowane jednym zarządzeniem — prawda — określeniem funduszu płac na biuro i ilości etatów. To jest oczywiste czytanie zarządzenia w załączniku tego ostatniego — prawda — tworzenia funduszu płac w biurach projektowych. I to jest pierwszy problem, który warto byłoby sobie przedyskutować przed przyjęciem jakiegokolwiek z tych systemów, przerozumować i wyanalizować.

Oczywiście, że następują po stronie — powiedzmy — tak zwanych czynników doradczych — ja tam nie jestem współautorem czegoś takiego, tylko czynnikiem doradczym w tych organizacjach — prawda — następują obecnie pewne odwołania w stosunku do tego zarządzenia i może coś tam z tego wyniknie, może nie — ja w każdym razie twierdzę — zarządzenie to — to nie uchwała, więc łatwiej z nim — powiedzmy — dyskutować — prawda — zarządzenia które by doprowadziły do zróżnicowania — powiedzmy — wskaźnika aktywności — prawda — w biurach projektowych, w zależności od osiągnięć tych biur projektowych na bazowych latach. Biura rozwojowe, biura małe, słabe — powiedzmy — o bardzo dobrym teoretycznie układzie, to znaczy biuro, które ma jednego projektanta i trzy pomoce techniczne — to jest takie niegdyś preferowane, bardzo dobre biuro — są to ci w najgorszym położeniu, to jest zero — biuro trzeciej kategorii. — I jest biuro, które ma samych starszych projektantów, to jest biuro najwyższej kategorii i które ma możliwości manewru — prawda — i tym podobne.

W związku z tym, że tak to jest dzisiaj zapisane, więc to są elementy, którymi — no, próbujemy — powiedzmy — dyskutować. Ale dzisiaj jest zapisane dokładnie tak, jak zreferowałem. I to jest chyba główna podstawa — powiedzmy — na tle której można by rozpatrywać wady lub zalety systemów zaproponowanych.

Więc wróćmy do tych systemów. System A — tak zwany system premiowy — jest systemem, który normalnie — powiedzmy — w bardzo wielu biurach nadaje się znakomicie do wykorzystania. I problem nie polega na tym, że system A jest gorszy czy lepszy, tylko na tym, co wspomniał trochę kolega, do czego on przystaje, a do czego nie przystaje. Otóż znakomicie przystaje do wszystkich biur planowania przestrzennego, do wszystkich wielkich biur technologicznych

— jednym słowem do biur, które mają dosyć konkretne, ale długofalowe układy — prawda — i w których żadne — powiedzmy — zadania nie mają szans ani możliwości być określone. — I w biurach takich, w których cały szereg — powiedzmy — zadań dodatkowych występuje — zadań trudno płatnych, trudno określanych — prawda — w biurach typu studiów — prawda — no, to są biura, w których ten system jest znakomity, najlepszy i trudno sobie wyobrazić lepszy. System ten ma jedną — powiedzmy — wadę — jeśli o wadach mowa. To jest mój pogląd prawda. Zresztą ja prezentowałem go niejednokrotnie oficjalnie... — ... więc jedną wadę. Wadą systemu jest podział systemu premiowego A i Be — prawda — na dwa — no, dość wyraźne czynniki. Jest wprawdzie w uchwale powiedziane, że dyrektor zjednoczenia może wystąpić do ministra o zmianę i tak dalej — ale jest to tak miękko napisane, że większość — powiedzmy — dyrektorów zjednoczeń nie zechce się wychylić i przyjmie wskaźnik w sposób dość prosty. No, wydaje mi się, że to nie będzie łatwe, choć byłoby to pewnym ratunkiem. Dlaczego jest to problem trudny. Dlatego że te trzydzieści procent za wysoką jakość — przedtem to się nazywało — za nowoczesność — ma swoje określone dziesięć punktów parametrów technicznych w regulaminie określania — powiedzmy — wysokiej jakości, które to parametry przystają tylko do pewnego typu i stopnia wykonywanych projektów. Ja bym się mógł zapytać — prawda — kto tutaj potrafi — powiedzmy — premię Be przydzielić — powiedzmy — na przykład za osiemdziesiąt pięć procent wykonywanych u nas prac. — Nikt! — Dlatego że w żaden parametr — powiedzmy — prace przedprojektowe nie wchodzi. I w związku z powyższym bardzo interesującą będzie sprawą, co z tymi trzydziestoma procentami funduszu płac zrobi nasze biuro. — Odprowadzi do banku z powrotem. No, bo nie będzie miało żadnych szans — zdając sobie dokładnie co tam jest napisane — prawda — jak można fundusz Be uruchamiać — prawda — i zastanówcie się nad profilem naszego biura, w którym osiemdziesiąt procent stanowią prace nie typu założeń czy projektów technicznych, ale typu, no, mniej precyzyjnie określonego. — I to jest jedna rzecz, ku uwadze zainteresowanych. Oczywiście nie musi być wszystkie dziesięć punktów wprowadzonych — natomiast może być jeden lub sześć. No, nie może być zera. Jest napisane, przy jakiej ilości elementów określanych może być stosowany. — I to jest pierwsza sprawa.

Druga sprawa. Jeżeli w najszcześniejszym nawet przypadku uda się znaleźć takich elementów kilka — prawda — to na tych elementach kilka, to może jeden, czy dwa projekty, które będą się kwalifikowały do tego, będzie musiała być przeznaczona trzydziestoprocentowa suma premiova. Czyli — no — suma bajońska, dlatego że jeżeli w dwudziestu procentach dokumentacji będzie to uchwytne — prawda — to zaczną powstawać tego typu problemy — no. Nie bardzo wiem, jak z tym sobie radzić — różnie sobie różni dyrektorzy dotychczas radzili — raz mniej, raz bardziej prawidłowo — prawda. W każdym wypadku niezgodnie z duchem zarządzenia. Mogę podawać cały szereg przykładów z różnych biur projektowych. Wszędzie było to wykonywane na zasadzie absolutnej nieprawidłowości — znaczy rozdział funduszu Be. — I to jest zagadnienie. — Jeżeli by się udało sprawdzić, tak jak żeśmy kiedyś proponowali — jeżeli by się udało, żeby dyrektor zjednoczenia wystąpił do ministra — i jeżeli by wywalczył to, że dla naszego biura wskaźnik Be wynosi dziesięć procent... — ... warto próbować. — Jeżeli będzie wynosił trzydzieści — ostrzegam — jest to problem bardzo poważny.

Teraz ten nie bardzo rozumiany system Be, który tu kolega zaczynał próbować porównywać do jakiegoś akordu. Nie jest on żadnym akordem. Jest to system właściwie nie tak bardzo się różniący od systemu A — prawda — bo jest to system oparty tak samo na dotychczasowej pracy biur projektowych, z tym że oparty o zadanie konkretne. To znaczy, że rozliczenie projektu jak gdyby uruchamia środki na ten projekt zabezpieczone. Oczywiście istnieje cały szereg własnych tam ograniczeń; oczywiście fundusze rezerwowe i cały szereg — powiedzmy — spraw, które mogą pozwolić na zawarcie umów między dyrekcją a zespołem zadaniowym, który tą sprawę wykonuje. W tym systemie też istnieją nagrody, tylko na bardzo niskim stosunkowo podziale; to znaczy, nie wynika z tego tak duży kłopot finansowy, który będzie wynikał przy systemie pierwszym. Jest to kłopot absolutnie — istotny kłopot finansowy. I w związku z tym, jeżeli się rozpatruje oba systemy i jeżeli się rozpatruje to, co na samym początku wyjaśniłem, że żaden z tych systemów nie prowadzi do wyrzucania ludzi — to bzdura jest kompletna. Nawet tak sobie nie kombinujcie. Nikt się nie zdecyduje na nic podobnego, z chwilą kiedy są ograniczone etaty — prawda — i z etatami potrafi pan te pieniądze wziąć, to po co ma pan te etaty tracić — to byłoby

szaleństwo... W związku z tym nie można rozpatrywać tych systemów w innych kategoriach, jak w kategoriach zupełnie identycznych rozważań formalnych — prawda — ... identycznych rozważań formalnych — tylko organizacyjnych różnic, które wynikały ze stosowania, z gospodarki nadwyżkami wynikającymi z konkretnego stosowania systemu A.

Dla przykładu. Jeżeli system A ma premię Be — i żeby wykonać... — tam nieprzeczytane było — te dziesięć, czy piętnaście wskaźników dla każdego projektu — to do podliczenia tych wszystkich wskaźników i stwierdzenia, że projekt tym wskaźnikom odpowiada — dyrekcja będzie musiała powołać specjalny dział, który pochłonie dalsze zapracowane przez projektantów pieniądze. I tu jest pies pogrzebany, że w systemie premiowym projektant z każdej złotówki będzie otrzymywał na deskę najwyżej piętnaście groszy, a w systemie zadaniowym będzie mógł osiągnąć nawet do trzydziestu groszy. Bo przecież cała ta administracja nie będzie potrzebna. Wystarczy dyrektor z dobrą sekretarką, no i główny księgowy z kasjerką.

*adagio*

MARIAN — Dziękuję za tę część wypowiedzi. Potem będziemy ją jeszcze rozwijać. Może ja bym w tym momencie zgłosił parę słów własnych. Ja przyznam się — w chwili kiedy jeszcze nie znałem zasad systemu — byłem zwolennikiem systemu premiowego. W chwili kiedy sobie zrobiliśmy dyskusję w gronie kierownictwa z udziałem przewodniczącego rady zakładowej i gdy nam podał nasz ekspert swoje credo — nie miałem wątpliwości co do tego, że biuro powinno pracować w systemie zadaniowym. Natomiast po zapoznaniu się z przepisami zmieniłem niestety pogląd. Jestem przekonany, że u nas powinien być system premiowy.

Dlaczego tak uważam, spróbuję uzasadnić, niejako polemizując z tym, co przed chwilą usłyszeliśmy. Nie chciałbym, abyśmy jako — i tak narażone na wiele niepewności i wstrząsów — grono ludzi, abyśmy liczyli na ewentualny dorobek rewizji zarządzeń państwowych. Jak na razie musimy bazować na tym, co dostaliśmy, co zostało podpisane. Jeżeli stowarzyszenia wywalczą odstępstwa, to my wtedy zastanowimy się nad rewizją również naszego poglądu. — Czyli to bym chciał państwu jednoznacznie zasugerować.

Druga rzecz. Istotnie jest szereg parametrów jakościowych, dla systemu premiowego, określonych w przepisach, a zwłaszcza w projektach przepisów, które do nas dotarły dotychczas. Parametry te są określone dla dokumentacji inwestycyjnej, czyli projektów techniczno-robotycznych i dla założeń techniczno-ekonomicznych. Tym niemniej już podjęliśmy prace w ramach naszego zjednoczenia dla stworzenia logicznych parametrów ustalania poziomu jakościowego opracowań nieobjętych tymi kryteriami, bowiem w naszym zjednoczeniu jest bardzo dużo opracowań o charakterze urbanistycznym, to jest o charakterze takim, jakie się wykonuje w naszym biurze. W naszym biurze ponadto wykonuje się dużo koncepcji, co w pierwszych latach uważałem i nadal uważam za plus tego biura, za jego zasadniczy dorobek. Na zadane przed chwilą pytanie — kto potrafi określić jakość — jestem w stanie odpowiedzieć, że w gronie osób tego biura gotów jestem podjąć prace zespołu, który określi bardzo dokładnie jakość koncepcji opracowywanych w tym biurze i stworzenie parametrów. Zwłaszcza że dysponujemy możliwością obiektywnej oceny w tym przedmiocie rzeczoznawców stowarzyszeń. Wydaje mi się, że trzeba obiektywnie powiedzieć, że ani system A, ani system Be nie jest — tak jakby się jednym chciało, a drugim nie chciało — rzecznikiem jakości, ani też jest tym rzecznikiem jakości. Po prostu ktoś, kto jest z natury solidną firmą, dobrym fachowcem — to bez względu na system on tę dobrą jakość będzie dawał. Stąd chciałbym zmiekczyć tę część wypowiedzi inżyniera, z której wynikało, że... — albo się można było dopatrywać, że w systemie zadaniowym to nikt nie będzie myślał o jakości. Nawet gdyby był ten podział na dziesięć procent i dziewięćdziesiąt — prawda — to o tej jakości określonej ludzie będą na pewno zawsze myśleć.

No, faktem natomiast jest, przynajmniej tak się wydaje w myśl przepisów — przynajmniej te zarezerwowane pieniądze mogłyby o tym świadczyć, że w systemie premiowym jakość będzie miała większe możliwości stania się faktem, czy jej docenienia. Bo te trzydzieści procent pieniędzy przeznaczonych na ten cel powinny o tym świadczyć. I w tym miejscu chciałbym dodać, że zawsze kształtowaliśmy nasze biuro, jako biuro mające za podstawowy cel właśnie jakość opracowań. I chyba to nam się wyjątkowo udało. Bo jeżeli czym się wyróżniamy spośród innych biur, to właśnie wyróżniamy się wysoką jakością opracowań. Jestem święcie przekonany, że mało które biuro będzie mogło tak dokładnie i jednoznacznie uzasadnić wysoką jakość swoich opracowań. Bowiem jest bezsprzeczne, że otrzymane nagrody ministra będą jednoznaczną oceną

jakości, że nagrody dyrektora zjednoczenia, bądź inne nagrody, których tutaj jednak mamy szereg — będą o tej jakości świadczyć. A nawet porównanie naszych opracowań z opracowaniami innych biur na te same tematy — wyraźnie na naszą korzyść przemawia. Stąd gdybyśmy byli przekonani, że rzeczywiście w systemie premiowym jakość jest doceniana, to byłbym skłonny przemawiać za systemem premiowym w imię tej jakości.

Co można by dalej powiedzieć. Organizacyjne różnice między systemami. Pan inżynier bardzo celnie powiedział o... — bo zresztą już nie na podstawie wizji, a na podstawie konkretnych przykładów, gdzie niektóre biura musiały powołać specjalne komórki, które dla systemu premiowego muszą oceniać — i tę jakość — i tę terminowość — i przygotować robotę — tak jak tam słyszałem — jest powołana komórka produkcji... — Czyli mogą być wyraźne tendencje do zwiększenia administracji; bowiem system ten premiowy generalnie sprowadza się do tego, że właściwie każdy pracownik żąda, aby mu dano bardzo skonkretyzowaną robotę i wszystko co do niego należy, oczekuje teraz, że zrobi kto inny. Obserwuje się to zarówno w sferze przygotowania danych do projektowania, jak i w sferze skoordynowania tematu, jak i w sferze, no, potem, przekazania tego tematu. I to jest nieuchronne. Tym niemniej bądźmy obiektywni. Czy rzeczywiście system zadaniowy ma jakąkolwiek przewagę w tych parametrach nad systemem premiowym? Po moich przemyśleniach wynika, że żadnej przewagi nie ma. Bowiem — no, proszę państwa — nie spodziewajmy się, że system zadaniowy wejdzie do jakiegokolwiek biura, w tym do naszego w ten sposób, że ja dostanę zlecenie napisane na jednej stronie i ja z kimkolwiek z państwa zawrę umowę bardzo konkretną, z bardzo konkretnymi sankcjami za niedotrzymanie jej, jeżeli za tym zleceniem nie będzie szedł komplet materiałów niezbędnych do wykonania tego opracowania. Każdy z państwa, kto będzie ze mną taką umowę zawierał, będzie po prostu mówił — panie dyrektorze, ale umowę podpiszemy w chwili, kiedy otrzymam od pana podkłady geodezyjne, program użytkowy, wiercenia gruntu i tak dalej, i tak dalej — wszystko co jest niezbędne. I wobec tego ja jako dyrektor biura będę musiał mieć taką samą komórkę przygotowania produkcji, która będzie tym projektantom załatwiała te wszystkie rzeczy — bo nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Może tylko nieliczni z tego grona, a jeżeli tak, to też na krótki okres czasu zechcą pracować na innych zasadach. A nawet jeżeli zechcą, to w umowie ze mną zawieranej obwarują tę umowę takim багаżem zadań, które ja muszę spełnić, że ja będę wtedy zwolennikiem niezawierania umowy do tego momentu, dopóki tych wszystkich obwarowań nie będę mógł spełnić. W przeciwnym razie będę musiał płacić wynagrodzenie, nie otrzymując w zamian produktu. Czyli ta konkretność umowy między zespołem a dyrektorem musi być bardzo jednoznaczna.

Popatrzmy dalej. W chwili kiedy przychodzi do dyrektora zespół autorski, bądź jego szef z propozycją zawarcia umowy, to z natury rzeczy będzie się starał dostać za to te tak zwane godziwe pieniądze. Z natury rzeczy ja jako dyrektor będę zobowiązany sprowadzić te żądania na ziemię. No, jakżeż to się będzie mogło odbyć? Tylko w ten sposób, że będę miał znów aparat ludzi, którzy będą mi przygotowywali materiały polemizujące z żądaniami danego zespołu autorskiego, który będzie skłonny podjąć dany temat.

No, cóż dalej. Niby po zawarciu umowy mam spokojną głowę, aczkolwiek w sytuacji kiedy zespołowi autorskiemu zechce się nawalić z robotą, to ja z tą robotą — tak w systemie premiowym, jak i zadaniowym — zostanę sam. W myśl jednoosobowej odpowiedzialności. I w związku z tym — i przepisy to przewidują — musi być stworzona określona pula rezerwowa — znacznie większa w systemie zadaniowym, niż w systemie premiowym — na te wszystkie tego typu niepowodzenia.

Co dalej. Zespół autorski przynosi do mnie robotę i prosi o pieniądze. — I mnie znów się te oczy robią — jak się to mówi obrazowo — bardzo okrągłe i zaczynam myśleć, czy ta robota jest tą robotą, na którą zawarliśmy umowę i czy za to należy się tyle, czy nie tyle pieniędzy. I żebym mógł dać odpowiedź — w takim momencie znów potrzebuję mieć aparat administracyjny, który mi taką robotę przeanalizuje pod względem technicznym — bo jak raz zapłacę, to już ja się dalej martwię, co z tą robotą... — jak mi inwestor to zakwestionuje, to to już jest dalej moja sprawa — pewno, że pewnymi niuansami, które można zastrzec w umowie, że zespół autorski w wyniku zaleceń inwestora cokolwiek tam zrobi. — I to samo w sferze zapłacenia.

Dodajmy do tego — proszę państwa — takie rzeczy, że tak się niestety składa w naszej tradycji i gospodarce, że bardzo chętnie wszelkie kontrole — a takich nie brakuje — szukają dla siebie

dorobku... — Mamy to przy okazji rewizji bilansu rocznego, mamy to przy okazji corocznej kontroli zjednoczenia oraz co parę lat Najwyższa Izba Kontroli się zjawia w biurach, i są jeszcze inne podobne okazje — nawet Wydział Finansowy się do tego przyczynia. — Jestem... — może to jest sfera intuicyjna, ale oparta na dotychczasowej tradycji — jestem przekonany, że te biura, które będą pracować w systemie zadaniowym, będą powodować znacznie większe zainteresowanie wszelkich kontroli wycenami, jakie w tym biurze powstaną. I oczywiście każdy kontrolujący z tytułu prawa ma możliwość stwierdzenia, że gdzieś zapłaciłem za dużo. I wtedy gdzież szukać tych pieniędzy? Czyli znów muszę tę pulę rezerwową — o której mówiłem... — znowu troszeczkę podnieść do góry, żeby tych pieniędzy nie szukać u ludzi, którym je już wypłaciłem i którzy je już zapewne wydali.

Wreszcie w myśl przepisów można zawierać umowy w dowolnym układzie, zespoły mogą się kojarzyć w przeróżny sposób — czyli każdy może w różnych układach autorskich występować. Ja na razie nie widzę... — sam sobie nie umiem odpowiedzieć — co nie znaczy, że tej odpowiedzi gdzieś nie ma — ale szczerze mówię, sam sobie nie umiem odpowiedzieć — w jaki sposób rozliczać umowy, tak żeby one pasowały do tego wszystkiego, co się nie zmienia. Bo pensje będę musiał płacić — bo premię, zaliczkową wprowadzić, ale będę musiał płacić — dodatek za wysługę lat też. — No, powiedzmy, że ten dodatek odniesiemy znowu w jakąś pulę centralną, którą potrącimy wszystkim... — W każdym razie sprowadzać się to będzie do tego, że tak jak w tej chwili rozliczamy w systemie wyraźnie akordowym — rozliczaliśmy na pracownię wypracowany fundusz płac, potrącając z tego wszelkie te choroby, urlopy, wypłacone pensje i stąd wytwarzając kwotę do podziału — to w taki sam sposób będę musiał prowadzić rozliczenia — już nie dla każdej pracowni z osobna — a dla każdego pracownika tego biura.

I wreszcie dochodzą nieuchronne konflikty w chwili rozliczania się z umowy. Bo będzie trudną do sprecyzowania kwestią — na jakiej podstawie z danej umowy tytułem zaliczki dany człowiek, który akurat tych umów ma pięć i pracował w układzie na przykład takim, że drugi miał umów tylko trzy, a pozostali mieli po jednej umowie — w jaki sposób rozliczyć te wypłacone pieniądze zaliczkowe. — Czyli pensję zaliczkową i premię zaliczkową. — Będzie zawsze dyskusja i konsternacja zespołu, który liczył, że tutaj pieniądze będą wyższe — a tu ktoś wybrał więcej, bądź mniej wybrał... — i będzie bardzo trudna dyskusja z ustaleniem tego, czy potrącenia, czy wybrane pieniądze to są oszacowane prawidłowo, czy nieprawidłowo, czy trzeba by większą kwotę przenieść na inny temat, a jeżeli tak, to w imię czego i w jakim procencie?

Jest tych znaków zapytania wyjątkowo dużo. Ja świadomie postarałem się przedstawić państwu wiele minusów, zwłaszcza systemu zadaniowego, bo wydaje się, że jest najprawdłowiej, jeżeli dyrektor biura podejmuje te najbardziej niepopularne kwestie... — ... po prostu między innymi po to mnie macie. I nie chciałbym przez to, żeby państwo rozumieli, że tylko te parametry widzę. Rzeczywiście przyszłość pokaże, który z tych systemów jest lepszym systemem. Nasze obliczenia, które prowadziliśmy, wykazują, jak się wydaje, preferencję systemu premiovego nad systemem zadaniowym. I również zważywszy, że ostatnie lata, zwłaszcza w naszym biurze, a i przyszłość ta jaką możemy w jakichś generaliach definiować, czyli tendencje do ograniczenia funduszu płac, do zmniejszenia zatrudnienia, te wszystkie niespodzianki — jak bym to nazwał — których jest wiele... — Żeby przybliżyć państwu... — To że nagle się pojawia zarządzenie, że delegacje to tym razem są potrącane z funduszu płac; że prace studialne są potrącane z funduszu płac, a nie płacone przez inwestora; że tutaj obcięto wycenę; że przychodzi zarządzenie, że trzeba zdjąć jeden procent funduszu płac; za pół roku przychodzi drugie zarządzenie, że trzeba zdjąć jeden procent funduszu płac... — I takich rzeczy było dużo... — Plus kary za rzekome przekroczenie planu zatrudnienia... — Wszystko to w moim odczuciu znacznie łatwiej da się opanować i znacznie bardziej bezboleśnie znieść załodze w systemie premiovym, gdyż system ten pozwala na kumulowanie tych wszystkich niespodzianek w jakiś logiczny sposób i rozkładanie na wszystkich. Przy systemie zadaniowym byłyby stale z tego tytułu problemy.

A proszę państwa — dodajmy do tego jeszcze taką kwestię, że cała gospodarka narodowa przeszła w sposób jednoznaczny na dobrodziejstwo dodatku z tytułu wysługi lat pracy. Nasze biuro też na to przechodzi. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób dyrekcja i rada zakładowa ma tłumaczyć temu niepopularnemu pracownikowi, którego żaden zespół nie chce, że on powinien odejść z biura, stracić ciągłość pracy i szukać sobie nowej pracy. — No, on czuje się dobrym pracownikiem... — nawet kodeks pracy mu gwarantuje to... — każda instancja związków zawodowych

go obroni... — Jest komisja odwoławcza przy każdym naczelniku dzielnicy, do której każdy z pracowników każdej jednostki państwowej czy gospodarczej naszego kraju ma prawo się odwołać — i tam staną za tym pracownikiem. — I to jest dobrze, że tak trudno jest pracownika skrzywdzić. — Na tym nasz ustrój przecież polega. — Pewnie, że znów można wydzielić pulę pieniędzy na łatanie podobnych problemów — prawda? — No, ale dokąd można tę pulę centralną podnosić? — Stąd wydaje mi się... — może ja znów wpadam w skrajność — wydaje mi się, że te przemyślenia, które państwu przekazałem, są też przemyśleniami... — no, godnymi uwagi. Proszę bardzo. Kto z państwa pragnąłby zabrać głos w dyskusji?

— ...

MARIAN — Nie chciałem uznać, że aż tak sugestywnie mówiłem, że aż wszystkich przekonałem.

*brillante*

EKSPERT — W całej pana dyrektora tej tragicznej wypowiedzi, to się malowało wszystko do zasady biur projektowych. Tylko powiedzmy, że te wstydlive problemy, które pan dyrektor poruszył, będą miękko — że tak powiem — poukrywane w systemie A, a będą wyraźnie występowały w systemie Be. Ale czy to jest idea, to ja nie jestem przekonany — czy ideą jest to, żeby — powiedzmy — stwarzać luźne miejsca pracy, martwe etaty — powiedzmy — jakieś tam systemy zapomóg... — No bo to jest taka po cichu zapomoga dla gorszych projektantów. — Jest to już jednak kwestia poglądu, czy o to chodzi w naszej gospodarce narodowej, żeby biura projektowe były oparte o te drastyczne układy — prawda — o ludzi nie nadających się do pracy... — Są ludzie, którzy — powiedzmy — nie pracują wcale... — No bo chyba o to dyrektorowi szło, bo ja nie bardzo zrozumiałem, o co idzie. — Że tam jak rada zakładowa — że komisja odwoławcza przy naczelniku dzielnicy powie, że facet, który nic nie robi, musi w biurze siedzieć, to my w systemie A takiego przykryjemy, a w systemie Be będzie trudność, bo będzie jakiś obowiązek eliminacji takiego faceta. — Więc to jest bardzo trudna odpowiedź na takie pytanie. I mnie się wydaje, że stworzymy sobie rezerwę na nic nierobiących... — No — chyba nie tak!

MARIAN — Tutaj nikt nie mówił o pracowniku, który nic nie robi.

EKSPERT — ... no, chyba tak...

MARIAN — Proszę bardzo. Pan chciał coś powiedzieć.

KTOŚ — Mnie się wydaje generalnie, że nasza świadomość mimo wszystko... — Panowie gracie we wszystkie karty, a ja znam połowę talii... — Ktoś z kolegów to powinien pokazać... — Jest niesłuchanie trudna sytuacja. Mnie się wydaje, że problem powstaje jeden. Zalimitowany fundusz płac.

KTOŚ — O!

KTOŚ — ... zalimitowany fundusz płac, a w związku z tym ograniczone możliwości oddziaływania na sterowanie pracą. Powinniśmy się zastanowić nad tym, co w tym przejściowym niewątpliwie okresie najbardziej dla naszego biura pasuje. Mam wątpliwości, czy jest słuszny wniosek, który mówi, że z naszego grona wyłaniamy jakąś tam grupę, która już nie w pełni świadoma, albo zacznie się uczyć dopiero... — zadecyduje, który system wybrać. Ja osobiście uważam, że dyrekcja rozważyła te wszystkie plusy i minusy — i w mojej ocenie — w aktualnej sytuacji biura jest bezpieczniejszym wprowadzenie systemu A — i uważam, że to powinniśmy przyjąć jako zasadę. Natomiast jeżeli warunki zewnętrzne pozwolą na jakieś przekonstruowanie naszej struktury, która by bardziej sprzyjała innemu systemowi... — a mam nadzieję, że takim sygnałem tego, o czym ja myślę, byłoby właśnie zniesienie limitu funduszu płac... — ... to wtedy może spróbujemy przejść. — Sądzę po prostu, że nie przedyskutujemy we wszystkich aspektach. Uważam, że po prostu należy zamknąć dyskusję.

MARIAN — Czy jeszcze ktoś z państwa chciałby zabrać głos?

...

*adagio*

MARIAN — Proszę państwa — ponieważ sprawa jest rzeczywiście trudna, myśmy tu zrobili — wydaje mi się — obiektywne wyliczenia, z których wynikałoby, że gdybyśmy działali zgodnie z literą prawa, to moglibyśmy przy systemie premiowym doprowadzić — średnio licząc — do każdego pracownika biura pieniądze rzędu czterech tysięcy dziewięciuset trzydziestu siedmiu złotych, a ze względu na tę pulę rezerwową, która też jest wyraźnie zalimitowana i określona przepisami — czyli to nie są jakieś nasze dywagacje na tle tego... — tych wszystkich nie-

szczęść, o których mówiłem przed chwilą — w systemie zadaniowym pieniądze w ten sam sposób liczone sprowadzałyby się do kwoty cztery tysiące czterysta dziewięćdziesiąt pięć złotych. Jest to czterysta czterdzieści dwa złote mniej. Wydaje mi się, że te obliczenia są prawidłowe.

Proszę państwa. Ponieważ i tak będzie podejmował decyzję dyrektor zjednoczenia — i ponieważ i tak ktoś musi być winien — ze względu na rzeczywiście dużą nieświadomość w przedmiocie — i dopiero życie pokaże, czym to się skończy — proponowałbym dzisiejszemu gronu zebranych taką umowę, że to ja podejmę tę decyzję i wybiorę ten system premiowy. — Tym samym niejako zwalniając nawet tu dzisiaj diskutujących od odpowiedzialności za ten wybór. Wydaje mi się, że to będzie najbardziej poważne zajęcie stanowiska, bo ja muszę wniosek przedłożyć — prawda — natomiast nie chciałbym się kryć za plecami ludzi, którzy bądź nie mają przekonania do mojej decyzji, bądź też nie znają podstaw ani jednego, ani drugiego systemu. Więc tak proponowałbym zakończyć ten punkt.

Bardzo przepraszam. Sprawa jest bardzo trudna. — Z całą odpowiedzialnością chciałbym państwa zapewnić, że w mojej decyzji, a przynajmniej w świadomości mojej — nie ma żadnego jakiegoś takiego... — no, nieszczerości, bądź nie fair gry w stosunku do załogi w tym przedmiocie. Po prostu tak oceniam sytuację.

Proszę państwa. Proponowałbym przejście do drugiego punktu, to jest nowych zaszeregowan wynikających z nowej siatki płac, które będziemy musieli wprowadzić w tych dniach w biurze.

Szczegóły prac komisji w tym przedmiocie omówi pan inżynier w imieniu tejże komisji.

*moderato*

ZWIĄZKOWIEC — Więc ja występuję w imieniu komisji pracy i płacy i chciałem państwu przedstawić sprawozdanie z przebiegu prac komisji dla dokonania weryfikacji wynagrodzeń pracowników w naszym biurze. Otóż komisja w składzie — przewodniczący — dyrektor. Członkowie — przedstawiciel organizacji partyjnej, przewodniczący rady zakładowej oraz ja jako przewodniczący komisji pracy i płacy — oraz przedstawicielka działu planowania. Komisja działała przez pięć dni.

W pierwszym dniu pracy działalności komisji omówiliśmy przepisy uchwały sto dwadzieścia trzy Rady Ministrów z dnia jedenastego czerwca w sprawie zasad wynagradzania pracowników państwowych biur projektów — po prostu zapoznaliśmy się z wprowadzonymi przepisami — oraz z zarządzeniem wykonawczym do wyżej wymienionej uchwały, to jest zarządzeniem numer siedemnaście Ministra Pracy, Płac i Spraw Socjalnych z dnia trzydziestego czerwca — z załącznikami — tam jest dziewięć załączników określających kolejno tabele miesięcznych stawek wynagrodzenia zasadniczego pracowników umysłowych, pracowników obsługi. Następnie tabele stanowisk pracy, następnie tabele dodatków funkcyjnych, następnie tabele płac robotników zatrudnionych przy pilnowaniu. Następnie jest wykaz kierowniczych stanowisk pracy. Następnie wykaz stanowisk pracowników produkcyjnych, których premie nie podlegają limitowaniu. Następnie zasady przyznawania dodatków za znajomość języków obcych oraz wreszcie ostatni — zasady wypłacania dodatków za wysługę lat. Uprzednio wszyscy wzięliśmy udział... — była taka narada instruktażowa, zorganizowana przez Warszawski Ośrodek Koordynacji Branżowej — na której omawiane były zasady ramowe działania biur projektów w nowym systemie.

Po zapoznaniu się z przepisami komisja wypracowała sobie pogląd na całość sprawy i zostały ustalenia przyjęte przez komisję, według uchwały, następnie zaleceń wynikających z narady instruktażowej, o której mówiłem. Przyjęliśmy decyzję dyrektora, że żaden pracownik naszego biura nie może stracić finansowo w pensji podstawowej — oraz wniosek rady zakładowej i podstawowej organizacji partyjnej, aby przy przejściu na nowy system każdy pracownik otrzymał podwyżkę w pensji podstawowej, polegającą na tym, że przy zamianie pensji brutto na pensję netto — otrzymać więcej.

Nie wiem... — dwa słowa — wszyscy wiemy, że w nowym systemie są stawki zaszeregowania od szczebla jeden do dwadzieścia i te pensje skaczą początkowo po sto złotych, potem co trzysta, potem co czterysta — i wszystkie zaszeregowania są netto. Wobec tego było takie zalecenie rady zakładowej — konkretnie — jeśli asystent... — przykład daję — ma dwa czterysta brutto, to można zamienić to na dwa czterysta netto i jakąś część dolożyć — taka była sugestia rady zakładowej.



Jednocześnie dział planowania przygotował metodykę działania polegającą na przeliczeniu nowego ustalonego funduszu płac biura w relacji do dyspozycyjnego funduszu płac biura na bieżący rok i wynikającej stąd wysokości premii.

Może wyjaśnię w dwóch słowach — bo to jakoś nie zostało wyjaśnione dokładnie. Otóż fundusz płac biura jest stały i po prostu ta komisja musiała rozpatrzyć, w jakiej proporcji ustawić płace do dyspozycyjnego funduszu płac, żeby po odjęciu tych płac od funduszu dyspozycyjnego zostało część na premie. I w zasadzie uwaga komisji głównie na tym się koncentrowała — w jaki sposób tak wygospodarować pensje, żeby mieć sumę premiovą do podziału w najbliższym czasie.

Teraz może jeszcze wspomnę, że na naradzie były takie zalecenia — otóż jeżeli mamy fundusz dyspozycyjny iks, to on dzieli się na fundusz płac osobowych, który obejmuje pensje i dodatki oraz na fundusz bezosobowy. I to się kształtuje mniej więcej dziewięćdziesiąt dziewięć do jednego procentu. Z kolei dalej te dziewięćdziesiąt dziewięć procent, które pozostaje — to jest fundusz płac osobowych, który dzieli się z kolei na pensje zasadnicze. — I była sugestia, żeby te pensje zasadnicze utrzymać na poziomie mniej więcej pięćdziesięciu pięciu procent do funduszu dyspozycyjnego. — Następnie cały szereg dodatków — więc dodatki funkcyjne, dodatki specjalne, dodatki za języki obce, dodatki za ciągłość pracy — i to powinno się kształtować w relacji pięć procent do funduszu dyspozycyjnego. — Następnie rezerwę dyrektora — to jest około dziesięć procent. — Wreszcie premie — była sugestia, żeby utrzymać się na poziomie trzydziści cztery procent funduszu dyspozycyjnego. — Oraz nagrody dla wyróżniających się pracowników — zero pięć procent.

I myśmy w zasadzie z tych procentów przy naszych pierwszych przymiarkach wychodzili. Jeszcze raz podkreślam, że biuro nasze dysponuje sumą pięciu milionów złotych, której nie możemy przekroczyć i w zasadzie wszelkie nasze rozważania muszą się w tej sumie zamknąć.

Po przedyskutowaniu właśnie tych kryteriów wyjściowych ustalono, że komisja zweryfikuje obecne zaszeregowania wszystkich pracowników według następujących zasad. Ja podaję wzrost nowych zaszeregowania, które będą podawane w relacji netto do obecnych pensji brutto — i zostało to określone w ten sposób, że pomoce techniczne i asystenci tutaj dostaną wzrost płac o piętnaście procent, starsi asystenci o dwanaście i pół procent, projektanci dziesięć procent, a starsi projektanci siedem i pół procent, generalni projektanci i kierownicy pracowni pięć procent.

Przykład. — Wiadomo — asystent ma teraz dwa czterysta — zamieniamy to na netto — plus piętnaście procent — wychodzi mu dwa osiemset netto. Takie były kryteria wyjściowe. Uwzględniając właśnie owe kryteria tego samego dnia komisja przeanalizowała pracowników administracyjnych oraz rozpoczęto analizować pracownię. To było w pierwszym dniu działania komisji.

W drugim dniu podsumowano wyniki osiągnięte według tych kryteriów dla wszystkich pozostałych pracowni — czyli działał tu po prostu mechanizm przeliczania stawek brutto na stawki netto — i obliczono, że wzrost płac bez dodatków dla administracji dziesięć i pół procent — to wynikało, że każda osoba zyskiwała trzysta sześćdziesiąt jeden złotych w relacji netto. Nie będę może czytał wszystkich tych pracowni — średnio tu był dwanaście do trzynastu procent wzrost płac — i to się kształtuje na poziomie około czterystu złotych.

Co dały tego typu podwyżki. Otóż taka przymiarka w skali całego biura daje nam następujące wyniki. Fundusz dyspozycyjny stały — constans — pięć milionów osiemset tysięcy złotych — może ja nie będę czytał tych wszystkich sum — w każdym razie policzyliśmy, że fundusz płac obliczony według tych zasad, daje nam premię w wysokości miliona czterystu dwudziestu tysięcy złotych i to daje nam premię dla produkcji bezpośredniej — siedemset siedemdziesiąt tysięcy złotych, to jest pula za terminowość — ta siedemdziesięcioprocentowa — to jest dwadzieścia cztery procent do płac zasadniczych produkcji bezpośredniej. Natomiast pula Be, czyli trzydziści procent za jakość — wyszło czterysta sześćdziesiąt osiem tysięcy — i to jest czternaście i sześć dziesiątych procent — czyli razem dla produkcji bezpośredniej wyszło trzydziści osiem i osiem dziesiątych procent do tych nowych zaszeregowania. Na tym się skończył drugi dzień pracy komisji.

W trzecim dniu działalności komisji analizowano kryteria przyznawania dodatków specjalnych oraz funkcyjnych i ustalając wstępnie, że dodatki specjalne w naszym biurze przysługują gene-

ralnym projektantom, rzeczoznawcom i nikomu więcej. Kryteria dodatków funkcyjnych dla kierownika pracowni ustalono w zależności od ilości osób w pracowni. W trzecim dniu działania komisji rozpoczęto też dyskusję nad propozycją nowych zaszeregowania z przedstawicielami pracowni.

W czwartym dniu komisji propozycje nowych zaszeregowania omawiano z pozostałymi pracownikami. Tutaj kierownicy pracowni wprowadzili poprawki, sugerując awansowanie określonych osób.

W następnym dniu dyrektor biura po rozmowie z dyrektorem zjednoczenia uzyskał informację, że pozostałe biura znacznie oszczędniej dysponują przyznanym dyspozycyjnym funduszem płac i w związku z tym komisja uznała za słuszne dokonanie weryfikacji płac w ten sposób, że przyjmując obecną pensję brutto jako netto — dokonywać nieznacznej tylko podwyżki — to jest do najbliższej wyższej grupy zaszeregowania w nowym systemie. To już była ta następna przymiarka do...

KTOS — Z kim to wszystko było uzgadniane, bo ja nic nie rozumiem. To jest ciągle coś nowego.

ZWIĄZKOWIEC — Nie, nie, nie. Zaraz wrócimy. Ja po prostu na razie jako przewodniczący komisji pracy i płacy zdaję sprawozdanie z tych pięciu dni, w których te problemy rozpatrywaliśmy. Jeszcze tylko dwa słowa i już będę kończył, bo wreszcie mamy piąty dzień działania komisji, w którym wykonano kolejno obliczenia funduszu płac według tych właśnie ostatnich kryteriów, tym gospodarowaniem bardzo oszczędnym — powiedziałbym — co dało wzrost netto w granicach dwóch procent.

W międzyczasie dyrektor wziął udział w kolegium zjednoczenia, na którym zapadły decyzje obowiązujące wszystkie podległe biura. Decyzje te były następujące. Dolna granica puli premiowej za terminowość — to jest ta pula siedemdziesięcioprocentowa — musi wynosić minimum czterdzieści procent do płac zasadniczych produkcji bezpośredniej. Dodatki mogą być wypłacane od zaraz, jeżeli kogo stać, bądź później. W świetle tych kryteriów ograniczono kolejny przelicznik do zmiany pensji brutto na netto do najbliższej pasującej grupy — i po przeliczeniu całego dyspozycyjnego funduszu biura otrzymano, że premia z puli za terminowość wynosi trzydzieści pięć i pięć procent do pensji produkcji bezpośredniej.

Ja pozwolę sobie złożyć takie wnioski w imieniu działania komisji biurowej i uważam, że działanie komisji powołanej przez dyrektora biura celem dokonania weryfikacji wynagrodzeń przebiegało zgodnie z intencjami wszystkich pracowników naszego biura. Znaczy — nikt nie stracił, nikt nie zyskał, bo te same pieniądze i tak dotrą do każdego, tylko pod inną nazwą.

*adagio*

MARIAN — Pragnę parę wyjaśnień do tego dodać i pozwolę sobie udzielić głosu na początek dyskusji.

Proszę państwa. Specjalnie przekazaliśmy państwu całą drogę pracy komisji, bowiem była to bardzo specyficzna praca, polegająca na kolejnych przybliżeniach, analizowania kolejnych wariantów, konsultowania tych wariantów niemal testowo z różnymi ludźmi w biurze, porównywania między biurami i tak dalej.

Stosunkowo szybko chcemy podjąć prace na rzecz — przede wszystkim — dokładnego, ostatecznego wyliczenia funduszu dyspozycyjnego płac, bowiem nawet te przepisy zawierają wiele niewiadomych i dopiero przez konsultacje z ministerstwem nasze zjednoczenie usiłuje te rzeczy dokładnie rozliczyć i w zależności od tego, albo ten okres tymczasowości w przedmiocie dodatków funkcyjnych skrócimy, bądź też wydłużymy. Będziemy informować państwa o decyzjach niezwłocznie.

Uważam, że dodatki specjalne będziemy przyznawać w drodze konkretnych rozmów z kierownikami pracowni, wiążąc je dokładnie z określoną robotą, z określonym zadaniem danej osoby. Po prostu uważam, że powinny one być przyznawane tym osobom, które będą ciągnąć wybitne opracowania w tym biurze.

Będą dodatki za wysługę lat — materiały w tym przedmiocie przygotowujemy, traktujemy niemal, że one wchodzi natychmiast. Problem polega na tym tylko, czy w myśl tego, co tam zostało w zarządzeniach podstawowych zapisane, czy nasz minister zdoła wydać niezbędne dyspozycje uruchamiające przed końcem tego miesiąca, czy nie. Jeżeli nie zdąży w tym miesiącu, to wtedy dodatki za wysługę lat będą wprowadzane od przyszłego miesiąca. Czyli z datą uruchomienia

sprawy przez ministra naszego resortu. Tu bym apelował do państwa — zwłaszcza do mężów zaufania — w przedmiocie wysługi lat i udokumentowania tej wysługi wszyscy mamy duże zaległości. Trzeba aby ludzie pomyśleli nad udokumentowaniem tej wysługi i aby przedłożyli w kadrach te dokumenty. W terminie złożenia takich dokumentów będą w myśl przepisów te dodatki nadawane.

No, cóż dalej. W myśl przepisów przysługują minimalne dodatki za znajomość języków obcych. Jest to coś sto dwadzieścia złotych za pierwszy język i dziewięćdziesiąt złotych za drugi język. Kryteria przyznania tych dodatków są bardzo ostre, może nad wyraz ostre — oczekuje się niemal państwowych komisji, bądź podobnych dokumentów w sprawie, ale jeżeli ktoś z państwa takimi dokumentami dysponuje — proszę złożyć — będziemy te dodatki niezwłocznie przyznawać.

Generalnie chcę przekazać mój pogląd, który nie byłby tylko poglądem, a decyzją — że każdy pracownik biura w myśl mojego odczucia ma podstawy do ubiegania się o taki dodatek. Czyli nie będzie w stosunku do żadnego pracownika dyskusji, że ja mu będę próbował udowodnić, że na stanowisku, jakie zajmuje, znajomość języka jest niepotrzebna. To z góry przyrzekam.

Jeszcze są niewielkie dodatki w pracowni wykończeniowej po pięćdziesiąt groszy za godzinę związane ze szkodliwością tej pracy, ale to będziemy jeszcze odrębnie rozpatrywać.

Stąd proponowałbym państwu przyjęcie takich zasad. Bardzo proszę — czy jakieś pytania w tej kwestii mieliby państwo?

### *crescendo*

EKSPERT — Chciałbym zapytać, jaka była średnia premia w zeszłym roku w biurze? — Czy jest to możliwe w tej chwili do podania? — Orientacyjnie proszę.

MARIAN — W granicach stu procent.

EKSPERT — Ja nie rozumiem stwierdzenia — nikt nie zarobił, nikt nie stracił. Jeżeli średnia premia w zeszłym roku była sto procent, to weźmy sumę trzech tysięcy złotych — sto procent brutto — to jest sześć tysięcy złotych — no, odjąć podatek — no, nie wiem, ile ten podatek... — Niech będzie nawet tysiąc dwieście złotych, a teraz weźmy tę samą sumę trzech tysięcy złotych — plus pięćdziesiąt procent premii... — tak? — ... bo tylko tyle. — To mamy ile? — To jest tysiąc pięćset do tego. — To jest cztery i pół. — Ja przepraszam. — Kto tu nie stracił?

ZWIĄZKOWIEC — Może ja wyjaśnię...

EKSPERT — Pan dyrektor chciał wytłumaczyć, że nie tak dużo straciliśmy, jak żeśmy mogli stracić.

ZWIĄZKOWIEC — Nie, nie, nie. Może ja wyjaśnię, że chyba rolą rady zakładowej w tej komisji było to, że nie wypowiedanie się, czy ktoś, konkretny pracownik na danym stanowisku stracił, czy nie stracił, tylko że powiedzmy grupami — dajmy na to — żeby nie było na przykład takiej sytuacji, że administracja zyskuje — produkcja traci lub — że kierownictwo zyskuje — a asystenci tracą. — I nasza uwaga komisji pracy i płacy tylko i wyłącznie... — Nie, nie. Niech pan mi pozwoli skończyć. — ... ograniczała się tylko i wyłącznie do tego. — Żeby nie było różnic, przy przejściu na nowy system między grupami pracowników. — To chciałem wyjaśnić.

EKSPERT — Więc doszło to do absurdu.

### *adagio*

MARIAN — Może ja powiem, co ja o tym sędzę i wiem. Może trzeba byłoby zacząć od tego, że przepisy mówią, że pracownicy projektujący mają nielimitowaną wysokość premii. Czyli w myśl tego — każdy — niby — może — dostać — podobną premię jak dotychczas, bądź wyższą. Ale do tego trzeba dołożyć jeszcze parę parametrów. — Mianowicie przepisy nowe, w sposób bardzo jednoznaczny mówią o limitowaniu funduszu płac na dany rok. Czyli — sprowadza się to do tego, że w odróżnieniu od dotychczasowej praktyki biur projektów — teraz mamy określoną pulę pieniędzy do przekazania załodze. — Ale... — kwotę, której jeszcze nie ma. — Na nią trzeba dopiero zapracować — i na pensje też trzeba zapracować. — I to jest to podstawowe novum w nowym systemie, że... — pieniądze doprowadzone do poszczególnych ludzi — nie są każdymi pieniędzmi, jakie tylko w danym momencie ci ludzie sobie wymarzą. — Dotychczas... — obrazowo mówiąc — no — ... doświadczenie sprzed paru dni. — W myśl starego systemu jeszcze trzydziestego czerwca pracownia przynosiła z zachwytem opracowanie i — panie dyrektorze — my tu mamy jeszcze pół miliona złotych — to ja fakturę... — i to szło

w świat. — I już była dodatkowa premia, nie czekając aż inwestor zapłaci biuro. — W myśl nowego systemu takie rzeczy — zwłaszcza w grudniu będą po prostu niemożliwe; bądź się biuro nie będą opłacać. Bowiem pieniądze, jakie by z takiej sprzedaży wpłynęły, byłyby znacznie niższe, niż te jakie wpłyną za tę samą pracę sprzedaną w styczniu. — Stąd tutaj to wyraźnie zarzucają.

Co by trzeba tutaj jeszcze jakoś podjąć?

My często mówimy o procentach. Przy czym te procenty nie są tymi samymi procentami. Raz jest to procent od puli, raz procent od płacy, raz procent od funduszu za czas przepracowany na przykład — i stąd porównywanie — bez zdania sobie sprawy z tego, od czego dany procent jest liczony — jest bardzo niebezpieczne. Stąd...

No — jak by to jeszcze bliżej państwu można było przekazać?

Teoretycznie biorąc — jeżeli za tę samą robotę biuro w zeszłym roku wzięło sto procent premii — to i w tym roku powinno wziąć też sto procent — z tymi ewentualnymi zmniejszeniami — z tytułu czy to kary za przekroczenie zatrudnienia, bądź też tego zlimitowania funduszu płac.

Jest takie jedno kryterium bardzo groźne, które być może da się jeszcze korzystnie dla nas zinterpretować — polegające na tym, że jest zapisane, że fundusz płac bieżącego roku nie może być wyższy, niż był w ubiegłym roku. Tymczasem my mamy sytuację taką, że fundusz płac był w zeszłym roku trochę niższy, a załoga znacznie mniejsza. — I stąd są te pierwsze dysproporcje.

No — generalnie system ma polegać na tym, że premia mają być niższe w imię wyższych bezpośrednich miesięcznych pensji. Zaleca się — żeby ta premia mogła być jakimś mechanizmem — żeby pula premiowa nie była niższa, niż czterdzieści procent funduszu płac. Stąd te kryteria — jakie zastosowaliśmy. No i to wszystko sprowadza się u nas mniej więcej do tego, co było mówione, że przechodzimy na zasadę, że pensja brutto staje się pensją netto — czyli pracownicy zyskują płacony dotychczas podatek — plus te ewentualności awansów, o których mówiłem — i partycypują w puli premiovej określonej od funduszu płac na poziomie trzydziestu czterech procent.

Nie umiałbym w tym momencie więcej odpowiedzieć, może dalsze pytania ułatwią odpowiedzi.

Bardzo proszę.

*crescendo*

TOWARZYSZ — Ja bym chciał... — Mamy limit funduszu płac — i jednocześnie mamy pozostawione zadania. — Wiemy, co mamy robić, mamy co robić i to co robimy, jest tematem rozwijającym się — i te decyzje nie przystają do siebie. — Ale w tej konkretnej sytuacji staje się niesłuchanie ważne — powiedziałbym — dla samej roboty i dla nas — niesłuchanie ważne poczucie u wszystkich pracowników, że dzieje się to wszystko prawidłowo — w jak najbardziej ogólnym tego słowa znaczeniu — prawidłowo przez to, że względnie prawidłowo są ustawione relacje płacowe wszystkich pracowników i względnie prawidłowe jest obciążenie pracą w sensie planu pracy dla wszystkich pracowników. W związku z tym dla mnie osobiście się staje ważnym przejście z tego minimum status quo w sferę — nazwijmy to tego planu.

KTOŚ — Takie pytanie moje osobiste. Jak wiadomo, ruchomy wskaźnik efektywności przy przekroczeniu planu nie jest określony?

ZWIĄZKOWIEC — Nie.

EKSPERT — Tak. Wiadomo. Nie jest określony. Tak się mówi, że na poziomie pięćdziesięciu procent, czy coś w tym guście. Nasze biuro, jak wiadomo — po tym podaniu średniówki — która jest najniższa w zjednoczeniu — nasze biuro przecież jest na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o średnie zarobki, no to... — I dlaczego jest? — Dlatego jest, że jest biurem rozwojowym. Jest to rzeczą oczywistą — biurem opartym o bardzo nisko płatną kadrę młodych ludzi i w związku z tym jest biurem o bardzo niskich zarobkach. — Najniższych w całym zjednoczeniu. Dla porównania powiem, że nasz sąsiad ma siedem dziewięćset średnią płacę...

MARIAN — ... i wydajność dwieście na osobę, a u nas sto sześćdziesiąt...

EKSPERT — To jest absolutnie nie na temat. — Prawda. — Do rozmowy. — W związku z tym przekroczenie wydajności u nich jest już rzeczą, która może być limitowana, ponieważ ich obecny standard jest bardzo wysoki. Natomiast podniesienie wydajności w biurze, które jest w takich nędznych układach, jest rzeczą normalną i powinno wchodzić w grę. — I w związku z tym, czy zostały przeprowadzone na ten temat jakieś postulaty pod adresem dyrektora zjednoczenia, który tym całym biznesem zawiaduje i w którego gestii jest określenie wskaźnika wydaj-

ności — nawet w wydaniu zarządzeń wykonawczych. — Bo jest tam napisane, że po określeniu zarządzeń wykonawczych dyrektor zjednoczenia...

MARIAN — Ale jeszcze tego nie ma.

EKSPERT — A, nie ma. — Tylko że jak będzie, to będzie dwa razy za późno — prawda? — Więc problem polega na tym, że jeżeli dzisiaj — powiedzmy — się programuje fundusz płac na ten rok — to najprawidłowszym rozwiązaniem jest występowanie natychmiast o dodatkowe pieniądze ze zjednoczenia. — Które — powiedzmy — niektórzy dyrektorzy już dawno uzyskali — dla porządku chcę powiedzieć — bo ja znam te sprawy skądinąd. Już dawno uzyskali po pięć, po osiem milionów ze zjednoczenia. — Tylko faktem jest, że nasza dyrekcja nie widzi takiej potrzeby. — Więc czy na ten temat zostaną podjęte jakieś kroki, szczególnie że jak wiadomo, obecnie istnieje taka znakomita furtka, którą się nazywa — powiedzmy — tak zwana dokumentacja eksportowa, albo coś w tym guście — na którą Ministerstwo Budownictwa — no — daje nieograniczone — że tak powiem — *carte blanche* — pełne możliwości przekroczenia funduszu płac. — Jakie wystąpienia w tym celu były zrobione przez dyrekcję — i — jaki był zaproponowany fundusz dla naszego biura przez zjednoczenie?

TOWARZYSZ — To co pan mówi, nie ma u nas znaczenia, bo jest spadek wydajności pracy.

EKSPERT — Ja rozumiem, ale ja dążę do tego, żeby mi ktoś określił, jakie są próby zwiększenia wydajności pracy.

### *adagio*

MARIAN — Ponieważ pan bardzo autorytatywnie i jednoznacznie wypowiedział się w pewnych kwestiach, ja czuję się w obowiązku je zdementować też jeszcze bardziej jednoznacznie.

Kwestia poziomu średnich płac. W roku siedemdziesiątym trzecim — w roku powołania biura, ze względu na rozkręcanie roboty, nie wypadliśmy rewelacyjnie w porównaniu z innymi biurami. Mieściliśmy się w skali naszego resortu — to jest trzydziestu sześciu biur — w średnich płacach — w ostatniej, trzeciej dziesiątce. Na trzydziestym miejscu. W drugim roku działalności spadliśmy na ostatnie miejsce, ale w ubiegłym roku znów przesunęliśmy się do drugiej dziesiątki i nawet w naszym zjednoczeniu są płace niższe od naszych.

Natomiast żadne biuro nie dostało dodatkowego funduszu płac. Jedno tylko biuro dostało trochę etatów na eksport, ale bez funduszu płac. Stąd wypowiedź pana inżyniera jest zbyt sugestywna — i to w takim samym stopniu jak bezpodstawna.

Czuję, że państwo macie obawy o to, co stanie się z zarobionymi pieniędzmi w pierwszym półroczu. Wprawdzie system obowiązuje od pierwszego lipca, tym niemniej nie da się dokonać tej zmiany tak z dnia na dzień. Już życie wskazuje, że pewne osoby, ze względu na chorobę bądź urlop, będą musiały być rozliczane według starego systemu — bo nie będę mógł wręczyć im nowych warunków pracy. Stąd ten termin jest pojęciem bardzo umownym. No i wreszcie sam chciałbym działać logicznie i mam nadzieję, że państwo mi w tym pomogą — musimy znaleźć złoty środek przejścia z jednych zasad na drugie zasady. Byłoby błędem i krzywdą dla określonych grup ludzkich, gdybyśmy w sposób oschły z dniem pierwszego lipca nagle zamknęli kramik i powiedzieli — to wszystko, co już teraz macie zarobione, wypłacamy na zupełnie nowych zasadach. Będziemy się starali postępować logicznie i w miarę czasu przechodzić na nowe zasady. Będziemy starali się nikogo nie skrzywdzić. I może to być przyjęte jako komplement — obecne grono rady zakładowej bardzo dużo uwagi poświęca tym sprawom, bardzo pilnuje, analizuje, wszystko notuje, co tylko oświadczę w danym dniu dyskusji — tak że będą potrafili zawsze mi udowodnić moje przyrzeczenia.

Bardzo proszę — panie inżynierze.

### *crescendo*

KTOŚ — Powiedziałbym tylko, że chodzi o skonstruowanie — przy tej kadrze, którą mamy, w dowolnie przyjętym systemie — czy to jest A, czy Be — stworzenia pola manewru dla projektu. — Nie tylko dla tych wszystkich przeliczeń, o których tu żeśmy powiedzieli, ale i dla projektu.

Bo my się liczymy wyłącznie z tego tytułu, o którym na wstępie mówił dyrektor — to jest na tej wysokiej jakości, szczególnie projektów koncepcyjnych — to jest tego, czego się miasto po nas spodziewało.

Ja mam nadzieję, że w tym gronie, w tej grupie ludzkiej, w jakiej się znajdujemy, że potrafimy niezależnie od systemu znaleźć pole manewru dla wykonania na najwyższym poziomie projektów, jakie mamy obowiązek wykonać. Chyba skutek tak pojętego zadania — czeka nas — szereg umiejętności dostosowania się, czy też umiejętności wykorzystania dodatnich cech tych systemów, a nie koniecznie wyłącznie szukanie cech ujemnych. Znaczący powinniśmy, przyjmując że wreszcie gdzieś na końcu któryś z tych systemów — prawdopodobnie jak sugeruje dyrektor — przyjmujemy system A — znaleźć grupę plusów tego systemu i najbardziej je wybić na korzyść projektu. Tyle jedynie mam do powiedzenia.

MARIAN — Dziękuję bardzo.

EKSPERT — Chciałbym zapytać... — Bo pan dyrektor wysuwał tutaj słowa uznania dla rady zakładowej, której wysiłki i postulaty były, zdaje się, dosyć jednoznacznie ucięte przez decyzje odgórne — czyli przez zjednoczenie. Chciałem zapytać, czy działalność i postawa naszej rady zakładowej... — w jaki sposób ma jakikolwiek związek z tymi decyzjami odgórnymi. W sprawozdaniu, które usłyszeliśmy, widzieliśmy, że w innym kierunku szła polityka biura — z tymi dodatkami... — Spotykaliśmy się — postulaty kierownicy mogli zgłosić... — ... widziałem wielką prawidłowość w takiej działalności. Tymczasem ostatnia część sprawozdania komunikuje, że ten prawidłowy styl został zlikwidowany jednym pociągnięciem przez zjednoczenie. Czyli można przyjąć, że po prostu pewne prawidłowości, które były przestrzegane, zostały krótko ucięte.

*adagio*

MARIAN — Chciałbym podziękować panu za typ jego wypowiedzi. Istotnie jest to chyba clou całego zagadnienia i dziękuję, że nie zapomniał pan i powiedział, że projekt jest sensem naszego działania; bo takie stwierdzenie dzisiaj rzeczywiście powinno być paść. Chyba to jest wszystko, o co nam wszystkim musi chodzić w całym zagadnieniu. Chciałbym, żeby cała załoga tak rozumiała.

Natomiast cieszę się, że pan z kolei zadał to pytanie, gdyż byłoby rzeczywiście nieszczęściem, gdyby nie zostało zadane. Bo nic bardziej fałszywego, niż taki pogląd jak w tym pytaniu. Rzecz po prostu polega na tym, że może jakieś niedokładności sformułowań, bądź odbioru przez państwa mogą sugerować jakieś działania, że my tu sobie, a tam ktoś sobie. Nie. Nic takiego nie miało miejsca. Natomiast wyglądało to po prostu mniej więcej w ten sposób, że wszystkie komisje we wszystkich biurach zaczęły prace niemal raczkując, popełniając niemal te same błędy i działając w ten sam sposób. Z natury rzeczy wszystkim się chciało — tak jak i naszej komisji — z gruntu podnieść płace zasadnicze przy okazji tego systemu. To jedno — i po drugie — połączyć wprowadzenie nowego systemu jednocześnie z awansami, które w tym okresie roku są nieuchronne. Wydawało się wszystkim, że jest to prawidłowe.

Tymczasem poprzez brak rozeznania... — i właściwie to było nieuchronne, bo metody nie było żadnej na prawidłową pracę komisji i każda komisja dochodziła czy wcześniej, czy później do określonych wniosków. I te wnioski były dyskutowane na kolegium zjednoczenia — i w sensie zunifikowania działań, podjęte jako decyzja kolegium zjednoczenia i przekazane do dalszych prac komisji.

Stąd była po prostu taka praktyka, że w ferworze prób podnoszenia płac zasadniczych szybko okazało się, że ewentualna pula pieniędzy na premie tak bardzo by stopniała, że w ogóle nie warto by niemal pracować — to w cudzysłowie mówię, bo... — Powiem inaczej. Tak nie wolno mówić, bo byłoby to nieodpowiedzialne...

Po prostu zdrowo działający organizm w każdych zasadach musi mieć ten element manewru w postaci niezbyt niskich pieniędzy, którymi będzie można nagradzać pozytywną postawę pracowników, przejawiającą się dobrymi wynikami.

Stąd po pierwsze wspólnie na kolegium oceniliśmy, że pieniądze z tej premii za terminowość nie powinny stanowić mniej niż czterdzieści procent funduszu płac. I to było naszym zdaniem, to jest zdaniem dyrektorów, bardzo słuszne kryterium. I jestem gotów tego bronić, bo zejście do dwudziestu procent już robi z tego jakiś dodatek, na który nie warto liczyć, którym właściwie niewiele można załatwić.

Drugie kryterium polega na tym, że wyraźnie — ze względu na złożoność problemu — oceniliśmy, że nie należy łączyć procesu awansów z procesem przechodzenia na nowy system. Stąd te wszystkie, bądź niektóre rozmowy, które prowadziłem z kierownictwami pracowni, są nadal

obowiązujące. Tylko wyraźnie rozdzielimy te dwie kwestie. Żeby każdy pracownik był z góry przeświadczony, że z tytułu wprowadzenia systemu nie dzieje mu się krzywda. A potem dopiero będziemy dyskutować z całą załogą na temat, dlaczego jednemu daliśmy awans, a drugiemu nie. Bo to będzie znacznie łatwiejsze. I dlatego bardzo bym prosił o przyjęcie takiego punktu widzenia.

Czy odpowiedziałem całkowicie?

*crescendo*

EKSPERT — Nie. Panie dyrektorze.

MARIAN — Bo...

EKSPERT — Dlatego że ja odrzuciłem sprawę tych dodatków. Punktem wyjścia przeliczeń pensji podstawowej — te które państwo przyjęliście — właśnie w tym już była... — ustalenie tego poziomu podstawowego — była regulacja mająca na względzie to, co się zarabiał do tej pory. O ten punkt mi chodzi. Nie chodzi o dodatki. Przeliczenie podstawy pensji było prawidłowo przyjęte. Natomiast przyjęcie — brutto równa się netto — jest przyjęciem mechanicznym i nieprawidłowym. O ten punkt mi chodziło. Ta decyzja jest bezsprzecznie uproszczeniem, ponieważ... — Nie wiem — czy za szybko, czy nie ma tych zarządzeń wykonawczych — ale wydaje mi się, że ta decyzja jest zbyt upraszczająca. — A poprzednio przyjęta zasada właśnie była prawidłowa. — Chodzi mi o podstawę, nie o dodatki.

MARIAN — Z naszego sprawozdania wynikało jednoznacznie — mianowicie problem dosłownie na tym polegał, że wydawało nam się, że można przyjąć brutto za netto i dać jedną grupę wyżej. Z podsumowania okazało się, że przy takim mechanizmie mamy tylko dwadzieścia parę procent na premię i taka relacja była nie do przyjęcia.

EKSPERT — Właśnie w tej sprawie. Jak wiadomo od dwóch i pół roku kilkadziesiąt biur pracowało na tak zwanym eksperymencie. Czyli od dwóch czy trzech lat pracownicy w tych biurach będący mieli podstawę to znaczy tę pensję bezpodatkową na znacznie wyższym poziomie oczywiście. Jak wiadomo, przechodzenie na nową siatkę płacy — które może się odbywać tak ekonomicznym sposobem myślenia, jak przeprowadziło zjednoczenie, ale winna to być z punktu widzenia rady zakładowej, a nie dyrekcji, rzecz wyjątkowo dyskusyjna.

Dlatego że jeżeli — powiedzmy — ktoś osiągnął jakiś poziom, grupę... — Mówmy sobie po urzędniczymu — przed wojną — numer piętnaście, siedemnaście, czy osiemnaście — to on w tej chwili musi liczyć z powrotem na awanse, co jest rzeczą co najmniej wątpliwą. Ponieważ z normalnego przechodzenia — powiedzmy — w eksperymencie dostał to, co odpowiada najwyższej grupie — obecny ten nowy system — powiedzmy — wyrównania w stosunku do wszystkich — od resortu hutnictwa poczynając, a na nas kończąc — stworzył te dwadzieścia grup — prawda — uposażeniowych — i pensja zasadnicza no jest bądź co bądź w odczuciach ludzkich — prawda — sprawą nie tylko jakiejś tam zaliczki do rozliczenia, bo to przy systemie Be byłoby bardziej możliwe — natomiast przy systemie A — gdzie fundusz płac nie ma nic wspólnego ze sprzedażą — tłumacząc tu koledze, który popełnia tu kilka zasadniczych formalnych pomyłek — nie wolno tych dwóch rzeczy łączyć — można to robić najwyżej dyskretnie.

Łączyć tego nie wolno. Jest to napisane zupełnie wyraźnie w uchwale i w zarządzeniach. — Teraz nie ma nic wspólnego fundusz płac ze sprzedażą. — I w związku z tym takie postawienie sprawy, takie przyjęcie, takiego — powiedzmy — takiej metody jest przyjęciem ekonomicznie słusznym. — I powiedzmy — gdzieś w Stanach Zjednoczonych, czy Anglii pojęciem rozsądnym. Natomiast w naszych warunkach jest to na pewno wątpliwe. Dlatego że jest to zupełnie autentyczne pozbawienie — że tak powiem — pozbawienie pewnych określonych preferencji, które zarabiał projektant piętnaście, dwadzieścia lat uzyskując jakąś określoną stawkę w swoim życiu. I przy tym, że został — powiedzmy — obniżony o ten tysiąc, tysiąc pięćset, czy ileś tam złotych — obecnie, w stosunku do jego dotychczasowej pensji, kryje się dosyć delikatna sprawa. I to kolega dość istotnie podkreślił, może nie tak dokładnie jak ja — powiedzmy — to przeanalizował. Jest to zarzut w stosunku do rady zakładowej zupełnie oczywisty. Że ten problem nie był brany pod uwagę. Kwalifikacje człowieka nie były brane pod uwagę, że on doszedł do tego, uzyskał najwyższy status finansowy — prawda, że taki tylko na jaki wówczas państwo było stać. — I teraz ktoś uważa, że takiemu fachowcowi można nie dać najwyższej grupy — tylko proponuje się mu tylko trochę wyższe pieniądze od dotychczasowych. — Któż to będzie czuł się upo-

ważniony do awansowania kogoś, kto już był na szczycie? — Prawda? — Bo był w grupie najwyższej.

MARIAN — Może ja odpowiem panu. Bo pan sam doskonale wiedział i wszystkim to uświadomił, że limit jest stały... — że fundusz dyspozycyjny jest stały. Oczywiście że myśmy to rozpatrywali. I uważamy za słuszne, że jeżeli jest starszy projektant, który pracuje na górnym pułapie pięciu tysięcy lat dziesięć, czy piętnaście i nie było dla niego możliwości pozwalających na przekroczenie tego pułapu — no to w sytuacji kiedy wchodzi nowy system, który stwarza mu furtkę dojścia do sześciu i pół tysiąca netto, to powinien to dostać.

Oczywiście każda grupa — każdy asystent, każdy projektant, każda pomoc techniczna — może rozumować w ten sam sposób. Prawda? Nie tylko starsi projektanci, ale także technicy, którzy wiele lat byli na jakimś pułapie — im się też teraz otwiera furtka i mogą też dojść do pensji o półtora tysiąca wyższej. I myśmy się do tego przymierzali, tylko że niestety nie ma pieniędzy. Więc pytanie — że się tak wyrażę — nie jest troszeczkę pod naszym adresem. No, bo jeżeli wszystkich byśmy w ten sposób potraktowali, to w ogóle by nie starczyło pieniędzy — nie tylko na premie, ale nawet na te podstawowe płace. Koło się zamyka.

EKSPERT — Jeżeli będziemy dyskutowali, bez stwierdzenia jednoznacznego, że ten system w sposób szczególny uderza naszych pracowników, to nie dojdziemy do żadnego porozumienia. Ja chciałem powiedzieć w ślad za tym, że po raz pierwszy od dwudziestu lat jestem cztery grupy do tyłu, podczas gdy moi koledzy o dziesięć, czy piętnaście lat młodsi są o cztery grupy do przodu. Jest fakt, że w naszym konkretnym przypadku system ten, który jest niedoskonały, okazał się jeszcze bardziej szczególnie niedoskonały. I stąd nasze głosy zmierzały do tego, żeby w konkretnej sytuacji, byśmy działali bez obciążeń jakichś szczególnych. Tylko żebyśmy ułożyli tą — nazwijmy — grę w naszym biurze, żebyśmy mogli w jakiś sposób względnie przyzwoity — jak do tej pory — mogli żyć i robić to, co jest akurat w odwrotnej proporcji do tego, co inne biura robią.

W odwrotnej proporcji — bo zadania i trudność tych zadań to jest akurat odwrotnie, niż jest u nas. Bo gdyby to było dopasowane do siebie, to u nas ten limit siedmiu tysięcy to jeszcze byłby za mały. I dlatego nie tłumaczymy, że jest wszystko w dechę. Jest źle! — Bardzo źle!

MARIAN — Ja wiem...? — Czy pomoże państwu, jeżeli powiem w końcu, że znów w odróżnieniu od jakiejś może rekompensaty, dla znalezienia ujścia tym tendencjom... — No, przecież po to są te naprawdę duże dodatki funkcyjne i specjalne, na które pozostali pracownicy nie mogą wcale liczyć. To jest dla was tylko — moi panowie. Proszę państwa — ja bym proponował, abyśmy nad tą kwestią zamknęli dyskusję.

\*

### *da capo*

To co opisałem na tle biur projektów, dotyczyło bez wyjątku całej gospodarki. Takie same monstrualne pomysły snuła władza dla „uzdrowienia” całej gospodarki. Już takie powody wystarczyły, aby wszystko się zawałiło po następnych paru latach.

\*



### *da capo*

W kraju coraz gorzej się działo. Wszystko rzekomo było winą tylko Pierwszego Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, a nie wraz z nim całych tabunów działaczy, więc zawsze było kilkunastu, którzy pragnęli wdrzeć się na stanowisko Pierwszego Sekretarza. Jednak żeby Zjazd Partii wybrał inne nazwisko, trzeba było poważnych kataklizmów w kraju. Jakoś dziwnie te kataklizmy zanikały po wyborze nowego I Sekretarza Partii.

Trzeba było „października 1956 roku”, żeby pojawił się Gomułka. Trzeba było tragedii w Gdańsku w grudniu 1970 roku, żeby nazwisko Gomułka zniknęło.

Teraz w roku 1976, jak na zamówienie, płonął najpierw Most Śląsko-Dąbrowski, potem spłonął Centralny Dom Dziecka w Warszawie, doszło do tragicznych wydarzeń w Radomiu. Gierek trwał jednak, trzeba było czegoś znacznie większego. Tymczasem wypadki radomskie były postrzegane jako wstrętne burdy.

### *Vox quasi rubato*

#### *eroico*

W numerze dziewiątym, wrześnieowym, „Miesięcznika Literackiego” Stanisław Grochowiak zamieszcza etiudę pt. : „Permisi, non amisi”.

Tamże: (cytuję)

PRZEDNÓWEK. Susza w całej Europie, we Francji wysychają rzeki. Owoce kwaśne, marnie, nowalijki jakieś mizerne i trudne do uchwycenia. Wszędzie kłopoty, podrażnienie, tym razem i nas nie ominęło. Ludzie rozumują leniwie, wydziobują nowe dziurki w pasach z impetem nie zawsze na tyle ostrożnym, aby nie przytłuc własnych palców. Tak było, niestety, w Radomiu, gdzie rozbijano sklepy i grabiono, co się dało. Nawet suszarki do włosów... na deser, czy na pierwsze danie?... Ale nic to. Umilkło. Boli zapewne. Osobiście przez cały czas czuję wzrok milionów pomarłych z głodu w Afryce, Indiach, krajach latynoamerykańskich... Jakże baczenie wpatrują się Ci Niekochani przez nas Martwi w szamocącą się, w zaledwie pierwszych paroksyzmach nadwątlenia, sytą niegdyś Europę! Z ironią, satysfakcją? Nie sądzę. Mówiliśmy: trzeci świat — jakby to była zupełnie inna historia. A Oni — te dziesiątki milionów — powiadają: głupcy, oto wreszcie zaczynacie pojmywać, że to **ta sama** historia, i że świat jest jeden. To nie tort, który da się przekroić na trzy części, ale twardy jak gład bochen razowca, który trzeba rozszarpywać zębami. Skoro my, nie Polacy, ale Europejczycy byliśmy jako w tej smutnej bandosce protektorami biednych dzieci z Biafry:

Dzieci, moje dzieci,  
mam was jako śmieci.  
Przy potoczku siedzą,  
drobny piasek jedzą —  
to skończyło się. Oby nie za srogo. (koniec cytatu)

\*

#### *scherzo*

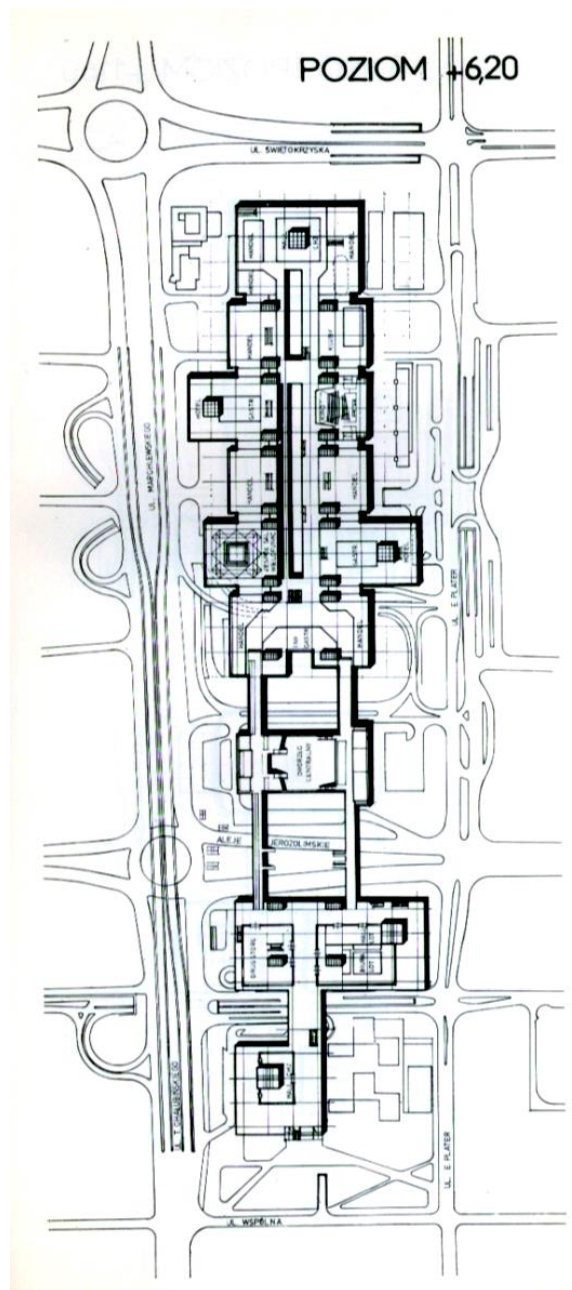
Wyszedł okręt z portu i od razu ogarnęła go gęsta mgła. Kapitan jednak – pewny siebie – wydał rozkazy:

- Proszę buceć syreną i całą parą naprzód. Idę spać. W razie czegoś bardzo ważnego proszę mnie obudzić.

Wyspał się dobrze i wyszedł na pokład. Tu z przerażeniem stwierdził, że okręt znajduje się nadal w pobliżu portu, z którego wiele godzin temu wyszli. Wzywa więc pierwszego oficera i pyta, dlaczego stoją w miejscu. Ten melduje:

- Panie kapitanie – całą parę na buczenie zużyliśmy.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

Akt I. Scena 7. ALT.III  
20 lipca 1976 roku

## *Pawana*

### *poco a poco rallentando*

ZBIGNIEW (Radomski) — Ponieważ podjąłeś jakieś działania wykonawcze i jakieś przemyślenia przy tym, chcieliśmy ci przekazać, że my w grupach związkowych i w stowarzyszeniu przeprowadziliśmy takie wewnętrzne rozmowy i ci upoważnili nas, żebyśmy poszli do ciebie na rozmowę na temat możliwości zmian tych decyzji.

Konkretnie. Wysunęliśmy trzy punkty, rozważając sytuację tu każdego z nas, to na rynku fachowców w kraju – doszliśmy do wniosku, że przelicznik jeden do jednego jest jednak bardzo krzywdzący i niezależnie od konsekwencji jakie będą w postaci zmniejszenia premii – dysponujemy ciągle stałym funduszem – to jednak jesteśmy za tym, żeby przeprowadzić ten proces przelicznikiem jeden przecinek dwa – to jest tak, jak była sformułowana pierwsza propozycja tej komisji działającej, nie wiem... - w oparciu o radę zakładową. To byłby podstawowy punkt, najbardziej nas wszystkich... - najbardziej żywo interesujący.

Istnieje przy tym jakieś ogromne niezadowolenie. Koledzy informowali się, że w innych biurach naszego zjednoczenia, na przykład istnieje przelicznik jeden przecinek jeden. Jednak to nie jest jeden jeden. Nasze zaszeregowania są bardzo niskie. Że jest bardzo duża grupa, która właściwie wypracowuje ten cały dorobek, którym się legitymuje kierownictwo – wypracowaną przez tę średnio uposażoną kadrę. Która daje maksimum zaangażowania z siebie i która od wielu kwartałów właściwie, od wielu lat jest jakoś bardzo wolno awansowana. Zresztą wszystko to, co powiem, jest bardzo dobrze wszystkim znane. Doprowadzone jest do tego stopnia, że wielu zastanawia się nad formą odejścia z biura... - będzie to trudne, ale może spowodować poważne jakieś zachwiania dalszych układów pracy.

Pozostałe dwa to są sprawy naszego znalezienia się w systemie A, który z konieczności musimy zaakceptować, czyli do niego się dopasować, z tym że sugestie są takie, jeżeli pozostaniemy w systemie A, żeby sposób działań praktycznych tak ukształtować, żeby jednostką rozliczeniową w dalszym ciągu pozostawała pracownia; będzie istniał jakiś układ zbiorczy w sensie planowania, przyjmowania tematów, czy planowania sprzedaży – żeby w dalszym ciągu była pracownia. Jesteśmy w ogromnej mierze na projektach autorskich na zasadzie nazwisk, a nie jakąś skrzynką, do której wpływają listy, oferty i tak dalej. Znaczący w znacznie mniejszym stopniu niż może wiele innych biur w naszym zjednoczeniu – to są układy autorskie, oparte na tym, że jakaś forma jednak działania oddolnego musi być spleciona z tym rozrzędem dyrektorskim. Z tym że jako sprawę numer jeden wybijamy sprawę pensji.

TADEK (Stefański) — Ja jeszcze dodam, że koledzy podkreślają sprawę jakichś kompleksów, w które zaczynają popadać. Jakiegoś prestiżu, że jesteśmy biurem – jak się mówiło – deserym – a tymczasem jesteśmy upośledzeni w osobistych zaszeregowaniach. Że sprawa ogólnego limitu zarobków to jest jedna sprawa, ale tym niemniej chcemy na forum ogólnym być cenieni za to, że zasługuje na to, żeby być za sześć tysięcy – to żeby był za sześć tysięcy, a nie za trzy tysiące i tak dalej. O to prosili koledzy, żeby zakomunikować, prawda.

ZBIGNIEW — Po usłyszeniu tego, co się dzieje z nami, myśmy się zastanawiali nad tym, jakie są rodzaje przeciw tego. Liczenie pensji podstawowej jest liczenie bez premii. Ale wydaje mi się, że tak jak przed tym była obawa, że łatwiej załogę utrzymać ze względu na zachętę, na tę premię – to teraz sprawa się zupełnie odwróciła w tym sensie, że praktycznie biorąc premia w dalszym ciągu będzie w tym układzie czy mniejsza, czy większa, ale zawsze będzie dosyć problematyczna, bo zawsze ktoś tam czegoś nie zrobi... A z drugiej strony sama świadomość, że te pensje z tym całym stażem, są niemal upokarzające, że tu po prostu już sama ta świadomość działa, że no tutaj cholera jest naprawdę niedobrze. Że w gruncie wywołało to jakąś taką niechęć do pracy. Bo to się odczuwa. Bo po tym wszystkim, wszystkim jak gdyby opadły ręce. Mnie się wydaje, że jeżeli pan dyrektor by widział słuszość naszego rozumowania – że mając powiedzmy tą premię wprawdzie mniejszą – to jakiś sposób oddziaływania na, na... - jest po prostu taki, że – no, słuchajcie – no, przecież tak jak w dużych zespołach są ludzie dorośli, odpowiedzialni – i jeżeli oni odejdą, to kto nam tutaj przyjdzie? Bo nie będziemy mogli mu dać więcej, bo jeżeli mu damy, no to znowu kosztem innych. I już od razu oburzenie. A tak będzie sprawa już inna. Będzie troszeczkę większa elastyczność w doborze naturalnym kadry.

TADEK — Stwarzamy układ nieprzystający do siatki ogólnej na zewnątrz. Stwarzamy depresję do otaczającego nas świata.

ZBIGNIEW — To jest niepokojące, że właśnie nie jest to przyjęte jakoś jednolicie. Bo we wszystkich biurach, może mniej ważnych, nie są to różnice aż tak bardzo rażące jak... - W wielu biurach mają średnią o kilka tysięcy wyższą od naszej. Są to różnice, które wynikają tylko z gospodarki na własnym podwórku.

MARIAN (Sokołowski) — Jaka jest średnia naszego biura? Żeby rzucać takie oświadczenia, trzeba znać dokładne dane.

ZBIGNIEW — Nie. Ale to już nie jest ważne, bo są zbyt niskie.

TADEK — Mnie się wydaje, że w tej chwili, jeśli tak popatrzymy spokojnie, to bodźca finansowego nie ma. I to nie ma go niezależnie od tego, czy pensje będą niższe, a w związku z tym premia osiągnie trzydzieści pięć procent, czy też pensje będą wyższe, a premia będzie wynosić tylko piętnaście procent. Nie na takich bodźcach finansowych musimy bazować, jeśli chodzi o zaangażowanie ludzi. Już obecnie ludzie są zaangażowani w pracę z zupełnie innych przyczyn. Większość ludzi. I to ta większość podstawowa decydująca, która się w biurze liczy.

Mnie się wydaje, że powiedzenie kolegom, że zostawiamy sobie te trzydzieści pięć procent premii, bo wszystkim ręce opadną, to nie jest tak istotne.

MARIAN — Pozwólcie, że teraz ja parę słów powiem. Nasze biuro charakteryzuje się tym rzeczywiście, że mamy ludzi bardzo niewiele zarabiających i ludzi bardzo dużo zarabiających. Stąd nawet takie średnie jak przed chwilą głosiliśmy tutaj, nie są wcale autorytatywne, bo wystarczy, że czołówka weźmie duże pieniądze i już ta średnia skacze prawie pod siedem tysięcy w skali biura. Czyli właściwie nie w tym problem.

Spójrzmy na to jeszcze inaczej. Można by się umówić, że całe pieniądze, bądź niemal całe, przekazujemy ludziom w postaci pensji comiesięcznej. Czyli idziemy na maksymalizację tego wszystkiego, a premia jest już tylko jakimś makijażem w stosunku do tych groszy, które zostaną. Byłoby to do pomyślenia w sytuacji, gdybyśmy byli biurem takim, że można liczyć na prawidłowy styl pracy. Tymczasem jest inaczej.

Weźcie panowie doświadczenia z ostatnich trzech tygodni – do dnia dwudziestego ósmego czerwca miałem wykonanie planu półrocza w wysokości czterdziestu paru procent. Wszystkie pracownie zwały całą robotę po tym dniu. Jakie ja mam możliwości... - I to tylko dlatego zwaliły, że każdy chciał ostatecznie te sto procent, czy sto czterdzieści procent wziąć. Czyli w ciągu dwóch dni ostatnich półrocza biuro musi te projekty oprawić, przeprowadzić przez radę techniczną, dostarczyć zamawiającemu i wystawić rachunki, a nawet otrzymać zapłatę od inwestora, żeby było z czego te wysokie premie wypłacać. – Jakie ja mam możliwości... - zwłaszcza radę zakładową pytam – oddziaływania na tę załogę, żeby nawet na te pensje zarobili? – Stąd wysokość premii nie jest obojętną sprawą w naszym biurze. Gdybyśmy mieli inny skład ludzi – słowo daję, że bym poszedł na ten układ i sam bym go zaproponował. Przecież to jest namacalna rzecz – to już chyba byłoby żenujące udowadniać komuś cokolwiek w tych parametrach – tego bałaganu i niefrasobliwości jaka występuje. Przecież powiedzieć o robocie w lipcu, styczniu zwłaszcza – projektantowi, no to patrzy z przerażeniem – czego ten dyrektor od niego wymaga? – Prawda? – Bo on się tak narobił awansując w ostatniej chwili dni grudnia całe niedociągnięcia trzeciego kwartału, że rzeczywiście potem przez miesiąc musi odpoczywać. I rada zakładowa, i wszyscy zawsze walczyli – no, dyrektorze – doprowadź do rytmiczności jakiejś – prawda?

ZBIGNIEW — Tak, tylko że doświadczenie moje – zwłaszcza, że do tematu, który prowadzę, jest zaangażowanych bardzo dużo ludzi – no, zauważyłem, że dotychczasowy system premiowy zupełnie nie działa, że raczej działa postawa indywidualna, a nie jakieś wychowywanie załogi.

MARIAN — Też prawda.

ZBIGNIEW — Bo zauważyłem, że mam osoby, którymi jestem zachwycony, bo szczególnie jedna taka jest, że nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak solidnie pracował, a inna osoba jest taka, że z kolei prośby, groźby nic nie pomagają. Ma w nosie wszystko i ją nic nie obchodzi. Nic jej nie można zrobić.

MARIAN — Proszę zwrócić uwagę na to, że niech byśmy o troszeczkę drgnęli z premią tą Nielimitowaną w stosunku do kogoś, to ja od razu mam interwencję i rady zakładowej – i nawet samego kierownika. Czyli to nie jest tak bardzo jednoznaczne, że nawet ci, którzy są zaangażowani i robią – że nie potrafią walczyć o to, co im się należy. Ale to przekazałem tak po prostu, jak ja na to patrzę. Przepraszam za taką dygresję.

Jeszcze trzecia rzecz tego, jak ja na to patrzę. No, rozmawialiśmy tutaj kiedyś... - Żle się stało... - No, może tak się dzieje, że pewne rzeczy bardzo łatwo przylegają do ucha i są potem bardzo drastycznie wykorzystywane. I te nieszczęsne trzydzieści pięć procent tak samo przylgnęło. Ale spójrzmy na to inaczej. Mamy plan bieżącego roku na poziomie zeszłego roku. Fundusz płac w myśl przepisów jest zalimitowany do poziomu funduszu płac zeszłego roku. To jest jedyny moment zalimitowany. Czyli mogę wypłacić państwu właściwie tyle pieniędzy, ile wydałem w zeszłym roku.

I teraz popatrzmy. Zadania nieco mniejsze, czyli fundusz płac relatywnie jest troszeczkę wyższy niż w zeszłym roku. W zeszłym roku działaliśmy na zasadzie starego systemu, kiedy można było sprzedać, ile tylko które biuro chciało. Ile zdołało, to sprzedawało. I przy tej zasadzie, przy bardzo drastycznej sytuacji kiedy tak jak teraz w czerwcu, tak w grudniu i w styczniu – naprawdę gros roboty – które zaliczyliśmy do planu ubiegłego roku – było kończone w styczniu bieżącego roku. I to dobrze po piętnastym. – I przy takim, no, już absolutnym braku dyscypliny organiza-

cyjnej myśmy jako zespół ludzi zdołali o trzy procent plan przekroczyć. Osiągnęliśmy sto trzy procent planu.

Nowy system mówi o tym, że jest co prawda zalimitowany fundusz płac, ale to przekroczenie pięcioprocentowe jest opłacalne, jeszcze można się o to pokusić. Czyli, no, w czym problem? Pieniądze są większe, niż w zeszłym roku i niby zalimitowane – ale zrobmy chociaż to, co nam pozwolono, spróbujemy wykorzystać te pieniądze. Przecież na nie trzeba zapracować.

TADEK — Nikt tego nie przeczy – panie dyrektorze.

MARIAN — No więc dlaczego nagle darcie szat, że wszystkim ręce opadają, bo pieniądze niższe. Pieniądze są wyższe niż w zeszłym roku. Wszyscy się uczepili tego limitu statystycznego – tej cyfry trzydzieści pięć procent.

TADEK — Jeżeli te pieniądze są wyższe, to dlaczego taka obawa przed podniesieniem tych pensji podstawowych? – Jeżeli jest z czego – powiedzmy.

MARIAN — Obawa. Przed chwilą wyłuszczyłem, że nie chcę mieć sytuacji takiej, żebym ja się sam martwił o plan nawet przy nieograniczonej premii – i zachęcam, jak mogę – ciągnę, jak mogę – i potem przymykam oko na to, że się w lipcu kończy roboty, które już powinny być przekazane w poprzednim kwartale. Mało tego – Roboty te w kwietniu, w maju powinny być zrobione, żeby premia była premią.

TADEK — Może to jest wina w ogóle struktury biura. I to nie ulegnie zmianie od pierwszego września.

MARIAN — Ale nie można stawiać sprawy na głowie – prawda – jak dasz, to zrobię. – Zrób, to dam. – Prawda?

TADEK — Tylko że to minimum, które posiadamy, żeby ono było w jakiejś proporcji w stosunku do ogólnie znanych nam siatek płac – to by było wszystko w porządku. Ale tu od razu jest ten czynnik, że już jesteśmy z punktu – jak to mówią – potraktowani bardzo źle. I wydaje mi się, że pan dyrektor ma oczywiście rację, ale my też tej racji szukamy, bo uważamy, że można twardo postawić sprawę w inny sposób. – Jesteś odpowiedzialny. – Masz to zrobić. – Nie – to na to miejsce przyjmujemy innego. – ...tą metodą. Bo tak, to taka jest sytuacja, że w tej chwili przychodzi podział premii, no i potem z kolei to się wszystko przelewa na poszczególne pracowni – i potem z kolei następuje podział. – I czy myśli pan, że w tym podziale, który jest wewnątrz, to są te wszystkie – a ten zrobił więcej – ten wykonał mniej – i te różnicowania są jakieś powiedzmy ewidentne... - Nie! Nie są. - Dlaczego? – Dlatego że rola kierownika pracowni polega na tym między innymi, że jak już dzieli, to chce mieć jak najmniej jakichś takich kłopotów. Wtedy z kolei zawsze ten, któremu trudno udowodnić, że on nie zasłużył na to, czy coś takiego... - A ciągle wytykanie, to stwarza się jakaś taka nieprzyjemna atmosfera. Więc dla świętego spokoju, właśnie tego spokoju, daje się tę premię mniej zróżnicowaną, niż by należało. – I tak to jest.

No i wszyscy się do tego stanu przyzwyczajają – i jednostki te, które nawalały, w dalszym ciągu będą nawalać. Do pana dyrektora nie dopływają te sytuacje, bo pan ma za dużo innych spraw, żeby wnikać w jakieś tam szczegółowe rozważania, że tam gdzieś w niewielkim kółku się źle dzieje.

A postawić sprawę inaczej. Dać. I powiedzmy, żądać od kierowników pracowni twardego wykonania. – Nie wykonałeś – ha, trudno! Bo zawsze w tym układzie jest możliwość, że ten nie odpowiada – zmienimy go na kogoś innego. Bo na rynku pracy są możliwości, można kogoś otrzymać, tylko trzeba mu odpowiednio dać. Jeżeli u nas te pensje będą zaniżone...

Jesteśmy ludźmi dorosłymi. Pracujemy już tyle lat i sama świadomość dla mnie osobiście jest dla mnie bardzo nieprzyjemnie, kiedy nie ma co robić i chętnie bym zrobił znacznie więcej, tylko żeby ktoś to potrafił ocenić. I mnie nie trzeba poganiać, bo ja sam rozumiem, że jeżeli biorę pieniądze, to jestem na tyle odpowiedzialny, żeby tę pracę wykonać. Mało tego – wiem, jaka jest sytuacja tutaj, że nie mamy informacji, nie mamy tego, musimy wszędzie biegać i tak dalej – i każdy ze swej strony z tych starszych osób już poprzynosił całe biblioteki i tak dalej – to wszystko ma, czego nikt nie docenia, bo wszystko w zasadzie powinniśmy dostać, a myśmy to przynieśli, jak to mówią, w trzech dużych walizkach, które teraz stoją w naszych szafach.

I to jest jeszcze jeden dowód, że czujemy się odpowiedzialni, że chcemy coś zrobić. Tylko, no, na litość boską, no, nie może być takiej sytuacji, że gdyby jakiś przypadek losowy zaistniał, że przypuścmy zmiana mieszkania i tak dalej – kiedy pracownikowi mogłoby się zdarzyć, że

chciałby zmienić pracę, to czym on dysponuje? – Pensją, która tam będzie źle potraktowana. No bo co to znaczy? Biuro tak was źle uposażało? Bo każdy z nas – mówmy sobie szczerze – i pan dyrektor też – liczy się z tym, że powiedzmy, jesteście, ale to też nie może trwać wiecznie. Bo kiedyś możemy się rozejść – i wtedy co będzie?

Oczywiście nie zakładamy tego, bo przecież po to pracujemy, po to nam się to wszystko jakoś tutaj układa – ale musimy się z tą ewentualnością jednak liczyć. Mnie się wydaje, że jedynym sposobem na jakieś oddziaływanie... - bo jeżeli pan dyrektor nie będzie miał tego oręza w ręku... - Nie premie, bo ta premia ciągle się gdzieś tam rozmywa – tylko samo postawienie ostrej sprawy. – Nie wykonujesz zadań? – Dziękuję! Na twoje miejsce jest następny. Jest to rozwiązanie.

MARIAN — Proszę panów – ja nie wiem jeszcze, co oferują inne biura, tym niemniej w skali naszego zjednoczenia w identyczny sposób postąpiły dwa biura. Dwa następne biura co prawda dołożyły po dziesięć procent, ale faktem jest, że tam kierownicy mają znacznie mniej niż u nas.

TADEK — Ja proponowałbym zająć się tą grupą szeregowych pracowników.

MARIAN — Wolałbym jednak mówić o całym zespole ludzi. Jest i taka sfera argumentacji – tylko chciałbym, żebyście mnie panowie prawidłowo zrozumieli. W tym co powiem, nie ma jakiegoś cienia uszczypliwości. – Po prostu przychodzi ktoś z najwyższej kadry i mówi – zważ – ja przez wiele lat – a już jestem powyżej dwudziestu pięciu lat w biurze – zostałem ukształtowany, awansowany do czołówki miasta – przez lata całe zarabiałem najwięcej. – W imię czego ja mam teraz nie dostać maksymalnych poborów, skoro powstała sytuacja, że mogę wskoczyć wyżej, niż mam.

TADEK — No, na pewno to tak powinno być. Tylko trzeba jednak patrzeć na tych, którzy stoją niżej, bo ci już mają problem przeżycia. Ci już mają problem przeżycia. Bo tam – można powiedzieć – jest kwestia pewnych ograniczeń. Bo łatwiej jest ograniczyć się temu, który dużo zarabia. Wynika z tego, że wszyscy musimy zarabiać mniej.

Bo gdyby ktoś to uczciwie powiedział – słuchajcie – w całym kraju u nas – że ze względu na to i tak dalej – taka i taka sytuacja... - gdyby nam ktoś to uczciwie powiedział – że musimy pracować... - tylko żeby te propozycje były – żeby na przykład faktycznie ten, który potrzebuje zjeść ten kawałek mięsa – żeby nie musiał stać po troje – bo ten, który zarabia więcej, pośle starą babcię, która ma czas na to i on wtedy to zdobędzie w taki czy inny sposób przepłacając.

I tak samo rozumiem, że przypuścimy, ten który zarabia... - bo już teraz wchodzimy ogólnie bardzo mówiąc – że ten który przedtem kupował Napoleona, teraz będzie musiał sobie kupić na przykład jakiegoś Martino – prawda? To też koniak, tylko – powiedzmy – tam troszkę inaczej opakowany,

Ale dla tego, który już przy tej oczywiście progresji cen, której przecież nie musimy ukrywać... - To przecież dla tego niżej zarabiającego już zaczyna być problemem. Bo przecież tak samo są małżeństwa, które się urządzają na nowo, dostają mieszkania i tak dalej – co się dzieje? – Skąd ci ludzie mają na to wziąć? – I oni patrzą, oni to wszystko liczą... - I choć to występuje wszędzie, to argumentacja tego typu, że ktoś już zarabiał bardzo dużo, więc automatycznie musi zarabiać jeszcze więcej – jest dla mnie z punktu widzenia społecznego niesłuszna.

ZBIGNIEW — U nas pomoce techniczne to są dziewczęta, które często są nadal na utrzymaniu rodziców. I tylko dlatego w większości wypadków one jakoś egzystują.

TADEK — Rodzice dają jeść, a na kino starczy.

ZBIGNIEW — Tak. Na kino starczy. Oczywiście. Na bluzkę. Na buty. Żeby utrzymać dom z tych pieniędzy, w momencie kiedy jesteście z rodziną, z domem – z normalnymi potrzebami życia, to po prostu staje się niemożliwe.

TADEK — Ja przepraszam, ale ja w tej chwili jestem w takiej sytuacji, że dostaję w tym miesiącu mieszkanie – i trzeba urządzić. Wczoraj zrobiłem takie sobie wyliczenie – to co potrzebuję niezbędnie – powiedzmy te mebelki w kuchni – no mała kuchenka – czy wiecie państwo, że policzyłem na samo drewno, bez robocizny, bez jakichś blatów, bez niczego – wyliczyłem trzysta tysięcy złotych. – I to rzeczy które są niezbędne – bez zlewozmywaka jakiegoś tam z blachy nierdzewnej, czy powiedzmy jakiejś specjalnej armatury... - tylko samo drewno, to które trzeba zawiesić, czy postawić. – Trzysta tysięcy.

MARIAN — To i tak pan słabo policzył, bo dziesięć lat temu tyle samo wydałem.

TADEK — To jest według cennika, a ile jeszcze trzeba dać, żeby to dostać?

ZBIGNIEW — Jak przeszliśmy na przykłady osobiste, to ja może podam swój przykład, który wydaje mi się, jest również symptomatyczny. Mianowicie mój budżet miesięczny – jedną trzecią stanowią wpłaty z biura. – I w tym momencie kiedy budżet miesięczny staje się jedną czwartą – to są wpływy z biura – ja po prostu zwiększyć muszę obroty po południu – Prawda?

TADEK — Panie, to odpal pan trochę tych zleceń, bo ja nie wiem, gdzie je znaleźć.

MARIAN — Nie mogliśmy znaleźć innej lepszej metody, to przyjęliśmy brutto za netto, zostawiając resztę do dogadania się w drodze awansu, czy dodatku – Prawda? – Ale nie o tym bym nawet chciał – wiecie panowie – w tym momencie jeszcze mówić. – Bo chyba nadal mogę liczyć na... - na to, co zawsze przez te trzy dotychczasowe lata było oczywiste... - może się łudziłem, ale chyba nie – że byłem tym, u którego można wszystko załatwić. – I raczej wytykano mi to – zbyt często nawet – jako wadę a nie zaletę. – Chciałbym i w tym przypadku być też tym dobrym człowiekiem, który... - i tak dalej – bez podtekstów dalszych. Czyli na to liczę, że za takiego będziecie mnie nadal mieli.

Przecież jak się brałem za to biuro – zresztą nie tylko ja – to mnie się wydawało, że my tu nie wiem czego dokonamy. – Że będzie to inne biuro. – Biuro, które się będzie potrafiło bardzo logicznie ustawić i w myśl po prostu tych więzi nieformalnych, całej koleżeńskości, zaangażowania – potrafimy przejść nad wieloma trudnościami. Chciałbym – aby taka atmosfera wróciła do naszego biura. Pewno że jako jeden z elementów powrotu do tego widziałbym...

Ja nie tendencyjnie powiedziałem o tym, że dajemy wszystkim górne pułapy – i premia jest makiżajem – prawda. – I wszyscy co miesiąc przynoszą do domu godziwe pieniądze. – I robimy z tego imprezę niezależną. – Przychodzimy co miesiąc jak po swoje, jak po nagrody, jak po coś, co zupełnie nie ma związku z robotą. A robota aż się pali ludziom w rękach.

Tym niemniej działamy w otoczeniu zdefiniowanym i trudno jest utrzymać się strukturze, która nie przylega do zewnętrznych układów. Ja to wielokrotnie powtarzałem. Ale to że jest naczelny inżynier zjednoczenia – on raz po raz robi jakieś problemowe narady – no to pisze do mnie – przyślij naczelnego inżyniera. – Ale u nas nie ma naczelnego inżyniera, są generalni projektanci. – Trzech mam posłać? – Nie. – A jeżeli jednego, to którego? – A może po kolei? – Prawda? – I już jest dylemat. – Tam zaczynają się denerwować, że nie przyszedł naczelny inżynier. – Znow mają z nami kłopot. – A myśmy chcieli tylko logicznie się zorganizować.

Podaliśmy śmieszny przykład. Ale dużo więcej jest znacznie poważniejszych historii. – Chociażby takie, że ten kontrolujący, których coraz więcej pojawia się w naszym biurze – już jak do nas idzie, to wie, czego u nas szukać. – Bo my się wyróżniamy – wyróżniamy się szczególną robotą, za którą można stosować wyceny indywidualne. – Niczego innego nie sprawdzają. Nawet przy przyjęciu bilansu, kiedy nie powinni się tym zajmować, to się uderza w to i wokół tego krąży. Jedni i drudzy kwestionują nasze wyceny, obcinają je, zmniejszają pieniądze dla pracowników.

I tych uwarunkowań zewnętrznych jest bardzo dużo i wpływają one na to, że nie możemy być taką jednostką, jaką sobie wymarzyliśmy kiedyś. Są też uwarunkowania wewnętrzne. Zdajmy sobie sprawę z tego jednak, że jak raz po raz ten i ów przychodzi i mówi – ja już tak dalej nie mogę – musimy jednak stać się standardowym biurem, z kierownikami pracowni, z działem planowania, z działem produkcji, ze wszystkim, ze sprawdzającym zespołem... - w sytuacji kiedy mówiliśmy, że to jest wszystko zawracanie głowy... - Przecież tak wystartowaliśmy z tym biurem – że mówiliśmy, że administracja to powinna być – księgową, magazynier plus intendent – i w zasadzie wszystko. – No, może ktoś do pisania sprawozdawczości.

ZBIGNIEW — ...i dobra sekretarka...

MARIAN — No, może nie jedna nawet, bo od dobrej sekretarki bardzo dużo zależy. – I ja byłem tak tym jakoś podekscytowany, że no... - dosłownie żyliśmy tym.

Szybko okazało się, że ta ekonomistka, to nie chce być sekretarką zarazem. A ten projektant nie chce jej uważać za ekonomistkę – i tak dalej i tak dalej. – A jak przyjdzie do trudnej sytuacji z umową, to nie wiadomo, kto odpowiada...

No, przecież jest mi do tej pory przykro za to, co mnie spotkało... - No, przyjęliśmy zasadę naturalnego doboru w tym biurze. Czyli zupełnie odsunąłem się od jakiegokolwiek narzucania, że... - tak jak to jest oczywiste w każdym innym przedsiębiorstwie - ...że dyrektor po prostu wzywa kierownika – od dziś masz nowego pracownika, proszę zapoznać go z robotą. – Żadnego takiego przypadku w biurze nie było. I dobór następował w sposób naturalny. – I w sytuacji gdy nagle

coś zaczyna trzeszczeć, to ten co dobiera w tak naturalny sposób sobie ludzi, przychodzi do mnie i oddaje mi ludzi do dyspozycji. – Ja mu mówię – no, słuchaj, przecież to nie worek kartofli, żebyś go tak przerzucał – prawda – raz ci się podoba, raz ci się nie podoba jakaś gęba. – A on na to – zobacz, kto się podpisał pod angażem? – Ja czy ty? – Ty! – No to ty odpowiadasz za tych ludzi.

Po paru takich strzałach w różnej materii – wiercie mi, że ja zaczynam inaczej myśleć.

Jak ja mam sytuację taką – i to też powtarzam – no jest ta dyscyplina pracy, z którą trzeba walczyć tak jak z... - powiedzmy z komarami – co roku się walczy, nigdy się ich nie wybije i problem stale istnieje. – Ja przepraszam, że aż tak wulgarnie o tym mówię, bo powinienem mówić, że jest to to, z czym ja sobie poradzę, bądź już dawno poradziłem. – No ale nie mogę dopuścić do takiej sytuacji, że to jest tylko moją sprawą. – Jeżeli mamy szefa zespołu autorskiego, to niestety albo on jest tym moim przedłużeniem we wszystkich kwestiach i tym się też zajmuje – prawda? – Albo jak się nie zajmuje, to ja muszę znów dośpiewać jakąś urzędniczkę do spełniania tej funkcji w biurze. – I cudów nie ma.

Tak z każdą sprawą – jak mi dany zespół projektowy powie, że on sam we własnym sosie nie sprawdzi dokumentacji, co jest dopuszczalne – tylko żąda zespołu sprawdzającego – to ja ten zespół sprawdzający muszę powołać, bo musi wyjść z biura dokumentacja dobra, czyli sprawdzona. – I znów przychodzi jeden pan za pięć tysięcy, drugi pan za pięć tysięcy – a pieniędzy coraz mniej dociera do tych projektujących.

ZBIGNIEW — Inwestor żąda, żeby był zespół sprawdzający niezależnie od zespołu projektującego.

MARIAN — To jest zapisane w ten sposób w prawie budowlanym. Jest to adres w stosunku do dyrektora. – Że dyrektor ma obowiązek zapewnić skutecznie działającą kontrolę wewnętrzną prowadzonych prac projektowych. Nic więcej się pod adresem dyrektora nie mówi. A sposób jest dowolny. I my się możemy umówić wewnętrznie, że robimy tak, bądź robimy inaczej...

ZBIGNIEW — ...ale konsekwentnie...

MARIAN — Ale konsekwentnie. Tymczasem raz po raz mamy... - i to darujcie, że powiem - ... że jak dwa pionicy chcą system A, to trzeci musi mieć system Be. Jak jeden pionik chce zespół sprawdzający – to dwa muszą natychmiast nie chcieć zespołu sprawdzającego. Niby jest dyrektor, a to załoga ma rację, ustrojową rację. – I ten dyrektor musi na wszystko znaleźć antidotum.

ZBIGNIEW — Wszystko polega na tym, że nie wprowadzono u nas takiego pojęcia w kraju – tak jak to jest za granicą – że nieważnym jest, co kto robi. Za pewien zakres pracy pracownik dostaje pensję i on wie o tym, że jeżeli będzie wykonywał wszystkie polecenia... - Bo u nas to tak jest. – Jak sprzątacze pan każe coś jeszcze jakąś usługę zrobić, to ona świadoma, że już jest z punktu pokrzywdzona, że zarabia za mało... - To budzi się normalny opór, że nie! Dlaczego ja mam to robić? – I tak się dzieje u nas, od sprzątaczkę w górę to byśmy doszli do szczeble niemalże ministra – na tej samej zasadzie.

A gdyby było powiedziane, że przypuścimy, bez względu na to jaka będzie... - Oczywiście podstawowym zadaniem jest sprząkanie. Ale jeżeli zajdzie potrzeba, że trzeba tam coś przenieść, że trzeba pomóc i tak dalej – cały wolny czas jest... - to jest pracownik do dyspozycji biura bez względu na to, co mu każą robić. – I nie ma się czego obrażać, jeśli mu każą coś zrobić. – My tego nie potrafimy zrozumieć – niestety na naszym własnym podwórku – że jeżeli jest brudno w pokoju, to przecież naprawdę nie ma problemu, gdyby ta cholerna szczotka stała w rogu pokoju i żeby dyżur był i żeby dla własnego dobra...

MARIAN — Panie inżynierze. To wszystko się zgadza. I u nas ten sam jest system, bo w karcie, którą pan podpisuje, jest powiedziane, że zwierzchnik może panu polecić wykonanie każdego zadania i nie ma pan prawa odmówić.

TADEK — Ale ten zwierzchnik z kolei wie, że te pensje są w jakiś sposób zaniżone i on się czuje skrzepowany wymagać ode mnie sprząkania – rozumie pan.

Ale gdyby było powiedziane, że zarabiasz tyle i każdy sobie kalkuluje – ach – mam pensję zasadniczą tyle, ta premia dodatkowa jest rzędu dziesięciu procent... - do czego wszyscy zresztą zmierzamy w kraju - ...że jest to stała jakaś pensja, na podstawie której można ułożyć jakiś budżet, można zaplanować, jeżeli komuś za mało, to musi sobie gdzieś tam dorobić, czy ograniczyć własne apetyty... - i on jest na to przygotowany – i wtedy wie, że przyjdzie ten pierwszy i dostanie to. – A co on będzie robił w międzyczasie – oczywiście jakieś usługi... - oczywiście to



musi być jakieś takie sprawiedliwe działanie, że nie będzie tylko ten jeden pracował, a ten drugi będzie siedział tam z boku i będzie sobie cały czas wygodnie siedział, - To jest sprawa kierownictwa.

I wtedy jest ta zachęta, że on nie czuje się pokrzywdzony, jeżeli będzie musiał coś innego zrobić. – I dlatego u nas jeżeli zostawi się tę premię – do czego teraz zmierzam – premię ruchomą wyższą, która jest w zasadzie trochę taka enigmatyczna, bo właściwie dla obu stron może być, może nie być – to już od razu powstaje niechęć, dlaczego ja mam to zrobić, kiedy nie wiadomo, czy ja tę premię jeszcze dostanę. – I to się nawarstwia – jeden z drugim, jeden z drugim – i powstaje takie niemrawe działanie.

I dlatego proponuję, żeby właśnie postawić... - to co na początku powiedziałem - ...że właśnie wzmocnić nadzór bezpośredni nad wszystkimi pracownikami – wtedy nie będzie problemu z niczym. Wszystko to się naprawi. – Musi być zasada, żeby pracownik czuł się wewnętrznie zadowolony, że nie jest pokrzywdzony. Że nie jest pokrzywdzony. I wtedy różnica nawet – że ktoś będzie zarabiał nawet trzy razy tyle od niego – nie jest istotna. Ważne jest, że to do czego się pracownik przyzwyczaił i może na to liczyć, żeby ona była ciągle stała i w miarę powiedzmy wzrostu cen, nabywanych kwalifikacji, stażu i tak dalej – żeby ten czynnik stały wzrastał. – To podstawowa elementarna sprawa.

ZBIGNIEW — Przepraszam, jeszcze dodam, bo trzeba będzie już kończyć, żeby twój czas uwolnić... - Czy moglibyśmy... - Czy możemy wyjść do kolegów z taką świadomością, że te sprawy będą jeszcze raz przeanalizowane, że ten przelicznik ulegnie jakiejś zmianie... - ...czy nie?

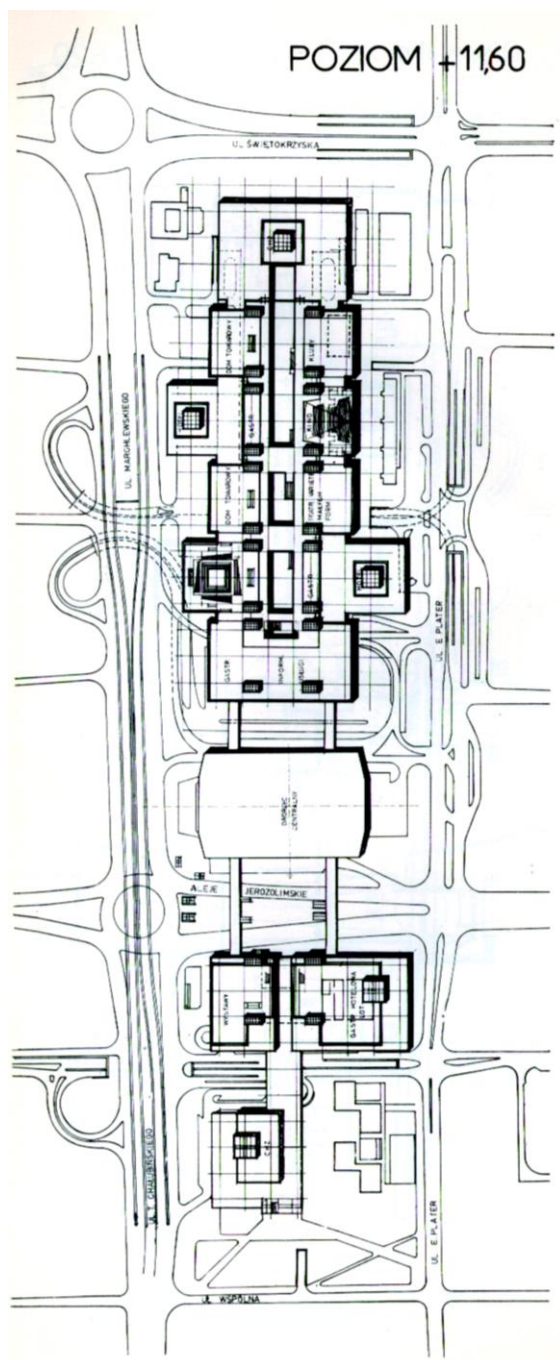
TADEK — Ja sobie nie wyobrażam, żeby to tak zostało jak w tej chwili.

MARIAN — Ja muszę nad tym po prostu pomyśleć. Wobec tego, to co powiem, to nie jest odpowiedzią. Byłoby mi najzręczniejsze, żeby nie przewracać tego, co już zostało zrobione. Nawet będzie jakaś taka, moim zdaniem niezasłużona, nieciekawa sytuacja w biurze. W wielu miejscach nie macie panowie racji. Jednak w wielu ją macie bezsprzecznie. Do tej części waszych wypowiedzi pragnę się odnieść z szacunkiem i będę się z nimi poważnie liczył.

Trudność leży w tym, że konflikt nie polega na błędzie którejkolwiek ze stron. Ja mam, to co mam. Załoga wie, czego chce. Żeby się te dwie rzeczy zeszyły, potrzeba dużej pracy mojej nad stworzeniem nowych warunków – potrzeba jeszcze większego zrozumienia załogi i wynikającej stąd wyężonej pracy całej załogi – tak aby jak najszybciej wytworzone zostały dodatkowe środki materialne, które pozwolą na spełnienie tych oczekiwań.

Myślę, że te najbardziej bolesne sprawy wspólnie załatwimy jeszcze w przyszłym miesiącu. Poważny procent, mam nadzieję, że załatwimy w ciągu najbliższych miesięcy. Reszta będzie musiała poczekać na przeszerogowania styczniowe. Może uda mi się to zrealizować.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*da capo*

Był taki Bogdan (Gajewicz). Przyjąłem go do pracy. Staliśmy się bardzo lojalni wobec siebie. Zdarza się.

Akt I. Scena 8. ALT. III  
15 listopada 1976 roku

*chacona*

*affettuoso*

BOGDAN — Ja tu najpierw swoją sprawę.

MARIAN — No.

BOGDAN — Tak jak mówią, ponoć biuro ma być rozwiązane. Czyli że ma być wchłonięte przez inne biuro.

MARIAN — Tak.

BOGDAN — Ja mam prośbę do ciebie. Nie chciałbym zostać w tym zlepku, jeśli ty nie będziesz nim kierował. Chciałbym, jeżeli to będzie możliwe, żebyś mnie zabrał ze sobą tam, gdzie ewentualnie pójdziesz. Na czym opieram... — Mam takich masę kłopotów, z którymi sobie nie umiem poradzić. Zostałem z tą jedną emerytką i co ja mogę zrobić. A tu nic nie chce czekać. W takim układzie nie nadażam. Ta znów w kółko czyta książkę. — Mówi — dyrektor mi pozwolił. Trudno mi mówić o szczegółach... — Wręcz nie powinienem tu dłużej pracować.

MARIAN — To co mówisz, to są takie rzeczy, że albo można z tego zrobić sprawę, albo...

BOGDAN — Ja nie chciałbym, żebyś robił sprawy. Chciałbym, żebyś wiedział — jakoś nie dzieje się tak, moim zdaniem... — jak by się pragnęło.

MARIAN — Wierz mi jednak, że wiele osób w biurze wie o różnych sprawach. Nie chodzi o to, że ja mało wiem, ale dziwi mnie, skąd się biorą takie wieści o rozwiązaniu, o łączeniu biura, skoro mnie nic nie jest wiadome.

BOGDAN — Ja to słyszałem od...

MARIAN — Są to na razie rozważania, przymiarki — których jest szereg — ... różnych. Stąd jeżeli się mówi o jednej wersji, jest to jakieś bardzo nieprecyzyjne. Wiadomo, że biuro jest w określonej sytuacji, bo jest zbyt małe, żeby mogło podolać temu wszystkiemu. Ma za małą administrację. Planowanie trzeszczy. Jak z administracyjnym to sam najlepiej wiesz — prawda? — ... i tak dalej, i tak dalej. — Przy tym zbyt duża część administracji w stosunku do ilości pracowników projektujących. Są te ogólnopanstwowe tendencje do tworzenia większych organizmów, które by potrafiły działać w sposób bardziej stabilny. Władza widzi w tym zasadniczy sposób na zażegnanie obecnych trudności gospodarczych. U nas wystarczy, że jakiś inwestor nie zapłaci jednej faktury i już biuro przeżywa poważny kryzys ekonomiczny. Podczas gdy przy większej jednostce jest zawsze to łatwiejsze do... — zawsze pewien procent faktur jest niezapłaconych, pewien zapłaconych i to się wyrównuje. Zawsze potrzeby są nieco mniejsze, niż możliwości. Stąd ta tendencja do dużych jednostek.

Nasze biuro musiało w zbyt dużym procencie bazować na póletatowiczach. Ze względu na to, że były te trudności... — to znaczy nie było potrzeby zatrudniania pewnych fachowców na całych etatach. Teraz przyszedł nowy prąd szukania oszczędności w biurach projektów, polegający na tym, że radykalnie likwiduje się póletaty. A to są ci wszyscy rzeczoznawcy, sprawdzający itepe... — co znów przemawiałoby za jednostkami większymi, bo tam tacy są już ekonomicznie uzasadnieni jako pracujący na całych etatach.

Dalej. Do naszych prac raz po raz potrzeba to kosztorysanta, który potrafi taką specjalistyczną instalację wycenić, to znów na przykład specjalista w zakresie technologii sceny, czy coś takiego, no i przy naszej strukturze i wielkości — to już problem. A gdyby ta jednostka była większą, można by uniknąć podobnych problemów.

No, nawet to się dzieje w skali miasta. My jako zestaw biur jesteśmy rozliczani każdy z osobna. Zarówno w zakresie kosztów własnych, jak i wykonania planu zatrudnienia, jak i też funduszu płac i jeszcze szeregu innych. I każdy dyrektor ma tam jakieś swoje rezerwy, swoje niedokładności — prawda? — ... czy niespodzianki... — I potem dopiero w dniu dziesiątego stycznia, jak się już to dokładnie zbilansuje, dowiadujemy się, co się stało. I jest sytuacja taka, że w jednym biurze... — że jedno biuro płaci kary za przekroczenie zatrudnienia, tymczasem drugie biuro tyle samo oddaje etatów, bo ich nie wykorzystało. A przecież oba są w tym samym zjednoczeniu. To wszystko i jeszcze parę innych rzeczy przemawia za szukaniem pewnych rozwiązań, żeby można było uniknąć tych nieprawidłowości — myśli się o daleko posuniętej centralizacji.

Jakby do tego dodać jeszcze te kwestie, że no... trzeba faceta dorywczo zaangażować do jakiejś pracy, bo tylko on się na tym zna — to jak to jest w tym samym biurze, to po prostu przechodzi z pracowni do pracowni... — Jeżeli taki jest już w innym biurze, to w tej chwili jest to wręcz niemożliwe. Bo jak się nawet dwaj dyrektorzy dogadają, którzy absolutnie w zasadzie nie mają powodu do tego, żeby się dogadali — bo obowiązuje ta bezinteresowna zawiść — to Wydział Zatrudnienia się sprzeciwia. Przeniesienie pracownika z jednej jednostki do drugiej jest wręcz niemożliwe, bo Wydział ma akurat w tym momencie inny pogląd w sprawie i nie jest przekonany o słuszności takiego bądź co bądź technologicznego pociągnięcia. I te wszystkie kwestie skłaniałyby nas do podjęcia rozważań na tle zmniejszenia... — musi następować zmniejszenie zatrudnienia — ... do szukania nowych form pracy.

No, wreszcie ja patrzę na to w ten sposób, że... — nawet w dziedzinie księgowości, czy napisać tysiąc dwieście, czy osiemset, czy nawet osiemdziesiąt, to jest to prawie ten sam wysiłek. — Prawda? — Sumowanie tych rzeczy jest... — no, można rzec, że ci sami ludzie mogą obsłużyć znacznie większy potencjał projektowy. Nie umiałbym powiedzieć, jak to wygląda u ciebie. Ale nawet sprawa taka, że mamy jedną jedyną magazynierkę. Jak zachoruje, jak idzie na urlop, to biuro leży. Prawda? — A gdyby był jakiś wspólny magazyn, to się zastępują pracownicy.

BOGDAN — Ja to doskonale rozumiem. Te historie są mi znane z poprzedniej pracy w wielkim przemyśle. Przecież to są już utarte zasady.

MARIAN — Prawda? — Czyli ja uważam, że należy szukać dobrych rozwiązań.

BOGDAN — Mówiłeś, że plotki. — No, one chodzą po mieście. — Chodzą na temat rozwiązania, czy połączenia nas z czym innym. Chodzą jeszcze takie jakieś inne... — Słuchaj. To jest nieuniknione. Tego się nie da uniknąć. Jeżeli o pewnych rzeczach w tym przedsiębiorstwie wiedzą trzy osoby, to jest pewne, że za dwa tygodnie będzie ich już wiedziało trzydzieści, a za dwa miesiące już będzie wiedziało trzysta.

MARIAN — Tak. Ale widzisz — musisz brać i to pod uwagę, że jeżeli się cokolwiek rozważa, to... — Na przykład jeżeli to dotyczy kilku biur projektów, to bardzo łatwo w tych biurach powstają teorie, w myśl których tylko oni na tym dobrze wyjdą. — I urabia się klimat pod to. Prawda. — Czyli ja się nie dziwię, że jeżeli gdzieś tam jakiś pracownik dowie się, że rozważa się łączenie dwóch biur i to dotyczy jego biura również, no to widzi to tylko w ten sposób, honorowy dla siebie — że rozwiązać tamtych i włączyć do nas i to tylko w jakimś procencie, żeby nie mieli żadnych wątpliwości o intencjach. Prawda? To przecież aż ślina się na język ciśnie, żeby złej osobistej satysfakcji... — że my to jesteśmy ci dobrzy, a oni są ci źli.

BOGDAN — W tym jest trochę racji.

MARIAN — Sprawa jest trochę pośrodku. Że gdybyśmy my doszli do wniosku, że jest sens jakiegokolwiek łączenia — co rozważamy chyba już od lutego tego roku — to będzie to musiało nastąpić na zasadzie likwidacji wszystkich uczestników takiego łączenia i powołania nowej jednostki. — Bo tylko w ten sposób psychologicznie nie zniszczymy tej największej wartości, to jest ludzi tych łączonych jednostek. W nich — żeby od razu dobrze pracowali — nie może zostać ani cienia jakiejś moralnej krzywdy i niedoceniań dotychczasowego wysiłku.

Sprawa jest bardzo poważna i tak wygląda, jak wygląda. I po to ci to mówię. Nie ma nic więcej. — No, wreszcie jest taka metoda, którą niektórzy ludzie z powodzeniem stosują, że się... — a zwłaszcza w dziennikarstwie jest z umiłowaniem stosowana... — że się puszcza kaczkę, bezpodstawną i się czeka — zdementują, czy nie. Jak nie zdementują, to znaczy, że dobrze trafiliśmy. — I tu trochę w tych plotkach, które krążą, jest i taki motyw.

No, wreszcie słuchaj... — Nie można działać metodą wylania dziecka z kąpielą. W związku z tym trzeba się również zastanawiać, czy takie pociągnięcia nie przyniosą ujemnych skutków. No i niestety nasza analiza wykazuje w sposób jednoznaczny, że przyniesie... — Że zasada łączenia jednostek ze sobą ma taki bagaż niepowodzeń i niewłaściwości, że nawet najbardziej zagorzali zwolennicy zawahali się we własnych tendencjach porządkowania.

BOGDAN — Masz rację. Ja takie coś przeżyłem już raz. Bardzo ujemne wspomnienia. — ... bardzo ujemne...

MARIAN — No właśnie. Popsuć, to najłatwiej. Jak mamy coś zrobić, to musimy tak zrobić, żeby to wyszło lepiej, niż jest. A to — lepiej — w różny sposób można osiągnąć. Co można wobec tego dalej, żeby zakończyć sprawy między nami dwoma, a nie szukać koncepcji, co dalej z biurem zrobić. Jest nad czym myśleć, bo ... — Nawet gdyby nam się tak chciało wegetować, jak wegetujemy, to nie znaczy, że władze muszą się na to zgodzić, że to jest słuszne z punktu widzenia naszej gospodarki. Prawda? — Więc teraz porozmawiamy o tym, co ciebie boli, skoro tyle czasu poświęciliśmy temu, co mnie boli.

BOGDAN — Słuchaj. Więc nie. Zostawmy tę sprawę do momentu, jak to jest zaklepane już na stricte sprawy.

MARIAN — Jeszcze będzie zebranie partyjne, ale też nie będziemy ruszać tego na zebraniu partyjnym... — naprawdę nikt nie wie, w którą pójść stronę. Dyrektor zjednoczenia jeszcze myśli.

BOGDAN — Ty masz być dyrektorem zjednoczenia.

MARIAN — Kto ci to powiedział?

BOGDAN — To nie istotne. No słuchaj. Przecież...

MARIAN — Ja słyszałem... — ktoś mi tu usłużny doniósł, że się wybieram na placówkę... dyplomatyczną. Więc mają te pomysły ludzie.

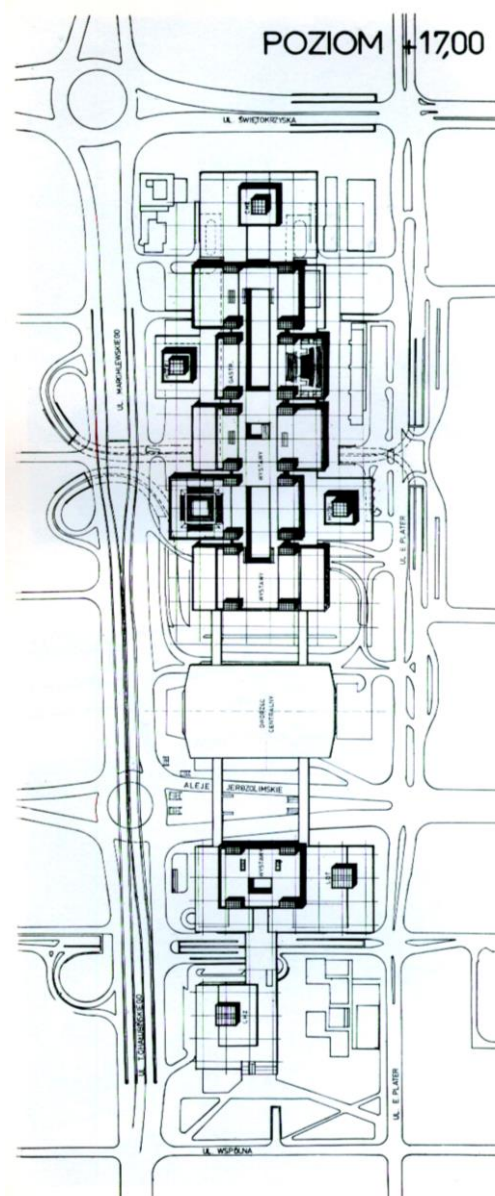
BOGDAN — Nie. Ale słuchaj, to dobrze. Moim zdaniem to jest dobra robota. Bo gorzej by było, jakby gadki chodziły, że ty jesteś taki, że cię w ogóle załatwią.

MARIAN — Najskuteczniej to mnie taka plotka załatwi. ...bo jeśli to dotrze do dyrektora zjednoczenia... to on mnie wcześniej załatwi. — No, to się tak — wiesz — mówi. Chciałem, żeby coś z tego biura wyszło i zawsze w takich rozmowach staram się nie zaogniać, staram się pomóc rozmówcy, a wierz mi — mimo że wydaje mi się, że ciebie przekonałem w kwestiach, z którymi przyszedłeś, to to zostało w mojej pamięci, jak kiedyś...

BOGDAN — Słuchaj. Ja się przyzwyczałem. Przecież ja się przyzwyczałem do tego biurka. Patrz nawet. Bodajże dla mnie to twoje biurko ma większą wartość. Dlatego że ja go tu sam wniosłem na plecach.

MARIAN — Tak. To całe nasze montowanie było tak żmudne, a tak niepozornie dziś wygląda.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.



*da capo*

Naczelnik Urzędu Dzielnicowego Praga — Północ, Jerzy Kowalski, Generalny Projektant Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy – Pragi, Bogusław Chyliński i ja — u mnie.

Akt I. Scena 9. ALT. III  
23 listopada 1976 roku

## *barcarola*

*cantabile*

BOGUŚ — Sytuacja jest taka. Że w mojej sytuacji zawodowej, ja nie mogę sobie pozwolić na robienie tego, dlatego że żyje architekt, który budował ten obiekt.

NACZELNIK — Tak.

BOGUŚ — Może ktoś inny może sobie pozwolić na to. Ja nie mogę robić za kogoś, jak tamten jeszcze ciągle żyje. To jest sprawa w kategoriach, że tak powiem...

MARIAN — Nie. Ja powiem dłaczego. Ponieważ na Targówku będą te cztery mieszkania...

NACZELNIK — On był u mnie, żeby dać forszę, bo trzeba zapłacić, a takiej forsy ja nie mam. Wydział Kultury znów nie ma...

BOGUŚ — Dobrze. To może powiedzmy tak...

NACZELNIK — Coś na Targówku, na przykład.

BOGUŚ — To może my się zwrócimy do tego faceta, czy on nie będzie miał nic przeciw temu. Bo to jest dla mnie jedyna droga, w której ja nie wpadam w konflikt z naszą etyką zawodową.

NACZELNIK — No dobrze. A kino na Bródnie? Z prawdziwego zdarzenia takie kino. Tu minister da mi środki. Coś takiego z prawdziwego zdarzenia.

BOGUŚ — Tu nie ma wątpliwości.

NACZELNIK — Ale teraz ja... — Bo wyście mi teraz powiedzieli... — No dobrze. My też wkraczamy na działkę któregoś tam projektanta, który tam już coś ruszał...

BOGUŚ — To jest co innego. Co innego jak ja się dopasowuję do obiektu żywego, który istnieje... — Istnieje.

NACZELNIK — Ja rozumiem teraz, o co wam chodzi.

BOGUŚ — To jest tak, jakbym zaczął poklepywać czyjąś żonę.

NACZELNIK — No tak.

BOGUŚ — Niby przyjemna rzecz, ale jednak... — Tak że tu są zupełnie inne racje moralne.

NACZELNIK — I zrobimy to kino w czynie społecznym, tak?

MARIAN — Projekt.

BOGUŚ — Z nadzorem autorskim w czynie społecznym.

NACZELNIK — Wykonawcę ja bym wtedy znalazł. Pieniądze — to ja już gwarantuję. Wprawdzie on jest na razie w powijakach, ale gwarantował mi, że jedno kino będzie na Bródnie. On oprócz dobrych chęci nie ma nic.

MARIAN — Nie. To może byś zlecił, my za to grosza nie weźmiemy. Tylko ta formalność zlecenia, bo to i umowa będzie przesłana regularnie...

NACZELNIK — Jeżeli już do tego dojdzie, to ja bym chciał, towarzysze, żeby to kino było... no...

BOGUŚ — Będzie! Będzie!

NACZELNIK — To że w czynie społecznym, to zobowiązuje do wysokiej jakości.

BOGUŚ — Dobrze. Przyjęliśmy umowę.

NACZELNIK — Szczegóły całej operacji to my sobie jeszcze dogadamy. Ja wam obiecuję te cztery mieszkania.

MARIAN — Mam tu kilka spraw, które chciałbym z tobą omówić. Najpierw taka rzecz. Było takie spotkanie biur projektów w Śródmieściu, tam sobie zapisaliśmy wiele postanowień...

NACZELNIK — Tam się dużo dobrego obiecuje sobie — tak?

MARIAN — Ja w tej chwili mam na myśli takie bardziej przyziemne kwestie. Mianowicie tam zapisano, żeby dla dobra inwestycji organizować wspólne egzekutywy związane z określonym tematem. Ja na ostatnim zebraniu partyjnym zgłosiłem propozycję, żeby zrobić dwie wspólne egzekutywy – jedna na temat projektowania i realizacji tych osiedli – druga na temat modernizacji. W każdej byłby inny skład – inwestora, biura i wykonawcy. Żeby od strony partyjnej też zabezpieczyć, dogadać się gdzie trzeba, żeby te kontakty nawiązać, żeby... - no żeby wyniki były jeszcze lepsze... - Co sądzisz w ogóle o propozycji?

NACZELNIK — Znaczy ja jestem absolutnie za. Jak widzisz, zapisałem sobie oba tematy. Myśl jest absolutnie doskonała.

MARIAN — Drugi temat znacznie bardziej obszerny. Muszę przez chwilę pomyśleć, jak je przedstawić. — Chciałbym ciebie — no tak naprawdę gorąco — jak przyjaciela — poprosić o szczerść... — Sprawa jest o tyle trudna... — i o tyle łatwa do rozmowy z tobą, bo... — przynajmniej tak jak ja czuję, wy nam nic nie zarzucacie. — Tym niemniej zarzuca się nam dużo. — Jak byś tak widział — co myśmy powinni zmienić? — Bo boli nas to, że tak się o nas mówi, jak się mówi...

NACZELNIK — A jak się o was mówi? — Słowo honoru. — Nie wiem... — Ja proponuję... — Ja wiem, o co ci chodzi, domyślam się. — Natomiast chcę ci powiedzieć, żeś poruszył problem, o którym nieraz rozmawiałem i z tobą i z towarzyszami — a który dotyczy spraw znacznie szerszych. Mnie zależy na tym, żeby nie utożsamiano tego co robicie, z jakimiś tam konfliktami, które są... które są... na zewnątrz.

MARIAN — To też. No wiesz. Już tak szczerze mówiąc, nie bardzo potrafię się pozbierać od pewnego czasu.

NACZELNIK — Znaczy, ja ci chcę powiedzieć tak... — Jeżeli tak ci można powiedzieć szczerze — że ja osobiście nie mam żadnych uwag i nic nie zarzucam.

MARIAN — Toteż dlatego powiedziałem...

NACZELNIK — Z moich kontaktów, które miałem tutaj w ciągu półtora roku — nie spotkałem się z taką sytuacją, żeby na przykład jak się zwróciłem z prośbą do was, żebyśmy spotkali się z odmową, czy jakąś wymijającą odpowiedzią, czy z innym załatwieniem sprawy. Po prostu nie.

I w tym akurat przypadku to powiem ci uczciwie — ja nie jestem w stanie... — jestem za małym pionkiem — żeby w tej sprawie zajmować stanowisko... — ja wiem — decydować... — Natomiast jeżeli chodzi o obiecywanie, to ja mogę zapewnić, że jeżeli ktokolwiek mnie zapyta o zdanie... — a sądzę, że będzie kilka osób w tym mieście, które mnie o zdanie zapytają... — to będę jak najbardziej przychylnie mówił o was.

Ale to jest jedyna definicja, którą wam mogę obiecać. — To znaczy nic poza tym. — Bo gdybym wam obiecywał gruszki na wierzbie, to byłoby z mojej strony po prostu... złe postawienie sprawy i byłoby to nielojalne postawienie sprawy. — Po prostu nie znam ani szczegółów, ani tam...

Naprawdę od czasu do czasu do mnie dochodzą jakieś tam odgłosy — przyznam się szczerze. — Od czasu do czasu jestem świadkiem nawet osobiście różnych spięć, jakie są między wami. No nawet dam przykład ostatniego posiedzenia, kiedy dla mnie co najmniej zadziwiająca sprawą jest fakt, że siedzą w jednym rzędzie przedstawiciele — przepraszam za aktualności — siedzą w jednym rzędzie przedstawiciele — no właściwie w moim pojęciu jednej służby... — jednej służby, tak? — I między nimi są — że tak powiem — jakieś utarczki. — Więc dla mnie jest to też niezrozumiałe.

No ale zgódź się. Nie są to sprawy, które my możemy rozstrzygać na tym szczeblu. Czy nie masz do mnie pretensji, że się dyplomatycznie wywinąłem z sytuacji?

MARIAN — Nie. Gorzej byłoby...

NACZELNIK — No właśnie.

MARIAN — ... gdybyś potwierdził moje obawy. Mogłeś powiedzieć: — No to skoro chcesz — to ci powiem...

NACZELNIK — Nie.

MARIAN — Mogło być i to. Widzisz, bo jak ja patrzę na to biuro. Jesteśmy bardzo problematycznym biurem. Wiemy o tym, że małym. — Że biurem niespokojnym — że powodują-



cym trudne sytuacje — że biurem lubiącym koncepcje... — No co tu dużo mówić — potrafimy bardzo dobry pomysł zamienić na jeszcze lepszy i tak w kółko ulepszamy swoje projekty...

NACZELNIK — Jeżeli można coś ci poradzić — to ja proponuję, żeby nie wpadać w takie stresy. Bo ja uważam osobiście, że to nie jest kwestia, która... — powinna was dotyczyć, znaczy kierownictwo, bo w końcu nastrój każdego z was się odbije na pracy pozostałych — tak? — Ja po prostu mam taką propozycję. — Przecież — słuchaj — nie od dziś wiesz...

Ja uważam, że wy macie tak dużo na swoim koncie tych piłeczek... — bo teraz jest modne, że się rzuca piłeczki tam do tego klosza — kto jest ważniejszy — ... że macie tyle — wiesz — punktów — że ty się nie powinieneś poddawać takim różnym... — no, ja wiem... — Słuchaj, bo...

Każda instytucja — która jest instytucją kontrowersyjną, czy przynajmniej działa w sposób kontrowersyjny — czy ja wiem — jej działanie wywołuje jakieś tam kontrowersje — zawsze będzie miała swoich zwolenników i przeciwników. — I to jest nieuniknione.

Jeżeli chcesz kierować taką instytucją, która się będzie ze wszystkim zgadzała, to oczywiście możesz to robić, tylko ja wtedy przestanę mieć do ciebie szacunek. — Natomiast jeżeli kierujesz instytucją, czy grupą ludzi, bo to nie jest instytucja, to nie są przecież mury... — Która pracuje w sposób taki czy inny, ale ona pracuje w sposób niecodzienny, ciekawy, ja wiem — nowatorski — to za dużo może powiedziałem, bo ja nie jestem fachowcem, żeby was aż tak oceniać — tak?... — Ale w każdym bądź razie wasza działalność wywołuje jakieś tam określone reakcje — nie zawsze pozytywne — to jest to tylko plus dla was.

MARIAN — Więc na pewno mamy...

NACZELNIK — Słuchaj — ja ci powiem — per analogia — nie ma... — bo ja wymienię na przykład — ja wiem? — Jak by ci to wytłumaczyć? — ... żebyś ty mnie zrozumiał? — O! Już wiem! — Problem ograniczymy do robienia poczty. — Każdy gospodarz, jeżeli usiądzie sobie na dwie godziny, a otrzymuje ileś tam kilogramów poczty dziennie... — zabawiać się tylko w pisanie... — znaczy tam... — z lewego górnego rogu... — określonych zdań... — to właściwie oponenci milczą. — Bo zasada jest taka, że szef po prostu umiejętnie żeby wiedział, które poruszyć sznureczki.

Natomiast jeżeli ten szef instytucji, no chce... ja wiem... — zrobić z tym krok do przodu... — czy po prostu inaczej... — że on nie musi tam pisać dekretacji, tylko wzywa na przykład do siebie kierowników... — Czy na przykład — chciałem — ja ci powiem tu szczerze... — no chciałem ja ci... — Przepraszam, że teraz słyszę sprawę... — Ale muszę to spłycić, dlatego że ty masz inny charakter pracy i ja mam inny.

No, chciałem na przykład miesiąc temu wprowadzić dla wszystkich pracowników takie kartki, jak są w szpitalach — że jak idzie urzędnik korytarzem i spotyka go interesant, to żeby od razu czytał, kto to jest. — Imię. Nazwisko. Stanowisko.

Słuchaj, ty wiesz, co się zaczęło dziać? — To jest nieprawdopodobna historia. — Łącznie z telefonami do Kawu [Komitet Warszawski PZPR]. — Że ja chcę... — I już nawet miałem zamówione te plakietki... — A mnie się wydawało, że to jest zupełnie normalne... — Że to po prostu przychodzi interesant... — Chciałem to w ramach — jak to się mówi — usprawnienia pracy, czy tam kontaktów... — Oczywiście mam już co najmniej kilkuset wrogów. — A ja się tym w ogóle nie przejmuję.

Ja po prostu uważam tak. — Ja powiadam ci — spłyciłem, bo sprowadziłem do swojej działki. Ty masz zupełnie inne problemy, bo problemy, którymi ty się zajmujesz, są takie szerokie. Ale jeżeli ty będziesz... — Znaczą inaczej. Jeżeli... — Ja osobiście... — Inaczej wam... — Gdybym ja był władzą w tym mieście i miałbym decydować o sprawie — waszej oceny — oceniłbym ją bardzo pozytywnie. — Bardzo pozytywnie.

Ja po prostu uważam, że musi w tym mieście istnieć określone grono ludzi, którzy są właśnie tacy niesforni. Bo to jest zdrowe. To po prostu człowiekowi pomaga.

MARIAN — Tak.

NACZELNIK — Słuchaj. Bo jeżeli ja mam na przykład człowieka, który się zawsze ze mną zgadza... — To ja zawsze mam wobec niego podejrzenia, czy on się zgadza dlatego, że mam rację — czy dlatego, że on się mnie boi? — Czy dlatego, że on czeka, żebym się podłożył, a potem powie: Aha! A ja myślałem inaczej.

I dlatego ja potrzebuję zawsze mieć takiego... — wiesz, mnie bardziej odpowiada człowiek, który mi powie: — a ja się nie zgadzam. — I nawet jeżeli go w tym momencie opieprzę, bo on na przykład się wyrwał w niewłaściwym momencie — albo w niewłaściwym gronie osób... — To ja zawsze sobie o nim pomyślę z wielkim szacunkiem. — Żeby go nawet opieprzyć!

O! I tak samo tutaj — mnie się wydaje — jest z wami — że po prostu... — Ja osobiście... — teraz mi nie uwierzycie — ja osobiście nie spotkałem się... — nie spotkałem się... — a kilku osobom zadałem takie pytanie — nie spotkałem się ze złą oceną placówki, którą kierujesz. — Natomiast faktem jest, że jak czasami przy różnych tam okazjach, czy naradach — obserwuję takie tam utarczki... — Ale powiadam ci — zadałem kilku osobom — i to wcale nie tak mało ważnym — wszędzie miałem pozytywną ocenę.

MARIAN — Widzisz. Ja też przez jakąś analogię bym ci opowiedział, co mnie boli. W budownictwie bywają sezony — mniej więcej na jakieś dwie pięcioletki liczone... — może to się skończyło, ale zobaczymy dopiero za jakiś czas — ... kiedy raz się mówi o specjalizacji przedsiębiorstw, a raz się mówi o kompleksowości. W tej chwili jest to jednak w fazie kombinatów. Prawda.

No, a pamiętam, kiedy mówiło się o specjalizacji, każdy robił fragment i to miało być lekarstwem na postęp w budownictwie... — A ten stan zrealizowano wówczas z podziału takich wielobranżowych wcześniejszych struktur.

I w tej chwili w projektowaniu jest podobna teza. To znaczy — podobny proces zachodzi. Są okresy, kiedy się mówiło o tym, że powinny być... — że raczej małe przedsiębiorstwa projektowe są właściwe... — Teraz jesteśmy w okresie, kiedy się mówi, że tylko duże są właściwe. — Zwykle problem jest po środku. — Wiesz, bo ja nawet się...

Jest sprawą jednoznaczną, że z tego tytułu, że nas jest tylko sto siedemdziesiąt osób, my przeżywamy określone perturbacje. A nasza pracownia dwudziestokilkuosobowa? Cóż to jest za potencjał, żeby odpowiedział w sposób prawidłowy i nie dał się ustrzelić na każdym kroku... — no przecież są względy ekonomiczne, etatowe, terminy, spryt działania naszych współpartnerów i tak dalej.

Jest hasło o wielkich organizmach gospodarczych. — Ja rozumiem. Bo ja bym na to obiektywnie w ten sposób patrzył, że z pewnym przybliżeniem można powiedzieć, że dla mnie to jest wszystko jedno, czy kieruję małym, czy dużym organizmem. Dla gospodarki chyba byłoby lepiej, że bym kierował większym, bo wtedy wiadomo, za co mi się płaci. Ale tak jak się rozmawia z tymi ludźmi z tych wielkich struktur — no, jednak nie są przekonani o sensie biur rzędu tysiąca osób. Prawda, że to załatwia pewne sprawy, ale gubi wiele innych — czasem tych najbardziej istotnych.

I wierz mi — ja naprawdę na dzień dzisiejszy nie mam takiego — z ręką na sercu — zdania, że powinno być tak albo powinno być inaczej. Z tego tytułu, że jesteśmy małym biurem, możemy sobie pozwolić na pewien proces, że u nas każdy projektant wie, że jego nazwisko jest znane, że ma tę swoją satysfakcję, że robi jakąś określoną robotę. — Ale jednocześnie wie, że jak my się podejmiemy takiego kina, jak mówisz, to będzie miał wielki problem z technologiemi sceny, z technologiemi kina, bo tego nie ma — z akustykiem, bo nas nie stać na to — i z paroma innymi sprawami. — Co w strukturze dużej byłoby oczywiste, bo tam się zatrudnia trzech akustyków, czy dwóch technologów i samograj działa.

NACZELNIK — Jeżeli ci można powiedzieć. To ja ci chcę powiedzieć, że ty akurat w tej chwili wkraczasz na działkę, na której ja się zupełnie nie znam. To znaczy, ja nie wiem, nie potrafię ci odpowiedzieć, czy w waszym fachu są lepsze duże organizmy, czy małe. Ja potrafiłem ci odpowiedzieć na temat waszej pracy, czy oceny waszego biura. Natomiast w tej sprawie naprawdę trudno jest mi się wypowiedzieć.

Żebyś ty mnie nie zrozumiał, że ja chcę robić tutaj jakiś unik, czy nie chcę ci... — Po prostu nie potrafię i ja nie jestem fachowcem i nie wiem, czy jest, no... — człowiek który potrafi powiedzieć, że na przykład my poprzez jakieś tam kombinaty — przez analogię — projektowe załatwimy sprawę.

Bo ja uważam, że — tak już na logikę zupełnie — i to per analogia do spraw na których się znam — my tego nie załatwimy.

To znaczy, ja sobie wyobrażam — wiesz — ponieważ wy macie zawód twórczy... — że gdybyśmy na ten przykład zrobili jeden zespół twórców filmowych, zamiast tych szesnastu, które tam

rozsiane po kraju — prawda. — Który by skupiał wszystkich na etatach, wszystkich reżyserów, operatorów, scenarzystów, to te wszystkie specjalności od których — że tak powiem — film zależy. To ja nie wiem, czy my byśmy poprawili naszą produkcję filmową... jeżeli chodzi o jej efekty.

Mnie się wydaje, jeżeli chodzi o sprawy twórców — to ja to mówię czysto na logikę — ale myślę, że w sprawach twórczych lepiej funkcjonują małe organizmy, niż duże. To znaczy, może być nad nimi czapka, która powinna spełniać określone role w postaci tego, o czym ty mówisz. To znaczy w razie czego podrzucać tam operatora, dobrego kierownika produkcji — tak? — Wynająć kilku dobrych aktorów. Natomiast grono tych twórców powinno być małe — no. Ale to mówię na logikę.

MARIAN — ...

NACZELNIK — Nie wiem, czy to pod wpływem pogody, czy też ja się tak dobrze u was czuję, to chcę wam powiedzieć, że ja osobiście, jeżeli bym widział model i gdyby to ode mnie zależało i w przyszłości bym tym kierował, czy nadzorował z jakiegoś tam wyższego szczebla, to ja bym widział właśnie małe zespoły. Nad nimi najwyżej taką czapkę. Ale czapkę w sensie prężnym, nie tylko w sensie administracyjnym, biurokratycznym, ale czapkę w sensie takim, że nie tylko od was wymaga, ale i wam pomaga. To znaczy, jak trzeba jakąś sprawę szybko załatwić, a wy nie macie, czy specjalności, czy kogoś, kto w ogóle się na tym zna, to ta czapka wam natychmiast to dostarcza. Ale powiadam ci — to jest moja osobista opinia.

BOGUŚ — Popieramy. To jest tak. Jak dobry koniak zalejesz trochę wodą, to już jest gorszy, a jak całkiem zalejesz wodą, to już jest woda.

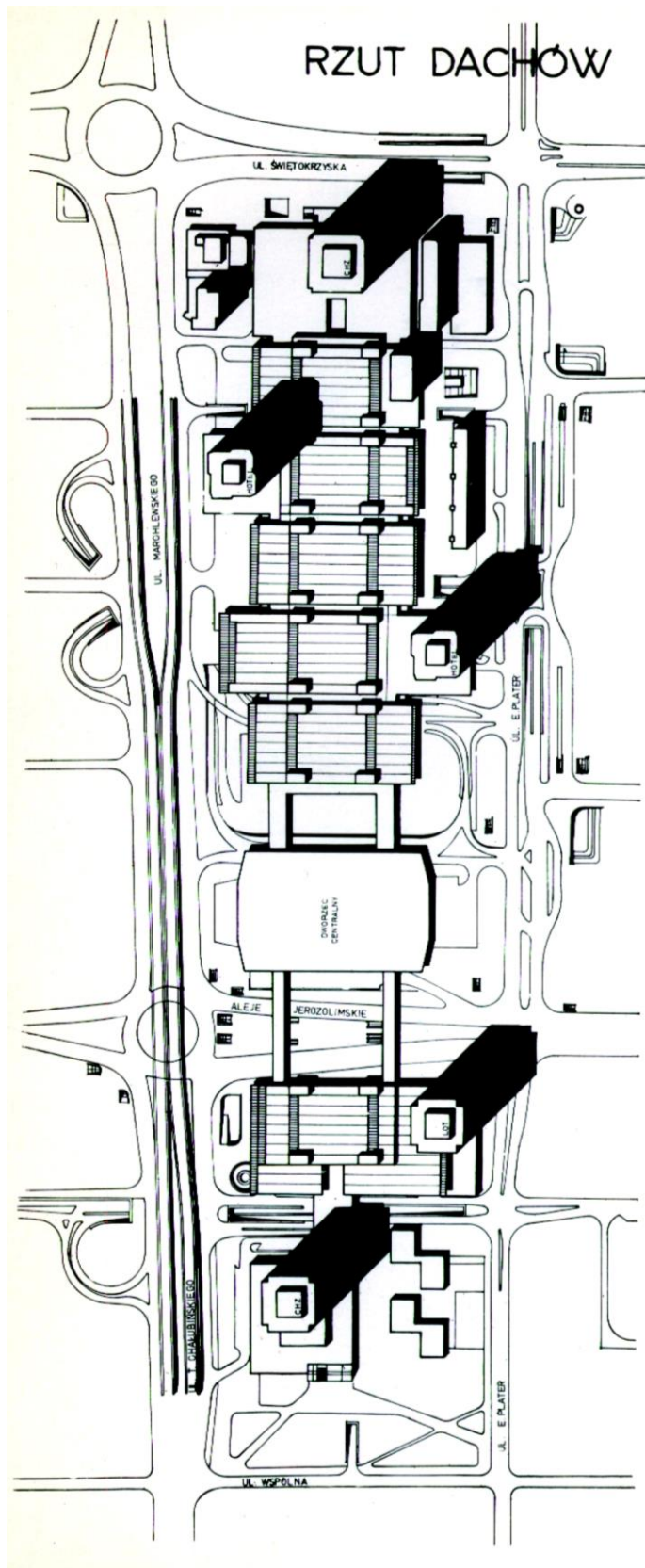
MARIAN — Znaczą, jeżeli mogę wrócić do twojego pierwszego pytania, to ci mogę powiedzieć tak już na zasadzie szczerości. — Że mnie osobiście jest ta sytuacja na rękę i nie na rękę. Ale przecież sam dobrze wiesz? No nie? — Raczej powiedz, co słyhać po odejściu pierwszego?

NACZELNIK — Widzisz. Śmieszna historia. Ja osobiście miałem takie dwa epizody. Spotykałem jednego, a ten mi mówi: — Już nie masz opiekuna. — Nic nie odrzekłem. Cóż miałem mówić. Lecz po paru dniach znów go spotykam i mówię: — Znów mam opiekuna. — Teraz on nic nie odrzekł. Ale tak po prawdzie, to ani wówczas, ani teraz nie będę szukał przecież opieki. A jak nie, to nie. Ale to osobista dygresja. Tak poważnie, to przerażające jest, jak to spłynęło bez najmniejszej reakcji po tych choćby, którzy mu tyle zawdzięczali.

MARIAN — Tak. Tutaj jesteście szczery. Jest to znamienne. Wprawdzie jest to zupełnie zdrowe dla wszystkich, że tak bez mrugnięcia potrafią iść dalej. Wiesz, ja też będę szczery. Zważyłem już kiedyś, kto tu i kogo winien żałować. A stało się to poprzez taki epizod. Miasto przygotowywało się do zaprezentowania naszego projektu Gierkowi, Jaroszewiczowi i innym. Wiele było zawiści i zagrywek, bo różni liczyli, że wezmą w tym udział. Ja sam dostałem się tylko dlatego, że miałem obsługiwać rzutnik autorowi. W przeddzień tych nielicznych wyróżnionych zebrał Wiceprezydent Edward Dobija i przekazał nam, że nie wolno nikomu z nas zabrać głosu, bo jak się wyraził: — „Będą rozmawiać tylko ludzie z towarzystwa”.

NACZELNIK — To już popłynąłeś; ale ja uciekam.

\*



Zachodni Rejon Centrum Warszawy.

*da capo*

Musiał przyjść moment mej kłęski. Dyrektor Stołecznego Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego – Stanisław Kluszewski, jego zastępca – Ryszard (Antoś) Wróblewski i ja.

Akt I. Scena 10. ALT. III

28 grudnia 1976 roku

### *fuga alla coda*

*impromptu*

MARIAN:

– Znów popełniłem gafę, bo przyzwyczailem się do czegoś, co mi dano trochę potrzymać.

( — Sprawa jest w moim ręku). — Słyszę...

– Tak sobie myślałem, że przyjdę i powiem: — Zrobię, co zechcesz — no. — Szef powie w tę stronę, to jedziemy w tę stronę.

( — Ja powinienem jednak podjąć decyzję. Tak będzie łatwiej). — Słyszę...

– Ale czy to jest właściwy czas na takie rozważania?

( — Tak. To jest ten czas. Porozmawiajmy). — Słyszę...

... ale myślę: ( trzymaj się, Maniek).

( — Moje zdrowie osobiste). — Słyszę...

– Po pierwsze — do czego doszedłem po tym spotkaniu ostatnim.

– ...

– Myślałem bardzo różnie. To fakt. Był potrzebny ten okres, żeby dojrzeć do pewnych propozycji. Może tego nie trzeba mówić, ale zacząłbym od tego, że na pewno sprawę trzeba załatwić między nami dwoma. Nie potrzeba żadnych pomocników do sprawy. Rozumiem przez to, że zarówno nie trzeba włączać nikogo z „niżej” jak na razie do podjęcia decyzji, a tym bardziej z „wyżej”. I co dalej. No. Tak jakoś mówię zupełnie prywatnie, ale w tych bezpośrednich stosunkach mnie by osobiście bardzo zależało — bo tu jak przychodziłem, byłem przekonany, że ci nigdy świństwa nie zrobię — to chciałbym, żeby i to w tych kategoriach było. Może to wszystko, co przed chwilą powiedziałem, było zupełnie niepotrzebne, ale wydaje mi się, że start z tych pozycji może mieć sens.

I teraz tak. Ja naprawdę jestem po tych wszystkich przemyśleniach w momencie takim, że jestem gotów przyjąć każdą alternatywę, z których szereg wymienię zaraz.

Można zacząć od tego... — od jednego końca sprawy i przejść do drugiego końca sprawy — znaczy w jakimś takim uszeregowaniu wartościowym. — Można przyjąć, że ja zupełnie źle oceniłem sytuację i moje zdanie się nie liczy. I w związku z tym można — aczkolwiek nazwałem to plotkami — można przyjąć alternatywę dosłownego rozwiązania nas. Gdyby wynikało to z jakiejś istotnej potrzeby wyższego rzędu, bądź oceny sytuacji. I to jest jeden skrajny wariant.

Drugi wariant — z którym wystartowaliśmy właściwie rok temu i niewiele brakowało, żeby był zrealizowany — to połączenie tych dwóch najmniejszych biur w zjednoczeniu. Jeżeli by to cokolwiek załatwiało — można to rozpatrywać i w różnych układach realizować. Tylko to musi coś załatwiać. A rozumiem, że zawsze się — nawet nie złośliwie mówiąc — powody znajdzie i uzasadnienie dla właśnie takiego a nie innego pociągnięcia. Bo zawsze „to” jakieś „coś” może dać. I nawet niewiele trzeba byłoby szukać, żeby w ślad za tym dopowiedzieć takie uzasadnienie — niejako jednym tchem.

Dalej idąc, uważam, że można przyjąć wariant ten, który był później rozpatrywany — polegający na tworzeniu pionu pod hasłem przyszłego centrum — pionu projektowania budownictwa

kubaturowego, na zasadzie tej jaką zarysowaliśmy w maju. Ma to swoje plusy — trudno zgadnąć, czy wiele większe od poprzedniego wariantu. Tak optycznie biorąc — więcej załatwia, bo jest w tych kategoriach przyszłego centrum projektowania stołecznego.

Co można szukać dalej. Można przyjąć wariant taki, że się nam daje spokój, i niech to biuro nadal sobie żyje, tak jak sobie żyje. Ma te sto osiemdziesiąt osób, ma te swoje zaszłości i swoje rozpoczęte zadania, które stara się tam — no — znów nieco lepiej niż dotychczas realizować. I uważam, że jest to również godny wariant do rozpatrywania. Pewno, że te cztery lata działalności już są tak dużym przedziałem czasu, że co najmniej można liczyć... — Ale to jest po prostu zostawienie nas na pewnym poziomie obecnego układu i właściwie na poziomie nieliczenia na wiele więcej, niż to... — No bo wiesz, nasze biuro ustabilizowało się w jakiś sposób w sensie tych swoich możliwości, wyników, tendencji... — i tkwiłoby w jakimś tym miejscu, może trochę w górę by drgnęło, może by się tam coś poprawiło. — Prawda?

( — Tak. Mam melodię. Tak. Dobrze mówię). — Słyszę...

... a myślę: (Czy warto?)

( — Tak to jest. Niech ja nawijam dalej). — Słyszę...

— Czyli byliśmy przy wariancie, że zostawiamy wszystko tak, jak jest. Miałoby to na pewno swoje też pozytywy polegające mniej więcej na tym, że właściwie wreszcie zorganizowane przedsiębiorstwo i organizowane przez szereg lat... — Sami sobie mówiliśmy, że tak po pięciu latach zacznie być tym, czego się oczekuje. Czyli wreszcie by się chociaż dało te trochę zysku za cały trud. Miałoby to również ten plus... — No, przed chwilą czekając rozmawialiśmy z Ryszardem. Zapytałem go, co by zrobił z nami? On powiedział ciekawą rzecz, że jego zdaniem konkurencyjność ma dużo sensu. — I chyba tak. Bo to, że się inni poczuli dotknięci w swoich ambicjach, to chyba była jednak przyczyna w powołaniu nas — i że zaczęliśmy pokazywać, że mamy zamiar nieco inaczej. Prawda? I w ślad za tym, na zasadzie tej konkurencyjności powstały określone tendencje w tamtych środowiskach. To byłby ten kolejny wariant.

Sytuacja jest po prostu taka, że wszystkie te warianty — moim zdaniem — można byłoby i należałoby wprowadzić — gdyby wchodziły w rachubę — za parę dni — bo my już dosłownie nie wytrzymujemy tego ciągłego naporu psychicznego i całej tej niezasłużonej niepewności, w jakiej żyjemy.

Zwracam uwagę — w ostatnich moich słowach — na zasadę, że zostawiamy nas w spokoju. — Jedynie z zastrzeżeniem, że nie na zasadach, iż po roku już kto inny się nami zajmie — jak to padło na ostatniej rozmowie. Jest to bardzo przesądające, bo zostały tym samym przypisane do naszych stosunków zupełnie nowe metody współżycia. I tyle mam do powiedzenia.

*forte*

STASZEK:

— Ja jemu krótko odpowiem na to, co powiedział. Chciałbym tą swoją wypowiedź w taki sposób skonstruować, żeby przeciąć pewne sprawy. Sytuacja nasza — którą dobrze znamy — ja nie muszę tutaj jakoś tam uzasadniać — powstanie jej i to wszystko co się potem działo — ona nie wynika w żadnym przypadku z jakiegokolwiek winy, czy odpowiedzialności jego. Chciałbym, żeby w ogóle tego nie brał pod uwagę. No po prostu w tym, co dalej będę mówił — i w ocenie... — To że zostali powołani, no to zostali powołani na fali wielkich inwestycji na terenie miasta, ogromnego rozwoju i tak dalej, tak dalej — którego spijamy — no, nie tylko u nas — ale w całym kraju sytuacje rozwojowe i tak to fachowcy mówią — przegrzanie inwestycji w okresie siedemdziesiąt jeden, dwa, trzy, cztery. To dzisiaj jest takie popularne powiedzenie — bo to się już spotykam z tym powiedzeniem przy różnych okazjach i na różnych mitingach takich, że to było przegrzanie inwestycji. Na przegrzaniu inwestycji powstało wiele jednostek, o których mówił on — prawda — że na skutek ogromnego wzrostu — no poszło się na ogromny rozwój.

(— I tutaj jeżeli byśmy chcieli obarczać kogokolwiek inicjatywą ich biura, to ja byłem inicjatorem, a nie kto inny. Niech przypomni sobie.

Siedział w aparacie. Było mu ciepło. Dzisiaj wiem, że jego sytuacja byłaby pewno jeszcze lepsza niż poprzednio. I nic by mu nie groziło. Prawda? Sam go wyrwałem z tego całego interesu idąc za głosem partii, uchwał, no tego co miało się w kraju robić i tak dalej, i tak dalej. Czyli nie chciałbym, żeby odbierał to, że się tam na przykład nie sprawdził, że jakieś tam błędy po drodze robił, czy coś takiego.

Błąd jeden, który w jego osobie mogę upatrywać — jak się mu przypatruję w okresie tych czterech lat — to są dwie moje uwagi. Jest za przyzwoity i za miękki — w pewnych sprawach. To są moje uwagi w stosunku do jego osoby — jako menadżera, który został postawiony na określoną pozycję i w związku z tym w jaki sposób to prowadził. To znaczy za przyzwoity — uważam to za błąd — bo normalnie powinno to się inaczej uważać, ale.....)

... czy jeszcze słyszę? .....

\*

## *piano*

Dalej miało to być poszukiwanie przyczyn tych wad na zasadzie — kiedyż to ta skorupka za młodu tym nasiąkła... oraz jak i po co... Jednak zrezygnowałem z tego. Już od dawna dźwięczy we mnie zastyszany dylemat: dobry bo głupi, czy głupi bo dobry? Plus minus Zero

Natomiast w części ostatniej pod tytułem „DEBIUT” miała być opisana jedna chwila (nie chodzi tu o dosłowność mgnienia czasu, a raczej o krótką, zamkniętą całość — coś jak cięcie, na które złożyło się wiele, bardzo wiele — z opisaniem tej mnogości przyczyn i uwarunkowań). Musiałoby to cięcie być wyzbyte z przyzwoitości i miękkości — jednak z bardzo rzetelnym opisaniem całej teorii i praktyki przedmiotu naszej mentalności w działaniu i to działaniu mistrzowskim, kiedy osiągnięcie celu się liczy. Z tej części jednak też zrezygnowałem. Tak więc tym razem jeszcze „debiutu” nie będzie.

Przepraszam Szanownego Czytelnika za to, że zechciałem ukazać pustkę i że mi się to udało.

Marian Czesław Sokołowski  
Warszawa, w lutym 1977 roku

## *da capo*

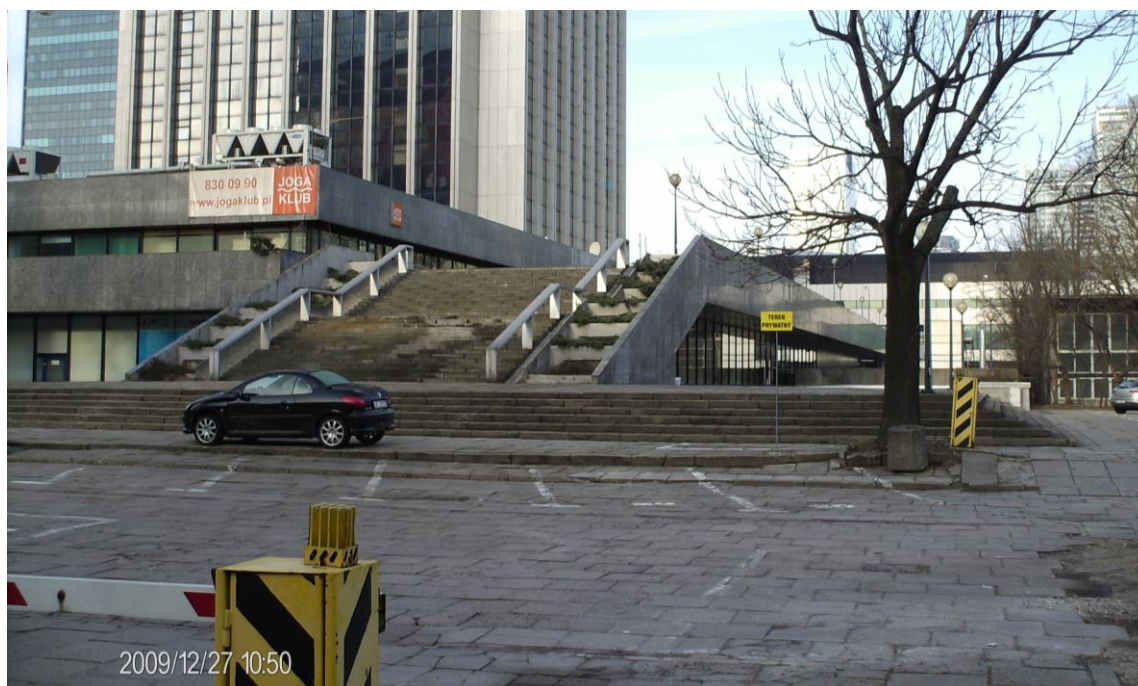
Od stycznia 1977 roku Biuro Projektów Budownictwa „War-Cent” zostało włączone do Miejskiego Biura Projektów „PROGRIM”, a nowy twór na moje żądanie nazwano: Miejskie Biuro Projektów „WAR-CENT”. Ja zostałem odwołany ze stanowiska dyrektora. Było mi bardzo przykro, bo pracę swą wykonywałem szalenie poważnie.

Z Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy zostały wybudowane:

Budynek Central Handlu Zagranicznego i Banku Handlowego (później potocznie zwany „Intraco”, gdyż na jego najwyższej kondygnacji umieszczono neon INTRACO. Sama firma Intraco może miała kilka pokoi w tym budynku. Obecnie gmachowi nadano nazwę OXFORD TOWER. No i fajnie).

I został wybudowany Budynek Lotu i hotelu „Marriott”.

Ponadto wybudowano schody od ulicy Wspólnej, które wiodą na drugą kondygnację Lotu i dalej miały przechodzić ciągiem pieszym nad Alejami Jeruzolimskimi przez drugą kondygnację Dworca Centralnego (nawet jest tam zostawiona przestrzeń do tego przejścia), następnie ten wielki ciąg pieszy drugiej kondygnacji miał wnikać w olbrzymi mega-market ciągnący się aż do ulicy Świętokrzyskiej; po tej stronie założenia urbanistycznego miały być jeszcze trzy wysokościowce. Ta północna część nie została zrealizowana i Warszawa ma „schody donikąd”.

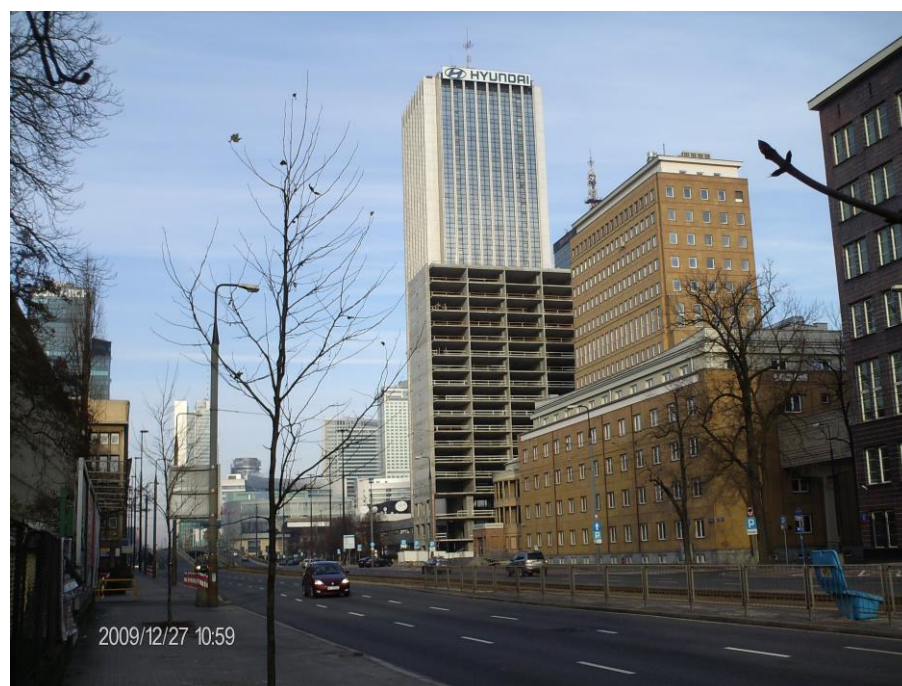


Schody donikąd.





Hotel Marriott i biura LOT.  
Po lewej fragment biurowca central handlu zagranicznego.



Po prawej Ministerstwo Komunikacji. Budynek pośrodku jest budowany na miejscu naszego pawilonu biurowego, za nim wieżowiec central handlu zagranicznego, a w głębi współczesne budynki wybudowane w miejscu projektowanego ZRCW.



Po prawej fragment biurowca central handlu zagranicznego.  
Parter i piętro to siedziba Banku Handlowego.  
W głębi Hotel Marriott i biura LOT.



Hotel Marriott i biura LOT, w głębi biurowiec central handlu zagranicznego, a po prawej fragment Dworca Centralnego.

*da capo*

Z Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy-Pragi zrealizowano jedynie budynek przy ulicy Okrzei i drugi przy Targowej oraz pomnik Kościuszkowca straszący nad Wisłą.



Pomnik Kościuszkowców na Pradze.

Można powiedzieć, że te założenia urbanistyczne powstały o trzydzieści lat za wcześnie, a może o tyleż wyprzedzały przyszłość...

Po trzydziestu latach wypada dopisać, że książkę tę traktowałem zawsze bardzo poważnie. W pierwotnym zamyśle była dosłownym happening'iem słownym, choć może tylko ja ją rozumiałem, bo jej treść była tak bardzo zakonspirowana, a kolejne wydawnictwa zgłaszały przeróżne zastrzeżenia i odmawiały wydania. W konsekwencji poprzez kolejne redagowania skracałem ją, wyrzucając całe ustępy bełkotu słownego zapisanych mów. Potem uzupełniłem komentarzami, aby książka stała się bardziej czytelna. Stała się jednak zapisem farsy. Dziś myślę, że jeśli zdołam, to wydam ją kiedyś w pierwotnym brzmieniu.

Dalszy ciąg w książce pt. „±0”.

Warszawa, 2007-01-08

Redakcja rozbudowana, bo przywrócona pierwotna wersja książki z roku 1977.

Warszawa, 2008-06-06

Kolejna niniejsza redakcja została sporządzona w grudniu 2009 roku, jest to redakcja dla celów Internetu.

Kolejna redakcja z 2012 roku.

W roku 2015, a może już w 2014 zmieniłem kolejność moich książek: najpierw „±0”, potem „Debiut”, potem „Gag” i dopiero jako czwarta pęta „Samczy happening”, przy czym postanowiłem dopisać w niej czasy w Zjednoczeniu PBK i w Miastoprojencie, tak aby utworzyć ciągłość do „Fi lamien”.

## Obsada:

**BOGUŚ** – Bogusław Chyliński – generalny projektant Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy – Pragi (ur. 11-07-1924 w Płatnicy pow. Łomża – zm. 23-08-1990 w Warszawie).



**JUREK** – Jerzy Skrzypczak – generalny projektant Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy.



**TOMEK** – Ryszard Trzaska – generalny projektant Biura Projektów Budownictwa „War-Cent” (ur. 04-11-1922 w Warszawie – zm. 30-07-2006 w Warszawie).



**TADEK** – Tadeusz Stefański – główny projektant BPB „War-Cent”  
(ur. 08-01-1935 – zm. 04-04-2008 w Warszawie).



**JACEK** – Jacek Jedynak – projektant BPB „War-Cent”.



**MARIAN** – Marian Sokołowski – dyrektor Biura Projektów Budownictwa „War-Cent”.  
(ur. 29-07-1933 w Sosnowcu)



PREZYDENT – Jerzy Majewski – prezydent miasta Stołecznego Warszawy.



TADEUSZ – Tadeusz Szumielewicz – Naczelny Architekt Warszawy.



STANISŁAW, STASZEK – Stanisław Kluszewski – dyrektor Stołecznego Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego w Warszawie.



TOWARZYSZ Z KW – Adam Łukasiewicz – zastępca kierownika Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego PZPR.



ZBYSZEK – Zbigniew Pakalski – dyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta „Warszawa — Północ”.



ANDRZEJ – Andrzej Markowski – wiceprezydent miasta stołecznego Warszawy.

JERZY – Jerzy Kubiszewski – dyrektor Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta.

MONIKA – Monika Kamińska (po ślubie Belis) – sekretarka w Biurze Projektów Budownictwa „War-Cent”.

GAŁECKI – Stanisław Gałęcki – I sekretarz Komitetu Dzielnicowego „Warszawa Praga Północ”.

ARCHITEKT – Witold Katner – projektant Biura Projektów Budownictwa „War-Cent”.

NOWICKI – Wojciech Nowicki – zastępca kierownika Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego PZPR.

MAREK – Marek Sikorski – dyrektor Wojewódzkiego Biura Projektów w Warszawie.

MIETEK – Mieczysław Rosochacki – dyrektor Miejskiego Biura Projektów „Progrim”.

ARCHITEKT 2 – Sołonowicz – MBP „Progrim” **Leszek Romuald Sołonowicz** (ur. 7 lutego 1931 w Legionowie, zm. 3 września 1984 w Warszawie).

ZBIGNIEW – Zbigniew Radomski – przewodniczący Związków Zawodowych w BPB „War-Cent”.

BOGDAN – Bogdan Gajewicz – kierownik administracji BPB „War-Cent”.





**Antrakt – Odessa, 01-15.08.1976 roku.**

Był rok 1976, zadzwonił do mnie pan, przedstawił się, że jest emerytem, członkiem ZBOWiD (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację), opiekuje się sierotami i prosił, abym przyjął do pracy jego podopiecznego. Oczywiście przyjąłem, bo był to kreślarz, bardzo nieśmiały młody człowiek. Zbowiedowiec był zachwycony i powiedział, że się odwdzięczy. W parę dni odezwał się i powiedział, że mogę się udać na wycieczkę do Odessy. Mogłem jechać samochodem i z rodziną. Zgłosiłem się do Orbisu po odbiór dokumentów, dostałem jakieś papierki, ale w Orbisie nic więcej nie wiedzieli o szczegółach wycieczki. Nie pamiętam, jak wyglądała sprawa paszportów. W tym, co otrzymałem z Orbisu, była dokładna trasa, jak mam jechać. Nie wolno było zjechać z trasy, a we Lwowie mogłem się poruszać tylko po centrum. Miałem wyznaczone noclegi i dostałem jakiś bon na benzynę. W tym czasie Polacy już mogli otrzymać po 150 dolarów na wyjazd zagraniczny. Podjęliśmy przydział dla nas czworga i nawet zamieniliśmy je od razu na ruble, a było ich aż dziewięćset. Byłem zdania, że jakoś przeżyjemy.

Granicę przekraczaliśmy za Przemyślem w Medyce w dniu 1 sierpnia 1976 roku, a granica była niebagatelna – nawet czołgiem by się nie sforsowało ustawionych zapór. Między podwójnymi ogrodzeniami z zasiekami był pas ziemi stale bronowany. Dojechaliśmy jakoś do Lwowa i udaliśmy się do restauracji na obiad. Kelnerzy nas całkowicie ignorowali i nie chcieli obsłużyć, bo mówiłem po polsku. Wreszcie, gdy zrobiłem awanturę, przynieśli wazę z rosółem, nie chcieli podać nic więcej i nie chcieli pieniędzy. Gdzieś, chyba jeszcze we Lwowie, postanowiłem zatankować samochód, obsługa w kiosku wycięła jeden bon na 30 litrów benzyny i kazała sobie nalać, to znaczy ja włożyłem do baku wąż od satora, a w kiosku włączono nalewanie. Nie zmieściło się trzydzieści litrów i benzyna wyciekała na bruk, ale w kiosku się tym nie przejmowano mimo naszych krzyków i tak reszta benzyny popłynęła po bruku. Okazało się, że na całej trasie benzynę mam za niewielką opłatą.

Jechaliśmy wyznaczoną trasą, a co kilkadziesiąt kilometrów trzeba było zwalniać do 30 kilometrów na godzinę, tu były ustawione piętrowe strażnice z napisem „GAJ” i żołnierze odnotowywali numer samochodu i godzinę przejazdu. Jakoś dotarliśmy na pierwszy nocleg, było to coś w rodzaju kempingu. Udaliśmy się do stołówki, a tam zamiast dać nam jeść, to zażądano, abym pokazał przywiezione peruki i parasolki. Byliśmy zszokowani i tłumaczyłem się, że nie wiozę żadnych peruk. Odpowiedź była kategoryczna: – Nie ma peruk, nie będzie kolacji. Poszliśmy głodni spać. Od tej pory na następnych noclegach informowałem od razu, że już wcześniej wszystko sprzedałem, jakoś to rozumieli. A droga była okropna, zdarzały się w asfalcie takie dziury, że koła wpadały po osie. Toteż jechaliśmy coraz wolniej, ale i były odcinki nie do przebycia, zasypane grubym żwirem, z koleinami tak głębokimi, że obawiałem się, że samochód nasz się przewróci.

Dnia 2 sierpnia 1976 roku dotarliśmy do Czerniowców, 3 sierpnia jechaliśmy przez Republikę Mołdawską, zwiedziliśmy Kiszyniów i tego samego dnia wreszcie dotarliśmy do Odessy. Tu kamping był za miastem. Nie mieli czteroosobowego domku i mieszkaliśmy w dwóch, ja z żoną w jednym, a córki w drugim – nawet sobie to chwaliły. W recepcji zabrali mi dokumenty samochodowe i zakazali poruszać się samochodem po Odessie. Odtąd jeździliśmy miejskimi autobusami. Tu również kamping i wyżywienie mieliśmy za darmo. W restauracji dostaliśmy wspaniałe menu napisane aż w czterech językach. Po tak wielkim trudzie postanowiłem uczcić szczęśliwy koniec drogi i poprosiłem dla żony kieliszek wina i dla siebie kieliszek koniaku. Po chwili postawili nam na stoliku butelkę ruskiego koniaku i butelkę wina. Speszony oponowałem, bo jakże to tak, jestem z dziećmi... Przynieśli to samo, tylko w karafkach.

Wyszło na to, że tych dziewięćset rubli nie wydamy, bo wszystko za darmo. Jednak wozila je żona w swojej portmonetce. Dostyc szybko w autobusie nas okradli. Zostaliśmy bez kopiejki. Ja zeszytywniałem i zamarłem całkowicie i widziałem tylko te setki kilometrów powrotu bez pieniędzy. Żona jednak podniosła krzyk po rosyjsku. I tu był ogólny rozhowor nabitego autobusu. Ktoś pokrzykiwał, że miała zapewne ze dwadzieścia rubli i tyle krzyku robi. Żona odkrzykiwała, jakie dwadzieścia rubli. Tam było dziewięćset rubli! Autobus zamarł na chwilę, ale ktoś rezolutny rzucił: – skąd ona miała aż dziewięćset rubli. Żona krzyczała, ja inastranka! Takaja z tiebia inastranka, jak ja italianiec! Usłyszała. Awantura dotarła do kierowcy i przez megafon ogłosił, że nigdzie się nie zatrzymujemy i jedziemy na posterunek milicji. Po chwili ktoś z przodu krzyknął, że tu coś leży. I znów po chwili, ale w środku nic nie ma. Portmonetka przywędrowała do żony, a ona zajrzała i odkrzyknęła, że wszystko jest! Żona miała dosyć dużą podłużną portmonetkę, w której była również niepozorna płaska kieszeń, prawie jak podszewka portmonetki, a w niej były wszystkie nasze ruble. Złodziej o tym nie pomyślał i nie zabrał pieniędzy. Z radością cały autobus rozładował się w centrum Odessy. A że stanęliśmy akurat przed rosyjskim „Jubilerem”, niewiele wahając się, weszliśmy tam i kupiłem żonie wspaniałe perły aż za siedemset rubli. To ona odzyskała te

pieniądze. Gdy ktoś jechał do Związku Radzieckiego, to koniecznie przywoził stamtąd coś ze złota, w Polsce nie sprzedawało się złota.

W tym czasie do Odessy przybył jeszcze inny Polak, ale miał mniej szczęścia, bo połamał resory. Okazało się, że tamtejsze samochody osobowe nie mają resorów tylko sprężyny. Musiał biedak sprowadzić resory z Polski.

Jednego dnia, gdy byliśmy w centrum Odessy, nie chciało nam się wracać na obiad na nasz kamping, postanowiliśmy zjeść obiad w restauracji. Okazało się, że szereg restauracji było zamkniętych, a w jedynej, którą jeszcze zastaliśmy otwartą, powiedzieli nam, że zaraz zamykają, bo przerwa obiadowa – personel idzie na obiad.

Innym razem odkryliśmy karuzelę dla dzieci – koniki, wielbłądy itp. Córki postanowiły się przejechać i z wielką radością i śmiechem dosiadły wielbłądów. Przyjemność krótko trwała, bo stara kobieta, operatorka karuzeli, gdy usłyszała, że córki mówią po polsku, bardzo wulgarnie na nie nakrzyczała, zatrzymała karuzelę i je wygoniła, aż mi się dzieci popłakały. Nie umiałem wytłumaczyć im, dlaczego nas tak traktują.

Na kempingu jakiś towarzysz zagadał do nas i wyraźnie zadbał, żeby się na tym nie skończyło. Rozmawialiśmy często ze sobą i to na tematy coraz poważniejsze. Wyraźnie się nami interesował, chciał koniecznie poznać nasze zapatrywania polityczne. Nawet któregoś dnia dokładnie opowiedział mi, które części mojego fiata były na nowo pomalowane. Czyżby analizowano mój samochód pod oświetleniem ultrafioletowym – myślałem. Nawet zaproponował zamianę zegarów, ale odmówiłem, bardzo był zgorzszony. Ale rosyjskie zegarki w Polsce były bardzo tanie, a ja miałem wówczas jakiś zegarek z zachodu. Jednak znajomość się nie urwała, byliśmy wyraźnie pod kontrolą na każdym kroku.

Z zadowoleniem opuściliśmy Odessę w dniu 13 sierpnia 1976 roku. Tym razem mieliśmy wyznaczoną inną trasę. Dotarliśmy do Kijowa. Tu postanowiliśmy odszukać sławną dla Polaków „złotą bramę”, na której Chrobry miał wyszczerbić swój miecz. Poszukiwania nie przynosiły rezultatu i zatrzymaliśmy się gdzieś zniechęceni, ale podszedł do nas jakiś mężczyzna i powiedział, że „tam trzeba iść”. Przecież nikogo nie pytaliśmy, ale resztki murów bramy obejrzelśmy. Jeden z noclegów w czasie powrotu wypadł nam w Równym, było to 14 sierpnia. Potem po pięciu latach, gdy już pracowałem w Algierii, jeden z kolegów prosił, abym mu opowiedział o Równym, bo tam się urodził, ale nic nie umiałem powiedzieć, takie to było nijakie, rozjeżdżone drogi, rozrzucone nędzne budynki...

We Lwowie byliśmy znów 15 sierpnia. Na granicy w Szegini podeszła do nas celniczka, zabrała paszporty do sprawdzenia i poszła. Wróciła po długim czasie i zapytała, co kupiliśmy. Odpowiedziałem, że perły i okazałem je. Celniczka odpowiedziała: – o tym wiemy, ale co kupiliście ze złota? Odparłem, że nic. – O tym też wiemy. – Usłyszałem.

Wreszcie znaleźliśmy się w Przemyślu, ale w czasie jazdy żona zwróciła mi uwagę, żebym tak szybko nie jechał, a jechałem tylko 80km/godzinę, odzwyczyła się, biedna, od szybszej jazdy.



Odessa, w tych domkach mieszkaliśmy na kempingu, 4 sierpień 1976 roku.



Plaża w Odessie i Morze Czarne, 5-12 sierpień 1976 roku.



Teatr Opery i Baletu w Odessie, ul. Czajkowskiego, 5-12 sierpień 1976 roku.



Odessa, schody Richelieu lub schody Potiomkina prowadzące do portu, 5-12 sierpień 1976 roku.



Odessa, port, 5-12 sierpień 1976 roku.



Odessa, port, 5-12 sierpień 1976 roku.



Odessa, zobaczone pierwsze palmy rosnące na zewnątrz, 5-12 sierpień 1976 roku.



Niesławna karuzela w Odessie, a w głębi między córkami widać herod-babę,  
5-12 sierpień 1976 roku.

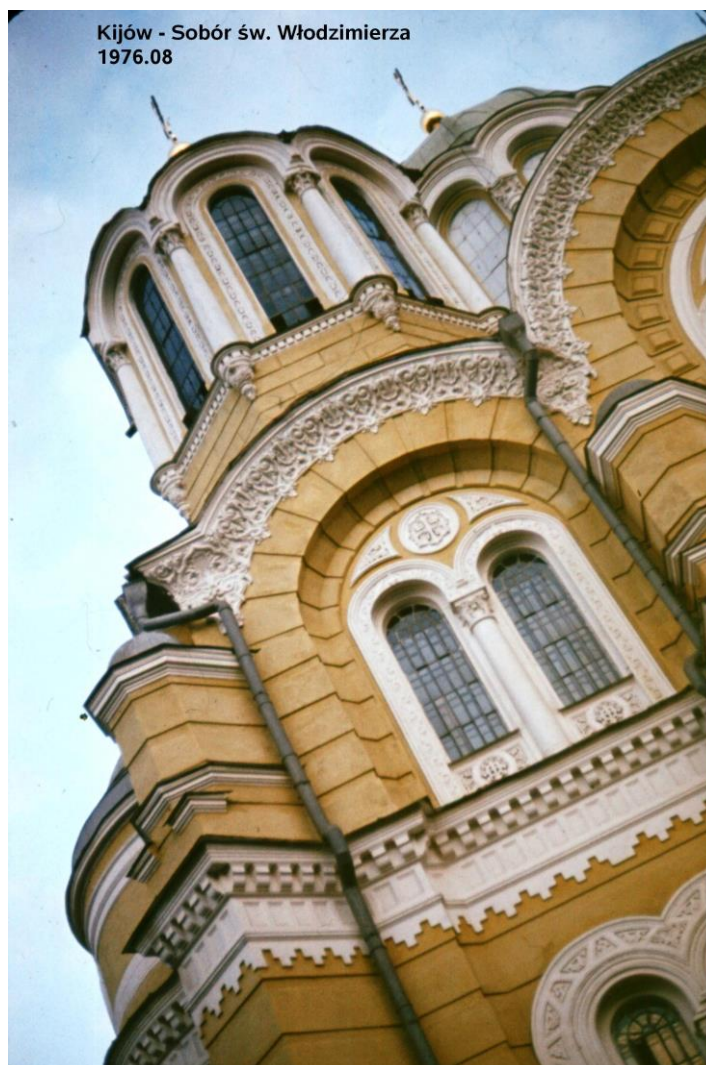


Dom w Odessie, 5-12 sierpień 1976 roku.



Kijów, Złota Brama, 13 sierpień 1976 roku.





Kijów, Sobór św. Włodzimierza, 13 sierpień 1976 roku.



Kijów, 13 sierpień 1976 roku.



Kijów, Sobór Mądrości Bożej, 13 sierpień 1976 roku.



Kijów, pomnik Bohdana Chmielnickiego, 13 sierpień 1976 roku.



Kijów, 13 sierpień 1976 roku.



Kijów, 13 sierpień 1976 roku.



## **VI Sonata**

Przed laty swoje myśli włożyłem w usta innych osób, w 2015 roku postanowiłem zachować je w tej formie.

*Mówi Sekretarka Barbara ze Zjednoczenia:*

Mój szef wyciągnął petę z macek Komitetu (Warszawskiego PZPR). Wreszcie to zrobił, choć znaleźmy petę od kilku lat. Szef powołał petę na dyrektora Biura Projektów Budownictwa „War-Cent”. Tylko zaproponowanie pecie stanowiska dyrektora było dostatecznym argumentem, choć nie zawsze, ...dostatecznym argumentem, aby Komitet zechciał wypuścić swego podwładnego. Tego biura nie było, biurem był sam peta. Dostał pokój w Zjednoczeniu (Stołeczne Zjednoczenie Projektowania Budownictwa Komunalnego na Królewskiej 27), załatwiliśmy mu pieczętą służbową, a reszta należała do pety — miał zorganizować, a przede wszystkim utworzyć to biuro projektów. Był grudzień 1972 roku.

Peta wiedział, że zasadniczy człon jego biura będą stanowili autorzy zwycięskiego w konkursie projektu urbanistycznego zagospodarowania centrum Warszawy. Zespołowi temu władze stolicy dały bardzo duże uprawnienia merytoryczne i jeszcze większe przyrzeczenia stworzenia im wspianiałych warunków działania.

Jak już powiedziałam, peta nie miał dla swojego Biura Projektów nic zgola — żadnego sprzętu, żadnego pracownika.

Zaczął od lokalu. To znaczy mój szef rozpoznał, gdzie są w stolicy jakieś wolne pomieszczenia biurowe, pomieszczenia podległe prezydentowi stolicy, ja napisałam wniosek do prezydenta, ale wniosek dyrektor zjednoczenia kazał podpisać pecie. Potem zaniósł ten wniosek do prezydenta. Była w tym przebiegłość mojego szefa, bo trzeba było zabrać jakiś lokal z któregoś ze stołecznych zjednoczeń, a tym samym bardzo narazić się dyrektorowi tego zjednoczenia. Mój szef, a nawet wiceprezydent tłumaczyli się przed dyrektorami zjednoczeń, że to peta wynalazł te adresy biur korzystając z możliwości Komitetu i zażądał od prezydenta zabrania tych biur dla siebie. Peta nie miał zielonego pojęcia o tych knowaniach. Los padł na kończony budynek biurowy piekarnictwa na ulicy Szwoleżerów 5. Część budynku, najwyższą kondygnację prezydent przyrzekł pecie. Tym samym petę spalono w oczach pozostałych dyrektorów stołecznych zjednoczeń. Lokal miał być dostępny za kilka tygodni.

Do ludzi peta miał szczęście, do niektórych ludzi zgola go nie miał. Jakoś przyszedł pan z ulicy (*Bogdan Gajewicz*), szukał jakiejś pracy, dotychczas pracował w Nowotce (*Zakłady Mechaniczne imieniem Marcelego Nowotki na Woli*). Był taternikiem, to wystarczyło pecie za wszelkie referencje, przyjął go. Taternik przez wiele lat potem podpierał petę swą solidną i lojalną pracą. Byli przyjaciółmi.

Na zastępcę pecie dano bez pytania właśnie zwalnianego dyrektora wielkiego biura projektów (*Centralny Ośrodek Badawczo Projektowy Budownictwa Ogólnego na Wierzbowej 9-11*), dotychczasowego szefa zwycięskiego zespołu urbanistów. Pan ten (*Anatol Walentynowicz*) przygotował schemat organizacyjny przyszłego biura, w którym podporządkował sobie wszystkie struktury biura, a sam podporządkował siebie pecie. Pan chciał, może nie tylko on tego pragnął, kierować całym biurem, przecież znał się na tym dobrze, a pecie chciano pozostawić reprezentowanie biura. Peta zdecydowanie zmienił ten układ i swemu zastępcy przypisał sprawy gospodarcze i administracyjne, a sobie podporządkował bezpośrednio całe projektowanie i księgowość. Sytuacja pety wyglądała coraz gorzej, był osaczany, był z wielkimi zadaniami, był bez żadnych możliwości.

W jednej sprawie przyczyniłam się walnie. Peta potrzebował sekretarki, ja już nie nadażałam z jego telefonami i sprawami, prowadziłam przecież sekretariat dyrektora zjednoczenia. Podsunęłam mu moją przyjaciółkę, dziurkowała karty w naszym ośrodku obliczeniowym, prześliczną dziewczynę i na dodatek bardzo inteligentną, wrażliwą (*Monika Kamińska*).

To dziurkowanie kart wymaga w roku 2013 wyjaśnienia. Kilkadziesiąt lat temu komputery miały obłędny system wprowadzania danych: każdą pojedynczą wartość należało umieścić na jednym kartoniku poprzez wycięcie w nim dziurek w odpowiednim miejscu. Na specjalnych dziurkarkach tabuny dziewczyn wybijały te dziurki w tysiącach kart. Takie karty wsuwało się do czytnika komputerowego, aby je odczytał i podjął obliczenia.

Już w pierwszych sekundach zrozumiałam wszystko, gdy peta spojrział na nią, gdy zobaczyłam jej aprobujący uśmiech. Zaiskrzyło między nimi. Potem weszli do wolnego gabinetu dyrektora zjednoczenia, by omówić szczegóły, ale o czym tu było mówić. Zapewne patrzyli sobie w oczy z tym swoim zachwytem...

Bogdan — taternik i Monika stali się całą i jedyną podporą pety. Opowiadano mi potem, że jeden z wielu odwiedzających petę dyrektorów przechodząc przez sekretariat, zaznaczył: — Jakie śliczne ma pan dziewczyny. — Peta miał odpowiedzieć: — No, cóż, te ładne też muszą gdzieś pracować.

*Do wspomnień Barbary ze Zjednoczenia jeszcze kilkakrotnie wrócimy.*



*Dokonałem ostatnio przedziwnego odkrycia. Tropiąc za petą i zbierając te szczątki, które gdziekolwiek po nim zostały, powiedziano mi, że wystawiona w Desy na sprzedaż reprodukcja starego planu Warszawy pochodzi prawdopodobnie z mieszkania pety.*

*Udałem się niezwłocznie do tej Desy. Mieli oprawiony obrazek, za szkłem. Była to rzeczywiście reprodukcja planu Warszawy, na kartuszu której było napisane:*

PLAN DE VARSOVIE  
LEVÉ PAR ORDRE DE SON EXC.<sup>E</sup> M.<sup>R</sup> LE C.<sup>TE</sup> BIELINSKI  
GRAND MARÉCHAL DE LA COURONNE  
DEDIÉ  
À SON EXC.<sup>E</sup> M.<sup>R</sup> LE C.<sup>TE</sup> WIELHORSKI  
G.<sup>d</sup> Maitre d'Hôtel du G. D. de Lithuanie  
Starofte de Kaminiec  
*Par son très H.<sup>ble</sup> et très Ob.<sup>t</sup> Serviteur*  
Rizzi Zannoni  
1772

*Kupiłem ten plan, cena była bardzo niska. Już w czasie wieszania do domu zauważyłem, że poklejenie obrazka od tyłu taśmą klejącą rozlatuje się. Taśma się zestarzała i zupełnie nie trzymała się. Na dodatek reprodukcja przesunęła się w swym passe-partout, więc rozebrałem całość i w ten sposób znalazłem niezbity dowód pochodzenia (już mojego) planu z domu pety.*

*Za passe-partout znajdowało się ogromne czerwone serce, wykonane z brystolu, a w nim, na wewnętrznych stronach były podpisy wszystkich pracowników „War-Centu” — serce ofiarowane pecie z okazji jego imienin. [plan ten wisi nadal nad moim biurkiem w 2015 roku].*

*Potem natrafiłem na inne dowody sympatii pracowników „War-Centu” do pety.*

*W archiwum jednego architekta natrafiłem na rysunek tego architekta, rysunek wykonany w czasie jego pracy w „War-Cencie”. Rysunek przedstawiał widok wspaniałego obiektu projektowanego przez „War-Cent” dla centrum Warszawy. Na pierwszym planie tego rysunku widniał jeszcze wspanialszy samochód, a na tablicy rejestracyjnej, jak mnie zapewniał ów architekt, był numer samochodu pety. Tyle że wówczas peta jeździł niebiesciutkim Trabantem. [vide s. 161]*

*Również w prywatnym archiwum Moniki w Niemczech znalazłem rysunek, który wisiał długo na wejściu do sekretariatu dyrektora „War-Centu”, rysunek wykonany przez jednego z wielu ówczesnych bardzo zdolnych młodych architektów Biura. Rysunek przedstawiał petę niosącego na rękach swą sekretarkę Monikę.*

*Wypada więc porozmawiać z Moniką o pecie... ale to w którymś z następnym odcinków.*



*Mówi Sekretarka Barbara ze Zjednoczenia:*

Władze stolicy musiały wycofać się z przygotowań do budowy tego Zachodniego Rejonu Centrum Warszawy i Wschodniego Rejonu Centrum Warszawy Pragi. Przecież nie było tych ogromnych pieniędzy obiecywanych przez partię. Jednocześnie władze stolicy nie chciały stracić etatów przyznanych przez władze centralne dla utworzenia War-Centu. Przecież w gospodarce państwowej nie było ważniejszej sprawy jak etaty. Dyrektor naszego Zjednoczenia



postanowił wcielić War-Cent do Miejskiego Biura Projektów „PROGRIM”. Z tego połączenia powstało w 1977 roku Miejskie Biuro Projektów „WARCENT”.

Trzeba było jednak coś zrobić z petą, do którego nie było zarzutów, a wręcz przeciwnie, miał wielu sympatyków. Dyrektor naszego Zjednoczenia postanowił przenieść petę na swego zastępcę do spraw technicznych.

Kilka lat wcześniej nowy wiceprezydent Warszawy wyjednał we władzach, aby dla podparcia swej działalności obsadzić kilka newralgicznych punktów w mieście wybitnymi specjalistami z doświadczeniem w pracy na Zachodzie. Na tej podstawie namówił do powrotu z Francji kilku swoich kolegów inżynierów. Jeden z nich stał się naczelnym inżynierem w naszym zjednoczeniu. Jednak w miarę czasu był coraz bardziej sfrustrowany, nic nie mógł zdziałać sensownego, miał zasadnicze trudności w kontaktach z działaczami partyjnymi, czuł, że zaczyna mu się palić grunt pod nogami, więc postanowił wyjechać z kraju. Dostyc łatwo dostał ustną zgodę na wyjazd do pracy za granicą, ale formalności się ciągnęły miesiącami.

Na jego miejsce nasz dyrektor zjednoczenia wstawił petę. Tyle że akurat w tym czasie sprawy wyjazdu za granicę dotychczasowego naczelnego inżyniera bardzo zachwiały się, właściwie został na lodzie.

Peta jako naczelnny inżynier zjednoczenia nawet radził sobie nieźle i właściwie coraz lepiej. Podjął starania nad uproszczeniem założeń techniczno-ekonomicznych, które były podstawą wykonania dokumentacji technicznej. Model założeń techniczno-ekonomicznych skonstruował tak, że każda decyzja, każda wielkość była w nich podana tylko raz, dotyczyło to wszystkich wartości. W ten sposób znacznie uczynił i odchudził ten dokument. Miał dobre pomysły w zakresie rozwoju elektronicznej techniki obliczeniowej w podległych biurach projektów. Powstawało szereg szcątkowych programów obliczających niektóre zagadnienia projektowania, a peta postulował takie ich opracowywanie, aby zaczęły do siebie przylegać, aby pozwalały na grupowanie ich w jeden system, dziś mówi się o kompatybilności. Potrafił generalizować problemy i nie dał się wpędzić w drobiazgi. Usłudni jednak donieśli mu, że poprzedni naczelnny inżynier opowiada na mieście, że peta wygryzł go z posady w zjednoczeniu. Peta spotkał się z nim i mu oświadczył, że zna jego pretensje i że niezwłocznie usunie się ze zjednoczenia, aby ten sam się przekonał, że jego problemy nie spowodował peta. Peta odszedł, a na to stanowisko nie wrócił już jego poprzednik.

Tym sposobem po paru miesiącach peta podjął się zorganizować „Miastoprojekt – Warszawa”. Ale to dopiero w lutym 1978 roku.



W czasie dyrektorowania w War-Cencie zaprojektowałem i zrealizowałem kładkę dla pieszych nad ulicą Górnośląską. Budowa ta wymaga dziś obszerniejszego komentarza:

Wobec krzywd wyrządzonych przez PRL mojej rodzinie i mnie, jestem chyba najdalszym z ludzi, który by zamierzał gloryfikować PRL, bądź jakimś zakamuflowanym manewrem usiłował pisać pozytywnie o dobrej stronie tego okresu w dziejach Państwa. Jednocześnie były to jednak dzieje Narodu – czyż o dziejach Narodu można inaczej pisać, jak pisać prawdę?

W roku 1975 w Warszawie powstał pomysł wybudowania kładki dla pieszych nad ulicą Górnośląską za Sejmem. Był to czyn społeczny na Zjazd Partii. Poniekąd byłem inicjatorem ukształtowania ciągu spacerowego po górnym brzegu skarpy warszawskiej, czyli również siłą rzeczy przyczyniłem się do konieczności budowy ciągu kładek dla pieszych poczynając od kładki nad Trasą Łazienkowską (ta była drugą zrealizowaną kładką), kładka nad ulicą Górnośląską (ta była pierwszą), potem poszły kładki nad ulicami Królewską i nawet nad Tamką.

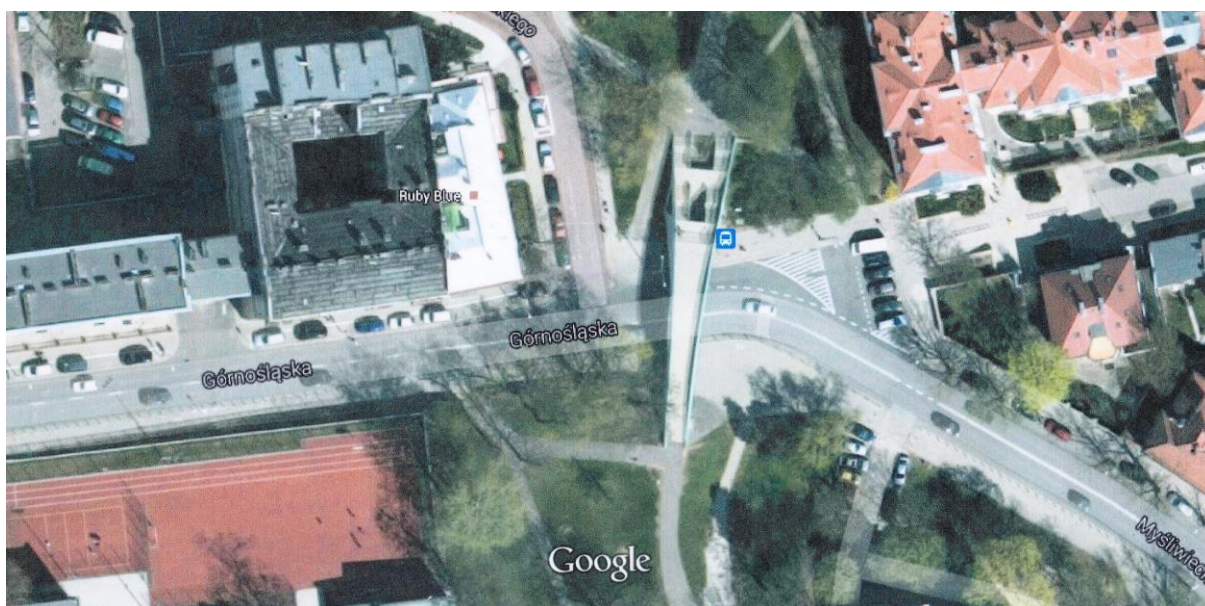
O sobie muszę jednak nadmienić, że po piętnastu latach od uzyskania dyplomu architekta nadal nie zdołałem zrealizować żadnego obiektu. Łatwiej dla mnie okazało się zostać dyrektorem biura projektów, niż usiąść za deską kreślarską w którymś biurze projektów. Toteż gdy dotarło do mnie, że miasto szuka architekta, który by za darmo zaprojektował kładkę nad Górnośląską, natychmiast zgłosiłem się. Przyznać trzeba, że nie miałem konkurentów, bo za darmo? A ja mogłem tylko za darmo projektować, bo dyrektor nie mógł brać pieniędzy za żadną dodatkową pracę.

Naczelnny Architekt Warszawy, Tadeusz Szumielewicz, poprosił o koncepcję, a gdy przedłożyłem, przyjął ją bez wahania.

Taka szansa wyzwoliła we mnie nadmierny entuzjazm i jeszcze większe pokłady myśli. Moja kładka została zlokalizowana nad ulicą Górnośląską na tyłach Sejmu, w miejscu, gdzie ulica zaczyna ostro spadać w dół skarpy i na dodatek ma w tym miejscu ostry zakręt w prawo. Brzegi ulicy Górnośląskiej w tym miejscu są bardzo różne. Brzeg po stronie Ogrodu Ujazdowskiego wysoko wznosi się nad jezdnią (około sześciu metrów), a brzeg od strony Sejmu jest na poziomie jezdni.

Taka lokalizacja wymusiła, a może wywołała szczególne ukształtowanie kładki. Pieszy charakter przejścia w parku pozwolił na łukowy (odbiegający od poziomu) kształt ścieżki na kładce. Prześwit pod kładką też ukształtowałem po łuku. Od strony Sejmu, gdzie spadek łuku już byłby większy zastosowałem płaskie parkowe schody, dwa biegi w kierunku Sejmu i trzeci pośrodku w kierunku jezdni ulicy. Kształt kładki, na obu brzegach tak różnych, musiał być też zdecydowanie różny. Wyobraziłem sobie rękę, ramię mocno oparte łokciem po stronie niskiej, z dłonią łagodnie wznoszącą się po drugiej stronie nad skarpą. Łokieć miał być solidnie zakotwiczony, a palce dłoni miały łagodnie unosić się nad brzegiem skarpy, nieledwie jej nie dotykając.

Przestrzennie kładka składa się z dwóch bocznych kratownic i pomostu ścieżki. Kratownice mają pas górny i dolny w kształcie łuku. Kratownice nie biegają pionowo w stosunku do pomostu, czy jezdni, lecz są lekko odchyłone na zewnątrz. Zapewniło to większą sztywność całej konstrukcji. Ponadto kratownice nie biegają równolegle, lecz są najbardziej zbliżone do siebie po stronie skarpy i najbardziej oddalone od siebie po stronie Sejmu, bo tu są trzy biegi schodów. Najlepiej to widać z lotu ptaka, na przykład na Google-maps.



Kładka dla pieszych nad ul. Górnośląską w Warszawie.

Choć potrafiłbym obliczyć te kratownice, musiał to wykonać konstruktor, czyli pracownik naszego biura, doktor inżynier Józef Sieczkowski – docent na Politechnice Warszawskiej. Dokonał zmian, aby obliczenia były znacznie prostsze. Wówczas jeszcze konstruktorzy, nie mając komputerów, nie kwapili się do rozwiązywania ustrojów statycznie niewyznaczalnych, bo i teoria konstrukcji statycznie niewyznaczalnych nie była jeszcze dostatecznie rozbudowana. W konsekwencji oparcia na obu końcach musiały mieć jednakową nośność, a tym samym fundament po stronie skarpy musiał być potężny i na dodatek musiał schodzić aż poniżej asfaltu jezdni niszcząc brzeg skarpy. Również same kratownice konstruktor wolał zrobić o wiele mocniejsze, aż potem spawacze żartowali, że to nie jest kładka dla pieszych, lecz dla czołgów.

W budowie kładki wzięło udział kilkadziesiąt firm, oczywiście państwowych – nieprawdopodobne, ale tak było. Każda firma coś tam przygotowywała u siebie, a potem nastąpił montaż na placu budowy.

Już w pierwszym dniu budowy zabrzmiało potężnym zgrzytem, gdy przy wykopie fundamentu od strony Sejmu został zerwany kabel, jak się okazało najważniejszy kabel w Polsce, łączący bezpośrednio pierwszego sekretarza KC z Moskwą. Agenci MSW biegali jak w ukropie, byli bliscy aresztowania nas. Ale kabel był tak dalece tajny, że nie został naniesiony na żadnej mapie. Musiałem przesunąć kładkę o parę metrów.

Żałowałem rozrytej skarpy pod ten potężny fundament, ale pocieszano mnie: – My to panu pięknie obsypimy, tylko po zjeździe partii. Potem jednak nie obsypali, bo miasto wypatrzyło szansę i znacznie złagodziło skręt ulicy, przybliżając asfalt do tego potężnego fundamentu.

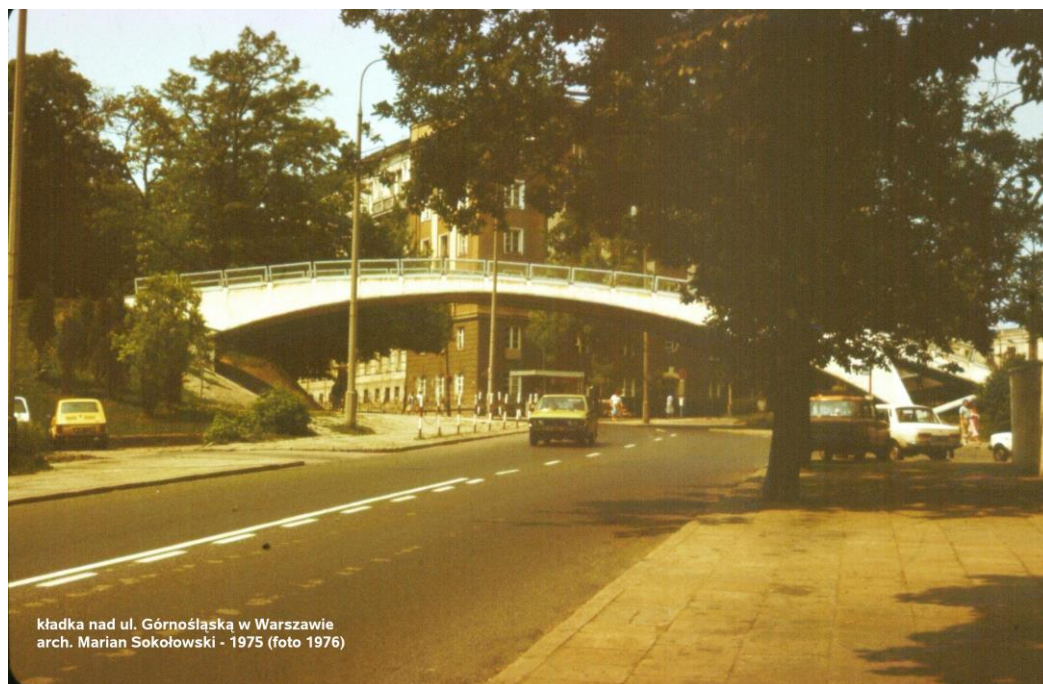
Trzeba odkryć karty i opisać materiały, z których powstała kładka, bo to niepochlebne stwierdzenia dla przyjętego ogólnie obskurnego obrazu PRL. Tradycyjna konstrukcja kratowa kładki została po bokach obłożona płytami z białego betonu, który to beton dopiero pojawił się w laboratoriach Instytutu Techniki Budowlanej. Od spodu kładka też była obłożona profilowaną blachą dzięki Bistypowi (wówczas zwanemu: Biuro Studiów i Projektów Budownictwa Przemysłowego), który dostał z Zachodu pierwszą partię tak zwanej blachy powlekanej, a ja zaprojektowałem sposób gięcia tej blachy i uzyskałem pierwszą blachę zwaną później fałdową. Do mocowania tej blachy uzyskaliśmy pistolety wstrzeliwujące kołki stalowe – narzędzie też niestosowane dotychczas do konstrukcji stalowych. ITB dał również pierwsze próbki cementu szybkowiązającego, który osiągał wówczas niespotykaną wytrzymałość na ściskanie 700 kilogramów na centymetr kwadratowy. Beton wykonany z tego cementu osiągnął już po dwóch dniach wytrzymałość tradycyjnych betonów, jaką one osiągały po 28 dniach. Huta Szkła dostarczyła również nowość – szkło klejone, o dużej wytrzymałości na uderzenia. Szkło to pozwoliło mi na zrealizowanie unikalnej balustrady na kładce. Nawet jakiś rzemieślnik na Pradze, który niklował zderzaki do samochodów, poniklował nam poręcz tej balustrady. W 1975 roku rzemieślniczo wykonywano pojedyncze zderzaki do naprawianych, starych aut.

Spawacze Mostostalu zespawali tę kładkę na trawniku po prawej stronie ulicy Górnośląskiej i taką gotową konstrukcję w jedną noc dwa potężne dźwigi kołowe przeniosły i ustawiły na fundamentach. Tu jednak ujawnił się poważny błąd. W fundamenty zostały wbetonowane w każdym miejscu podparcia kładki kwadratowe płyty stalowe o boku około 40 cm. Identyczne płyty zostały przyspawane na końcach obu kratownic i te płyty miały idealnie przylgnąć do siebie całymi powierzchniami po ustawieniu kładki na fundamentach. Konstruktor wezwał geodetę i wspólnie usiłowali obliczyć kąty nachylenia tych płyt na fundamentach. Wyszło im, że jeden bok kwadratu musi być poziomy, a boki prostopadłe będą miały wyznaczoną pochyłość. Próbowałem ich przekonać, że się mylą, tłumaczyłem, że tak byłoby, gdyby boki kładki były prostopadłe do jezdni. Tymczasem ja odchyliłem te boki od pionu i na dodatek poprowadziłem je nierównoległe do siebie. W tej sytuacji żaden bok płyty na fundamencie nie będzie poziomy. Ja to wyobrażałem sobie jasno, a oni nie potrafili mnie zrozumieć. Ostatecznie w zdenerwowaniu swoją decyzję podparli dyplomami i wieloletnią działalnością. Po ustawieniu konstrukcji na fundamentach płyty te zetknęły się tylko jednym dolnym narożnikiem, a dalej między nimi ziała przeraźliwa szczelina, która na przeciwległym narożniku miała szerokość około siedmiu centymetrów. Byłem zdruzgotany, bo ustąpiłem autorytetem. W Mostostalu znaleźli się fachowcy, którzy dokładnie pomierzyli szczeliny, a potem idealnie wyfrezowali kliny i pięknie je wspawali w szczeliny.

Jednak czasu było coraz mniej, a zostało jeszcze dużo prac. Miasto sięgnęło po wypróbowany sposób i swych właściwych ludzi, którzy już niejednokrotnie pokazali, że zdążą. Całą robotą zaczął dowodzić dyrektor Zbigniew Pakalski kierujący Dyрекcją Rozbudowy Miasta „Warszawa – Północ”. [vide s. 155] Poprzez wielkie spędy ludzi odpowiedzialnych za poszczególne roboty i to spędy robione co parę dni, „skutecznie” koordynowali robotę. Mnie sprytnie odsunięto, nie zapraszając na te koordynacje i nie komplikowałem im dzieła pilnując technologii robót. Stal konstrukcji nie została wypiaszkowana dla usunięcia rdzy, za to pomalowano ją jedno-

razowo białą farbą Nitro, zamiast wielowarstwowego malowania farbami antykorozyjnymi. Nie było czasu na zabetonowanie pomostu, więc go sprefabrykowano, to jest wykonano ramki z kątownika i je zabetonowano. Ramki te były wykonane niedokładnie, nie pasowały do siebie; trzeba było obcinać niektóre kątowniki, aby pomost jakoś zaścielić takimi prefabrykatami. Prace trwały do ostatnich minut przed przejściem przez kładkę dygnitarzy, a potem przez szereg miesięcy, a nawet lat.

Za kładkę prezydent Warszawy dał „Nagrodę Sześcianu” i na czyjś wniosek otrzymałem Złoty Krzyż Zasługi.



STOŁECZNE ZJEDNOCZENIE  
PROJEKTOWANIA BUDOWNICTWA  
KOMUNALNEGO

Warszawa, dnia 6 I. 1977 r.  
ul. Królewska 27, tel. 27-67-25  
00-060 WARSZAWA

L. dz. SZPBK/PE-445/177

Obywatel Dyrektor  
mgr inż. arch. Marian Sokołowski  
w m i e j s c u

W związku z przeprowadzonym połączeniem Miejskiego Biura Projektów "PROGRIM" z Biurem Projektów Budownictwa "WAR-CENT" - przenoszę Obywatela Dyrektora z dniem 1 stycznia 1977 r. do Zjednoczenia i powierzam stanowisko Zastępcy Naczelnego Dyrektora d/s Technicznych.

Do obowiązków Obywatela Dyrektora należeć będzie:

- nadzór na formalnym przeprowadzeniu połączenia MBP "PROGRIM" z BPB "WAR-CENT",
- prowadzenie zagadnień wynikających z działalności statutowej Zjednoczenia w zakresie urbanistyki i architektury.

Do czasu zakończenia spraw związanych z reorganizacją w/w biur i uzyskaniem formalnej nominacji, dotychczasowe pobory będzie Obywatel Dyrektor otrzymywał w nowoutworzonym przedsiębiorstwie.

Do wiadomości:

Dyr. MBP "PROGRIM"  
Z-ca Dyrektora Naczelnego  
Zjednoczenia.

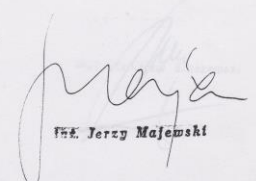
  
mgr inż. arch. Marian Sokołowski

PREZYDENT  
MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY  
Or.II.1140/17/77

Warszawa, dnia 1 kwietnia 1977 r.

Obywatel mgr inż. Marian SOKOŁOWSKI  
w m i e j s c u

Na podstawie § 15 ust. 1 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 23 listopada 1973 r. w sprawie praw i obowiązków terenowych organów administracji państwowej oraz zasad obsadzenia stanowisk pracowniczych /Dz.U. Nr 47, poz. 279/ powołuję Obywatela z dniem 1 kwietnia 1977 roku na stanowisko zastępcy dyrektora d/s technicznych w Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa Komunalnego z wynagrodzeniem zasadniczym w wysokości zł. 6.500.- /sześć tysięcy pięćset/, dodatek funkcyjny zł. 4.000.- /cztery tysiące/. Razem zł. 10.500.- /dziesięć tysięcy pięćset/ miesięcznie plus dodatek za staż pracy w wysokości 10% wynagrodzenia zasadniczego - zgodnie z Protokołem Dodatkowym z dnia 26 sierpnia 1974 r. do Układu Zbiorowego pracy dla pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwach /zakładach/ gospodarki komunalnej z dnia 25 kwietnia 1969 r. w sprawie zasad wynagradzania pracowników zatrudnionych w Zjednoczeniach gospodarki komunalnej i mieszkaniowej oraz premia zgodnie z regulaminem premiowania.

  
mgr inż. Jerzy Majewski

Praca w Zjednoczeniu miała szczególny koloryt, bo poza zwykłym urzędniczeniem, byłem zapraszany na liczne konferencje, na które w tym okresie PRL była wyjątkowa moda. Wypada przybliżyć to zjawisko.

W dniach 13 do 16 kwietnia 1977 roku Prorektor Politechniki Warszawskiej, profesor Łubieński, zorganizował cykliczną naradę międzynarodowego komitetu budynków wysokich. Oczywiście brałem w niej czynny udział.

27 i 28 kwietnia 1977 roku brałem udział w jakiejś konferencji w Kołobrzegu – nic o niej nie pamiętam.

2 maja 1977 roku dyrektor Zuń z naszego ministerstwa (już nie pamiętam, jak się ono zwało) referował wytyczne projektowania sieci i urządzeń sieciowych wodociągowych i kanalizacyjnych na terenie miasta stołecznego Warszawy. Ale wcześniej o godzinie dziesiątej brałem udział w gmachu Naczelnej Organizacji Technicznej na Czackiego w komitecie pod nazwą Kompleksowa Koordynacja Ogólna Budownictwa.

Od 10 do 12 maja 1977 roku byłem na konferencji w Kudowie. Była to resortowa konferencja dyrektorów biur projektów, zajmowała się oczywiście usprawnieniem pracy.

Zaraz 13 do 14 maja 1977 roku brałem udział w Nadzwyczajnym Walnym Zejeździe SARP w Krakowie. W nocy między tymi obradami byłem w Piwnicy Pod Baranami, gdzie Piotr Skrzynecki prezentował swój repertuar. Ja jednak utkwilem na kilka godzin obok fortepianu, na którym Marek Grechuta (w końcu też architekt) wspaniale improwizował.

W kilka dni później, bo już 20 maja 1977 roku brałem udział w Sympozjum Oddziału Warszawskiego SARP na temat budownictwa jednorodzinnego, które właściwie dogorywało w tym okresie.

Od 23 do 25 maja brałem udział w naradzie dyrektorów Stołecznego Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego. Narada była w Chęcinach w Ośrodku „Ameliówka”, a że dojazd był trudny, więc wędrowaliśmy własnymi samochodami z Kielc drogą na Opatów i Tarnobrzeg, na piątym kilometrze za Kielcami w Czynie za wiaduktem na lewo drogą asfaltową dojechaliśmy do „Ameliówki”. Był to szczególnie ośrodek, bo mieścił się w zabudowaniach nieistniejącego już klasztoru. Mimo wszystkich przyjętych zapatrywań jakoś było mi dziwnie, gdy wieczorem jedliśmy obficie zakrapianą kolację w nawie głównej przyklasztornego kościoła.

24 maja penetrowaliśmy Jaskinię Raj, a następnego dnia buszowaliśmy po chęcińskim zamku, a nawet zwiedziliśmy dymarki w Starej Słupii.

Często brałem udział w TERN (chyba Techniczno Ekonomiczna Rada Naukowa). Było to 21 lutego, 16 i 17 czerwca, 26 i 28 lipca, 13, 17, 20, 24 i 27 października.

28 czerwca 1977 roku było jakieś sympozjum na temat projektowania graficznego wspomaganego komputerem.

Po wakacjach znów się zaczęło.

28 i 29 września 1977 roku gdzieś narada na temat eksportu projektowania.

4 i 5 października 1977 roku coś w Szuminie.

12 do 15 października 1977 roku jakaś Sława.

I tak dalej sympozjum za konferencją, a za nimi zjazd.



Miało to miejsce na początku wakacji 1977 roku.

Marian!  
Mam do Ciebie następującą  
prośbę. Rozmawiałem z J. Barczem  
i Budziszewskim na temat Jacka,  
zapewnili mnie że znajdzie się  
na liście Komitetu która zostanie  
przekazana na Politechnikę  
około 14 lipca ma być wywieszona  
lista osób przyjętych - chodzi o  
dopilnowanie sprawy w czasie  
mojej nieobecności, szczególnie  
pomiędzy 11-14 lipca.  
Można działać przez Adama Łuk.  
[Łukaszewicz, pracownik Komitetu  
Warszawskiego PZPR], Rokicińskiego  
[nie pamiętam, kto to był], Kier. Wydz.  
Słonkę [jak poprzednio]. Jacek  
zdał z rysunku na 4 [słabo], matemat.  
4 i angielski 3. Przepraszam że  
obciążam Cię swoją prywatną  
sprawą  
Stach Kluszczyński

Przetłumaczę ten list. Napisał go do mnie mój szef, a dyrektor Zjednoczenia Projektowania Budownictwa Komunalnego:

„Marian!

Mam do Ciebie następującą prośbę. Rozmawiałem z Januszem Barczem [sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR] i Budziszewskim [nie pamiętam, kto to był] na temat Jacka [syn dyrektora SZPBK], zapewnili mnie, że znajdzie się na liście Komitetu [Warszawskiego PZPR], która zostanie przekazana na Politechnikę. Około 14 lipca ma być wywieszona lista osób przyjętych – chodzi o dopilnowanie sprawy w czasie mojej nieobecności, szczególnie pomiędzy 11-14 lipca. Można działać przez Adama Łuk. [Łukaszewicz – pracownik Komitetu Warszawskiego PZPR], Rokicińskiego [nie pamiętam, kto to był], Kier. Wydz. Słonkę [jak poprzednio]. Jacek zdał z rysunku na 4 [słabo], matemat. 4 i angielski 3. Przepraszam, że obciążam Cię swoją prywatną sprawą

Stach [Stanisław Kluszczyński]”

Nie pamiętam, czy i na ile pomogłem wówczas w sprawie, jednak szef wrócił przed tym terminem i sam dopilnował sprawy. Ale znaleziony w 2015 roku ten list bardzo mnie zaskoczył i zbulwersował. Jest to zapewne jedyny dokument świadczący o tym, jak dzieci dygnitarzy były przyjmowane na studia, w tym przypadku na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej.



*W archiwum kustosza muzeum profesora Tadeusza Łomnickiego znalazłem list od pety z 1977 roku:*

Kochany Panie Profesorze —

Jako naszemu ulubionemu Aktorowi życzę Panu z Nowym Rokiem wszystkiego najlepszego, a w szczególności dalszych, tak udanych premier w „Teatrze Na Woli”. Nie mogę się oprzeć, by nie wyrazić swego zachwytu dla wszystkiego tego, co widziałem w Pana wykonaniu. Wyjątkowo podobała mi się sztuka — „Gdy rozum śpi...” Mój sentyment do tego malarza zrodziła przed wielu laty przeczytana jego biografia. Ale nie tylko ten sentyment wyzwolił mój zachwyty na przedstawieniu. Zachwycała mnie szczególnie celna gra Aktorów, wyjątkowo dobra scenografia tak dobrze wykorzystująca walory wnętrza Teatru.

Jednak najwięcej do myślenia daje sama reżyseria tego przedstawienia. W przedstawieniu tym znalazło się coś, co może nazwałbym nowoczesnym, gdyby nie ubóstwo tego słowa; może nazwałbym czymś nowym, ale i to słowo jest tak niewiele mówiące. Może najbliższej prawdy będę mówiąc, że do teorii teatru przedstawienie to dodało jeszcze jedną cegiełkę, a właściwie kartę. W każdym razie jako widz „Teatru Na Woli” lubię do tego teatru chodzić.

Ale może przypomnę, kim jestem — przecież Pan ma tak wielu widzów. Kiedyś byłem dyrektorem Biura Projektów Budownictwa War-Cent, to jest biura, w którym projektowano „Teatr Na Woli”. Praca w tym przedsiębiorstwie spowodowała — z całym zażenowaniem pragnę się tym z Panem Profesorem podzielić — że napisałem książkę (obecnie istnieje tylko jako maszynopis), jak najbardziej współczesną, w zasadzie warszawską, w zasadzie bardzo drastyczną, powieść – niepowieść, sztukę – niesztukę.

Doprawdy nie wiem, co dalej napisać... To trzeba przeczytać... I gdyby Pan Profesor... byłby to dla mnie wielki zaszczyt. A może i Panu Profesorowi moja książka dałaby jakieś chwile zadowolenia — takie małe odwzajemnienie się z mej strony.

Życzę jeszcze raz szczęśliwego Nowego Roku

Warszawa, dnia 27 grudnia 1977 roku.

*Odpowiedzi oczywiście nie było, a peta wówczas ukończył petę numer 1 (obecnie nr 4) pod tytułem „Samczy happening” i podjął próbę zainteresowania swą książką kogoś. Nie wiedział, że takie bezskuteczne próby przyjdzie mu czynić przez dalsze kilkadziesiąt lat — do ostatnich swych dni.*



Jednocześnie usilnie pracowałem nad swoją pierwszą książką i nad jej wydaniem.

Warszawa, dnia 2 stycznia 1978 r.

Państwowy Instytut Wydawniczy

Warszawa, ul. Foksal 17

Zwracam się z uprzejmą prośbą o udzielenie mi wyjaśnień w kwestii następującej. Napisałem książkę — coś w rodzaju powieści lub pamiętnika. Jest to rzecz współczesna, osnuta na tle moich obserwacji, można powiedzieć, że jest ona o urzędnikach.

Kilkanaście lat pracy na różnych urzędniczych stanowiskach uczyniły, że miałem o czym pisać. Z zawodu jestem architektem, obecnie jestem zastępcą dyrektora zjednoczenia. Toteż o ile z jednej strony wiedziałem, o czym i jak pisać, to z drugiej strony zupełnie nie orientuję się, co dalej — to znaczy nie wiem, co winienem zrobić, aby doprowadzić do wydania tej książki, a bardzo bym tego chciał. Naturalnie, że satysfakcja osobista należy do tych motywacji, które powodują takie moje działania, ale powoduje je i chęć poddania pod zastanowienie społeczeństwa pewnych kwestii, które sprawiają, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, że mamy takie problemy i że tak trudno jest nam z nimi walczyć.



Jako miłośnik powieści, a i jako architekt chciałem dać propozycję nowej jej formy i kompozycji. Pragnąłem, aby książka ta była bliska współczesnym sztukom plastycznym i muzyce. Nade wszystko jednak chciałem zostawić dokument o tych latach, pisząc o nich w kategoriach, jakie są obce reportażom dziennikarskim, do jakich dotrzeć może tylko ktoś z nas — profesjonalistów — urzędników.

Zdaję sobie sprawę, że książka moja w wielu miejscach jest bardzo drastyczna — drastyczna swą wulgarnością, lub poprzez mówienie o sprawach żenujących, choć powszechnych. Chciałem jednak, aby poza wszystkim, była to męska książka. Nie jest ona z pewnością przeznaczona do czytania dla dzieci, a nawet nie dla młodzieży, ale bardzo chciałem pokazać w niej, czym my mężczyźni żyjemy i jacy też naprawdę jesteśmy.

Tak więc zwracam się do Państwa z gorącą prośbą o zainteresowanie się tym, co napisałem, a nade wszystko o wiadomości, czy istnieje jakakolwiek możliwość na wydanie tej książki. Jeżeli Państwowy Instytut Wydawniczy uczyni mi ten zaszczyt, to niezwłocznie dostarczę do zapoznania się maszynopis tej książki.

Kończąc życzę wszystkiego najlepszego w Nowym Roku



WICEPREZYDENT  
MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

Warszawa, dnia 27 .I. 1978 r.

EK

Generalny Dyrektor  
Obywatel  
mgr inż. Leszek GANOWICZ  
Zjednoczenie Budownictwa "WARSZAWA"

w m i e j s c u

W odpowiedzi na pismo z dnia 20.I.1978 r.  
Znak: EK-243/78 - doceniając aktualne potrzeby Zjednoczenia Budownictwa "WARSZAWA" - uprzejmie informuję, że wyrażam zgodę na przejście Obywatela mgr inż. arch. Mariana SOKOŁOWSKIEGO - dyrektora technicznego w Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa Komunalnego, do pracy w organizacji Waszego Zjednoczenia od dnia 1 lutego 1978r, na zasadzie porozumienia zakładów pracy.-

WICEPREZYDENT  
MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY  
mgr inż. Jerzy Brzostek

ZJEDNOCZENIE BUDOWNICTWA  
WARSZAWA  
2 17 1978  
Wydział 9 nr 283

Znalazłem odpowiedź na mój list z 2 stycznia 1978 roku:

21. STYCZ 1978

**PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY**

00-950 Warszawa, ul. Foksal 17

L. dz. R-20-13/78

Szanowny Panie,

w odpowiedzi na list uprzejmie informuję, że gotowi jesteśmy zapoznać się z napisaną przez Pana powieścią, a po otrzymaniu opinii recenzenta powiadomimy Pana o naszej decyzji w sprawie ewentualnej publikacji.

Łączę wyrazy poważania

Kierownik Redakcji

Polskiej Literatury Współczesnej

/Krystyna Milewska/



**Generalny Dyrektor** Warszawa, dnia 20 lutego 1978 r.  
**Zjednoczenia Budownictwa**  
**„Warszawa”**  
Znak : EK-243/Or.P/160/78

O b y w a t e l  
mgr inż. arch. Marian SOKOŁOWSKI

W a r s z a w a  
-----

Powołuję Obywatela z dniem 1 lutego 1978 roku na pełniący obowiązek przewodniczącego Komisji Organizacyjnej dla utworzenia przedsiębiorstwa projektowania.

Jednocześnie z dniem 1 lutego 1978 roku ustaliam Obywatelowi miesięczne wynagrodzenie w/g 19 kategorii zaszerogowania, tj.

1/ miesięczną stawkę wynagrodzenia zasadniczego	- 7.000 zł.
2/ dodatek funkcyjny	- 4.000 zł.
3/ 15 % dodatek za staż pracy od wynagrodzenia zasadniczego	- 1.050 zł.

-----  
R a z e m - 12.050

/słownie : dwanaście tysięcy pięćdziesiąt złotych / netto, z prawem do premii uwarunkowanej wykonaniem zadań, ujętych w zarządzeniu nr 4 Generalnego Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa "Warszawa" z dnia 1 lutego 1978 r.

Powołanie niniejsze ważne jest do czasu utworzenia przedsiębiorstwa projektowania.

GENERALNY DYREKTOR  
mgr inż. Leszek Gdanowicz

Otrzymuje : \_\_\_\_\_  
1. KBM Warszawa - Wschód  
2. EZ - w budynku



*Wydawnictwa jeszcze posługiwały się recenzentami literackimi.  
Już nigdy potem w swym życiu petyta nie był tak blisko wydania drukiem przez wydawnictwo jakiegokolwiek swojej książki.*

27 kwiet 1978

**PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY**  
00-950 Warszawa, ul. Foksal 17

Szanowny Panie,  
zwracając maszynopis książki pt. „Samczy happening” uprzejmie komunikuję, że Wydawnictwo nie zdecydowało się na jej publikację. Załączona recenzja zawiera motywy naszej odmowy.

Z poważaniem  
Kierownik Redakcji  
Polskiej Literatury Współczesnej  
Krystyna Milewska

*Przełknijmy wraz z petytą tę pigułę:*

*Recenzja Państwowego Instytutu Wydawniczego z 25 stycznia 1978 roku.*

Książka pt. „Samczy happening” jest niewątpliwie śmiałą i interesującą propozycją artystyczną. Przy czym, jej swoiste nowatorstwo formalne bardziej korzysta z dwudziestowiecznych doświadczeń gatunku powieściowego (choćby Cortazar, jak sądzę), niż jest w pełni oryginalne. Z drugiej jednak strony odwoływanie się autora do dotychczasowego dorobku prozy nie może być poczytywane za wadę o tyle, o ile nie pojawia się nadmiar owych odwołań.

Powieść „Samczy happening” składa się z wielu form narracyjnych. Autor wykorzystuje w niej zapis pamiętnikarski, czy wręcz, ze względu na ścisłe określenie czasu — charakterystyczny dla dziennika. Równocześnie traktuje swoje dzieło jako specyficzną partyturę utworu muzycznego organizując kompozycję powieści według prawideł konstrukcji muzycznych. Części pt. „Mowy” oraz „Filister” są sztuką teatralną — bez wydzielenia konkretnych postaci i przypisywania im w sposób jednoznacznie, narracyjnie określony pewnych kwestii. Do „głosów” dramatu sporządzony jest opis reżyserski, który uznać można za teatralny scenopis dotyczący zagospodarowania przestrzeni scenicznej, gry aktorskiej oraz innych efektów (niekiedy happeningowych) oddziaływania na odbiorcę. Ponadto, powieść nosi znamiona utworu autotematycznego. Wiele fragmentów dziennika, cytowanych wypowiedzi wskazuje na to, iż dla ukrywającego twarz podmiotu dzieła problemem jest żywotność i nośność konstrukcji powieściowej. W pewnych partiach utwór staje się więc realizacją kolejnych wariantów, nabiera cech powieści konceptualno – potencjalnej, której pełne wymiary mógłby dopiero stworzyć współpracujący z narratorem czytelnik. Natomiast pierwsza część książki, mimo, iż pisana w formie pamiętnika, jest groteskową, pełną dowcipu i karykatury, powieścią obyczajową.

Wprowadzenie do jednego utworu aż tylu form konstrukcyjnych i narracyjnych niesie ze sobą odpowiednie konsekwencje. Każdej z tych form jest bowiem przypisane odrębne znaczenie; to znaczy, że ożywiają one odmienne rejony semantyczne, kojarzą się z pewnymi rodzajami problemów, służą wyrażaniu różnych treści. Autor „Samczego happeningu” zdaje się zapominać o tym, że forma również ZNACZY i nie można jej stosować w sposób całkowicie dowolny — powinna albo aprobować istniejącą tradycję wykorzystania, albo negować, nie może być „użyta” dla samego „użycia”. I dlatego konieczne byłoby wprowadzenie do książki pewnej zasady porządkującej, jednoczącej umiejętnie różne formuły przekazu artystycznego. Dopóki zabieg ten nie zostanie dokonany zarzut kierowany w stronę autora może dotyczyć faktu, iż cechuje jego twórczość przesadna wiara w to, że z nie kończących się epizodów, odmiennych struktur narracyjnych, asocjacyjnych dygresji zdystansowanych wobec siebie, wyniknie pewna jednolita całość artystyczna, a wraz z nią wartość estetyczno – poznawcza.

Sytuując się w kręgu dwudziestowiecznych przemian gatunku (w dobie rozpadu form narracyjnych, zanikania podmiotów, reinfikującej obiektywności lub skrajnie emocjonalnej subiektywności, dokumentalizacji i eseizacji), autor nie może przedstawić w sposób wyraźny sylwetki swojego bohatera. Można się w ogóle zastanawiać, kto nim jest. Czy postać z pierwszej części — mężczyzna przebywający na konferencji naukowej w Krynicy bez powodzenia usiłujący znaleźć jakąś towarzyszkę do wspólnego spędzania samotnych wieczorów i nocy? Czy może narrator części pozostałych, autor dziennika, rzadko ukazujący swoje oblicze, całkowicie ukryty w częściach „Mowy” i „Filister” — nie dający się zidentyfikować w sposób wyraźny z którąkolwiek z osób biorących udział w narracjach i spotkaniach w Biurze? Brak bohatera utworu nie może oczywiście stanowić zarzutu, ale jest nim brak podmiotu utworu, lub, mówiąc inaczej, zbyt mała ilość go określających elementów. Powoduje to bowiem, iż „Samczy happening” staje się utworem abstrakcyjnym, zbyt powierzchownym i luźnym konstrukcyjnie. Spoza wielości form zaczyna wyzierać pustka.

Przedstawione wyłącznie w dialogach, w języku mówionym (co jest pomysłem interesującym) życie Biura mogłoby stanowić rekompensatę dla abstrakcyjności i nieokreśloności. Ale równocześnie zapis autentycznych rozmów, wypowiedzi konferencyjnych, dokonany niezwykle pieczołowicie, i co należy podkreślić — z olbrzymim wyczuciem języka mówionego, jest chyba zbyt dosłowny. Jeśli Białoszewski stosuje w swoich powieściach język mówiony, to nosi on znamiona strukturalne używanej na co dzień mowy, nie jest zapisem dosłownym i wszystkiego, działają pewne mechanizmy selekcyjne. Tu tych mechanizmów selekcyjnych autor nie stosuje. Ciągący się przez przeszło sto stron zapis rozmów z narad — staje się nużący, znużenie u odbiorcy potęguje dodatkowo przedmiot rozmowy, zbyt specjalistyczny: albo są to problemy biura konstrukcyjnego, albo dotyczące systemu wynagradzania. Należy tylko dodać, że w końcowej fazie (w części „Filister”), kiedy zza wypowiedzi wyłaniają się ludzie ze swoimi problemami, kłopotami, kiedy zaczynamy rozumieć, że jest to powieść w zamiarze autorskim również o utraconych złudzeniach i neutralizowanych przez sytuację społeczno – gospodarczą ambicjach grupy menadżerskiej — zapis dialogów nabiera dynamiki i dramatyzmu. Mogłyby dramaturgię odzyskać pierwsze części „Mów”, gdyby je skrócić oraz uwyraźnić różnicę zdań, a także przedstawić przyczyny różnicy spostrzeżeń. Wtedy, ważna problematyka, jaką podejmuje autor „Samczego happeningu” znalazłaby swój kształt artystyczny i zwiększyłaby moc oddziaływania.

Wniosek, jaki z powyższych rozważań płynnie wydaje się być oczywisty: rzeczywistość literacka jest i będzie rzeczywistością przetworzoną, nie można zawierzyć jedynie zapisowi tego, co istnieje w świecie prawdziwym. W tekście autora (choć są fragmenty, które nie podlegają temu twierdzeniu) tego przetworzenia nie widać. I dlatego książka nie ma charakteru syntezy, nie jest artystycznym rozpoznaniem CZEGOKOLWIEK, uykają jej rzeczywiste, konkretne problemy ludzkie, razić może jednowymiarowością.

Nie jest to jednak utwór pozbawiony walorów. Styl autora charakteryzuje olbrzymie wyczucie językowe, duża sprawność w budowaniu odcieni i tonacji. Stanowiąca w książce odrębną całość część pt. „Samczy happening” napisana jest wartko, autor umiejętnie wprowadza karykaturę i konstruuje świetną puentę. Ciekawe są niektóre dygresje — fragmenty dziennika; ożywia się i uzyskuje dramaturgię zapis rozmów z końcowej części „Filistra”. Jest to książka, jak sądzę, która po poprawkach — po przepracowaniu konstrukcji i wprowadzeniu zasady ją organizującej oraz uwypukleniu zbyt niekiedy symbolicznie ukrytej problematyki, po rezygnacji z pragnienia mówienia o wszystkim jednocześnie — mogłaby być dopuszczona do druku. W chwili obecnej moja recenzja jest jednak negatywna.

*Te słowa: „Styl autora charakteryzuje olbrzymie wyczucie językowe, duża sprawność w budowaniu odcieni i tonacji” pęta jedynie zauważał, chłonał, żył nimi, choć „Samczy happening” przez lata poprawiał, zmieniał, uczytelniał, skracał... Na próżno.*

*A przecież jednoznacznie udokumentował paradoksy ustroju PRL: wielogodzinne narady (aktywu, załogi), jednoczesne kierowanie biurem przez sekretarza organizacji partyjnej, przez przewodniczącego związków zawodowych, przez przedstawicieli Komitetów Dzielnicowych i Miejskich PZPR, przez tuzów zawodu architekta i przez w niewielkim stopniu dyrektora biura; opisał monstrualny paradoks gospodarzy wprowadzania powszechnego systemu bezpodatkowych wynagrodzeń; opisał niezwykłą rozrzutność uzyskanych przez Gierkę kredytów na Zachodzie – wszystko to są niezafałszowane dokumenty zapisane dla przyszłych pokoleń.*



*recenzja Wydawnictwa „Czytelnik” z roku 1978*  
*odręczny szkic recenzenta dany pecie, bo już wydawnictwo nie chciało więcej tracić czasu:*  
 „Jest to powieść o ludzkich ułomnościach”.

[?mtyplestwo] z tymi podobieństwa do utworu [czynyo] ; to, że się wymieni kilka [?] i powie, że tak właśnie jest zbudowana ta powieść — to ewidentne nadużycie. A przy tym to jak: Concerto grosso czy happening? To jest normalny montaż efektownych czarów, za którymi nic się nie kryje. Czyli jest to efekciarstwo, chyba że to należy [?] jako metaforę utworu artystycznego i nie jest to concerto grosso, tylko — po prostu — dzieło sztuki. Ale czy o tym trzeba [?] w ten sposób mówić? Przecież wiadomo, że skoro powieść, to tym samym dzieło sztuki. Inna sprawa, czy dobre...

I oczywiście te [?] nic nie mówią, nie ma żadnego związku, choćby emocjonalnego, między nimi i tekstem (może dlatego że sprawy opisane są zbyt małe i niejasne).

Skłonność do wulgarnych dowcipów.

Ta notatka o czasie — s.58 — dość banalna [?]

Taka książka nie zdoła zainteresować szerszej publiczności, węższej zresztą też. Może kilku pięknoduchów, których [?]

Jak na collage są to za długie teksty dowcipy, historyjki.

Jest to notatnik — [?] (czyli kamuflowany) górnolotnymi tytułami i górnolotnie określony na [?]

To są różne języki

Tu muzyka tu teatr...

*notatka pety na recenzji:*

Jeśli ktoś tak straszliwie bazgrze, to powinien mieć zabroniony dostęp do istoty literatury.



STOŁECZNE ZJEDNOCZENIE PROJEKTOWANIA  
 BUDOWNICTWA KOMUNALNEGO  
(pieczęć niegłównego zarządu pracy)  
 ul. Królewska 27 tel. 27-67-23  
 Znak sprawy: FE-440/78

Warszawa d.n. 2.02.1978r  
(miejsowość i data)

**SWIADECTWO PRACY**

Stwiercza się, że Obywatel(ka) mgr inż arch Marian SOKOŁOWSKI  
 syn - ~~z~~ Stanisława urodzony(a) 29 lipca 1933r  
(dzień, miesiąc, rok)  
 był(a) zatrudniony(a) Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa  
(nazwa zakładu pracy)  
Komunalnego W-wa ul. Królewska 27.

w pełnym wymiarze czasu pracy  
(w przypadku zatrudnienia w niepełnym wymiarze czasu pracy - podać ten wymiar)

W wymienionym wyżej okresie pracy Obywatel(ka) zajmował(a) stanowiska \_\_\_\_\_  
 1. Dyrektor Biura Projektów Budownictwa "WARCENT" od dn.16.XII.1972r  
do dn.31.III.1977r  
 2. Zastępca dyrektora d/s technicznych w Stołecznym  
Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa Komunalnego od dn.1.IV.1977r  
 a ostatnio stanowisko: Z-ca dyr.d/d techn. w SZPBK  
 na którym otrzymywał(a) wynagrodzenie 6.500.-zł /sześć tysięcy pięćset/  
sz.19 kat.zasz. II tab płac. Zał.17 do Układu zbiorowego Pracy  
(stawa płacy zasadniczej) wynagrodzenia, uposażenia - wg kategorii assegegowania, grupy wynagrodzenia, uposażenia  
dla prac. gospodarki komunaln. i mieszkaniowej z dn. 28.XII.1974r

w wysokości dodatek funkcyjny - 4.000.-zł /cztery tysiące/  
(grupa i stawka dodatku funkcyjnego (specjalnego) oraz premie i dodatki - podać kwoty i dodatków stałych)  
premii regulaminowa oraz 10% dodatek za staż pracy.

Warszawa, dnia 8 luty 1978 r.

Obywatel mgr inż. arch. Marian SOKOŁOWSKI  
zastępca dyrektora d/s technicznych  
w Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania  
Budownictwa Komunalnego  
w m i e j s c u  
-----

Na podstawie § 15 ust. 1 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 23 listopada 1973 r. w sprawie praw i obowiązków terenowych organów administracji państwowej oraz zasad obsadzania stanowisk pracowniczych /Dz.U. Nr 47, poz. 279/ o d w o ł u j ę Obywatela z dniem 31 stycznia 1978 roku ze stanowiska zastępcy dyrektora d/s technicznych w Stołecznym Zjednoczeniu Projektowania Budownictwa Komunalnego i z dniem tym rozwiązuję umowę o pracę na zasadzie porozumienia zakładów pracy - w związku z przejściem do pracy w Zjednoczeniu Budownictwa Warszawa.

  
inż. Jerzy Majewski

**Generalny Dyrektor  
Zjednoczenia Budownictwa  
„Warszawa”**

Warszawa, dnia 20 lutego 1978 r.

Znak : EK-243/Or.P/160/78

O b y w a t e l  
mgr inż. arch. Marian SOKOŁOWSKI

W a r s z a w a  
-----

Powołuję Obywatela z dniem 1 lutego 1978 roku na pełniącego obowiązki przewodniczącego Komisji Organizacyjnej dla utworzenia przedsiębiorstwa projektowania.

Jednocześnie z dniem 1 lutego 1978 roku ustalę Obywatelowi miesięczne wynagrodzenie w/g 19 kategorii zaszerogowania, tj.

1/ miesięczną stawkę wynagrodzenia zasadniczego	- 7.000 zł.
2/ dodatek funkcyjny	- 4.000 zł.
3/ 15 % dodatek za staż pracy od wynagrodzenia zasadniczego	- 1.050 zł.

R a z e m - 12.050

/słownie : dwanaście tysięcy pięćdziesiąt złotych / netto, z prawem do premii uwarunkowanej wykonaniem zadań, ujętych w zarządzeniu nr 4 Generalnego Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa "Warszawa" z dnia 1 lutego 1978 r.

Powołanie niniejsze ważne jest do czasu utworzenia przedsiębiorstwa projektowania.

GENERALNY DYREKTOR  
mgr inż. Leszek Ganiowicz

Otrzymuje :  
1. KEM Warszawa - Wschód  
2. EZ - w budynku

do Artura Sandauera w 1978 roku:

W dniu 19 kwietnia br. w programie Telewizji Polskiej mówił Pan Profesor o sobie i o poglądach na temat współczesnej powieści. Szczególnie wzruszyło mnie stwierdzenie o powieści, która winna składać się z pomysłów powieści. Pragnę zawiadomić Pana Profesora, że według mojego mniemania właśnie tak skonstruowaną książkę napisałem. Wprawdzie jest to moja pierwsza książka, ale gdyby Pan Profesor zechciał ją przejrzeć, byłby to dla mnie wielki zaszczyt. Książka ta nie jest wydana drukiem.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*Nie było odpowiedzi.*



z dnia 2.5.1978:

Opisać wycofywanie się z działalności. Wycofywanie się w formie obojętnienia na to, co otacza, co trzeba by zrobić — wynikające z niedoceny wysiłków, z braku środków działania. W momencie całkowitego „tumiwizmu” otrzymuje ciekawe zadanie, do którego silnie się zapala. Tyle że okazuje się, że tym zadaniem... — że koniec książki stanowi jej początek, którego to początku było brak.

Opisać polowanie na faceta, który siedzi w pozytywach, jak w mateczniku. Trzeba go wywabić, więc prowokuje się go nie przebijając w formach. Wszystkie te prowokacje są poza granicami prawnie dopuszczalnymi (bądź etycznie przynajmniej). I dopiero, gdy osaczony robi krok desperacki, ale zarazem niezgodny z prawem, można go ustrzelić w myśl prawa. I czyni to się w majestacie prawa.

dn.7.5.1978

Opisać atawistyczny instynkt u samca do budowy gniazda — domu.

Ojciec i syn razem budują dom, odcięci niemal od świata. Dopiero tu, po wielu latach poznają się, poznają wzajemnie życie każdego z nich. Wiele z przeszłości się wyjaśnia, tłumaczy.

Budują nie wiadomo dlaczego, bo nie ma dla kogo, nikt nie oczekuje tej budowy — jedyny sens, to..., to atawizm i trochę własnego umiłowania zawodu u każdego z nich.

Przerywają budowę nie wiadomo dlaczego i rozjeżdżają się — jedyny sens w tym, że obrzęd instynktu już został dokonany i wzajemnie się poznali.

Rok 1977 był szczególny dla mnie i pod innym względem. Kupiłem działkę rekreacyjną w Wieliszewie za Wodociągiem Północnym. 750 m<sup>2</sup> zarośnięte gęstym młodnikiem sosnowym. Postanowiłem wybudować domek rekreacyjny i zajęło mi to 35 lat życia.

Sam zrobiłem projekt. Domek 7 na 7 metrów z niewielkim poddaszem okazał się być za duży dla zawistnych. Otrzymałem przydział 20 worków cementu, czyli 1 tonę i 6 metrów sześciennych drewna. Sam zabetonowałem fundamenty, ale wyżej już budowałem z ojcem. Było to w dniach od 10 sierpnia do 4 września 1977 roku. Zrobiliśmy drewnianą konstrukcję budynku i wspólnie zaczęliśmy kryć eternitem. Dalej przez lata sam budowałem, a znajomym tłumaczyłem: – Spróbujcie samemu bez niczyjej pomocy przybić deskę na suficie. [vide s. 278]

8.5.1978

„Noce i dni” Dąbrowskiej lub inna saga są ciągiem wielu opowiadań wpływających jedno na drugiego. Zrobić to samo, ale wstecz. W kilku książkach ten sam przedział czasu. Postacie główne z pierwszej książki stają się epizodycznymi w drugiej, a epizodyczne w pierwszej stają się głównymi w drugiej. Zanikają postacie z pierwszej, pojawiają się nowe z drugiej. Wszyscy bohaterami.

*Wspomnienia sekretarki Bożeny (ZBiD):*

Byłam wówczas sekretarką dyrektora Zakładu Badań i Doświadczeń Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” na Wilczej. Peta został zainstalowany u nas w wolnym gabinecie i miał organizować „Miastoprojekt – Warszawa”. Był to rok 1978. Właściwie kierowałam całym Zakładem, wydawałam wiele dyspozycji osobiście, nie oglądając się na nikogo załatwiałam do końca interesantów, było to dla mnie proste i jakoś mi bezkarnie uchodziło, a mój dyrektor często się nudził i często opowiadał mi o swoich schorzeniach pęcherzowych, podrywał mnie tym. Pomagałam więc pecie siedzącemu w drugim gabinecie, bo widziałam w tym sens, co robił.

Peta opracowywał dla dyrektora Zjednoczenia Ganowicza program utworzenia „Miastoprojektu”. Miał na to trzy miesiące czasu. Zaraz na początku pojawił się Jurek Zawistowski [architekt], daleki znajomy pety i oświadczył, że Ganowicz kieruje go do pety, aby mu pomógł w organizacji biura. Sytuacja stała się dwuznaczna i zaczynały krążyć plotki, który też z nich rzeczywiście zostanie dyrektorem tego „Miastoprojektu”. A Jurek przychodził późno do pracy, pijał kawę, dużo gaworzył z petą, który uprzejmie mu na to pozwalał. Potem Jurek stwierdzał: — O, dochodzi pierwsza, może byśmy tak na dzisiaj skończyli? — i wychodził do domu. Postępował tak codziennie. Widziałam, że bojkotuje zadanie pety, że pragnie, aby peta nie zdążył zrobić zadanego programu. Peta, gdy zostawał sam, brał się usilnie do pracy i pisał swój program. Chętnie mu w tym pomagałam, przepisywałam na maszynie, zanosłam, gdzie trzeba było.



**Generalny Dyrektor**  
**Zjednoczenia Budownictwa**  
**„Warszawa”**

Warszawa, dnia 25 lipca 1978 r.

Znak : EK-243/P/160/78

O b y w a t e l  
mgr inż. arch. Marian SOKOŁOWSKI

W a r s z a w a

Powołuję Obywatela z dniem 1 lipca 1978 roku na stanowisko dyrektora Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt - Warszawa ” w Warszawie.

P o d s t a w a :

- zarządzenie nr 54/Or Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z dnia 14 lipca 1978 r. w sprawie utworzenia przedsiębiorstwa państwowego pod nazwą :  
Biuro Projektowo-Badawcze Budownictwa Ogólnego „ Miastoprojekt - Warszawa ”,
- pkt 1 załącznika do zarządzenia nr 55 Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z dnia 2 grudnia 1971 r. w sprawie uprawnień naczelnych dyrektorów zjednoczeń.

Wynagrodzenie Obywatela zostanie ustalone odrębnym pismem.-

GENERALNY DYREKTOR  
mgr inż. Leszek Ganowicz

Otrzymuje :

1. BPBBO „Miastoprojekt - Warszawa ”
2. EZ - w budynku



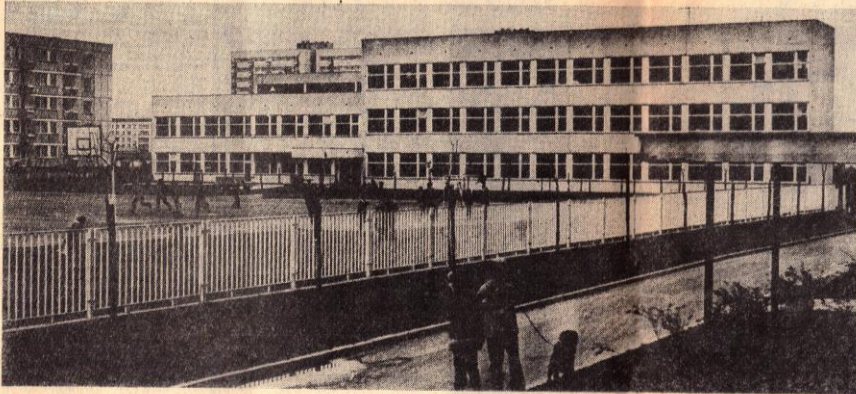
Milczenie mediów przez całe dziesięciolecia na temat pety było regułą. Wprawdzie około roku 1951 w „Sztandarze Młodych” ukazał się gromki artykuł „O łamaniu demokracji wewnątrz organizacyjnego” w całości poświęcony pecie, o czym peta pisał w „±0”; wprawdzie około roku 1975 w tygodniku „Świat” zamieszczono wypowiedź pety, dyrektora War-Centu, o przebudowie centrum Warszawy; to jednak dopiero artykuł w „Kulturze” (warszawskiej) zajął się petą wszechstronnie, z wielką atencją. Wprawdzie nie na pierwszej stronie, bo całą pierwszą stronę zajął rysunek, następne strony to głównie historia zjednoczenia partii, więc artykuł zaraz po tym na stronach 7 i 8 wskazywał na szczególne znaczenie sprawy. I to nie jakaś wzmianka, która już ucieszyłaby każdego żadnego sławy, ale gromki artykuł niemal na całą stronę, olbrzymia płachta o wymiarach trzydzieści na czterdzieści centymetrów, pięć szpalt drobnym drukiem. Prasa już wówczas groźnie uderzała w swoich politycznych przestępców. Nie wahała się odbiec od wymogów kultury i zagłębić się w terminologii zawodowej budownictwa. „Męska decyzja”, bo taki tytuł nadano już nie felietonowi, a oskarżeniu pety, obecnym czytelnikom pokazuje strukturę działań władzy w PRL i jej wszechpotężne arkana, stanowiące dobitny dowód tamtych lat.

O ogromnym znaczeniu dla pety tego wydarzenia świadczy fakt, że trzeba było dwudziestu pięciu lat, aby wrócił do tych bolesnych ran.



# MĘSKA DECYZJA

Władysław Fiałkowski



...taka szkoła to przecież jakiś pomysł...

FOT. WOJCIECH DRUSZCZ

po prostu nieodpowiedzialny.

Możemy już sobie pozwolić na pierwszą dygresję. Szkoła ta została wybudowana w Bełchatowie, kasdy ją może sobie obejrzeć. Jest praktycznie niemożliwa, aby o realizacji szkoły nie wiedzieli co najmniej trzy instancje: wojewódzki nadzór budowlany w osobie Naczelnego Architekta Województwa, Kuratorium Oświaty Szkolnego i Wesołowska Komenda Strazy Pożarnej. Czyli coś takiego powstało przy pełnej akceptacji urzędów, które przez prawo zobowiązane są do straszenia przepisów. Ponadto projekt ten został przecięt wykonany przez przedsiębiorstwa państwowe, które powinno być odpowiedzialne za swoje czyny (tzn. na przykład przestrzeganie norm projektowych). Projekt

Minęło więc już pół roku. Jeszcze raz zacytujmy pismo warszawskiego SARP-u w tej sprawie:

Zarząd Oddziału Warszawskiego SARP jest zdania, że przy potencjalnie projektowym jaki jest do dyspozycji organizacji stołecznych, nie może być trudności w uzyskaniu dokumentacji w odpowiednio krótkich terminach, dla zabezpieczenia realizacji, o odpowiednich kwalifikacjach użytkowych i technologicznych. Należy podkreślić, że już od 1977 roku podjęte zostały działania mające na celu przyspieszenie realizacji obiektów szkolnych. Między innymi dla osiedla Ursynów-Południowy, w oparciu o decyzje Prezydenta m. st. Warszawy (z maja 1977 roku) miało dokonać adaptacji szkół wg projektu arch. S. Fiałkowskiego. Niestety, prace te zostały zamknięte z nieznanymi nam przyczynami.

korespondencja

## Z igły widły

Reportaż „Z igły widły” („Kultura” nr 43) wywołał gromskie poruszenie. Czy to tylko lokalnie, w Białymsztoku? Czy to typowe? Zmuszanie dzieci do zjadania własnych zwyrodniałych porcji to na pewno rzadkość. Chociaż wzmianka o podobnym wypadku, który zdarzył się gdzieś indziej. Faktem jest jednak, że pod powierzchnią nowoczesnych hasel pedagogicznych istnieje w przedszkolach również podziemny nurt melodyczny. Są takie, w których niegrzeszne dzieci kładą na betonie z podniesionymi rękami, są takie, w których się dzieci straszy. Pisano o tym w 12 numerze „Półtyki”. Ciekawe, że wymienione tam sposoby powtarzają się jakby na fal wymiany doświadczeń. Niestety można by mnożyć przykłady straszenia dzieci.

Czy to typowe? Nie, jeszcze nie można mieć nadzieję, że jeszcze dłużej nie będzie. Żeby stosować takie metody trzeba po prostu być niedobrym człowiekiem. W ponad 45-tygodniowej sesji nauczycielek przedszkoli oczywiście i tak się znajdują, ale życzymy sobie, żeby w każdym zawodzie, tak jak w zawodzie nauczycielski przedszkola była równie wysoka liczba ludzi zamilowanych, odpowiedzialnych i właśnie dobrych.

To opinia proces regresu, ale warunki tego procesu narastają. Z jakimiś przypadkami niej siostry

Poniżej zamieszczam bez skrótów artykuł zamieszczony w tygodniku „Kultura” w całości dotyczący pety.

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ

Kultura tygodnik społeczno-kulturalny

WARSZAWA \* 10 GRUDNIA 1978 \* CENA 4ZŁ \* ROK XVI nr 50 (808)

Kultura reportaż publicystyka

str. 7 i 8

MĘSKA DECYZJA

Władysław Fiałkowski

Dla nas historia ta zacznie się od środka. Od polecenia Służbowego nr 2 dyrektora Biura Projektów Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt – Warszawa” z dnia 10 października 1978 roku, dotyczącego „zabezpieczenia dokumentacji” dla szkół osiedlowych na terenie Warszawy. Konkretnie, zobowiązuje ono jednostki organizacyjne biura do jak najszybszego przygotowania dokumentacji, potrzebnej dla zastosowania na warszawskich osiedlach tak zwanej „szkoły bełchatowskiej”. Mam nadzieję, że stanie się ona symbolem. Skąd się wzięła „szkoła bełchatowska”?

Firma Domont, specjalizująca się w produkcji domków jednorodzinnych z prefabrykowanych elementów drewnopochodnych, wychodząc naprzeciw trudnościom, jakie napotyka budownictwo obiektów oświatowych w Polsce, podjęła inicjatywę (czy też została do tego w jakiś sposób zobligowana — to nie odgrywa w tej sprawie istotnej roli) budowy z produkowanych przez siebie elementów budynków dla potrzeb oświaty.

Dla naszej architektury mogła to być decyzja przełomowa i temu, kto ją podjął: sława! W budownictwie towarzyszącym architekturze mieszkaniowej — co jest powszechnie znane — od lat grzęźniemy w archaicznych, ciężkich, żelbetowych konstrukcjach. Biura projektowe czynią na przykład nadludzkie wysiłki, aby przystosować technologię tzw. cegły żerańskiej dla budownictwa szkolnego. Nic się tam nie zgadza: szkoły muszą mieć wyższe pomieszczenia niż to przewidziano w tej technologii, większe rozpiętości pomieszczeń i tak dalej. Razem więc z elementami drewnopochodnymi wchodzi do budownictwa szkolnego nowa epoka techniczna, epoka lekkich konstrukcji. Poza tym, o co od dawna walczyli architekci, epoka parterowej szkoły — niskiego, płaskiego budynku ukrytego w zieleni, bardziej zbliżonego do ideału organicznej archi-

tektury. W przełamaniu barier technicznych w budownictwie szkolnym to rzeczywiście krok do przodu.

Zaczął się od przedszkoli, których do dzisiaj wykonano z tych elementów wiele. Oczywiście nie istnieje na ziemi taki projekt, któremu nie można by czegoś zarzucić. Sam Michał Anioł, mimo że otacza go nimb „świętego architektury”, też ma swoich krytyków. Ale na ogół przedszkola z elementów drewnopochodnych zostały ocenione pozytywnie.

Następnie przystąpiono do budowy szkół, również parterowych, kolorowych, w lekkiej technologii, chyba „szkół naszych marzeń”. Projekt szkoły został wykonany przez firmę Domont. Jest to rozczłonkowany parterowy budynek, składany z prefabrykowanych elementów, który miałby szanse zrewolucjonizować polskie budownictwo szkolne. Proszę pamiętać, że sam Walter Gropius znaczną część swej kariery zawdzięczał takim drewnianym budynkom.

Posiadamy w Polsce chyba najwyższy wskaźnik doktorów od architektury na kilometr kwadratowy. Tylko że ta ilość nie przeszła w jakość w codziennej praktyce. Ale wracajmy do faktów, bowiem są to już fakty — szkoła, o której mówimy stoi w Bełchatowie i uczą się w niej dzieci. Fakty są takie:

— Projekt szkoły nie posiada uniwersalnej sytuacji, może być usytuowany wyłącznie z wejściem od północy, co utrudnia projektowanie dojazdów i dojazdów w osiedlach.

— Wyjątkowo rozczłonkowana bryła budynku pokrywa działkę o powierzchni dwóch hektarów, co w większości wypadków zmusza do rezygnacji z podstawowych urządzeń sportowo-rekreacyjnych.

— Szkoła przeznaczona jest dla 720 uczniów, nie posiada przedszkola dla 120 dzieci. Na lokalizacjach szkolnych w Warszawie, przewidywano dotychczas budynki szkolne zaprojektowane przez arch. Stanisława Fijałkowskiego, przeznaczone dla 960 uczniów z przedszkolem i basenem. Prosty rachunek wykazuje, że na każde cztery bełchatowskie szkoły, należy przewidzieć piątą, dodatkową lokalizację oraz środki materialne i finansowe na wybudowanie dodatkowej szkoły, która by przyjęła uczniów, którzy w tamtych szkołach się nie pomieszczą. Oto dwa przykłady, czym byłoby zastosowanie tego rodzaju szkoły w Warszawie.

W osiedlu Bródno XII, z terenu o powierzchni 3 ha, na którym zatwierdzony projekt urbanistyczny przewidywał lokalizację szkoły projektu arch. S. Fijałkowskiego (z przedszkolem, basenem, pełnym programem urządzeń sportowo-rekreacyjnych, z całym zestawem urządzeń ogólnodostępnych, aby szkoła mogła pełnić pewne funkcje szkoły środowiskowej), należy przy zastosowaniu projektu z Bełchatowa wygrodzić działkę o powierzchni przeszło pół ha dla przedszkola. Szkoła bełchatowska, ze względu na jedyną możliwość usytuowania, musi być ustawiona w środku działki, uniemożliwiając praktycznie zagospodarowanie terenu. Przy tym osiedle Bródno zostaje pozbawione zaprogramowanego tutaj basenu.

Drugi przykład. W osiedlu Targówek, gdzie obszerna działka pozwala zlokalizować szkołę bełchatowską, pociąga to konieczność dobudowania do niej stołówki, wykonanej w konstrukcji stalowej oraz przedszkola, w technologii cegły żerańskiej. Powstaje więc na tym terenie konglomerat brył i technologii pozbawiony logiki i sensu.

Tyle o urbanistycznych cechach szkoły bełchatowskiej, które dyskwalifikują ją, jako obiekt mogący się znaleźć w dużych miastach. Natomiast może w warunkach bełchatowskich jest to rzeczywiście idealne rozwiązanie. Popatrzmy dalej na fakty:

— Klasy usytuowano przy wszystkich ścianach zewnętrznych, jak to się mówi „na wszystkie strony świata”. Normatyw szkolny obowiązujący w Polsce wyraźnie preferuje pewne kierunki padania promieni słonecznych.

— W szkole brak właściwie zaprojektowanej powierzchni rekreacyjnej, co budzi zdumienie, bowiem w parterowym obiekcie bardzo łatwo jest to uzyskać. W skrzydle dla dzieci młodszych sala rekreacyjna usytuowana jest na końcu 60-metrowego ciemnego korytarza. Sala ta ma powierzchnię 90 metrów kwadratowych, co przy ośmiu klasach po czterdziestu uczniów daje powierzchnię poniżej 0,3 metra kwadratowego na ucznia. Obowiązujący normatyw przewiduje 0,4 metra kwadratowego na ucznia. Jednocześnie w projekcie roztrwoniono kilkaset metrów kwadratowych na komunikację. Tworzą ją korytarze bez okien, dochodzące do 70 metrów długości, kiedy normy bezpieczeństwa przewidują, że długość takiego korytarza nie może wynosić więcej niż 18 metrów. W 836 m kw. powierzchni szkoły przypadającej na korytarze i rekreację, tylko 281 przeznaczona jest na rekreację.

— Wysokość pomieszczeń wynosi 3 metry, podczas gdy normatyw przewiduje 3,2 metra.

— Zaprojektowano sanitariaty bez okien, czego w pomieszczeniach dla dzieci normy również nie dopuszczają. Zgodnie z obowiązującymi tutaj przepisami organy nadzoru budowlanego nie mają prawa na udzielenie jakichkolwiek odstępstw od normatywu. (§ 65 „Warunków technicznych”)

— W szkole zaprojektowano salę gimnastyczną o zbyt małej powierzchni i wymiarach uniemożliwiających prowadzenie gier (siatkówka i koszykówka). W projekcie przewidziano również, że podłoga w tej sali będzie ułożona bezpośrednio na szlachcie cementowej, co dzieciom grozi po prostu kalectwem. W przepisach wymagany jest parkiet na podwójnych, krzyżujących się legarach. W tym jednym miejscu budowniczych szkoły w Bełchatowie ruszyło sumienie i w trosce o dzieci zmienili podłogę na inną.

— W szkole w Bełchatowie zastosowano okna o oszklonej powierzchni 0,91 metra kwadratowego. W klasie o powierzchni 51 metrów kwadratowych jest osiem takich okien, co łącznie daje 7,3 metra oszklonej powierzchni. Stosunek powierzchni okna do powierzchni podłogi wynosi więc zaledwie 1/7, czyli jest absolutnie sprzeczny z normatywem szkolnym, który przewiduje 1/4 do 1/5.

Projekt jeszcze posiada rażące błędy w instalacjach oraz wentylacji, nie odpowiada przepisom przeciwpożarowym i BHP, nie mówiąc już o estetyce wnętrza.

Nie ma sensu nudzić dalej czytelników tą wyliczanką. Wystarczy wspomnieć jeszcze, że koszt tego rodzaju budynku, w stosunku do innych budynków szkolnych, w przeliczeniu na jednego ucznia jest znacznie wyższy.

W opinii na temat tego projektu Zarząd Warszawski Stowarzyszenia Architektów Polskich napisał: „W oparciu o zebrane opinie fachowe oraz przeprowadzoną w dniu 26 października br. wizję lokalną w Bełchatowie, stwierdzamy jednoznacznie, że budowa tego typu obiektów dla potrzeb szkolnictwa jest działalnością, która budzi i budzić będzie społeczny sprzeciw”. Jest to opinia bardzo oględna.

Nie można nawet powiedzieć, że jest to projekt zły, jest to projekt po prostu niedziałny.

Możemy już sobie pozwolić na pierwszą dygresję. Szkoła ta została wybudowana w Bełchatowie, każdy ją może sobie obejrzeć. Jest praktycznie niemożliwe, aby o realizacji szkoły nie wiedziały co najmniej trzy instancje: wojewódzki nadzór budowlany w osobie Naczelnego Architekta Województwa, Kuratorium Okręgu Szkolnego i Wojewódzka Komenda Straży Pożarnej. Czyli coś takiego powstało przy pełnej akceptacji urzędów, które przez prawo zobowiązane są do strzeżenia przepisów. Ponadto projekt ten został przecież wykonany przez przedsiębiorstwo państwowe, które powinno być odpowiedzialne za swoje czyny (tzn. na przykład przestrzeganie norm projektowych). Projekt szkoły bełchatowskiej stawia tę odpowiedzialność pod znakiem zapytania. Bardzo jestem ciekaw, co ci wszyscy mają do powiedzenia w tej sprawie.

Projekt szkoły bełchatowskiej trafił do Warszawy. Odbyły się nawet wizje lokalne na terenie Bełchatowa i zapadła decyzja o adaptacji tej szkoły dla warunków warszawskich. I twierdzę, że była to decyzja słuszna. Taka szkoła, to przecież jakiś pomysł, który daje szansę pchnięcia szkolnego budownictwa chociaż trochę do przodu. To, że nikt z tych decydentów nie traktował poważnie architektonicznych pomysłów firmy pod nazwą Domont, świadczy fakt, że wydano polecenie adaptowania tego projektu. Decydentom chodziło przede wszystkim o technologię i byli przekonani, że prawidłowe rozplanowanie poszczególnych pomieszczeń w tej technologii jest już rzeczą tak banalną i tak oczywistą, że będzie to mogło być załatwione na niższym szczeblu, gdzieś w okolicach Zjednoczenia Budownictwa Warszawa, już bez specjalnych interwencji Komitetu Warszawskiego czy Prezydenta Miasta. Okazało się jednak, że jest to niemożliwe.

Na samym początku podkpiwałem sobie o tym wskaźniku doktorów architektury na kilometr kwadratowy. W Warszawie ten wskaźnik jest kilkunastokrotnie większy niż na terenie Polski. Ale poważnie: Warszawa jest największym najpoważniejszym pod względem fachowym środowiskiem architektonicznym w Polsce. Tutaj mieszka i pracuje paru laureatów właśnie

w dziedzinie budownictwa szkolnego, tu mieszka i pracuje chociażby architekt Halina Skibniewska, która temu szkolnemu budownictwu poświęciła kawał swojego życia.

I tu zaczyna się sprawa zupełnie niezrozumiała. Adaptacji projektu, który według założeń ma być wielokrotnie powtarzany na terenie stolicy, nie powierza się nikomu, kto w tej dziedzinie się specjalizuje, ale w ramach „wpychania” czyli jak to się uczenie nazywa „koordynacji działalności projektowej”, polecenie adaptacji projektu otrzymuje Biuro Projektowania Budowy Elektryczności i Przemysłu!

Zdaje się, że BPB Elektryczności i Przemysłu, przymuszone, myślało tylko jak zrzucić z siebie ten garb. W każdym razie fakt ten jest faktem, że po pół roku zrezygnowano z adaptacji tego projektu.

Minęło więc już pół roku. Jeszcze raz zacytuję pismo warszawskiego SARP-u w tej sprawie:

„Zarząd Oddziału Warszawskiego SARP jest zdania, że przy potencjale projektowym jaki jest do dyspozycji organizacji stołecznych, nie może być trudności w uzyskaniu dokumentacji w odpowiednio krótkich terminach, dla zabezpieczenia realizacji o odpowiednich kwalifikacjach użytkowych i technologicznych. Należy podkreślić, że już od 1977 roku podjęte zostały działania mające na celu przyspieszenie realizacji obiektów szkolnych. Między innymi dla osiedla Ursynów Południowy, w oparciu o decyzję Prezydenta m. st. Warszawy (z maja 1977 roku) miano dokonać adaptacji szkół wg projektu arch. St. Fijałkowskiego. Niestety, prace te zostały zaniechane z nieznanym nam przyczyn.

Zarząd Oddziału Warszawskiego SARP doceniając powagę zaistniałej sytuacji deklaruje aktywny i zdecydowany współdziałanie warszawskich architektów dla niezwłocznego podjęcia działań, których celem jest perspektywiczne rozwiązanie problemu budownictwa szkolnego na terenie Stolicy”.

Jest to stanowisko SARP-u zadeklarowane w dniu 31 października 1978 roku. Nie przypuszczam, aby pół roku wcześniej to stanowisko było inne i SARP odmówiłby władzom miejskim swojej pomocy. Istniała więc realna możliwość wykonania odpowiedniej dokumentacji technicznej, w potrzebnych dla realizacji terminach.

Niestety, pół roku zostało stracone. Zatem więc dyrektor magister inżynier architekt Marian Sokołowski podejmuje swą męską decyzję i Poleceniem Służbowym nr 2 każe przystąpić do wykonywania tej dokumentacji, biorąc za podstawę twój spłodzony w Domoncie.

Ta decyzja kończy się następującym passusem:

„Zgodnie z decyzją władz miasta, zatwierdzenie planu realizacyjnego wraz z załącznikami, to jest projekt budynku szkolnego z powiększoną salą gimnastyczną i stołówką nastąpi bez konieczności uzyskania uzgodnień częściowych to jest: SANEPID, BHP, Straż Pożarna, MPWiK, ZEWM, MZG itp”.

Ten ostatni fragment jest chyba najważniejszy. Widać z niego, że dyrektor Biura Projektów jest świadom tego, że projekt, który służbowo poleca zastosować swoim podwładnym, jest niezgodny z prawem obowiązującym w kraju.

Komentarz jest chyba zbędny. Natomiast niezbędną jest informacja, że dyr. Sokołowski podał swą decyzję nr 2 do wiadomości kilku instytucjom i urzędom, między innymi: Departamentowi Nauki, Techniki i Projektowania Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych; Zjednoczeniu Stolarki Budowlanej; Zjednoczeniu Budownictwa „Warszawa”; Kombinatowi „Stolbud”; Centralnemu Ośrodkowi Badawczo-Projektowemu Budownictwa Ogólnego; Stołecznemu Zarządowi Rozbudowy Miasta; Stołecznej Dyrekcji Inwestycji Spółdzielczych; Kuratorium Oświaty i Wychowania; Naczelnemu Architektowi Warszawy.

Wszyscy więc o tej sprawie wiedzą. Ciekawe, co będzie dalej.



*Po przeczytaniu pety był zdruzgotany, uraz został na wiele miesięcy, a nawet lat. Wysłał swoje wyjaśnienia do Kultury, ale te nie były już wydrukowane. Oto cała prawda:*

Warszawa, dnia 13 grudnia 1978 r.

DYREKCJA

TYGODNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO

„K U L T U R A”

przegródka pocztowa nr 8

00-902 Warszawa

Dotyczy: artykułu Władysława Fiałkowskiego pt. „męska decyzja” opublikowanego w dniu 10 grudnia 1978 r. w numerze 50 tygodnika społeczno-kulturalnego KULTURA.

Spełniając obowiązek odpowiadania na krytykę prasową przekazuję w załączeniu omówienie przebiegu podejmowania decyzji w sprawie „szkoły bełchatowskiej” wraz z podstawowymi dokumentami w tej sprawie.

Sądzę, że Redakcja KULTURY — po zapoznaniu się z przekazanymi materiałami zrozumie, jak wielką i niepowetowaną krzywdę mi uczyniła.

Materiały te mogły być znane KULTURZE, gdyby przed postawieniem mnie pod prężeniem opinii społecznej zechciano ze mną porozmawiać. Jest mi bardzo przykro, że nie uczyniono tego, choć to takie oczywiste i łatwe.

Niewiele w życiu dokonałem, jeszcze mniej osiągnąłem, ale miałem swój honor i cześć. Tego drugiego jednym pociągnięciem pozbawiła mnie KULTURA.

Przez całe lata, dzień po dniu, przez swą postawę i osiągnięte wyniki, w szkole i na studiach, przez pracę zawodową i społeczną mozolnie ciułałem to wszystko, co składa się na najwyższy atrybut człowieczeństwa — szacunek innych ludzi. I choć może to być banalne i bardzo niewspółczesne, to jednak nie potrafię w innych kategoriach odebrać tego artykułu.

Mam żonę pracującą na Uniwersytecie Warszawskim — czyż przyjemnie jej będzie nosić teraz to nazwisko?

Mam dwie córki. Jedna uczęszcza do szkoły podstawowej, druga do liceum. Te dzieci to mój sens w życiu. Czy kiedykolwiek zdołam przeprowadzić swą rehabilitację w ich sumieniach, zważywszy, że trzeba by przebrnąć przez gąszcz fachowej terminologii i złożoności spraw?

A znajomi, rodzina... Czy mam im po kolei demonstrować i referować dokumenty w tej sprawie?

Gdybym nawet musiał pogodzić się z beznadziejnością odrobienia straty, to prawdopodobnie już odtąd zawsze myśl moja będzie wracała do tego jednego dnia i wciąż od nowa będzie stawiać pytanie — dlaczego?

Gorąco życzę KULTURZE, aby miała jak najmniej takich kart w swej działalności.

*Załącznik pety do powyższego:*

### **Omówienie przebiegu podejmowania decyzji w sprawie „szkoły bełchatowskiej”**

**1.** W dniu 27 lipca 1978 r. otrzymałem nominację na dyrektora nowo utworzonego Biura Projektowo – Badawczego Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt Warszawa”

(załącznik nr 1)

**2.** W dniu 12 sierpnia 1978 r. otrzymałem pisemne polecenie Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” zapewnienia terminowej realizacji dokumentacji projektowej dla szkół w zakresie przypisanym przez władze jednostkom projektowym w organizacji Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”

(załącznik nr 2)

**3.** Jako załącznik do wyżej omówionego polecenia otrzymałem notatkę dotyczącą realizacji szkół z elementów drewno-pochodnych na terenie Województwa Stołecznego Warszawskiego. Z notatki tej wynika, że:

— W dniu 15.VI.1978 r. odbyło się spotkanie robocze w Komitecie Warszawskim PZPR dotyczące realizacji na terenie WSW [Województwo Stołeczne Warszawskie] w roku 1978 i 1979 szkół z elementów drewnopochodnych.

— Na spotkaniu tym ustalono, że w roku 1978 należy rozpocząć realizację trzech szkół wg rozwiązania projektowego szkoły w Bełchatowie (uzupełnionej o blok żywieniowy i z powiększoną salą gimnastyczną). Są to szkoły w osiedlu Targówek VI i Bródno oraz szkoła w Legionowie.

— Zjednoczenie Stolarki Budowlanej w terminie do 15.IX.1978r. zapewni dostosowanie (wraz z niezbędnymi uzgodnieniami) projektu szkoły w Bełchatowie do ustaleń przyjętych w Kuratorium Oświaty i Wychowania.

— Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta, Naczelny Architekt Warszawy, Kurator Oświaty i Wychowania oraz Zjednoczenie Budownictwa „Warszawa” w terminie do dnia 15.VII.1978 r. wytypują dalsze lokalizacje, na których będą realizowane w roku 1979 szkoły z elementów drewnopochodnych.

— Przy typowaniu szkół do realizacji w roku 1979 trzeba określić, czy jest tu możliwe zastosowanie bez zmian szkoły zaprojektowanej dla Bełchatowa.

— W przypadku rozbieżności poglądu co do zastosowania w konkretnym osiedlu szkoły z elementów drewnopochodnych pomiędzy Projektantem osiedla, a „zespołem typującym” ostateczną decyzję będzie podejmował Naczelny Architekt Warszawy.

(załącznik nr 3)

**4.** W dniu 7 lipca 1978 r. Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta wystosował pismo do I Zastępcy Przewodniczącego Stołecznego Związku Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego z prośbą o wykonanie również w spółdzielczości omówionych wyżej ustaleń.

(załącznik nr 4)

**5.** Zjednoczenie Przemysłu Stolarki Budowlanej w dniu 6 września 1978 r. wysłało pismo do Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta, w którym proponuje opracowanie koncepcji szkoły i projektu technicznego oraz ponadto komunikuje, że odstępstwa od przepisów p.poż. i normatywnych wyrobów, po ustaleniu lokalizacji szczegółowych, będą załatwione przez Zjednoczenie Przemysłu Stolarki Budowlanej. Projekty budynków będą zaopiniowane przez upoważnionych rzeczoznawców w zakresie zgodności z przepisami sanitarnymi i bhp... Pismo to zostało podane do wiadomości „Miastoprojektowi Warszawa”.

(załącznik nr 5)

**6.** W odpowiedzi Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta w piśmie z dnia 11 września 1978r. skierowanym do Zjednoczenia Stolarki Budowlanej i podanym do wiadomości „Miastoprojektowi Warszawa” zajął stanowisko następujące:

— Nie może być przyjęta propozycja opracowania najpierw koncepcji, a potem projektu technicznego szkoły, gdyż spowoduje to opóźnienie opracowania dokumentacji.

— W momencie podejmowania decyzji o zastosowaniu szkół z elementów drewnopochodnych w Warszawie zostało jednoznacznie zdecydowane, że do projektu szkoły w Bełchatowie nie wprowadza się żadnych zmian funkcjonalnych, a jedynie doprojektowuje się blok żywieniowy, powiększa salę gimnastyczną oraz wprowadza ewentualne niezbędne zmiany w części instalacyjnej i uzyskuje minimum niezbędnych uzgodnień (SANEPID, P.POŻ. i SPEC).

— Niezrozumiałe jest stwierdzenie, że odstępstwa od przepisów p.poż. i norm wysokości będą uzyskiwane dla konkretnych lokalizacji. Odstępstwa takie — o ile są potrzebne, powinny być uzyskane przez Stolbud jednorazowo dla obiektu szkoły, a o możliwości jej zastosowania dla konkretnej lokalizacji będą decydować władze zatwierdzające projekt adaptacyjny.

— Jednostki projektowe opracowujące adaptację szkoły do konkretnej lokalizacji będą dokonywać uzgodnień z właściwymi władzami jedynie w zakresie wynikającym z warunków adaptacji. Natomiast wszystkie uzgodnienia samego obiektu obciążają jednorazowo Zjednoczenie Stolarki Budowlanej.

(załącznik nr 6)

7. W dniu 20 września 1978 r. odbyło się w Komitecie Warszawskim PZPR kolejne spotkanie decydentów w sprawie szkół bełchatowskich. W tym samym dniu wezwał mnie Generalny Dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” i polecił mi:

— Skontaktowanie się z wyznaczonym pracownikiem Centralnego Ośrodka Badawczo-Projektowego Budownictwa Ogólnego, który miał nam podać obrys i wymiary bloku żywieniowego przewidzianego do zastosowania przy szkole bełchatowskiej, [bo COBPBO jeszcze nie opracował projektu bloku żywieniowego].

— Podobnie zostałem zobowiązany do skontaktowania się z wyznaczonym pracownikiem Kombinatów Produkcji i Montażu Obiektów Budowlanych „Stolbud” — Pracownia Projektowa Warszawa, ul. Rydygiera 7, który miał mi podać obrys i wymiary szkoły bełchatowskiej oraz sali gimnastycznej. [Tu również nie opracowano jeszcze wymaganej dokumentacji projektowej].

— Generalny Dyrektor polecił mi zobowiązać projektantów ustalonych uprzednio osiedli do wrysowania na urbanistycznym projekcie osiedli przekazanego nam obrysu szkół bełchatowskich. Tak przygotowane projekty urbanistyczne miały być zatwierdzone do realizacji przez Naczelnego Architekta Warszawy. W tym celu zostało wyznaczone spotkanie u Naczelnego Architekta Warszawy w dniu 29 września 1978 r. Podobne polecenie wydała Stołeczna Dyrekcja Inwestycji Spółdzielczych mojemu zleceniobiorcy, to jest „Miastoprojektowi – Budopol” w Warszawie.

(załącznik nr 7)

8. W dniu 22 września 1978 r. zostałem wezwany na spotkanie w Departamencie Nauki, Techniki i Projektowania Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Departament ten jako jednostka zwierzchnia, miał skoordynować, a następnie podjąć wiążące decyzje w zakresie projektowania szkoły bełchatowskiej przez dwa podległe zjednoczenia i ich jednostki projektowe. Na spotkaniu tym poinformowano zebranych o uprzednio omówionych decyzjach władz miasta. Oceniono, że dotychczasowe prace prowadzone przy projektowaniu tej szkoły przebiegały w sposób niewłaściwy. W związku z powyższym podjęto m.in. następujące ustalenia:

— Wiodącą jednostką projektową przystosowującą projekt szkoły typu „Bełchatów” do warunków lokalizacji będzie „Miastoprojekt Warszawa” przy współpracy Pracowni Projektowej Kombinatów „Stolbud” w zakresie projektu nowej sali gimnastycznej oraz Centralny Ośrodek Badawczo – Projektowy Budownictwa Ogólnego w zakresie wyboru gotowego projektu bloku żywieniowego.

— „Miastoprojekt Warszawa” w terminie do dnia 29 września 1978 r. przygotowuje plany sytuacyjne dla w/w czterech lokalizacji.

(załącznik nr 8)



9. W dniu 25 września 1978 r. poinformowałem Generalnego Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” o poczynionych przygotowaniach mających na celu wykonanie wydanego mi polecenia.

(załącznik nr 9)

10. W dniu 6 października 1978 r. odbyło się drugie spotkanie w Departamencie Nauki, Techniki i Projektowania MB i PMB dotyczące realizacji szkół typu „Bełchatów”. Na spotkaniu tym m.in. ustalono:

— ZPSB „Stolbud” spowoduje dokonanie stosownych wyjaśnień dot. projektu instalacji centralnego ogrzewania oraz powiadomi „Miastoprojekt Warszawa” o dokonanych uzgodnieniach – termin 10.10.1978 r.

— ZPSB „Stolbud” dostarczy do „Miastoprojektu Warszawa” gotowy komplet dokumentacji szkoły typu „Bełchatów” w 20 egzemplarzach w terminie do 16.10.1978 r.

— ZPSB „Stolbud” spowoduje podjęcie prac projektowych przy powiększonej sali gimnastycznej przez jednostki projektowania będące w organizacji Zjednoczenia „Stolbud”, z tym że postuluje się, ażeby nowy projekt sali został opracowany i przekazany „Miastoprojektowi Warszawa” w terminie do 16.10.1978 r. w zakresie umożliwiającym zaprojektowanie akcji „0” [*tak nazywano w tamtych latach fundamenty budynku i mury do poziomu podłogi parteru*].

— Ustalono, że przy realizacji trzech szkół typu „Bełchatów” należy przyjąć typową stołówkę typu IV2 2-3-11A. Centralny Ośrodek Badawczo Projektowy Budownictwa Ogólnego przekaze komplet dokumentacji w/w stołówki do „Miastoprojektu Warszawa” w ilości 20 egzemplarzy w terminie do 16.10.1978 r.

— Otrzymane od Stolbud i Centralnego Ośrodka 20 egzemplarzy projektów „Miastoprojekt” miał przekazać bez zmian inwestorom.

(załącznik nr 10)

11. Wobec uprzednio omówionych faktów i wydanych mi poleceń wydałem w dniu 10 października 1978 r. polecenie służbowe nr 2 skierowane do podległych jednostek. Załącznikiem nr 1 do polecenia był harmonogram prac zapewniających opracowanie dokumentacji szkoły typu „Bełchatów” dla realizacji w osiedlu Bródno XII, Targówek VI i Stegny. Ze względu na fakt, że blok żywieniowy będzie zrealizowany według projektu typowego, a projekty te przed ich utypowaniem są wszechstronnie uzgodnione w myśl przepisów, oraz ze względu na uprzednio podjęte ustalenia, że wszystkie uzgodnienia dotyczące samego obiektu szkoły bełchatowskiej obciążają jednorazowo Zjednoczenie Przemysłu Stolarstwa Budowlanej (patrz załącznik nr 6):

— w poleceniu służbowym nr 2 dyrektora „Miastoprojektu Warszawa” znalazło się stwierdzenie, że: zgodnie z decyzją władz miasta zatwierdzenie planu realizacyjnego wraz z załącznikami, to jest wraz z projektem budynku szkolnego z powiększoną salą gimnastyczną i stołówką nastąpi bez konieczności uzyskania uzgodnień częściowych, to jest SANEPID, BHP, Straż Pożarna, MPWiK, ZEWM, MZG, BPRW itp.

(załącznik nr 11)

12. Po dostarczeniu przez Zjednoczenie Przemysłu Stolarstwa Budowlanej „Stolbud” dokumentacji technicznej szkoły bełchatowskiej odbyło się w „Miastoprojekcie Warszawa” wewnętrzne spotkanie z projektantami, mające na celu zapoznanie się z projektem. W wyniku określono brakującą dokumentację i uwagi techniczne do dostarczonej dokumentacji. W oparciu o takie rozpoznanie problemu „Miastoprojekt Warszawa” opracował w dniu 16 października 1978 r. notatkę dotyczącą problemów związanych z przystosowaniem szkoły typu „Bełchatów” do lokalizacji w Warszawie. W notatce tej, niezależnie od wielu uwag technicznych, stwierdzono, że opracowana dokumentacja jest niezgodna z obowiązującym normatywem projektowania szkół w zakresie:

— wysokości pomieszczeń

— oświetlenia dziennego sal lekcyjnych (stosunek powierzchni okien do powierzchni podłogi w projekcie wynosi 1:7, winno być max. 1:5)

— maksymalnej długości korytarzy

- oświetlenia pomieszczeń sanitarnych (w projekcie występują pomieszczenia bezokienne)
- wentylacji pomieszczeń
- rozwiązania posadzki w sali gimnastycznej
- projekt centralnego ogrzewania opracowano w nieaktualnym normatywie.

Notatkę tę przekazano w dniu 16 października 1978 r. Departamentowi Nauki, Techniki i Projektowania MB i PMB, Kombinatowi „Stolbud” oraz Oddziałom „Miastoprojektu Warszawa”.

(załącznik nr 12)

**13.** W dniu 17 października 1978 r. Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta zorganizował spotkanie w sprawie szkół typu „Bełchatów”. Na spotkaniu tym „Miastoprojekt Warszawa” poinformował zebranych, że dnia 14.X.78 r. po miesięcznym opóźnieniu, Kombinat „Stolbud” dostarczył projekt szkoły drewnopochodnej w Bełchatowie z powiększoną salą gimnastyczną. Projekt ten nie został uzgodniony z Państwowym Wojewódzkim Inspektorem Sanitarnym, Stołecznym Przedsiębiorstwem Energetyki Ciepłej i Stołeczną Komendą Straży Pożarnych, nie uwzględnia zmian, które wprowadzone zostały w zrealizowanej szkole w Bełchatowie, oraz zawiera szereg braków. Powyższe zostanie przedstawione na naradzie w dniu 17.X.br. w Departamencie Techniki MB i PMB, celem powtórnego zobowiązania Kombinat „Stolbud” do pilnego uzyskania niezbędnych uzgodnień. Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta przekazał protokół z tej narady uczestnikom narady, do Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz do Stołecznej Dyrekcji Inwestycji Spółdzielczych.

(załącznik nr 13)

**14.** W dniu 17 października 1978 r. odbyło się w Departamencie Nauki, Techniki i Projektowania MB i PMB trzecie spotkanie dotyczące realizacji szkół typu „Bełchatów”. Poza sprawami porządkowymi i terminowymi „Miastoprojekt Warszawa” zreferował uprzednio przekazaną notatkę omówioną w punkcie 12. W wyniku m.in. ustalono, że „Miastoprojekt Warszawa” przygotowuje kompleksową informację dotyczącą tych obiektów szkolnych.

(załącznik nr 14)

**15.** „Miastoprojekt Warszawa” przeprowadził rozmowy ze Stołecznym Przedsiębiorstwem Energetyki Ciepłej oraz dokonał dalszych analiz otrzymanego projektu szkoły bełchatowskiej. W wyniku w dniu 27.X.1978 r. „Miastoprojekt Warszawa” opracował kolejną notatkę w sprawie szkoły bełchatowskiej, w której m.in. zawarł następujące uwagi formalne, że dostarczona dokumentacja nie posiada uzgodnień stwierdzających zgodność z obowiązującymi przepisami w zakresie:

- klasy odporności ogniowej i projektowanych zabezpieczeń przeciwpożarowych
- opinii Państwowej Inspekcji Sanitarnej i BHP
- opinii użytkownika (Kuratorium Okręgu Szkolnego)
- klauzuli Zespołu Sprawdzającego Jednostki Autorskiej stwierdzającej prawidłowość i kompletność opracowań.

Z uwagi na liczne odstępstwa występujące w projekcie w stosunku do obecnie obowiązującego normatywu projektowania szkół niezbędne jest uzyskanie decyzji właściwych instytucji dopuszczające na w/w rozbieżności w dalszych realizacjach, to jest w Warszawie.

Notatka ta została przekazana również Oddziałom „Miastoprojektu Warszawa”.

(załącznik nr 15)

**16.** W dniu 30 października 1978 r. odbyło się w Departamencie Nauki, Techniki i Projektowania MB i PMB czwarte spotkanie w sprawie szkół bełchatowskich. Na spotkaniu tym „Miastoprojekt Warszawa” przekazał poniższym instytucjom:

- Departamentowi Nauki, Techniki i Projektowania MB i PMB,
- Zjednoczeniu Budownictwa „Warszawa”
- Kombinatowi „Stolbud”

notatkę omówioną w punkcie 15, a następnie ją zreferował. W wyniku ustalono m.in.:

— Należy dołożyć starań, ażeby adaptowany projekt szkoły typu „Bełchatów” był jak najbardziej zbliżony do wymagań obowiązujących norm.

— Uznaje się za celowe, ażeby Generalny Dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” poinformował władze stołecznego województwa warszawskiego o faktycznym wymaganym zakresie dokonania zmian przy adaptowanym projekcie szkoły typu „Bełchatów”.

(załącznik nr 16)

**17.** W dniu 7 listopada 1978 r. Wiceprezydent Miasta Stołecznego Warszawy powołał Zespół, którego zadaniem było przeprowadzenie analizy i przedstawienie wniosków w sprawie budowy szkół na terenie m.st. Warszawy z elementów drewnopochodnych na przykładzie szkoły w Bełchatowie.

W dniu 25.XI.1978 r. Zespół ten zajął stanowisko w przedmiotowej sprawie jak niżej:

Z uwagi na konieczność wyposażenia zrealizowanych osiedli mieszkaniowych w obiekty oświatowe oraz na odmowę Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” realizacji w planowanych terminach szkół wg opracowywanej dotychczas dokumentacji, uzasadnione i możliwe jest realizowanie obiektów z elementów drewnopochodnych na bazie szkoły w Bełchatowie przy zastosowaniu możliwych i niezbędnych zmian oraz uzgodnień w dostosowaniu do warunków warszawskich:

- a) dodanie bloku żywieniowego,
- b) zaprojektowanie sali gimnastycznej o wymiarach normatywnych (długość 30m, szerokość 18m, wysokość 7,2m),
- c) przeprojektowanie instalacji centralnego ogrzewania, doprowadzając ją do minimum wymagań SPEC (bez naruszania funkcji obiektu) oraz wprowadzenie niezbędnych zmian w pozostałych rodzajach instalacji,
- d) uzyskanie lepszego wykończenia pomieszczeń sanitarnych,
- e) wprowadzenie zmian w wentylacji obiektu oraz prawidłowe wyposażenie w sprzęt przeciwpożarowy,
- f) podjęcie próby poprawy oświetlenia szatni i sanitariatów,
- g) zabezpieczenie właściwego nadzoru technicznego w celu wyeliminowania błędów wykonawstwa, jakie stwierdzono w Bełchatowie,
- h) uzyskanie przez „Stolbud” uzgodnienia projektu z Komendą Straży Pożarnej i SANEPID.

Zespół posiada świadomość, że z uwagi na rangę pilności zagadnienia oraz założonych terminów realizacji nie uda się usunąć mankamentów, które występują w szkole w Bełchatowie:

- a) nie normatywnej wysokości pomieszczeń,
- b) nie w pełni zadawalającej izolacji akustycznej ścian wewnętrznych,
- c) braku oświetlenia niektórych szatni i pomieszczeń sanitarnych,
- d) zmiany zasad ewakuacji dzieci na wypadek pożaru (bezpośrednie wyjście z każdego pomieszczenia na zewnątrz obiektu stanowi utrudnienie w eksploatacji szkoły).

Biorąc powyższe pod uwagę, zespół stoi na stanowisku, że trzy szkoły typu „Bełchatów” mogły być zastosowane na terenie Warszawy jedynie wyjątkowo ze względu na brak możliwości zrealizowania innego typu szkoły i niemożność odłożenia realizacji do czasu opracowania nowego projektu szkoły z elementów drewnopochodnych.

(załącznik nr 17)

**18.** W dniu 10 grudnia 1978 r. w numerze 50 tygodnika społeczno-kulturalnego „KULTURA” ukazał się artykuł Władysława Fiałkowskiego pod tytułem „męska decyzja”.



*Rozmowa z Panem WK [Wojtek Kuliński], bliskim współpracownikiem peta, na temat „Męskiej decyzji”.*

**rozmówca:**

— Zanim przejdziemy do zasadniczego tematu naszej rozmowy o szkole bełchatowskiej, pragnę zapytać Pana, jakim cudem peta znalazł się w Miastoprojekcie.

**WK:**

— Istotnie, sprawa szkoły bełchatowskiej była to ...sprawa była paradoksalna. Ja to bym się wcale nie przejął, ale peta był rozdeptany.

Trzeba sięgnąć głębiej, by zrozumieć istotę tego absurdu. Przez wiele lat wykonawstwo budownictwa mieszkaniowego w Warszawie zgrupowane w tzw. Zjednoczeniu Budownictwa „Warszawa” działało poprzez cztery Kombinaty Budownictwa Miejskiego. Struktura ta była monopolistą – niewłaściwe słowo, bo na nią zepchnięto realizację budownictwa mieszkaniowego i ogarniała wszystkie dziedziny tego budownictwa. Tak więc w każdym kombinacie, poza różnymi zakładami produkcyjnymi, był Zakład Projektowania.

Okolo roku 1977 powstał w Warszawie pogląd (oczywiście powstał w Komitecie Warszawskim PZPR), że przyczyną bardzo złego stanu budownictwa mieszkaniowego w Warszawie jest jego projektowanie. Zakłady Projektowania bezwzględnie wykonywały wszelkie polecenia dyrektora Kombinatu, a ten widział tylko ilość realizowanych izb. Doszło do tego, że budynki realizowano z pamięci, według wygody danej chwili, a dokumentację techniczną dorabiano coraz częściej po wybudowaniu budynku. Ile to niosło błędów w budynku i jak niestannie budynki takie były realizowane, można sobie wyobrazić.

W tej sytuacji postanowiono wyłączyć projektowanie spod wszechmocnej władzy dyrektorów Kombinatów, ale jednak zostawiono to projektowanie pod wszechmocną władzą Generalnego Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”.

Postanowiono powołać w strukturze ZB „Warszawa”, wzorem innych województw, Biuro Projektowo Badawcze Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt –Warszawa”. Nowy twór powstał z czterech kombinatowych Zakładów Projektowania i potem dołączono do nich Zakład Badań i Doświadczeń.

Dyrektorem musiał być ktoś niezależny, a zwłaszcza wiedzący, jak utworzyć takiego molocha. Wybór padł na petę, który parę lat wcześniej zorganizował przecież w Warszawie Biuro Projektów „War-Cent”.

W „Miastoprojekcie” peta miał do zagospodarowania dziesięciu byłych dyrektorów Zakładów i pięć pełnych zakładowych administracji. Na dodatek pracowni projektowe były rozrzucone w wielu miejscach Warszawy.

Peta wybrnął z tego ciekawie moim zdaniem. Zrobił relatywnie małą centralną administrację i dał duże uprawnienia kierownikom pracowni projektowych, a właściwie usamodzielniał ich. Musiał się pozbyć szeregu dotychczasowych dyrektorów kombinatowych Zakładów Projektowania i zrobił to stanowczo. Przysporzył sobie tym, niestety, dalszych wrogów.

**rozmówca:**

— Na czym polegał problem szkoły bełchatowskiej?

**WK:**

Zjednoczenie Budownictwa „Warszawa” było rozliczane przez Komitet Warszawski PZPR w zasadzie z samych mieszkań, mieszkania były najważniejsze. Inne budownictwo, na przykład szkoły, przedszkola, sklepy były tylko pozornie ważne. ZB „Warszawa” więc wszelkimi sposobami usiłowało udowodnić, że nie jest w stanie realizować tego typu budownictwa, nie ma tak zwanych mocy przerobowych. Władze w niepisany sposób popierały takie stanowisko Zjednoczenia, bo i one były rozliczane przede wszystkim z ilości wybudowanych izb, ale musiały jakoś sprawę szkół itp. rozwiązać. Trzeba było znaleźć jakieś inne wykonawstwo, które nie podlegałoby władzom stolicy, a tym samym za które władze stolicy by nie odpowiadały. Taka metoda spychania zadań przez jednych odpowiedzialnych na innych odpowiedzialnych była stale stosowana również w rozwiązywaniu innych problemów gospodarczych w kraju.

Tu trzeba wskazać, że Gierek obiecywał realizację budownictwa jednorodzinnego jako znak swojej liberalnej koncepcji socjalizmu w Polsce. Utworzono liczące się przedsiębiorstwo „Domont”, które oparło się na fińskiej technologii płyt drewnopochodnych, doskonale nadające się do realizacji indywidualnych domków. Zakupiono całą technologię i maszyny. Tyle że w isto-

cie nie było politycznego zainteresowania do rozwoju takiego rozproszonego budownictwa mieszkaniowego — wszak noszącego znamiona sprzeczne z socjalizmem. Toteż nie było pieniędzy, nie było terenów dla takiego budownictwa jednorodzinnego, bo tereny takie wymagały wykonania na nich kanalizacji, wodociągów, elektryfikacji, gazyfikacji, sieci ciepłowniczych, i gdy je tak uzbrojono, to przeznaczano je pod budownictwo wielorodzinne, które przecież było najważniejsze. W konsekwencji zakupiona technologia z Finlandii była niewykorzystywana, a „Domont” zwyczajnie nie miał co robić.

Zachęcony przez ministra budownictwa „Domont” zaprojektował i wybudował w Bełchatowie szkołę ze swoich elementów drewnopochodnych. Była to namiastka szkoły, ale przyjęto ją jako doraźne rozwiązanie i wskazano innym miastom jako przykład rozwiązania problemów budownictwa szkolnego.

**rozmówca:**

— Przejdźmy więc do szkoły bełchatowskiej w Warszawie...

**WK:**

— Peta, wskazany przed władze stolicy na stanowisko dyrektora „Miastoprojektu”, był niewygodnym partnerem, bo nieznanym, dla właśnie nowo powołanego generalnego dyrektora Zjednoczenia. Generalny dyrektor Zjednoczenia w swoich rękach trzymał wszystkie decyzje wykonawstwa i musiał na co dzień wydawać dyspozycje również „Miastoprojektowi”. Powstała więc taka dziwna praktyka, że po odbiór dyspozycji generalny dyrektor Zjednoczenia wzywał nie dyrektora „Miastoprojektu”, ale jego zastępcę, znanego sobie dawnego dyrektora jednego z Zakładów Projektowania. Wprawdzie peta kiedyś pracował w ZB „Warszawa”, ale dyrektorzy zjednoczenia się zmieniali, a dawni pracownicy, znajomi pety z tamtych lat, raczej mu zazdrościli kariery. Tak więc peta nie miał wcale oparcia w Zjednoczeniu.

Przy szkole bełchatowskiej sprawy potoczyły się odwrotnie. Tym razem generalny dyrektor Zjednoczenia wezwał do siebie dyrektora „Miastoprojektu”, czyli petę i jemu dał kategoryczne polecenia obwarowane decyzjami Komitetu Warszawskiego i Prezydenta Warszawy. Może wcześniej zastępca pety przekonał generalnego dyrektora Zjednoczenia, że jemu byłoby niezręcznie realizować to polecenie.

Peta wrócił do „Miastoprojektu” i na kolegium biura dał polecenie w sprawie szkoły bełchatowskiej swemu zastępcy — KG [Kazimierz Grzegorzewski]. Ten jednak miał już sprawę przeżywaną, więc zażądał polecenia na piśmie. Ja to bym pogonił KG, ale peta uniósł się honorem i wydał pisemne polecenie. KG skwapliwie rozpropagował ten dokument wśród generalnych projektantów „Miastoprojektu”. Jednak peta zachował się sprytnie dając swe polecenie do wiadomości wszystkim tym instytucjom, to jest wymieniając je na poleceniu, które ukrywały się za petą, a które rej wiodły w sprawie szkoły bełchatowskiej.

W „Miastoprojekcie” jednak na polecenie pety badano tymczasem mankamenty szkoły bełchatowskiej, powstała z tego szczegółowa notatka, którą peta rozesłał do różnych wielkich na górze, krytykował pomysł na różnych spotkaniach na szczycie i w zasadzie storpedował budowę szkoły bełchatowskiej w Warszawie. Tego nie można było darować pecie.

Jak potem opowiadano — ktoś z KW szepnął komu trzeba w Kulturze; podobno SARP udostępnił redaktorowi Fiałkowskiemu polecenie pety i notatkę „Miastoprojektu” o mankamentach szkoły bełchatowskiej. Kultura oparła „męską decyzję” na poleceniu pety i zmieszała z błotem to polecenie, a właściwie rozdeptała petę, przytaczając jako własne, negatywne oceny tygodnika Kultura, wszystkie argumenty techniczne zawarte w opinii „Miastoprojektu” na temat szkoły bełchatowskiej. Kultura zadbała jednak, aby zgodnie z zasadami oczyścić w przedmiocie polityczne i administracyjne władze stolicy.

Władze perfidnie rozumiały adaptację projektu szkoły. Adaptacja dla nich to było wybudowanie szkoły według istniejącej dokumentacji bez jakichkolwiek zmian, byle nie dać czasu zniechęconemu architektom na filozofowanie, byle prędzej na osiedlach stanęło coś, co nazywać będzie można szkołą. Wszak oni tu rządzą.

Jedyną władzą był pierwszy sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR. Była wprawdzie w stolicy Rada Narodowa, ale na jej czele stał pierwszy sekretarz Komitetu Warszawskiego. Był wprawdzie prezydent stolicy, ale on wchodził w skład Egzekutywy Komitetu Warszawskiego PZPR i musiał robić wszystko według poleceń pierwszego sekretarza.

Byłem świadkiem, jak peta wówczas w Komitecie oświadczył, że jeśli Sanepid nie ma nic do gadania, bo to Komitet rządzi, to niech Komitet zlikwiduje Sanepid.

Kiedyś peta mi się przyznał, że miał potem telefon z KW: — „...przyjemnie ci było? Nie podskakuj i nie twórz dokumentów pisanych o sprawach, o których my decydujemy...”

Również dyrektor departamentu w Ministerstwie wezwał do siebie petę i czerwony na twarzy, trzymając w ręku notatkę pety o szkole bełchatowskiej syczał: — „Czy pan myśli, że ja o tym nie wiem?!”

Znacznie później peta przyznał mi się, bo go to najbardziej gnębiło, że wówczas kierownik Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego powiedział mu: — „Jak się zgodziłeś za psa, to szczekaj!”



*Znalazłem bardzo ciekawy dokument w Archiwum Państwowym m. st. Warszawy z dnia 7 lipca 1979 roku skierowany do pety:*

Archiwum Państwowe m. st. Warszawy wyraża serdeczne podziękowanie za przekazane do jej zbiorów materiały:

— Wykaz Biuletynów Sekretariatu Komisji Partyjno — Rządowej do spraw Ograniczenia Wzrostu Zatrudnienia w m. st. Warszawie (4 teczki, 142 poszyty)

— oraz maszynopis oprawny (stron 418) — peta p.t.: „Samczy happening...”/ „...powieść współczesna na prawach pamiętnika...”/ dot. projektowania rozbudowy Warszawy (pamflet).

Biuletyny włączone zostaną do akt miejskich m. st. Warszawy; powieść zaś do Zbioru Rękopisów.

DYREKTOR ARCHIWUM

dr Józef Kazimierski

*A więc peta zadbał, aby ważny dla Warszawy zbiór dokumentów, który tak starannie zgromadził podczas pracy w Komitecie Warszawskim, (był to jedyny zachowany komplet tych dokumentów) znalazł się gdzie trzeba, umieścił tam też swoją pierwszą, jedyną książkę.*



## **Antrakt – Francja, 04-21.07.1979**

*Znalazłem notatki pety z tego wyjazdu do Francji (częściowo uzupełniane przez córki — Zosię i Gosię):*

30 czerwca 1979 roku

Warszawa — Zgorzelec 481 km

[Zosia (lat 11):] I oto wyjechaliśmy JUŻ o godzinie 11.00 (85296 km na liczniku). Wyjazd poprzedzony awanturą o psa. Około pierwszej postój i poszedł pierwszy słoik z mięsem (koło Tomaszowa i zaraz skręciliśmy na Łódź). Następny postój był w Zajeździe „Tumidaj”, gdzie mieliśmy zjeść obiad, ale go nie zjedliśmy, bo znudziło nam się czekać na kelnerkę. [*kelnerzy wówczas ignorowali klientów, którzy nie zamawiali alkoholu*] Żli pojechaliśmy dalej. Po drodze próbowaliśmy kupić benzynę, ale to nam zupełnie nie wychodziło. Albo nie było żółtej benzyny, albo była straszna kolejka, albo nie było w ogóle stacji. Ale w końcu dostaliśmy w Oleśnicy stojąc w kolejce 2 godziny (prawie).

[Gosia (lat 16):] I jedziemy dalej. Jedziemy, jedziemy, w radiu „Podwieczorek przy mikrofonie”, dojeżdżamy do Bolesławca, a może zatrzymać się w motelu? Ale jak tam dojechać? O, jest znak na camping, 3000 m; o, a to ten motel tam gdzie camping, nie, camping trochę dalej, to zatrzymujemy się? A w motelu wesele, pokoje wolne na szczęście są, kolacja koło dziesiątej w kawiarni, pies do pokoju i spać.

1 lipca 1979 roku

Odpoczynek na kempingu pod Zgorzelcem.

[Zosia:] Dziś jest dość senny dzień. Rano poszliśmy na śniadanie o dziewiątej godzinie, bo wcześniej wszyscy spali. Po śniadaniu mieliśmy pójść na spacer, ale zanim się zebraliśmy, zaczęło padać, a potem lać. Wszyscy poszli do pokoi spać. Tata z mamą na początku gadali na różne tematy, potem spali, a potem znów gadali. Zosia przeczytała książkę, a potem się włóczyła, gdzie popadnie, bo nie miała co robić. Gośka z całą zawziętością spała. Ale w końcu poszliśmy na spacer, a tu, jak k. na złość, znowu zaczęło padać. Ale ponieważ obudziliśmy Gośkę, nie mogliśmy zrezygnować. Na spacerze były maliny, jabłka (zielone), czereśnie i krzaki jagód (bez jagód). Obiad w restauracji PRN Javor. A potem znów leżenie aż do szóstej godziny. Kolacja i spać.

2 Juli 1979

Zgorzelec — Eisenach 385 km.

[Gosia:] 85823 km na liczniku. Granica z NRD na 85867 km. Po drodze benzyna.

[Zosia:] Wszystkie rzeczy nam poplombowano.

Rzeczywiście, [*pisze peta*] na granicy Polacy założyli nam plomby na całym sprzęcie turystycznym, spisali, ostemplowali i zawiadomili, że jeżeli wracając nie będziemy mieli wszystkiego, to zapłacimy duże cło i karę. Wędrujący wówczas Polacy po Europie musieli strasznie oszczędzać, bo musieli wyżyć jak najdłużej za te 150 dolarów, które państwo polskie przyznawało na osobę do wymiany na dowolny wyjazd zagraniczny. Dolary jednak zbyt wcześnie się kończyły i Polacy sprzedawali, co tylko mieli ze sobą, sprzedawali swój sprzęt turystyczny, a to już było wielkim przestępstwem wobec PRL, podobno proceder ten zmniejszał możliwości eksportowe Polski.

Nocujemy w hotelu w Eisenach.

3 Juli 1979

Eisenach — Strasburg 408 km.

[Gosia:] granica NRD — RFN na 86282 kilometrze, czas warszawski 13.05, czas NRD RFN 12.05.

[*pisze peta*] Jedziemy autostradą obok Frankfurtu, szokują mnie tamtejsze wysokie budynki. Zatrzymujemy się na godzinę w Heidelbergu, dla mnie było to zaskoczenie, nie spodziewałem się takiego dobrobytu w RFN. Mój wujek w czasie okupacji został wywieziony na roboty do Niemiec, pracował u baora, a po powrocie opowiadał o Hajdebreku, jakby to była wieś. Zjeżdżamy z autostrady, bo postanawiamy zwiedzić miasto. W Heidelbergu olbrzymi ruch samochodowy i pieszy. Przechodzimy się jakoś naszym Fiatem. W pewnym momencie jakaś Niemka



jadąca za nami stuka w nasz samochód, niegroźnie, ale podejrzewam, że zrobiła to świadomie ze złości na Polaka, który się przed nią pałętał. W Heidelbergu wspaniale wyglądają zalesione wzgórza, na których wiele willi. Nawet nie wysiadamy z samochodu i wracamy na autostradę.

Nie ma czasu na wzruszenia. Jeszcze dziś musimy przekroczyć granicę francuską, bo taki mamy termin wizy francuskiej. Jeszcze jedno zaskoczenie — kupujemy pierwszą benzynę w Niemczech i nasz Fiat jakby dostał skrzydeł, rozwija większe prędkości, łatwo przyspiesza, niesamowite.

W Strasburgu wszyscy przejeżdżają płynnie, lecz nas wychwycili i sprawdzili. Francja, moja wymarzona, niemal od dzieciństwa.

le 4 juillet 1979

Zwiedzamy Strasbourg, fenomenalna katedra gotycka.

Nie wiem, gdzie kupić mapę Francji. Pytam na jakiejś stacji benzynowej, uśmiechnięci dają mi mapę, a ja nie mogę się nadziwić, że nie chcą pieniędzy. Mapa szczegółowa, dokładnie pokazuje, jak jeździć, aby omijać autostrady i jak najwięcej zwiedzić.

Po południu wyjeżdżamy w kierunku Nancy.

le 5 juillet 1979

Nocujemy na kempingu pod Nancy. Rano zwiedzamy Place de Stanislas. Po wzięciu benzyny na stacji benzynowej w Toul samochód nie chce zapalić. Rozrusznik milczy. Przez dwie godziny sam szukam usterki, wreszcie poddaję się. Właścicielka stacji benzynowej, bardzo zdeenerwowana, ale za otrzymane dwa franki dzwoni do kogoś. Przychodzi dziwny ktoś, w czarnym garniturze, próbuje rozmawiać ze mną po rosyjsku. Wyjaśniam, że nie znam rosyjskiego, wołę francuski, jesteśmy Polakami. Francuz się rozpromienia, okazuje się, że jest biskupem, był w Warszawie podczas wizyty Ojca Świętego, z rozrzewnieniem wspominamy. Biskup każe właścicielce stacji benzynowej gdzieś zadzwonić. Po kilkunastu minutach przyjeżdża mechanik, ładuje naszego Fiata na samochód, zawozi nas do swojego warsztatu, to jest do garażu. Wydzwania. Rozrusznik dostarczą mi dopiero jutro. Zawozi nas na kemping, jak sobie życzyliśmy. Maleńki kemping, ale urządzony, żadnego dozoru. Rozbijamy namiot. Udajemy się zwiedzić sąsiednie urocze ulice, absolutnie pusto, nikogo. Mnie znów szokuje, bo dostrzegam na wystawie sklepowej pistolet do sprzedaży. Niesamowite. Wieczorem ktoś jednak przychodzi na kemping, bierze opłatę, zostawia bilety.





Francja - Nancy - pałac Stanisława  
Leszczyńskiego - 1979.07.05

le 6 juillet 1979

Toul. Rano przyjeżdża po nas nasz mechanik, zawozi te kilkaset metrów do siebie, częstują śniadaniem, samochód już gotowy, ja płacę czekiem ubezpieczeniowym i dalej w drogę. Przejżdżamy przez Troyes i do Paryża. Kamping w Łasku Bulońskim, rue Au Bord de L'eau. Wieczorem pieszo przez Bois de Boulogne na l'Etoile. Do Łuku Tryumfalnego dochodzi się tunelem pod jezdnią, ale policjant nie pozwala iść tam z psem, więc Gosia zostaje z Flosią, a my idziemy zwiedzać. Potem Anka zostaje z suką i Gosia może zwiedzić. Oczywiście odnajdujemy na łuku tryumfalnym nazwy polskich miejscowości. Zachwył. Jest już noc. Powrót metrem przez Pont Neilly.

Francja - Paryż - kamping w Łasku  
Bulońskim - Anka i Gosia Sokółowskie  
1979.07.06





Paryż – kamping w Lasku Bulońskim nad Sekwaną – 6 lipca 1979 roku

le 7 juillet 1979

Nagroda dla Gosi — ananas, pierwszy w życiu — za to, że pierwsza zauważyła Tour Eiffel. Ale zaskoczenie — córkom wcale ananas nie smakuje. Zwiedzamy okolice Tour Eiffel, potem do Sacré Coeur, potem na Pigale, zerkamy na Moulin Rouge. Te olbrzymie odległości pokonujemy na piechotę! Po powrocie na kamping telefonuję do Grzeška, zapowiada, że zaraz przyjedzie do nas. Po południu spotkanie z Grzeškiem na kempingu i również po południu na la Defence.



Paryż - Tour Eiffel - 1979.07.07  
Gosia, Maniek i Anka Sokółowscy

Paryż - pomnik kombatantom polskim  
walczącym o wyzwolenie Francji  
w latach 1939-1945  
Anka, Maniek i Gosia Sokołowscy  
1979.07.07



Paryż - Place Pigale - Moulin Rouge  
1979.07.07



Paryż - La Defence - 1979.07.07



Francja - La Defence - 1979.07.07  
Zosia, Anka i Gosia Sokołowskie  
oraz Flossi



Paryż - La Defence - 1979.07.07  
Gosia, Anka i Zosia Sokołowskie  
oraz Flosia



le 8 juillet 1979

Opuszczamy kamping w Lasku Bulońskim, bo Grzesiek zabiera nas do siebie — rue François Mouton 8, piętro VII, 2504540, przystanki metra: Boucicaut i Convention, Dzielnica Łacińska.

Zwiedzamy Louvre, a tu Mona Lisa, Nike Samotrake, Venus z Milo, Rembrandt, Rubens i wiele i wielu innych, cóż za rozkosz, jakaż wolność. Obiad jemy u Grzeška.



Paryż – Tuilleries – 1979.07.08  
Flosia, Anka i Gosia Sokołowskie

Paryż - 1979.07.08



le 9 juillet 1979

Rano konsternacja – udaliśmy się we dwóch z Grzeskiem po rogaliki na śniadanie. Grzesiek pyta dla formalności, ile zjemy. Odpowiadam, po dwa na osobę, czyli dziesięć. Grzesiek zaskoczony, Francuz zjada przecież tylko jednego kruasanta na śniadanie. Niewielkie wahanie i kupuje dziesięć.

Zwiedzamy: pobliską nowoczesną dzielnicę mieszkaniową, Place Vendom, Opera, Galerie Lafayet, Centre de George Pompidoux, rue Sent Germain de Prais, Sorbona — wyobrażacie to sobie?

Grzesiek podejmuje nas spaghetti — wspaniale, szczególnie suce Flossi smakowało. Potem chodząc po Paryżu „nocne Polaków rozmowy”, ale to delikatnie powiedziane.



Paryż - 15 dzielnica - 1979.07.09

Paryż - 15 dzielnica  
Maniek Sokołowski,  
Grzesiek Slaby,  
Anka, Flosia i Gosia  
Sokołowskie  
1979.07.09



Paryż - 15 dzielnica - 1979.07.09



le 10 juillet 1979

Wyjazd z Paryża, przez la Defence, przez Versailles, przez Chambord — wszędzie krótkie zwiedzanie. Nocleg w Bracieux — bardzo fajny kamping.



Francja - Versailles - 1979.07.10  
Maniek i Gosia Sokolowscy



Francja - Versailles - 1979.07.10



Francja - Versailles - 1979.07.10

Francja - Versailles - 1979.07.10



Francja - Chateau de Chambord  
1979.07.10



le 11 juillet 1979

Z Bracieux przez Blois (tu zwiedzamy wspaniały zamek) do Amboise, Tours, Poitiers, przez rejon Cognac do Royan. Wreszcie kamping w Vaux sur Maire. W kierunku północnym od Bordeaux jest zatoka Gironde do której wpływają rzeki: Garonne, Dordogne i Isle. U wylotu Gironde do Oceanu Atlantyckiego na prawym brzegu leży miasto Royan, a dalej kilka kilometrów na północ leży Vaux sur Maire.

Jesteśmy nad Oceanem Atlantyckim! 87948 km. Podziwiamy przypyły i odpływy.



Francja - zamek w Blois - 1979.07.11



Francja - zamek w Blois - 1979.07.11  
Gosia, Anka i Maniek Sokołowscy

Francja - zamek w Blois - 1979.07.11



le 12 juillet 1979  
Sjesta nad Atlantykiem.

Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12  
Zosia Sokółowska



Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12



Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12

Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12



Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12  
Gosia, Anka i Maniek Sokółowscy

Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12  
Maniek, Anka i Gosia Sokolowscy



Francja - Vaux sur Maire - 1979.07.12  
Zosia Sokolowska



le 13 juillet 1979

Wyjazd przez Bordeaux na południe wzdłuż Garonny. W Bordeaux jest śmiesznie, bo w tym olbrzymim ruchu samochodowym, a jest sobota i przyjazdy week-end'owe, gdy ja zacząłem tak po polsku machać kierunkowskazami w lewo, w prawo, to zamarł cały ruch na ulicy, by przepuścić tego zdesperowanego Polaka. Francuzi prawie nie używają kierunkowskazów, jakoś wyczuwają, co chce zrobić inny kierowca.

Wspaniały kamping. Obchodzimy imieniny Gosi – w prezencie pomarańczowa sukienka.



le 14 juillet 1979

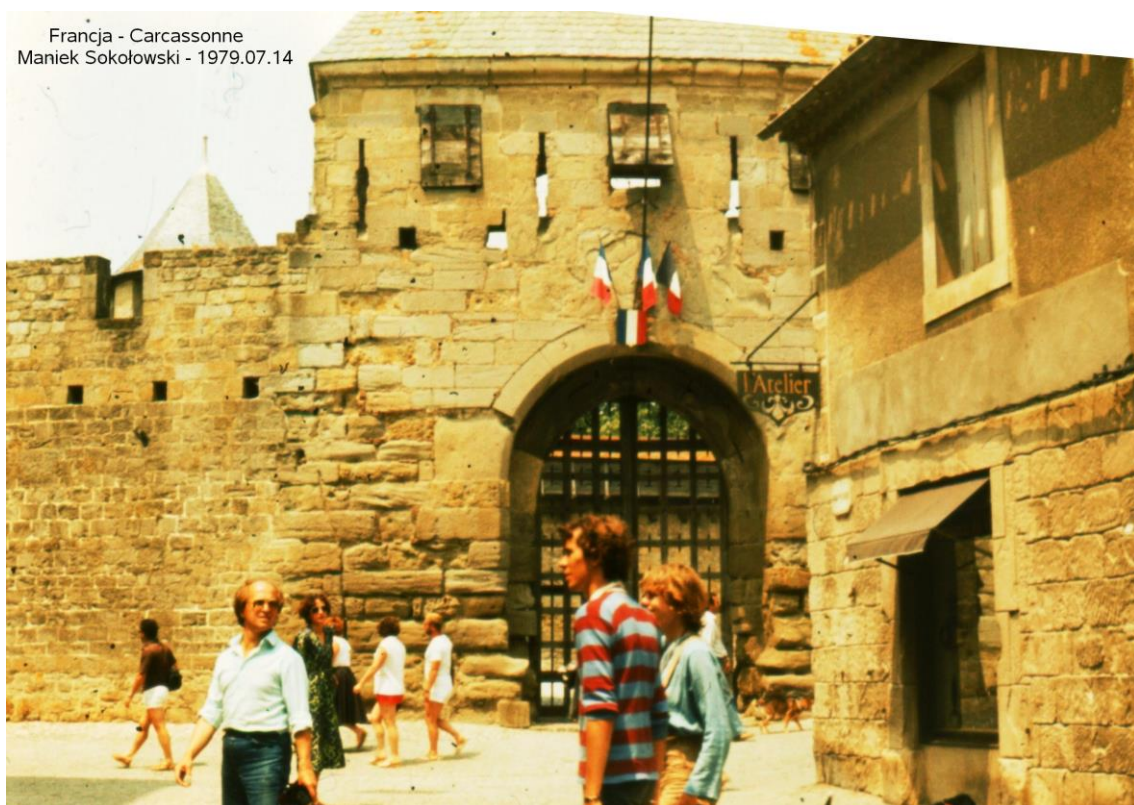
Zwiedzamy Carcassonne. Kąpiel w Morzu Śródziemnym. Plaża w Gruissan. Szalone ilości samochodów, jeden wielki korek. Jakoś odbijamy na północ. Przejeżdżamy przez Cap d'Agde na Sète, potem Montpellier. Nocujemy w Labarrquette. Jemy pierwszy w życiu orzech kokosowy, raczej nie smakuje. Po drodze z samochodu targujemy brzoskwinie, dostajemy za pół ceny skrzynkę takich, które by nie wytrzymały do jutra, niebo w gębie, zjadamy wszystkie niezwłocznie. Z kempingu wychodzimy oglądać winnice, tu stragan z winami — raczymy się wspaniałym aperitifem (była to chyba sangria).



Francja - Carcassonne - 1979.07.14



Francja - Carcassonne  
Maniek Sokółowski - 1979.07.14



Francja - Carcassonne - 1979.07.14



Francja - Carcassonne - 1979.07.14



Francja  
Carcassonne  
1979.07.14



Francja - Labarrquette - 1979.07.14



le 15 juillet 1979

Przez kilka godzin zwiedzamy Avignon. Nocujemy w la Biolle koło Aix les Bains. Francuzi świętują, palą ognisko na kempingu, śpiewają, miałem nadzieję, ale nas nie zapraszają. Trudno. Trochę przemyśluję, co to będzie, bo według wizy dziś mieliśmy opuścić Francję wyjeżdżając z niej w Strasburgu.

Francja - Avignon - 1979.07.15



Francja - Avignon - 1979.07.15



Francja - Avignon - 1979.07.15

le 16 juillet 1979

Zakupy w Annecy. Przekraczamy granicę i wjeżdżamy do Szwajcarii. Granica francusko-szwajcarska 89120 km.

Jedziemy przez Genewę, Lozannę, Zurich, Sant Gallen i przekraczamy granicę w Lustenau. Mamy tylko tranzytową wizę przez Szwajcarię. Granica szwajcarsko-austriacka 89555 km. Mamy trudności z wymianą pieniędzy. Już noc, a kantor wymiany walut tylko po stronie szwajcarskiej, a my już przekroczyliśmy granicę i jesteśmy w Austrii. Strażnicy, zorientowawszy się jaki mamy problem, każą po prostu przejść do Szwajcarii i tam wymienić pieniądze. Niesamowite – takie łązenie z jednej strony granicy na drugą. Przypomina się granica Polski i ZSRR za Przemyślem, gdzie kilka rzędów zasieków, pas stale oranej ziemi, potężne zapory betonowe i stalowe przegrody, które nawet czołg by zatrzymały. Nocujemy na kempingu w Dornbirn.



Szwajcaria - 1979.07.16



Szwajcaria - 1979.07.16

17 Juli 1979

Siedzimy w Dornbirn. Leje. Układamy puzzle. Znów zaskoczenie, bo właściciel kempingu, który wczoraj upiękniony muszką przyjmował nas na kemping, zresztą żadnych formalności – tylko machnięcie ręką, dziś z tą samą muszką pod szyją wybiera śmiecie z kempingowych koszy i taczka wywozi gdzieś tam. Zwyczajnie. Właściciel robi za dozorcę. Nadzwyczajne. U nas nie do pomyslenia.

18 Juli 1979

Jedziemy przez Innsbruck, Wörgl, Kitzbühel. W Klosterle przejeżdżamy tunel o długości 13,5 km — 120 szylingów. Felber — Tauern — Tunnel — około 7 km — 190 szylingów. Nocujemy na kempingu w Matri in Osttirol. Wspaniałe Alpy. Ja jednak naprawiam hamulce. Okazało się, że na górskich serpentynach zdarłem zupełnie klocki hamulcowe. Cóż robić, zostają same metalowe okładki, tak jedziemy dalej. Tu gdzieś winny być jeszcze dni 19 i 20 lipca 1979 roku. Ten brak zapisków może to wynik beznadziejnego odwrotu.







21 Juli 1979

Okolo południa docieramy do Wiednia, ale tu wszystko nagle pustoszeje, sklepy zamykają — sobota. Trochę chodzimy po tych wyludnionych ulicach, jednak opuszczamy Austrię. 90530 km — granica austriacko-czechosłowacka. Tu już znane nasze porządki. Celnicy nas ignorują, czekamy, nie wiadomo na co, wreszcie czepiają się francuskich komiksów, które kupiliśmy dla córek. Zupełnie rozhartowany tymi kilkudziesięcioma dniami wolności buńczucznie grozę celnikom, że jak tak wygląda przyjaźń między naszymi narodami, to wracam do Austrii i w NRD przekroczyć granicę. Jakoś puszczają nas. Nocujemy na kempingu pod Bratysławą.

Wiedeń - katedra św. Szczepana  
1979.07.21



Wiedeń - Hofburg - 1979.07.21



Wiedeń - pomnik Goethe'go  
1979.07.21



Wiedeń - 1979.07.21



Wiedeń - Hofburg - 1979.07.21  
pomnik Franciszka I



22 lipca 1979 roku

Kamping straszny, tylko pieniądze potrafią brać, toalety zasrane, gówno wierzchem się przelewa – dosłownie, woda do picia śmierdzi naftą. Niesamowity tłok. Postanawiamy zaraz rano uciekać.

90840 km — granica czechosłowacko-polska. Pusto. Celnik tylko zapytał, od ilu dni wędrujemy i gdzie byliśmy. Niczego nie sprawdzał, wiedział, że jesteśmy splukani doszczętnie.

Już tylko jazda i jazda — 91220 km — znów w domu — jednak. Wracając znad Oceanu Atlantyckiego przejechaliliśmy 3272 kilometry, a cała wyprawa 5924 kilometry.



*Nawiązałem kontakt ze studenckim kolegą pety, Grzegorzem, który od lat mieszka w Paryżu. Przesłał mi obszerny list opisujący przyjazd pety w 1979 roku do Paryża. Zezwolił na jego publikację. Oto obszernie wyjątki:*

Peta zawiadomił mnie listownie o planowanym pobycie w Paryżu. Oczywiście prosiłem o skontaktowanie się ze mną po przyjeździe do Paryża.

Rzeczywiście zadzwonił któregoś dnia. Powiedziałem mu, że zaraz do nich przyjadę, osiedlili się na kempingu nad Sekwaną przy Lasku Bulońskim. Nigdy tam dotychczas nie dotarłem, ale taksówkarz zawiózł mnie. Następnego dnia kazałem im się zbierać i pojechaliliśmy do mojego mieszkania. Na całej podłodze porozkładaliśmy materace i jakoś się pomieściliśmy w mojej facjatce. We dwóch tylko poszliśmy po nocy w Paryż. Musieliśmy się swobodnie wygadać. Peta opowiedział mi o swych przeżyciach, o rozdzwiewku z żoną. Moja też tak była prędką, też rzekła: — Chcesz, to dam ci rozwód. — Też żadnej próby ratowania małżeństwa.

Rozumiałem petę. Ale musiałem mu wytłumaczyć, że jego próba pozostania w Paryżu może skończyć się dla nich tragicznie, że zniszczy swoje córki, że w Paryżu sprawy polskich emigrantów prowadzi Żyd z Polski, który wszystko doskonale wie i nie uzna ucieczki pety za dostateczny powód proszenia o azyl we Francji.

Bardzo późno wróciliśmy do domu. Żona pety nie spała i niepytana stwierdziła: — Wiedz, że choćby sama, wrócę do Polski. Musisz mi dać tylko pieniądze na pociąg do Polski.

Peta postąpił jak zawsze po swojemu szlachetnie. Pokazał rodzinie Paryż, potem odwiedzili szereg zamków nad Loarą, Nantes, dotarli nad Ocean Atlantycki, zobaczyli nieznanne przyplawy i odpływy oceanu. Potem przez Bordeaux dotarli do Carcassonne, potem dotarli nad Morze Śródziemne by się w nim choć raz zamoczyć. Przejechali przez wybrzeże, potem wzdłuż Rodanu do Awinionu. Gdzieś po drodze dotarli do miejscowości, w której był starożytny rzymski teatr. Jako architekt peta musiał go zobaczyć, miała to być pierwsza w życiu ujrzana architektura starożytnego Rzymu, o której tyle się uczył, ale usłyszał: — To idź sam. My tu na ciebie czekamy w samochodzie.

Mieli jeszcze zwiedzić Szwajcarię, Austrię, Czechosłowację, ale rodzina pety stwierdziła, że chcą już wracać do domu. Gdzieś na granicy za Ostrawą rodzina dobiła petę dialogiem:

Gosia — Wcale mi się we Francji nie podobało.

AA — Moja szkoła.

Swą życiową wyprawę skrócili o całe cztery tygodnie. Wrócili do „ukochanego Peerelu”.



W roku 1979 byłem już całkowicie zdecydowany uciekać z Polski. Przygotowywałem się do tego wyjazdu przez szereg miesięcy. Moje poczynania prowadziłem w wielkiej tajemnicy nawet przed żoną i córkami. Obawiałem się wszelkiej dekonspiracji. Przecież już tyle razy usiłowałem to wyjechać. Tym razem musiało się udać.

Spaliłem, co wymagało spalania. Ukryłem, co zasługiwało na ukrycie. Ponieważ bardzo byłem zaangażowany w wykończenie mieszkania, wiedziałem, że w łazience za wanną jest zamurowana szczelina, która nadawała się na skrytkę, ale najłatwiej mogłem się tam dostać z sąsiedniej sypialni. Wykułem w narożniku pokoju za tapczanem odpowiedni otwór i do skrytki włożyłem dokumenty, których nie mogłem zabrać, a których nie chciałem stracić. Musiałem potem ten otwór zamurować, otynkować i pomalować, aby nie było śladu ukrycia. Nie zdziwiłbym się, gdyby tam do tej pory coś było ukryte.

Udałem się do Kościoła Zbawiciela i wziąłem stamtąd świadectwo chrztu Gosi. Potem pojechałem zobaczyć ostatni raz ojca i brata w Sosnowcu. Pojechałem nawet do parafii w Bytomiu, gdzie była chrzczona Zosia i wziąłem również zaświadczenie.

Te zaświadczenia, odpisy dyplomów i jakieś inne dokumenty ukryłem w mojej aktówce. Otrzymałem ją kiedyś od delegacji niemieckiej. Była solidna, skórzana. Podobnie jak książka miała ona otwór pod grzbietem. Dokumenty zwinąłem w rurkę na dwóch drutach takich do robienia swetrów i wsunąłem w ten otwór pod grzbietem aktówki. Dwa druty umożliwiły mi rozwinięcie dokumentów pod skórą aktówki.

Wyrobienie paszportów i otrzymanie wiz trwało kilka miesięcy. Anka i Gosia miały oddzielne paszporty, a ja miałem wspólny z Zosią. Po wizę RFN stałem w przerażająco długiej kolejce przy ambasadzie na Saskiej Kępie. Jednak wyszedł pracownik ambasady, zebrał paszporty od wszystkich czekających i po paru godzinach już z wizami można je było odebrać. Belgij-ska ambasada odmówiła mi wizy nawet tranzytowej. Francuską wizę pobytową na 14 dni jakoś otrzymaliśmy. Trzeba było mieć wizy na powrót: szwajcarską, austriacką i czechosłowacką.

Przed samym odjazdem jeszcze ukryłem w rurkach bagażnika pozostałe potrzebne dokumenty. Załadowałem do samochodu posiadane słowniki, które mogły być niezbędne na obczyźnie.



## **VII Symfonia koncertująca**

Przed laty swoje myśli włożyłem w usta innych osób. Postanowiłem je w tej formie zachować.

## **Wspomnienia**

### **cenzura pety**

BB wspomina o MM:

**BB** — Gdy peta wrócił ze swej nieudanej eskapady do Francji, wiele mi o tym wyjeździe opowiadał. Był zachwycony ludźmi, kwitnącym stanem tamtejszej gospodarki, pięknem przyrody, bardzo obfitym zaopatrzeniem w sklepach.

Opowiadał, jak jego kolega w Paryżu, który akurat był bez pracy, oświadczał i pytał: — Ja za swój zasiłek dla bezrobotnych mogę kupić trzy tysiące litrów benzyny. A ty za swoją dyrektorską pensję ile byś kupił? Obawiam się, że nawet na trzysta litrów by ci nie starczyło.

Opowiadał mi peta, że jechał przez Niemcy, Francję, Szwajcarię, Austrię i bez przerwy zachwycał się widocznym dostatkiem.

Dochodził do wniosku, że wszystko zależy od pracy tych ludzi. Więc postanowił po powrocie wyteżoną pracą budować dobrobyt w Polsce. Zachęcał i przekonywał innych o tej drodze zmian w Polsce.

Peta pracował wytrwale, a tu wokół powstawało poważne przekonanie, że „im gorzej, tym lepiej” — należało sabotować pracę.



#### *Mówi Sekretarka Barbara ze Zjednoczenia:*

Już przed laty, gdy zaprzyjaźniłam się z petą, namawiał mnie, abym nie traciła życia, lecz abym podjęła studia — przecież byłam tylko sekretarką. Tak jak radził, rozpoczęłam wieczorne studia na Esgiepisie, skończyłam je i stałam się magistrem ekonomii.

Niedługo po utworzeniu Miastoprojektu peta namówił mnie i zostałam u niego kierowniczką działu planowania. Podobnie ściągnął ze zjednoczenia Teresę Łokuciewską socjologa, którą zrobił kierowniczką działu kadr.

Peta wdrożył w Miastoprojekcie nowoczesną organizację pracy. Projektanci sami ustalali sobie godziny swojej pracy. Na dole był zegar kontrolny, każdy odbijał na swej karcie godziny przyścia, wyjścia, jak i godziny wyjść w czasie pracy. Te karty kontrolował według własnego uznania każdy kierownik pracowni. Zresztą liczyły się wykonane projekty, a projektanci i tak siedzieli ponad obowiązkiem, lubili swoją pracę.

Pracownie były samodzielnymi organizmami, niemal odrębnymi przedsiębiorstwami, zawierały umowy z inwestorami, organizowały projektowanie, przekazywały inwestorom wykonane projekty, wystawiały faktury. Sprzedane projekty, nawet jeszcze nie zapłacone, stanowiły fundusz płac biura, z czego 62% stanowiło fundusz płac pracowni. Fundusz ten był dzielony proporcjonalnie na pracownie według wykazanych faktur i projektanci każdej pracowni na wewnętrznych zebraniach dzielili te pieniądze między siebie, przekazywali do księgowości listy płac, które przed wypłatą zatwierdzał peta. Projektanci wcale nie musieli mieć kontaktu z administracją biura, czuli się u siebie — w swych niewielkich swobodnie dobieranych zespołach projektowych. Administracja biura obsługiwała pracownie w wymaganym przez nie zakresie i była łącznikiem z administracją państwową. Była to naprawdę nowoczesna organizacja biura projektów, niestosowana nigdzie w kraju, a z socjalistycznym ustrojem miała tylko tyle wspólnego, że wszyscy wiedzieli o zarobkach wszystkich.

Administracja biura była skondensowana, relatywnie niewielka, oparta na ludziach z wyższym wykształceniem, potrafiących organizować swoje zadania. Peta wprowadził zasadę ciszy w pracy, to jest od godziny dziewiętej rano do jedenastej każdy pracował nad swymi zadaniami; w tym czasie nie wolno było telefonować do siebie wzajemnie lub udawać się na spotkania. Peta wprowadził sztywny kalendarz swej pracy w tygodniu. Każdy z kierowników miał wyznaczoną godzinę w tygodniu, kiedy peta na niego czekał i z nim rozmawiał. Co tydzień o tej



samej porze robił spotkania kierowników administracji i swoich zastępców, na których każdy w kilku zdaniach mówił, czym się aktualnie zajmuje, przedstawiał swoje problemy, peta koordynował tę pracę, podejmował decyzje, wszyscy mieliśmy świadomość zadań i problemów całego biura — to bardzo ułatwiało pracę.

Zawsze podziwiałam, jak peta potrafił z pamięci z wszystkimi szczegółami mówić o wszystkich problemach biura. Między sobą podkreślaliśmy wzorową polszczyznę tych wypowiedzi. Dla każdego znalazł czas i zainteresowanie, każdemu potrafił pomóc, nawet w sprawach prywatnych. Nie potrafił tylko korzystać ze swoich rozlicznych znajomości służbowych i powiązań. Był bardzo uprzejmy dla każdego. Ktoś go kiedyś zagadnął, dlaczego jest tak cierpliwy i spokojny. A on odpowiedział tylko, że gdyby krzykiem można było więcej uzyskiwać od ludzi, to pewnie by krzyczał na wszystkich. Dodał jeszcze, że najbardziej denerwuje go fakt, że im mniej od kogoś coś zależy, im mniej ma do powiedzenia, tym bardziej jest hardy i opryskliwy wobec innych.

Mnie jednak namawiał, abym była znacznie bardziej twarda w żądaniach, abym nie dawała zepchnąć się z własnych przekonań, abym stanowczo broniła swoich spraw i wniosków. Zastosowałam się do tego, wstyd mi teraz, ale zastosowałam się do tego głównie wobec niego.

Potem jeszcze wredniej zachowałam się wobec niego. Może kiedyś o tym opowiem. Przykro mi teraz.



*Przemówienie wygłoszone przez petę do pracowników Miastoprojektu w dniu 3 października 1979 roku:*

Niech mi będzie wolno, w imieniu naszych zaproszonych gości, w imieniu wszystkich obecnych i moim własnym powitać zasłużonych pracowników Miastoprojektu — Warszawa.

Witam Zastępcę Naczelnika Dzielnicowej Rady Narodowej Warszawa — Żoliborz — towarzysza Andrzeja Kaliszewskiego;

Zastępcę Kierownika Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego PZPR — towarzysza Adama Łukasiewicza;

Przedstawiciela Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych;

Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” — obywatela Bogdana Tananę;

witam przedstawicieli Zjednoczenia i Kombinatów;

witam aktyw Miastoprojektu — Warszawa.

W związku z 35-leciem PRL i Dniem Budowlanych pragniemy uczcić dziś, w miarę naszych skromnych możliwości, tych spośród pracowników Miastoprojektu, którzy swą ponad trzydziestoletnią pracą, dzień po dniu zrastali się z dziejami Stolicy, i których działalność zawodowa pokrywa się z kształtowaniem PRL.

Pragniemy uczcić dziś tych, którzy projektowali Warszawę

— w Miastoprojekcie — Wschód, na bazie którego powstały:

Pracownia Projektowa Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego — Warszawa Śródmieście

Pracownia PBM — Wschód

oraz Pracownia PBM — Centrum

Pragniemy uczcić tych, którzy pracowali — w Pracowniach Projektowych Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a następnie tworzyli:

Pracownię PBM Centrum

i Pracownię PBM Południe.

Pragniemy uczcić tych, którzy pracowali — w Miastoprojekcie — Północ i dali początek:

Pracowni Przedsiębiorstwa Budownictwa Uprzemysłowionego — Północ.

Czczymy tych, którzy przed 15-laty tworzyli Zakłady Projektowania Kombinatów Budownictwa Miejskiego — Warszawa:

- Północ
- Śródmieście
- Południe
- i Wschód

Oddajemy dziś cześć tym, którzy z górą trzydzieści lat przepracowali w naszym Resorcie i tym, którzy włączyli się nieco później, ale tym bardziej aktywnie tworzyli naszą Warszawę.

Mimo bardzo żmudnych prac przygotowawczych już dziś wiemy, że nie wszyscy znaleźli się na tej sali z tych, którzy winni tu być. Pragniemy naprawić tę niedoskonałość w styczniu 1980 roku w rocznicę wyzwolenia Warszawy. Przyczyną tej niedoskonałości stały się:

- częste zmiany organizacyjne zachodzące w projektowaniu na przestrzeni lat powojennych,
- przyjęte teoretyczne kryterium trzydziestu i więcej lat pracy w projektowaniu, stąd nie ma dziś tych, którym brakło kilka lat do takiego stażu.

Niektórym ambicja dopiero w przeddzień tej uroczystości pozwoliła na dochodzenie swoich zasług i praw.

Niech więc ci obecni na sali przyjmą i przekażą tym nieobecnym nasze wyrazy szacunku.

Jest mi niezmiernie przyjemnie, że było mi dane przemawiać dziś do Państwa w ramach obchodów 35-lecia PRL i Dnia Budowlanych.

Jednocześnie czuję się zażenowany, bo jak tu w kilkunastu minutach zawrzeć istotę 35 lat. Okres taki w życiu człowieka może być wszystkim; w dziejach Stolicy to obecny kształt i piękno Warszawy; w pojęciach technicznych to wielkie przeobrażenia.

Pozwolą więc państwo, że dla zobrazowania tych wielorakich przemian posłużę się faktem sprzed trzydziestu lat, który do dziś w budownictwie jest ewenementem.

Zresztą samo w sobie wydarzenie, którym zamierzam się posłużyć, godne jest przypomnienia.

Był rok 1949. Cytuję obszernie fragmenty ówczesnej relacji. Na budowie zastosowano:

- 2 betoniarki — każda o pojemności 250 litrów,
- 4 windy,
- wreszcie 2 transportery, które dotychczas na budowach w Warszawie były dość rzadko stosowane.

Jedną z głównych wytycznych uchwały załogi było zastosowanie na tej budowie wszystkich zdobyczy, jakie w okresie lata 1949 roku już były wypróbowane na budowach warszawskich.

Z tego wynikała potrzeba i korzyść zastosowania wielu pomysłów usprawniających, jak:

- warstwownik Paducha znacznie ułatwiający przekładanie sznura do ułożenia kolejnej warstwy cegieł,
- jak ramki i szablony inżyniera Andrzejewskiego, które wstawione przy murowaniu do otworów drzwiowych i okiennych umożliwiają murowanie filarków bez wielokrotnego pionowania,
- jak łąty składane do pomiarów geodezyjnych według pomysłu Franaszczuka, usprawniające wytyczenie budynków.
- Zastosowano również kształtki węgarkowe, według pomysłu wspomnianego już inżyniera Andrzejewskiego, które wykonuje się sposobem prefabrykowanym z gruzobetonu. Mają one postać narożnikowej cegły przy filarach okiennych z tak zwanym węgarkiem, za którym ustawia się futryny okienne; w ten sposób nie ma potrzeby dotychczas stosowanego krzesania i przyciosywania normalnej cegły.

Nie sposób wyliczyć te drobne nieraz, ale cenne ulepszenia, jakie w samym procesie budowlanym zostały zastosowane. Każdy z zatrudnionych starał się przyczynić do usprawnienia budowy nowym pomysłem racjonalizatorskim, na przykład pracownicy wykonujący izolacje postanowili przyciąć pasy papy już uprzednio do miary tak, że samo zakładanie izolacji mogło się odbyć niezmiernie szybko.

Zasadniczym usprawnieniem było zastosowanie do wykonania stropów elementów prefabrykowanych. Jak wiadomo, wykonanie zwykłego stropu żelazobetonowego na budowie wymaga deskowania podpartego stemplami, co niezależnie od wielkiego zużycia drewna absorbuje wiele pracy ciesielskiej. Potem trzeba czekać około 3-4 tygodni, aż beton się zwiąże i dopiero wtedy można zdjąć deskowanie. Ten długi proces może być na budowie wyeliminowany przez zastosowanie prefabrykowanych belek stropów żelbetowych.

Takie belecзки gotowe, systemu DMS, zastosowanego na budowie według konstrukcji polskich inżynierów: Dowgirda, Metelskiego i Surmy, układa się na murach w odstępach co 50 centymetrów; między nie wkłada się gotowe pustaki betonowe, tworzące sufit i wypełnienie między belkami, a tylko wierzch zalewa się betonem.

Wątpię, aby ktoś z Państwa rozszyfrował już wydarzenie budowlane, które zamierzam opisać.

W roku 1949 rozpoczęto w Warszawie budowę obiektów wykonanych po raz pierwszy w Polsce systemem szybkościowym.

Załoga budowlana osiedla robotniczego „Mokotów” postanowiła na naradzie wytwórczej w sierpniu 1949 roku wykonać budowę bloku mieszkalnego, oznaczonego literą „C” na dziesiątej kolonii osiedla.

Myślę, że zechcą Państwo dla uczczenia Dnia Budowlanych prześledzić ze mną przebieg tej najkrótszej w dziejach Stolicy budowy.

Dnia 17 i 18 sierpnia 1949 roku inżynier Przymanowski i jego zastępcy: majster Roman Franaszcuk i technik Henryk Szczepański przy udziale przedstawicieli organizacji partyjnej i rady zakładowej sprawdzili jeszcze raz zagospodarowanie terenu, to jest wyrównanie placu budowy, dokładność ułożenia torów, rozjazdów i obrotnic, stan wywrotek, doprowadzenie wody, działanie sieci elektrycznej, sprawność maszyn. Zlustrowano składy cementu, żwiru, piasku, cegły, prefabrykatów, drewna rusztowaniowego, skontrolowano urządzenia socjalne, bezpieczeństwa i higieny pracy i stwierdzono, że przygotowania zostały wykonane bez zarzutu, tak że zgodnie z harmonogramem ustalono rozpoczęcie robót na dzień 19 sierpnia, godzina 7<sup>30</sup>.

Pierwszy dzień to betonowanie fundamentów. Praca szła bardzo dobrze, choć o godzinie dziewiątej nastąpiła pewna niespodzianka. Spadło ciśnienie wody w sieci doprowadzającej do betoniarki. Przyczyna była prosta — był to dzień pracy; osiedle „Mokotów” zamieszkałe już częściowo oraz budowy innych bloków na osiedlu zużywały wielkie ilości wody, tak że nie starczało dla betoniarek. Inżynier Przymanowski natychmiast zainterweniował telefonicznie w Dyrekcji Wodociągów oraz poprosił, ażeby na budowach innych zaprzestano gaszenia wapna.

Tego dnia o piętnastej przedstawiciel Ministerstwa Budownictwa zakłada uroczyste pierwszą cegłę narożnikową i murarze zaczynają swoją pracę. O godzinie 16<sup>30</sup> brygadziści meldują zakończenie betonowania fundamentów. Około dwudziestej trzeciej murarze kończą swą pracę — ułożyli 90 m<sup>3</sup> muru. Równolegle wykonuje się izolację pionową ścian, po czym zasypuje się je ziemią ubijaną warstwami.

Załoga i kierownictwo wyciąga wnioski z dnia pierwszego. Transport winien zostać w przyszłości ulepszony — trzeba przejść na pompy do betonu stosowane już dawno w Związku Radzieckim.

Drugi dzień pracy wypadł w sobotę, dnia 20 sierpnia 1949 roku. Murarze budują mury środkowe i kończą je całkowicie o godzinie osiemnastej. Jednak już o szesnastej mury jednego traktu są całkiem gotowe, tak że betoniarze mogą przystąpić do wykonania stropu.

Również i w drugim dniu była przykra niespodzianka. Przy betoniarce urwała się lina od kosza. Założono natychmiast zapasową linę i pracowano dalej.

Kierownictwo wyciągnęło wnioski z drugiego dnia pracy:

Należy zawsze być przygotowanym na awarie i mieć w zapasie części zamienne.

Należałoby poza tym produkować elementy prefabrykowane kątowe w kształcie litery „L”, które znacznie przyspieszyłyby obmurowanie wieńców.

Trzeci dzień pracy był to poniedziałek, dnia 22 sierpnia 1949 roku po przerwie niedzielnej. W pierwszej zmianie wymurowano ściany zewnętrzne parteru, w drugiej dwie brygady wykonały wewnętrzne mury nośne.

Doświadczenia trzeciego dnia doprowadziły do wniosku, że należałoby wprowadzić rusztowania murarskie składane, najlepiej rurowo-stalowe, gdyż ustawianie drewnianych nie tylko niszczy wiele drewna, lecz poza tym zabiera wiele czasu roboczego.

Czwarty dzień pracy — wtorek, dnia 23 sierpnia 1949 roku poświęcony był wykonaniu stropu nad parterem. Betoniarze w dwóch zmianach wykonali to zadanie łącznie z płytami balkonowymi, które zresztą przysparzały wiele żmudnej pracy.

W dniu tym podjęto ważną decyzję o rozszerzeniu zadania — w tym samym niezmiennym terminie postanowiono wykonać klatki schodowe i ścianki działowe. Postanowiono również wbudować stolarkę i balustrady balkonowe, wraz z pomalowaniem ich.

W ten sposób szybkościowiec przerodził się w Czyn Załogi Mokotowa, to jest w zobowiązanie już nie tylko kolektywu samego budynku „10-C”, ale przodujących brygad z całej załogi wielkiego osiedla Mokotów.

Wieczorem padło nieuchronne pytanie: — „Skoro już wykonuje się pewne roboty wewnętrzne, a nawet stolarskie, dlaczego również nie zrobić instalacji sanitarnych, centralnego ogrzewania i elektrycznych?”

Po dyskusji trwającej do północy w obecności przybyłego ministra budownictwa uznano i to zadanie za możliwe do spełnienia przy zachowaniu terminu zasadniczego i w wyniku obrad zaszczytne zlecenie wykonania pierwszej instalacji szybkościowej w Polsce otrzymało dnia 24 sierpnia Państwowe Przedsiębiorstwo Instalacyjne Zjednoczenia Warszawskiego, Oddział XI.

W piątym dniu budowy, to jest w środę dnia 24 sierpnia, wykonano całkowicie mury pierwszego piętra. Do podawania cegły użyto obu transporterów. W południe awaria — jeden z transporterów ma zatarte łożysko. I to usunięto. O północy do pracy przystępują betoniarze i przez noc betonują cały strop nad pierwszym piętrzem.

We czwartek, dnia 25 sierpnia, w szóstym dniu pracy przystąpiono do murowania drugiego piętra. Transportery w nocy podbudowano rusztowaniami drewnianymi, aby sięgnęły drugiego piętra.

Obie zmiany robocze siódmego dnia pracy, to jest w piątek 26 sierpnia zajęte były murowaniem w dalszym ciągu drugiego piętra.

Dzień ten obfituje w odwiedziny wielu delegacji. Przychodzą wycieczki: czeska i angielska oraz przedstawiciele Instytutu Techniki Budowlanej. Budowę odwiedza prezes Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych towarzysz Baryła, który przemawia do załogi na zebraniu w porze obiadowej. W nocy Film Polski robi zdjęcia w świetle reflektorów.

Terminy według harmonogramu nadal dotrzymane.

Przyszła druga sobota szybkościowca — ósmy dzień roboczy — 27 sierpnia 1949 roku. Był to ciężki dzień. Cały dzień padał deszcz. Robienie kominów i klatek schodowych przedłużyło się, a betoniarze dopiero po południu mogli przystąpić do betonowania stropu nad drugim piętrzem. Robotnicy przemokli do ostatniej nitki. Nad murem wykonano prowizoryczny daszek pokryty papą chroniący murarzy. Betoniarze z kolei otrzymali brezentowe fartuchy i założyli je wysoko, tak że zasłoniły nawet szyje. Robót nie opóźniono.

Następny dzień, niedziela 28 sierpnia, był przeznaczony na odpoczynek, ale wykorzystano go na zmianę ustawienia transporterów, tak że jeden transporter stanął nad drugim i sięgnięto trzeciego piętra. Oba transportery umieszczono na podbudowie drewnianej i ustawiono je pod kątem prostym do siebie. Wybudowano czwartą windę.

Po południu znaczna część załogi przyszła z rodzinami odwiedzić budowę i niektórzy nawet chcieli pracować.

Dziewiąty dzień budowy, poniedziałek 29 sierpnia, to murowanie ścian trzeciego piętra, a od godziny dwudziestej drugiej rozpoczęcie stropu.

Roboty murarskie i betoniarskie trzeciego piętra trwały jeszcze przez cały dziesiąty dzień pracy, to jest wtorek 30 sierpnia 1949 roku. W dniu tym przystąpiły do pracy brygady instalacyjne. I tak w dziesiątym dniu pracy wrzała robota na wszystkich kondygnacjach. W nocy z 30 na 31 sierpnia ułożono jeszcze polepę z gliny z trocinami jako izolację cieplną stropu nad trzecim piętrzem. Praca ta była konieczna przed wykonaniem dachu.

W środę dnia 31 sierpnia 1949 roku, w jedenastym dniu budowy murarze wykonują ściany kominowe, szczytowe i układanie gzymsu z elementów prefabrykowanych. Szczytowe mury są układane cegłą licową, murowaną na czyste fugi przy użyciu listewek. — Jubilerska robota. Po południu betoniarze z belek prefabrykowanych wykonują dach.

Wreszcie nadszedł dwunasty dzień pracy, czwartek 1 września 1949 roku — zakończenie programu robót. Dekarze kryją dach i kończą pracę o zmierzchu. Instalatorzy budują prowizoryczną kotłownię, aby można było dokonać próby na gorąco instalacji centralnego ogrzewania. W budynku odbywa się generalne sprzątanie. O godzinie 22<sup>30</sup> załoga szybkościowca zawiesza na maszcie antenowym budynku „10-C” czerwony sztandar na znak zwycięskiego ukończenia zaplanowanych robót.

Dzień drugi września jest dniem zupełnego tryumfu. Cała budowa jest udekorowana i przygotowana do uroczystego odbioru, który odbywa się w sobotę w dniu 3 września. Odznaczenia, gratulacje.

Dwanaście dni... 1949 roku... Aż łza się w oku kręci...

A potem jeszcze wybudowano — w tych trzydziestu następnych latach:  
— Mariensztat – według projektu Zygmunta Stępińskiego i Józefa Sigalina  
— Mirów  
— w 1950-ym — Targówek — według projektu Zenona Buczkowskiego  
— Koło Wschód — Szymona i Heleny Syrkusów  
— w 1952-gim — Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową  
— w latach 1952 do 1962 — Osiedle Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy Dąbrowskiego na Mokotowie  
— w 1955-ym — Osiedla Kasprzaka — Kleyffa  
— w latach 1955 do 1959 — Koło Zachód — Paciorekowskiego  
— w latach 1955 do 1960 — Czerniakowska Dzielnica Mieszkaniowa

- i Wierzbno — Zofii Fafiusowej
- w latach 1956 do 1965 — Służewiec Prototypy i Służewiec I, II, III, IV — Jana Czyża, Jerzego Skrzypczaka, Waława Parczewskiego i Leszka Kołacza
- w latach 1958 do 1966 — Koło Sowińskiego — Kirowa i Leszka Zaborskiego
- w latach 1959 do 1964 — Bielany — Kazimierza i Marii Piechotków
- w latach 1960 do 1965 — Koło Górczewska — Krzysztofa Lacherta i Leszka Zaborskiego
- w latach 1960 do 1972 — Sady Żoliborskie — Haliny Skibniewskiej
- od 1961 — Saska Kępa I i II, Międzynarodowa oraz Wola III
- w latach 1961 do 1966 — Zatrasię — Jacka Nowickiego
- w latach 1961 do 1967 — Młociny Brzeziny — Stefana Deubela i Lecha Zaborskiego
- w latach 1962 do 1970 — Osiedle Batorego — Tadeusza Brygiewicza
- w latach 1964 do 1970 — Osiedle „Za Żelazną Bramą”
- od 1965 — Grzybów — Chruścielewskiego i Stępińskiego
- w latach 1965 do 1967 — Marysin Wawerski
- od 1966 — Kinowa — Bogdana Lewandowskiego i Macieja Szawernowskiego
- od 1968 do 1972 — Sadyba I — Haliny Skibniewskiej
- w latach 1969 do 1973 — Rudawka — Hali Drewiczewskiej
- w latach 1969 do 1974 — Kępa Gocławska
- od 1969 — Bródno — Janiny Szuleckiej i Jerzego Stanisławskiego
- od 1969 do 1975 — Szmulowizna — Kalinowskiego
- od 1970 — Moczydło
- od 1970 — Piaski — Jerzego Nowakowskiego
- od 1970 — Czerniakowska Wschodnia — Waława Eytnera i Zbigniewa Polaka
- od 1971 — Sielce III — Jana Zdanowicza i Baumillera
- od 1971 — Sadyba II — Andrzeja Kicińskiego
- od 1971 do 1974 — Ateńska — Lucjana Dutkowskiego
- od 1971 — Stegny — Janiny Grębeckiej
- od 1971 — Międzynarodowa — Adama Stefańskiego
- od 1972 — Sadyba Fosy — Haliny Skibniewskiej
- od 1972 do 1973 — Szwoleżerów — Haliny Skibniewskiej
- od 1972 do 1974 — Mszczonowska
- od 1972 — Ursynów — Marka Budzyńskiego
- od 1973 — Służew nad Doliną — Janusza Nowaka i Piotra Sembrata
- od 1975 — Gocław — Tadeusza Mrówczyńskiego

oraz to wszystko, co teraz budujemy.

*W 2015 roku należy przyznać, że jesteśmy autorami wszystkich warszawskich blokowisk.*



9 stycznia 1980 roku minister wydał zarządzenie o włączeniu do Miastoprojektu Ośrodka rozwoju Techniki i Projektowania dotychczas samodzielnej jednostki w Zjednoczeniu Budownictwa „Warszawa”.



7 lutego 1980 roku zakończyła się w Miastoprojekcie kontrola banku. Trwała od czerwca 1979 roku. Wykazała:

Nadal są własne służby administracyjne w oddziałach biura – trzeba je likwidować.

Stwierdzono aż 38 zmian terminów umownych.

Nie wypłacono wniosków za jakość – trzeba to zrobić.

Brak rokowań przedumownych.

Niesłuszny jest proces rozszerzania umów na kolejne etapy projektowania, to jest osobne umowy na koncepcję i makietę, na założenia techniczno-ekonomiczne i analizę ogólną.

Powtarzalność obiektów daje przyspieszenie w dokumentacji i realizacji, ale to nie jest zasługa Miastoprojektu.

Brak kar za niedotrzymywanie terminów umownych.

Zła rytmiczność opracowywania dokumentacji.

Przerywanie opracowywania dokumentacji, bo nastąpiła zmiana technologii budowania w trakcie projektowania. Często dokumentacja nie jest realizowana i odkłada się ją na półkę.

Stanowisko Miastoprojektu:

Miastoprojekt wykonuje dokumentację na zlecenie 5 dyrekcji rozbudowy miasta, która jest realizowana przez 9 kombinatów budownictwa: Południe, Wschód, Północ, Śródmieście, Warszawa, MPBU Pruszków, Legionowo [brak dwóch ?].

Na 1 pracownika projektującego przypada tylko 1,17 pracownika pomocniczego. Wynika to z konieczności awansowania pracowników pomocniczych, z wysługi lat, ze starzenia się kadry.

Uchwała 123 Rady Ministrów ustala 30% funduszu płac na premię B za jakość, my mamy tylko 10%.



12 lutego 1980 roku odbyła się narada w Ministerstwie Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych u dyrektora departamentu Mieczkowskiego:

Zarządzenie ministra nr 15 nakazuje bilansowanie mocy.

Jak wygląda sytuacja z gotowością dokumentacji projektowej.

Stołeczna Dyrekcja Inwestycji Spółdzielczych bilansuje swoje zadania osobno.

Na rok 1980 dla Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” ustalono plan wybudowania 1 250 000 m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej mieszkań.



20 lutego 1980 roku spotkanie u sekretarza KW Janusza Barcza, który polecił:

Ustalić potrzeby w Warszawie i Województwie budowania przychodni osiedlowych i pawilonów przyszpitalnych, uwzględnić wykorzystanie na te cele parterów już wybudowanych budynków mieszkalnych.



1 marca 1980 roku minister karnie odwołał całą dyrekcję Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”, byli to dyrektorzy: Ganowicz, Tanana, Brenda, Szufnara i Kochowicz.



3 marca 1980 roku spotkanie u ministra budownictwa, Glazura:

Nie został zrealizowany plan mieszkaniówki i usług w Warszawie.

300 000 m<sup>2</sup> budownictwa mieszkaniowego trzeba odpisać z ubiegłego roku, bo nie zostały wykonane.

Powołuje się nową dyrekcję Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”: generalny dyrektor Andrzej Skrzypiec oraz Janusz Anuszewski, który przestaje być dyrektorem departamentu w ministerstwie, oraz pozostawia się Nowickiego i Zdziarskiego.

Będzie narada aktywu budowlanego mobilizująca załogi do pełnego wykonania planu br.

Należy w pełni wykorzystać fabryki domów. Opłaci się zwiększenie pracochłonności w fabrykach domów, aby odciążyć plac budowy.

Wdrażać nowe rozwiązania techniczne, aby uzyskać wyższą jakość produktu oraz oszczędność siły roboczej.

Należy obniżyć koszty i zużycie materiałów.

Sekretarz KW:

Od paru lat jesteśmy na cenzurowanym.

Resort powinien skierować do Warszawy dodatkowy potencjał instalacyjny, budowlany i środków produkcji.

Należy zmienić klimat wokół budownictwa.

Musimy odbudować odpowiedzialność za słowa i oceny.

Wprowadzić skuteczniej nagrody, ale i kary za zobowiązania.

Każda pomoc resortu zostanie dobrze ukierunkowana w Warszawie.

Odbudujemy dobre tradycje.

Ktoś ośmielił się powiedzieć:

Z czym się wiązą nadzieje budownictwa, jeżeli na budowie cement szybciej wiąże się ze złodziejem niż z wodą.

Anuszewski dodał że:

Działalność musimy wesprzeć głęboko technologicznością działania, musimy podnieść rangę kierownika budowy.



Od 7 do 21 marca 1980 roku byłem na urlopie w Zakopanem, mieszkałem w Domu Wypoczynkowym Skalnica II na ul. 15 Grudnia nr 3.



24 marca 1980 roku – zebranie sprawozdawczo-wyborcze Rady Zakładowej.

Zreferowałem sytuację Miastoprojektu:

Wykonanie roku 1979

Wartość produkcji sprzedanej: 142 176 000 złotych – to jest 101,1%

Zatrudnienie: 822 etaty – to jest 98,7%

Osobowy fundusz płac: 71 605 000 złotych – to jest 100,7%

Wartość produkcji sprzedanej na 1 pracownika ogółem: 172 963 złote – to jest 102,5%

Średnia płaca miesięczna na 1 pracownika ogółem: 7 259 złotych – to jest 102,3%

Dobre wyniki rzeczowe.

Plan na rok 1980

Wartość produkcji sprzedanej: 159 700 000 złotych – wzrost o 102,3%

Zatrudnienie: 905 etatów – wzrost o 10,1%

Osobowy fundusz płac: 80 156 000 złotych – wzrost o 11,9%

Wartość produkcji sprzedanej na 1 pracownika ogółem: 176 464 złote – wzrost o 2,0%

Średnia płaca miesięczna na 1 pracownika ogółem: 7 381 złotych – wzrost o 1,7%

Rozwój biura

	1977	1978	1979	1980
Sprzedaż	112 456 000 zł	125 969 000 zł	142 176 000 zł	159 700 000 zł
Zatrudnienie	765 etatów	783 etaty	822 etaty	905 etatów
Przeciętna płaca	6 371 zł	6 961 zł	7 259 zł	7 381 zł



ogółem				
--------	--	--	--	--

#### Zadania rzeczowe

Na poziomie 900 000 m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej mieszkań – taka jest nasza moc przerobowa.

W zależności od określenia wielkości potrzeb, tj. ilości zleceń, będą konsekwencje w postaci:

Lepszy stan przygotowania dokumentacji.

Szansa na lepszą organizację projektowania.

Szansa na wyższą jakość projektów.

Dokumentacja musi coraz bardziej odpowiadać potrzebom użytkowym, niezbędnym parametrom technicznym i ekonomicznym, potrzebom i specyfice wykonawcy oraz procesu realizacji.

Dokumentacja musi stać się udokumentowaniem optymalnego rozwiązania, użytkowego, technicznego i ekonomicznego. A ponadto musi stać się dokumentem, w oparciu o który nie tylko da się zrealizować obiekt, ale i rozliczyć poprawność przebiegu realizacji pod względem ekonomicznym, czy materiałowym.

#### Stawiamy na technikę

Główne problemy o masowych skutkach:

Poprawność technologiczna realizacji obiektu i osiedla, a nie jest to to samo.

Elewacje strukturalne.

Gotowość elementów przed zmontowaniem.

Węzeł płaski, czy nadal kabina sanitarna.

Ilość uzyskanych m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej mieszkań z 1000 m<sup>2</sup> stropów.

Koszt budownictwa – uzasadnienie korekty.

Racjonalizacja i wynalazczość.

#### Dalsze przeobrażenia organizacyjne

Dalszy wzrost zarobków w znacznie większej mierze poprzez efektywniejszy rozdział funduszu płac na projektantów i administrację, to jest:

Pracownicy produkcyjni: 81,5% funduszu płac.

Pracownicy administracyjni: 13,5% funduszu płac.

Pracownicy fizyczni: 5% funduszu płac.

Wykrystalizowanie znaczenia pracowni jako podstawowej komórki funkcjonalnej.



29.03.1980 roku przyjęcie bilansu.

Biegły:

Terminy umowne zmuszają do wykonywania dokumentacji projektowej w terminach nie-realnych.

Dokumentacja powinna być opracowywana kompleksowo, a nie w etapach.

Nie robić dodatkowych odbitek, to tony papieru, zważywszy, że wykonawstwo warszawskie przerabia półtora miliarda złotych.

Miastoprojekt nie ma dostatecznego transportu do przewozu dokumentacji, musi posługiwać się taksówkami.



Narada w Stołecznym Zarządzie Rozbudowy Miasta dnia 2 maja 1980 roku.

Dyrektor Jerzy Kubiszewski (SZRM):

Decyzja o wyburzeniach istniejących budynków powinna być podejmowana po studium przestrzennym, a przed założeniami techniczno-ekonomicznymi.

Dyrektor Adam Kowalewski (Biuro Planowania Rozwoju Warszawy):

Wyburzenia wynikają z braku mieszkań, trzeba wyburzać istniejące budynki, aby na tym miejscu wybudować więcej mieszkań.

Dyrektor Anuszewski (Zjednoczenie Budownictwa „Warszawa”):

Aby były pierwsze efekty w 1983 roku, musimy wejść w teren w 1982 roku. Do tego czasu teren musi być w pełni uzbrojony. Miasto musi wykonać sprawnie wodociągi, kanalizację i sieć elektryczną i w terminie przekazać teren wykonawstwu budowlanemu. Wykonanie zadań Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” w pełni zależy od wykonania swoich zobowiązań przez władze stolicy.

Architekt Mrówczyński (Miastoprojekt):

Na potrzebnych nam 320 hektarach terenów brutto znajduje się 2000 budynków na 500 zabudowanych działkach. Tę zabudowę miasto musi szybko rozebrać.

Dyrektor Adam Kowalewski (Biuro Planowania Rozwoju Warszawy):

Znajdują się tutaj gleby drugiej i trzeciej klasy, na ich zabudowę zgody nie będzie.

Nie da się przyspieszyć potrzebnej obwodnicy 400 kV, a ponadto strefy ochronne szeregu istniejących linii 110 kV wytrącają znaczne tereny spod nowej zabudowy.

Przy budowie mieszkań dla 600 tysięcy mieszkańców już nie opłaca się budować linii energetycznych 400 kV.

Nasze wytyczne urbanistyczne i inwestycyjne muszą być bardzo treściwe i jak najwięcej powinny rozstrzygać, jeżeli wszyscy mamy poważnie traktować przyspieszenia.

Dyrektor Stefanowicz (?):

Musimy się zdecydować, czy budujemy pasmo wschodnie, które już rusza, bo są tu przesądzenia, czy zachodnie. Przekleństwem dla zabudowy Julianowa jest WOWR (!?), bo są to dwukilometrowe tranzyty po gruntach chronionych.

Zasadniczy próg stanowi pompownia Saska Kępa II, która będzie dopiero w 1984 roku.

Dyrektor Jerzy Kubiszewski (SZRM):

BPRW powinno zrobić studium, obliczyć koszty i wówczas podejmiemy decyzje. Możliwa jest przy tym pomoc Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta i Zjednoczenia Miejskich Przedsiębiorstw Inżynierskich w zakresie kalkulacji kosztu.

Równolegle przygotować studium pasma wschodniego, aby można było wybrać.

Brak nadal ostatecznej wersji bieżącego planu pięcioletniego.

Opracować studia na październik br., a materiały na temat uzbrojenia do końca września br.



W dniu 10 maja 1980 roku z Miastoprojektu został odwołany na własną prośbę zastępca dyrektora Kazimierz Szewczyk, a powołany na jego miejsce Władysław Szufnara –jeden z dotychczasowych dyrektorów Zjednoczenia.



14.05.1980 roku – Egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej i Prezydium Konferencji Samorządu Robotniczego w Miastoprojekcie. Mówiłem tam:

Zadania rzeczowe omówione przez dyrektora Kazimierza Grzegorzewskiego były częścią materiałów na Konferencję Samorządu Robotniczego.

Obieg dokumentów od zlecenia do faktury wymaga niezwłocznego opracowania.

Rozważamy optymalną wielkość pracowni i zespołu projektującego, rozważamy efektywność pracowni jednobranżowych.

Zespół sprawdzający zostawiamy do projektowania, a do badań powołujemy radę programową.

Obsługa pracowni jest niezbędna, ale i drożność jednostki gospodarczej musi być zachowana w zakresie jej dyspozycyjności i możliwości sterowania.  
Oczekuję trochę zaufania niestety, zamiast wymagania sprawiedliwości w kratkę.



15.05.1980 roku – Kolegium Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”.

Dyrektor Zdziarski:

Dzisiaj przekazujemy do zasiedlenia budynki uznane w wykonaniu 1979 roku.

Do planu 1979 roku weszły wszystkie budynki skończone do 28 lutego 1980 roku.

Stwierdzam wyjątkowo korzystną sytuację w montażach i stanach zerowych budynków.

Akcje zero [piwnice] pod plan br. powinny być skończone do 15 czerwca br.

Jednak są zaległości w Legionowie 36 tysięcy, a w Kombinacie Budownictwa Mieszkaniowego „Warszawa- Północ” zaległości sięgają 70 tysięcy m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej mieszkań niewykonanych akcji zero.

Montaże muszą być zakończone w sierpniu br.

Dyrektor Wojciech Nowicki:

Zatrudnienie jest przekroczone o 400 osób. Mamy 14 100 ludzi w produkcji podstawowej, ale spadła ilość własnych pracowników o 400 ludzi. Ratujemy się siłami zorganizowanymi (?).

Do każdego 1 m<sup>2</sup> powierzchni użytkowej mieszkań budżet państwa dopłaca 10 tysięcy złotych.

Dyrektor Kuć [jeden z nowych dyrektorów Zjednoczenia]:

Miastoprojekt Warszawa jest największym Miastoprojektem w kraju. Ponadto prowadzi on kompleksową koordynację w stosunku do wszystkich biur projektów województwa.

Miastoprojekt zasłynął w kraju największą wydajnością, co ogłosił dyrektor Mieczkowski na konferencji w Katowicach.

Miastoprojekt zasłynął najgorszym wyposażeniem w kraju, co stwierdziła narada na Bartyczej.

W Miastoprojekcie usprawniamy organizację, likwidujemy oddziały, zmniejszamy ilość dyrektorów i administracji.

Sprawy dokumentacji jednak wypłyną. Nie można zniszczyć dorobku osiągniętego wyprzedzenia z dokumentacją, a z wielkim wysiłkiem zabezpieczyliśmy dokumentację dla efektów bieżącego roku.

Miastoprojekt projektuje tylko to, co realizuje nasze Zjednoczenie.

Przy tych trudnościach wykonawstwa należy likwidować te przeszkody, które nie wymagają żadnych nakładów.

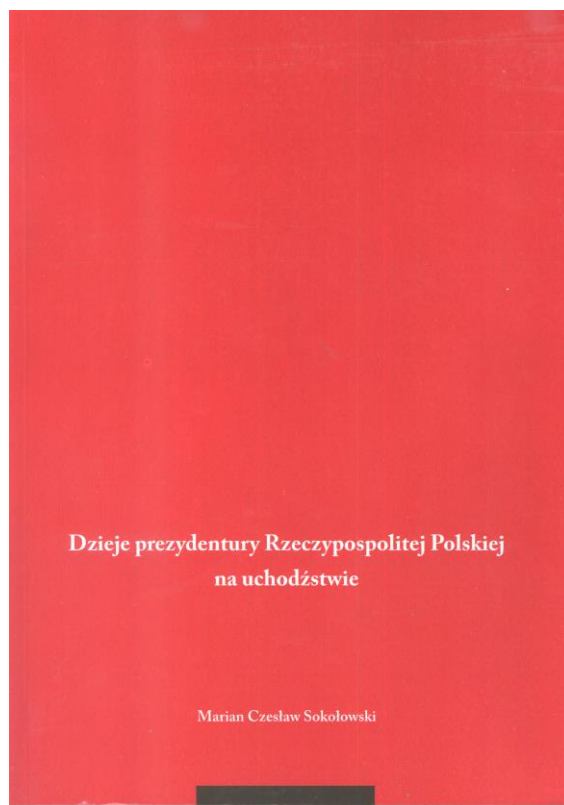
Do takich paradoksów należy zalimitowanie sprzedaży w Miastoprojekcie. Nasi projektanci mogą więcej zaprojektować. Istnieją autentyczne potrzeby na tę dodatkową produkcję projektową. Trzeba tylko abym mógł zapłacić projektantowi za tę ponadplanową produkcję. Kilka milionów funduszu płac da efekty niewspółmiernie duże.

Dyrektor Skrzypiec:

W bieżącym roku musimy wykonać 1 425 tys. m<sup>2</sup> w tym 1 186 tysięcy z planu br. oraz 239 tysięcy zaległych z ubiegłego roku.



*W tym miejscu należy sięgnąć po petę numer 8 pod tytułem: „Stado pasterzy” (obecnie pod tytułem „Dzieje Prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie”), gdzie są opisane między innymi wydarzenia lat 1980 i 1981 w PRL. Jednak dla dopełnienia tła ostatnich miesięcy przed wyjazdem do Algerii zamieszczam zasadnicze wyjątki z tej książki i oznaczę je kolorem czerwonym.*



20.05.1980

*Prasa poinformowała o odwołaniu 12 wiceministrów i powołaniu na ich miejsce jedynie pięciu. Zwolniono 5 dyrektorów zjednoczeń oraz 78 dyrektorów przedsiębiorstw za brak pozytywnych efektów.*

*Była to odpowiedź władzy na oczekiwania narodu zmniejszenia administracji państwowej — zbyt nędzna odpowiedź.*



31 maja 1980 roku został odwołany na mój wniosek mój zastępca – Jerzy Zawistowski.

2 czerwca 1980 roku został powołany jako mój zastępca Bogdan Tanana –jeden z dotychczasowych dyrektorów Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”.



*Z rozmowy z inżynierem Rotowskim, byłym wiceprzewodniczącym Związku Zawodowego w Miastoprojekcie:*

Petę bardzo lubiliśmy, był bardzo uczynny dla każdego. Kiedyś jeden z pracowników Miastoprojektu postanowił odejść z pracy. Był to dozorca, starszy człowiek, pracował od początku istnienia naszego Oddziału. W którymś momencie jakiś jego kolega zachęcił go, aby przeszedł do nich do pracy. Miał tam dostać bardzo dobre warunki pracy, żądano jednak, aby pracę zmienił z dnia na dzień. Człowiek ten zwyczajnie porzucił pracę u nas i poszedł za radą kolegi. Nowa praca okazała się niestety wredna, żądano odeń spełnienia nieuczciwości —inwigilowania ludzi, a gdy odmówił brania w tym udziału, po prostu go wyrzucono z pracy zapewniając, że nigdzie pracy nie dostanie, że dopilnują tego. Został na lodzie, przez szereg tygodni usiłował sobie coś znaleźć, ale bezskutecznie. Wreszcie przyszedł do mnie zwyczajnie pożalić się po starej znajomości. Rozpaczwał, że stracił ciągłość pracy wymaganą do emerytury, że nigdzie go nie chcą przyjąć do pracy, bo w świadectwie pracy napisano mu, że został karnie wyrzucony z pracy, napisano, że poprzednią pracę samowolnie porzucił, jednym słowem znalazł się na dnie. Przecież nie był żadnym fachowcem, miał kilka lat do emerytury. Jakoś tak się złożyło, że opowie-

działem to pecie. Niewiele myślał, kazał przyprowadzić go do siebie. Pracownika tego zwyczajnie przywrócił do pracy, tak jakby nigdy nie odchodził. Nawet ja ostrzegałem potem petę, że przecież naraża się, że oni są potężni... Wreszcie jako zarząd Związku Zawodowego w Miastoprojekcie kupiliśmy duży bukiet białych róż i wręczyliśmy pecie. Powiedziałem przy tym publicznie, że to peta powinien być przewodniczącym Związku Zawodowego.



*Z rozmowy z byłym zastępcą pety, Kazimierzem Szewczykiem:*

Wyłączyłem się z tego burdelu w ostatnim momencie i wyjechałem do Czechosłowacji na budowę. Ale przedtem wobec wielu oświadczałem i nawet powiedziałem pecie z całym rozbrajaniem w oczy: — ...z ciebie, to jest taki chrystusowy komunista, masz swoje wyobrażenie o sprawiedliwości i jesteś tym bardziej groźny dla tych, którzy są komunistami przy władzy...



*Z rozmowy z kolegą i sąsiadem pety, Piotrem Sembratem:*

Co jakiś czas zachodziłem do pety do domu. Zналиśmy się od tylu lat, można było się od niego wiele dowiedzieć, co w trawie piszczy — nie miał przede mną żadnych tajemnic, aż się sam dziwiłem.

Któregoś dnia, a było to w okresie, gdy już wszystko wrzało w Polsce, peta powiedział mi z całą powagą, że on znów polegnie, tak jak w sześćdziesiątym ósmym, gdy tłum szturmował budynek KC, a on sam został wewnątrz. Dodał jeszcze: — Chodziłem po tych pustych korytarzach Komitetu Centralnego i myślałem sobie: — Teraz polegnie największy komunista polski.

Niezbyt fair zapytałem: — ...a nie jesteś?



*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— 13 czerwca 1980 roku.

W dniu dzisiejszym w Miastoprojekcie odbyło się posiedzenie prezydium Konferencji Samorządu Robotniczego. Brało w nim udział siedemdziesięciu dwóch pracowników — byli to dyrektorzy Miastoprojektu, egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej, prezydium Rady Zakładowej, Zarząd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, generalni i główni projektanci, przewodniczący działających w Miastoprojekcie stowarzyszeń twórczych — SARP, PZITB, kierownicy pracowni, kierownicy działów administracji i zaproszeni goście z Komitetu Dzielnicowego PZPR, z Oddziału Warszawskiego Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, był przedstawiciel Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa”.

Od początku dyskusji nad referatem pety zaczęła się wyraźna krytyka działalności pety.

Zastępca pety — Jerzy Zawistowski — szydził, że peta chwali się załatwieniem dla Miastoprojektu udziału w eksporcie budownictwa poprzez Wadeco, mówił, że pracownicy Miastoprojektu musieli wykonać szereg opracowań bezpłatnie dla tego eksportu, a biuro dostało za to od Wadeco tylko tysiąc dwieście dolarów. Wielu wybuchło śmiechem i nie było słyhać już, jak peta prostował, iż w eksporcie są takie zasady, że dolary z zysku są wypłacane uczestnikom po rozliczeniu roku, że za prace dotychczas wykonane przez Miastoprojekt dopiero w przyszłym roku Miastoprojekt otrzyma należność, a te otrzymane obecnie tysiąc dwieście dolarów dotyczą ubiegłego roku i że Miastoprojekt otrzymał je z tytułu przystąpienia do współpracy z Wadeco w zakresie eksportu, i że Zawistowski doskonale o tym wie.

Kierownicy pracowni krytykowali petę, że nie załatwia należycie pieniędzy od Naczelnego Architekta Warszawy, którymi winni być opłacani generalni projektanci w Miastoprojekcie. Peta

stwierdzał, że generalni projektanci osiedli są autorami osiedla, według ich projektu ogólnego są wykonywane opracowania szczegółowe, generalni projektanci cały czas koordynują wszystkie opracowania wykonywane dla danego osiedla i w związku z tym w każdym opracowaniu jest część pracy generalnego projektanta. Toteż z każdego opracowania część dochodu musi być przeznaczona na płace dla generalnych projektantów, a podzielona całkowicie i jedynie między podległych generalnemu projektantowi innych projektantów.

Generalny projektant Goławia — Tadeusz Mrówczyński — grzmiał, że to projektanci przynoszą cały dochód Biura, tymczasem aż czterdzieści procent tego dochodu jest odprowadzane do skarbu państwa oraz idzie na innych pracowników nieproduktywnych. Całe te wypracowane przez projektantów pieniądze należą się projektantom i to oni winni decydować, czy tymi pieniędzmi podzielą się z kimś.

Batylda z ZSMP [Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej] krytykował petę, że z zasady, gdy się wejdzie do gabinetu pety, to peta nie przerywa pracy, aby zająć się sprawami, z którymi przychodzi do niego przedstawiciel organizacji, lecz każe usiąść i czekać, aż peta skończy pisanie czegoś tam. Dyrektor bronił się, że przyjął zasadę, że do niego wchodzi się bez czekania, ale on przecież musi zakończyć myśl opracowywanego dokumentu i dlatego prosi, aby wchodzący poczekał, ale przyrzeka, że już teraz będzie przerywał swą pracę, aby nie wyglądało, że lekceważy przedstawicieli organizacji politycznych i społecznych.

Przewodniczący Związku Zawodowego — Zbigniew Radomski — usiłował ratować petę, przemawiał w jego obronie, uzasadniał, że z dyrektorem dobrze mu się współpracuje, że wspólnie skutecznie rozwiązują problemy pracowników. Ale z sali ktoś krzyknął, że związkowi zawodowym nie może się dobrze współpracować z dyrektorem.

Pracownik Komitetu Dzielnicowego PZPR w swoim końcowym wystąpieniu autorytatywnie stwierdził, że każda załoga ma z zasady rację, a tutaj wygłoszona krytyka jest całkowicie zasadna i Komitet Dzielnicowy przeprowadzi rozmowy z dyrektorem Miastoprojektu, aby pouczyć go, jak należy wsłuchiwać się w głosy załogi. Zresztą KD musi przyzwyczaić dyrektora Miastoprojektu do częstszego zgłaszania się do KD po dyrektywy, bo obecnie dyrektor wyraźnie unika Komitetu Dzielnicowego.



#### *Wspomnienia sekretarki Bożeny (Zakład Badań i Doświadczeń):*

Tęskniłam za petą. Toteż ucieszyłam się niewymownie, gdy włączono nasz Zakład Badań i Doświadczeń do „Miastoprojektu – Warszawa”, a nawet znalazło się miejsce dla nas na Przasnyskiej, gdzie urzędował peta. Znowu widywaliśmy się, knuliśmy w naszych sprawach, bacznie obserwowałam wszystko, co się wokół pety działo. A działo się wiele.

W pewnym okresie władze rozwały całą dyrekcję Zjednoczenia i wymieniły na nową. Powodem był brak oczekiwanych przez władze wyników w realizacji planu. Dotychczasowi dyrektorzy Zjednoczenia musieli znaleźć sobie szybko nową pracę. Peta rozwijał Miastoprojekt, więc zgodził się przyjąć do pracy byłego dyrektora do spraw badań — Bogdana Tananę — był przecież w Miastoprojekcie Oddział Badawczo Wdrożeniowy, który badał nowe technologie dla Kombinatów. Tanana jednak na spotkanie u pety, bez uprzedzenia, przyprowadził drugiego wyrzuconego — dyrektora ekonomicznego — Władysława Szufnarę. Peta nie opuszczał, bo akurat zachciało się dotychczasowemu zastępcy pety do spraw administracyjnych — Kazimierzowi Szewczykowi — wyjechać do pracy na kontrakt do Czechosłowacji. Peta nie zdobył się na odmowę i przyjął obu — Tananę i Szufnarę — na swych zastępców. Zresztą mianował ich nowy dyrektor Zjednoczenia — Andrzej Skrzypiec, a peta tylko wyraził zgodę. Tanana, jako zastępca do spraw badawczych bardzo był przydatny i sprawdził się w pracy. Natomiast Szufnara, jako zastępca do spraw administracyjnych, nie mógł wybaczyć pecie, że ten, który jeszcze kilka dni wcześniej był jego podwładnym, że ten gówniarz sprzed lat, ten któremu nawet nie chciał podawać ręki, bo Szufnara był już wówczas naczelnikiem wydziału planowania w zjednoczeniu — że ktoś taki jest teraz jego szefem. Niechęć Szufnary do pety była widoczna na każdym kroku.

Takie to były czasy, że przychodziło polecenie z góry i dyrektor przyjmował do pracy. Przyszło również polecenie od nowego zastępcy dyrektora Zjednoczenia — Wojtka Nowickiego. Tym razem trzeba było znaleźć pracę dla usuwanego ze stanowiska przewodniczącego Dzielni-

cowej Komisji Planowania Gospodarczego na warszawskim Żoliborzu, niejakiego Moes'a, który miał duże, wieloletnie zasługi dla władz politycznych i nie można było go upchnąć gdziekolwiek. Peta dostał polecenie zatrudnienia Moes'a na odpowiednio prestiżowym stanowisku, a że akurat Miastoprojekt wyznaczono do funkcji koordynatora działalności wszystkich warszawskich biur projektów (kilkadziesiąt jednostek projektowania z różnych resortów, ponad dziesięć tysięcy projektantów), to peta zrobił Moes'a tym koordynatorem. Szybko zaczęły napływać głosy o panoszeniu się Moes'a w Miastoprojekcie, o pomiataniu ludźmi przez niego. Warto zapamiętać tę postać.



1.07.1980

*Władze bez zapowiedzi ogłosiły nagle podwyżkę cen mięsa i wędlin — rozszerzono ilość cen komercyjnych na mięso i wędliny, czyli znacznie wyższych. (Znów potrzebne wyjaśnienie: Przez całe dziesięciolecia państwo ustalało ceny na wszystko, ale gdy zaczął się kryzys końca lat siedemdziesiątych, gdy coraz bardziej brakowało żywności, a zwłaszcza mięsa, wprowadzono na mięso ceny komercyjne, aby tym zachęcić rolników do hodowli trzody). Socjalistyczne załogi były zbulwersowane, bo ceny komercyjne zaczęły obowiązywać również w stołówkach i bufetach wewnątrzzakładowych, w których dotychczas pracownicy mogli kupić mięso i wędliny na potrzeby całej rodziny po cenach znacznie niższych niż w sklepach. Wywołało to szereg strajków, między innymi w Ursusie. Po jedenastu dniach nadal strajkowały zakłady pracy województw: warszawskiego, lubelskiego i skierniewickiego. Narastały żądania strajkujących wyrównania kosztów utrzymania.*

*Biuro Polityczne PZPR rozważa podwyżki płac, ale żąda porządkowania gospodarki i wzrostu efektywności gospodarowania. Członkowie Biura Politycznego nie przejmują się strajkami i zgodnie ze swoimi planami wyjeżdżają na urlopy zagraniczne — na czele z Gierkiem.*

14.08.1980

*Rozpoczyna się strajk robotników Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Zgłoszono postulaty.*

17.08.1980

*Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Gdańsku sformułował listę 21 postulatów.*

18.08.1980

*Gierek w przemówieniu telewizyjnym zaapelował o zachowanie spokoju, zapowiedział korekty systemu płac, cen i zasiłków, ale jednocześnie — ignorując postulat niezależności nowo tworzącego się ruchu zawodowego — udzielił poparcia Centralnej Radzie Związków Zawodowych, dotychczasowemu organowi komunistycznemu. Niezależne od partii związki zawodowe były groźnym żądaniem bijącym we wszechwładzę partii, były incydentem nie do przyjęcia w systemie państw satelickich Moskwy.*

19.08.1980

*Na całym Wybrzeżu był strajk powszechny.*

24.08.1980

*Zmiany w Biurze Politycznym:*

*wyszli z Biura Politycznego: Edward Babiuch, Jerzy Łukaszewicz, Jan Szydłak, Tadeusz Wrzaszczyk, zastępcy członka: Zdzisław Żandarowski i T. Pyka.*

*Wszedł do Biura Politycznego Stefan Olszowski. (To ten zapowiedziany przez Gierka katolik??)*

27.08.1980

*W Szczecinie Kazimierz Barcikowski [tamtejszy pierwszy sekretarz] odrzucił wolne związki, które przecież były sprzeczne z doktryną wszechwładzy partii.*

30.08.1980

*W prasie zachodniej ukazały się informacje, że Republika Federalna Niemiec przyznała Polsce pożyczkę w wysokości 672 milionów dolarów, konsorcjum banków z Bank of America dodatkowo 325 milionów dolarów. Do sierpnia 1980 roku Zachód pożyczył Polsce łącznie 21 miliardów dolarów, z czego połowę w okresie minionych pięciu lat. Ale pożyczył przecież nie Polsce, a komunistycznej władzy PRL na jej cele, na jej podparcie — to bardzo istotna różnica. Przecież naród polski nie miał żadnego wpływu na sposób wydania tych pożyczek.*

*W Stoczni Gdańskiej strona rządowa zgodziła się na utworzenie niezależnych samorządnych związków zawodowych, które będą działały bez naruszania Konstytucji PRL.*

*V Plenum KC PZPR zatwierdziło osiągnięte w Gdańsku i Szczecinie uzgodnienia.*

31.08.1980

*Dotychczasowe wydarzenia były ukrywane przez Biuro Polityczne przed narodem, a nawet przed samą partią i dopiero w dniu 31 sierpnia 1980 roku telewizja polska pokazała, jak w Gdańsku podpisano porozumienie. Podpiswali je: wicepremier Mieczysław Jagielski i Lech Wałęsa.*

1.09.1980

*Gdański Międzyzakładowy Komitet Strajkowy przekształcił się w Międzyzakładowy Komitet Założycielski nowych związków zawodowych.*

3.09.1980

*Podpisano porozumienie w Jastrzębiu. W tym też dniu ZSRR deklaruje pomoc finansową dla Polski w postaci pożyczki i dostaw żywności, ale chyba tylko deklaruje.*

4.09.1980

*Na spotkaniu w Ursusie powołano do życia Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Mazowsze”, który potem się przekształcił w Region Mazowsze NSZZ „Solidarność”.*

5-6.9.1980

*Dotychczasowych groźnych wydarzeń w kraju starczało już, aby oczekujący na władzę w partii sięgnęli po najwyższy urząd w kraju. Odbywające się w dniach 5 i 6 września 1980 roku Plenum KC PZPR zwolniło Edwarda Gierka z funkcji I sekretarza KC i członka Biura Politycznego. Nowym I sekretarzem został Stanisław Kania. Tym samym pokazano narodowi, że zmiany w partii sięgnęły szczytu i zostały zakończone zgodnie z wolą narodu.*

13.09.1980

*USA przyznaje Polsce kredyt wartości 670 milionów dolarów na zakup produktów rolnych — czy zrealizowany?*



*Tymczasem pęta pisał kolejne książki — i pisał listy z prośbą o poparcie jego pisania.*

Warszawa, dnia 15 września 1980 roku

Szanowny Panie —

List ten piszę do pisarza — Wilhelma Szewczyka. Adres znalazłem w książce telefonicznej. Mogłem więc pomylić się i jeżeli tak się stało, proszę dalej nie czytać, gdyż nie miałoby to sensu, a sam list można wyrzucić.

Zwracam się do Pana jako Pisarza z prośbą o pomoc w postaci kilku rad. Pochodzę z Sosnowca, studiowałem w Warszawie i już tu zostałem. Moje poczucie związku z Zagłębiem, ze Śląskiem jest uzasadnione. Pracowałem w Partii, jestem dyrektorem. Zawsze jednak marzyłem by pisać i stale odkładałem to na później, gdy bardziej dojrzeję.

Mam już czterdzieści siedem lat, napisałem jedną, potem drugą powieść. Piszę trzecią, a dwie następne, zdaje mi się, czuję w końcach palców. Pierwszą Państwowy Instytut Wydawniczy odrzucił, drugiej jeszcze nie próbowałem nigdzie wysłać. I pierwszą, i drugą, i trzecią piszę na zasadzie kradzionego czasu, zwykle po nocach. Piszę o tym, co się wokół mnie dzieje, o Śląsku, o sobie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że może irytować sposób w jaki to robię, ale piszę tak, jak wydaje mi się, że będzie to najwłaściwiej ujęte, piszę, jak potrafię najlepiej. Oceniam, że sens tego pisania leży w kontakcie z czytelnikiem, a współczesna tematyka dziś może być wkładem we wspólne kształtowanie Ojczyzny, jutro może być tylko najwyżej wspaniałym celnym zapisem.

Przepraszam za tak wysokie tony, bo przecież moje problemy są tak zwykłe.

Coraz jaśniej widzę, że nie da się być dobrym dyrektorem i dobrze pisać. Bo choć taka sytuacja jest kopalnią materiału pisarskiego, to i jedno, i drugie wymaga niestety całkowitego oddania, a nawet niepełne oddanie się kierowanemu przedsiębiorstwu wydaje się być nieuczciwością.

Bardzo chciałbym zdecydować się na wyłączne zajęcie się pisaniem i to muszę sam ze sobą załatwić. Pana natomiast gorąco prosiłbym o opinię o tym, jak dotrzeć do kogoś, kto zainteresowałby się moim pisaniem.

Przepraszam, że ośmieliłem się do Pana napisać. Łączę wyrazy głębokiego szacunku

*Nie było odpowiedzi.*





*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— 16 września 1980 roku.

Zgodnie z poleceniem rozpoznawałem sytuację w Miastoprojencie. Na korytarzu, na tablicy ogłoszeń, blisko gabinetu pety, ktoś powiesił kartkę zawiadamiającą, że w Miastoprojencie organizuje się nowy związek zawodowy na bazie porozumień gdańskich. Kartka wzywała do wpisywania się na członków założycieli. Między kilkoma nazwiskami, zobaczyłem, że wpisał się tam również peta. Wykreśliłem go.

Jak mnie oświadczył jeden z wicedyrektorów, peta namawiał swoich zastępców, aby ci nie angażowali się wcale w ten konflikt, aby jemu pozostawili całe rozmowy z nowym utworzonym związkiem zawodowym. Zastępca podejrzewa, że peta chce zdradzić partię i współpracować z tym związkiem.

Następnego dnia, na tej samej tablicy ogłoszeń obok gabinetu pety, ktoś umieścił wykonaną z patyków i sznurka szubienicę. Tej już nie ruszałem. Była zgodna z otrzymanymi wytycznymi.

Wstawiony do zarządu nowego związku nasz człowiek doniósł mi, że peta był wezwany na posiedzenie tego zarządu, spóźnił się dwadzieścia minut, potem tłumaczył się, że zasłabł i dlatego nie mógł przyjść, że nigdy nie zamierzał lekceważyć związku.

Peta potem przekonywał zarząd, że nazwa „Solidarność” jest złą nazwą, ale jest wspaniałym programem. Gdyby związek zrealizował solidarność między ludźmi, byłoby to wspaniałym osiągnięciem na miarę dziejów Polski.

Potem peta jeszcze coś bredził, że nie ma ludzi z gruntu złych, że nie należy dzielić ludzi na złych i dobrych, bo tak naprawdę podział między złem i dobrem przebiega w nas samych. Rzecz w tym, abyśmy w sobie przede wszystkim minimalizowali zło — tłumaczył im peta.

Dodać należy, że na przewodniczącego Solidarności w Miastoprojencie został wybrany znany nam Moes, z którym mam dobre kontakty.



1 października 1980 roku

## ***Wspomnienia***

### **cenzura pety**

**BB** — Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” działał w najlepsze w Miastoprojencie. Peta opowiadał mi szczegóły kolejnych wydarzeń, wyraźnie żył nimi, nie potrafił o niczym innym myśleć. Cieszyły go te wydarzenia.

Ktoregoś dnia przyszli do niego z zawiadomieniem, że chcą zorganizować zebranie załogi Miastoprojektu i że zebranie to zamierzają zorganizować na dzielnicowym stadionie piłkarskim. Peta zaproponował im, że wynajmie kino „Wisła” na Placu Wilsona. Uzasadniał, że tam załoga będzie uniezależniona od pogody, że będzie lepiej słyhać, że będzie wygodniej. Byli zaskoczeni, ale propozycję przyjęli.

1 października od samego rana wszyscy zebrali się w sali kinowej. Peta nie siedział w prezydium zebrania tym razem, usiadł w głębi na sali. Ja też tam byłam. Wmieszałam się między wchodzących i obserwowałam wydarzenia. Nastrój był napięty, jedni nawoływali do wprowadzenia sprawiedliwości w państwie, inni chcieli socjalizmu z ludzką twarzą, wielu wiedziało tylko, że trzeba walczyć, że trzeba być przeciw.

Po paru godzinach ogłoszono przerwę w obradach. Przez głośniki kinowe ktoś puścił niedawne przemówienie w sejmie posła Gustawa Holoubka. Było to patetyczne przemówienie, porywające. Peta siedział zasłuchany, więc musiałam mu się pokazać i dać znać, aby wyszedł z sali. Wielu stało przed kinem, rozmawiało gorąco, pogoda była śliczna, też było niemal gorąco.

Peta podekscytowany pokazał mi notatki do swojego przemówienia, które napisał w nocy. Nawoływał w nim do wielkiej odwagi, do historycznego zrywu Polaków, do walki o wolność

Narodu. Pisał, że całe życie marzył o tej chwili... że jako harcerz orli od trzydziestu lat marzył o nadejściu tej chwili, że ją na każdym kroku przygotowywał swoimi małymi czynami...

Byłam przerażona. Przecież władze go rozszarpiają za takie deklaracje. Jeszcze nie teraz takie apele...

Cały czas przemawiał do mnie, nawet nie zauważył, jak go odciągnęłam nad Wisłę, zauważył dopiero, gdy go wciągnęłam na siebie, zapomniał znów o świecie, byliśmy tylko my dla siebie.

Nie wrócił na salę obrad. A tu zebrani przecież chcieli kogoś pożreć. Przecież Region „Mazowsze” wyraźnie wskazywał, że należy opanować kierownicze stanowiska, wymienić dyrektorów, wszystkich, bo są źli, na dobrych, naszych. Wieczorem sekretarz organizacji partyjnej, Wojciech Kuliński, dopadł telefonicznie petę w domu i mu groził wielkimi konsekwencjami, bo nie było komu przedstawić zebranych stanowiska władz, które postanowiły rozprawić się z Solidarnością, grożąc rozwiązaniem Miastoprojektu dla przykładu i otrzeźwienia innych zakładów pracy.



3.10.1980

*Na wezwanie Krajowej Komisji Porozumiewawczej w całym kraju odbył się powszechny, jednogodzinny strajk ostrzegawczy.*

24.10.1980

*Sąd Wojewódzki w Warszawie wpisał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” do rejestru związków, dokonując przy tym arbitralnie zmian w statucie. Skreśleniu uległy fragmenty dotyczące prawa do strajku, dopisano natomiast stwierdzenie o kierowniczej roli PZPR.*

*Krajowa Komisja Porozumiewawcza ogłosiła protest i złożyła odwołanie do Sądu Najwyższego.*

30.10.1980

*Stanisław Kania i Józef Pińkowski rozmawiali w Moskwie z kierownictwem ZSRR, zaniepokojonym rozwojem sytuacji w Polsce. Wrócili podbudowani, usztywnieni i nadal zaakceptowani.*



*Mówi sekretarka Barbara ze Zjednoczenia, obecnie kierownik wydziału programowania w Miastoprojekcie:*

Weszłam do Zarządu NSZZ „Solidarność” w Miastoprojekcie. Na polecenie Moes’a opracowałam analizę zarobków wszystkich pracowników Miastoprojektu. Dobitnie wykazałam, że nasz dyrektor osiągnął w tym roku najwyższe zarobki w całym Miastoprojekcie, wyprzedził nawet generalnych projektantów o niemal dwieście złotych, a przecież przez dziesięciolecia zarobki dyrektorów biur projektów nie należały do najwyższych. Najwyższe zarobki osiągnęli czołowi projektanci, którzy mieli premię nieograniczoną, stąd bardzo wysoką.

Inne zarzuty, jakie postawiliśmy dyrektorowi, to:

- fakt, że na koszt biura otrzymywał codziennie trzy dzienniki warszawskie,
- fakt, że jeździł z pracy do domu i z domu do pracy służbowym samochodem, którym sam kierował.

*Projektanci Miastoprojektu zarabiali wówczas do osiemnastu tysięcy złotych. Zarobki pety zostały ustalone na czternaście tysięcy złotych.*

*Zeszyty OBS (organ NSZZ „Solidarność” region Mazowsze z listopada 1980 roku) podały, że minimalna płaca w Polsce wynosi 2800 złotych, średnia krajowa 6000 złotych, a maksymalna 15000 złotych.*



15 listopada 1980 roku oddałem do Państwowego Instytutu Wydawniczego:  
Samczy happening  
i ±0.  
Nie zostały przyjęte do druku.



1-2.12.1980

*Obradujące VII plenum KC dokonało dalszych zmian na najwyższych stanowiskach — odeszli z członków Biura Politycznego: Władysław Kruczek, Alojzy Karkoszka, Stanisław Kowalczyk i Andrzej Werblan. Do Biura weszli: Mieczysław Moczar (prezes NIK) i T. Grabski (sekretarz KC). Gierka usunięto z Komitetu Centralnego, a Jaroszewicza wyrzucano z partii.*

5.12.1980

*Polska delegacja partyjno-rządowa przebywała w Moskwie na spotkaniu państw-stron Układu Warszawskiego. Ustalono, że „socjalistyczna Polska, PZPR i naród polski mogą bezwzględnie liczyć na braterską solidarność i poparcie krajów uczestników Układu Warszawskiego”.*

*Wywiad amerykański doniósł o koncentracji osiemnastu dywizji radzieckich nad granicą polską. Uległa rozwiązaniu Centralna Rada Związków Zawodowych.*

*W tych dniach rozpoczął się w Polsce przedziwny proces — walka o wolne soboty prowadzona między władzą a „Solidarnością” — jakby to był najważniejszy problem tych dni.*

23.12.1980

*Minister pracy, płac i spraw socjalnych ustalił, iż w roku 1981 wolnymi od pracy mają być tylko dwie soboty w miesiącu.*

29.12.1980

*Ministerstwo poinformowało, iż w styczniu 1981 będą to trzy soboty.*



Sekretariat Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ "Solidarność" podaje:

#### U C H W A Ł A

Krajowej Komisji Porozumiewawczej

Zgodnie z treścią uprzednio zawartych i obowiązujących obustronnie porozumień postrajkowych wszystkie soboty i niedziele są wolne począwszy od 1.01.1981 r. na następujących zasadach:

- bez zwiększania dotychczasowej dziennej normy czasu pracy,
- bez zmniejszania dotychczasowych zarobków z przyjęciem zasady odpłaty za wolne soboty wyliczanej jak wynagrodzenie za okres urlopu,
- bez zmniejszania wymiaru urlopu.

Ustalenia powyższe dotyczą wszystkich zatrudnionych niezależnie od stosowanych norm czasu pracy i systemów organizacji, z wyłączeniem pracy w systemie cztero-brygadowym oraz ruchu ciągłym, dla których zostaną wprowadzone inne formy pełnej rekompensaty urlopowej i finansowej / zwiększony urlop wypoczynkowy, a wynagrodzenie za pracę tak, jak niedziele i święta/.

Krajowa Komisja Porozumiewawcza  
NSZZ "Solidarność"  
z siedzibą w Gdańsku

Gdańsk 7-I. 1981 r.

Warszawa, dn. 5.I.1981

### O Ś W I A D C Z E N I E

Rząd PRL uznał w Porozumieniu w Jastrzębiu wszystkie soboty, poczynając od 1.01.1981 r. za dni wolne od pracy i w związku z tym NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze uważa, że zawieszenie wprowadzenia wolnych sobót nie jest możliwe bez uprzedniego uzgodnienia z naszym Związkiem.

W związku z powyższym NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze uznaje, że do czasu uregulowania tej sprawy wszystkie soboty są dniami wolnymi od pracy, płatnymi jak za urlop wypoczynkowy.

Pracownikom służby zdrowia, handlu, nauczycielom i innym grupom zawodowym, które nie mogą korzystać z wolnych sobót należy się ekwiwalent jak za dni ustawowo wolne od pracy.

W przypadku, gdy rząd uzna za ważne podjęcie rozmów na ten temat z Komisją Krajową, NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze poprzez taką inicjatywę. Stoimy na stanowisku, że rząd powinien przedstawić całonocny program realizacji pięciodniowego tygodnia pracy przy zachowaniu dotychczasowych dziennych norm czasu pracy i ustawowych świąt, a ponadto określić termin wniesienia do Sejmu projektu odpowiedniej ustawy.

Równocześnie powinny być opracowane i uzgodnione programy rekompensat dla tych grup pracowników i zawodów, które nie mogą korzystać z wolnych sobót.

PREZYDIUM NSZZ SOLIDARNOŚĆ  
REGION MAZOWSZE

Warszawa, dnia 09 stycznia 1981 roku

### Telefonogram

Dyrekcja Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego "Miastoprojekt - Warszawa" zawiadamia, że dzień 10 stycznia 1981 roku jest dniem wolnym od pracy, a poczynając od dnia 12 stycznia 1981 roku Biuro pracować będzie w systemie 5-cio dniowego tygodnia w wymiarze 8,5 godziny dziennie.

#### Otrzymują:

- kierownicy pracowni
- kierownicy działów
- sam. stanowiska pracy

DYREKTOR

*Marian Szkolowski*  
mgr inż. arch. Marian Szkolowski

UCHWAŁA

Tymczasowego Zarządu NSZZ "Solidarność"  
Miastoprojektu-Warszawa  
w sprawie WOLNYCH SOBÓT.

Tymczasowy Zarząd NSZZ "Solidarność" Miastoprojektu -  
Warszawa w pełni popiera Oświadczenia Prezydium NSZZ  
"Solidarność" Regionu-Mazowsza z dnia 5.I.1981 r. oraz  
solidaryzując się z Uchwałą KKP NSZZ "Solidarność" z sie-  
dzibą w Gdańsku z dnia 7.I.1981 r. uznaje, że wszystkie  
soboty a więc i 10.I. 1981 r., do czasu dokonania uzgodnień  
w tej sprawie pomiędzy Rządem PRL a KKP NSZZ "Solidarność"  
są wolne od pracy.

Arbitralna, stanowiąca naruszenie umów społecznych decyzja  
rządu jest kolejną próbą powrotu do starych form administrowania  
społeczeństwem. Istnienie naszego Związku i osiągnięta  
dotychczas zdobycze są wynikiem konsekwentnej i zdecydowanej  
postawy robotników Wybrzeża i całego kraju.

Wzywamy pracowników B.P.B.O. "Miastoprojekt-Warszawa" do  
czynnego poparcia stanowiska NSZZ "Solidarność".  
Od tego poparcia zależy także pozycja Związku na terenie  
Biura.

Dzień jutrzejszy jest dniem wolnym.-

Tymczasowy Zarząd  
NSZZ "Solidarność"  
"Miastoprojektu-Warszawa"

Warszawa, dnia 9.I.1981 r.

Warszawa, dnia 09 stycznia 1981 roku

Telefonogram

Dyrekcja Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa  
Ogólnego "Miastoprojekt - Warszawa" zawiadamia, że  
dzień 10 stycznia 1981 roku jest dniem wolnym od pracy,  
a poczynając od dnia 12 stycznia 1981 roku Biuro pracować  
będzie w systemie 5-cio dniowego tygodnia w wymiarze  
8,5 godziny dziennie.

Otrzymują:

- kierownicy pracowni
- kierownicy działów
- sam. stanowiska pracy

DYREKTOR

mgr inż. arch. Marian Sokołowski

### 3 REWERS

Gdyby wypadało porównać ludzi tych do sportu, przedstawiłby ich jak zdezelowane morderczą jazdą po bezdrożach samochodu na kolejnym etapie. Ale nie wypadało porównać, nie był to sport.

Gdyby wypadało porównać ludzi tych do wojny, przedstawiłby ich jak żołnierzy wracających z wojny, często o kulach, gorzej gdy z protezą w sercu; najgorzej gdy byli to ci, których wojna przygięła i wdeptała tam, gdzie ich zastała. Ale nie wypadało nawet tak upraszczać, nie był to koniec wojny.

Byli to ludzie z piętnem życia, pokaleczeni, powykrzywiani, o różnicach piętna wynikających z różnicy czasu jaki już im wypadło przeżyć, może z różnicy losu, który już wielu zaaplikował kamienie milowe życia.

Lecz oni to przy pierwszej rosie nadziei ożyli, stali się czyści i godni Ojczyzny.

Ci ludzie chwycili iskrę Solidarności, jednoczyli się w każdym dniu, pragnęli żelazem walki wypalić całe zło.

Tacy ludzie zebrali się któregoś dnia jesieni roku 1980 w żoliborskim kinie „Wisła” i organizowali swą „Solidarność”.

A on siedział wraz z nimi, choć po przeciwnej stronie pozornie, osamotniony swymi myślami. Cieszył się, że wreszcie, choć tak inaczej, niż się spodziewał. Słał im myślami najlepsze życzenia; uporu, zaciętości życzył. Nie mówił nic, bo czyż ośmieliłby się dodać coś do myśli płynących z brzmiającej właśnie sejmowej mowy Gustawa Holoubka.

Więc to kolejne kamienie przez Boga rzucane na szaniec...



#### *azyle pety*

#### **cenzura pety**

BB opowiada o intymnym życiu pety:

**BB** — ...przecież peta nosił w sobie piekło, a właściwie trzy piekła. Tłamsił w sobie rozpad swojego małżeństwa. Usiłował pogodzić w sobie własne harcerskie ideały i prawa, z tym dnem, w które ciągnęła kraj partia i na dodatek usiłował na swój sposób ułatwiać działania oraz dyskretnie ochraniać rodzące się nowe, do którego zmierzała Solidarność.

Przecież tego wszystkiego nie dało się pogodzić, a w konsekwencji intencje pety stawały się albo nieprawdopodobne, albo nieczytelne i zagmatwane, albo zbyt idealne żeby były prawdziwe.

Można było oszaleć od tego wszystkiego, w czym przyszło żyć pecie, ale i nam. Na szczęście wytworzył dla siebie azyle, dostatecznie skuteczne...

Takim azylem byliśmy my — ja i mnie podobne panie, bo czytałyśmy w nim bez trudu, był zachwycający tą swoją mentalnością, jakąś nieprawdopodobną wręcz rycerskością i szlachetnością, przyciągał nas tym swoim spokojem wewnętrznym, dawał mnie i nie tylko mnie, jakiś sens i zacisze, którego strzegłyśmy jak kapłanki — strzegłyśmy dla siebie i dla niego.

Innym azylem było pisanie pety. Tworzył te swoje książki, pisał nieledwie na naszych piersiach, brzuchach — zapominał o bożym świecie. Odnowiony, wracał do codzienności, ale miał już jakiś dystans do wydarzeń dnia. To jego pisanie musi być coś warte, przecież pisał własną krwią... Wierzyłam, że ktoś je zrozumie, odczyta, że zacnie być czytane przez wielu... Nadal w to wierzę...

Tych dwóch musiało być mało na wewnętrzne potrzeby pety, gdyż stworzył sobie jeszcze trzeci azyl — była nim praca, fizyczna praca, przy budowie własnego domku rekreacyjnego.

Gdzieś w roku 1976, w roku naszego poznania, kupił małą działkę w lasku nad Zalewem Zegrzyńskim. Załatwiał liczne formalności w urzędach, przydziały na materiały budowlane

ne, grodził, przecinał swój lasek i pielęgnował jak stuletnie dęby, cieszył się trzema mrowiskami, słowikami, grzybami...

Projektował ten dach dwuspadowy o nierównych spadkach, dach przytkany z dwóch stron drewnianymi ścianami z oknami, wytyczał i betonował fundamenty. Z ojcem zbudowali drewnianą konstrukcję budynku. Tu ojciec zaskoczył petę przemysłowymi szablonami i narzędziami, bez których ojciec nie potrafił budować. Pouczał petę, że choćby ci przyszło żyć jeszcze jeden dzień tylko, musisz postępować tak, jakby całe długie życie było przed tobą. — Lub pouczał: — Ty musisz żyć, bo ja ci twoich dzieci nie zdołam odchowić.

Widocznie potrzebne były pecie takie pouczenia. W czasie bezsennych nocy spędzanych w samochodzie, leżąc na materacach turystycznych, spowiadali się sobie wzajemnie, wreszcie poznawali się. Potem o świcie, gdy znów weszli na swój strop, z zachwytem podziwiali zaroszone chusteczki pajęczyn rozwieszone obficie na choinkach i połyskujące w tych pierwszych promieniach słonecznych milionami brylantów.

Ojciec musiał wyjechać, więc na dokończenie dachu peta został sam, ale sąsiad Gębicki przyszedł i pomógł pecie wciągnąć ostatnie płyty falistego eternitu na dach.

Przychodzili ciekawscy, ciekawscy z urzędu. Był dyrektor zjednoczenia, oglądał bez słowa, zamurowany. Wreszcie wyrzekł jedynie: — Ale prymityw.

Był i zastępca kierownika Wydziału Budownictwa Komitetu Warszawskiego PZPR, wszedł do środka między ten azur drewnianych słupków i beleczek, rozejrzał się, skonstatował: — Ale to wielkie. — Prawda, miało siedem na siedem metrów przyszłą powierzchnię, miało nawet maleńki stryszek. Jednak usłyszane: — Ale to wielkie! — było dla pety wyrokiem.

Peta budował latami i nigdy nie dokończył swej budowy, nie miał z czego, nie miał za co, nie miał z kim, a spróbujcie w jedną osobę przybić deskę do sufitu, a on to musiał umieć. Pomachał ojcową siekierką, która mu służyła za szereg narzędzi i zasypiał gdzieś w kącie na kilka godzin — zasypiał zdrowym, ożywczym snem. Zasypiał ze mną, z innymi zapewne... czasem z kotami, które ulubiły sobie jego domek... Dla mnie i dla innych budował przecież... Był to domek szczęścia.



3 listopada 1980 roku zarząd Solidarności Miastoprojektu przedstawił mi postulaty dotyczące zarządzenia nr 38 Ministra Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych, ale już nie pamiętam, o co chodziło.

Podobnie odbyło się spotkanie w dniu 11 listopada 1980 roku.



*A peta nadal żył swoimi książkami...*

13 listop. 1980  
PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY  
Warszawa, ul. Foksal 17  
L. dz. R-20-13/80  
Szanowny Panie,

w odpowiedzi na pismo Pana skierowane do dyr. A. Wasilewskiego uprzejmie komunikuję, że chętnie zapoznamy się z napisanymi przez Pana książkami.

Z poważaniem  
Kierownik Redakcji  
Polskiej Literatury Współczesnej  
/Krystyna Milewska/





*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— W dniu 12 stycznia 1981 roku o godzinie 14<sup>00</sup> odbyło się zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej Miastoprojektu.

Przewodniczył nowo wybrany pierwszy sekretarz POP — Michałowski. Zasadniczym punktem obrad była informacja dyrektora o sytuacji ekonomicznej biura. Była to odpowiedź na zarzut z poprzedniego zebrania o niskich zarobkach projektantów w Miastoprojekcie, w czym POP solidaryzowała się z postulatami „Solidarności”.

Dyrektor oparł się na dwóch analizach opracowanych przez Ministerstwo. Według analizy z roku 1977 zarobki w Zakładach Projektowania, z których został utworzony Miastoprojekt, plasowały te Zakłady na przedostatnim miejscu w kraju wśród Miastoprojektów. Natomiast według analizy za pierwsze półrocze 1980 roku zarobki projektantów Miastoprojektu — Warszawa wysunęły się na pierwsze miejsce w kraju, wysunęły się przed inne Miastoprojekty.

Zebrani ze zdziwieniem wysłuchali relacji, ale nikt nie przeprosił pety za niesłuszne zarzuty.



13.01.1981

*Stanisław Kania, Józef Pińkowski i Wojciech Jaruzelski spotkali się z naczelnym dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw – Stron Układu Warszawskiego marszałkiem ZSRR Wiktorem Kulikowem i szefem sztabu generalnego Gribkowem [Anatolij].*

Warszawa, dnia 14 stycznia 1981 roku.

Marian Sokołowski  
dyrektor BPBBO  
Miastoprojekt-Warszawa

Generalny Dyrektor  
Zjednoczenia Budownictwa "Warszawa"  
Ob. mgr inż. Andrzej Skrzypiec

Warszawa

W dniu 8 bm. polecił mi Obywatel Generalny Dyrektor, abym w dniu 9 bm. do godziny 14,00 podjął próbę uzgodnienia ze Związkami Zawodowymi Miastoprojektu jedną z dwu zasad wprowadzenia wolnych sobót, to jest:

- co druga wolna sobota i wtedy osmiogodzinny dzień pracy, lub
- każda wolna sobota i wtedy załoga ma pracować osiem i pół godziny dziennie.

Inne podejścia dyrekcji i załogi zostały uznane za niedopuszczalne. W przypadku nie uzgodnienia żadnej z alternatyw ze Związkami Zawodowymi miałem polecenie, abym w tym samym terminie, to jest do godziny czternastej, podjął sam decyzję, w której z dwu jedynie dopuszczalnych alternatyw Biuro kierowane przeze mnie będzie pracować.

Przy przyjęciu systemu co drugiej wolnej soboty, sobota 10 bm. miała być dniem pracy, natomiast w wypadku przyjęcia systemu wszystkich wolnych sobót, sobota 10 bm. miała być dniem wolnym od pracy, ale począwszy od 12 bm. załoga miała być zobowiązana do pracy osiem i pół godziny dziennie.

Zgodnie z poleceniem przeprowadziłem w dniu 9 bm. uzgodnienia z Przewodniczącym Tymczasowego Zarządu NSZZ "Solidarność" w Miastoprojekcie w przedmiocie przyjęcia jednej z dwu omówionych alternatyw. Wynik uzgodnień był negatywny. Związek Zawodowy stanął na jednoznacznym stanowisku wszystkich wolnych sobót i osmiogodzinnego dnia pracy.

W tej sytuacji zgodnie z poleceniem podjąłem i ogłosiłem decyzję, że załoga Miastoprojektu pracuje w systemie wszystkich wolnych sobót oraz osiem i pół godziny dziennie.

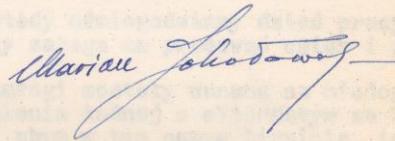
Związek "Solidarność" oficjalnie sprzeciwił się mojej decyzji stwierdzając:

"Decyzja ta jest negowaniem osiągnięć uzyskanych w kilkudziesięcioletniej walce pracowników z pracodawcami w uprzemysłowionych państwach świata. Tymczasowy Zarząd NSZZ "Solidarność" w niewiązaniu do powyższego oświadcza, że konsekwentnie podtrzymuje swoje stanowisko zawarte w uchwale z dnia 9.01.1981r. w sprawie wolnych sobót do czasu jednoznacznego uzgodnienia w tej sprawie z rządem PRL a KKP NSZZ "Solidarność". Pracujemy więc 5 dni w tygodniu w wymiarze 8 godzin dziennie."

Powyższe stanowisko zostało poprzedzone zebraniem załogi, na których załoga potwierdziła swoją wolę.

W nieuchronnej konsekwencji tych faktów znalazłem się w sytuacji, że w której dla wyegzekwowania ośmiu i pół godzin pracy dziennie musiałbym sam jeden stanąć przeciwko całej załodze, której kierownictwo zostało mi powierzone.  
Już w samym fakcie takiej szczególnej konfrontacji dyrektora z załogą istnieje dla mnie jako członka PZPR wielka nauka.  
Uznaję, że nie wolno mi stanąć po innej stronie niż moja załoga i nigdy tego bym nie uczynił.

W tej sytuacji składam rezygnację z zajmowanego stanowiska dyrektora Biura Projektowo - Badawczego Budownictwa Ogólnego "Miastoprojekt - Warszawa".



*Na tym podaniu pety jest adnotacja zastępcy dyrektora Zjednoczenia z 19 stycznia 1981 roku, że nie przyjmuje się rezygnacji pety z zajmowanego stanowiska dyrektora Miastoprojektu. Ale już 20 stycznia peta otrzymał w Zjednoczeniu kolejne dyrektywy ostro przeciwstawiające się Solidarności w sprawie wolnych sobót.*



*W archiwum SARP znalazłem dokumenty stwierdzające, że peta był delegatem i brał udział w nadzwyczajnym walnym zjeździe SARP, który miał miejsce we Wrocławiu w dniach 24 i 25 stycznia 1981 roku.*



*Niżej opisane wydarzenie miało miejsce w dniu 27 stycznia 1981 roku.*

## 2 REWERS

Nomenklatura. Mnie namówił do pracy w Komitecie Heniek Sterna, z którym przez kilka lat mieszkaliśmy w akademiku, bywało że na tym samym piętrze.

Ja zapytany o kandydata do pracy w Komitecie, wskazałem bardzo pracowitego Janusza Barcza ze Zjednoczenia — awansował szybko.

W parę lat później przyszedł z zetemesu (Związek Młodzieży Socjalistycznej) Wojtek Nowicki.

Najpóźniej przyszedł Leszek Bosek, prosto po studiach na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej, zabiedzony, nawet łóżeczko po mojej córce dałem, bo jego małe dziecko nie miało na czym spać.

Był rok 1981 — narastająca konfrontacja. Ja — dyrektor biura projektów. Janusz Barcz — sekretarz KW. Wojtek Nowicki — wicedyrektor zjednoczenia. Leszek Bosek — już kierownik wydziału w KW.

Solidarność wbrew rządowi ogłosiła wolne soboty. Był styczeń. Dostałem któregoś dnia telex od Wojtka, że należy potrącać wynagrodzenie za nieprzychodzenie do pracy w soboty. Ale

że telex był skierowany do wszystkich podległych przedsiębiorstw, nie przywiązywałem do niego wagi — przecież nasze biuro projektów działa na innych zasadach niż reszta. A ponadto parę dni wcześniej na naradzie w zjednoczeniu ustalono, że każdy dyrektor może dogadać się dowolnie z Solidarnością na temat wolnych sobót. I ja już dogadałem się, że będziemy mieli wolne soboty.

W parę dni później kolega poinformował mnie, że Janusz Barcz na sesji Rady Narodowej grzmiał, że „rozwiążemy kilka rozrabiających biur projektów, to gdy pięć tysięcy projektantów znajdzie się bez pracy na ulicy, to i robotnicy zobaczą, że nie żartujemy”.

Byłem na okresowej rozmowie u Wojtka Nowickiego i informowałem go o kolejnych problemach biura. Doszedłem do tego telexu i poinformowałem go, że dziś wypłacamy pensję bez jakichkolwiek potrąceń.

Wojtek z pietyzmem oświadczył, że od tej chwili moja sytuacja się diametralnie zmieniła. Przystając na bycie dyrektorem, oni wysyłają natychmiast komisję do biura, która przerwie wypłaty i przejmie komisaryczny zarząd nad biurem.

Próbowałem jeszcze tłumaczyć, że my mamy ruchomy czas pracy i dopiero za parę dni, w ostatnim dniu miesiąca będzie wiadomo, kto nie przepracował obowiązującego limitu czasu pracy. A przecież projektanci są na akordzie i żeby zarobić, od lat pracują grubo ponad osiem godzin dziennie.

Nie pomogło również przypomnienie, że przecież dyrektor zjednoczenia upoważnił dyrektorów do dogadania się indywidualnego z Solidarnością na temat wolnych sobót.

Wojtek uświadomił mi, że ostateczną decyzję w mojej sprawie podejmie dyrektor zjednoczenia, który za chwilę przyjdzie. Dalej rozmawialiśmy już tylko o pogodzie. Po chwili sekretarka zawiadomiła, że dyrektor już jest i Wojtek poszedł do niego.

Gdy mnie z kolei poproszono, dyrektor zjednoczenia potwierdził moje odwołanie i przypomniał, że czekają mnie ponadto konsekwencje partyjne. W tym celu kazał się łączyć z kawu.

W oczekiwaniu na połączenie zapytał mnie, co będę teraz chciał robić. Powiedziałem, że właśnie mamy wolne miejsce kierownika pracowni i może bym tam poszedł. Dyrektor zjednoczenia zapytał, czy na tym stanowisku jest dodatek funkcyjny. Potwierdziłem. Dyrektor zjednoczenia oświadczył mi, że żadne stanowisko, gdzie jest dodatek funkcyjny, nie wchodzi w rachubę. Podziękowałem za informację, bo już się teraz nie wyrwę z taką prośbą.

Połączenia z Komitetem jednak nie było, a my już nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. Dyrektor zjednoczenia polecił mi, abym udał się do siebie i czekał na dalsze polecenia.

Gdy przyjechałem do pracy, już tam czekała wiadomość, że natychmiast mam jechać do kawu. Powiedziałem więc tylko głównemu księgowemu, żeby wszystko na mnie zwalili, bo mnie już nic nie obroni, i pojechałem.

U Leszka Boska w gabinecie siedział Wojtek z dyrektorem zjednoczenia. Milczeli, wszystko mieli już omówione.

Tu dialog był tylko między mną i Leszkiem, który zapytał:

— Nie zastosujesz się do poleceń?

— Zrozum, nie mogę stanąć po innej stronie niż załoga.

— I co ty teraz będziesz robił?

— Uprzedzono mnie, że nie dostanę pracy, więc mam zawodowe prawo jazdy, to jako kierowca spróbuję, a jak i tu mi nie dacie, to wiedz, że zupełnie dobrze piszę na maszynie, a tu już wyżyję.

— Ja, kurwa, mam zakuty łeb, ja tego nie rozumiem!

— Ja ci to kiedyś wytłumaczę.

— Myślisz, że znajdziesz z nimi jakiś kontakt? Kretynie, ty już jesteś popiół, próchno — i dla nich, i dla nas. To polecenie partyjne!

— Ja tego ognia nie podłożę.

— To wiedz, kurwa, że tak ci damy w dupę, że żyć ci się odechce, dzieci popamiętają! Tylko ty wiedział będziesz, kiedy i za co bierzesz baty. Nikt się za tobą nie ujmie — tak to urządzimy!

Myślałem już tylko: ...i czemu? Przecież nasze dzieci na jednym łóżku się wychowały...



*Peta przestał być dyrektorem Miastoprojektu, ale nadal nim był — szukano kogoś na jego miejsce.*

*Ps. Leszek wyraził się: „Ja mam zakuty łeb”. Było to zawołanie powszechnie i właściwie z dumą wypowiedziane przez działaczy partyjnych o poglądach radykalnych, dążących do zbrojnej konfrontacji w Polsce. Naród zwał ich najpierw twardogłowi, a potem „beton”.*



*Mówi sekretarka dyrektora Miastoprojektu:*

Prowadziłam terminarz pety. Zrobiłam kiedyś podsumowanie jednego roku 1980:

Na kierowanie działalnością Miastoprojektu i koordynacją prac Biura poprzez spotkania z zastępcami, kierownikami administracji, kolegia biura, wizytacje pięciu oddziałów — peta poświęcił około 250 spotkań, było to dużo, ale przecież Miastoprojekt zatrudniał niemal tysiąc pracowników.

Peta musiał bywać u swych zwierzchników — dyrektorów Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” i na cyklicznych kolegiach Zjednoczenia. Było to 59 spotkań.

Miastoprojekt prowadził kompleksową koordynację warszawskich biur projektów — stanowiło to 30 spotkań.

Był do dyspozycji Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa, uczestniczył w 8 Konferencjach Samorządu Robotniczego, w 30 posiedzeniach Rady Zakładowej.

Potem powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” — peta odbył z biurową Solidarnością 25 spotkań na przestrzeni czterech miesięcy.

Miał 9 spotkań z sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, był na 10 zebraniach POP, był „zapraszany” 11 razy na Egzekutywę, ale był też wzywany 17 razy do Komitetu Dzielnicowego i 10 razy do Komitetu Warszawskiego.

Był zaproszony na 5 zebrań Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej działającego w Biurze.

Był wzywany 21 razy do Ministerstwa Budownictwa, a nawet 3 razy do Urzędu Rady Ministrów i po 2 razy do Ministerstwa Sprawiedliwości i do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego.

Spotykał się z SARP i PZITB, brał udział w Radach Technicznych, szkoleniach partyjnych i administracyjnych, w czynach społecznych, zebraniach załogi, uroczystościach, bywał w innych warszawskich biurach projektów.

Uczestniczył w ogólnopolskich konferencjach Miastoprojektów: w Opolu — 3 dni, w Olsztynie — 3 dni i w Krakowie — 4 dni.

W sumie było to około 600 spotkań w ciągu roku 1980 — wszystko to stanowiło dla pety bardzo duże obciążenie.



*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

W dniu 4 lutego 1981 roku przybył do pety I-szy Zastępca Naczelnego Dyrektora Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” — Dyrektor ds. Przygotowania Produkcji — mgr inż. Janusz Anuszewski.

Z wcześniejszych rozpoznania wynika, że odwołany ze stanowiska wiceministra budownictwa i przeniesiony do Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” — Janusz Anuszewski — przejął poufną wiadomość z ministerstwa, że planuje się likwidację zjednoczeń w Polsce.

Po krótkiej rozmowie w cztery oczy Anuszewski zapytał petę o jego zarobki w Miastoprojekcie. Policzyli dokładnie wszystkie składniki pensji, Anuszewski porobił notatki i stwierdził: — To więcej, niż ja mam w Zjednoczeniu.

Peta zorientował się, że Anuszewski przyjdzie na jego miejsce i zapytał Anuszewskiego wprost, czy nie pomógłby mu wyjechać za granicę gdzieś do pracy. Anuszewski wyraźnie się ucieszył, że może tak bezkonfliktowo przejąć stanowisko i obiecał pecie umieszczenie go na kontrakcie w Algierii poprzez Centralny Ośrodek Badawczo–Projektowy Budownictwa Ogólnego.



9 luty 1981  
PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY  
Warszawa, ul. Foksal 17  
L. dz. R-20-13/81  
Szanowny Panie,

w związku z nadesłanymi przez Pana maszynopisami zawiadamiam uprzejmie, że po zapoznaniu się z „±0” kolegium wydawnictwa nie zdecydowało się na przyjęcie tego utworu. Jeśli chodzi o „Samczy happening”, to nadal podtrzymujemy naszą odmowną decyzję.

Zwracając oba maszynopisy łączę wyrazy poważania  
Kierownik Redakcji  
Polskiej Literatury Współczesnej  
/Krystyna Milewska/



11.02.1981

*Generał Wojciech Jaruzelski został powołany na stanowisko prezesa Rady Ministrów. W swoim sejmowym przemówieniu zaapelował o powstrzymanie się od strajków, „o trzy pracowite miesiące, o dziewięćdziesiąt spokojnych dni”. Mieczysław Rakowski został wicepremierem.*



Warszawa, dnia 16 lutego 1981r.  
Redaktor Naczelny Wydawnictwa „Śląsk”  
Ob. Mariusz Morga  
Katowice

W nawiązaniu do przeprowadzonej rozmowy telefonicznej pozwalam sobie na przesłanie Panu w załączeniu mojej książki pod tytułem „±0” opisującej w swej znacznej części wspomnienia osnute na tle spraw śląskich z lat 1923 do 1958. Przy czym nie wspomnienia były w zamyśle moim pierwszoplanową sprawą książki, lecz raczej specyficzne kształtowanie się osobowości jednego człowieka. Sam tytuł chciałem rozumieć dwuznacznie — zero, nic, ale i punkt odniesienia, jak w geometrii analitycznej. Marzy mi się napisanie serii książek samodzielnych, ale uzupełniających się pokazywaniem kolejnych aspektów tego samego kształtowania osobowości i stąd łączący je, będzie poniekąd sarkastyczny tytuł całej serii — „peta”.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moja książka mogła ukazać się na Śląsku, z którym tyle mnie wiąże. Wszystko to jednak proszę przyjąć jako nieistotne i niech książka sama się broni.

Łączę wyrazy szacunku





## Wywiad z Panią XX

red.:

— ...i co dalej?

XX:

— Był rok 1981. Już wolno było trochę dorobić. Ale trzeba było unikać podatków. Z mężem wymyśliłiśmy taką działalność: Daliśmy ogłoszenie do „Życia Warszawy”, że metodą przyspieszoną nauczamy języka francuskiego. Podaliśmy adres kontaktowy. Zgłosiła się tylko jedna osoba — znana aktorka Krystyna Janda. Zanosilo się, że pomysł upadnie, zwłaszcza że KJ zażądała, aby nauczać ją w niewielkiej grupie osób. Nie przyznaliśmy się, że jest jedyną kandydatką. Jak na nasze życzenie w kilka dni później zgłosił się pan chcący się uczyć francuskiego, okazało się później, że był to peta. Mąż z rozbawieniem zaznaczył pecie, że będzie się uczył w dwie osoby z KJ, a gdy peta w ogóle nie zareagował na taką bombę, mąż nie chciał uwierzyć, że istnieje ktoś, kto nie kojarzy tego nazwiska.

Wynajęliśmy następnie pokój na Żoliborzu, płacąc od godziny i tam prowadziliśmy swoje lekcje. Chodziło o to, aby urząd skarbowy nie trafił za nami.

Na pierwszą lekcję peta przyszedł punktualnie, KJ się spóźniła, więc zapytałam go tymczasem, dla sprawdzenia jego wiedzy:

— Comment appelez vous, monsieur?

— Mon nom est ... — zaczął odpowiadać peta. Byłam zszokowana, ratowałam się:

— Czy pan się uczył angielskiego? Bo to jest angielska konstrukcja — My name is... — Francuz nigdy tak nie powie, dla Francuza tylko forma: — Je m'appelle...

W tym momencie przyszła KJ. Była w jakimś starym, burym swetrze, bez makijażu, niemal nieuczesa — znów grała, tym razem szarą mysz — grała na rzecz pety, którego pierwszy raz w życiu widziała, i też chciała go zszokować swoim wyglądem. Było to beznadziejne, bo po pecie sphywało to jak woda po kacze, nie rozpoznawał jej i już.

KJ najwyraźniej przemyślała sprawę i zaczęła jej ta sytuacja odpowiadać — mogła przecieć w tym gronie, a właściwie wobec pety być po prostu kobietą. Na kolejne lekcje przychodziła już schludnie ubrana, również jak peta nie spóźniła się. Tylko raz na lekcji wyjęła z torebki dwa cieniutkie skręty owinięte w liście i przewiązane trawką, paliła je z całym zaparciem, ale otworzyłam okno, gdy zorientowałam się, że to peta pierwszy popłynął w nieznaną od tego dymu.

Lekcje były komiczne. Przyznać muszę, że przestałam panować nad dwójkiem tych ludzi. Coś im tam zadawałam, ale oni wpadali w dyskurs, na który im pozwalałam, bardzo ciekawa, co z tego wyniknie. Mieli bardzo nędzny zasób słów francuskich, najwyraźniej nie uczyli się zbyt wielu nowych słówek w domu, ale za to mieli bardzo dużo do powiedzenia, a zwłaszcza mieli dużą intuicję do fantazjowania i improwizowania. Rozumieli się, chwyтали gwałtowne zwroty narracji partnera wynikające z braku słów i konwersacja brnęła dalej. Nie przejmowali się, że wygadują bzdury, że kpią z rzeczywistości... jakby byli sobą wreszcie.

Gdy po lekcji wychodziliśmy do samochodów, peta zawsze z hołdem w oczach spoglądał za KJ, a ta nigdy nie miała wątpliwości, że należy się obejrzeć — i przyjmowała ten zew oczu z zadowoleniem.

Kurs zbliżał się do końca. Konwersacja stawiała się coraz bardziej prawdziwymi opowieściami, przechodzili na język polski. KJ opowiadała, jak wzywano ją do ube, jak pokazywano jej zdjęcia z różnych sytuacji z jej życia, nawet fotografowano ją w kościele świętego Aleksandra na Placu Trzech Krzyży. Opowiadała, jak ją nagabywano, aby opuściła Polskę, oferowano paszport — wszak była tą pyską dziennikarką z „Człowieka z żelaza”. Stąd nauka francuskiego...

Na ostatnią lekcję peta przyniósł maszynopis pierwszej swojej książki, tłumaczył, że postanowił uciekać z Kraju. Uciekać, bo jemu nikt nie zamierzał oferować opuszczenia Kraju na stałe... Błagał panią Krystynę, aby ten maszynopis przekazała do drugiego obiegu, aby choć tyle po nim zostało. KJ wzięła maszynopis, przyrzekła przekazać, ale nigdy później nie natrafiłam nań wśród książek drugiego obiegu w Polsce.

Nigdy też później nie spotkałam pety...



*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— W dniu 16 lutego 1981 roku o godzinie 8<sup>00</sup> pety przybył wezwany do Zdzisława Kostrzewy — dyrektora Centralnego Ośrodka Badawczo–Projektowego Budownictwa Ogólnego na ulicy Wierzbowej 9/11. Kostrzewa oświadczył pecie, że może go wysłać na kontrakt do pracy w Algierii. Gdy peta podziękował, Kostrzewa przekazał go doktorowi Tytusowi Korbińskiemu dla omówienia szczegółów.

Korbiński zakomunikował pecie, że umieści go jako kierownika grupy projektantów w Skikdzie. Zachwalał, że Skikda leży nad samym Morzem Śródziemnym, że dostanie swój domek położony kilkadziesiąt metrów od morza, że dostanie dodatek kierowniczy. Jednak peta oświadczył, że nigdy więcej w życiu nie chce kimkolwiek kierować i że nie przyjmuje tej propozycji. Korbiński był wyraźnie niezadowolony, stwierdzał, że trudno mu będzie znaleźć inną propozycję, a tu dyrektor Anuszewski zobowiązał go, aby niezwłocznie wysłał petę za granicę.



23.02.1981

*W Moskwie rozpoczął obrady XXVI Zjazd KPZR. Z referatu sekretarza generalnego KPZR Leonida Breżniewa:*

„Tam (...) gdzie do dywersyjnej działalności imperializmu dołączają się błędy i pomyłki w polityce wewnętrznej, powstaje grunt dla aktywizacji elementów wrogich socjalizmowi. Tak stało się w bratniej Polsce, gdzie przeciwnicy socjalizmu, przy poparciu sił z zewnątrz, wywołując anarchię, dążą do odwrócenia rozwoju wydarzeń i skierowania go w nurt kontrrewolucyjny. Jak podkreślono na ostatnim plenum KC PZPR, w Polsce powstało zagrożenie podstaw państwa socjalistycznego. (...) Komuniści polscy, polska klasa robotnicza, ludzie pracy tego kraju mogą absolutnie polegać na swoich przyjaciółach i sojusznikach; socjalistycznej Polski, bratniej Polski nie opuścimy w biedzie i nie damy jej skrzywdzić!”

*W Moskwie polska delegacja partyjno-rządowa spotkała się z kierownictwem ZSRR. Z komunikatu:*

„Wyrażono przekonanie, że polscy komuniści mają możliwości i siły, by odwrócić bieg wydarzeń, zlikwidować niebezpieczeństwa, jakie zawisły nad socjalistycznymi zdobyczami narodu polskiego”.



*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— W dniu 6 marca 1981 roku o godzinie 11<sup>20</sup> był u pety przewodniczący ZSMP — Andrzej Batylda. W rozmowie Batylda informował petę poufnie, że już niedługo rozprawią się z Solidarnością, że będzie ogłoszony stan wojenny w Polsce. Następnie Batylda zapytał, czy peta wie, kto podczas stanu wojennego zajmie stanowisko dyrektora w biurze, ale peta oświadczył, że nie chce wiedzieć. Wtedy Batylda powiedział pecie, że peta będzie internowany podczas stanu wojennego. Prosił tylko, aby peta zachował te informacje w tajemnicy.



10.03.1981

*Premier Wojciech Jaruzelski spotkał się z Lechem Wałęsą. W rozmowach uczestniczyli także Marian Jurczyk oraz Mieczysław Rakowski i Stanisław Ciosek.*

16.03.1981

*Rozpoczęły się manewry wojsk Układu Warszawskiego „Sojuz 81”.*

17.03.1981

*Wojciech Jaruzelski i Stanisław Kania spotkali się z marszałkiem ZSRR Wiktorem Kulikowem.*





Wydawnictwo Śląsk  
Katowice, ul. Armii Czerwonej 51  
Nasz znak: RS/792?81  
Katowice, dnia 24.III.1981 r.  
Wielce Szanowny Panie!

Odsyłając maszynopis wspomnień zatytułowanych „±0”, uprzejmie informuję, że Wydawnictwo nie jest zainteresowane ich opublikowaniem. Po prostu — są one nieciekawe i nie można liczyć na to, by znalazły czytelników.

Z poważaniem  
Kierownik Redakcji  
Literatury Społeczno-Naukowej  
mgr Mariusz Morga

*Czyż potrzebny komentarz?*



*Fragment meldunku konfidenta znaleziony w teczce pety w aktach MSW:*

— W dniu 26 marca 1981 roku o godzinie 14<sup>00</sup> odbyło się szkolenie partyjne w Miastoprojekcie, szkolenie prowadził docent Lewandowicz, mówił o sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce. Poglądy, jakie wygłaszał, były bardzo śmiałe, ale zgodne ze znanymi mi wytycznymi partii w tej sprawie.

W dniu 27 marca 1981 roku odbył się w Miastoprojekcie strajk w godzinach od 8 do 12. Strajk ten wynikał z poleceń Regionu „Mazowsze”. Budynek Miastoprojektu został oflagowany, przed budynkiem stała warta Solidarności z biało-czerwonymi opaskami. Peta wchodząc rano do pracy podał rękę obu wartownikom Solidarności. O godzinie jedenastej miało odbyć się kolegium dyrektorskie u pety. Na to kolegium wszedł bez zaproszenia przewodniczący Solidarności w Miastoprojekcie — Moes, aby dopilnować, by dyrektorzy też nic nie robili. Jednak gdy wszedł do pety, dyrektorzy Miastoprojektu opowiadali sobie dowcipy i tak było do końca strajku.



27 marca 1981 roku strajk w Miastoprojekcie.



1.04.1981

*Rząd podjął decyzję o wprowadzeniu kartek na mięso.*

7.04.1981

*Zakończyły się manewry „Sojuz 81”.*



*A peta knuł swą emigrację:*

Warszawa, dnia 10 kwietnia 1981 r.  
Centralny Ośrodek Badawczo – Projektowy Budownictwa Ogólnego  
Warszawa  
P O D A N I E

W nawiązaniu do przeprowadzonych rozmów zwracam się z prośbą o skierowanie mnie do pracy w Algierii w charakterze eksperta projektowania budownictwa mieszkaniowego.

W załączeniu przekazuję komplet wymaganych dokumentów.

20.04.1981

*Rząd PRL podjął decyzję o wprowadzeniu kartek na masło, mąkę, ryż i kaszę.*

*Od 1 września 1980 roku do 22 kwietnia 1981 roku odwołano 26 pierwszych sekretarzy KW, 72 sekretarzy resortowych tych komitetów, 7 kierowników i 8 zastępców kierowników wydziałów KC, 13 ministrów i 40 wiceministrów, 18 wojewodów, 26 wicewojewodów, 15 komendantów wojewódzkich milicji i 11 zastępców.*



WARSZAWA, 00-054 UL. JASNA 22

**Zjednoczenie Budownictwa**

**WARSZAWA**

TELEFON CENTRALI 26-44-71

TELEX 813760

IDENTYFIKATOR 0060232

WARSZAWA, DNIA 21.IV. 1981 r.

Znak : EK-243/Proj/145/78/81

O p i n i a

Obywatel mgr inż.arch.Marian SOKOŁOWSKI s.Stanisława,ur.  
29.7.1933 r.,pracuje w organizacji Zjednoczenia Budownictwa "WARSZAWA"  
od dnia 1 lutego 1978 roku, pełniąc następujące funkcje :

od 1.II.1978 r. do 30.VI.1978 r. - przewodniczący komisji organizacyjnej dla utworzenia przedsiębiorstwa projektowania,

od 1.VII.1978 r. - dyrektor Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego "Miastoprojekt - Warszawa".

Ob.mgr inż.arch.M. Sokołowski na zajmowanym stanowisku wykazał się praktyczną znajomością zagadnień projektowania,jak i wykonawstwa budowlanego nabytą w okresie zatrudnienia w budownictwie.

Wniósł duży wkład pracy w organizację wyżej wymienionego Biura,obsługującego zgrupowane w Zjednoczeniu kombinaty i przedsiębiorstwa. Kierowane przez Niego Przedsiębiorstwo systematycznie wywiązuje się z zadań, co jest także zasługą Ob.M.Sokołowskiego.

Pracownik o dużym poczuciu odpowiedzialności,sumienny i rozważny w działaniu,posiadający dobre przygotowanie teoretyczne do pełnionej funkcji.

Odnaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi,Medalem XXX-lecia Polski Ludowej,Srebrną odznaką Zasłużony dla Bud. i PMB oraz Srebrną odznaką Za Zasługi dla Warszawy.

Od opinii powyższej służy prawo odwołania się w trybie i na zasadach określonych w § 7 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 20.XI. 1974 r. /Dz.U. Nr 45, poz.269 /.

Powyższą opinię uzgodniono z POP "Miastoprojekt-Warszawa".

I-szy Sekretarz POP

Mgr inż. K. Michałowski

I-szy Zastępca Naczelnego Dyrektora  
Dyrektor ds Przygotowania Produkcji

mgr inż. Janusz Anuszczyński

*Peta jednak z żalem czekał na odwołanie go ze stanowiska dyrektora.*

## 5 REWERS

Był chory, w domu, a czekał na tę złą wieść. Wiedział, że telefon zadzwoni i zostanie powiadomiony o tym, co już dla wszystkich było wiadome.

Więc gdy telefon zadzwonił, on podniósł tylko słuchawkę, ale już nie słyszał głosu w słuchawce, prawdopodobnie jeszcze się odezwał... I należałoby napisać, że na tym się wszystko dlań skończyło — na tym świecie.

On tymczasem był przed jakimś otwartym dużym wejściem. W głębi było słonecznie i wrażenie jakby witraża o czerwonych, pomarańczowych i żółtych szybkach. Słyszał przyjazny szum, trochę cichszy od szumu morza. Stał tak i z radością chłonał to nowe, gdy nagle usłyszał — te dawno zanikłe — znajomy głos matki, znajomy głos brata. Mówili mu pośpiesznie:

—...postępuj tak dalej, tak jest dobrze, właśnie tak trzeba...

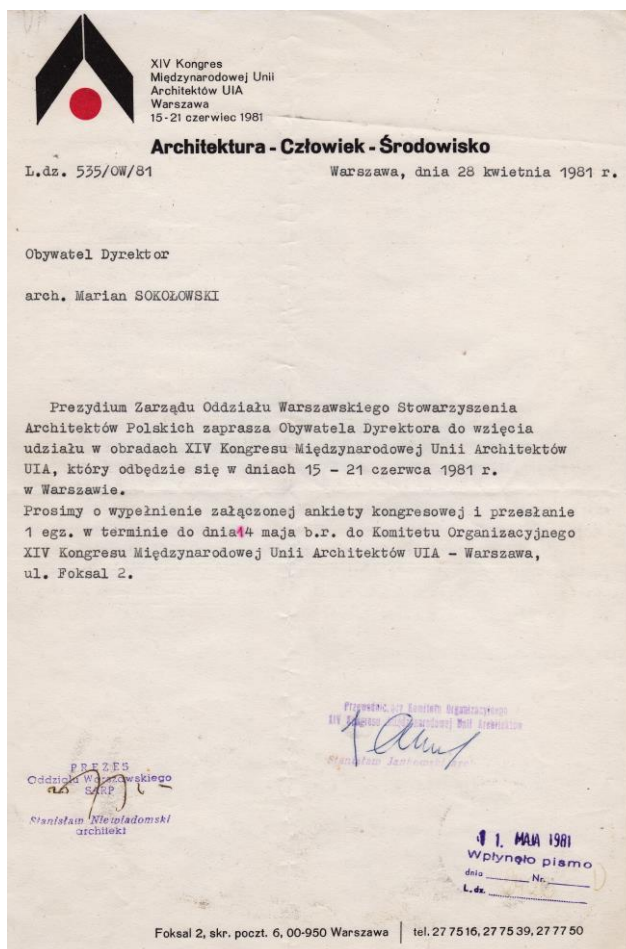
Było mu miło i był zdziwiony, że to jego zwyczajne życie może być tak dobrze oceniane.

Nagle jakaś siła porwała go do tyłu i tak leciał tyłem, w jakimś szarym tunelu — po czym otworzył oczy. Siedział głęboko w fotelu, a na kolanach leżała słuchawka telefonu. Podniósł ją więc, nie wiedząc jak długo tak leżała, i powiedział:

—...halo...

— O! Jak to dobrze! Ależ się przeraziłam, gdy przestał pan mówić w pół słowa. Lepiej się pan już czuje? Proszę już nic nie mówić i położyć się. Zaraz przyślę lekarza.

*Już tyle osób opowiada o tym szarym tunelu będącym między życiem a śmiercią...*



22 czerwca 1981 roku Algierczycy zakwalifikowali mnie do firmy ECOEC do dyrekcji w Batnie.



14-21.07.1981

*Obradował IX nadzwyczajny zjazd PZPR. W wyniku zjazdu wymianie uległ prawie cały skład Komitetu Centralnego. Zdominowali go, po raz pierwszy w historii PZPR, robotnicy i chłopi. Gruntownej rekonstrukcji uległo Biuro Polityczne i Sekretariat Komitetu Centralnego.*

*Do nowego KC weszło tylko 4 dotychczasowych członków BP (Kania, Jaruzelski, Barcikowski i Olszowski). Poza KC znaleźli się między innymi: Jabłoński, Moczar, Jagielski, Grabski, Żabiński.*

*Decyzją zjazdu wykluczono z szeregów partii: E. Gierka, E. Babiucha, J. Łukaszewicza, T. Pykę, J. Szydłaka i Z. Żandarowskiego.*



31 lipca 1981 roku zostałem odwołany ze stanowiska dyrektora Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt – Warszawa”. Urzędowałem na ulicy Przasnyskiej 6.



5 sierpnia 1981

*Z rozmowy z zastępcą dyrektora Miastoprojektu — Kazimierzem Grzegorzewskim:*

Wszędzie wszystkie poczynania zostały zrobione i w dniu 14 lipca 1981 roku peta zwołał u siebie Kolegium Biura. Na Kolegium przybył Generalny Dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” — Andrzej Skrzypiec oraz jego pierwszy zastępca — Janusz Anuszewski. Skrzypiec powiadomił zebranych, że peta zostanie zdjęty ze stanowiska dyrektora Miastoprojektu i przedstawił na to miejsce Anuszewskiego. Wtedy przedstawiciel Solidarności, mój kolega, oświadczył, że Solidarność nie chce Anuszewskiego i że wolą mnie. Była konsternacja, ale Skrzypiec zapowiedział, że w takim razie peta będzie pełnił obowiązki dyrektora aż do wyjazdu do Algerii. Jednak przedstawiciel Solidarności rzekł: — ...do wyjazdu, a potem peta nie wyjedzie i wszystko tak przyschnie... — Wówczas peta impulsywnie rzucił: — To ja proszę o natychmiastowe odwołanie mnie.



14 lipca 1981 roku generalny dyrektor Zjednoczenia Budownictwa „Warszawa” i czynniki społeczno-polityczne Miastoprojektu ustaliły, że zmiana dyrektora Biura nastąpi 1 sierpnia 1981 roku. Oświadczyłem, że jeżeli nie wyjadę za granicę, to też nie chcę być dalej dyrektorem. Na moje miejsce ma być mój zastępca Kazimierz Grzegorzewski. Mojemu szefowi ze Zjednoczenia, Januszowi Anuszewskiemu, nie udało się wkroczyć na moje miejsce, co od szeregu miesięcy przygotowywał. W tym było sedno całych moich niepowodzeń. Teraz już nie jest to ważne.

Anka stała po mięso siedem godzin i zdesperowana wykupiła wszystko z kartek na ten miesiąc. Gosia z koleżanką gdzieś na wsi, a Zosia się nudzi.



*Zobaczymy dobytek pety, z którym wybierał się w lepszy świat.*

LISTA MIENIA PRZESIEDLEŃCZEGO NA WYJAZD DO ALGERII

1. garnitury — 3 komplety
2. koszule — 10 szt.
3. skarpety — 12 par
4. dodatki do ubrania
5. piżamy — 3 komplety
6. naczynia kuchenne — kocher
7. szklanki — 2 szt.
8. kuchenka elektryczna
9. przybory toaletowe
10. przybory osobiste
11. slajdy i negatywy rodzinne
12. zdjęcia pamiątkowe
13. lekarstwa
14. środki opatrunkowe
15. alkohol — ZABRONIONE [adnotacja  
zatwierdzających listę]
16. komplet dokumentów osobistych
17. słownik francuski — 2 tomy
18. parasol
19. złota obrączka
20. zegarek
21. kalkulator
22. moje pamiętniki, w tym:  
— maszynopisy opracowane — 2 szt.  
— zeszyty (rękopisy) — 4 szt.
23. marynarka skórzana
24. śpiwór
25. poduszka
26. bielizna pościelowa — 3 komplety
27. radio tranzystorowe
28. magnetofon kasetowy
29. zasilacz do radia
30. zasilacz do magnetofonu
31. imbryk elektryczny
32. taśmy do nauki angielskiego — 12 kaset
33. obrus
34. materiał firankowy — 6m
35. płaszcz
36. swetry — 2 szt.
37. buty — 6 par
38. bielizna osobista — 15 szt.
39. talerze — 8 szt.
40. sztućce — 6 kompletów
41. przybory kuchenne
42. ścierki — 6 szt.
43. ogrzewacz elektryczny
44. grzałka do wody
45. żelazko
46. sznury elektryczne — 4 szt.
47. kosmetyki
48. ręczniki — 4 szt.
49. torba podróżna
50. słownik techniczny francuski
51. słownik budowlany
52. słownik frazeologiczny francuski
53. słownik angielski
54. słownik ortograficzny polski
55. gramatyka francuska
56. gramatyka polska — 2 tomy
57. odmiana czasowników francuskich
58. podręcznik „ENGLISH 901” — 6 tomów
59. podręcznik projektowania architektoniczno-  
budowlanego
60. materiały z XIV Kongresu IUA
61. Simenon — La patience de Maigret
62. kalendarz i notatniki
63. samochód osobowy
64. pralka elektryczna
65. wirówka do prania
66. odkurzacz
67. dywaniki — 3 szt.
68. telewizor
69. narzędzia samochodowe
70. części zamienne do samochodu
71. maszyna do pisania
72. aparat fotograficzny
73. filmy do aparatu — 12 szt.
74. podgrzewacz elektryczny
75. naczynia kuchenne — komplet
76. serwis stołowy — komplet
77. kołdry — 4 szt.
78. koce — 4 szt.
79. poduszki — 4 szt.
80. bielizna pościelowa
81. ręczniki — 12 szt.
82. firanki — 4 pary
83. zasłony do okien — 4 pary
84. obrusy — 6 szt.
85. książki (beletrystyka i zawodowe)

pieczęć:

Bullding Foreign Trade Enterprise

„B U D I M E X”

Warszawa, ul. Żurawia 3/5

VU A L'AMBASSADE D'ALGERIE:

VARSOVIE, le 10 AOUT 1981

Le Chargé d'Affaire a.i.

Otmane BENKELFAT

pieczęć okrągła: AMBASSADE D'ALGERIE - VARSOVIE

*Peta nie miał zamiaru zabrać tego wszystkiego, ale obowiązywała zasada, że lista mienia przesiedleńczego mogła być zatwierdzona tylko raz przez stronę algerską. Można było wwieźć do Algerii w dowolnym okresie wszystko, co było objęte listą mienia przesiedleńczego. Za przedmioty nieobjęte listą trzeba było zapłacić w Algerii wysokie cło. Więc lista obejmowała przedmioty, które peta mógł sprowadzić później, na przykład samochód. Ale wielu z rzeczy wymienionych na liście nie musiał zabierać z Polski, bo jak się potem okazało, miał prawo zakupić na miejscu wiele przedmiotów kuchennych, bieliznę pościelową i narzędzia – wszystko do kwoty 1000 dinarów na koszt Budimexu, ale o tym w Warszawie nie uprzedzano, bo po co – tak jak i nie uprzedzono o wielu innych sprawach, choćby o istocie islamu i mentalności muzułmanów.*

*31 sierpnia 1981 roku peta wylądował na lotnisku w Algerze. Opisuje to peta numer 5 pod tytułem „Fi laman” część I Batna — pierwszy rok.*

## Spis treści

	<b>Concerto grosso nuovo</b>	5
	Toccata	7
<b>I</b>	<b>Fuga C-dur alla uvertura</b>	8
	Presto	9
	Andante	21
	Kadencja	24
	Scherzo	39
	Nokturn quasi scherzo	43
	Coda	46
	Nokturn appassionato	47
	<b>Antrakt – Londyn 14-24.11.1973</b>	51
<b>II</b>	<b>Largo</b>	69
	Moment musical 1	70
	Vox humana	70
	Nokturn con grave	71
	Moment musical 2 – 5	72
	Walc	73
	Moment musical 6 – 8	74
	Vox humana	75
	Vox humana	75
	Glissando grosso	76
	Glissando	76
	<b>Antrakt – Paryż 19-23.05.1975</b>	77
<b>III</b>	<b>Allegro sostenuto</b>	93
	Kadencja	94
	Kadencja (pierwotna)	96
	Ekspozycja koncertowa I	99
	Ekspozycja koncertowa II	103
	Kanon	106
	Rapsod	108
	Mazur (Ekspozycja koncertowa III)	109
	Sonatina – część I – ekspozycja	113
	Sonatina – część II – przetworzenie tematyczne	115
	Sonatina – część III – reprzyza	117
	Suita alla polacca – menuet	121
	Suita alla polacca – mazur	126
	Suita alla polacca – polka	130
	<b>Antrakt – Praga – 6-10.10.1975</b>	133
<b>IV</b>	<b>Adagio pastorale</b>	143
	Madrygał	144

	Vox humana	152
	Opus 1	154
	Kuplet con grave	156
	Gavot	160
	Potpourri I – V	163
	Suita – allemande	168
	Suita – courante	171
	Suita – sarabanda	176
	Suita – gigue	179
	<b>Anrakt – Sztokholm, 23-27.03.1976</b>	<b>185</b>
<b>V</b>	<b>Grave</b>	<b>191</b>
	Bolero	193
	Staccato rubato	199
	Tarantella crescendo	202
	Vox quasi rubato	222
	Pawana	223
	Chacona	231
	Barkarola	235
	Fuga alla coda	241
	<b>Obsada</b>	<b>248</b>
	<b>Anrakt – Odessa, 01-15.08.1976</b>	<b>253</b>
<b>VI</b>	<b>Sonata</b>	<b>265</b>
	<b>Anrakt – Francja, 04-21.07.1979</b>	<b>299</b>
<b>VII</b>	<b>Symfonia koncertująca</b>	<b>329</b>
	Wspomnienia	330
	Wspomnienia	347
	Azyle pety	352
	Spis treści	367
	O moich książkach	369